

WIELKIE SERIE SF

# GWIEZDNE WOJNY™

WIZJA PRZYSZŁOŚCI

TOM II CYKLU RĘKA THRAWNA



TIMOTHY ZAHN

**RĘKA THRAWNA II**

**Wizja przyszłości**

**TIMOTHY ZAHN**

Przeład

JAROSŁAW KOTARSKI

Tytuł oryginału VISION OF THE FUTURE

Redaktor serii ZBIGNIEW FONIAK

Redakcja stylistyczna WANDA MONASTYRSKA

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

JOANNA CHRISTIANUS

BARBARA ŚWIĘCICKA

Ilustracja na okładce DREW STRUZAN

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 1998 by Lucasfilm, Ltd. & TM.

All rights reserved.

*Wszystkim gwiazdkom i Dzikim Kadrom*

*Jadeitowym Nudziarzom z Klubów*

*i moim bothańskim szpiegom*

*a zwłaszcza TISH PAHL*

*Ministrowi Formacji zarówno In-, jak i Dezin-*

# R O Z D Z I A Ł 1

„Chimera”, niszczyciel klasy Imperial, unosił się w czarnej pustce przestrzeni ponad gazowym gigantem o nazwie Pestiin. Pellaeon przyglądał się powierzchni planety, gdy na mostku zjawił się kapitan Ardifff.

- Major Harch melduje, panie admirale, że wszystkie uszkodzenia powstałe podczas pirackiego ataku zostały naprawione -oznajmił. - Okręt jest w pełni gotów do walki.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Pellaeon, kryjąc uśmiech: Ardifff w ciągu trzydziestu godzin, które minęły od ataku, przeanalizował kolejne koncepcje, od przekonania, że to sprawka generała Garma Bel Iblisa i Nowej Republiki przez podejrzenie, iż spowodowały go elementy dysydenckie w Imperium, ewentualnie dysydenci z Nowej Republiki, do pewności, że jednak był on dziełem piratów.

Kapitanowi pomogły w tym naturalnie meldunki techników badających szczątki zniszczonego w starciu krążownika klasy Kaloth, ale tego Pellaeon wolał głośno nie przypominać: - Są jakieś wieści od patroli? - spytał.

- Niepomyślne, sir. W całym systemie brak śladów aktywności. Prom wyposażony w osłony antysensoryczne, wysłany na pański rozkaz śladem napastników, także nie wykrył kolejnego wektora ich skoku.

Pellaeon bez słowa skinął głową - tego należało się spodziewać. Każdy, kogo było stać na ciężki krążownik, musiał znać sposoby ukrywania go.

- Należało spróbować - ocenił spokojnie. - Proszę kazać załodze sprawdzić jeszcze jeden system, a jeśli i tam nie znajdą żadnych śladów, niech wracają. Dalsze poszukiwania nie mają sensu, bo bez przekaźników stracimy z nimi łączność. - Według rozkazu, panie admirale. Pellaeon wyczuł wahanie podkomendnego.

- Jakies pytania, panie kapitanie? - spytał zachęcająco.

- Chodzi mi o ciszę łącznościową, sir. Nie lubię tracić kontaktu z resztą galaktyki: to tak jak być ślepym i głuchym. Przyznaję, że mnie to denerwuje, panie admirale. - Ja również nie jestem zachwycony, ale to jedyny sposób zachowania tajemnicy. Łączność możemy utrzymywać tylko dzięki imperialnym stacjom przekaźnikowym lub wcinając się do HoloNetu. W obu przypadkach ledwie to zrobimy, wszyscy od Coruscant po Bastion dowiedzą się, że tu jesteśmy. A wtedy zjawi się tu znacznie więcej chętnych, by do nas postrzelać niż jedna banda piratów, może mi pan wierzyć,

kapitanie.

Pellaeon nie dodał głośno, że równocześnie oznaczałoby to koniec szans na spokojne spotkanie z Bel Iblisem, zakładając naturalnie, iż ten ostami ma na nie ochotę. - Rozumiem, sir, ale niepokoi mnie coś innego. Założyliśmy, że był to odosobniony atak na imperialny okręt...

- Sugeruje pan, że mógł stanowić część skoordynowanego ataku na Imperium? - Dlaczego nie? Jestem skłonny uznać, że to nie Nowa Republika wynajęła piratów, ale dlaczego oni sami nie mieliby rozpocząć kampanii przeciwko nam, sir? Imperium zawsze ostro zwalczało piractwo, więc tym razem mogła się zebrać liczniejsza grupa, powiedzmy z dziesięć band, i dojść do wniosku, że czas na rewanz. Pellaeon pogładził się z namysłem po policzku - na pierwszy rzut oka sugestia wydawała się absurdalna: nawet teraz, bliskie upadku Imperium było nieporównywalnie silniejsze od jakiegokolwiek koalicji pirackiej, chociaż piraci mogli inaczej oceniać sytuację. Historia galaktyki pełna była głupich prób zakończonych klęskami. - Nadal nie wyjaśnia to, skąd wiedzieli, że tu jesteśmy - zauważył.

- W dalszym ciągu nie wiemy, co się stało z pułkownikiem Vermelem, panie admirale - przypomniał Ardifff. - Może to właśnie piraci go porwali. Mógł im powiedzieć o miejscu i czasie spotkania.

- Nie dobrowolnie, ale mógł - przyznał ponuro Pellaeon. - Jeżeli wymusili na nim zeznania w sposób, jaki obaj podejrzewamy, to przyozdobię nimi księżyc Bastionu. - Rozumiem pańskie uczucia, sir. Ale pozostaje jedna kwestia: jak długo mamy zamiar tu pozostać?

To było rzeczywiście istotne pytanie. Na ile nadzieja na zakończenie wojny z Nową Republiką i powstrzymanie powolnego dogasania Imperium, gdy miało jeszcze resztki dumy i skrawek terytorium, równoważyły wystawianie się na niebezpieczeństwo? Tym bardziej, że Pellaeon doskonale zdawał sobie sprawę, iż wraz z nim zginęłyby szanse na pokój.

- Dwa tygodnie - zdecydował. - Damy Bel Iblisowi dwa tygodnie na odpowiedź. - Pomimo możliwości, że wiadomość mogła w ogóle do niego nie dotrzeć, sir? - Dotarła. Vermel to kompetentny i pomysłowy oficer; cokolwiek się z nim stało, jestem pewien, że zdołał wykonać zadanie.

- A jeśli Bel Iblis nie zjawi się w ciągu tych dwóch tygodni? - ton Ardifffa jasno świadczył, że nie podziela pewności przełożonego. - Wtedy zdecydujemy, co dalej.

Ardifff zawahał się, zbliżył jeszcze o krok do admirała i spytał cicho:

- Jest pan naprawdę przekonany, że to najlepsze, co możemy zrobić, sir?

- Nie, kapitanie. Ale jestem pewien, że tylko tyle możemy zrobić.

Klin patrolowców Sienar IPV/4 rozsunął się precyzyjnie i imperialny niszczyciel „Niezlomny” przeleciał między nimi ku wyznaczonej orbicie.

- Piękne - warknął moff Disra, spoglądając na zielononiebieską planetę przed dziobem. - Ufam, że nie ściągał mnie pan tu przez pół galaktyki, żebym oglądał manewry kroctariańskich sił obronnych, majorze?

- Trochę cierpliwości, ekscelencjo - major Grodin Tierce prawie się uśmiechnął. - Powiedziałem panu, że mamy niespodziankę.

Disra zacisnął zęby; Tierce rzeczywiście tak powiedział. I tylko do tego się ograniczył. Flim zaś... Disra przeniósł wzrok na fotel admiralski - Flim siedział tam, jak laserowa kopia wielkiego admirała Thrawn, i wszyscy na pokładzie niszczyciela, poza Disra i Tiercem, wierzyli, że jest Thrawnem. Problem polegał jednak na tym, że na Kroctar nie było ani jednego zwolennika Imperium. Planeta stanowiła stolicę sektora Shatuum, znajdującego się głęboko na terytorium Nowej Republiki, i choć słynęła z handlu, dysponowała też liczną flotą i silną obroną planetarną. Nie istniała żadna gwarancja, że na kimkolwiek na jej powierzchni wywrze wrażenie niebieska skóra, czerwone oczy czy zdolności aktorskie osobnika w białym uniformie.

A jeśli nie wywrą, to całą maskaradę razem z triumwiratem szlag trafi. Flim mógł wyglądać i zachowywać się jak Thrawn, ale zasady strategii znał gorzej niż pierwszy lepszy śmieciarz. Specjalistą w kwestiach militarnych był Tierce, członek nie istniejącej już Imperialnej Gwardii, a jeśli kapitan Dorja zobaczy, że zwykły (w teorii) major mówi genialnemu (w teorii) wielkiemu admirałowi, jak ma postąpić, to skończy się całe przedstawienie.

- Wiadomość z planety, sir - odezwał się nagle oficer łączności. - Na linii jest superior Bosmihi, wódz Zjednoczonych Frakcji.

- Proszę przełączyć go na głośniki, poruczniku - polecił Thrawn. - Tu wielki admirał Thrawn, otrzymałem pańską wiadomość, superiorze Bosmihi. Co mogę dla pana zrobić?

- Oni skontaktowali się z nami pierwsi? - szepnął zdziwiony Disra.

- Ćśśś - odszepnął zadowolony Tierce, kiwając potakująco. - Proszę słuchać!

- Witamy pana, wielki admirał - głośniki zadudniły nosowym głosem o obcym akcencie - i szczerze gratulujemy tryumfalnego powrotu.

- Dziękuję, choć przy naszym ostatnim spotkaniu był pan nieco mniej entuzjastyczny.

- Dziesięć lat temu - mruknął Tierce na widok zdziwionego spojrzenia Disry. - Nie ma strachu, wszystko wie na ten temat. W głośniku zagulgotał śmiech.

- Rzeczywiście, ma pan doskonałą pamięć - przyznał radośnie rozmówca. - Wtedy znajdowaliśmy się

pod wpływem zarówno obawy przed potęgą Imperium, jak i obietnic wolności.

- Podobne kłamstwa miały wpływ na wielu - zgodził się Thrawn. - Dobór pańskich słów wskazuje, że Kroctarianie wypracowali sobie nowy światopogląd.

- Byliśmy świadkami niedotrzymania obietnic - w głośniku coś świsnęło z niesmakiem, a w głosie mówiącego zabrzmiał żal. - Coruscant przestało być źródłem prawa i porządku. Nie ma określonych celów, jasnych struktur ani dyscypliny. Tysiące ras próbuje ciągnąć galaktykę w tysiącu kierunków, co nie może doprowadzić do niczego dobrego.

- Nie może. Właśnie dlatego Imperator Palpatine wprowadził Nowy Ład. Była to próba zapobieżenia temu, co dzieje się obecnie, i to do pewnego stopnia próba udana. - Ale historia Imperium wskazuje, iż nie można ufać również imperialnym obietnicom. Nowy Ład to ciąg brutalnych prześladowań wszystkich ras niehumanoidalnych. - Taki był, niestety, osobisty punkt widzenia Imperatora. Od tamtej pory sporo się zmieniło i Imperium uwolniło się od prowadzących do samozniszczenia uprzedzeń rasowych.

- Pańska obecność na tym stanowisku jest tego dowodem - przyznał ostrożnie Bosmihi. - Ale inni dowodzą, iż te uprzedzenia nadal istnieją.

- Inni nadal rozsiewają różne kłamstwa o Imperium, ale nie musi pan wierzyć mojemu słowu. Proszę spytać przedstawicieli którejkolwiek z piętnastu ras żyjących pod władzą Imperium, zadowolonych z uzyskanej ochrony i stabilizacji.

- Tak... ochrony - na to słowo Bosmihi położył specjalny nacisk. - Mówi się, że Imperium jest słabe, choć ja sędzę, iż nadal ma sporo sił. Jakie gwarancje bezpieczeństwa może pan zaoferować systemom członkowskim?

- Najlepszą w całej galaktyce - powiedział Thrawn tonem, który nawet u Disry wywołał ciarki, tyle było w nim siły i groźby. - Obietnicę mojej osobistej zemsty, gdyby ktokolwiek ośmielił się was zaatakować.

W głośnikach rozległo się coś pośredniego między przełykaniem a czkawką.

- Rozumiem... Rozumiem też, że to wszystko jest dosyć nagłe, za co przepraszam, ale chciałbym złożyć w imieniu Zjednoczonych Fundacji Kroctari petycję o ponowne przyjęcie w skład Imperium. Disra poczuł jak opada mu szczęka.

- Mówiłem, że mamy niespodziankę - uśmiechnął się Tierce.

- W imieniu Imperium przyjmuję petycję - odpowiedział uroczyście Thrawn. - Naturalnie wasza delegacja jest gotowa do omówienia szczegółów?

- Doskonale nas pan rozumie, panie admirale. Nasza delegacja w rzeczy samej jest gotowa do

rozmów.

- W takim razie proszę ją przysłać. Tak się składa, że na pokładzie przebywa obecnie moff Disra, specjalista od kwestii politycznych, toteż negocjacje można rozpocząć natychmiast.
- Będziemy zaszczyceni, mogąc go spotkać, choć wątpię, by jego obecność była przypadkiem, jak pan sugeruje. Dziękuję, wielki admirale Thrawn, i do zobaczenia. - Do zobaczenia, superiorze Bosmihi - odparł Thrawn i dał znak do zakończenia połączenia.
- Połączenie zakończone, sir - potwierdził oficer łączności.
- Dziękuję - Thrawn wstał. - Proszę przekazać dowódcy dyżurnej eskadry Interceptorów, by był gotów do eskortowania promu superiora. Mają się z nim spotkać, jak tylko znajdzie się poza granicą atmosfery i dostarczyć na pokład hangarowy w szyku defiladowym. Kapitanie Dorja, chciałbym, aby pan osobiście powitał delegację i do prowadził ją do sali konferencyjnej sześćdziesiąt osiem, gdzie będzie oczekiwał moff Disra.
- Rozumiem, sir - Dorja wyprężył się, skłonił i wyszedł, rzucając Disrze pełen satysfakcji uśmiech.
- Mógł mnie pan uprzedzić - mruknął Disra, gdy za kapitanem zamknęły się drzwi windy.
- Nie byłem całkowicie pewien, czy o to im chodzi - Tierce leciutko wzruszył ramionami, kierując się ku innej windzie. - Wydawało się jednak dość prawdopodobne: Kroctar ma kilku potencjalnie niebezpiecznych sąsiadów, a wywiad informował, że Zjednoczone Frakcje definitywnie zraziła do Nowej Republiki jej niemożność wymuszenia spokoju w konfliktach wewnątrzsystemowych. Kroctar jest pierwszy, ale nie ostatni: mamy już sygnały z dwudziestu innych systemów, których rządy zapraszają Thawna na pogawędkę. Wsiedli do windy.
- Tylko po to, żeby przestraszyć przeciwników - parsknął pogardliwie Disra:
- Najprawdopodobniej, ale co nas to obchodzi? Niech wstępują z jakich chcą powodów, ważne jest, by ponownie przyłączyli się do Imperium. To zatręsie wszystkimi, zaczynając od rządu Nowej Republiki. - I zmusi go do podjęcia działań.
- Jakich? Karta Nowej Republiki wyraźnie i jasno określa, że członkowie mogą się wycofać, kiedy tylko zechcą. - Moff Disra? - odezwał się nagle komlink windy. - Tak?
- Odebraliśmy właśnie transmisję do pana, ekscelencjo, zaszyfrowaną prywatnym kluczem Usk-51.

Disra poczuł w żołądku lodowatą pięść; uczucie chłodu błyskawicznie ustąpiło jednak narastającej wściekłości.

- Dziękuję - powiedział na tyle spokojnie, na ile mógł. - Proszę przełączyć na salę konferencyjną sześćdziesiąt osiem i dopilnować, żeby nie była monitorowana. - Tak, ekscelencjo. - Przypadkiem



nie jest to... - zaczął Tierce.

- Na pewno jest! - przerwał mu wściekły Disra. - Chodź pan ze mną, tylko się nie pokazuj!

Drzwi windy otwarły się i dwie minuty później byli w sali konferencyjnej z uszczelnionymi drzwiami. Disra uruchomił moduł łączności znajdujący się na stole, wsunął weń właściwą datakartę dekodującą i na ekranie pokazał się brodaty blondyn. - Najwyższy czas! - warknął Zothip. - Nie sądzisz, że mam ważniejsze rzeczy niż czekanie godzinami, aż łaskawie raczysz ruszyć tyłek i...

- Co?! - Głos Disry był cichy, ale ton tak wściekły, że Zothip aż się cofnął, milknąc odruchowo. - Co... ty... durniu... sobie... myślisz?! Jakim prawem ośmieliłeś się tak idiotycznie ryzykować?!

- Mam gdzieś twoją urażoną ambicję - odwarknął Zothip, wracając do równowagi psychicznej'. - Jeśli współpraca z piratami nagle stała się dla jaśnie pana uciążliwa...

- Uciążliwa to nie jest właściwe słowo - przerwał mu lodowato, ale już spokojnie Disra. - Nie odpowiada mi perspektywa utraty głowy przez twoją głupotę. Nie zauważyłeś, przez ile przekaźników idzie ta transmisja?

- No proszę, a ja sobie myślałem, że to tylko wasz wspaniały imperialny sprzęt znowu się pieprzy. Jak to się człowiek może pomylić.. . Gdzie jesteś? Liczysz kasę w domku letniskowym?

- Jestem na pokładzie niszczyciela klasy Imperial, półgłówku!

- Jeżeli chciałeś wyrzucić na mnie wrażenie, to spróbuj jeszcze raz - twarz Zothipa pociemniała. - Mam dość tych waszych niszczycieli.

- Doprawdy?! - Disra uśmiechnął się zimno. - Pozwolisz, że zgadnę: byłeś zbyt pewny siebie, ponowiłeś atak i Pellaeon złożył ci skórę.

- Nie wkurzaj mnie, Disra: straciłem krążownik i ośmiuset ludzi, i ktoś za to zapłaci. Albo on, albo ty.

- Nie bądź śmieszny. I nie próbuj winić mnie za swoje błędy. Ostrzegałem, żebyś nie próbował walczyć z „Chimerą”. Miałeś go nastraszyć i przekonać, że to Bel Iblis. - A niby jak miałem to zrobić?! Opluć go czy porozstawiać mu rodzinę po kątach przez HoloNet? A może skłąć w starokoreliańskim?

- Przesadziłeś i dostałeś nauczkę, tak bywa z tymi, którzy przesadzają w stosunku do Imperium. Uważaj to za bolesną, ale pożyteczną lekcję; podobno człowiek uczy się na błędach. Miejmy nadzieję, że tego błędu nie powtórzysz. - To groźba?

- Ostrzeżenie - odparł spokojnie Disra. - Nasza współpraca była wysoce dochodowa dla obu stron: mnie umożliwiała szkodzenie Nowej Republice, tobie zabieranie jej cennych ładunków. - I

ponoszenie całego ryzyka - wtrącił Zothip.

- Na ciebie wypadło - Disra wzruszył ramionami. - Mimo wszystko szkoda by było, gdyby nasz intratny związek zakończył się z powodu czegoś tak trywialnego. - Możesz mi wierzyć, że kiedy nasz związek się skończy, będzie ci znacznie bardziej żal - powiedział dziwnie miękko Zothip. - I to z zupełnie innych powodów. - Zaraz zacznę robić listę. Teraz wyliż swoje rany, a następnym razem pamiętaj, żeby używać właściwej procedury łączności. Ten szyfr jest jednym z najlepszych, jakie kiedykolwiek wymyślono, ale nie jest mimo to całkowicie odporny na dekodację czy slicerów.

- Tak? Muszę pamiętać, jakby co: na czarnym rynku dobrze za niego zapłacą, jak mnie przyciśnie. Odezwę się. I ekran zgasł.

- Idiota! - warknął Disra, wyciągając datakartę. – Bezmózgi kretyn!

- Mam nadzieję, że z Kroctarianami zamierza pan rozmawiać nieco uprzejmiej - ocenił Tierce, siedzący dotąd nieruchomo po przeciwnej stronie stołu.

- A co: miałem mu pozwolić wypłakać się w klapę i utulić? Albo obiecać, że kupię mu nowy krążownik?

- Banda tak duża i dobrze zorganizowana jak Cavrilhu może być groźnym przeciwnikiem. Nie dlatego, że są siłą militarną ale że dużo o panu wiedzą i mogą tę wiedzę rozpowszechnić.

- Zothip jest jedynym, który tak naprawdę wie coś konkretnego - mruknął Disra, zły na samego siebie za utratę panowania; mógł to faktycznie załatwić spokojniej, ale z kolei Zothip powinien myśleć i przerwać połączenie, gdy zorientował się, że Disry nie ma w gabinecie i kontakt nie jest bezpieczny.

Nie zamierzał zresztą przyznawać się do błędu, zwłaszcza Tiercemu.

- Nie ma się czego obawiać - machnął ręką. - Za dużo korzysta na tej współpracy, by rezygnować z niej z powodu jednego krążownika.

- Z powodu krążownika nie, ale nigdy nie należy lekceważyć tego, co ludzie robią z powodu urażonej dumy - dodał z namysłem Tierce. - Nie należy. Ani też co robią z powodu arogancji.

- Arogancji? - oczy oficera zwięziły się lekko. - Co to konkretnie ma znaczyć?

- Że przegiąłeś - oznajmił rzeczowo Disra. - Posunąłeś się za daleko i niebezpiecznie daleko. Jakbyś zapomniał: Flim miał zainspirować siły zbrojne Imperium i dać nam ich pełne poparcie. Nigdy nie planowałem, by w tak głupi sposób prowokował Nową Republikę, a ty zgodziłeś się z tym planem.

- Już tłumaczyłem, że rząd Nowej Republiki nic nie może prawnie zrobić...

- I uważasz, że to ich powstrzyma? Człowieku, obudź się! Sądzisz, że banda przerażonych powrotem

Thrawna obcych będzie się przejmować takimi duperelami jak prawo?! Szkoda, że dałem się przekonać, żeby Flim pokazał się temu diamalańskiemu senatorowi, no ale stało się, a ich było tylko trzech. Ale to?! - Disra machnął wymownie w kierunku planety.

- Pokazanie się temu senatorowi wywołało dokładnie te skutki, które chcieliśmy, by wywołało: wątpliwości, konsternację i rozbudzenie starych animozji przy równoczesnym uciszeniu ostatnich głosów sugerujących kapitulację - przypomniał chłodno Tierce.

- No i pięknie, tylko że ten numer całkowicie zniweluje osiągnięty efekt. Jak ktokolwiek będzie wątpił w to czy Diamalanin widział Thrawna, czy nie, jeśli teraz zobaczy go cała planeta.

- Wcale go nie zobaczy - uśmiechnął się Tierce. - Na tym właśnie polega urok całej sytuacji. Spotka go jedynie delegacja złożona z zaufanych Superiora, reszta będzie musiała uwierzyć im na słowo. A ponieważ wysłamy do sąsiednich systemów wiadomość o tym, że Kroctar znalazł się pod ochroną Thrawna, zaczną się wątpliwości podobne, jeśli nie większe niż poprzednio, bo teraz zaniepokoją się niektóre rasy w tym sektorze.

- Szlag, zawsze potrafisz przedstawić swoje postępowanie jako rozsądne! - prychnął Disra. - Ale i tak nie mówisz mi wszystkiego i mam tego dość!

- To brzmi jak groźba - zdziwił się uprzejmie Tierce.

- Bo nią jest - poinformował go spokojnie Disra, sięgając do wewnętrznej kieszeni. - A tu mam argument na jej poparcie. I wyjął niewielki blaster.

Tyle że nie zdążył go nawet wycelować, gdyż zanim do końca wydobył broń, Tierce rzucił się na stół i wsparty na łokciu i biodrze prześliznął się po jego lakierowanej powierzchni prosto ku moffowi. Disra odruchowo uskoczył w prawo, by znaleźć się poza zasięgiem jego rąk, lecz gdy unosił blaster, Tierce przetoczył się na brzuch i złapał oburącz moduł łączności. Używając go jako osi do zmiany kierunku i przetoczenia się z kolei na plecy, obrócił się przy okazji tak, że zamiast głową celował w Disrę stopami i odepchnął się od modułu dla zwiększenia szybkości. Ten manewr całkowicie zaskoczył przeciwnika i nim zdolał się poruszyć, Tierce celnym kopniakiem wytrącił mu broń. Disra cofnął się chwiejnie, unosząc dłonie, a Tierce zgrabnie zeskoczył na podłogę. Disra pierwszy raz w życiu poczuł smak całkowitej porażki, a co więcej, miał pewność, że Tierce zaraz go zabije. Oficer zaskoczył go ponownie.

. - To było nadzwyczaj głupie, ekscelencjo - oznajmił chłodno, podnosząc broń z podłogi. - Strzał ściągnąłby natychmiast drużynę szturmowców. Disra odetchnął lekko i opuścił ręce.

- Każdy strzał - przypomniał i w tym momencie zdał sobie sprawę, że Tierce nie musi użyć broni, by go zabić. - Nadal nic pan nie rozumie - westchnął Tierce.

- A pan nadal działa za moimi plecami. Pozyskanie paru systemów nie jest warte doprowadzenia Nowej Republiki do takiej paniki, że zacznie działać. O czym nie wiem? Tierce przyjrzał mu się z

namysłem.

- No dobrze - zdecydował. - Słyszał pan kiedykolwiek określenie „Ręka Thrawna”? -Nie. - Dość szybko pan odpowiedział.

- Bo pracowałem nad tym planem przez lata, zanim pan się pojawił. Przeczytałem i obejrzałem wszystko, co zdołałem znaleźć w imperialnych archiwach, co choćby nawiązywało do Thrawna, a pamięć mam dobrą. - Łącznie z tajnymi aktami Imperatora?

- Gdy tylko zdołałem do nich wejść. - Disra nagle zmarszczył czoło. - Zatem o to naprawdę chodziło w bazie wywiadu na Yaga Minor!

- Nie tylko. Podstawowym problemem były zmiany w danych dotyczących Caamas, ale kiedy już byłem w systemie, sprawdziłem, czy mają jakieś informacje dotyczące tego hasła.

- Naturalnie - mruknął Disra. Zawsze uważał, że zamiast kłamać lepiej nie mówić całej prawdy. - I?

- Nic. W żadnym istniejącym imperialnym archiwum nie ma o tym najmniejszej wzmianki. Zupełnie jakby to określenie nigdy nie istniało. - Dlaczego więc pan sądzi, że istnieje?

- Bo słyszałem je z ust Thrawna na pokładzie „Chimery”. Co prawda tylko raz, ale w kontekście całkowitego i ostatecznego zwycięstwa Imperium. W pomieszczeniu nagle zrobiło się zimno.

- Ma pan na myśli jakąś superbroń? - spytał Disra ostrożnie. -Jak Gwiazda Śmierci czy Pogromca Słońce?

- Nie wiem, ale nie sądzę. Superbronie stanowiły specjalność Imperatora albo beztalenci takich jak Daala, a nie wielkiego admirała Thrawna.

- Faktycznie, radził sobie bez nich znakomicie - zgodził się Disra. - Zresztą zawsze bardziej go interesowało podbijanie niż masakrowanie. No i zdrowy rozsądek sugeruje, że gdyby gdzieś w galaktyce poniewierała się jakaś bezpieczna broń, to przez tyle lat ktoś powinien się na nią natknąć.

- Jest to prawdopodobne, ale niestety niepewne. Czy podczas poszukiwania materiałów o Thrawnie natknął się pan na nazwiska Parek i Niriz?

- Parek to kapitan, który odnalazł Thrawna na planecie położonej na skraju Nieznanych Terytoriów i przywiózł Imperatorowi. Niriz był kapitanem „Likwidatora”, niszczyciela klasy Imperial, którym Thrawn odleciał do Nieznanych Terytoriów na tę tak zwaną wyprawę kartograficzną przed swoim powrotem. - Tak zwaną?

- Nie trzeba dużego doświadczenia, żeby zrozumieć, co naprawdę zaszło - skrzywił się Disra. - Thrawn wplątał się w intrygi na dworze Imperatora i przegrał. Obojętnie, jak by tego oficjalnie nie nazywano, jego misja była w praktyce wygnaniem. - W pierwszym momencie Gwardia też tak

uwagała. Potem wpadliśmy na inne wytłumaczenie, ale nie to jest teraz ważne. Ważne jest, że ani Parek, ani Niriz, ani też „Likwidator” nigdy oficjalnie nie powrócili do służby. Nawet wtedy, gdy Thrawn zjawił się z powrotem. - Mogli zostać zabici, a okręt zniszczony.

- Albo, co prawdopodobniejsze, wrócili, lecz pozostali w ukryciu, bo Thrawn nigdy słowem się nie odezwał na ich temat. Może otrzymali zadanie pilnowania Ręki Thrawna. I wykonują je nadal.

- Która jest czym? Skoro uważa pan, że to nie superbroń, to co to jest?

- Nie powiedziałem, że to nie może być superbroń, tylko że superbroń nie była w stylu Thrawna - przypomniał Tierce. - Osobiście widzę tylko dwie możliwości. Słyszał pan kiedykolwiek o kobiecie nazwiskiem Jade? Mara Jade? Disra zmarszczył z namysłem brwi.

- Nie sędzę - odparł po chwili.

- Obecnie pracuje dla szefa bandy przemytników, Talona Karrde'a, ale za życia Palpatine'a była jedną z jego najlepszych tajnych agentek do specjalnych poruczeń. Miała tytuł Ręka Imperatora.

- Interesująca możliwość - przyznał Disra. - Lecz skoro Ręka Thrawna to osoba, gdzie ona się podziewała przez te wszystkie lata.

- Mogła się ukrywać lub czekać zgodnie z otrzymanymi rozkazami. Druga możliwość jest jeszcze bardziej interesująca: Thrawn był genialnym strategiem. Idealnie by do niego pasowało przygotowanie i zostawienie w bezpiecznym miejscu planu całkowitego zwycięstwa.

- Po dziesięciu latach klęsk taki plan miałby wartość li tylko historyczną- prychnął Disra pogardliwie.

- Nie byłbym taki pewien. Dla urodzonego stratega, takiego jak Thrawn, plan wojny to nie tylko liczba okrętów czy przebieg granic. To także równowaga geopolityczna lub jej brak, aspekty kulturowe czy psychologiczne, historyczne animozje i wiele innych czynników. Przy planowaniu długofalowym należy brać je pod uwagę, a większość z nich nadal można wykorzystać. Ba, cały plan może okazać się jak najbardziej aktualny.

Disra w zamyśleniu potarł dłoń, w którą kopnął go Tierce. Na pierwszy rzut oka teoria oficera wydawała się absurdalna, ale Disra dokładnie przestudiował osiągnięcia Thrawna i na własne oczy widział, co admirał potrafił osiągnąć. Taki plan rzeczywiście mógł mieć szanse na sukces. ,

- Ale w takim razie co z planem pięcioletniej kampanii, który znalazłem w jego zapiskach? - spytał. - Było tam coś, co przeoczyłem?

- Nie, ten plan to założenia ramowe dalszej kampanii, po bitwie o Bilbringi. Jeśli Ręka Thrawna jest planem strategicznym, dotyczy odległej przyszłości i innej sytuacji. To dwa zupełnie różne plany.

- I uważa pan, że został ukryty wraz z kapitanem Nirizem i „Likwidatorem”?

- Możliwe. Albo też ostateczne zwycięstwo zależy od osoby zwanej Ręką Thrawna. Jak by nie było, gdzieś w galaktyce jest ktoś mający coś dla nas niezbędnego. Disra uśmiechnął się - teraz wszystko stało się jasne.

- I żeby wywabić tego kogoś, postanowił pan poobwozić po galaktyce naszego przebierańca - podsumował.

- W tych warunkach uznałem, że ryzyko jest opłacalne.

- Może - mruknął Disra. - Zakładając naturalnie, że nie było to tylko puste gadanie. Twarz Tierce'a stężała.

- Przebywałem na pokładzie „Chimery” kilka miesięcy, a wcześniej przez prawie dwa lata miałem okazję obserwować Thrawna, pilnując Imperatora. W ciągu całego tego czasu nie słyszałem, by kiedykolwiek obiecał coś, czego nie zdołałby zrealizować. Skoro powiedział, że Ręka Thrawna jest kluczem do ostatecznego zwycięstwa, to nim jest. Może pan być tego pewien.

- W takim razie miejmy nadzieję, że strażnik wyjdzie z ukrycia, zanim rząd Nowej Republiki zdenerwuje się na tyle, by dobrać się nam do skóry. Co robimy najpierw? - Najpierw to pan się przygotuje na powitanie delegacji i przyjęcie Kroctarii z powrotem do Imperium - przypomniał Tierce, kładąc na stół blaster i wyciągniętą z kieszeni datakartę. - Tu jest ogólna charakterystyka ich rasy i szczegółowa superiora Bosmihi. Niestety, są to wszystkie informacje, jakie mamy na pokładzie.

- Wystarczy - Disra podszedł do stołu. - A pan gdzie się wybiera?

- Towarzyszyć kapitanowi Dorji. Ale wrócę tu: mam nieodpartą ochotę obejrzyć pańskie legendarne umiejętności negocjacyjne - i nie czekając na odpowiedź, Tierce wyszedł.

- I sprawdzić, czy ex-Czerwony Gwardzista i oszust nadal potrzebują moffa, co? - mruknął Disra, spoglądając na drzwi.

Niech sobie patrzy, niech obaj patrzą, jeśli mają ochotę, pokaże im, ile jest wart. Nim Kroctarianie wrócą do siebie, będą pewni, że Disra nie jest starym, zmęczonym politykiem niezdolnym do panowania nad własnymi pomysłami, ale postacią niezbędną w triumwiracie, która nie odsunie się w cień. Zwłaszcza teraz, kiedy ostateczne zwycięstwo może leżeć w ich zasięgu. On to wszystko zaczął i, na krew Imperatora, doprowadzi całą sprawę do finału!

Z tym postanowieniem schował blaster, umieścił datakartę w czytniku i zabrał się za lekturę.

Z mostka imperialnego niszczyciela „Tyran” nie dało się dostrzec planet, asteroid, statków czy gwiazd. Widać było jedynie wszechobecną czerń i ledwie widoczny z prawej burty brudnobiały dysk - jedyny zauważalny fragment korwety, której okręt towarzyszył. Tylko ona znajdowała się na tyle blisko, by przeniknąć przez otaczające jednostkę pole niewidzialności. Lecieli tak ślepi i głusi już miesiąc, co dla kapitana Nalgola nie stanowiło akurat specjalnego problemu - jako kadet trafił do najodleglejszego punktu nasłuchowego Imperium i przyzwyczyił się, że na zewnątrz nie ma nic do oglądania.

Zgoła inaczej rzecz się miała z przeważającą większością załogi - wszystkie formy rozrywki, łącznie z symulatorami bojowymi, były obłożone, a ostatnio do Nalgola doszły plotki, jakoby pilotom zwiadowczym proponowano spore łapówki za zabranie jednego lub dwóch pasażerów na najbliższy lot poza pole. Kiedy Imperium znajdowało się u szczytu potęgi, załogi niszczycieli klasy Imperial stanowiły elitę personelu floty. Ten okres i ta jakość należały jednak do przeszłości i Nalgol doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli coś się szybko nie wydarzy, będzie miał poważny problem z morale podkomendnych.

Z lewej burty, w górnej części okna, rozbłysło nagle odbicie napędu jednej z jednostek zwiadowczych, starannie zamaskowanych tak, by wyglądały na stare holowniki górnicze. Nalgol obserwował, jak zwiadowca znika pod kadłubem niszczyciela, przyznając w duchu, że choć pustka mu nie przeszkadza, dobrze jest mieć od czasu do czasu na czym zaczepić wzrok.

- Mam wstępny raport, panie kapitanie - zameldował podchodząc Oissan, dowódca sekcji wywiadu na pokładzie niszczyciela.

Jego sposób wymowy nieodmiennie powodował, że Nalgol podświadomie czekał, kiedy tamten zacznie cmokać. - I co melduje zwiadowca?

- Liczba okrętów orbitujących wokół Bothawui wzrosła do pięćdziesięciu sześciu. - Pięćdziesięciu sześciu? - powtórzył Nalgol, biorąc podany spis. - Cztery nowe jednostki diamalańskie?

- Trzy diamalańskie i jeden krążownik kalamariański, sir. Prawdopodobnie dla zrównoważenia sześciu okrętów Opqui, które zjawiły się przedwczoraj.

Nalgol potrząsnął głową w niemym podziwieniu - z początku miał poważne, choć nie ujawniane wątpliwości dotyczące zadania, ponieważ pomysł, by Bothawui stało się miejscem jakiegokolwiek aktywności wojskowej, wydawał się kuriozalny, nie wspominając już o walnej bitwie. Ponieważ jednak pomysł pochodził od samego wielkiego admirała Thrawna, wykonał, co mu kazano, bez protestów. Teraz okazywało się, że czerwonoooki strateg miał rację.

- Doskonale. Chcę mieć pełny raport za dwie godziny.

- Rozumiem, sir - Oissan zawahał się. - Nie chciałbym zostać uznany za ciekawskiego, sir, ale żeby właściwie wykonać swoje obowiązki, w którymś momencie będę musiał dowiedzieć się, co się tam właściwie dzieje. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej, sir.

- Chciałbym panu pomóc, pułkowniku, ale sam niewiele wiem.
- Przecież brał pan udział w specjalnej odprawie zorganizowanej w pałacu Moffa Disry przez wielkiego admirała Thrawna.
- Odprawa to zbyt szumne określenie. W praktyce przydzielił nam zadania i kazał sobie zaufać. Nasza rola, podobnie jak dwóch pozostałych niszczycieli, jest prosta: mamy czekać, aż ci tam pobiją się na dobre i przy okazji solidnie zniszczą planetę, a potem wyjść z ukrycia i dobić wszystko, co jeszcze pozostanie żywe w okolicy. - Wykończenie Bothawui będzie czystą przyjemnością, ale nie przebiegnie zbyt łatwo. Wątpię, by Bothanie szczydził na planetarne pole siłowe, zwłaszcza znając swoją popularność w galaktyce. Thrawn powiedział, jak zamierza sobie z tym poradzić? - Mnie nie, jednak biorąc pod uwagę obecne wydarzenia, skłonny jestem założyć, że miał jakiś sensowny pomysł.
- Prawdopodobnie... - zgodził się Oissan. - Ciekawe, jak on doprowadził do tak licznej konfrontacji.
- Najprawdopodobniej dzięki wiadomości, którą uzyskał pan od swoich informatorów, nim uruchomiliśmy generator niewidzialności. Informacji o tym, że grupa Bothan brała udział w zniszczeniu planety Caamas.
- Dziwny powód do aż takiego podniecenia. Zwłaszcza po tylu latach.
- Obcy podniecają się najdziwniejszymi rzeczami - przypomniał mu pogardliwie Nalgol. - A z tego, co się tam dzieje, należy wnosić, że Thrawn znalazł idealny dla naszych potrzeb powód.
- A w jaki sposób mamy się dowiedzieć, kiedy nadejdzie właściwy moment do ataku, sir?
- Regularna bitwa przy tej liczbie okrętów będzie raczej trudna do przeoczenia, nieprawdaż? Poza tym ostatnia wiadomość odebrana przed włączeniem pola mówiła o zespole uderzeniowym, który znajdzie się wkrótce na Bothawui i który ma nas informować o rozwoju wydarzeń transmisjami błyskawicami.
- To się faktycznie może przydać. Naturalnie, znając Thrawna, prawdopodobnie tak wszystko zaplanował, żeby bitwa wybuchła, gdy kometa znajdzie się najbliżej planety, co da nam maksymalne możliwe zaskoczenie. Czyli mniej więcej za miesiąc. - To ma sens - zgodził się Nalgol. - Choć przyznaję, że nie mam pojęcia, jak zamierza nakłonić ich do tak dokładnie obliczonego działania.
- Ja też nie - Oissan uśmiechnął się lekko. - Prawdopodobnie dlatego jest wielkim admirałem, w przeciwieństwie do nas.
- W rzeczy samej - uśmiechnął się w odpowiedzi Nalgol: Thrawn wielokrotnie już udowadniał swą nieomyślność, a teraz również w jakiś magiczny sposób jego metody okazywały się skuteczne i dzięki nim Imperium nadal miało szansę, to zaś było dla Nalgola najważniejsze.



- Dziękuję, pułkowniku - powiedział, oddając mu spis. - Zanim wróci pan do pełnienia obowiązków, proszę uzgodnić z kontrolą lotów, czy możemy bez wzbudzania podejrzeń zwiększyć liczbę lotów zwiadowczych do dwóch dziennie.

- Rozkaz, sir - Oissan przestał się uśmiechać. - W końcu nie chcielibyśmy spóźnić się na finał.

Nalgol odwrócił się w stronę okna, zanim odparł głucho: - Nie spóźnimy się, nie ma obawy.

# R O Z D Z I A Ł 2

Uparty elektroniczny ćwierkot był tak natarczywy, że umysł pogrążonego w hibernacyjnym transie Jedi Luke'a Skywalkera w końcu nań zareagował i Luke obudził się. Chwilę trwało, zanim przypomniał sobie, że znajduje się na pokładzie „Ognistej Jade” lecącej do systemu Nirauan, gdzie dwa tygodnie temu zniknęła Mara. - Już jestem przytomny, Artoo - powiedział, poruszając palcami, i elektroniczne wycie umilkło. - Dolecieliśmy?

Artoo pisnął potwierdzająco, a od strony sterówki zawtórowało mu echo, czyli Veeone - droid-pilot Mary, siedzący za sterami statku od chwili spotkania na orbicie Duroon, gdy Luke i Artoo wsiedli na pokład. Jak dotąd, odrzucał propozycje dopuszczenia któregokolwiek z nich do sterów. Była to czysta nadopiekuńczość, która właśnie dobiegła końca.

- Artoo, sprawdź czy myśliwiec jest gotów do lotu - polecił Luke, wciągając buty. - Ja zajmę się pilotażem.

Minutę później siedział w fotelu pilota i sprawdzał rozmieszczenie kontrolki i ekranów. Veeone, być może rozpoznając jego minę jako zbliżoną do często widywanej na twarzy Mary, rozsądnie postanowił milczeć.

- Przygotuj się do oddania sterów - polecił Luke, po czym delikatnie ujął dźwignię, a gdy licznik pokazał zero, dodał: -Już!

I pchnął dźwignię hipernapędu. Na zewnątrz linie zmieniły się w gwiazdy, a Veeone gwizdnął cicho.

- Jesteśmy na miejscu - potwierdził Luke, przyglądając się odległemu czerwonemu karłowi. - Szukamy drugiej planety, masz jakieś odczyty?

Droid ćwierknął potwierdzająco i ekran nawigacyjny ożył. - Aha - mruknął Luke, sprawdzając dane.

Znajdowali się spory kawał od Nirauan, tak jak zresztą zaplanowali. „Ognista Jade” dysponowała imponującym uzbrojeniem i generatorami pola, ale szarża z laserami nastawionymi na ogień ciągle nie wydawała się najlepszym sposobem ratunku, obojętnie w jakiej sytuacji Mara by się nie znajdowała. Należało rozejrzeć się cicho i bez zwracania na siebie uwagi, a to oznaczało pozostawienie frachtowca na obrzeżach systemu i dalszy lot myśliwcem.

- Wszystko gotowe, Artoo? - spytał, włączając interkom. Z głośnika dobiegł potwierdzający ćwierkot.

- Dobrze - pochwalił Luke, obliczając najlepszą kombinację. Od planety dzieliło ich siedem godzin

lotu z prędkością podświetlną, jak na ciasną kabinę myśliwca typu X stanowczo zbyt długo, nie wspominając już o tym, że dawałoby średnio rozgarniętemu idiotcie na powierzchni aż za dużo czasu na obliczenie wektora prowadzącego prosto do frachtowca. Na szczęście istniał inny sposób.

- Oblicz skoki, o których ci mówiłem, Artoo - poleciał Luke i uruchomił autosystem obrony frachtowca. - Nie więcej niż pięć minut w każdą stronę, nie ma sensu tracić więcej czasu niż musimy. Artoo bipnął potwierdzająco i wziął się do roboty.

- Wiesz, co masz robić? - to pytanie Luke skierował do Veeone, gdy ruszali powoli w stronę niewielkiego skupiska asteroid, stanowiącego idealną kryjówkę. - Zostawię statek między tymi skałami, a ty masz cicho siedzieć i udawać, że jesteś jedną z nich, dopóki nie otrzymasz innych poleceń. Jasne?

Droid potwierdził niechętnie, toteż Luke skupił się na pilotażu. Jedna z asteroid, wielkości średniej piłki, otarła się o burtę i Luke skrzywił się odruchowo - Mara troszczyła się o swój statek bardziej niż Han o „Sokoła”: jeśli spowoduje wgniecenie kadłuba albo porysuje farbę, uszy mu zwiędną od słuchania wymówek. Dlatego z nadzwyczajną ostrożnością dokończył manewr i zaparkował w zaplanowanym miejscu bez dalszych bezpośrednich kontaktów z czymkolwiek.

- Skończone - oświadczył, rozpinając pasy i przełączając stery na droida. - Masz kod, który nadamy wracając. Jeśli znajdzie cię ktoś inny poczekaj, aż zaczniesz strzelać, a potem go zniszcz. Nie strzelaj pierwszy, bo nie wiemy, co się tu dzieje i kto to może być.

Dwie minuty później Luke ostrożnie opuścił hangar frachtowca i skierował się ku otwartej przestrzeni. Ledwie znaleźli się poza skupiskiem asteroid, myśliwiec skoczył w nadprzestrzeń. Artoo obliczył kurs i czas zgodnie z zaleceniami Luke'a - miało być szybko, więc było szybko: myśliwiec wyszedł z nadprzestrzeni po jakichś dwóch minutach, zawrócił i skierował się w stronę czerwonego karła. Następnie znów wszedł w nadprzestrzeń i wyszedł z niej po mniej niż dwóch minutach lotu.

- Jesteśmy na miejscu - potwierdził Luke, przyglądając się ciemnej planecie przed dziobem. - Wygląda dokładnie tak jak na nagraniach „Gwiezdnego Łodu”. I gdzieś na powierzchni planety znajdowała się Mara. Być może ranna albo w niewoli.

Tę ostatnią myśl Luke odsunął najdalej jak potrafił i spróbował nawiązać z Marą kontakt telepatyczny, nie była to jednak próba udana. Artoo ćwierknął pytająco.

- Nie mogę jej wyczuć - przyznał Luke. - Co naturalnie nie musi nic znaczyć: nadal jesteśmy dość daleko, a ona nie ma odpowiedniego treningu. I jeśli na przykład śpi, sen dodatkowo ogranicza jej możliwości...

Artoo nie odpowiedział, ale było to dość wymowne milczenie. A Luke ponad trzy tygodnie temu miał wizję Mary bezwładnie unoszącej się w wodzie...

- Nie ma się co martwić, bierzemy się do szukania! - zdecydował. - Zrób cichy skanning, tylko tak, żeby nie uruchomić niczych detektorów na powierzchni. Zakładając naturalnie, że pracują tak samo jak nasze.

Na ekranie komputera pokładowego wyświetliło się najpierw potwierdzenie, potem pytanie.

- Polecimy tym samym kursem co Mara - potwierdził Luke. - Aż do tej jaskini, w której zniknęła. Potem wlecimy tam i zobaczymy, co będzie.

Artoo nie był z tego specjalnie zadowolony i nie ukrywał swej opinii, ale Luke zignorował ją, kładąc maszynę na kurs podany przez Talona. Żałował, że nie ma z nim Leii, bo jeśli istoty, które spotkała Mara są inteligentne, to oprócz umiejętności Jedi przydałyby się także zdolności dyplomatyczne. Te zaś posiadała Leia, a nie on. Tyle że miał poważne podejrzenia, iż siostra nie byłaby zachwycona jego wyprawą bez uprzedzenia, nie mówiąc już o innych oficjelach Nowej Republiki, więc zabranie jej ze sobą nie wchodziło w grę. Poza tym Leia właśnie w pełni wykorzystywała swoje zdolności dyplomatyczne w sprawach bardzo istotnych dla Nowej Republiki. A jakie umiejętności będą najprzydatniejsze tu, dopiero się okaże.

Myśliwiec znajdował się jeszcze poza warstwą atmosfery, gdy sensory wykryły dwie obce maszyny nadlatujące od strony planety.

- No, to niezauważone podejście mamy z głowy - mruknął Luke, z niesmakiem przyglądając się odczytom.

Charakterystyki wskazywały na jednostki tego samego typu co ciekawska maszyna, którą próbował dogonić koło bazy Kavrilhu, w polu asteroidów w systemie Kavron. Tamta jednostka zbyt szybko weszła w nadprzestrzeń, aby mógł się jej dokładnie przyjrzeć, ale te, gwałtownie nabierające wysokości, mógł podziwiać w całej okazałości. Były trzykrotnie większe od myśliwca typu X i stanowiły dziwną, artystyczną wręcz kombinację obcej techniki opartej o znajomy kształt myśliwca TIE. Na dziobie każdej maszyny znajdowała się nieco przyciemniona kabina, w której siedziały dwie postacie noszące hełmy imperialnych pilotów. Artoo gwizdnął melancholijnie.

- Spokojnie, to nie musi oznaczać, że są sprzymierzeńcami Imperium. Mogli gdzieś znaleźć TIE i wykorzystać jego rozwiązania techniczne - zasugerował Luke. Powątpiewające chrząknięcie jasno świadczyło, że droid nie żywi podobnych nadziei.

- No dobra, prawdopodobnie są - przyznał Luke, obserwując, jak obie maszyny zajmują miejsca z tyłu i nieco wyżej po obu stronach myśliwca. - Masz jakieś dane o ich uzbrojeniu?

Na ekranie pojawił się schematyczny rysunek flankującej ich maszyny z zaznaczonymi punktami uzbrojenia i źródłami energii.

- Ślicznie, sporo tego napakowali - ocenił Luke, próbując przy użyciu Mocy wyczuć zamiary pilotów, ale udało mu się jedynie zidentyfikować po trzy umysły na pokładzie każdej maszyny: obce umysły konstruujące obce myśli, bez żadnego punktu zaczepienia. Pozycja przyjęta przez obce jednostki

bardziej wskazywała na eskortę niż atak, a co ważniejsze, nie czuł żadnego zagrożenia - należało uznać, że przynajmniej chwilowo obaj z Artoo są bezpieczni. Wobec tego należało zacząć zachowywać się przyjaźnie.

- Zobaczymy, czy da się z nimi pogadać - zdecydował sięgając do przełącznika łączności.

Obcy okazali się szybsi - w głośnikach rozległ się melodyjny głos:

- Ka'sha'ma'ti orf k'ralan, Kra'min I sumt tara'kliso mor Mitth'raw'nurvodo sur pra'cin zisk mor'kor'lae.

- Artoo? - spytał Luke, podejrzewając, że zna odpowiedź.

Zmartwione ćwierknięcie potwierdził napis na ekranie – była to ta sama wiadomość, którą nadała obca maszyna oblatująca imperialny niszczyciel Boostera Terrika. Według Mary zawierała mało znane, pełne imię Thrawna. Luke skrzywił się i włączył nadajnik.

- Tu myśliwiec typu X AA-589 sił zbrojnych Nowej Republiki - przedstawił się we wspólnym. - Szukam przyjaciela, który mógł przymusowo lądować na waszej planecie.

Naturalnie obcy nie musieli znać wspólnego, ale milczenie na pewno by go do niczego nie doprowadziło. Obserwując obie towarzyszące mu jednostki miał wrażenie, że minimalnie ścieśniły szyk.

- Do myśliwca typu X Nowej Republiki - odezwał się ten sam co poprzednio głos w całym poprawnym wspólnym. - Leć za nami na powierzchnię i nie zbaczaj z kursu, bo zostaniesz zniszczony! - Rozumiem.

W głośniku coś szcęknęło i nagle obie obce maszyny obniżyły lot. Luke bez trudu powtórzył ich manewr i zajął poprzednią pozycję w szyku. - No to zaczną się pokazy - mruknął.

Ledwie skończył, obie maszyny wykonały ostry skręt w prawo. Artoo zagwizdał, gdy ta z lewej przemknęła niebezpiecznie blisko nad kabiną. Gwizd przybrał na sile, kiedy Luke powtórzył manewr. Luke wyrównał i natychmiast obie maszyny ponownie skręciły, tym razem w lewo. Artoo ćwierknął obraźliwie.

- Nie wiem - odparł Luke, dołączając do szyku. - Może mają jakiś autosystem obronny wymagający dokładnego podejścia, żeby go nie uruchomić. Pamiętasz kurs do bazy piratów?

Na ekranie natychmiast wyświetliła się uwaga, że zgodnie z danymi uzyskanymi z „Gwiezdnego Lodu” Mara nie latała zygzakiem i nic do niej nie strzelało.

- Mogli go zainstalować właśnie po jej bezproblemowym przelocie. Albo zbliżamy się do innej części planety. Na razie nie mamy jeszcze geograficznego porównania terenu. Artoo burknął nie

przekonany.

- Albo robią, co mogą, żeby mieć pretekst do otwarcia ognia - przyznał ponuro Luke. - Chociaż pojęcia nie mam, po co im jakikolwiek pretekst.

Po trzech kolejnych manewrach, które Luke powtórzył, dotarli do górnych warstw atmosfery i eskorta przestała manewrować -lecieli prostym kursem na zachód, ostro zniżając lot. Luke zrobił to samo, dzieląc uwagę między teren w dole, obce jednostki po bokach i Moc, by wyczuć niebezpieczeństwo.

Po dwudziestu minutach Artoo znalazł znajomy teren, a równocześnie Luke poczuł znajome mrowienie.

- Zaczynają się kłopoty, Artoo - ostrzegł. - Nie wiem jeszcze jakie, ale wyświetl mi stan maszyny i okolic.

Sensory myśliwca nie wykryły innych maszyn poza tymi dwiema ani żadnej zmiany w ich systemach energetycznych. Myśliwiec był w pełni sprawny.

- Ile nam zostało do twierdzy, którą znalazła Mara?... Piętnaście minut przy tej szybkości... Hm, w takim razie w ciągu najbliższych dziesięciu coś się wydarzy. Bądź gotów - poradził Luke, rozluźniając się i sięgając po Moc.

Byli o sześć minut lotu od fortecy, a na horyzoncie, równoległe do kierunku ich lotu, pojawił się właśnie wąwóz, którym leciała Mara, gdy zagrożenie stało się realne - w doskonale zgranym manewrze obie jednostki błysnęły silnikami hamującymi i zajęły pozycje za Lukiem, natychmiast otwierając do niego ogień z umieszczonych pod kabinami działek laserowych. Smugi błękitnego światła przecięły jednak wyłącznie powietrze, gdyż uprzedzony przez zakłócenie Mocy Luke zaczął pętlę w chwili, w której tamci właśnie włączyli silniki hamujące. Nim skończyli strzelać, był już za nimi, ale nie skończył manewru klasycznie, czyli wejściem im na ogony i otwarciem ognia - wychodząc z pętli spikował nad ziemię, wykonał serię ostrych skrętów i poleciał dalej tuż nad powierzchnią kursem prostopadłym do dotychczasowego.

- Co robią? - spytał. Wolał nie odrywać wzorku od terenu przemykającego w dole. Ostrzegawczy trel i nagłe mrowienie były wystarczająco jasną odpowiedzią, a w chwilę potem z boków przemknęły kolejne linie błękitu. Większość poszła bokiem, jedynie dwie trafiły w tylną tarczę.

- Dołączyli do nich nowi? - spytał na wszelki wypadek Luke.

Artoo ćwierknął przecząco. Przynajmniej tyle dobrego, chociaż biorąc pod uwagę dotychczasowe zachowanie tak maszyn, jak pilotów, nawet przy stosunku dwa do jednego Luke wiedział, że będzie miał co robić. Artoo bipnął, wyświetlając na ekranie pytanie.

- Nie rozkładaj skrzydeł! - polecił mu Luke w odpowiedzi. - Nie będziemy strzelać. Droid gwizdnął niedowierzająco.

- Bo nie wiemy, kim są i dlaczego to robią. - Za wąwozem Mary teren zmieniał się raptownie, teraz dominowały w nim poszarpane granitowe urwiska o stromych zboczach i wąskich, krętych rozpadlinach. - Nie chcę żadnego zabić, dopóki nie będę wiedział, kim są i co planują.

Odpowiedzi Artoo zagłuszyła kolejna salwa, tym razem skoncentrowana na prawym skrzydle.

- Spokojnie, już prawie jesteśmy - pocieszył go Luke, sprawdzając odczyty: na razie pole ochronne jeszcze trzymało, ale po kolejnej takiej salwie może przestać, a po dwóch przestanie na pewno.

Co znaczyło, że nie może pozwolić, żeby pościg zmniejszył dzielącą ich odległość. Artoo gwizdnął podejrzliwie.

- Dokładnie tak zrobimy - potwierdził Luke, przelatując nad wąwozem Mary i prawie natychmiast zauważając pod lewym płatem zachęcająco krętą rozpadlinę. - Uspokój się, robiliśmy już gorsze rzeczy, a poza tym nie mamy wyboru. I zanurkował w rozpadlinę.

Żebraczy Kanion na Tatooine był bardziej kręty, ale znajomy. Dolot do celu rowem na powierzchni Gwiazdy Śmierci wydawał się znacznie prostszy, lecz ogień z rozmieszczonych w nim turbolaserów i imperialne myśliwce siedzące na ogonie powodowały, że również okazał się bardzo interesujący. Ta rozpadlina stanowiła znacznie większe wyzwanie - była równie kręta jak kanion, ale skręcała w nieznanych miejscach, na dodatek zmieniając szerokość i głębokość, i urozmaicając przelot wystającymi skałami i zwisającymi ze ścian pnączami. Świeżo zwerbowany rekrut mający przed Bitwą o Yavin stać się pilotem myśliwskim Rebelii zdawałby sobie sprawę z ryzyka takiego przelotu. Pewny siebie nastolatek z Tatooine zastanowiłby się, czy warto zagłębić się w nieznany labirynt przy tej szybkości. Mistrz Jedi Luke Skywalker wiedział, że przelot nie sprawi mu najmniejszego problemu.

I prawie miał rację - pierwszą serię zakrętów przeleciał z łatwością dzięki doświadczeniu i wykorzystaniu Mocy. Zwrotność myśliwca, którym leciał, przyczyniła się też do pozostawienia pościgu daleko w tyle, więc spokojnie wleciał w otwarty fragment, skręcając ku nowej rozpadlinie. I prawie stracił kontrolę nad maszyną, gdy w lewoburtową tarczę trafiła salwa z działek laserowych.

- Wszystko w porządku! - uspokoił Artoo, znikając w wylocie wybranej rozpadliny, co zapewniało im przynajmniej względne bezpieczeństwo.

Był zły na siebie, bo dał się trafić z własnej winy - za bardzo skoncentrował uwagę i Moc na jednym zadaniu i całkowicie stracił z pola widzenia to, co działo się obok. Zdarzały mu się już wcześniej takie przypadki, a tym razem najwyraźniej miał do czynienia z myślącym przeciwnikiem: przynajmniej jeden z pilotów zaprzestał pogoni po skalnym labiryncie, zwiększył wysokość i czekał, aż cel sam się pokaże. Pomysł był dobry i w rezultacie kosztował Luke'a osłonę siłową - następne trafienie spowoduje jej wyłączenie - ale nie udał się do końca, a drugi raz Luke nie miał zamiaru dać się zaskoczyć.

Wyleciał z rozpadliny na kolejny szerszy kawałek wąwozu, choć mniejszy niż poprzedni, i skierował się ku następnemu wylotowi szczeliny skalnej, pozwalając, by Moc kierowała jego wyborem. .. I

nagle znalazł się we wręcz idealnym miejscu - obie ściany wznosiły się tu ostro, przy czym jedna od połowy wysokości zbliżała się do drugiej tak, że widoczny był między nimi jedynie wąski pas nieba, zarówno zaś ściany, jak i dno porastały rozmaite pnącza i brązowe krzewy, przetykane gdzieś tam niskimi drzewami. Na niewielkim odcinku ściany rozchodziły się na dole, tworząc jakby polankę otoczoną ze wszystkich stron skałami. Było to wręcz wymarzone miejsce do lądowania.

Artoo nawet nie pisnął, gdy Luke postawił maszynę na skrzydle i wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, zwany „przemyticznym”. Najprawdopodobniej droid milczał, ponieważ został całkowicie zaskoczony. Po paru sekundach walki ze sterami, protestującymi przeciwko takiemu pilotażowi, Luke wyrównał lot. Kiedy myśliwiec przestał wykazywać tendencje do znalezienia się na plecach, a jego dziób skierował się w stronę, z której przylecieli, Luke wyłączył ciąg, opadając powoli na samych tylko grawitatorach. Przed sobą dostrzegł dwa drzewa wyrastające z brzegów wyschniętego strumienia i wykorzystując resztki pędu wleciał pomiędzy nie. Były niskie i rozłożyste, toteż doskonale zamaskowały znaczną część kadłuba i płatów.

-No i jesteśmy - oświadczył, wyłączając wszystko. - Nie było tak źle, prawda?

W odpowiedzi rozległo się ciche i nieco drżące gwizdnięcie -najwyraźniej Artoo nie odzyskał jeszcze w pełni głosu. Luke otworzył osłonę kabiny, krzywiąc się na przeraźliwy dźwięk, jaki temu towarzyszył, gdy zakończone kolcami liście przejechały po transparistali. Zdjął hełm i rękawice, i przez długą minutę nasłuchiwał, wzmacniając zmysły Mocą. Oprócz normalnego szumu wiatru, szelestu liści i odległych ćwierków jakichś zwierząt czy owadów panowała cisza. Wciągnął chłodne, nieco pachnące mchem powietrze i ocenił:

- Chyba ich zgubiliśmy, Artoo. Przynajmniej chwilowo. Zorientowałeś się, gdzie jesteśmy?

Artoo bipnął jeszcze nieco niepewnie, ale wyświetlił na ekranie komputera nawigacyjnego mapę. Sytuacja nie wyglądała źle, jednak nie przedstawiała się też całkiem dobrze - od jaskini Mary dzieliło ich nie więcej niż dziesięć kilometrów, lecz większość terenu stanowiły skaliste urwiska i rozpadliny podobne do tej, w której się znajdowali. Oznaczało to na pewno cały dzień marszu, a może i dwa. No, w najgorszym wypadku trzy. Z drugiej strony rzeźba terenu zapewniała najlepszą możliwą osłonę, co na nic by się nie przydało, gdyby zostali znaleźni, zanim wyruszą.

- Chodź! - zdecydował Luke, ostrożnie wychodząc z kabiny i zsuwając się w dół po burcie: próba uniknięcia kolczastych liści okazała się tylko częściowo udana, ale jedynie parę zadrapało go do krwi. - Zabieramy co mamy i wynosimy się stąd. W ciągu zaledwie kilku minut myśliwiec znalazł się pod siatką maskującą, zapakowaną przez ludzi Talona. Luke na wszelki wypadek naciął mieczem trochę gałęzi i krzaków, i rozrzucił je po powierzchni siatki na dziobie i nad silnikami. Nie było to idealne maskowanie, zwłaszcza z bliska, ale najlepsze, jakie mógł zrobić. Następnie zajął się sprawdzaniem zestawu ratunkowego przygotowanego i zapakowanego przez podkomendnych Karrde'a na Cejansij. Jak się spodziewał, zestaw był dokładnie przemyślany i dobrze spakowany w dwa plecaki, tak by każdy stanowił samodzielną całość - zapasy jedzenia, pojemniki z filtrami na wodę, medpakiety, rozmaite rodzaje oświetlenia od pręta świetlnego po latarkę, spory zapas syntetycznej liny, blaster plus zasilacze, namiot, śpiwór i na dokładkę zestaw granatów.



- Aż dziw, że nie upchnęli jeszcze śmigacza - mruknął, zarzucając wybrany plecak na ramiona: okazał się ciężki, ale wagę ładunku rozłożono równomiernie, więc nie przeszkadzał w marszu. - Drugi na razie zostawimy. Jesteś gotów do wspinaczki, Artoo?

Droid ćwierknął pytająco, kręcąc kopułą tak, by najpierw wskazała wlot, a potem wylot rozpadliny.

- Tam nie idziemy - rozwiął jego nadzieje Luke. - Tam będą się nas spodziewać. Pójdziemy tędy.

Artoo odchylił się w tył, spoglądając na skalną ścianę wskazaną przez Luke'a, i gwizdnął nerwowo.

- Uspokój się, nie musimy tędy dochodzić aż do szczytu. Widzisz tę dziurę na dwóch trzecich wysokości? Jeśli nie zapomniałem, jak się czyta hologramy lotnicze, zaczyna się tam łagodniejszy kawałek prowadzący na samą górę.

Artoo ćwierknął smętnie, oglądając się na wyloty rozpadliny.

- Już ci mówiłem, że tam nie idziemy i nie ma czasu na kłótnie. Nawet jeśli te jednostki tu nie dotrą, bo są zbyt duże, muszą mieć mniejsze, a w końcu mogą sprawdzić na piechotę. Chcesz tu siedzieć, kiedy się zjawia?

Droid bipnął z oburzenia i ruszył z determinacją wzdłuż wyschniętego koryta rzeki ku wskazanej przez Luke'a ścianie. Luke uśmiechnął się, poprawił plecak i, używając Mocy, uniósł podskakującego na wybojach droida, po czym postawił go pod ścianą.

Wspinaczka okazała się prostsza niż się spodziewali - ściana była stroma, lecz nie pionowa, na jaką wyglądała z dna rozpadliny. Odkryli też na niej wystarczającą ilość nierówności, by "mieli na czym oprzeć stopy i za co złapać. Wybitnie pomocne były w tym miniaturowe półeczki skalne, małe jaskinie i pnącza, których było wszędzie pełno. Największy problem sprawiał naturalnie transport Artoo, ale i to zostało po paru próbach opanowane, a nawet zrutynizowane. Kiedy Luke znajdował miejsce, w którym mógł wygodnie stanąć, unosił droida przy użyciu Mocy, przywiązywał do jakiegoś pewnego punktu zaczepienia i wspinał się dalej. A potem kolejne miejsca i kolejne użycie Mocy - najpierw do rozwiązania liny, później do uniesienia jej i Artoo, i tak dalej... Artoo, ma się rozumieć, nie był zadowolony ze sposobu podróżowania, ale w połowie drogi przestał przynajmniej narzekać.

Dotarli już prawie do ciemnego wylotu, gdy Luke usłyszał cichy głos. Zatrzymał się, nasłuchując, ale poza odległym ćwierkaniem, które słyszał od chwili otwarcia kabiny, nic nie mąciło ciszy. Wykorzystał więc techniki Jedi i wzmocnił zmysły, koncentrując się głównie na słuchu, ale choć ćwierkania urozmaiciły się o szczebioty i stały wyraźniejsze, głosu, który jak sądził usłyszał, tam nie było.

Wybitnie głośny gwizd Artoo skłonił go do natychmiastowego powrotu do normalnego słuchu - droid, jak się okazało, cicho zainteresował się, skąd ten nagły bezruch.

- Myślałem, że coś słyszałem - mruknął Luke. - Jakiś głos...

Przerwało mu zaalarmowane bipnięcie; droid spoglądał w dół zbocza, toteż Luke obrócił się i też popatrzył w tym kierunku. I zamarł. O mniej niż trzy metry od nich przycupnęło sobie na krzaku niewielkie, brązowo-szare, skrzydlate stworzenie. Obserwujące go uważnie.

- Spokojnie, Artoo - mruknął Luke, przyglądając się równie uważnie obserwatorowi.

Istota miała około trzydziestu centymetrów długości od czubka głowy do pazurów i pokryta była gładką, lekko świecąca skórą. Skrzydła wydawały się także nią pokryte, ale trudno było powiedzieć czy na pewno, ponieważ trzymała je złożone, tak że wyglądały jak przygarbione ramiona. Głowa jej miała proporcjonalną do reszty ciała wielkość i opływowy kształt. Para czarnych oczu znajdowała się pod skórzastymi fałdami, a pod nimi widniały dwa poziome otwory, z których wyższy poruszał się regularnie w rytm oddechu, niższy zaś zaciśnięty był w ciekłą linię. Na krzaku o kolczastych liściach utrzymywała istotę para wieloczłonowych, szerokich łap zaopatrzonych w pazury i nie wyglądało na to, by kolce wywierały na nich jakiegokolwiek wrażenie. Ogólnie stworek przypominał coś pośredniego między mynockiem i makthierem - być może był z którymś spokrewniony. Artoo ćwierknął ostrzegawczo.

- Nie sądzę, żeby miał złe zamiary - Luke nadal obserwował przybysza. - Nie wyczuwam żadnego zagrożenia, nie mówiąc o tym, że przy jego rozmiarach jestem cokolwiek przyduży na przekąskę.

Naturalnie jeśli nie polowały stadnie. Luke sięgnął po Moc, szukając w okolicy podobnych stworzeń. Było ich sporo, ale zdecydowana większość znajdowała się dość daleko... Dolny otwór, dotąd zaciśnięty, rozchylił się, ukazując podwójne rzędy ostrych ząbków, i wydobył się z niego głośny ćwierkot. „Kim jesteś?”

Luke zamrugał, zaskoczony - to był właśnie ten głos, który usłyszał, tylko tym razem wyraźny i zrozumiały. Jednak dochodził... -Co? „Kim jesteś?” ćwierknął ponownie stworek.

Ale Luke nie znał żadnego ćwierkająco-szczebioczącego języka! Nagle zrozumiał, jak odbywała się ich komunikacja, toteż odpowiedział, sięgając Mocą ku istocie: - Jestem Luke Skywalker, Rycerz Jedi z Nowej Republiki. A ty kim jesteś?

Kolejna seria ptasich dźwięków znaczyła: „Co tu robisz, Jedi Skywalker?”

- Szukam pewnej osoby, która wylądowała w pobliżu prawie dwa tygodnie temu i zniknęła. To przyjaciel. Wiesz może, gdzie jest?

Jak podejrzewał, porozumiewali się telepatycznie przy użyciu Mocy, co było nad wyraz rzadkie i musiało oznaczać, że rozmówca jest przynajmniej w podstawowym zakresie wrażliwy na Moc. Dotychczas Luke spotkał się z podobnym zjawiskiem tylko wtedy, gdy chodziło o dobrze znających się Jedi. Istota jakby nieco się odsunęła i częściowo rozwinęła skrzydła, nim ćwierknęła: „Ten przyjaciel to kto?” - Nazywa się Mara Jade. „Też Rycerz Jedi?”

- W pewnym sensie - przyznał Luke. Mara w ciągu ostatnich ośmiu lat często wpadała do akademii Jedi, ale nigdy nie została wystarczająco długo, by dokończyć treningu, o ile go w ogóle zaczęła, bo i tego nie był do końca pewien. - Wiesz, gdzie ona jest?

„Nic nie wiem” padło natychmiast przy wtórze nerwowego ruchu skrzydeł.

- Doprawdy? - spytał chłodniej Luke: do stwierdzenia, że tamten łże, nie potrzebował Mocy. Wystarczająco często słyszał takie błyskawiczne zaprzeczenia w wykonaniu młodego pokolenia rodu Solo. - Co ty na to, jeżeli ci powiem, że Jedi zawsze wie, gdy ktoś kłamie?

W odpowiedzi z tyłu rozległo się głośniejsze i bardziej autorytatywne ćwierkanie: „Zostaw młodego w spokoju!”

Luke powoli odwrócił głowę - na krzewach i skałach po drugiej stronie zbocza siedziały trzy inne istoty. Każda była dwukrotnie większa od jego dotychczasowego rozmówcy i wyraźnie było widać, że są to osobniki dorosłe.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru do niczego go zmuszać - odparł. - Być może wy będziecie w stanie pomóc mi w poszukiwaniach przyjaciela. Nazywa się Mara Jade. Jeden z nowo przybyłych rozpostarł skrzydła, przeskoczył na bliższy krzew i przyjrzał się Luke'owi, kręcąc głową na wszystkie strony, jakby oceniał go każdym okiem osobno. „Nie należysz do tamtych” uznał. „Kim jesteś?”

- Myślę, że wiesz - odparł Luke, kierując się nagłym przeczuciem. - Może lepiej powiesz mi, kim ty jesteś?

„Jestem Łowca Wiatrów” powiedział tamten po chwili namysłu. „Negocjuję w imieniu tego gniazda Qom Qae”.

- Witam cię w imieniu Nowej Republiki, Łowco Wiatrów - powiedział poważnie Luke. - Sądzę, że wiesz, co to takiego Nowa Republika?

„Słyszałem” stary poruszył skrzydłami w ten sam sposób co poprzedni, młodszy rozmówca Luke'a. „Co nas obchodzi ta cała Nowa Republika?”

- To zależy głównie od tego czy chcecie, żeby was obchodziła. Ale to kwestia do omówienia dla polityków i negocjatorów. Ja przybyłem tu, by pomóc komuś, kogo znam.

„Nic nie wiemy o żadnych obcych” oświadczył zdecydowanie Łowca Wiatrów. „Przecież wiemy” sprzeciwił się nagle młody za plecami Luke'a. „Qom Jha mówili o...” Łowca Wiatrów przerwał mu głośnym piskiem.

„Nazywasz się Szukający Głupoty?” spytał rozłoszczony. „Milcz”.

- Może po prostu zapomniałeś - zasugerował Luke. - Negocjator całego gniazda musi mieć wiele

spraw na głowie. Łowca Wiatrów nastroszył skrzydła i oznajmił:

„Co się dzieje poza granicami naszego gniazda, nie interesuje nas. Idź do innego gniazda Qom Qae albo do Qom Jha, jeśli się odważysz. Może oni ci pomogą”.

- Zgoda. Zaprowadzisz mnie do nich?

„Są poza naszym terenem. Nie są naszym problemem”.

- Rozumiem. Powiedz mi, Łowco Wiatrów: miałeś kiedyś przyjaciela, któremu groziło niebezpieczeństwo? „Ta rozmowa jest skończona. Młody, lecimy”.

I zeskoczył z krzaka, szybując w stronę dna rozpadliny. W ślad za nim zrobili to pozostali, choć najmłodszy z wyraźnym ociąganiem. Artoo bipnął pogardliwie.

- Nie należy ich tak od razu potępiać - westchnął Luke. - Mogą tu wchodzić w grę komplikacje kulturowe czy polityczne, o których nie mamy pojęcia. Albo po prostu nie chcą mieszać się w nie swój problem. W ostatnich latach aż za często widzieliśmy, czym to się może skończyć.

Ruszył w dalszą drogę i kilka minut później dotarli do wyłomu, za którym rzeczywiście zaczynała się znacznie wygodniejsza i łagodniej wznosząca się trasa prowadząca na szczyt, również całkowicie niewidoczna z góry.

- Doskonale, wejdziemy na górę i rozejrzemy się - zdecydował, zwijając linę.

Nagle Artoo pisnął zaskoczony.

- Co się stało? - Pytanie, obrót i zaciśnięcie dłoni na rękojeści miecza nastąpiły równocześnie, choć nie czuł i nie widział żadnego niebezpieczeństwa. - O co chodzi, Artoo?

Droid spoglądał w dół, wzdłuż trasy wspinaczki, i ćwierkał pogrzebowo. Luke zmarszczył brwi, popatrzył w tym samym kierunku. .. i nagle zrozumiał - ich myśliwiec zniknął.

I nie był to wynik doskonałego maskowania ani odległości. Szaro-brązowe dno było puste, co potwierdziły krótkie poszukiwania przy użyciu Mocy.

- W porządku - mruknął w odpowiedzi na żałobne ćwierknięcia droida. - Nic się nie stało.

I ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że faktycznie tak uważa. Zniknięcie myśliwca uznał za denerwujące i frustrujące, ale nie towarzyszyło temu poczucie zagrożenia czy niebezpieczeństwa, i to pomimo świadomości, że brak maszyny oznacza niemożność szybkiej ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba. Czyżby to była wskazówka Mocy? Oznaczająca, że maszyna została jedynie przeniesiona, nie stracona? Z drugiej strony mogło to także oznaczać, iż strata myśliwca jest bez znaczenia, bo i tak żywy nie opuści planety. Luke westchnął, przypominając sobie Yodę, gdy ten zmęczony układał się ostatni raz do snu. Pamiętał, jak się wówczas bał, widząc stan Mistrza. Pamiętał swój głos

protestujący, że Yoda nie może umrzeć i pamiętał jego odpowiedź: „Silny jestem w Mocy. Ale nie tak silny. Zapadł nade mną zmierzch, a wkrótce zapadnie noc. Taka już jest natura rzeczy... natura Mocy”.

Luke odetchnął głęboko: Obi-Wan Kenobi zginął, Yoda umarł, wielu innych adeptów, których poznał, spotkał ten sam koniec i wiedział, że kiedyś nadejdzie także jego kolej. Jeśli ta planeta była miejscem, w którym rozpocznie drogę ku śmierci, niech tak się stanie - był Jedi, starał się żyć jak Jedi, więc i umrze jak przystało na Jedi. Obecnie zaś w niczym nie zmieniało to powodów, dla których tu przybył.

- Nic na to teraz nie poradzimy, Artoo - ocenił rzeczowo i odwrócił się, kończąc zwijać linę. - Teraz musimy dostać się na szczyt i zobaczyć, jak pójdziemy dalej.

„Jest lepszy sposób” ćwierknęło z góry.

Luke uniósł głowę - bezpośrednio nad nimi unosił się na jakimś ciepłym prądzie powietrza młody Qom Qae, przyglądając im się uważnie. - Chcesz nam pomóc? - spytał.

Lekki ruch skrzydeł posłał Qom Qae w dół - przemknął obok twarzy Luke'a, składając skrzydła złapał się najbliższego krzewu i wyjaśnił:

„Pomogę ci. Qom Jha mówili, że przybył ktoś i że pozostaje on z nimi. Zaprowadzę cię tam”.

- Dziękuję - przez moment Luke zastanawiał się, czy nie spytać o zaginiony myśliwiec, ale zdecydował, że przesłuchanie zostawi na później. - Mogę spytać, dlaczego chcesz ryzykować? „Znam kilku młodych Qom Jha i nie boję się ich”.

- Nie miałem na myśli tylko Qom Jha. Ci inni, o których wspominał Łowca Wiatrów, także mogą próbować nas powstrzymać.

„Zdaję sobie z tego sprawę. Pytałeś Łowcę Wiatrów, czy miał kiedyś przyjaciela, któremu groziło niebezpieczeństwo. Ja miałem”.

- Rozumiem - uśmiechnął się Luke. - I czuję się zaszczycony twoją propozycją. Jestem, jak już ci mówiłem, Luke Skywalker, a to mój droid Artoo. A ty jak się nazywasz?

Zapytany rozpostarł skrzydła i przeskoczył na sąsiedni krzew. „Jestem za młody, by mieć imię. Nazywają mnie po prostu Dziecko Wiatrów”.

- Dziecko Wiatrów - powtórzył Luke, przyglądając mu się z namysłem. - Czy przypadkiem nie jesteś spokrewniony z Łowcą Wiatrów?

„To mój ojciec. Mądrość Rycerzy Jedi rzeczywiście jest wielka”.

- Czasami - przyznał Luke, kryjąc uśmiech. - Ale teraz powinniśmy już ruszać, a po drodze być może opowiesz mi więcej o Qom Qae.

„Będę zaszczycony”. Dziecko Wiatrów rozpostarł skrzydła. „Chodźcie, pokażę drogę”.

# ROZDZIAŁ 3

Centrum łączności „Tułacza”, okrętu Nowej Republiki klasy Dreadnaught, było zdecydowanie anachroniczne w porównaniu z nowoczesnymi okrętami wojennymi. Stanowiło zarazem typowy przykład wiodącej koncepcji w ich budowie w okresie poprzedzającym Wojny Klonów, gdy zbudowano tę jednostkę, jak i całą eskadrę „Katana”, w skład której pierwotnie wchodziła. Podstawowa różnica polegała na tym, że „Tułacz” miał jedno miejsce, i to praktycznie na pancerzu, gdzie ulokowano wszystkie anteny łączności oraz komputery dekodujące. Pozostałe okręty tej klasy pozostające w służbie Nowej Republiki przeszły modernizację, w wyniku której część dekodującoszyfrująca została przeniesiona w głąb kadłuba, między mostek i sekcję wywiadu, gdzie była mniej narażona na uszkodzenia w czasie walki. „Tułacz” jednak nigdy jakoś nie przeszedł podobnej modernizacji, choć wielokrotnie była o niej mowa, a nawet wyznaczono kilka terminów.

Wedge Antilles dość dawno doszedł do wniosku, że powodem owego stanu rzeczy były niesnaski, nadal istniejące między Bel Iblisem a niektórymi przedstawicielami władz Nowej Republiki, którzy nigdy nie wybaczyli mu kłótni z Mon Mothmą i prowadzenia w jej wyniku prywatnej wojny z Imperium. Dopiero gdy wraz z Eskadrą Łotrów dostał stały przydział do sił dowodzonych przez Garma Bel Iblisa, dowiedział się prawdy. To nie inni nie chcieli modyfikować okrętu, tylko sam Bel Iblis, i to z całkiem rozsądnego powodu, który mu kiedyś wytłumaczył. Otóż sekcje wywiadu są miejscami notorycznie zatłoczonymi, toteż zasadą jest, że wiadomości dla dowódcy, zwłaszcza zaszyfrowane jego osobistym kodem, przełączane są na mostek lub stanowisko dowodzenia. Umożliwia to prywatność rozmowy, ale także daje okazję każdemu, kto jest wystarczająco ciekaw i posiada odpowiednie umiejętności, do podłączenia się po drodze. Stara konfiguracja centrum łączności gwarantuje w praktyce tak odosobnione miejsce, jak to tylko możliwe na pokładzie okrętu, a wiadomość odszyfrowywana jest na miejscu. Dlatego tu właśnie można było znaleźć Garma Bel Iblisa, gdy chciał przeprowadzić naprawdę prywatną rozmowę.

I tu właśnie się znajdował wraz z Wedgem na osobistą prośbę admirała Ackbara.

- Rozumiem, co cię trapi, Garm, i podzielam twoje obawy -przyznała holoprojekcja Ackbara, przewracając oczami, by spoglądać także na Wedge'a. - Tym niemniej muszę odmówić twojej prośbie.

- Naprawdę wolałbym, żeby ta decyzja została poważnie przemyślana. - Bel Iblis powiedział to niezwykle oficjalnie, jak na stopień ich znajomości. - Pojmuję, że sytuacja polityczna rządu jest nader skomplikowana, ale to nie może przesłaniać militarne aspektu problemu.

- Niestety, nie ma już czysto militarne aspektu dotyczącego Caamas. Przeważały względy polityczne i etyczne. - Zwariowana kombinacja - mruknął Wedge.

Ackbar łypnął jednym okiem w jego kierunku, ale nie skomentował wypowiedzi, koncentrując wzrok i słowa na Bel Iblisie:

- Ostateczny wniosek brzmi następująco: rząd uważa, że obecność poważnych sił Nowej Republiki na orbicie Bothawui zostanie uznana za wyrażenie poparcia dla Bothan przez wszystkich występujących z ich krytyką.
- Bzdura! - warknął Bel Iblis. - Nasza obecność to jedyna gwarancja spokoju i zarazem głos rozsądku w okolicy. Tu jest już sześćdziesiąt osiem okrętów, z których każdy traktuje jednostki innych ras jako potencjalnych wrogów i czeka na choćby kichnięcie ze strony kogokolwiek, aby uznać je za prowokację. Musi tu przebywać ktoś, kto będzie w stanie prowadzić mediacje w miarę pojawiania się problemów, bo inaczej dojdzie do masakry, w której każdy zacznie strzelać do każdego. A to oznacza początek wojny domowej.
- Ja też tak uważam, ale głos decydujący ma Wysoka Rada i senat, a oni doszli do innych wniosków - Ackbar westchnął chrapliwie. - I co? Próbujesz zmienić ich punkt widzenia?
- Jak dotąd bez skutku. Poza tym obojętne, czy mi się uda, czy nie, nie ty będziesz miał wątpliwy zaszczyt zostania mediatorem. Gavrisom przydzielił ci już inne zadanie. - Ważniejsze niż utrzymywanie spokoju wokół Bothawui?
- Znacznie ważniejsze. Bothawui stanowi punkt zapalny, ale główny powód konfliktu to brak pełnego dokumentu dotyczącego ataku na Caamas.

Wedge poczuł nagle coś zimnego maszerującego mu po kręgosłupie.

- I dlatego prezydent doszedł do wniosku, że jedyną szansą zażegnania konfliktu jest uzyskanie jego pełnej wersji - dokończył Ackbar. - Otrzymałeś więc następujące rozkazy: masz niezwłocznie udać się do Ord Trasi i zająć się skompletowaniem i wyszkoleniem grupy, która przypuści atak na bazę imperialnego wywiadu Yaga Minor. Atak ma na celu zdobycie informacji, niekoniecznie bazy.

Wedge spojrzął na Garma, który zacisnął szczęki i kilkakrotnie głęboko odetchnął, nim się odezwał.

- Z całym szacunkiem, czy ktoś próbował mu wytłumaczyć, że to kiepski żart? - spytał retorycznie. - Yaga Minor to najsilniej broniony system w całej przestrzeni pozostającej jeszcze pod władzą Imperium. Może nawet lepiej niż Coruscant. A przecież chodzi o klasyczny atak polegający na zdobyciu systemu, kiedy nieistotne jest, co znajduje się pod ostrzałem. W dodatku nie można uszkodzić banków danych, co dodatkowo utrudnia całą operację. To nie jest pomysł na zażegnanie konfliktu, tylko na masową egzekucję.

- On wie, że proponuje poważne przedsięwzięcie, które ma małe szanse na sukces - głos Ackbara był bardziej ponury niż zwykle. - Mnie się ono podoba jeszcze mniej niż tobie, ale musimy spróbować. Jeśli zacznie się wojna domowa, nie mamy dość okrętów i wojska, żeby ją szybko zakończyć, a to oznacza, że cała Nowa Republika stanie się polem bitwy i przestanie istnieć. W tej sytuacji



ewentualne straty poniesione podczas waszego ataku są bez znaczenia.

Garm spojrział na Wedge'a, odwrócił się do holokamery i przyznał cicho: - Niestety, z tą oceną muszę się zgodzić.

- I powiem ci też, że jeśli można zdobyć owe dane w wyniku operacji wojskowej, właśnie ty jesteś do tego najlepszy.

- Dzięki za uznanie - Bel Iblis uśmiechnął się bez cienia humoru. - Zrobię, co będę mógł.

- To dobrze. Masz natychmiast opuścić Bothawui i wszystko co się da przebazować do Ord Trasi. W ciągu następnych dwóch tygodni wyślę ci tam po cichu resztę okrętów. Mam nadzieję, że tyle czasu wystarczy ci na zaplanowanie akcji. - Powinno. Co ze specjalistycznym wyposażeniem i z użyciem Sił Specjalnych? - Wszystko pozostaje do twojej dyspozycji. Powiedz, czego konkretnie potrzebujesz, a wyślę ci najszybciej jak zdołam - zapewnił go Ackbar.

- Naturalnie z pełnym zachowaniem tajemnicy, bo jeśli jakakolwiek wieść o przygotowywanym ataku przecieknie do Imperium, nie będziemy mieli żadnej szansy. - To oczywiste. Oficjalna wersja puszczona już w nieoficjalny obieg głosi, że okręty są w tajemnicy wysyłane w rejon Kothlis, żeby zdążyły dotrzeć do Bothawui, jeśli zajdzie konieczność obrony planety.

- Powinno się udać - mruknął Bel Iblis. - Jak długo ktoś nie zajrzy do systemu Kothlis.

- Oprócz patroli myśliwskich są tam już dwa suche doki firmy Rendili, wyposażone w atrapy okrętów mające stosowne transpondery i oznaczenia, na wypadek gdyby myśliwce nie przechwyciły takiego ciekawskiego.

- Interesujące... - Garm uniósł brew. - Żeby to zrobić, potrzebny był czas... więc nie jest to genialny pomysł Gavisoma z ostatniej nocy.

- Przygotowania rozpoczęliśmy dzień po rozruchach na Bothawui. Próba obwinienia Hana o rozpoczęcie strzelaniny przekonała Gavisoma, że raczej nie da się rozstrzygnąć tego kryzysu wyłącznie metodami politycznymi.

- Rozumiem... W takim razie zostaje tylko Ord Trasi.

- Zespół łącznikowy z mojego sztabu będzie tam na ciebie czekał - zakończył Ackbar. - Powodzenia, generale.

- Dzięki, admirale. Kończę połączenie - Bel Iblis wyłączył sprzęt i dodał: - Co nie znaczy, że zgadzam się z sensownością całego pomysłu... Co ty na to, Wedge? - Tylko raz brałem udział w podobnej akcji mającej na celu zdobycie informacji. Wtedy gdy próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o wielkim admirale Makatim w bibliotece Boudolayz. Słyszałem potem, że oceniano tę akcję jako udaną w osiemdziesięciu procentach. A mieliśmy tam jatki i chaos. No i to był Boudolayz, nie

Yaga Minor. - Czytałem raporty z waszej akcji - Bel Iblis pogładził w zamyśleniu wąsa. - Na pewno nie będzie łatwo.

- A w międzyczasie Bothawui będzie przyciągało okręty jak lampa robactwo - skrzywił się Wedge. - W końcu ktoś to wykorzysta.

- Wiem i dlatego chciałem, żebyś był obecny przy rozmowie z Ackbarem.

- Tak? Więc to nie była niespodzianka?!

- Yaga Minor owszem, i to dość niemiła, natomiast miałem przecucie, że odrzucą moją prośbę o pozostanie tu i utrzymywanie porządku. Przyszło mi też do głowy, że jeśli zostaniemy odwołani, co właśnie nastąpiło, to Eskadra Łotrów nie wchodzi w skład dowodzonej przeze mnie wydzielonej części Floty Nowej Republiki. - Chyba się zgubiłem - przyznał Wedge. - Sądziłem, że zostaliśmy przydzieleni na stałe pod twoje rozkazy.

- Pod moje rozkazy tak, ale jak mówiłem, nie wchodźcie w skład mojej grupy uderzeniowej, co, formalnie rzecz biorąc, stanowi dużą różnicę. - Wierzę na słowo. A co to znaczy w praktyce?

- To, że zgadzam się z twoją oceną sytuacji: ktoś próbuje wykorzystać ten zlot wokół Bothawui - Bel Iblis siadł w obrotowym fotelu przed pulpitem łączności. - Być może właśnie owa tajemnicza organizacja, o której ciągle słyszymy, żądająca, by Bothanie zapłacili za swój udział w zniszczeniu Caamas.

- Tak... - Wedge'owi nagle przyszło coś do głowy. - A ponieważ to oni uszkodzili wtedy generatory planetarnych pól siłowych...

- Doskonale. Też sobie pomyślałem, że ktoś spróbuje sabotażu pola siłowego Bothawui.

- Bothanie mają jeden z najlepszych systemów ochronnych w galaktyce.

- Mieli w czasach świetności Imperium - poprawił Garm. - Technika poszła naprzód i nie wiem, czy dotrzymali jej kroku. Zresztą nie sądzę, by komuś chodziło o całkowitą eliminację pola planetarnego, coś takiego może być w ogóle fizycznie niewykonalne. Natomiast likwidacja tarczy tylko nad Drev'starn jest wykonalna i otwiera dziurę, przez którą można wiele zniszczyć i wielu zabić. - I w dodatku nie tylko Bothan.

- Właśnie. Według ostatniego spisu na Bothawui główne siedziby ma ponad trzysta megakorporacji, mniejsze firmy liczy się w tysiącach, a do tego dochodzi pięćdziesiąt giełd. Większość w okolicach Drev'starn.

Wedge pokiwał głową - zniszczenie wszystkiego, o czym mówił Bel Iblis, nie oznaczało jeszcze ekonomicznego chaosu w galaktyce, ale dołałoby oliwy do ognia i wywołało serię zupełnie nowych animozji. Jeśli dodało się do tego liczbę okrętów przebywających na orbicie i różnorodność ras, do

których należały, wyłaniał się obraz wojny domowej, i to wielostronnej, czyli każdy z każdym. - Co konkretnie chcesz, żebym zrobił? - spytał.

- Chcę, żebyś poleciał na powierzchnię i dopilnował, by tak się nie stało.

Choć Wedge spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi, usłyszawszy ją, poczuł się nieco zaszokowany.

- Tak po prostu sam? Czy też wydaje ci się, że reszta eskadry może mi się przydać?

- Spokojnie, Wedge - Bel Iblis pierwszy raz naprawdę się uśmiechnął. - Nie spodziewam się, że będziesz własną pierśią zasłaniał stację generatorów, z miotaczem w każdej dłoni powstrzymując Imperialną Trzecią Pancerną. Przeciwnik dotychczas używał raczej podstępów i pomysłowości niż siły, a w tej dziedzinie para pilotów myśliwskich może się okazać lepsza. Zwłaszcza z Eskadry Łotrów. A więc mieli we dwóch szukać igły w stogu siana.

- Ten drugi cwaniak to ktoś konkretny, czy w ogóle masz tak dobre mniemanie o moich podkomendnych?

- Mniemanie mam, ale w tym wypadku chodzi mi o konkretną osobę: o Horna. - Mhm - Wedge nieco zesztywniał: czyżby Garm wiedział o starannie ukrywanych umiejętnościach Corrana, będącego Rycerzem Jedi? - Dlaczego akurat on? - Bo jego teść jest przemytnikiem i musi mieć jakieś kontakty na Bothawui, które Horn będzie mógł wykorzystać, a poza tym był całkiem niezłym policjantem w CorSecu, nim do nas trafił - w głosie Garma dało się wyczuć lekkie zdziwienie, że Wedge pyta o sprawy tak oczywiste.

- Fakt, nie pomyślałem o tym - przyznał Antilles, odprężając się nieco.

- Dlatego wcześniej zostałem generałem. Lepiej przygotuj się do drogi i przekaż radosną nowinę Corranowi. Jak sam słyszałeś, dostajecie dwa, góra trzy tygodnie, bo chcę was mieć na pokładzie, kiedy polecimy na Yaga Minor.

- Zrobimy, co się da. Mamy wziąć prom bez oznaczeń, jak sądzę?

- Myśliwce typu X to jak napis na czołach, że należycie do floty Nowej Republiki. Mundury też zostawcie, ale weźcie dokumenty na wypadek problemów z jakimś gryzipiórkiem czy inną biurwą. Dam wam znać, kiedy będziecie musieli znaleźć się na OrdTrasi. - Jasne.

- To dobrze. Zostanę tu, żeby przekazać rozkazy kapitanom pozostałych okrętów, a ponieważ Ackbar mówił, że należy je wykonać niezwłocznie, za godzinę już nas tu nie będzie. Tyle czasu macie na opuszczenie „Tułacza”.

- Zdążymy - zapewnił Wedge kierując się ku drzwiom. - Powodzenia w planowaniu. - Z wzajemnością.

Dotarli do granicy atmosfery, gdy Corran, dotąd w milczeniu wyglądający przez boczne okno promu, zerknął w kierunku rufy i oznajmił: - Odlecieli.

Wedge spojrział na ekran - okręty wchodzące w skład grupy uderzeniowej Garma Bel Iblisa rzeczywiście zniknęły z systemu Bothawui. - Zgadza się - przyznał. - Zostaliśmy sami.

- To idiotyzm, Wedge - Corran potrząsnął głową. - Powiedział ci, dlaczego wybrał właśnie mnie?

- Tak, ale to akurat nie ma nic wspólnego z twymi ukrytymi talentami. Raz, doświadczenie z CorSecu, dwa, uważa, że zdołasz wykorzystać kontakty Boostera. - Co mogłoby się udać, gdyby Booster chciał ze mną gadać.

- Jeszcze mu nie przeszła złość za ten numer z „Żartem Hoopstera”? Przecież uznaliśmy, że nic nie przemyczał i puściliśmy go.

- Nadal jest wściekły, bo Sif'krie stwierdzili, że nie chcą, żeby przemytnicy przewozili ich ładunki i zakazali „Żartowi Hoopstera” udziału w przyszłych transportach pommwommów.

- Auć! - skomentował Wedge, krzywiąc się boleśnie.

- To nie znaczy, że Booster wypadł z interesu - Corran wzruszył ramionami. - Po prostu będzie musiał użyć innych frachtowców albo innych identyfikacji. Tyle że powstało utrudnienie, a Booster nienawidzi utrudnień, zwłaszcza oficjalnych. - Głupio wyszło. Mam nadzieję, że Mirax zdoła go uspokoić.

- Na pewno, ale to wymaga czasu. A poza tym wcale nie jestem pewien, czy Booster ma jakieś kontakty z Bothanami. Tu aż się roi od rozmaitych grup przemytniczych i, znając go, mógł po prostu zdecydować, że nie opłaca mu się działać w takim tłoku. - Poczujesz mnie.

- To ty wolałeś wrócić do podniecającego życia pilota myśliwskiego, pamiętasz? - uśmiechnął się Corran - Gdybyś chciał, mógłbyś spokojnie pilotować jakieś ważne biurko czy inny terminal komputerowy na Coruscant.

- Obejdzie się! - prychnął Wedge. - Próbowałem i nie spodobało mi się. Podsumowując: nie spodziewasz się znaleźć na dole żadnej pomocy? Odpowiedziała mu cisza.

- Interesujące pytanie - mruknął po chwili Horn. - Prawdę mówiąc... spodziewam się. -Że niby jak?!

- Spodziewam się, że ktoś nam pomoże - odparł nieco dziwnym tonem Corran. - Tylko nie pytaj mnie kto, kiedy i jak. Po prostu sądzę, że tak będzie. - Niech zgadnę: przecucie Jedi? - Przecucie Jedi.

- To dobrze - uśmiechnął się Wedge. - W takim razie nie mamy się czym martwić. - Tego bym nie

powiedział... Nie, z całą pewnością tak bym tego nie ujął.

# R O Z D Z I A Ł 4

- Uwaga z prawej burty - ostrzegła H'sishi wyjątkowo ostrym tonem. - Kąt dwapięć po czternaście. - Mam - odparł równie napięty głos.

I brzegi setki asteroid przesuwających się ze wszystkich stron „Szalonego Karrde'a" rozbłysły odbitym blaskiem, gdy turbolasy frachtowca zmieniły jedną z nich w chmurę ognia i pyłu. Siedząca z boku, żeby nie przeszkadzać nikomu z załogi, Shada D'ukał potrząsnęła leciutko głową- przelot przez pole asteroidów nigdy nie należał do zadań łatwych czy przyjemnych, ale Togorianka i przynajmniej jeden strzelec za bardzo się tym przejmowali. Albo byli nerwowi z natury, albo nie grzeszyli doświadczeniem. Żadna z możliwości nie wydawała się Shadzie budująca, a obie skłaniały do refleksji nad rozsądkiem kapitana obsadzającego takimi osobami statek w misji, którą uznawał za wysoce niebezpieczną.

- Uspokój się H'sishi - zaproponował Talon Karrde, najwyraźniej dochodząc do podobnych wniosków. - Ty, Chał, zresztą też. Fakt, że to pole jest większe od dotychczas przez nas napotkanych nie oznacza, że zasługuje na odmienne traktowanie. Niszczcie tylko te asteroidy, które stanowią dla nas zagrożenie, pozostałe Dankin ominie bez problemów. - Wykonuję, wodzu - H'sishi zastrzygła uszami.

- Zrozumiałem, szefie - zawtórował jej Chał.

I nic się nie zmieniło, przynajmniej w ocenie Shady - H'sishi dalej nerwowo podawała namiary, a Chał walił do wszystkiego, co od niej usłyszał. Zresztą może to nie była ich wina - chyba reagowali na podenerwowanie Talona, który zazwyczaj był uosobieniem spokoju. Shada musiała przyznać, że dobrze się maskował, ale szkolenie Mistryl obejmowało też odczytywanie uczuć z języka ciała i mimiki twarzy, toteż ten niepokój dosłownie bił ją po oczach. A zbliżające się lądowanie na Pembric II kończyło zaledwie pierwszy etap podróży. Shada wolała się nie zastanawiać, w jakim stanie będzie Karrde, gdy dotrą do Exocron.

Na zewnątrz błysnęło bardziej niż zwykle, gdy została trafiona większa od innych asteroida. - Oho - mruknął ponuro metaliczny głos obok niej.

Przypięty pasami do sąsiedniego fotela Threepio spoglądał w najbliższe okno i podrygiwał przy każdym strzale. - Kłopoty? - spytała cicho Shada.

- Przepraszam, panno Shado, ale nigdy nie lubiłem podróży kosmicznych - w głosie droida brzmiały równocześnie uraza i smutek, stanowiące szczególną mieszankę. - A ta wyjątkowo przypomina mi pewien raczej nieprzyjemny incydent, w którym zmuszony byłem brać udział.

- Spróbuj się odprężyć, wkrótce powinniśmy wylecieć z tego pola - Mistryl nigdy nie używały droidów, ale stryj Shady miał jednego, gdy dorastała, więc zawsze starała się być wobec niego uprzejma.

Threepio wzbudzał zresztą jej szczególną sympatię z uwagi na sytuację, w jakiej się znalazł - osobisty droid protokolarny Leii Organy Solo, od lat pełniący tę funkcję, został bez uprzedzenia wypożyczony Talonowi. I w dodatku bez wyjaśnienia, dlaczego. Dziwnie przypominało jej to sposób, w jaki ona sama rozstała się z Mistryl po wielu latach wiernej służby. Swoją drogą ciekawe, czy zaczęto już na nią polować, jak sugerowała Karoly D'ulin. W sytuacji, gdy Nową Republiką targała fala drobnych wojenek i lokalnych konfliktów, nie wydawało się to prawdopodobne, jako że zapotrzebowanie na najemników gwałtownie wzrosło, chociaż z drugiej strony urażona duma przeważnie bywała silniejsza od zdrowego rozsądku. Jeśli Karoly poinformowała Jedenastu, jaką Shada ma o nich opinię, mogli uznać ukaranie jej za kwestię priorytetową. Urażona duma była niezwykle groźna tak dla myśliwych, jak i dla ofiar, ale ci pierwsi zwykle przekonywali się o tym za późno.

- Podoba ci się przejażdżka? - spytał Karrde, odwracając się ku niej i przerywając niemiłe rozmyślenia.

- Jak nie wiem co. Uwielbiam precyzyjne manewry z opanowaną załogą.

Togorianka nastroszyła futro, ale nie odezwała się ani nie oderwała wzroku od ekranów.

- Nowe doświadczenia uatrakcyjniają życie - zauważył z uśmiechem Talon.

- W moim fachu nowe doświadczenia przeważnie oznaczają kłopoty - odpaliła. - Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że nie planowałeś niepostrzeżonego podejścia. Bo po tym poligonie artyleryjskim, w jaki twoja załoga zmieniła pole asteroidów, wszyscy na planecie wiedzą, że nadlatujemy.

Jakby dla podkreślenia, że ma rację, na zewnątrz znów błysnęło, i to parokrotnie. - Według informacji Mary większość przelatujących przez to pole statków zmuszona jest torować sobie drogę ogniem - Karrde lekko zabębnił palcami po oparciu fotela. - Tubylcy zresztą też.

- Wyszliśmy z pola asteroidów, wodzu - miauknęła Togorianka.

Shada oderwała wzrok od Talona. W oddali rzeczywiście unosiły się jeszcze jakieś niedobitki, ale przestrzeń wokół nich i przed dziobem była pusta.

- Zbliżamy się do planety - dodała H'sishi, odwracając się i wbijając żółte oczy w Shadę. - Młodsza pomocnica pokładowa może przestać być nerwowa.

Shada przez parę sekund spoglądała prosto w oczy tamtej, po czym ostentacyjnie odwróciła głowę. Większość załogi docinała jej przy każdej okazji od opuszczenia Coruscant, co było dość normalne. Załoga Mazzica robiła to samo, gdy do nich dołączyła. Tak zachowywał się każdy niewielki, zgrany

zespół, gdy znalazł się w nim ktoś obcy. Miała tylko nadzieję, że skończy się na zaczepkach słownych - jeden z techników Mazzica miał pecha przekroczyć granicę i przejść do fizycznych; w rezultacie spędził miesiąc w klinice specjalizującej się w rekonstrukcji układu nerwowego. Tu, na skraju cywilizacji, raczej trudno byłoby znaleźć równie dobry ośrodek. - Co robimy, szefie? - spytał Dankin.

- Wchodzimy na orbitę. Frachtowce tej wielkości co nasz mogą lądować jedynie w porcie kosmicznym Erwithat. Powinni się lada chwila odezwać.

Jakby w odpowiedzi głośnik ożył gardłowym warknięciem:

- Bss'dum'shun. Sg'hurhur Erwithat roz'bol bunYunk. Rs'zud huc'dms'hus u burfu. - O ile dobrze pamiętam, wspominałeś, że znają tu wspólny - Shada zmarszczyła brwi.

- Bo znają. To jakiś głupi dowcip - Talon uniósł brwi i spojrzał na droida: - Rozpoznajesz język, Threepio?

- O tak, kapitanie Karrde - zapytany ożywił się pierwszy raz od startu. - Potrafię porozumiewać się płynnie w ponad sześciu milionach języków i narzeczy. To dominujący dialekt jarellański, którego początki sięgają...

- Co on powiedział? - przerwała mu Shada, wiedząc, że droidy protokolarne potrafią gadać godzinami, jeśli im się pozwoli, a Karrde nie wyglądał na spragnionego wykładu lingwistycznego.

- Przedstawił się jako kontrola lotów portu Erwithat i spytał o ładunek i identyfikację, panno Shado.

- Powiedz mu, że to frachtowiec „Hab Camber” i że chcemy tu uzupełnić zapasy i energię - polecił mu Karrde. Threepio odwrócił się ku niemu niepewnie:

- Przecież statek nazywa się „Wild Karrde” i transponder...

- Został zmieniony - przerwał mu Dankin. - Powiedz, co ci polecono, bo czekają na odpowiedź!

- Cierpliwość, Dankin, jest skarbem - osadził go Karrde. - Nam się aż tak nie spieszy, a wątpię, żeby nasz rozmówca cierpiał na nadmiar zajęć. Przetłumacz im, Threepio... Zaraz, powiedziałeś, że to dominujący dialekt jarellański. Znasz inne? - Tylko dwa, choć jest ich kilkanaście...

- Wystarczy - ucieszył się Talon. - Odpowiedz mu w jednym nich. Zobaczymy, jak bardzo chce się bawić.

Threepio wykonał polecenie i przez dłuższą chwilę w głośni-panowała cisza.

- Uwaga, nie zidentyfikowany frachtowiec - odezwał się w końcu niechętnie ten sam głos we wspólnym. - Tu kontrola lotów portu kosmicznego Erwithat. Kim jesteście i co wieciecie?



- Nie umięją się bawić - zmartwił się złośliwie Talon i włączył nadawanie. - Kontrola Erwithat, tu frachtowiec „Hab Camber”, nie mamy ładunku, chcemy uzupełnić zapasy i energię. - Jakie zapasy?

- Dorabiasz jako akwizytor? - spytał uprzejmie Karrde.

- Nie dorabiam - warknął rozeźlony kontroler. - Dobra, posłuchajmy, ile dajecie, cwaniaki, za prawo lądowiskowe. - Za co? - zdziwiła się cicho Shada.

- Za prawo do lądowania - kontroler miał dobry słuch. - A ten dowcip kosztuje was trzy stówy ekstra.

Shadę zatrzęsło, ale nim zdążyła coś powiedzieć, Talon posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i oznajmił spokojnie: - Proponujemy tysiąc.

- Za taki duży statek?! - prychnęło w głośniku. - Żartowniś albo dureń!

H'sishi syknęła coś cicho i nieprzyjemnie.

- Albo po prostu biedny niezależny handlarz - zasugerował Talon. - Co powiecie na tysiąc sto?

- A może by tak tysiąc pięćset? W walucie Nowej Republiki, naturalnie.

- Naturalnie - zgodził się Talon. - A więc półtora tysiąca, zgoda.

- Stanowisko dwieście osiemdziesiąt dwa - złość w głosie kontrolera zastąpiło zadowolenie i Shada odruchowo zaciekawiała się, ile z tej kwoty trafi do jego kieszeni. - Włączam radiolatarnię. Gotówka zaraz po wylądowaniu.

- Niech będzie - mruknął Karrde i wyłączył nadajnik. - Chin?

- Włączyli, szefie - zameldował starszy mężczyzna. - Możemy lecieć na ślepo.

- Podaj sternikowi wektor podejścia i uważajcie na myśliwce. Mara mówiła, że czasami eskortują obce jednostki przy lądowaniu. Shada, nie masz ochoty na mały spacer po wylądowaniu?

- My, młodsze pomocnice pokładowe, tylko wykonujemy rozkazy - Shada uśmiechnęła się złośliwie. - Dokąd chcesz iść?

- Do lokalu zwanego „Thuster Burn”. Zakładając, że mój plan miasta jest nadal aktualny, to tylko parę przecznic od przydzielonego nam stanowiska. Człowiek, z którym chciałbym się spotkać, z reguły przesiaduje w tym lokalu.

- Można wiedzieć, kto to i dlaczego się z nim spotkamy?

- Korelianie, nazywa się Crev Bombaasa. Bezwzględny, ale kulturalny szef sporej organizacji przestępczej, rządzącej praktycznie tą częścią sektora Kathol - wyjaśnił Karrde. - A my potrzebujemy jego pomocy?

- Niespecjalnie. Ale jego zezwolenie na przelot ułatwiłoby nam życie.

- Aha - mruknęła Shada. Ta ostrożność nie bardzo jej pasowała do nieustraszonego Talona Karrde'a, o którym tyle słyszała od Mazzica i innych przemytników. - Martwimy się, że tak łatwo nam idzie?

- Zawsze - uśmiechnął się Talon, lecz w jego głosie brzmiały poważne nuty.

- Kapitanie Karrde... - odezwał się z wahaniem Threepio. - Czy podczas tej wizyty będą panu potrzebne moje usługi?

- Nie, dzięki, Threepio. Możesz zostać na pokładzie, na powierzchni wszyscy znają wspólny.

- Dziękuję, kapitanie Karrde - Threepio prawie odetchnął z ulgą.

- Pójdziemy lekko uzbrojeni - te słowa Karrde skierował do Shady. - Tylko broń boczna. - Rozumiem, ale ja nie wezmę miotacza.

- Tylko mi nie mów, że nie lubisz przemocy - prychnął Dankin.

- Nie lubię - odparła, kierując się ku drzwiom. - I dlatego wolę, żeby przeciwnicy nie wiedzieli, że jestem groźna. Czekam w kabinie, daj mi znać, gdy będziesz gotów.

Dwadzieścia minut później wylądowali, a po kwadransie spędzonym na płaceniu postojowego i targach o cenę „ochrony” z trójką biało umundurowanych legionistów Karrde i Shada wyszli wreszcie z terenu portu kosmicznego na ulicę. Nawet przy maksimum dobrej woli miasta nie dało się określić mianem imponującego. Było południe, a cała miejscowość wydawała się otulona mgiełką, rozpraszającą blask słońca i dodającą wilgoci do okazjonalnych powiewów wiatru, które mieszały gorące powietrze, nie chłodząc go ani trochę. Nawierzchnię stanowił mokry, molekularnie skondensowany piasek, pod każdym względem ustępujący od dawnego stosowanemu w budownictwie permakretowi. Budynki wykonano z prostego białego kamienia, niegdyś czystego, obecnie pokrytego brudem i wzorkami mchu. Na ulicach kręciło się trochę pieszych, w większości w stanie podobnego zaniedbania co budowle, a od czasu do czasu przeleciał też swoop czy terenowy śmigacz. Wszystko wyglądało tak jak opisała to siedem lat temu Mara, tylko wydawało się nieco bardziej zaniedbane.

- Śliczne miejsce - oceniła Shada. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że się nieco zanadto wystroiłam.

Talon uśmiechnął się - w obcisłym błękitnym kombinezonie ozdobionym stonowanymi niebieskimi światełkami wręcz przesadnie wybijała się z ogólnej szarości. - Nie przejmuj się, Bombaasa to

kulturalny kryminalista, dla niego nie ma zbyt dobrze ubranych kobiet - wyjaśnił. - Choć osobiście wolałbym ten srebrzysto-czarny strój, który nosiłaś, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się w "Whistler's Whirlpool" na planecie Trogan.

- Pamiętam go, to był pierwszy kupiony mi przez Mazzica, gdy zaczęłam u niego pracować - odparła lekko zmienionym głosem.

- Zawsze miał dobry gust. Wiesz, nadal mi nie powiedziałaś, dlaczego tak nagle zrezygnowałaś z pracy dla niego.

- Ty też nie powiedziałaś mi słowa o tym całym Car'dasie, którego szukamy.

- Ciszej! - polecił Talon, rozglądając się odruchowo; w pobliżu nie było nikogo, ale to wcale nie musiało znaczyć, że nikt ich nie podsłuchiwał. - W tych okolicach lepiej nie nadużywać jego nazwiska.

- Ty się go najwyraźniej boisz - oceniła rzeczowo. - Nie byłeś zachwycony, gdy Calrissian wmanewrował cię w te poszukiwania, bo wcale nie chcesz spotkać się z facetem.

- Kiedyś zrozumiesz, dlaczego. Jak ci opowiem całą historię... Shada lekko wzruszyła ramionami i zaproponowała:

- Kiedy opuścimy Pembric, powiesz mi połowę. Co ty na to?

- Interesująca propozycja... Zgoda, jeśli ty mi powiesz, dlaczego opuściłaś Mazzica. - Cóż... zgoda.

Skręcili za róg i Karrde zaklął pod nosem - ulica wychodziła na plac, przy którym znajdowała się poszukiwana przez nich knajpa, ale przed wejściem do niej parkowało ze dwadzieścia swoopów i śmigaczy. W większości poprzerabianych i podrasowanych. - Nawiasem mówiąc, opuszczenie Pembric może nie być tak proste jak sądziliśmy - dodał.

- Wygląda na zlot swooperów z okolicy - oceniła. - Na lewo pod werandą są wartownicy. - Widzę.

We wskazanym przez nią miejscu czterech osiłeków w rdzawo-brązowych kurtkach siedziało na swoopach, udając, że gawędzą ze sobą, ale nawet przypadkowy obserwator zorientowałby się, że całą uwagę skupili na nowo przybyłych.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby zrezygnować ze spotkania - powiedziała cicho Shada. - Możemy wrócić na statek, odlecieć i zaryzykować przelot bez zgody tego całego Bomby.

- Staliśmy się obiektami oficjalnej ciekawości od chwili nawiązania łączności z kontrolą lotów. Jeśli teraz spróbujemy zawrócić, jego podwładni nas przechwycą. - W takim razie najlepiej będzie iść prosto do lokalu, jakbyśmy byli u siebie - ton Shady stał się nagle rzeczowy, a polecenia krótkie i jasne. - Trzymaj dłoń w pobliżu miotacza, to skupi ich uwagę na tobie. Tylko nie na kolbie, żeby nie

sięgnęli po broń. Jeśli dojdzie do walki, poczekaj, aż zaatakuję. Jeżeli zacznę przegrywać, a znajdziesz lukę, uciekaj i nie próbuj mnie ratować. - Rozumiem.

Mimo powagi sytuacji Talon z trudem powstrzymał śmiech -podczas lotu Shada nie szukała towarzystwa ani nie próbowała naprawdę poznać innych członków załogi. Teraz miał do czynienia z zawodowcem gotowym chronić go nawet za cenę życia. A co ciekawsze, był pewien, że gdyby zaszła taka potrzeba, Shada poświęciłaby swoje życie, byle wykonać zadanie, którego się podjęła.

Wartownicy pozwolili im zbliżyć się na parę metrów od parkujących swoopów, nim któryś zawołał:  
- Lokal zamknięty!

- Nie szkodzi - odparł Karrde, nie zwalniając kroku. - Nie padamy z pragnienia. Cała czwórka wyglądała, jakby siedziała sobie na siodełkach, bo akurat tak im było wygodnie. W rzeczywistości - swoopy były gotowe do lotu i zanim Karrde i Shada zrobili dwa kroki, wartownicy znaleźli się między nimi a parkującymi maszynami. - Powiedziałem, że zamknięte - warknął ten, który odezwał się przed chwilą, zatrzymując maszynę tak, by stabilizatory celowały w pierś Talona. - Wynocha! - Przykro mi - Karrde potrząsnął głową. - Ale mamy do Bombaasy interes, który nie może czekać.

- Patrzcie no! - prychnął drugi swooper. - Facet myśli, że tak se z ulicy wlezie i zobaczy się z Bombaasa. Wesoły gość, nie Langre?

- Jak cholera - mruknął Langre bez śladu wesołości. - Ostatnia szansa, gościu: odejdiesz w całości albo odwiozą cię w kawałkach.

- Bombaasa nie będzie zadowolony, jeśli mnie nie przepuścicie - ostrzegł Talon. - Taa? - warknął Langre, podlatując kawałek bliżej. - Już się boję.

- Powinieneś - Karrde cofnął się, gdy stabilizatory znalazły się niebezpiecznie blisko.

Shada natomiast nawet nie drgnęła, wpatrując się wytrzeszczonymi oczami w przesuwany się tuż obok swoop. Cała jej postawa wyrażała strach i niezdolność do ruchu. - Crev Bombaasa nie lubi czekać - dodał Talon.

- To musimy się pospieszyć i pozbierać cię dla niego do skrzynki - prychnął Langre, podlatując kolejny metr i zmuszając Talona do następnego kroku w tył. Karrde nie zrobił go jednak wystarczająco szybko i stabilizator otarł się o jego pierś. Jeden z pozostałych swooperów prychnął pogardliwie, a Langre dał większą moc, zamierzając przewrócić natręta, i znalazł się obok Shady... I w tym momencie Shada zaatakowała.

Langre nawet nie zauważył, co go trafiło - zignorował Shadę od momentu gdy, jak sądził, sparaliżował ją strach, toteż nawet nie miał szansy dostrzec, jak z bezruchu przechodzi bez ostrzeżenia do ataku. Nagle cofnęła lewą nogę, okręciła się na prawej i z półobrotu uderzyła go otwartą prawą dłonią w szyję. Karrde nie był pewien, czy oprócz odgłosu ciosu usłyszał również chrupnięcie. Langre wywinął koziołka, spadając z maszyny, i ciężko rąbnął o piach. Dla wszystkich

stało się oczywiste, że w tej walce na pewno nie weźmie dalszego udziału.

Jego kompani odznaczali się doskonałym refleksem - zanim dotknął piachu, jak jeden dodali gazu i rozprysnęli się na wszystkie strony, nie dając Shadzie żadnej możliwości ataku. Skręcili przed okolicznymi budynkami i stanęli z maszynami skierowanymi ku przeciwnicze.

- Zejdź z placu - poleciła Talonowi i wyszła na środek, zamierając w bojowym przysiadzie, równo oddalona od wszystkich swooperów.

Ci przez chwilę ignorowali ją, porozumiewając się gestami, których Karrde nie potrafił rozszyfrować. Korzystając z chwili spokoju, cofnął się pod ścianę najbliższego budynku. Jak dotąd wartownicy nie sięgnęli po broń, ale to się mogło w każdej chwili zmienić. Obserwując ich uważnie, opuścił dłoń na kolbę miotacza.

- Nie robiłbym tego - poradził mu wprost do ucha chrapliwy głos.

Talon ostrożnie odwrócił głowę - ostrożność niedwuznacznie sugerował wylot lufy wbity w kark. Stali za nim trzej członkowie Legionu Bezpieczeństwa: jeden trzymał broń, którą Karrde czuł na karku, drugi zasuwiał ukryte w ścianie drzwi, a trzeci z zaciekawieniem przyglądał się scenie na placu.

- Zjawiliście się w doskonałym momencie - rozpromienił się Karrde, podejrzewając, że niepotrzebnie się wysila. - Moja przyjaciółka jest w niebezpieczeństwie. - Tak? - spytał najbliższy, wyciągając mu miotacz z kabury. - A dałbym sobie głowę uciąć, że to ona zaczęła. Poza tym naprzykrzanie się panu Bombaasie bez zaproszenia uważamy tu za przestępstwo.

- Nawet jeśli mój widok go ucieszy? - Karrde spoważniał. - Będziecie mieli kłopoty, jeśli mnie zastrzelicie.

- Dlatego mamy to - legionista wsunął za pas miotacz Talona, cofnął się o metr i pokazał, co trzyma w dłoni: był to pneumatyczny Merv-Sonn starego typu, wystrzeliwujący samozaciskową siatkę, z magazynkiem na pięć pocisków. - Jeśli Bombaasa zechce z tobą gadać, rozetniemy kokon, a jak nie, to jesteś ubrany akurat do pochówku. Pomysłowy drobiazg. A teraz zamknij się i nie przeszkadzaj oglądać.

Wściekły na samego siebie, Karrde odwrócił głowę, spoglądając na plac. Nikt z załogi nie zdążyłby z pomocą, nawet gdyby wiedzieli, co się stało. A nie wiedzieli, bo wyłączył komlink. Pozostało jedynie mieć nadzieję, że Shada była tak dobra jak wieść niosła. O tym miał się zresztą zaraz przekonać, gdyż wartownicy skończyli naradę i zaatakowali.

Wbrew oczekiwaniom Talona nie zrobili tego równocześnie, prawdopodobnie podejrzewając Shadę, że spróbuje wmanewrować ich w zderzenie. Dwóch ruszyło wolno po okręgu wokół placu, a trzeci skierował się znacznie szybciej ku Shadzie. Ta spokojnie poczekała prawie do momentu, gdy stabilizatory dotknęły jej piersi i padła płasko na plecy, co wywołało radosny okrzyk napastników, który błyskawicznie przeszedł w pełen zaskoczenia pisk, kiedy Shada przycisnęła nogę do piersi i z

całych sił kopnęła w górę. Trafiła maszynę tuż za dyszami kierunkowymi, prawie wysadzając kierowcę z siodełka. Zaledwie sekundę zajęło mu przejście z powrotem kontroli nad swoopem, ale na tak ograniczonej powierzchni, jaką miał do dyspozycji na placu, było to o pół sekundy za długo - z trzaskiem i łomotem swoop i jeździec uderzyli w ścianę jednego z budynków.

- Dobra jest! - ocenił z uznaniem stojący obok Talona legionista. - Zostało dwóch. Shada wstała, a obaj przeciwnicy poszerzyli średnicą kręgu, którym ją oblatywali, jakby w obawie, iż zdoła do nich dobiec. Jeśli zdecydują, że nie warto ryzykować i sięgną po blastery... Kamie nagle zorientował się, że nie sięgną - obaj spojrzeli na legionistów i to jedno spojrzenie załatwiało odmownie kwestię użycia broni. Przy takich świadkach duma wymuszała, by poradzili sobie z Shadą bez strzelania.

- No, Barksy! - zawołał jeden z legionistów. - Chyba się nie boisz?

- Odwal się!

- Proszę się odwalić, panie poruczniku, ścierwo! - mruknął cicho legionista.

Barksy nagle przestał kręcić się w kółko i runął ku Shadzie, która ponownie padła na ziemię, nim swoop do niej dotarł. Ledwie dotknęła ziemi, Barksy uniósł nos maszyny w górę, okręcił swoop o sto osiemdziesiąt stopni i przeorał przodem maszyny miejsce, w którym leżała Shada. Tyle że w czasie potrzebnym mu na ten manewr Shada zniknęła i gwałtownie opuszczony przód swoopa trafił tylko w piach. Shada odbiła się płynnym ruchem od podłoża i złapała spód maszyny rękami i nogami w wyglądającym na niewykonalny chwycie, którego nie rozluźniła mimo gwałtownego manewru. Gdy swooper wychylił się zaskoczony, przyglądając się miejscu, gdzie powinna znajdować się ofiara, Shada strąciła go z siodełka idealnie wymierzonym kopniakiem w głowę. -Nie wierzę! - gwizdnął z uznaniem porucznik legionistów. - Kim jest ta bahshi?!

- Jedną z najlepszych w branży - odparł niezbyt głośno Karrde tonem kogoś, kto mówi coś oczywistego, więc wydało się naturalne, że dał przy okazji krok ku porucznikowi, a wykonując drugi, mniejszy, dodał ciszej: - Prawdę mówiąc, to jeszcze nie było nic wielkiego, poczekaj aż zobaczysz, co zrobi z ostatnim.

I miał już legionistę się w swoim zasięgu, a jego ofiara, niczym zahipnotyzowana, nadal wpatrywała się w akcję na piachu, czekając, co nowego wymyśli ta niesamowita wojowniczką. Ostatni wartownik najwyraźniej się zdecydował - przestał krążyć i pełną mocą runął ku Shadzie, która udała unik w lewo, a gdy skorygował kurs, zamierzając trafić ją stabilizatorem, uskoczyła w prawo, dzięki czemu swoop minął ją dosłownie o centymetry. Kierowca zawrócił w miejscu, chcąc powtórzyć manewr, ale źle obliczył prędkość, więc nawet nie musiała uskakiwać. Parę metrów i z półtorej sekundy zajęło mu wytracenie prędkości i moment obrotu, przez co znalazł się około trzech metrów od legionistów i od Talona. Odwrócił maszynę ku czekającej na niego w pozycji bojowej Shadzie...

I w tym momencie Karrde płynnym ruchem wyłuskał porucznikowi broń, strzelił i dał długi krok w lewo, biorąc całą trójką na cel.

- Radziłbym się nie ruszać - poradził, słysząc za plecami przekleństwa swoopera, przywiązanego

plastikową siatką do pojazdu, i to tak, że nawet palcem nie mógł ruszyć. - Sprytne - porucznik nie wydawał się przejęty rozwojem wypadków. - Naprawdę sprytne.

- Miałem nadzieję, że się wam spodoba - uśmiechnął się Talon. - Broń na ziemię, tylko powoli i delikatnie.

- To nie będzie konieczne - rozległo się niespodziewanie gdzieś nad jego głową. Karrde zerknął w górę, ale nikogo nie dostrzegł.

- Nie ma mnie tam - zapewnił go rozbawiony głos. - Obserwowałem wasz występ z kasyna i muszę przyznać, iż jestem pod wrażeniem. Można się dowiedzieć, co was tu sprowadza?

- Chcemy się z panem spotkać, naturalnie. Mam nadzieję odebrać stary dług, panie Bombaasa.

Porucznik chrząknął nieprzyjemnie, natomiast mówiący tylko się roześmiał.

- Nie przypominam sobie, żebym ci był cokolwiek winien, przyjacielu, co naturalnie nie znaczy, że nie możemy porozmawiać. Poruczniku Maxiti? - Tak? - wywołany wyprostował się.

- Proszę oddać temu panu broń i przyprowadzić go wraz z towarzyszącą mu damą do kasyna. I sprzątnąć ten śmietnik z placu.

Rozkaz został wykonany szybko, sprawnie i bez gadania, przynajmniej jeśli chodziło o pierwszą część, i oboje znaleźli się w zaskakująco kontrastującym z oczekiwaniami wnętrzu. Powietrze było świeże, chłodne i suche, lokal zaś miły, czysty i jasno oświetlony, jeśli nie liczyć pograżonych w półmroku alków wzdłuż jednej ze ścian. Wystroju wnętrza najwyraźniej nie doceniała aktualna klientela, pasująca do innych lokali tego typu - około dwudziestu osobników minimalnie różniących się od załatwionej na zewnątrz czwórki. Wszyscy przyglądali im się wrogo ze swojego końca baru, ale żaden się nie ruszył - Bombaasa najwyraźniej nie tolerował zniszczeń w lokalu.

Porucznik Maxiti przeprowadził Talona i Shadę, na wszelki wypadek bacznie obserwującą swooperów, przez pomieszczenie do nie rzucających się w oczy drzwi za parkietem. Drzwi otworzyły się, wypuszczając masywnego, ciemnookiego mężczyznę, który przyjrzał się uważnie Talonowi, a jeszcze uważniej Shadzie, nim popatrzył na legionistę.

- Dzięki - było to pożegnanie, ponieważ oficer odwrócił się, mężczyzna zaś dodał, spoglądając na Talona: - Wejdźcie. I przepuścił ich przodem.

Znaleźli się w kompletnie wyposażonym, choć niewielkim kasynie - stały w nim cztery stoły i siedziało kilkunastu graczy różnych ras tak zajętych grą, że większość nawet nie zwróciła uwagi na nowo przybyłych. Całą swą uwagę zwrócił za to na nich niewysoki, szczupły mężczyzna siedzący samotnie przy największym stoliku, przyglądając się obojgu wylupiastymi, nie mrugającymi oczami. Za nim stało dwóch ochroniarzy, podobnych do zamykającego właśnie za Shadą drzwi.

Skrzywiła się, niezadowolona z rozwoju sytuacji. Za to Karrde bez wahania podszedł do stołu.

- Witam pana, panie Bombaasa, i dziękuję za przyjęcie bez uprzedzenia - zagaił. Ochroniarze drgnęli, lecz Bombaasa jedynie się uśmiechnął.

- Podobnie jak legendarny Rastus Khal, chętnie spotykam się z tymi, którzy mnie intrygują - odparł. - A państwo mnie zaintrygowaliście, choć przyznaję, iż przez moment sądziłem, że skończyły się pani pomysły. Gdyby nie akcja pani towarzysza, znalazłaby się pani w trudnej sytuacji.

- Nie bardzo. Widziałam, jak zbliża się do legionistów i wiedziałam, że czegoś spróbuje. Gdyby mu się to nie udało, potrzebowałby mojej pomocy, a ten ostatni swooper skutecznie koncentrował uwagę wszystkich.

- Zdziwiający pokaz zaskakujących możliwości - gospodarz z podziwem pokręcił głową. - Choć w jego trakcie zniszczyła sobie pani ubranie. Może pozwoli pani je oczyścić, zanim skończymy pogawędkę?

- Dziękuję za troskliwość - wtrącił Karrde, nim Shada zdążyła odpowiedzieć - ale obawiam się, że nie zostaniemy tu tak długo.

Bombaasa uśmiechnął się ponownie - tym razem oprócz humoru w uśmiechu pojawiła się też groźba.

- To się dopiero okaże, mój przyjacielu - ostrzegł. - A jeśli jesteś kolejnym przedstawicielem Nowej Republiki czy władz sektora, próbującym zaanektować moje terytorium, to na pewno szybko nie opuścisz tej planety.

- Nie utrzymuję powiązań z żadnym rządem - zapewnił go Karrde. - Jestem prywatną osobą, która chciałaby prosić cię o uprzejmość.

- No cóż... odnoszę dziwne wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy, jak kosztowna jest moja uprzejmość.

- Sądzę, że została zapłacona z góry - skontrował Karrde. - Zresztą, to naprawdę tylko drobna uprzejmość. Musimy załatwić pewną sprawę na terytorium pańskiego kartelu i chcielibyśmy uzyskać prawo bezpiecznego przelotu, dopóki jej nie zakończymy.

- To wszystko? - zdziwił się uprzejmie gospodarz, bawiąc się delikatnym łańcuszkiem na szyi, na którym coś wisiało. - Taki duży, kuszący cel jak pański frachtowiec i prawo bezpiecznego przelotu jako drobna uprzejmość... pan naprawdę nie rozumie współzależności cenowych.

Shada rozluźniła mięśnie - wszyscy trzej ochroniarze byli uzbrojeni i wyglądali na kompetentnych, ale chociaż widzieli ją już w akcji, wątpiła, czy naprawdę zdają sobie sprawę, co potrafi. Tylko że w przeciwieństwie do swooperów, teraz nie będzie sobie mogła pozwolić na luksus uszkodzenia. Musi ich zabić, a pierwszego tego za plecami... - Mój błąd - ton Talona był prawie towarzysko



uprzejmy. - Założyłem, że okaże pan większą wdzięczność komuś, kto uratował panu życie.

Bombaasa, który właśnie dawał znak ochrone, słysząc to, zamarł z na wpół uniesionym palcem. - O czym pan mówi? - spytał ostrożnie.

- O pewnym wydarzeniu sprzed nieco ponad sześciu lat, kiedy to pewien elegant i młoda niewiasta o złocistorudych włosach zlikwidowali spisek mający na celu uśmiercenie pana.

Przez parę sekund Bombaasa jedynie wpatrywał się w Talona, pozwalając Shadzie dokończyć planowanie ataku. A potem roześmiał się szczerze i serdecznie, co wywołało tak silną reakcję hazardzistów, że musiało być naprawdę rzadkim zachowaniem. Bombaasa dał ochrone inny sygnał i niebezpieczeństwo ataku zostało zażegnane, przynajmniej chwilowo.

- Mój przyjacielu - odezwał się, kiedy się uspokoił. - I to faktycznie przyjacielu. Musi pan być owym tajemniczym szefem, o którym mówiła ta młoda dama, odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek zadośćuczynienia.

- Zgadza się. Jak sądzę, zasugerowała także, że ktoś z pańską klasą zgodzi się spłacić dług we właściwym czasie i w stosowny sposób.

- Rzeczywiście zasugerowała. A teraz zjawia się pan z inną czarującą i śmiertelnie groźną niewiastą. Nie uwierzyłbym, gdyby mi opowiadano, że dwie takie damy pozostają lojalne wobec tego samego człowieka - ocenił Bombaasa i dodał, spoglądając na Sha-dę: - Chyba że się mylę, moja droga, i byłabyś zainteresowana przedyskutowaniem zmiany pracodawcy? Zapewniam, że byłoby to opłacalne.

- Chwilowo nie jestem z nikim związana - przyznała z pewną niechęcią. - Ale podróżujemy razem i mamy wspólny cel.

- Aha - gospodarz przyjrzał się jej uważniej niż dotąd, jakby oceniając, na ile jest szczerą. - Jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, zapraszam. Zawsze będziesz mile widziana. Natomiast wracając do interesów, masz całkowitą rację, przyjacielu: jestem twoim dłużnikiem. I wiąże się z tym pewien kłopot, bo wprawdzie dostarczenie kodu identyfikującego frachtowiec jako pozostający pod moją ochroną nie stanowi najmniejszego problemu i będzie on na pewno skuteczny w stosunku do członków mego kartelu, ale niestety stworzy równocześnie dodatkowe niebezpieczeństwo dla posługującej się nim jednostki. W ciągu ostatniego roku na mój teren przeniosła się wyjątkowo wredna banda piratów, których jak dotąd nie zdołaliśmy skutecznie spacyfikować i obawiam się, że frachtowiec znajdujący się pod moją ochroną potraktują jako szczególnie intrygujące wyzwanie.

- Jak pan zauważył wcześniej, mój statek i tak stanowi kuszący cel. Ale bynajmniej nie tak bezbronny, ma się rozumieć, jak pozornie wygląda.

- W to nie wątpię, lecz ta banda jest wyjątkowo dobrze uzbrojona: mają sporo myśliwców uderzeniowych typu Corsair produkcji SoroSuub i sporo większych jednostek, z krążownikiem

włącznie. Jeśli ma pan czas, może moi technicy byliby w stanie wzmocnić uzbrojenie i generatory pól pańskiego statku?

- Doceniam tę propozycję i gdyby nie gonił nas czas, z przyjemnością bym ją przyjął. Niestety, sytuacja jest tak nagląca, że nie mogę sobie pozwolić na dłuższy postój.

- Szkoda. No cóż, niech pan startuje, kiedy uzna pan za stosowne. Kod identyfikacyjny do transpondera będzie czekał w porcie. - Bombaasa uśmiechnął się. - I naturalnie nie przewidujemy żadnych opłat odlotowych.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - Talon skłonił się lekko. -Dziękuję, uważam dług za spłacony.

Po czym ujął Shadę pod ramię i skierował się ku drzwiom.

- Jeszcze jedno, przyjacielu - odezwał się gospodarz. - Pana współpracownicy nie chcieli mi podać ani swoich nazwisk, ani pańskiego. Byłbym wdzięczny, gdyby pan był łaskaw zaspokoić moją ciekawość.

- Naturalnie - odparł swobodnie Talon, choć Shada wyczuła, że sztywnieje. - Jestem Talon Karrde. Siedzący wyprostował się zauważalnie.

- Talon Karrde - powtórzył. - Naturalnie... Niektórzy z moich hm... partnerów handlowych mówili mi o panu. Czasami długo i z uczuciem.

- Jestem tego pewien. Zwłaszcza Huttowie, z którymi pański kartel ma powiązania.

Na moment twarz Bombaasy spochmurniała, a potem znów zagościł na niej uśmiech.

- Huttowie w jednym mieli rację: pan rzeczywiście za dużo wie - przyznał. - Ale dopóki nie próbuje pan rozszerzyć swej organizacji na moje tereny, czego mógłbym się obawiać.

- Niczego. Dziękujemy za gościnę i być może jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Tak - powiedział miękko Bombaasa. - Zawsze istnieje taka szansa.

Porucznik Maxiti zaofiarował się odwiedzić ich do portu kosmicznego, lecz Karrde nie skorzystał z jego propozycji - spacer nie był daleki, a teraz rzeczywiście nic nie miało prawa im się przydarzyć. Poza tym po niespodziewanym zwrocie, jakim zakończyła się rozmowa z Bombaasa, nie chciał, żeby wyglądało, że robią co mogą, byle jak najszybciej odlecieć. - Kto to jest Rastus Khal? - spytała Shada.

- Kto?! - Karrde najwyraźniej myślał o czymś zupełnie innym.

- Rastus Khal - powtórzyła. - Bombaasa wspomniał o nim zaraz po naszym wejściu.
- Fikcyjny bohater jakiegoś koreliańskiego arcydzieła literackiego. Zapomniałem, jakiego konkretnie. Bombaasa jest podobno nieźle wykształcony i dość odcytany. Jak widać, uważa się za kulturalnego przestępcę.
- Kulturalnego! - prychnęła. - Współpracuje z Hurtami.
- Prawdopodobnie jest to kolejny powód, dla którego Huttowie i ja nie znosimy się wzajemnie.

Przez dobrą minutę szli w milczeniu, ponownie przerwany przez Shadę.

- Wiedziałeś o Hurtach, a mimo to powiedziałeś mu, kim jesteś. Dlaczego?
- Nie spodziewam się, żeby nie dotrzymał słowa. Kulturalne istoty zawsze spłacają długi, a Lando i Mara rzeczywiście uratowali mu wtedy życie.
- Pytanie nie dotyczyło jego, tylko ciebie. Nie musiał wiedzieć, kim jesteś, a widziałam jak doskonale potrafisz unikać odpowiedzi na kłopotliwe pytania. To było bardzo kłopotliwe, więc ciekawi mnie, dlaczego powiedziałeś mu prawdę. - Bo sądzę, że wieść o dzisiejszych wydarzeniach i tak dotrze do Car'dasa - odparł cicho Talon. - W ten sposób dowie się, kto chce się z nim spotkać.
- Czegoś tu nie rozumiem. Sądziłam, że całe przedsięwzięcie opiera się na niespodziance.
- Całe przedsięwzięcie, jak to bardzo ładnie ujęłaś, sprowadza się do uzyskania kompletnego dokumentu dotyczącego ataku na Caamas. Gdybyśmy się pojawili niespodziewanie i bez ostrzeżenia, Jorj najprawdopodobniej zabiłby nas, zanim mielibyśmy okazję coś wytłumaczyć.

- Skoro wie, kto do niego leci, będzie miał więcej czasu na przygotowania.

- Właśnie. I jeśli w ogóle zechce ze mną rozmawiać, zrobi to, nim zaczniesz strzelać. - Jesteś jakoś dziwnie pewien, że skończy się na strzelaniu - oceniła rzeczowo.

Karrde zawahał się, czy powinien powiedzieć Shadzie, dlaczego zabrał ją ze sobą. Zdecydował, że jeszcze nie nadszedł właściwy czas. W najgorszym przypadku mogła odmówić dalszego udziału w całej imprezie, a zmusić jej nie był w stanie. - Uważam, że tak się skończy - przyznał. - A co mu zrobiłeś?

- Ukradłem mu coś - przyznał po chwili Talon. - Coś, co cenił najbardziej w tym wszechświecie. Prawdopodobnie bardziej niż życie. Przeszli kawałek w milczeniu. - Kontynuuj - zachęciła go Shada.

- Obiecałem ci połowę historii - Talon uśmiechnął się z przymusem. - I to właśnie była ta połowa. Teraz twoja kolej.

- Dlaczego opuściłam Mazzica? - Shada wzruszyła ramionami. - Bo ochroniarz, który sam stał się celem, nie jest w stanie nikogo ochronić przed niebezpieczeństwem, a wręcz przeciwnie.

- Mogę spytać, kto postanowił popełnić samobójstwo, wybierając cię jako cel? - spytał zaintrygowany.

- Możesz, ale odpowiedzi nie dostaniesz, dopóki nie usłyszę reszty historii o Car'dasie. - Chyba spodziewałem się podobnej odpowiedzi. - To kiedy ją usłyszę?

- Wkrótce - obiecał poważnie Karrde. - Naprawdę wkrótce.

# ROZDZIAŁ 5

- Rozpoczyna się szósta uroczysta godzina piętnastego oficjalnego dnia corocznej konferencji sektora Kanchen - oznajmił herold basem, doskonale słyszalnym w całym ukształtowanym amfiteatralnie polu, na którym siedzieli, leżeli, kucali lub przytupywali delegaci, zgodnie ze swoimi potrzebami fizjologicznymi i uznaniem. - Powitajmy jego magnificencję wielkiego elektora Pakrik Major i wyrażmy mu podziękowanie za dalekowzroczność i rozsądek, z jakimi nas prowadzi.

Odliczając Hana, ponurego jak chmura gradowa pomimo miękkiego materaca, na którym spoczywał, wszyscy zebrani wyrazili podziękowanie. Kiedy umilkła wrzawa, Leia uśmiechnęła się złośliwie - jak by nie było, pomysł uczestnictwa w konferencji jako pretekstu do wakacji należał do Hana. I musiała przyznać, że był to dobry pomysł - napięcie ostatnich tygodni odpływało od niej wręcz odczuwalnie, więc nie omieszkała kilkakrotnie pogratulować mu pomysłu i podziękować za wywiezienie z Coruscant. Tyle że podczas trwania uroczystości Han pozostawał głuchy i wściekły, a to z uwagi na ceremonię, rozdętą do granic absurdu.

- I powitajmy naszych wspaniałych gości z rządu Nowej Republiki - dodał herold, szerokim gestem pokazując rejon, w którym leżeli Han i Leia. - Oby ich rzadka mądrość, niespotykana odwaga i nieskazitelny honor rozjaśniły to spotkanie, tak jak rozświetlały ich dotychczasowe życie.

- Zapomniałaś dodać, że jesteśmy też piękni, skromni i wszechmocni, pajacu - warknął cicho Han, kiedy rozległy się wiwaty.

- I tak jest milej niż na Coruscant - powiedziała równie cicho Leia, podnosząc się i pozdrawiając zebranych. - Dalej, bądź miły.

- Przecież macham, nie? - prychnął, unosząc się na łokciu i niemrawo kiwając ręką. - Tylko chciałbym wiedzieć, dlaczego ten cyrk powtarza się co godzinę. - Wolisz wysłuchiwać pomówień o strzelaniu do tłumu?

- Wolę, żeby nas wszyscy zostawili w spokoju - odparł, opadając na materac.

- Cierpliwości - Leia zrobiła to samo, gdy herold skłonił się głęboko i ustąpił miejsca na podium wystrojonemu wielkiemu elektorowi. - To ostatni dzień, a jutro lecimy na Pakrik Minor, gdzie jak sam twierdzisz jest jedynie cisza i spokój.

- Lepiej żeby tam była prawdziwa cisza i spokój, bo inaczej ktoś tego pożałuje - ostrzegł Han, przyglądając się posępnie wielkiemu elektorowi.

- Będzie - zapewniła go Leia. - Tu pompa i przesada są normalne, tam prawdopodobnie nikt nas

nawet nie rozpozna.

- Byłoby to naprawdę miłe - przyznał nieco weselej Han.

- Carib?

Carib Devist wstał - czując strzykanie w kolanach - z przysiadu, w którym od dłuższej chwili zamarł między dwoma rzędami tallgrainu.

- Tu jestem, Sabmin! - zawołał, machając jak najwyżej dziabką.

-Widzę cię! - rozległo się w pobliżu i po chwili Sabmin przedarł się przez wysokie zboża. - Przyszedłem, jak tylko... o żesz ty!

- O żesz ty zostaw na kulturalnie wytresowane towarzystwo -warknął Carib. - Teraz możesz sobie normalnie pokurwić.

- Ile kolonii? - spytał Sabmin, nie korzystając z oferty.

- Jak dotąd jedna - Carib wskazał narzędziem, gdzie kopał. -Znalazłem królową, więc może to być koniec, ale nie zakładałbym się.

- Zawiadomię pozostałych i koordynatora trójdoliny na wypadek, gdyby nie tylko do nas przeniosło się robactwo.

- Zawiadam. A jakież to inne wspaniałe wieści cię tu sprowadziły?

- Dostaliśmy potwierdzenie rozkazów z Bastionu - powiedział cicho Sabmin. - Senator Nowej Republiki Leia Organa Solo znajduje się na Pakrik Major i atak zostanie przeprowadzony.

Carib odruchowo spojrział na widoczną na niebie siostrzaną planetę.

- Zdumieli do reszty - ocenił. - Tak po prostu mamy zaatakować najważniejszą osobę we władzach Nowej Republiki?

- Wątpię, czy mieli na myśli konkretną osobę. Sądzę, że chodzi raczej o przedstawiciela władz. Zaproszenie zostało wysłane in blanco i pewnie elektor zdziwił się najbardziej, kiedy się dowiedział, kto przylatuje. A wszystko mogli przyspieszyć agenci imperialni na Coruscant, wiedząc, że jesteśmy na miejscu i możemy działać jako wsparcie. To, że akurat na nią wypadło, to przypadek.

- Ten rozkaz ma autoryzację wielkiego admirała Thrawna?

- Nie wiem, nie pisało. Ale przecież musi mieć, no nie? No bo jeśli wrócił, to on dowodzi.

- Chyba tak - zgodził się niechętnie Carib, myśląc o tym, jak szybko wojna znalazła się dosłownie na ich progu i zakończyła wieloletnie oczekiwanie. - Powiedziałeś, że mamy być wsparciem. Kto w takim razie wykona atak?

- Nie wiem - Sabmin wzruszył ramionami. - Pewnie jakaś grupa wysłana z Bastionu na gościnne występy. -A kiedy?

- Jutro. Po zakończeniu konferencji, Organa Solo chce tutaj przylecieć.

- I nie dostaliście żadnych wskazówek, czy atak ma być prawdziwy, czy tylko wyglądać na prawdziwy?

Sabmin, w pierwszej chwili zaskoczony, zamyślił się.

- Interesujące... - przyznał po chwili. - Z Thrawnem nigdy nic nie wiadomo... z rozkazu wynika tylko tyle, że jutro nastąpi atak, a my powinniśmy być gotowi na wypadek, gdyby Solo miała więcej szczęścia niż się spodziewa dowództwo. - Nawet jej szczęście ma granice - mruknął Carib. - Chyba tak... co zamierzasz?

- Rozegrać sprawę ostrożnie. Jedno jest pewne: jeśli bitwa będzie się toczyć tak blisko, obojętne kto będzie wygrywał, nie będziemy siedzieli beczynnym. Zbyt wiele tu zainwestowaliśmy, żeby oddać to wszystko bez walki.

- To zrozumiałe - zgodził się Sabmin. - Przekażę rozkazy pozostałym. Cokolwiek by się jutro wydarzyło, będziemy gotowi.

Z lewej strony pojawił się zagajnik poskręcanych drzew i symulator AT-AT, w którym siedział Pellaeon. Skręcił w prawo.

- Proszę uważać na te drzewa, sir - rozległ się w słuchawkach głos majora Rainesa. - Najprawdopodobniej nie zdołałyby spowodować wywrotki, ale maszyna może w nich ugrzęznąć tak, że będzie trzeba wysłać ludzi, żeby wysadzili ich korzenie. To zabiera dużo czasu, a nieruchomy cel to atrakcyjny cel.

- Rozumiem - admirał ominął zagajnik, zadowolony z siebie: symulowana walka lądowa okazała się wcale nie taka prosta, ale była na tyle odległa od jego normalnych obowiązków, że stanowiła relaks.

Choć, prawdę mówiąc, nie była tak do końca odległa - jako głównodowodzący sił zbrojnych Imperium im lepiej zrozumie zasady walki na lądzie, tym skuteczniej wykorzysta podległe jednostki i sprzęt, jeśli zajdzie taka konieczność. Zakładając naturalnie, że Imperium będzie jeszcze kiedyś

prowadziło kampanie na nieznanymi planetach, czego nie dało się wykluczyć wobec braku jakiegokolwiek odpowiedzi ze strony Nowej Republiki na propozycję negocjacji pokojowych. To zresztą stanowiło główny powód jego obecności w symulatorze.

Minął zagajnik, zwolnił i przełączył obraz na boczny ekran, ciekaw, jak Raines poradził sobie z gęstą puszcza. Okazało się, że w najprostszy możliwy sposób: rozstrzelał i wypalił wszystkie przeszkody terenowe, dzięki czemu poruszał się znacznie szybciej. Metoda dość skuteczna, ale głośna; ostrzegła przeciwnika o zbliżaniu się transporterów na długo przed tym, nim mógł je zobaczyć. Z drugiej strony AT-AT zupełnie się nie nadawały do niezauważonego podejścia, więc ważniejsza była szybkość. Przekonany, skoncentrował się na likwidacji przeszkód za pomocą działek laserowych. - O właśnie, sir - pochwalił go Raines. - Niech pan spróbuje przewidzieć, co może spowodować problemy, zanim znajdzie się za blisko, by można było to miejsce ostrzelać.

- W takim terenie lepiej byłoby nie używać sprzętu tego typu.

- Racja, sir. Niestety, jak nas nauczyły dotychczasowe walki, rebelianci przeważnie wybierają na kryjówki trudno dostępne miejsca i otaczają bazy polami siłowymi, dlatego nie można ich zniszczyć z powietrza. No i trzeba pamiętać, że nic tak nie wzbudza strachu w przeciwnikach, jak AT-AT przedzierający się przez las.

W słuchawkach coś trzasnęło i rozległ się głos kapitana „Chimery”:

- Panie admirale, tu Ardif. Właśnie zameldował się porucznik Mavron: jest w drodze powrotnej i ma wektor, sir.

Pellaeon przymrużył z zadowoleniem oczy - zadanie Mavrona było ostatnią szansą dowiedzenia się czegoś o napastnikach sprzed sześciu dni. Jeśli znalazł wektor... - Proszę kazać mu się zameldować w sali odpraw numer czternaście, jak tylko wyląduje - polecił, wyłączając symulator. - Spotkam się tam z panem, kapitanie.

Ardif czekał już w wyznaczonej sali, gdy dotarł tam Pellaeon.

- Założyłem, że ma to być odprawa bez świadków - wyjaśnił. - Czy chodzi o poszukiwania w HoloNecie?

- Taką mam przynajmniej nadzieję - przyznał Pellaeon, siadając i wskazując mu krzesło.

Po paru sekundach drzwi się rozsunęły, wpuszczając młodego porucznika.

- Witamy w domu, poruczniku Mavron - przywitał go admirał. - Zdobył pan namiary łączności?

- Tak, panie admirale - Mavron poruszał się nieco sztywno, jak każdy pilot po zbyt długim pobycie w



ciasnej kabinie. - Przekażnik HoloNetu na orbicie planety Horską nadal miał w pamięci nagranie transmisji z tego rejonu tuż po ataku na nas. - Udało się zgrać?

- Tak, sir - Mavron podał mu datakartę. - Niestety nie zdołałem rozszyfrować żadnych nazwisk, ale w drodze powrotnej sprawdziłem punkty końcowe połączeń. Zazaczyłem ten, który wydał mi się najbardziej interesujący, sir.

- Bastion - mruknął Pellaeon po wyświetleniu danych na ekranie czytnika. - A więc jednak zdrada! - warknął Ardiff.

- To jeszcze nie wszystko, panie admirale - dodał Mavron. - Transmisja adresowana do Bastionu została przełączona dalej przez kilkanaście przekaźników i ostatecznie dotarła gdzieś do centrum systemu Kroctar.

- Kroctar? Przecież to w głębi obszaru Nowej Republiki! - zdziwił się Ardiff. - Co tam robił ktoś z Bastionu?!

- Też mnie to zastanowiło, panie kapitanie - głos Mavrona nagle spowaźniał. - Dlatego zatrzymałem się po drodze na Caursito i zgrałem kopię Tri Nebulona z tamtego dnia. W kilka godzin po owym połączeniu Zjednoczone Frakcje Kroctaru ogłosiły podpisanie traktatu z Imperium. Mediatorem był, według superiora Bosmihi, wielki admirał Thrawn.

- To niemożliwe! - powiedział głucho Pellaeon, czując coś lodowatego na plecach. - Thrawn nie żyje! Widziałem, jak umierał. - Wiem, sir, ale zgodnie z...

- Widziałem, jak umierał! - ryknął Pellaeon, zaskakując wszystkich, w tym także siebie.

- Wiemy, panie admirale - odezwał się po chwili Ardiff. - To jakieś oszustwo. Poruczniku, reszta, jak sądzę, może poczekać, aż napisze pan pełny raport. Proszę się odświeżyć i coś zjeść.

- Dziękuję, sir - Mavron najwyraźniej chciał jak najszybciej znaleźć się za drzwiami, czemu trudno się było dziwić. - Raport dotrze w ciągu godziny, sir. - Doskonale. Jest pan wolny, poruczniku - zakończył Ardiff i dodał, dopiero gdy za pilotem zamknęły się drzwi: - To jest kant, panie admirale. To musi być kant. Myśli Pellaeona z widocznym wysiłkiem wróciły spod Bilbringi - z dnia, w którym umarła ostatnia nadzieja Imperium...

- Tak... A jeśli nie? - spytał cicho. - A jeśli to naprawdę Thrawn?

- Cóż, w takim razie... - Ardiff umilkł nagle, marszcząc czoło.

- Właśnie - przytaknął Pellaeon. - Geniusz taktyczny Thrawna pomógłby nam jeszcze pięć lat temu. Dlaczego wtedy się ukrywał? I co może teraz osiągnąć, poza przeprowadzeniem ataku na Nową Republikę, porażoną groźbą, jaką stanowi sama jego obecność?

- Nie wiem, sir. Ale nie to pana naprawdę niepokoi, admirale.

Pellaeon spojrział na swoje dłonie - pobrużdżone przez lata i opalone przez słońca tysięcy systemów.

- Byłem z nim zaledwie rok - powiedział jakby do siebie. -Byłem dowódcą jego okrętu flagowego i jego oficerem przybocznym. Byłem też jego studentem... i może nawet darzył mnie zaufaniem, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale najważniejsze jest co innego: to on wybrał mnie i mój okręt, gdy wrócił z Nieznanych Terytoriów. Nie zrobił tego przypadkiem, tylko wybrał!

- Thrawn niczego nie robił przypadkiem. A skoro wrócił i...

- To znaczy, że wybrał kogoś innego - dokończył smętnie Pellaeon. - A spowodować to mogło bardzo wiele czynników.

- Na pewno nie zajmowana przez pana pozycja, sir - ocenił Ardifff. - I na pewno nie kwestia kompetencji. W takim razie co?

- Być może wizja. Ta propozycja pokoju, jak pan dobrze wie, jest moim pomysłem. Zaproponowałem ją, przekonywałem o jej słuszności i wreszcie wymusiłem na moffach zgodę na nią. Moff Disra był jednym z najzagorzalszych jej przeciwników. A siedzibą Disry jest Bastion. Przypadek? Przez chwilę Ardifff milczał.

- Dobrze, nawet jeśli założymy, że to prawda, czysto teoretycznie naturalnie, dlaczego wysłał piratów czy najemników, żeby nas tu zaatakowali? Dlaczego nie skontaktował się z panem i nie powiedział, że należy zrezygnować z tego pomysłu? - Nie wiem. Może wcale nie należy, a ja robię dokładnie to, co chce, żebym robił tu i teraz. Albo uważa, że rozmowy z Bel Iblisem mają sens, albo chce mnie trzymać z daleka, żebym nie mógł przeszkodzić w realizacji tego, co zaplanował... . Tym razem cisza była dłuższa i boleśnieszka.

- Nie wierzę, żeby w ten sposób postąpił wobec pana, sir -powiedział w końcu Ardifff, chociaż w jego głosie brakowało nieco przekonania. - Nie po tym, co razem przeszliście.

- Obaj w to nie wierzymy - uśmiechnął się smutno Pellaeon. -Thrawn nie był człowiekiem, niezależnie, jak bardzo człowieka przypominał. Nie wiemy, jak myślał i jakie miał cele, ale na pewno były one obce. Może zawsze traktował mnie tylko jako narzędzie do osiągnięcia celu, jakkolwiek wyznaczyłby sobie cel.

Z wyraźnym wahaniem kapitan dotknął jego ramienia.

- To była długa droga, sir. Długa i trudna dla nas wszystkich, ale najbardziej dla pana. Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić...

- Dziękuję, kapitanie - admirał zmusił się do uśmiechu. - Niech się pan nie martwi, nie zamierzam się poddawać. Przynajmniej dopóki nie dokończę tej sprawy. - W takim razie zostajemy, sir?

- Jeszcze przez parę dni. Chcę dać Bel Iblisowi uczciwą szansę.

- A jeśli się nie pojawi?

- Cokolwiek zrobi, wracamy na Bastion. Moff Disra powinien nam wyjaśnić kilka bardzo istotnych kwestii.

- Miejmy nadzieję, że pojawienie się Thrawna to kolejna z jego sztuczek, sir - Ardif wstał.

- Miejmy nadzieję, że tak nie jest - poprawił go Pellaeon. - Pojawienie się prawdziwego Thrawna może wyjść Imperium jedynie na dobre. Moje prywatne uczucia są wobec takiej możliwości zupełnie nieistotne. - Naturalnie, panie admirale. Przepraszam, sir.

- Nie ma pan za co przepraszać, kapitanie - zapewnił go Pellaeon, także wstając. - Jak pan powiedział, to była długa droga. Ale prawie dobiegła końca, obojętnie jaki by się on okazał. Prawie.

Kontrola celna w porcie kosmicznym Drev'starn była znacznie dokładniejsza niż podczas poprzedniej wizyty Drenda Navetta na Bothawui, czemu nie należało się dziwić, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich pięciu dni. Niespodziewany atak na stację orbitalną i stały wzrost liczby rozmaitych okrętów na orbicie wywoływały stały i zrozumiały wzrost napięcia na powierzchni. W efekcie ucierpiały przyjazne dotąd odwiedzającym Bothawui formalności, które z czystej teorii zmieniły się w rzeczywiste sprawdzanie tożsamości i bagażu.

Navettowi to akurat nie przeszkadzało - w bagażu i ładunku nie przewiózł tym razem nic podejrzanego, nawet z punktu widzenia paranoicznych Bothan, a dokumenty miał tak doskonałe, jak tylko imperialny wywiad potrafił je wyprodukować. Dotąd zaś robił to bez zarzutu.

- Pańskie dokumenty i bagaż osobisty wydają się w porządku - oświadczył bothański celnik po ponad piętnastominutowym sprawdzaniu jednego i drugiego. - Musimy jednakże przeprowadzić dodatkowe testy sprawdzające zdrowie pańskich zwierząt, nim zezwolimy na ich wwóz do miasta.

- Jasne, nie ma problemu - Navett wymownie wzruszył ramionami, machając nawet ręką, co stanowiło zachowanie typowe dla mieszkańców Botreasley na Fedje, skąd według dokumentów pochodził.

Co prawda wątpił, by ktoś tu docenił podobne subtelności, ale pierwszą zasadą dobrej infiltracji była dbałość o szczegóły - należało pasować do roli tak jak szurmowiec pasował do zbroi.

- Przechodziłem to już na dziesiątkach planet - dodał beztrósco. - Wiem, jak wygląda kwarantanna.

- Tak? - futro celnika lekko zafalowało. - Miał pan jakieś problemy z utrzymaniem własności

sklepu?

Navett zmarszczył brwi, namyślając się głęboko nad sensem długiego w końcu zdania.

- Nie, to nie tak - ucieszył się, gdy wreszcie zrozumiał. - Ja nie szukam miejsca na stałe. No bo to jest tak: jak się nie ma paru facetów, co by dla człowieka pracowali, to w jednym miejscu na egzotycznych zwierzakach się nie zarobi. A jak się przenosi interes z miejsca na miejsce, to przy okazji można spotkać zwierzaki, o których dotąd się nawet nie słyszało.

- Może - mruknął celnik - ale wątpię, żeby obecnie znalazł pan dobry rynek na naszej planecie.

- Wolne żarty! Przecież to doskonałe miejsce. Obleżona planeta, gdzie wszyscy są nerwowi, to właściwe miejsce, bo wszyscy potrzebują jakichś domowych zwierzaków, żeby nie myśleć. Widziałem to wiele razy i zawsze się sprawdzało.

- Skoro pan tak mówi - ruch futra na ramionach celnika wyraźnie wskazywał, że nic go nie obchodziło, czy Navett zarobi, czy nie. - Proszę mi zostawić częstotliwość swego komlinku i kod wywoławczy, a zawiadomimy pana, jak tylko kwarantanna dobiegnie końca.

- Pewnie - Navett przekazał mu żądane informacje i dodał: -Tylko się pospieszcie, co?

- Procedura będzie tak szybka, jak na to pozwalają przepisy. Spokojnego i dochodowego dnia. -  
Dzięki i nawzajem.

Pięć minut później Navett wędrował ulicą. Unikając spieszących do i z portu podróżnych i mijając rząd śmigaczy do wynajęcia, skierował się do szeregu tanich hotelików zbudowanych zaraz za granicą lądowiska. Słońce miał za plecami, więc bez trudu dostrzegł zbliżający się cień o parę sekund wcześniej, nim Klif do niego dołączył. - Były jakieś problemy? - spytał cicho Klif. - Żadnych. U ciebie?

- Nie. Wziął łapówkę, ale nie obiecał szybszego zwolnienia zwierząt z kwarantanny.

- Nie miał prawa przy tak małej łapówce - uśmiechnął się Navett.

Łapówka, i to od pomocnika właściciela sklepu, została obliczona tak by uwiarygodnić ich obraz jako drobnych handlarzy próbujących szybko zarobić i nie mających pojęcia, jak się to robi. A taki wizerunek, utrwalony w wyobraźni Bothan, gwarantował, że będą wprawdzie obiektem żartów czy pogardy, ale unikną zainteresowania władz. Co w efekcie oznaczało, że gdy nadejdzie właściwy czas, generator tarczy nad Drev'starn przestanie działać, powodując lukę w planetarnym polu siłowym Bothawui. - Widziałeś Horvica czy Pensina? - spytał Klif. - Jakoś żadnego nie

zauważyłem.

- Ja też nie, ale z pewnością są na miejscu. Jutro pójdziemy na spotkanie to się przekonamy. No i trzeba szybko poszukać miejsca na sklep.

- Mam listę lokali do wynajęcia. W większości przypadków nad sklepem jest też mieszkanie.

- Miły zwyczaj - przytaknął Navett. - Sprawdzimy je dziś w nocy, jeżeli żaden nie znajduje się we właściwym rejonie, można odwiedzić biuro wynajmu. - Gotówki na łapówki mamy aż nadto. - Mamy - mruknął Navett, rozglądając się wokół.

Piętnaście lat temu informacje uzyskane przez bothańską siatkę szpiegowską pozwoliły Rebelii odkryć miejsce budowy Drugiej Gwiazdy Śmierci, co doprowadziło do przegranej w Bitwie o Endor i śmierci Imperatora. Potem łączono Bothan z Czarnym Słońcem, zniszczeniem Tantiss i wieloma innymi operacjami przeciwko Imperium. Navett nie znał całego planu, ale wśród wszystkich planet w galaktyce nie było drugiej, której zniszczenie sprawiłoby mu większą satysfakcję. Wątpił, by akurat te motywy kierowały wielkim admirałem Thrawnem, ale cieszyło go, że osobiście mógł się przyczynić do zemsty.

Dotarli do wybranego hotelu, przy którego wejściu tkwił zabytkowy droid-portier. - Witamy szanownych panów - wychrypiał. - Mam zawołać bagażowego?

- Poradzimy sobie sami - zapewnił go Navett. - Nie warto marnować pieniędzy na droida.

- Przecież ta usługa jest za darmo! - zdziwił się portier.

Zanim skończył, Navett i Klif minęli go i znaleźli się w hallu. Byli jedynymi gośćmi niosącymi cokolwiek, ale to im nie przeszkadzało. Złośliwości i pogarda zawsze stanowiły dobry kamuflaż. A kiedy z nieba spadnie ogień, złośliwcy będą wylili z przerażenia.

A Navett zamierzał rozkoszować się każdą minutą.

# R O Z D Z I A Ł 6

Piętnastego dnia samotności w jaskini Mara obudziła się, wiedząc, że w końcu zjawiała się pomoc, chociaż nie był to nikt z potencjalnych ratowników, których się spodziewała. Obudziło ją mianowicie jej własne imię, a usłyszała je całkiem wyraźnie, tyle że w myślach. Rozejrzała się w kompletnych ciemnościach, więc oczywiście niczego nie zauważyła. Użyła zatem Mocy... i rozpoznała, kim jest ratownik. Był to Luke.

Jego emocje zmieniały się - miejsce niepokoju zajęła ulga, gdy wyczuł jej świadomość i stwierdził, że nie jest ranna. Czując jego niecierpliwość i nadzieję na rychłe spotkanie, Mara zorientowała się, że Luke jest już w jaskini, ale i tak cieszył się chyba trochę za wcześnie. Jaskinia tworzyła bowiem prawdziwy skalny labirynt i odszukanie w nim pojedynczej osoby nie należało do łatwych zadań. Zapomniała jednak, z kim ma do czynienia - oprócz pewności Luke'a, że naprawdę szybko się spotkają, wyczuła też w jego pobliżu czyjaś obecność. Najwyraźniej przynajmniej jedno z mynockowatych stworzeń, które ją tu dostarczyły, służyło mu za przewodnika. Sprawdziła sufit i ściany - spora liczba osobliwych istot obserwowała ją bezszelestnie w mroku.

- Skywalker nadchodzi - poinformowała je głośno. - Jesteście zadowolone?

Były - nawet przy frustrującej niezdolności do zrozumienia ich mowy emocje potrafiła odczytać bez problemów.

- Miło mi - mruknęła, wstając i kierując się ku strumykowi płynącemu o parę metrów od legowiska. Drogę знаła na pamięć, więc nie musiała jej oświetlać jedynym posiadanym prętem oświetleniowym, którego poziom energii po dwóch tygodniach niebezpiecznie zbliżył się do zera.

Obok strumienia leżał płaski kamień doskonale służący za półkę, toteż stała na nim butelka emulsji toaletowej. Mara zdjęła kombinezon i opluskała się w lodowatej wodzie, następnie wtarła parę kropli emulsji w skórę i we włosy, i ponownie zanurzyła się w płynny lód. Przy brzegu wiał nieco cieplejszy prąd powietrza; wysuszyła się w nim, rozczesując włosy, dopóki nie przestała z nich kapać woda. W końcu z ulgą założyła kombinezon i skierowała się do swego obozu.

Kombinezon był jednym z najnowszych osiągnięć techniki odzieżowej i standardowym wyposażeniem wszystkich członków załóg jednostek należących do Talona.

Brud, tłuszcz i inne zanieczyszczenia po prostu odpadały od jego powierzchni tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

Ledwie zdążyła spakować swoje ruchomości, gdy na skalnych ścianach i suficie dostrzegła pierwsze

odblaski światła. Dokończyła zwijanie śpiwora i usiadła na innym płaskim kamieniu, którego używała jako stołka. Czekanie wydawało się trwać w nieskończoność, zanim wreszcie zobaczyła latarkę niesioną przez Mistrza Jedi. Wtedy też zrozumiała, dlaczego tyle to trwało - Luke wyglądał na przytłoczonego plecakiem o dziwnie znajomym wyglądzie. Dźwigał standardowy zestaw ratunkowy przygotowany przez organizację Talona, w którym brakowało jedynie zapasowych silników. Za Lukiem toczył się wiernie, choć z pewnym trudem, jako że podłoga nie należała do przesadnie równych, jego astromech. - Mara? - głos Luke'a odbił się echem od ścian.

- Tutaj - wstała i zapaliła pręt. - Coś długo ci zeszło.

- Nie udało mi się znaleźć tutejszej wypożyczalni pojazdów i wybraliśmy się pieszo - odparł, podchodząc. - Dobrze wyglądasz.

- Ty nie - oceniła rzeczowo: kombinezon miał brudny i przeпоcony, a w kilkunastu miejscach podziurawiony drobnymi rozdarciami i przebiciami. - Skąd wyście tu szli? Z drugiej półkuli?!

- Z sąsiedniego wąwozu, jakieś dziesięć kilometrów - wyjaśnił, z ulgą zdejmując plecak. - Na skrót przez skały, krzaki i podobne przyjemności.

- I kolce - dodała. - Chcesz się obmyć? Tam jest strumień, który jeszcze nie zdążył zamarznąć, choć robi co może. Droid pisnął cicho. - Później - zdecydował Luke. - Jak cię traktowano?

- Obojętnie. Z początku myślałam, że jestem więźniem, ale nie przeszkadzano mi w poruszaniu się po jaskini, więc mogę się mylić. Z drugiej strony nie wypuszczają mnie na zewnątrz i nadal mają mój blaster i miecz świetlny, zabrane pierwszego dnia. - Twój blaster?

- Tak, mój blaster - powtórzyła z naciskiem, żeby przypadkiem nie spytał o kieszonkowy miotacz, który ukrywała w kaburze na lewym przedramieniu. Do tej pory nie miała okazji go użyć, co wcale nie znaczyło, że takiej okazji nie będzie. - I miecz świetlny. Więc na dobrą sprawę nie wiem, jak mnie traktują.

- Faktycznie, moi przewodnicy Qom Jha mówili, że macie problemy z porozumiewaniem się - Luke nie wrócił do kwestii uzbrojenia. - Zgodnie z tym, czego się dowiedziałem, sprowadzono cię tutaj dla twego własnego bezpieczeństwa. - Tego się właśnie obawiałam - prychnęła, czerwieniąc się i mając nadzieję, że nie widać tego w półmroku.

Nie dość, że w ogóle ktoś musiał przelecieć kawał galaktyki i znaleźć się aż na Nieznanych Terytoriach, żeby ją uratować po tym jak była uprzejma walnąć głową w skałę, to w dodatku okazał się nim akurat Luke Skywalker, który z zasady miewał do załatwienia milion spraw równocześnie. Byłoby to jeszcze do przeżycia, gdyby nie fakt, że ratował ją przed niańczeniem przez obce istoty inteligentne, z którymi nie potrafiła się porozumieć. Krótka mówiąc, wstyd, że tylko się pod ziemię zapaść.

- To naprawdę nie tak i nie zawiniła twoja niezdarność - powiedział cicho Luke. Tym razem

dosłownie oblała się rumieńcem.

- Szlag by cię! Wynoś się z moich myśli, jeśli łaska.

Teraz Luke się zarumienił, choć jedynie psychicznie. Przepraszam. Nigdzie nie wchodziłem, twoje myśli po prostu krzyczały... Poza tym, zdaniem Qom Jha, oni muszą cię chronić, ponieważ polują na ciebie Zagrożający z Wysokiej Wieży. - Zagrożający? - Mara zmarszczyła brwi.

- Tak Qom Jha nazywają mieszkańców fortecy, którą odkryłaś. Mówią, że to istoty podobne do nas, ale nie identyczne i że są sprzymierzeńcami Imperium. - Wspaniale.

Bezczynność ostatnich dni sprawiła, że świadomie nie myślała o powodach, które sprowadziły ją na Nirauan, ponieważ doświadczenie nauczyło ją, iż pozbawione dowodów spekulacje nie prowadzą do niczego mądrego. Teraz mogła wreszcie zająć się swoim zadaniem.

- A więc mieliśmy rację - podsumowała bez cienia zadowolenia. - Szukali sił Imperium koło bazy Cavrilhu.

- Możliwe, ale pamiętaj, że mamy na to tylko słowa Qom Jha. Musimy sami wszystko sprawdzić.

- Mhm - Mara przyjrzała mu się uważnie. - Z tobą rozmawiają, tak?

- Dzięki Mocy - Luke umilkł z taką miną, jakby nasłuchiwał jakiegoś odległego dźwięku.

Mara sięgnęła po Moc, lecz oprócz normalnego ćwierkotania i szczebiotania dotarły do niej tylko doprowadzające do szału prawie zrozumiałe głosy. - Słyszysz? - spytał Luke.

- Słyszę, ale nie rozumiem - przyznała, zirytowana tym prawie tak samo jak faktem, że musiała zostać uratowana. - Co mówią?

- Chwilowo niewiele. Czekają na swojego negocjatora. Podczas kontaktów z podobną grupą zwaną Qom Qae dowiedziałem się, że to przywódca albo rzecznik grupy zwanej gniazdem.

- Coś mi się wydaje, że oni nie przepadają za Qom Qae.

- Wiem - ton Luke'a był nieco niepewny. - I chyba są dość niezadowoleni, że jednego przyprowadziłem ze sobą.

- Faktycznie nie jest to najuprzejmiejsze, co mogłeś zrobić.

- Ale on pomógł mi tu dotrzeć. Chciał cię zobaczyć i na pewno na to zasłużył, a poza tym to, co dzieje się na planecie, dotyczy najprawdopodobniej obu grup. - Całkiem możliwe - Mara rozejrzała się. - Gdzie ten twój przewodnik?



- Gdzieś w górze - Luke oświetlił sklepienie, wywołując poruszenie wśród zgromadzonych tam istot: każda kręciła się nerwowo, gdy spoczął na niej promień światła. Poza jedną, nieco mniejszą i jakby odrobinę ciemniejszą, wokół której skupiła się grupa innych. W przeciwieństwie do pozostałych, zwisających ze szczelin czy występów, siedziała na skalnej ostrodze i widać było, że nie jest jej najwygodniej. - To on? - upewniła się Mara.

- On - Luke przesunął promień światła ku podłodze. - Nazywa się Dziecko Wiatrów.

Mara przypomniała sobie niewielkie jaskinie, jakimi usiane były ściany wąwozu. - Qom Qae żyją na zewnątrz? - spytała.

- Jego gniazdo na pewno. A jego ojciec jest ich negocjatorem.

- Masz fart. Przyjaciele na stanowiskach zawsze mogą się przydać.

- Nie jestem pewien czy określenie „przyjaciele” jest najwłaściwsze. Nie dość, że rąbnęli mi myśliwiec, gdy tylko się odwróciłem, a on nie chce albo nie może powiedzieć, dokąd, to rozstaliśmy się z jego rodzicielami raczej w chłodnej atmosferze. Swoją drogą musiało ich być sporo, jeśli ruszyły myśliwiec.

- Mają wprawę - prychnęła. - Widziałam, jak ci tutaj zrobili to samo z moim Defenderem. Umieścili go w jaskini, tylko nie wiem, gdzie. Najwyraźniej mają ze sobą więcej wspólnego niż chcieliby przyznać.

- Defender stoi niedaleko. Artoo sprawdził go po drodze i wiemy, że jest w pełni sprawny.

- Miło słyszeć - odsapnęła z częściową ulgą: myśliwiec bez hipernapędu nie był wprawdzie środkiem transportu do domu, ale mogła przynajmniej w razie konieczności oderwać się od powierzchni. - Talon by mnie ukatrupił, gdybym go straciła po tych wszystkich wysiłkach włożonych w jego zdobycie. Kiedy zjawi się ze wsparciem? - Cóż, prawdę mówiąc... - Luke skrzywił się. - Powiedziałem mu, żeby nie wysyłał wsparcia. Mara poczuła nagłą suchość w ustach.

- Tak mu powiedziałaś... - za wszelką cenę starała się zachować spokój, choć jeśli Luke wrócił do starych nawyków wszechmocnego Jedi... - A nie sądzisz, że jak samowtór zaatakujemy całą fortecę pełną nieznanymi przeciwnikami to biedaki nie będą mieli żadnych szans?

- To nie tak! - zaprotestował z dość dziwną miną. - Nie uważałem za rozsądne sprowadzenia tu gotowej do walki armady. Zwłaszcza że podejmując decyzję nie wiedzieliśmy, czy jesteś więźniem, czy nie.

- To ma sens - przyznała z niejaką ulgą. - I zapewne dlatego nie masz też żadnego okrętu ukrytego na obrzeżach systemu? Dajmy na to krążownika czy czegoś równie poręcznego?

- Nie przypuszczam, żeby Nowa Republika mogła w tej chwili znaleźć gdzieś wolny transportowiec z

lekkim uzbrojeniem - wyjaśnił ponuro Luke. - Sytuacja w galaktyce zrobiła się całkiem parszywa. - Pozwól, że zgadnę: Caamas i Bothanie?

- Caamas, Bothanie i tysiące lokalnych konfliktów używających tych dwóch jako wymówki do dokończenia starych porachunków. Prawdę mówiąc, zaczynam wątpić, czy istnieje jakikolwiek sposób, by to powstrzymać.

- Ale radosna perspektywa - warknęła. - Umówmy się, że zajmiemy się problemami pojedynczo i po kolei, zgoda? Zaczniemy od potwierdzenia, czy ci Zagrożający to ci sami, których szukamy. Wydaje mi się, że po wyjściu z nadprzestrzeni zauważyłam jedną z ich jednostek, ale była za daleko, żebym mogła ją zidentyfikować.

- Tę sprawę mamy już załatwioną: to oni. Para takich maszyn najpierw mnie eskortowała, a potem próbowała zestrzelić. - Zatem wiemy też, po czyjej są stronie.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Luke. - Albo nie na stałe: może zdołamy ich przekonać... czekaj, zjawił się negocjator.

Mara wyczuła towarzyszącą temu falę oczekiwania.

- Chciałabym ich zrozumieć... ale chyba będziesz musiał tłumaczyć.

- Zastanawiam się, czy nie ma prostszego sposobu. - Luke zmarszczył brwi. - Daj mi rękę.

- Po co? - zdziwiła się Mara, lecz podała mu lewą dłoń.

- Mogę ich wyczuć - wyjaśnił, ujmując ją mocno prawą ręką. - A my potrafimy wyczuć siebie nawzajem, jeśli zdołamy stworzyć wystarczająco silną więź... - Warto spróbować. - Mara skoncentrowała się i sięgnęła po Moc: głosy stały się znacznie wyraźniejsze, przypominały teraz szept, odrobinę zbyt cichy, by go zrozumieć.

- Spróbujmy inaczej - Luke przysunął się do niej, przełożył dłoń Mary do lewej ręki, prawą zaś objął ją w pasie i dotknął głową jej głowy.

I w tym momencie dźwięki i uczucia, których dotąd raczej się domyślała, odebrała nagle jako w pełni zrozumiałe, słyszalne i jasne, zupełnie jakby ktoś dostroił niesprawny holoodbiornik.

„...negocjator tego gniazda Qom Jha” usłyszała słowa. „Nazywają mnie Zjadacz Ogniaków. Qom Jha są radośni, że w końcu przybyłeś”.

- Cieszymy się, że tu jesteśmy - odparł Luke poważnie. - Nazywam się Luke Skywalker, jak już prawdopodobnie wiecie. A to moja przyjaciółka i sojuszniczka, Mara Jade.

„Dlaczego ją do nas przyprowadziłeś, Mistrzu Sky Walker?” spytał Zjadacz Ogniaków dziwnie

ostrożnie, a towarzyszyła temu fala nieznanymi emocjami przetaczających się przez zebranych. Luke nieco się zdziwił pytaniem.

- Nie przyprowadziłem jej, przybyła tu z własnej woli - wyjaśnił. - Czy to stanowi jakiś problem?

„Nie dostałeś naszej wiadomości dotyczącej tej Jadeitowej Mara? Powinna już do ciebie dotrzeć”.

- Nie otrzymałem od was żadnej wiadomości. Kiedy i gdzie została wysłana?

„Nie rozumiem” przyznał Zjadacz Ogniaków podejrzliwie., „Jak to żadnych?”

- Po prostu żadnych - wyjaśnił cierpliwie Luke. - Nigdy o was nie słyszałem, a o istnieniu tej planety dowiedziałem się od przyjaciół Mary po jej zniknięciu. „Przecież wiadomość została dostarczona! Tak obiecał negocjator Qom Qae...” nagle Zjadacz Ogniaków zamilkł, machnął skrzydłami i poleciał zupełnie innym tonem „Ty, Qom Qae, wystąp i przemów w obronie swego gniazda”.

Pod sklepieniem coś się zakotłowało i Mara oświetliła Dziecko Wiatrów pikującego ku podłodze. W ślad za nim leciało trzech Qom Jha, próbując zmusić go do lotu w innym kierunku, ale mały był zwinniejszy - nagłym zwrotem uciekł im na moment i skierował się ku szczelinie w ścianie, tuż pod sklepieniem.

- Zostawcie go! - poleciał Luke. - To jeszcze dziecko.

„Należy do Qom Qae, więc jest odpowiedzialny za zdradzieckie postępowanie swego gniazda” stwierdził Zjadacz Ogniaków.

Luke puścił Marę i dał długi krok, by znaleźć się w sporej odległości od niej.

- Nie zrobicie mu krzywdy i zaniechacie prześladowań - rozkazał, uaktywniając miecz świetlny. - Zostawcie go w spokoju, sam go wypytam.

Jedi z aktywnym mieczem świetlnym stanowił widok skłaniający każdą inteligentną istotę do ostrożności i namysłu. Przynajmniej Mara zawsze obserwowała takie reakcje. Qom Jha albo nie zrozumieli, albo zlekceważyli to ostrzeżenie, uważając, że pięć metrów w pionie to wystarczająca ochrona przed świetlistym ostrzem. W jego blasku wyraźnie było widać Dziecko Wiatrów, próbującego wcisnąć się jak najgłębiej w szczelinę i bezskutecznie oganiającego się przed trzema krążącymi wokół napastnikami. Kiedy kolejna grupa oderwała się od sufitu, kierując się w stronę zamieszania, Mara miała dość. Zdecydowała, że najwyższy czas przypomnieć im, z kim mają do czynienia, toteż przerzuciła pręt oświetleniowy do lewej dłoni, płynnym ruchem wydobyła miotacz z kabury i trzykrotnie strzeliła, celując tak, by trafić wokół schronienia młodego Qom Qae.

Z pełnym zaskoczenia wrzaskiem atakujący umknęli przed wyładowaniami i gradem odłamków sypiących się ze skał, a potem grzecznie przycupnęli na suficie, z dala od szczeliny. Ich negocjator musiał wydać jakieś polecenie, ponieważ w jaskini zapanowała cisza.

- Przed chwilą nazwałeś go Mistrzem - zawołała Mara. - To może byś się zdecydował, czy uważasz go za Mistrza Jedi, któremu należy się szacunek i posłuszeństwo, czy nie?! Usłyszała znajome dźwięki i dodała ciszej: - Proszę o przekład.

- Powiedział, że nie masz prawa odzywać się w ten sposób do negocjatora Qom Jha - przetłumaczył Luke, przekładając miecz do drugiej dłoni i podchodząc do niej. Zajął poprzednią pozycję, nie spuszczać jednak wzroku z sufitu, i gdy ich głowy się zetknęły, Mara znów sama wszystko słyszała i rozumiała.

„... i nawet teraz kulisz się ze wstydu. Zaprzeczysz, że jesteś tą samą Marą, która latała z członkami gniazd Imperium?”

- Mógłbyś mówić jaśniej? - zaproponował podejrzenie spokojnie Luke.

„Mieszkający w Wysokiej Wieży robili koło tej istoty dużo zamieszania i ostro się targowali” odparł ponuro Zjadacz Ogniaków. „Może nasze zaufanie do ciebie, Mistrzu Sky Walker, oparte jest na kruchej skale”.

- A może te kruche skały macie w głowie? - zasugerowała Mara rzeczowo. - Jeśli sojusznicy Imperium dużo o mnie mówią, to dlatego, że jestem na czele ich listy poszukiwanych wrogów. Czy też może nie fatygowałeś się, żeby wysłuchać całej rozmowy?

Zjadacz Ogniaków zamachał skrzydłami, ale jakoś niepewnie.

„Ich język nie jest łatwy do zrozumienia” przyznał. „Lecz zostaliśmy już zdradzeni przez Qom Qae i nie chcielibyśmy teraz zostać ponownie przez was. Mistrzu Sky Walker, powiedziałaś, że zmusisz tego Qom Qae do przemówienia w obronie jego gniazda?”

- Powiedziałem, że z nim porozmawiam - poprawił go Luke, gasząc ostrze miecza. - Dziecko Wiatrów, możesz tu spokojnie przylecieć.

Po chwili wahania młody Qom Qae wygramolił się ze szczeliny i opadł na kamień w pobliżu Luke'a.

„Jestem, Mistrzu Sky Walker” oświadczył, na wszelki wypadek przyglądając się czujnie sklepieniu.

- Czy twoje gniazdo otrzymało wiadomość dla mnie lub dla Nowej Republiki od tego gniazda Qom Jha? - spytał Luke. - I czy wasz negocjator obiecał Zjadaczowi Ogniaków, że taką wiadomość lub wiadomości dostarczy?

Dziecko Wiatrów wyglądał, jakby miał zamiar przykryć się skrzydłami i nawet bez użycia Mocy łatwo było stwierdzić, że czuje się winny.

„Nie mam prawa negocjować w imieniu mojego gniazda" pisnął. „Łowca Wiatrów..."

„Jest nieobecny" przerwał mu Zjadacz Ogniaków. „Odpowiedz na pytania". Dziecko Wiatrów wyraźnie zapadł się w sobie.

„Jest tak jak mówisz" przyznał wreszcie niechętnie.

- Sympatyczne - warknęła Mara. - Mogliśmy dowiedzieć się o tym miejscu lata temu!

- Na to wychodzi - zgodził się Luke. - Dlaczego wiadomości nie zostały dostarczone?

„Łowca Wiatrów doszedł do wniosku, że to byłoby niebezpieczne. Qom Qae musiałby przyczepić się do latającej maszyny Zagrożających i odbyć długą podróż przez zimno i ciemność, zanim zdołałby do ciebie dotrzeć".

„To nie powód, żeby zdradzać zawartą umowę" ocenił pogardliwie Zjadacz Ogniaków. „Lataliście przez zimno i ciemność wiele razy, a przynajmniej tak chwalił się wasz negocjator. Przyznaj, że zdradziliście ze strachu i tchórzostwa".

„Wy jesteście bezpieczni w jaskiniach" odpalił Dziecko Wiatrów. „My żyjemy na otwartej przestrzeni". „Czyż Zagrożający nie są groźbą dla wszystkich?"

„A czy przychodzą do waszych jaskiń i mszczą się? Mszczą się tylko na Qom Qae".

„A czy Qom Jha nie ryzykowali życia, żeby się dowiedzieć, co Zagrożający planują? Czy nadal nie ponosimy takiego ryzyka?"

„A dowiedzieliście się chociaż czegoś naprawdę istotnego?" prychnął młody Qom Qae. „Właśnie wzięliście sojuszniczkę Mistrza Jedi Sky Walkera za latającą z gniazdami Zagrożających".

- Dość! - zawołał Luke. - Co się stało, to się nie odstanie i nie warto teraz rozważać, czyja wina jest większa. Wiadomości nie zostały dostarczone, zgoda, ale przybyliśmy tu i jesteśmy gotowi wam pomóc.

- Pytanie tylko, czy wy jesteście godni naszej pomocy - dodała Mara.

-Co ty wy...

- Cicho bądź i zaufaj mi - szepnęła, przerywając mu w pół słowa. - Słucham Zjadacza Ogniaków. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy.

„Boimy się Zagrożających" przyznał w końcu niechętnie Zjadacz Ogniaków. „Qom Qae i Qom Jha razem latają w cieniu ich szponów. Chcielibyśmy nie mieć tego zagrożenia, jeśli się zgodzicie".

- Dobrze rozumiemy wasze pragnienia, ale nie o to pytałam. Zapytam inaczej: czy zasługujecie na naszą pomoc, a jeśli tak, to jak zamierzacie to udowodnić. , A jakich dowodów szukasz?"

- Na początek oczekujemy przewodników i pomocy w dotarciu do Wysokiej Wieży, bo zakładam, że dostajecie się do niej, nie opuszczając tego systemu jaskiń - wyjaśniła Mara. - Później, gdy tam dotrzemy, będziemy potrzebowali kilku z was do rozpoznania terenu i przygotowania dywersji.

„Wasza prośba oznacza niebezpieczeństwo dla tego gniazda" zamachał skrzydłami negocjator.

- A wasza prośba oznacza niebezpieczeństwo dla nas - skontrowała Mara. - Wolisz, żebyśmy zrezygnowali z całego przedsięwzięcia i wrócili do domu?

Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań pomiędzy Qom Jha, zbyt szybkich i zbyt obcych, by Mara zdołała je zrozumieć.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - szepnął Luke.

- Jak byś tego nie ujął, przewodnicy są nam potrzebni, a z podobnymi kulturami miałam już do czynienia. Jeśli ktoś określa swego wodza mianem „negocjatora", spodziewa się targów i negocjacji przy uzgadnianiu każdej kwestii. Dawanie im czegoś za darmo w nadziei, że się odwdzięczą, z zasady kończy się tym, że stają się podejrzliwi. „Co ze mną zrobisz, Jedi Sky Walker?" spytał niespodziewanie Dziecko Wiatrów. - Załatwię ci bezpieczną drogę z powrotem do gniazda - zapewnił go Luke. - Nie musisz się o nic obawiać.

„Nie mogę wrócić" oznajmił niespodziewanie Qom Qae, garbiąc skrzydła. - Dlaczego? - zdziwił się Luke.

„Nie przyjmą mnie. Nie posłuchałem negocjatora Qom Qae i nie wolno mi wrócić do gniazda".

- Nie przyjmą cię w ogóle? - Luke uśmiechnął się ironicznie. - Czy nie przyjmą cię bez kary?

„Wolałbym udać się z wami do Wysokiej Wieży" przyznał szczerze Dziecko Wiatrów. „Jeśli zobaczę, jakie zagrożenie stanowią tamci, będę w stanie lepiej ich zrozumieć. Może zdołam przekonać innych Qom Qae, żeby wam pomogli".

- Mówiłam, że to urodzeni przekupnie? - zauważyła Mara cierpko.

- Zaczynam rozumieć, co miałaś na myśli - przyznał tym samym tonem Luke. - Doceniam twoją ofertę, Dziecko Wiatrów, ale to bardzo niebezpieczna wyprawa. „A twoja maszyna weźmie w niej udział?" Mara odruchowo spojrzała na stojącego z boku i chwilowo zapomnianego droida, który popiskiwał sobie cichutko. - Trafne pytanie - oceniła. - Artoo będzie opóźniał marsz.

- To prawda, ale jeśli chcemy mieć szansę wejścia w system komputerowy fortecy, musimy go zabrać.

- Zakładając, że w ogóle uda się nam podłączyć do ich sprzętu. To obcy, gdybyś przypadkiem zapomniał.
- Ale używają imperialnych rozwiązań technicznych, co widać choćby po ich sprzęcie latającym - przypomniał Luke. - Istnieje spora szansa, że podobnie mają się sprawy z komputerami.

„Jeśli twoja maszyna idzie z wami, to dlaczego ja nie mogę?” odezwał się ponownie Dziecko Wiatrów. „W oświetlonym i przestronnym wnętrzu Wysokiej Wieży będę na pewno lepszym zwiadowcą niż ci jaskiniowcy”.

- Tylko że ty nic nie wiesz o Wysokiej Wieży, a oni wiedzą - zauważył Luke. - A poza tym, biorąc pod uwagę rywalizację między waszymi gniazdami, wątpię, by Zjadacz Ogniaków chciał tolerować twoją obecność na ich terenie dłużej niż to naprawdę konieczne.

„W takim razie może już pora zakończyć tę rywalizację”. Dziecko Wiatrów rozpostarł skrzydła. „Może najwyższy czas, żeby jeden odważny i honorowy Qom Qae stanął na kruchej skale, udowadniając, że wcale nie rozsypuje się pod szponami”. Mara i Luke spojrzeli po sobie zaskoczeni. - Ty? - zaryzykował Luke.

„Wątpisz w moje zdecydowanie?” obruszył się Dziecko Wiatrów. „Sprzeciwiłem się negocjatorowi własnego gniazda, by cię tu przyprowadzić”.

- Nie kwestionuję twego zdecydowania - zapewnił go Luke. - Tylko widzisz...

„A więc chodzi o mój wiek”. Qom Qae zmarkotniał. „Nie wierzysz, aby dziecko nadal nazywane imieniem ojca było zdolne do osiągnięcia poważnego celu”. Mara zauważyła nagle, że dyskusja pod sklepieniem ucichła - tak Zjadacz Ogniaków, jak i pozostali Qom Jha uważnie słuchali toczącej się w dole rozmowy. Przyszło jej też na myśl, że jeśli będzie im towarzyszył przedstawiciel rywalizującego z Qom Jha gniazda, to ten lub ci, którzy z nimi polecą, będą się podwójnie starać, by udowodnić, jak potrafią być pomocni.

- Twój wiek także nie jest przeszkodą - wtrąciła się do rozmowy. - W końcu ja też nie byłam pełnoletnia, gdy wykonałam pierwsze zadanie dla Imperatora, a Luke jako nastolatek został pilotem myśliwskim Rebelii.

Czuła zaskoczenie Luke'a, ale musiał się domyślić, o co jej chodzi, gdyż dodał gładko:

- Mara ma rację. Często chęć nauczenia się czegoś nowego i determinacja są ważniejsze od wieku i doświadczenia.
- Ale chęć do nauki oznacza też słuchanie rozkazów - sprecyzowała natychmiast Mara. - Jeśli któreś z nas każe ci stanąć, ruszyć się, zrobić unik czy uciekać, masz to natychmiast zrobić, a dopiero potem pytać. Jasne?

„Będę wykonywał wasze polecenia bez pytań” przyrzekł poważnie Dziecko Wiatrów. „Nie pożałujecie swej decyzji”. Luke spojrział wyczekująco w górę i powiedział: - Qom Qae ofiarowali nam usługi syna swego negocjatora. Co zaproponują Qom Jha jako dowód ich przydatności?

„Taką ofertę w rzeczy samej trudno zrównoważyć” ton Zjadacza Ogniaków wręcz ociekał sarkazmem. „Qom Jha mogą jedynie próbować”.

Machnął skrzydłami i trzech dorośli Qom Jha opadli spod sklepienia, lądując na skalnych występach przed Lukiem i Marą.

„Rozbijacz Kamieni, Dotrzymujący Obietnic i Budujący z Pnączy wielokrotnie byli w Wysokiej Wieży, pokonując kryjące się w niej niebezpieczeństwa” oznajmił Zjadacz Ogniaków. „Będą was prowadzić i strzec przed zagrożeniami czyhającymi w jaskiniach, najlepiej jak potrafią”.

- Dziękujemy. - Luke skłonił się lekko. - Wygląda na to, że Qom Jha rzeczywiście warci są naszej pomocy.

„Cieszy nas, że tak uznaliście. Droga jest jednak daleka i takim jak wy, nie umiejącym latać, zajmie kilka cykli słonecznych. Gdy dotrzecie do wejścia, wyślijcie posłańca, a dołączą do was następni myśliwi Qom Jha jako dodatkowa ochrona”. - To rzeczywiście będzie cenna pomoc - przyznał Luke.

-Dziękujemy raz jeszcze. - Skoro zrobiło się tak miło, to czas na parę drobiazgów - wtrąciła niespodziewanie Mara. - Chcę dostać z powrotem mój blaster i miecz świetlny!

„Zostaną natychmiast zwrócone” obiecał Zjadacz Ogniaków. „Zobaczymy się jeszcze, Mistrzu Sky Walker, więc do widzenia”.

I odleciał w ciemność, nie rozświetlaną już blaskiem lampy i pręta. W ślad za nim zrobili to pozostali Qom Jha, tak że minutę później pozostali jedynie trzech przewodnicy i Dziecko Wiatrów.

- Wygląda na to, że metoda okazała się skuteczna - skomentowała Mara.

- Wygląda - przyznał Luke. - Cofam i przepraszam.

- Co cofasz?

- Wszelkie wątpliwości, jakie miałem. Byłaś doskonała. Kiedy będziesz gotowa do drogi?

- Gotowa to ja już jestem - odparła, przyglądając mu się krytycznie. - W końcu siedziałam na tyłku dwa tygodnie, a do roboty miałam tylko liczenie kamieni. Pytanie jest nieco innej natury: kiedy ty będziesz gotów, bo sądzę, że przydałoby ci się kilka godzin odpoczynku. Artoo ćwierknął potwierdzająco i z uczuciem.

- On też tak uważa - uśmiechnął się Luke. - Ale myślę, że trzeba ruszać: jak słyszałaś, czeka nas daleka droga.



- A ty masz milion ważniejszych spraw na głowie - dodała, czując nowy przypływ winy. - Tego nie powiedziałem.

- Co nie znaczy, że to nieprawda - warknęła. - Słuchaj, jestem pewna, że Qom Jha i ja... - Nie - przerwał jej natychmiast i nieco za ostro.

- Ktoś ci tu zdążył nadepnąć na odcisk? - spytała zaskoczona.

Luke zdążył się jednak opanować i zamaskować.

- Jestem tu potrzebny - powiedział cicho. - I nie pytaj mnie, dlaczego.

Przez kilka chwil przyglądali się sobie; Mara próbowała użyć Mocy, ale emocje Luke'a były równie wymowne, jak jego twarz.

- Zgoda - powiedziała w końcu. - Tylko się dopakuję. Karrde nie dał ci przypadkiem zapasowego pręta oświetleniowego czy innej latarki?

- Dał mi trzy, są w prawej bocznej kieszeni. Mówiłaś, że gdzie jest ten strumień? Skoro mamy manierki z filtrami to nie warto nosić ich pustych.

- Zaraz cię zaprowadzę - obiecała, przekładając latarkę do swojego plecaka i dopinając w obu kieszenie.

Zdecydowała, że teraz nie będzie go wypytywać, ale jak najszybciej spróbuje wrócić do tematu. Ponieważ Luke postanowił zostać i coś go poważnie niepokoiło. A to, co do tego stopnia niepokoiło Rycerza Jedi, zasługiwało na uwagę.

- Dobra. - Wstała i zarzuciła na ramiona mniejszy plecak. - Chodź za mną i uważaj na czym stajesz.

# ROZDZIAŁ 7

- Proszę uprzejmie - oznajmił radośnie Han, wskazując widok za oknem kabiny. - Pakrik Minor. Niewiele jest do podziwiania, prawda?

- Jest piękna - zapewniła go Leia, przyglądając się błękitno--zielonej planecie.

Widok sam z siebie nie był oszałamiający, lecz w połączeniu z perspektywą prawdziwych wakacji, bez polityki, senatu, starych zemst i nowych pretensji, nabierał znacznie większego uroku. Nawet brak dzieci i Noghri stanowił pewną atrakcję. - Mówiłeś, farmy i lasy? - upewniła się.

- Zgadza się. Kiedy byłaś na uroczystym zamknięciu, Sakhisakh przekazał mi informację, że znaleźli przytulną gospodę, prowadzoną przez rodzinę farmerów, na skraju jednego z lasów.

- Brzmi wspaniale - rozmarzyła się. - Nadal narzekał, że muszą na nas poczekać na dole?

- Cały czas jest nieszczęśliwy. - Han wzruszył ramionami. -Po Bothawui przestałem mu się dziwić. Ale wiedzą co to znaczy słuchać rozkazów, a poza tym ulżyło mu kiedy dostał wiadomość o fałszywym transponderze. - O czym? - Leia zamrugła gwałtownie.

- A co, nie mówiłem ci? - zdziwił się Han. - Zabrałem jeden z przemytniczych transponderów i fałszywe dokumenty, żeby przypadkiem nikomu nic się nie kojarzyło. - Wiesz, że nie możemy tak postępować?

- Ale właśnie postępujemy - zapewnił ją niewinnie. - Poza tym to ja miałem wszystko zorganizować, a ty się nie wtrącać. Tak się umówiliśmy, prawda? - Nie przypominam sobie, żeby w programie figurowało łamanie prawa - odpaliła, lecz ku własnemu zdziwieniu stwierdziła, że fałszywe dokumenty nie wywołały u niej najmniejszego poczucia winy. Zresztą na dobrą sprawę nie było o czym mówić; po aktywnym powstaniu przeciw legalnemu rządowi, w którym to powstaniu znalazła się w gronie przywódców, reszta wydawała się naprawdę drobiazgiem. - Nie udałoby ci się, gdyby Threepio tu był.

- Pewnie musiałbym go wyłączyć - przyznał Han. - Albo wysłuchać litanii nieszczęść, które nas za to spotkają.

- Przyznaj się, że ci go brakuje - uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie przyznam się. Tylko... nieważne. - Co, nieważne?

- Threepio ostatnio kojarzy mi się z Talonem, a mam dziwnie mieszane uczucia odnośnie tej całej

Shady, która poleciała razem z nim. Wiem, że nie wykryłaś u niej śladów zdradzieckich intencji, ale mam dziwne wrażenie, że sprawi nam kłopoty. Shada D'ukal, przenikając nie zauważona przez ochronę Noghri, udowodniła, iż może być cennym sprzymierzeńcem albo groźnym przeciwnikiem. Mówiła, że pierwszym, ale Leia również nie była tego do końca pewna.

- Też mi się to średnio podoba, ale Talon to duży chłopiec, a pomysł, żeby ją zabrać, wyszedł od niego. Miałaś okazję złapać Mazzica i spytać o nią tak na marginesie? - Puściłem informację, że chcę z nim rozmawiać, ale do naszego odlotu nie odezwał się. Teraz naturalnie, nawet jeśli się odezwie, musi poczekać do naszego powrotu. - Czy to znaczy, że nawet swoim znajomym przemytnikom nie powiedziałaś, gdzie się wybierasz? - Leia uniosła brwi. - Naprawdę chcesz, żebyśmy mieli wakacje? - Miłe, że w końcu to do ciebie dotarło.

W kabinie zapanowała cisza. Leia, przyglądając się rosnącej przed nimi planecie, próbowała przywrócić nastrój sprzed rozmowy o Shadzie, ale z jakichś powodów spokój nie chciał wrócić. Sięgnęła po Moc, próbując uspokoić myśli i emocje... Na tablicy przyrządów włączył się alarm zbliżeniowy.

- Kupa durni! - Han zmarszczył brwi i popatrzył na ekran. - Co oni wyprawiają? Leia nagle zrozumiała. -Uważaj!

Han zareagował instynktownie - stare przemytnicze odruchy, połączone z zaufaniem do zdolności Jedi Leii spowodowały, że położył „Sokoła” w gwałtowny skręt uniku z równoczesną utratą wysokości...

Sekundę później przemknęła nad nimi para czerwonych wyładowań z działek laserowych.

- Osłony! - poleciał, wyrównując na moment lot, by przejść do kolejnego uniku. Leia zdążyła już włączyć generator pola.

- Są - oznajmiła, uaktywniając systemy uzbrojenia i spoglądając na ekran: pojawiły się na nim trzy punkty wielkości myśliwców, bez żadnej identyfikacji, próbujące powtórzyć manewr Hana. -To część rozrywki?

- Raczej spontaniczna: ja jej nie zamawiałem. Dzięki za ostrzeżenie.

- Prawie go nie dostałeś - przyznała, kierując zdalnie górną wieżyczką artyleryjską. - Kimkolwiek by nie byli ci piloci, są dobrzy.

- Nie chcę tego słyszeć. - Leia włączyła moduł łączności. - Czas wezwać pomoc. W tej dziedzinie napastnicy okazali się równie dobrzy.

- Zakłócają na wszystkich pasmach - poinformowała ponuro Hana po chwili. - Nawet na naszych prywatnych częstotliwościach.

Kolejne wiązki skondensowanego światła przemknęły bliżej. Leia odpowiedziała ogniem poczwórnych działek górnej wieżyczki, ale ponownie bez efektu.

- Mówiłem, że są dobrzy - mruknął Han w połowie kolejnego uniku. - Poczekali, aż zbliżymy się do planety na tyle, żebyśmy nie mogli wejść w nadprzestrzeń! - Są zbyt zwrotne, nie mamy szans na trafienie ich zdalnie z kabiny - oceniła Leia. - Wiem. Pójdę do górnej wieżyczki, przejmij stery.

Leia skrzywiła się - w przypadku zaniku tarcz siłowych strzelca dzieliła od kosmicznej pustki tylko cienka warstwa transparistali, co oznaczało śmierć przy pierwszym trafieniu. Nie zmieniało to jednak faktu, że jedno z nich musiało zostać strzelcem, jeśli chcieli mieć szansę przeżycia, a z działek laserowych Han zawsze strzelał celniej. - Jestem gotowa - powiedziała, ujmując stery drugiego pilota. - Masz jakieś sugestie odnośnie strategii?

- Nie daj się trafić - odparł, wychodząc z pętli. - Bierz stery!

Przełączył sterowanie na drugi fotel i wstał. -Masz je? - Mam. Uważaj na siebie.

- Jasne - mruknął i opuściłabinę.

Leia dała mu pięć sekund na dotarcie do schodni i zanurkowała, kładąc równocześnie frachtowiec na burtę.

Zazwyczaj ogłupiało to skutecznie pościg, który mijał cel ze zbyt dużą prędkością. Teraz nie oszukała nikogo - rufowy ekran pokazywał, że napastnicy trzymali się „Sokoła” niczym wygłodniałe mynocki. Kolejna salwa przemknęła obok, lecz tym razem jeden z promieni otarł się o osłonę siłową.

- Jestem w wieżyczce - rozległ się w interkomie głos Hana. -Jak ci idzie?

- Nie tak dobrze, jak bym chciała. Wstrzelali się.

- Zauważyłem. Nie bój się, „Sokół” wytrzyma, daj mi jeszcze tylko kilka sekund. - Spróbuję - obiecała, zaczynając kolejną serię uników i równocześnie żałując, że nie jest w stanie wymyślić niczego oryginalnego, ale za rufą miała dobrych pilotów w zwrotnych maszynach, a przed dziobem coraz bliższy dysk planety... - Han, spróbuję lecieć na Pakrik Minor. Nawet przy pełnym zagłuszeniu, jeśli znajdziemy się wystarczająco blisko, ktoś powinien zauważyć, co się święci i ogłosić alarm.

- Niezły pomysł, tylko uważaj: ani „Sokół”, ani ich maszyny nie zostały skonstruowane do akrobacji w atmosferze. Aha! -Co?!

- Trafiłem jednego i chyba przeładowałem mu generator pola.

Co chwilowo niczego im nie dawało. Leia wykonywała uniki, jakie tylko zdołała wymyślić, wyciskając co się dało z napędu podświetlnego i kierując się ku planecie, a Han strzelał, tyle że z miernym skutkiem. Pościg także w większości pudłował, ale zasypywali frachtowiec taką lawiną

ognia, że strzały, które trafiały, stopniowo, lecz nieustannie zmniejszały wytrzymałość pola siłowego. Wskaźniki z zielonych powoli zmieniały się na czerwone, przypominając Lei zvariowany przelot, kiedy uciekali z Gwiazdy Śmierci. Tylko wówczas byli z nimi Luke, Chewie i oba droidy, „Sokół” był młodszy i miał większy temperament, a na dodatek Vader i Tarkin chcieli, żeby ucieczka się udała... Wspomnienia zniknęły w jaskrawym rozbłysku gdzieś w górze i za rufą „Sokoła”. -Han!

- Dostałem drania! Zostało jeszcze dwóch! Co u ciebie?

- Straciliśmy stabilizatory jonowe i mamy mniej niż pół mocy napędu podświetlnego. Tarcza rufowa wygląda tak, jakby miała zamiar zniknąć przy pierwszej celnej salwie. Góra, przy drugiej -odparła po sprawdzeniu przyrządów.

- To chyba czas spróbować czegoś chytrego... robiłaś kiedyś zwrot przemytniczy? - Raz czy dwa. Próbowałam już stójki z opadem, ale nic nie dała. Zwrot przemytniczy pewnie też znają.

- Pewnie znają, tylko ty go wykonasz po mojemu. Obróć „Sokoła” o sto osiemdziesiąt stopni, jakbyś chciała zatrzymać się w miejscu, ale zamiast to zrobić, dokończ obrót i gdy będziesz znowu celowała dziobem w planetę, daj pełny ciąg. To ich powinno zaskoczyć. - A jak nie zaskoczy?

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Daj im parę sekund, żeby się rozpędzili, i potem zrób normalny zwrot przemytniczy. Nawet bez odrobiny szczęścia powinni przelecieć obok nas.

- Albo w nas wlecieć - skrzywiła się Leia. - Jesteś gotów?

- Jestem.

- No to zaczynamy! - Leia zacisnęła zęby, odcięła napęd i obróciła frachtowiec wokół własnej osi: gwiazdy przejechały niczym na karuzeli - dwa obce myśliwce przemknęły przez pole widzenia, hamując, by nie przelecieć obok „Sokoła” - a gdy przed dziobem ponownie ukazał się Pakrik Minor, dała pełny ciąg, trzymając sztywno stery, żeby nie zachowywać się jak bąk. - Han?

- Doskonale. - W jego głosie dała się słyszeć ponura satysfakcja. - To pełna szybkość? -Pełna.

- W porządku... przygotuj się do zwrotu... Teraz!

Leia ponownie odcięła napęd i zmusiła frachtowiec do obrotu, ale teraz wygasiała go w połowie, mierząc prosto w nadlatujące myśliwce, opromienione blaskiem własnych napędów. I dała pełny ciąg. Musiała przyznać, że napastnicy próbowali, i to naprawdę uczciwie, ale nawet przy zdecydowanie mniejszej masie mieli znaczną inercję, a przy pełnym ciągu po prostu fizycznie nie byli w stanie się zatrzymać. Czuła ich bezsilną wściekłość, gdy mijali „Sokoła”.

A raczej jeden mijali, bo drugi trafił we frachtowiec z siłą, która wyrzuciła Leię z fotela.

- Leia! - krzyk Hana przebił się przez zgrzyt metalu i wycie paru alarmów, każdego w innej tonacji. -

Leia! - Nic mi nie jest! - odkrzyknęła. - Tracimy atmosferę?

- Nie... nie wiem - zamruwała gwałtownie, wpatrując się w stosowne przyrządy, ale coś uporczywie przesłaniało jej wzrok, toteż przetarła oczy. - Nie. Kadłub jest szczelny. Ale napęd podświetlony i grawitacyjny... - Zaraz tam będę!

Kątem oka dostrzegła nagły blask i uniosła wzrok. - Pakrik Minor przesunął się dostojnie przed dziobem, a na samym środku jego tarczy zauważyła ostatniego napastnika, gorączkowo manewrującego, by wytracić szybkość. Prawie mu się udało, gdy Han trafił go prosto w kadłub z podwójnie sprzężonych czterech działek laserowych. Kiedy rozwiął się ogień eksplozji, po myśliwcu nie zostało ani śladu.

- Natrętów mamy z głowy - podsumował Han. - Zaraz będę w kabinie.

Leia skinęła głową i ponownie przetarła oczy, koncentrując uwagę na konsolce - napęd podświetlony nie działał, ale nie wiedziała, co konkretnie zostało zniszczone. Podobnie rzecz się miała z anty-grawitacyjnym, więc wywnioskowała, że napastnik musiał ich trafić w dolną, rufową część kadłuba, a jego szczątki dodatkowo przeorały spód „Sokoła”. No i trafił ich z boku, ponieważ frachtowiec cały czas powoli kręcił się wokół własnej osi. Uruchomiła pomocnicze silniczki korygujące, próbując wyprostować lot, i dopiero wówczas zauważyła krew na dłoni, którą przed chwilą otarła oczy. Sięgnęła po Moc, zlokalizowała ranę na czole i zaczęła przyspieszony proces leczący techniką Jedi, gdy na sąsiedni fotel opadł Han.

- Zobaczmy... - mruknął, uaktywniając przyrządy w swojej części konsoli, po czym spojrzał na Leię i aż go podniosło z fotela. - Leia...!

- To tylko skaleczenie - zapewniła go. - Co zrobimy z napędem?

- Naprawimy, a co mamy zrobić? - zdziwił się, wstając. - I lepiej zaraz się za to zabrać! Po czym wybiegł.

Leia skończyła wygaszać ruch obrotowy frachtowca i uniosła głowę. I omal nie zakłęta - Pakrik Minor wypełniał wszystkie okna kabiny, dosłownie rosnąc w oczach. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia - co prawda „Sokół Millennium” towarzyszył im przez całe wspólne życie, a Hanowi znacznie dłużej, ale szczytem głupoty byłoby ryzykowanie życia dla statku. Hanowi będzie przykro, lecz za najrozsądniejsze wyjście uznała użycie kapsuły ratunkowej. Wdusiła klawisz uaktywniający wszystkie, jakie mieli na pokładzie. Nic się nie stało.

- No nie! - jęknęła, wciskając go ponownie.

Z tym samym, czyli żadnym skutkiem. Ani jedna kapsuła nie była sprawna. A oni lecieli uwięzieni we wraku bezwładnie opadającym ku powierzchni planety. Przełknęła ślinę i sięgnęła do przełącznika modułu łączności - teraz już nie miał kto ich zagłuszać, więc może uda się sprowadzić pomoc... Jej dłoń zamarła w połowie ruchu, gdy Leia dostrzegła czerwoną kontrolkę palącą się obok przełącznika

- łączność także padła ofiarą zderzenia. Zostali sami i odcięci od reszty galaktyki. I mieli zginąć.

Wzięła głęboki oddech, sięgając po Moc w uspokajającej technice, której nauczył ją Luke: na pewno nie był to odpowiedni czas na panikę.

- Han, kapsuły ratunkowe nie funkcjonują- zawołała w miarę już spokojnym głosem.

- Zauważyłem po drodze. Spróbuj uruchomić dopalacz.

Leia odszukała właściwy przełącznik i nadusiła.

- I co?

- Na razie nic - dobiegło z korytarza. - Spróbujemy czegoś innego. - Chcesz, żebym przyszła ci pomóc?

- Chcę, żebyś siedziała za sterami i rozglądała się. Jeśli tylko zauważysz jakiś statek, spróbuj sekwencji alarmowej z działek.

Nie dodał głośno, ale oboje o tym pomyśleli, że jeszcze powinna mieć nadzieję, iż jednostka ta nie okaże się wsparciem rozstrzelanych napastników. - Jasne - odparła i zaczęła się rozglądać.

Mijały minuty, czerwone światelka alarmowe kolejno gasły lub zmieniały barwę na zieloną, ale działało się to zdecydowanie zbyt wolno: kabinę zaczął wypełniać początkowo cichy, potem zaś coraz głośniejszy świst powietrza, gdy frachtowiec przebijał się przez górne warstwy atmosfery Pakrik Minor. Głęboka czerń przestrzeni zmieniła się w granat, a pozbawiony osłon siłowych kadłub coraz bardziej się nagzewał. Widoczna w dole powierzchnia planety zaczęła nabierać kształtów - dało się rozpoznać morza, łańcuchy górskie i równiny.

- Spróbuj jeszcze raz - głos Hana przerwał coraz cięższą ciszę.

- Już! - Tym razem naciśnięciu przełącznika towarzyszył basowy pomruk napędu. - Pięknie - ucieszył się Han. - Tylko nie radzę od razu stopować, bo ta prowizorka nie wytrzyma. Spróbuj łagodnie wyhamować i jeśli znasz jakieś sztuczki Jedi, to masz chyba najwłaściwszą okazję do ich użycia. - Już próbowałam - przyznała niechętnie.

Rzeczywiście, próbowała od momentu, w którym zorientowała się, co im zagraża. Jedyne, co jej się udało, to uspokojenie samej siebie i w pewien sposób Hana, żeby mógł się lepiej skoncentrować na naprawie. Nie była w stanie połączyć się z zielonym adeptem ani istotą wrażliwą na Moc. Moc też nie podsunęła jej żadnego pomysłu, więc nie potrafiła ani zatrzymać spadającego frachtowca, ani wezwać pomocy. Pocieszała ją nieco nieobecność Threepio, bo jego pesymizm dopiero by wszystkich dobił. No i na szczęście dzieci pozostały bezpieczne pod opieką Chewiego i kontyngentu Noghri. Posłała im pieniądze, zdając sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie dotrze do nich. W tym momencie włączył się alarm zbliżeniowy...

I ku zaskoczeniu Lei nad „Sokołem” przemknęła niewielka jednostka.

- Han! Właśnie pojawił się... - urwała nagle, gdyż przybysz zwolnił, ustawiając się z przodu i nieco wyżej, dzięki czemu miała okazję mu się przyjrzeć... - Statek? - ucieszył się Han. - Gdzie?

Do pierwszej jednostki dołączyła druga, ustawiając się wyżej i z prawej, po chwili trzecia zajęła pozycję wyżej z lewej, a rufowy ekran pokazywał czwartą, lecącą nad silnikami.

- Nieważne, gdzie - powiedziała ciszej. - To imperialne myśliwce przechwytyjące TIE Interceptor.



# R O Z D Z I A Ł 8

- Co?! - Z korytarza dała się słyszeć seria metalicznych łomotów, towarzysząca kontaktowi narzędzi z pokładem. - Czekał, już idę!

Lecące tym samym kursem i z tą samą co „Sokół” prędkością myśliwce były w doskonałym stanie, więc Leia z czystej ciekawości zastanowiła się, skąd się mogły wziąć. Imperium nie zaatakowało całego systemu, bo to nie miałyby sensu: konferencja już się skończyła i delegaci wracali na swoje planety. Gdyby chodziło o atak zakrojony na szeroką skalę, należało go przeprowadzić w czasie konferencji, a imperialny wywiad nie był aż tak nieudolny, by o tym nie wiedzieć. Co oznaczało, że nadleciało wsparcie pierwszej fali napastników i że zjawili się, aby dopilnować wykonania zadania. Han wyhamował z piskiem obcasów obok jej fotela.

- Co robią? - spytał i przekrzywił głowę, chcąc lepiej widzieć.

- Nic - odparła zdziwiona, ponieważ dopiero w tym momencie dotarło do niej, że napastnicy zachowują się co najmniej dziwnie. Bezczynnego obserwowania, jak spadają i rozbijają się, mogła oczekiwać od sadystycznych moffów czy niektórych wyższych rangą oficerów imperialnych, ale nie od pilotów liniowych.

- Zaczynają manewrować - ożywił się Han. - Widzisz tego z lewej? Zbliża się.

- Tylko po co?

Niemal natychmiast poznała odpowiedź - w doskonale zgranym manewrze cztery myśliwce równocześnie odstrzeliły z kadłubów po jadowicie żółtym dysku, ciągnącym za sobą równie jadowicie żółtą linę. Wszystkie dyski przylgnęły do górnej powierzchni kadłuba „Sokoła Millennium”, liny naprężyły się i z szarpnięciem, które omal nie powaliło Hana na podłogę, frachtowiec prawie stanął w miejscu, po czym zaczął się opuszczać, ale już znacznie wolniej. Han i Leia spojrzeli na siebie, całkowicie zaskoczeni. - Niech mnie Hutt kopnie - wymamrotał Han. - Kotwy magnetyczne. ... Poddaję się; co się tu wyrabia?

- Pojęcia nie mam - przyznała Leia, ostrożnie używając Mocy. - W tych pilotach jest coś... -Co? - Nie wiem dokładnie, ale coś bardzo dziwnego.

- To akurat dokładnie widać po ich zachowaniu. Cóż, cokolwiek to jest, już wkrótce się dowiemy, bo podchodzimy do lądowania.

Han miał rację - przelecieli nad pasmem wzgórz i opadli prawie na wysokość czubków drzew, lecąc

nad polami pełnymi zboża, falującego pod wpływem podmuchu wywołanego ich przelotem. W dole przemknęła droga, pola, potem następna droga i znów pola zakończone wzgórzami, znacznie jednak wyższymi niż te, nad którymi przelecieli parę kilometrów wcześniej. U podnóża najwyższego znajdował się ciemny otwór, oznaczający wejście do jaskini.

- To już wiemy, dokąd zmierzamy - ocenił Han. - Miło tu i zacisznie, chyba żeby ktoś, kto obrabia te pola, stał się bardziej pracowity niż zwykle. Aha, jest też komitet powitalny.

- Zgadza się. - Leia zmrużyła oczy przed słonecznym blaskiem. - Jest ich... chyba dziesięciu.

- Plus czterech pilotów i nie wiadomo ilu w jaskini - dodał Han, po czym sięgnął do schowka pod tablicą kontrolną i wyciągnął z niego miotacz z pasem i kaburą. - Masz jakiś plan?

- Nie bardzo - przyznał, przypinając broń. - Nie zamierzam wybiec, strzelając do wszystkiego co się rusza, jeśli o to chodzi. Gdyby chcieli naszej śmierci, nie musieli dosłownie nic robić. Sami byśmy się rozbili bez ich udziału.

- Może sądzą, że są z nami dzieci. - Leia zadrżała, przypominając sobie wszystkie przypadki porwań, prób porwań i innych zagrożeń, których obiektami byli Jacen, Jaina i Anakin.

- Jeśli tak, to srodze się rozczarują. - Han sprawdził miotacz i wsunął go do kabury. - I czekają ich kłopoty. Zabawa zaraz się zacznie, skarbie. Może byś się ubrała do reszty?

- Racja - przyznała, sięgając do schowka po swojej stronie kabiny.

Wyjęła z niego miecz świetlny i przypięła do paska. - Jestem gotowa.

Minutę później dotarli do wzgórz i dokładnie przed jaskinią Interceptory włączyły napęd antygravitacyjny i płynnie opuściły frachtowiec na ziemię. Następnie zwolniły i zwinęły kotwy magnetyczne, po czym kolejno wleciały do jaskini z łatwością wskazującą na długą praktykę.

- Teraz przynajmniej wiemy, skąd się wzięły - skomentował Han, wyłączając systemy pokładowe. - Założę się, że to jedna z grup dywersyjnych zostawionych przez Thrawna.

- Zawsze sądziłam, że ich istnienie to tylko plotka - przyznała zamyślona, wpatrując się w otwór jaskini. - Dezinformacja przygotowana przez Imperium po... no, po tym jak nas przekonano, że zginął.

- Nadal nie jestem przekonany, czy on żyje - warknął Han, ruszając ku śluzie. - Nie ma co odwlekać nieuniknionego: chodź zobaczyć, czego chcą.

Przy opuszczonej rampie czekał tylko jeden przedstawiciel komitetu powitalnego. Był to potężny mężczyzna, wzrostu Hana i masywniejszej niż on budowy, o ciemnych oczach i długich czarnych włosach.

- Witam - odezwał się, gdy Han i Leia zaczęli schodzić; głos miał miły, choć słyhać w nim było napięcie. - Pani krwawi, pani senator.

- To tylko zadrapanie. - Leia potarła zaschniętą krew; dziwne uczucie, jakiego doznała podczas lotu, wróciło, tyle że znacznie silniejsze. - Prawie się już zagoiło. - Naturalnie - mężczyzna skinął głową. - Uzdrawiające techniki Jedi.

- Gdzie reszta? - spytał Han, stając na ziemi i rozglądając się ciekawie.

- Sprawdzają uszkodzenia waszego statku.

Leia odwróciła się - rzeczywiście, pod kadłubem „Sokoła” znajdowali się wszyscy pozostali zauważeni przez nią podczas lądowania, oglądając i oceniając zniszczenia. - Ten drugi Korlier pechowo trafił - ocenił mężczyzna. - Chociaż i tak mieliście szczęście. Gdyby uderzył trochę wyżej, zniszczyłby całkowicie napęd, a prawdopodobnie rozhermetyzowałby też kadłub.

- A więc to były Flashe? Nigdy żadnego nie widziałem, choć sporo o nich słyszałem - mruknął Han.

- Nie są zbyt popularne, chociaż to idealne maszyny dla kogoś, kto nie chce zostać zidentyfikowany: Korlier Combine nie umieszcza żadnych numerów seryjnych na swoich jednostkach.

- W przeciwieństwie do imperialnych firm produkujących Interceptory. - Han wskazał głową jaskinię.

- Można to tak ująć. - Mężczyzna uśmiechnął się gorzko. - Jestem Sabmin Devist, tak na marginesie, i witam na terenie Imperialnej Grupy Dywersyjnej Jenth-44. - Miło nam - uśmiechnął się krzywo Han.

- Co mamy dalej w planach? - Porozmawiać - rozległ się głos z prawej strony.

Leia odwróciła się w kierunku, z którego dochodził - zza kadłuba „Sokoła” wyłonił się mężczyzna w kombinezonie pilota myśliwca Imperium. Ubrany podobnie jak Sabmin, miał krótko ścięte włosy i starannie przystrzyżoną brodę.

- Carib Devist - przedstawił się. - Nieoficjalny przywódca grupy. - Jesteście braćmi? - spytała Leia.

- Tak wszystkim mówimy. - Carib uśmiechnął się lekko. - W rzeczywistości... jako Jedi sama pani szybko odkryje prawdę...

Leia zmarszczyła brwi, patrząc to na jednego, to na drugiego i nie bardzo wiedząc, o co chodzi. A potem odkrycie uderzyło ją niczym obuchem. Odwróciła się gwałtownie - pozostali skończyli inspekcję „Sokoła” i stali milczącym rzędem, przyglądając się jej uważnie. Nosili różne ubrania i fryzury, brody lub wąsy, ale w sumie byli identyczni. Całkowicie identyczni. - Han...? - Wiem - mruknął. - Bracia, co? - Brzmi lepiej niż klony - odparł cicho Carib.

Przez długą chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum wiatru w zbożu.

- Miło poznać - odezwał się w końcu Han prawie naturalnym głosem. - Jak to jest być klonem?

Carib uśmiechnął się gorzko, dokładnie tak samo, jak przedtem Sabmin.

- Tak jak się pan spodziewa. To tajemnica, która w miarę upływu lat coraz bardziej ciąży. - Mogę sobie wyobrazić.

- Przepraszam, ale w żaden sposób nie może pan sobie tego wyobrazić. - Twarz Cariba stężała. - Za każdym razem, gdy któryś z nas udaje się poza granice tej doliny, wszyscy wiemy, że ryzykujemy życiem naszym i naszych rodzin. Każde spotkanie z obcą osobą to ryzyko, bo wystarczy, by ktoś spojrział na nas i trochę pomyślał, a cała starannie kultywowana legenda o utrzymującej bliskie więzy rodzinie Devistów pęknie jak mydlana bańka, zmieniając się w walkę, nienawiść i śmierć.

- Nie przesadza pan trochę? - zasugerowała Leia. - Wojny Klonów dawno się skończyły i stare uprzedzenia znacznie osłabły.

- Proszę się zastanowić: jest pani kobietą światową, pani senator Organa Solo, politykiem i dyplomata, od wielu lat ma pani kontakty z najrozmaitszymi przedstawicielami ras rozumnych. Potrafi pani znakomicie ukrywać swoje uczucia, ale nawet pani źle się czuje w naszym towarzystwie. Prawda?

- Trochę - przyznała Leia z westchnieniem. - Ale nie znam was tak dobrze, jak wasi przyjaciele i sąsiedzi.

- Nie mamy przyjaciół. - Carib potrząsnął głową. - A nie minęło aż tak wiele lat od kontrofensywy wielkiego admirała Thrawna, powszechnie używającego żołnierzy takich jak my.

- Nadal mu służycie? - spytała Leia, próbując dociec, co jest takiego znajomego w jego rysach.

- Pod rozkazami widniał podpis Thrawna - odparł ostrożnie Carib. - Naturalnie, można je podpisać dowolnym nazwiskiem.

- Mam! - ucieszył się nagle Han. - Baron Fel, zgadza się?

- Baron Soontir Fel? - powtórzyła z niedowierzaniem Leia, wiedząc, że Han ma rację: Carib wyglądał jak młody Soontir Fel, jeden z asów myśliwskich Imperium. N

Fel ożenił się z siostrą Wedge'a Antillesa, a gdy Imperator zginął, zmuszony był dogadać się ze szwagrem, by ją uratować. Przez pewien czas latał pod rozkazami Wedge'a w Eskadrze Łotrów, organizując misję ratunkową. Powiodła się, ale Fel wpadł w pułapkę zastawioną przez dyrektorkę imperialnego wywiadu, Ysanne Isard, i zniknął. Wszyscy sądzili, że czekał go krótki proces i egzekucja. Ale działo się to przecież ładne parę lat przed powrotem Thrawna z Nieznanych Terytoriów i rozpoczęciem przez niego klonowania wojsk, co rodziło pytanie...

Han doszedł do tych samych wniosków, tylko nieco szybciej.

- Jakim cudem Fel przeżył do chwili uruchomienia przez Thrawna linii klonującej? - spytał zaskoczony.

- Nie wiemy - odparł Carib z żalem. - Wiedza, którą nam wtłoczono podczas błyskawicznego nauczania, nie obejmowała historii i losów Soontira Fela. Założyliśmy... możemy jedynie przypuszczać, że sympatie, jakie żywił do Nowej Republiki, zostały w nim zlikwidowane przez Isard. - Albo przez Thrawna? - Spytał Han.

- Albo przez Thrawna - zgodził się posępnie Carib. - Gdyby tak się nie stało, nie wybrano by go jako dawcy do klonowania. Nieważne, jak dobrym był pilotem, musiał też być bezwzględnie lojalny wobec Thrawna.

Ponownie zapadła cisza. Leia spróbowała użyć Mocy, ale dziwne uczucie otaczające klony okazało się zbyt silne i uniemożliwiało jej zapuszczenie sondy bez zdradzenia się z tym.

- A mimo to właśnie uratowaliście nam życie - przypomniała.

- Tylko sobie za wiele nie obiecuj - warknął Han. - Gdyby nic nie zrobili, uderzylibyśmy w sam środek tej doliny. Jak sądzisz, ile czasu by wytrzymała ich tajemnica, gdyby zaczęło się tu śledztwo w związku z naszą śmiercią? A zaczęłoby się bez cienia wątpliwości.

- Ratując was, także się ujawniliśmy - zauważył spokojnie Carib. - Co będzie dalej, zależy od was.

- Może - zgodził się Han, utrzymując prawą dłoń w pobliżu kolby miotacza. - A może zależeć od tego, co wy zamierzacie zrobić.

- Nie zrozumieliśmy się. Nie mamy zamiaru wyrządzić wam krzywdy ani nawet was więzić. Nie chcemy także walczyć dla Imperium czy wielkiego admirała Thrawna. Han zmarszczył brwi. - To co, poddajecie się? - spytał po chwili.

- Niedokładnie. - Carib wyprostował się. - Chcemy, żebyście nam dali słowo, że zostawicie nas w spokoju. Han i Leia wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Chcecie czego?! - zdumiała się nieco niegramatycznie.

- A co? To za wysoka cena za uratowanie wam życia? - wtrącił ostro Sabmin. - Biorąc pod uwagę, ile...

- Moment! - przerwał mu Han, unosząc rękę. - Wyjaśnijmy sobie najpierw pewne sprawy. Zostaliście stworzeni przez Thrawna?

Widać było, że Carib zacisnął szczęki, ale odpowiedział spokojnie:

- Zgadza się.

- Mówimy o wielkim admirale Thrawn, któremuomal nie udało się zrekonstruować Imperium? - upewnił się Han. - O gościu, który wybrał najlepszych i najlojalniejszych pilotów, szturmowców i żołnierzy do operacji klonowania?

- Nadal się nie rozumiemy. - Carib potrząsnął głową. - Soontir Fel był lojalny wobec Imperium, ale takiego Imperium, jakie istniało pod rządami Palpatine'a, nie pod władzą obłąkanych rzeźników w rodzaju Isard czy beztalenci jak Daala. Jego Imperium było ostoją stabilizacji i porządku.

- Co chwilowo przydałoby się Nowej Republice - wtrącił Sabmin.

- Zostawmy politykę, bo do niczego sensownego nie dojdziemy - zaproponowała pospiesznie Leia, widząc, że Han ma na końcu języka złośliwą ripostę. - Jeżeli Fel był lojalny wobec Imperium, to wy również powinniście czuć potrzebę odtworzenia tego porządku i stabilizacji...

- A jeśli Thrawn rzeczywiście wrócił... - Han nie musiał kończyć.

- Jeśli rzeczywiście wrócił - podkreśliła Leia - to istnieje spora szansa na przywrócenie poprzedniego stanu rzeczy. Dlaczego więc nie chcecie w tym uczestniczyć? - Ponieważ wielki admirał Thrawn pomylił się w jednej sprawie - uśmiechnął się smutno Carib. - Lub nie wziął jej pod uwagę jako nieistotnej: baron Soontir Fel był człowiekiem, który ponad sławę, stabilizację galaktyki czy nawet latanie przedkładał żonę i ziemię. Podobnie rzecz ma się z nami.

Zatoczył szeroki gest, obejmujący całą dolinę, i dopiero wtedy Leia zrozumiała. - Żartuje, czy co? - spytał Han tak zaskoczony, że zapomniał nawet o miotaczu. - Kto normalny... przecież Luke nie mógł się doczekać okazji do wyrwania się z farmy wuja na Tatooine!

- To była farma wodna w samym środku pustyni - przypomniała mu Leia, mając przed oczami bogatą i przeważnie dziewiczą przyrodę planety Alderaan. - Nie można jej porównać z tymi polami.

- Pani też to czuje - bardziej stwierdził niż spytał Carib. - Jeśli ktoś to czuje, zrozumie, że mówimy prawdę. Teraz całym naszym życiem jest ta dolina. Nasze rodziny i ziemie są dla nas najważniejsze. Cała reszta, nawet latanie, stała się nieistotna. Wierzy nam pani?

- Chciałabym - powiedziała szczerze Leia. - Jak bardzo chcecie to udowodnić? - Proszę sprawdzić - odparł poważnie Carib.

Leia skinęła głową, podchodząc do młodego klona mimo wyczuwalnego zaniepokojenia Hana. Spojrzała mu w oczy, koncentrując się i wyciszając, po czym sięgnęła po Moc... Carib bez drgnienia pozwolił się sondować, chociaż nie było to najprzyjemniejsze doświadczenie. Za to gdy Leia skończyła, nie miała żadnych wątpliwości. - On powiedział prawdę, Han. Naprawdę tak uważają.

- Aha, więc mamy tak po prostu zostawić ich i iść w cholerę?

- Najpierw naturalnie naprawimy wasz statek - dodał Carib. - Droidom serii MX, które opiekują się naszymi myśliwcami, nie powinno to zająć więcej niż dwa dni. - To nie wystarczy - stwierdził rzeczowo Han ku kompletnemu zaskoczeniu żony. - Chcecie, żebyśmy chronili imperialną grupę dywersyjną, a to spore ryzyko. W przysłuchującej się dotąd w milczeniu grupie zapanowało poruszenie.
- Co ty próbujesz... - zaczął któryś, ale Carib uciszył go gestem.
- Zawsze nieźle pan manipulował innymi, kapitanie Solo - przyznał, uśmiechając się lekko. - O co chodzi tym razem?
- Nie chcecie dłużej walczyć. Pięknie - ocenił Han. - My też mamy dość konfliktów. Ale jeśli nie rozwiążemy, i to szybko, sprawy Caamas, nikt z nas nie będzie miał wyboru. - A konkretniej? - spytał Carib już bez uśmiechu.
- Musimy się dowiedzieć, którzy konkretnie Bothanie byli zamieszani w zniszczenie planety. A wiemy tylko o jednym miejscu, gdzie mogą się znajdować ich nazwiska. - Imperium - mruknął Carib.
- Konkretnie, główne archiwum na planecie Bastion - dodała Leia, rozumiejąc już, do czego zmierza Han. - Problem w tym, że nie wiemy, gdzie znajduje się Bastion.
- My też nie - przyznał Sabmin. - Rozkazy przychodzą z centrum wywiadu specjalnym kanałem. Nigdy nie kontaktowaliśmy się ani z planetą, ani z aktualnymi władzami Imperium.
- Ale musieliście uzgodnić sposób, w jaki, w razie nagłej konieczności, możecie się z nimi porozumieć. - Han uśmiechnął się ironicznie. - Imperialne procedury operacyjne zawsze przewidują podobną możliwość w działaniach wywiadowczych i dywersyjnych. Carib i Sabmin spojrzeli po sobie.
- Jest takie miejsce na skraju imperialnej przestrzeni - przyznał z powątpiewaniem Carib. - Nigdy go nie używaliśmy, a zostało wyznaczone na wypadek, gdybyśmy kiedyś uzyskali ważne informacje, które trzeba przekazać jak najszybciej, a nie normalnymi metodami łączności przez pośredników.
- Wydaje mi się, że możemy wam dostarczyć takich rewelacji - ocenił Han. - A jeśli dostarczymy, zabierzecie mnie tam?
- Zaraz! Chciałeś powiedzieć: zabierzecie nas - poprawiła go Leia.
- Przykro mi, skarbie, ale jesteś jedyną osobą, którą na pewno rozpozna absolutnie każdy w Imperium, i to prawdopodobnie od pierwszego wejrzenia. - Doprawdy? A ciebie nikt tam nie zna?
- Nigdy nie byłem prezydentem Nowej Republiki - zauważył skromnie Han. - To niewyobrażalnie utrudnia incognito. A poza tym, lecieć może tylko jedno z nas, nie oboje.

- Dlaczego? - spytała, wiedząc, że usłyszysz argument nie do odparcia, bo choć Han robił w życiu wiele zwariowanych rzeczy, dobrowolnie nie leciałby do stolicy Imperium. - Nowa Republika ma dość agentów specjalnych.

- Pytanie tylko, któremu możemy w tej sytuacji zaufać. Zresztą nie mamy czasu na powrót, dokonanie wyboru kandydata i wysłanie go, a niezależnie od systemu kodowania, takiej wiadomości normalnym kanałem, na pewno nie wyślę. Cała Nowa Republika balansuje na ostrzu wibroskalpela...

- I tak nie polecisz sam! - ucięła. - A moje zdolności mogą pomóc w kłopotach, które...

- Mamy towarzystwo - przerwał jej jeden z klonów, wskazując ponad przeciwległe wzgórze.

Nad ich wierzchołkami przeleciał właśnie jakiś pojazd i teraz mknął ku nim.

- Carib, lepiej ukryj pozostałych w jaskini- poleciła Leia, zwielokrotniając równocześnie przy użyciu Mocy czułość swoich zmysłów. - Albo w ogóle wszyscy się w niej schowajcie. To wygląda jak prom klasy Khra, a takimi latają nasi Noghri.

- Za późno. - Carib dał znak pozostałym, żeby się nie trudzili. - Jeśli to Noghri, z pewnością najpierw wzięli nas pod obserwację, a dopiero potem się pokazali. Próbując się ukryć, tylko pogorszymy sprawę.

Prom prawie do nich dotarł, przemykając tuż nad zbożem i nie wykazując chęci zwalniania. Han chrząknął i chwycił za kolbę miotacza, a Leia przeżyła chwilę zwątpienia: pojazd wyglądał jak prom klasy Khra, ale przy tej szybkości nie była pewna szczegółów. Jeśli zaś przebywał właśnie kolejny zespół mający ich zabić, to siedzieli niczym cel na strzelnicy...

Prom zahamował silnikami prawie w miejscu, zatrzymał się na sekundę, bo tyle potrzebowała pojedyncza, szara postać, by zeń wyskoczyć, i odleciał, nabierając wysokości nad wzgórzami, zanim zawrócił i okrążył „Sokoła Millenium” oraz wszystkich zgromadzonych w jego pobliżu.

- Lady Vader - powitał Leię, jak zwykle poważnie, Barkhimkh, błyskawicznie odzyskując równowagę po skoku z trzymetrowej wysokości i podchodząc bliżej. - Obrona planetarna Pakrik zauważyła atak i założyła, że to wasz statek stał się jego celem. Jesteśmy zadowoleni, że nikomu z was nic się nie stało.

- Dzięki za troskę, Barkhimkh - odparła równie poważnym tonem Leia, zdając sobie sprawę, że Noghri ma ochotę błagać o wybaczenie, iż nie zdołali obronić ich przed atakiem.

Na szczęście nigdy nie zrobiłby tego przy obcych, toteż akt ekspiacji, przynajmniej chwilowo, jej nie groził. Barkhimkh wyglądał na nie uzbrojonego, co naturalnie nic nie znaczyło.

- Doceniamy twą troskę, ale jak widzisz, zdołaliśmy bezpiecznie wylądować wśród przyjaciół - dodała.



- Tale. - Noghri ocenił całą grupę jednym spojrzeniem. - Zakładam, że wrócimy... razem?

Przerwa była prawie niedostrzegalna, lecz dla Lei stanowiła wystarczający sygnał ostrzegawczy.

- Wszystko w porządku - powiedziała szybko i zrobiła krok w kierunku Cariba. - Nie zamierzają nas skrzywdzić!

- Nie rozumiesz, pani! - warknął nagle z pogardą Barkhimkh, błyskawicznie dobywając blaster. - To imperialne klony.

- Owszem, są klonami - przyznała Leia. - Ale teraz opowiedzieli się po naszej stronie.

- Stworzyło ich Imperium - Barkhimkh prawie wypluł te słowa.

- Podobnie jak was - odparł cicho Carib.

Wylot lufy i wielkie czarne oczy skierowały się ku niemu z równie zimnym błyskiem. Noghri uznawali każdą uwagę o swej służbie dla Imperium za śmiertelną obrazę, jeśli wygłaszał ją ktoś obcy.

- Nie! - Leia Mocą odsunęła wylot lufy blastera. - Uratowali nam życie i poprosili o ochronę.

- Pani, jeśli chcesz, możesz im ufać - oświadczył ponuro Barkhimkh. - Ja nie zamierzam. Mimo to schował broń.

- Krótco po waszym odlocie z Pakrik Major odebrano wiadomość adresowaną osobiście na pani rękę, lady Vader, i oznaczoną jako pilna. Nadano ją z Coruscant i zakodowano pani osobistym szyfrem. Otrzymałście ją?

- Nie. - Leia zmarszczyła brwi: nie zdawała sobie sprawy, że Noghri są w stanie podłączyć się do jej prywatnego kanału łączności. - Prawdopodobnie już wtedy nas zagłuszano. Macie nagranie?

- Sakhisakh zaraz je dostarczy. - Barkhimkh dał znak krążącemu promowi i maszyna wylądowała nieco na uboczu. - Naturalnie nie próbowaliśmy jej rozszyfrować. Co nie znaczyło, że nie zdołaliby, gdyby chcieli.

- Przynieście ją na pokład „Sokoła” - poprosiła. - Przygotuję się do odkodowania, a ty, Han, uzgodnij z Caribem organizację napraw.

Parę minut później, pilnowana przez stojącego przy słuzie wejściowej Sakhisakha, Leia ze zdziwieniem odczytała zwięzłą informację:

„Leia, tu Garm Bel Iblis. Właśnie dowiedziałem się czegoś ważnego i muszę skontaktować się z tobą osobiście. Pozostań, proszę, na Pakrik Minor, będę tam za trzy dni w porcie kosmicznym North

Barris. Potraktuj tę wiadomość jako ściśle tajną". Zmarszczyła brwi, czując dziwne mrowienie w karku: czego aż tak ważnego mógł się Garm dowiedzieć, że wymagało to osobistego kontaktu i dlaczego akurat z nią?! Z zadumy wyrwał ją odgłos kroków - uniosła głowę i zobaczyła Hana.

- Wygląda nie najgorzej - ocenił, siadając obok. - Główny droid uważa, że w dwa dni zdążą. I co to za ważna wiadomość? Podała mu bez słowa czytnik.

- Interesujące - stwierdził, odstawiając go po przeczytaniu wiadomości. - Skąd wiedział, że tu jesteśmy?

- Gavrisom musiał mu powiedzieć - uznała Leia. - Tylko on wiedział, że po konferencji chcemy przylecieć na Pakrik Minor.

- Nasi nowi znajomi najwyraźniej też wiedzieli, nie wspominając o tych trzech pilotach, którzy na nas czekali. Jesteś pewna, że to wiadomość od Garma?

- Na ile to tylko możliwe. Została właściwie zakodowana i zawiera właściwe potwierdzenie w treści.

- To ten nowy kod w kodzie wymyślony niedawno przez Ghenta? - przypomniał sobie Han.

- Zgadza się. Wątpię, by ktokolwiek niepowołany w ogóle wiedział o istnieniu dodatkowego zabezpieczenia, więc jak mógłby je skopiować.

- Chyba że Ghent stosował podobne, pracując dla Talona. - Han potarł podbródek. - Przez ten czas każdy, nie tylko Imperium, mógł złamać szyfr, a znając zasadę poszukać zabezpieczenia i...

- Garm też miał podobne wątpliwości, gdy Ghent pierwszy raz zaproponował nam ten sposób - przerwała mu Leia. - Ghent powiedział, że dopiero co wpadł na taki pomysł.

- Hm... - Han ponownie przeczytał wiadomość. - Nie wiesz, o co może mu chodzić? - Pojęcia nie mam. Ale za kilka dni się dowiemy.

- Raczej się dowiesz - poprawił ją spokojnie. - Po mnie i po Caribie nie będzie tu już śladu.

Leia odetchnęła głęboko, czując dziwny ból w piersiach. -Han...

- Nie próbuj, kochanie - ujął ją delikatnie za rękę. - Mnie też się to nie podoba, ale jeśli nie powstrzymamy eskalacji konfliktu, wszystko szlag trafi. Wiesz o tym lepiej ode mnie.

- Nie wiem! - zaprzeczyła gwałtownie. - Rząd i studenci Luke'a, jak dotąd, pomagają utrzymać sytuację pod kontrolą. Jeśli stwierdzimy, że wojna domowa jest nieunikniona, możemy zmusić Bothan do zapłacenia takich odszkodowań, jakie okażą się niezbędne, nawet jeśli to zrujnuje ich gospodarkę.

- Przestań śnić! Uważasz, że Diamalanie czy Kalamarianie pozwolą Gavrisomowi zmusić Bothan do czegoś, co uznają za samozniszczenie?! Zresztą nie wiadomo, kto jeszcze stanął od wczoraj po ich stronie. Jesteś rozsądna i wiesz, że wojen nie wygrywa się pobożnymi życzeniami. - A co z Karrdem? - zagrała ostatnią kartę.

- A co ma być? - zdziwił się Han. - To, że szuka pełnej wersji dokumentu, bynajmniej nie oznacza, iż musi go znaleźć. Sam zresztą nie był pewien, czy mu się uda, inaczej zażądałby przynajmniej połowy zapłaty z góry. - Mówiłam poważnie.

- Ja też. Wydaje ci się, że chcę się znaleźć w samym środku Imperium? Sprawa jest banalnie prosta: nie mam innego wyjścia i oboje o tym wiemy. Jeśli wybuchnie wojna domowa, będzie to koniec Nowej Republiki i nikt, nawet Luke, nie zdoła niczego poskładać do kupy. Jakie życie czeka wtedy nasze dzieci? Albo Chewiego, Crackena czy kogokolwiek innego? Nie podoba mi się ten pomysł, ale trzeba spróbować i na mnie wypadło.

Leia sięgnęła po Moc i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, iż mimo głębokiego wewnętrznego oporu czuje równocześnie, że Han ma rację. Ale samo przekonanie o racji wcale nie musiało oznaczać, że misja się uda, ani że będzie bezpieczna. Po prostu należało się jej podjąć.

- Nie polecisz sam? - spytała, wzdychając z rezygnacją. - Nie mam na myśli Cariba.

- Pewno, że nie. Mam już zresztą konkretnego kandydata - odparł z mieszaniną ulgi i żalu, i to jak podejrzewała, wywołanych tym samym, a mianowicie faktem, że przestała naciskać na uczestnictwo w wyprawie. - Lando? - uśmiechnęła się domyślnie.

- I nie tylko. Ty nie lecisz, jakbyś miał zamiar pytać. - Ostatnie zdanie adresowane było do Sakhisakha.

- Doradzałbym ponowne rozpatrzenie tej decyzji, Hanie z klanu Solo - odparł Noghri. - Jako twoi niewolnicy Noghri nie wzbudziliby niczyjzego zainteresowania na żadnej planecie Imperium. Co prawda ostatnio zawiedliśmy haniebnie lady Vader, wpierw na Bothawui, a potem tu, ale ośmielam się twierdzić, że nadal potrafimy być użyteczni. Trzeciej porażki nie zdołalibyśmy znieść. Hańba i wstyd byłyby zbyt wielkie.

- Wstyd jest mało istotny, jeśli z powodu twojej obecności zgarną nas, ledwie zejdziemy z rampy - prychnął Han. - Przykro mi, ale nie zamierzam ryzykować zabrania żadnego Noghri. Lando i ja musimy to załatwić sami. Wy uważajcie na Leię, zgoda?

- Nie musisz się obawiać, będziemy uważać - odpowiedź Sakhisakha zabrzmiała jak groźba.

- Zatem wakacje możemy chyba uznać za zakończone. - Ledwie to powiedziała, pożałowała swoich słów, widząc, że trafiły Hana bardziej niż podejrzewała. - Przepraszam - powiedział cicho. - Jeszcze ani razu nam się nie udało.

- Rzeczywiście - przyznała z westchnieniem. - Gdybym od początku wiedziała, ile to wszystko będzie kosztować... nie wiem.
- Ja wiem. - Han nie miał wątpliwości. - Zginęłabyś najprawdopodobniej razem z całą planetą, Palpatine rządziłby Imperium długo i nieszczęśliwie, a ja dalej przemyślałbym glitterstim dla Jabby albo innego drania. Naprawdę było warto.
- Masz rację. - Najwyraźniej Leia doszła do siebie po chwilowej słabości. - Kiedy chcecie wystartować?
- Zobaczmy... muszę się połączyć z Calrissianem, Carib powinien sprawdzić frachtowiec przed wyprowadzeniem go z jaskini i pożegnać się z rodziną, bo ma żonę i dzieci... wychodzi, że jutro rano.
- Znajomy błysk w oczach świadczył, że po prostu poinformował Cariba, iż nie odleca wcześniej niż rankiem.
- Dziękuję - powiedziała cicho, ściskając jego dłoń i próbując się uśmiechnąć, co prawie jej się udało.
- Przyznaję, że lecąc tu nie tego oczekiwałem, ale nie ma innego wyjścia.
- Chyba nie ma. Jednak wydaje mi się, że galaktyczne problemy mogą poczekać przez noc. Jak sądzisz?
- No, nie wiem... -Han wstał i z galanterią godną królewskiego dworu podał jej ramię. - Sądzę, że będą musiały.

# ROZDZIAŁ 9

Na zewnątrz łukowatej osłony z transparistali przemknęły ostatnie bąbelki unoszące się z formacji błękitno pożyłkowanej skały stojącej samotnie na dnie oceanu. Jakby na ten sygnał, oświetlające okolice baterie reflektorów przygasły, a cichy szum rozmów, który dotychczas rozbrzmiewał w galerii widokowej, zastąpiła pełna wyczekiwania cisza.

Stojący pod tylną ścianą Calrissian uśmiechnął się leciutko. Gdy pierwszy raz zaproponowali wraz z Tendra Risant finansowanie podwodnej operacji górniczej, jej rodzina odniosła się do tego niezbyt entuzjastycznie, a kiedy usłyszeli o jego pomysłe, by do kompleksu rozrywkowego dodać galerię obserwacyjną, stwierdzili wręcz, że oszalał. Nikt, według nich, nie zapłaci złamanego kredytu, żeby oglądać pracę górników, nawet podwodnych, i to na dnie oceanu. Lando się jednak uparł, Tendra go poparła i w efekcie udało się wydusić z rodzinnych finansów dodatkową kwotę. Co było głównym powodem, dla którego teraz odczuwał prawdziwą przyjemność, oglądając tłumy zebrane na galerii przed każdym pokazem.

Skała stała się ledwie widoczna - ciemny kształt na de jaśniejszego dna. Ktoś na galerii powiedział coś cicho... I nagle na skraju skały zapłonął pojedynczy punkt błękitno-zielonego ognia, rozszerzając się błyskawicznie w linię, która rozgałęziła się najpierw raz, potem drugi... a potem całą skałę pokryła pajęczyna ognia, gdy rozpały się wszystkie żyły frak. Po parunastu sekundach do ognia dołączyły strumienie żółtych bąbli - to płonący minerał ogrzał grunt pod sobą - i przez jakieś pół minuty cała formacja skalna, otoczona drgającymi płaszczyznami ognia i światła, przypominała żywe stworzenie wijące się w milczącej agonii...

Równie nagle, jak się wszystko zaczęło, zakończyło się w rozbłysku wielobarwnych iskier i ostatniej chmurze bąbelków. Całość zapadła się w sobie, przekształcona nagle w stertę skalnych odłamków. Ktoś jęknął, reflektory rozjarzyły się powoli, zwiększając stopniowo jasność, i na galerii wybuchły spontaniczne oklaski. Kiedy zapalono wszystkie światła, oklaski zastąpiły głośne rozmowy i widzowie powoli zaczęli wychodzić, wracając do kasyna. Lando, jak zwykle, odpowiadał z uśmiechem na grad pytań, od mądrych do głupich, i z ukłonem przyjmował komplementy. Gdy jako ostatnia wyszła para Ducrosów, przestawił drzwi na „wolne wejście” - płacili tylko chętni do oglądania operacji górniczych, które odbywały się w uzgodnionym wcześniej terminie, poza tym wstęp na galerię był wolny. A na ten dzień przewidziano jeszcze jeden pokaz, za kilka godzin.

Skierował się ku Sali Tralusa, gdy odezwał się jego komlink.

- Calrissian - mruknął, odczepiając urządzenie od pasa i uaktywniając je.

- Właśnie odebraliśmy sygnał z powierzchni - usłyszał głos Donnerwina, oficera dyżurnego. - Ktoś

chce z panem rozmawiać, szefie. Połączenie jest oznaczone jako prywatne i zakodowane.

- Proszę przełączyć na mój gabinet - polecił Lando, wyłączając komlink i zmieniając kierunek marszu.

Najprawdopodobniej była to Tendra z informacją, że skończyła załatwiać sprawy na Korelii i wraca, albo senator Miatamia z nowinami na temat ochrony konwojów rudy, którą Lando od pewnego czasu z nim negocjował. Każda z rozmów byłaby mile widziana, toteż Lando dotarł pospiesznie do gabinetu, zamknął i zablokował drzwi, siadł i włączył blok deszyfrujący modułu łączności. To nie była Tendra. Ani też Miatamia.

- Cześć, Lando - powitał go z ekranu Han ze znajomym krzywym uśmiechem. - Jak sprawy?

- Znacznie gorzej niż minutę temu - odparł Lando, czując coś ciężkiego, osiadającego nagle w żołądku. - Znam tę minę, więc nie kręć. Czego chcesz?

- Żebyś się ze mną przeleciał w krótką podróż. Możesz się urwać na parę dni?

Owo coś ciężkiego zrobiło się jeszcze dodatkowo zimne - Han nie kluczył, nie grał niewiniątka, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Oznaczało to, że traktuje sprawę naprawdę poważnie.

- Zależy, jak niebezpieczna ma być ta wycieczka. - Lando postanowił sprawdzić, czy przecucie go nie myliło.

- Trochę - przyznał Han, nie próbując udawać durnia, co było ostatecznym znakiem ostrzegawczym. - Albo bardziej niż trochę. - Słuchaj, mam urwanie...

- Potrzebuję cię, Lando - przerwał mu Han. - Nie mam czasu, a potrzebuję kogoś, komu mogę ufać. Dysponujesz odpowiednim doświadczeniem i znajomościami, nie znajdę tu drugiego takiego.

- Han, ja mam pewne obowiązki, gdybyś zapomniał. Prowadzę duży interes i... - Karrde też prowadzi - przerwał mu ponownie Han. - Nie spodoba mu się, jeśli odmówisz. Gwarantuję.

Zrezygnowany Lando pokiwał głową - Talonowi się to na pewno nie spodoba, zwłaszcza że niedawno on sam, i to dość perfidnie, zmusił go do wyprawy na kompletne zadupie i spotkania z kimś, kogo Karrde się bał. A wszystko po to, żeby zdobyć coś, o co najwyraźniej chodziło teraz Hanowi. To się nazywała sytuacja bez wyjścia - niczym przy stoliku, kiedy miało się o dwadzieścia punktów za mało do wymaganych dwudziestu trzech i ktoś złośliwie człowieka sprawdził.

- Dobra, ale tylko z powodu Talona - przyznał. - Gdzie i kiedy?

- Zaraz - odparł rzeczowo Han. - Masz pod ręką „Ślicznotkę”?

- Na powierzchni. Mogę się tam dostać następnym promem, mniej więcej w ciągu godziny. Kogo

jeszcze potrzebujesz, a ja znam?

- Twojego kumpla Lobota i jego znajomego, z którym współpracował, tylko zapomniałem, jak mu jest. To Verpine.

- Moegid. - Lando zmrużył oczy. - Czy chodzi ci o to, o co wydaje mi się, że ci chodzi?

- Pewnie tak, jeśli masz wystarczająco samobójczą wyobraźnię. Lobot i Moegid dalej robią ten slicerski numer, o którym mi opowiadałeś?

- Nie wiem, ale na pewno mogą go zrobić - westchnął Lando. - Rozumiem, że przypadkiem znalazłeś...

- Miejsce, o którym rozmawialiśmy w Orowood? - dokończył Han, podobnie jak Lando nie ufający nawet najlepiej zakodowanym połączeniom. - Tak mi się wydaje. Złap te dwa talenty i spotkaj mnie dwa systemy bliżej jądra od miejsca, w którym nie miałeś wyboru.

Lando uśmiechnął się bez śladu radości, przypominając sobie i sytuację, i własne słowa, gdy wprowadził Hana w zasadzkę przygotowaną przez Dartha Vadera w Mieście w Chmurach: „Zjawili się tu przed wami. Przykro mi, nie miałem wyboru”. - Dwa systemy bliżej jądra - potwierdził. - Będę czekał - odparł Han i zakończył połączenie.

Lando zaś zapadł w fotel, spoglądając na pusty ekran, Han poznał lokalizację Bastionu, bo choć w ich mieszkaniu w Orowood mówili o różnych miejscach, tylko to mogło spowodować taką reakcję. Był to prawdopodobnie najlepiej broniony system w galaktyce, a na pewno jedyny, naprawdę skutecznie chroniony sekret Imperium. I z całą pewnością nie zaliczał się do miejsc, w których podziwiano jego lub Hana. Za to znakomicie nadawał się do przechowywania kompletnego archiwum Imperium, a więc i pełnej wersji dokumentów dotyczących zniszczenia Caamas. Dokumentów, których ujawnienie powinno zakończyć spór przeradzający się w konflikt, a dotyczący tego, czy cała rasa Bothan powinna zapłacić za kilku lub kilkunastu anonimowych morderców. Byłoby pięknie, gdyby zdołali uzyskać te dane.

A jeszcze piękniej, gdyby zdołali ujść z nimi i z życiem.

- Donnerwin - polecił, pstrykając przełącznikiem interkomu. - Wyślij wiadomość do Lobota, do Dive Central: ma przygotować siebie i „Ślicznotkę” do drogi. I załatw mi miejsce w najbliższym promie na powierzchnię.

- Zrozumiałem. Prom odpływa za dwadzieścia minut, ma poczekać? - Donnerwin nie wydawał się przejęty nagłą zmianą planów szefa.

- Zdamę - zapewnił go Lando, robiąc rachunek sumienia: wszystko, czego potrzebował, znajdowało się na pokładzie jachtu, skąd też mógł bezpieczniej skontaktować się z Moegidem, jako że była tam lepsza aparatura kodująca.

Jeśli nie nastąpi żadna katastrofa w kopalni lub w kasynie, sprawy powinny toczyć się same do powrotu Tendry. Poczł się winny, że po tym wszystkim, co razem przeszli, nie zostawi jej żadnej wiadomości, ale wolał nie ryzykować zawierającej konkrety, a ogólnikowa nie miała sensu. Tym bardziej, że mógł z tej wycieczki nie wrócić... gdy Lando doszedł do tego budującego wniosku, skłął się w duchu od skończonych durni i przesądnych starych bab. Wrócił z serca Drugiej Gwiazdy Śmierci ścigany wybuchami, przeżył zniszczenie (własnoręczne) kompleksu w górze Tantiss i całą korelianską zadymę, nie wspominając już o tak zamierzchłej przeszłości, jak konflikt z niejakim Rokurem Geptą i jakoś ze wszystkiego wychodził cały i zdrowy, to niby dlaczego akurat teraz przypuszczał, że może mu się coś przytrafić?! Naturalnie, że wróci, tym bardziej że miał do czego: do interesu przynoszącego spore dochody i kobiety, pierwszej, z którą naprawdę dobrze się rozumiał. Nie zamierzał tego tracić, a był mądrzejszy i bardziej doświadczony niż poprzednio. Poza tym pomysł wyszedł od Hana, który też się tam wybierał, a Han był największym cholernym szczęściarzem, jakiego w życiu spotkał. Z pewnością wróca.

- Szefie? - Głos Donnerwina wyrwał go z zadumy. - Co jest? - Jeszcze coś mam komuś przekazać? - Nie. Pilnuj interesu do powrotu Tendry.

- Jasna sprawa - uśmiechnął się Donnerwin. - Miłej podróży.

- Dzięki - mruknął Lando i przerwał połączenie.

Wstał zły na samego siebie - w ostrożności nigdy nie widział niczego złego, ale to, co właśnie czuł, było znacznie gorsze niż zwykła ostrożność. To musiał być wiek - zaczynał czuć się staro i wcale a wcale mu się to nie podobało. Taka wyprawa mogła mu pomóc w zmianie samopoczucia - dawno niczego wielkiego nie uratował, a tu zapowiadała się wyprawa ratunkowa, i to zupełnie zwariowana. Zupełnie jak za dawnych czasów.

Karoly wyjęła słuchawkę z ucha, gdy rozległ się w niej trzask zamykanych drzwi do gabinetu Carlissiana.

- Shassa! - mruknęła wściekle, a stare przekleństwo Mistryl zdawało się wręcz wisieć przed nią w szafie, tyle że tym razem oznaczało smutek, nie złość.

Zaryzykowała, udało się i w efekcie powinna teraz zabić starą przyjaciółkę.

Przygnębienie nie przeszkadzało jej w sprawnym rozebraniu podsłuchu, który zainstalowała w gabinecie Landa zaraz po przybyciu, czyli konkretnie około czterdziestu godzin temu. Ogólnie biorąc, była zła na Talona Karrde, że postąpił tak, jak przewidziała, na siebie, że tak dobrze przewidziała, i przede wszystkim na Shadę, przez którą znalazła się w tej sytuacji. Co tamtą opętało, żeby sprzeciwić się Jedenastu?! Wtedy, na dachu, powiedziała, że lojalność, co wydawało się idiotyzmem - Mazzic był zwykłym przemysłowcem, jakich wielu pałętało się po galaktyce. Dla kilku z nich pracowała w przeszłości bez żadnych fanaberii. Owszem, działali razem dość długo, ale obojętne, czego by sobie



Mazzic nie wyobrażał, przede wszystkim była Mistryl, zobowiązana słuchać jedynie Jedenastu starszych, kierujących ludnością Emberlene.

A Shada nie wykonała ich rozkazu i umowa Mistryl z Huttem nie została wypełniona. Jedenastu zażądało jej głowy, zawiadomiono wszystkie Mistryl, by meldowały o jej pojawieniu się, i wysłano kilka zespołów wyłącznie w celu odszukania jej i zabicia. A przez złośliwość losu odnalazła ściganą właśnie ona, co nawet po ośmiu dniach od tego wydarzenia napełniało Karoly gorzką ironią.

Przez dwadzieścia lat nie pracowała z Shadą, a mimo to mogła przewidzieć, że jej następnym krokiem będzie skontaktowanie się z Leią Organa Solo. Karoly nie wiedziała tylko, czy po to, by przyłączyć się do Nowej Republiki, czy też aby sprzedać swoje wiadomości. Znalazła Shadę na Coruscant akurat, gdy ta udawała się w stronę Gór Manavai, gdzie -jak się okazało - małżonkowie Solo mieli apartament. Mogła ją tam załatwić, mając atut zaskoczenia, ale wieść niosła, że rodzinę Solo chronią Noghri i choć Karoly podejrzewała, że ich umiejętności są mocno przereklamowane, rozsądnie zdecydowała, iż samotna Mistryl nie ma tu szans. Wezwała więc pomoc, jednak nim ta przybyła, Shada opuściła budynek w towarzystwie Talona Karrde. Karoly spróbowała dotrzeć na lądowisko, gdzie parkował frachtowiec Talona, lecz nim na nie dotarła, pojawiła się tam Leia Organa Solo z droidem protokolarnym i obstawą. Leia i droid weszli na pokład „Szalonego Karrde'a", a Noghri obstawili statek, uniemożliwiając Karoly dalsze działanie. Kiedy Leia wyszła, była sama, a ledwie wraz z ochroną opuściła stanowisko, śluzy statku zostały zamknięte, on sam zaś wystartował. Karoly była zbyt daleko, by móc go ścigać.

Starsi byli wściekli, gdy im o tym zameldowała, podobnie jak przybyłe na jej wezwanie wsparcie. Co prawda nikt nic nie powiedział, ale miny wszystkich mówiły same za siebie. Spojrzenia i ciche komentarze świadczyły dobitnie, że historia o tym, jak pozwoliła Shadzie uciec wtedy z dachu, stała się powszechnie znana, a nietrudno było zgadnąć, że podejrzewają, iż tym razem było podobnie. Dla Karoly tym ważniejsze stało się udowodnienie im, że są w błędzie. Zaryzykowała więc i uwierzyła przeczuciu, którego nie potrafiłaby uzasadnić. Przeczucie opierało się na informacjach o współpracy Carlissiana i Karrde.

No i właśnie okazało się, że miała rację. Solo, co prawda, mówił bardzo wstrzemięźliwie, ale to jedno powiedział wyraźnie. Shada była z Talonem, a Carlissian i Solo zamierzali do nich dołączyć. A Karoly postanowiła zabrać się z Carlissianem. Znalazła prosty i pewny sposób - Lando był przemytnikiem, nieważne, byłym czy aktywnym, bo na pewno miał kilka poręcznych kryjówek na pokładzie swojego jachtu. Każdy przemytnik przygotowywał sobie takie miejsca na wszelki wypadek. Jeśli więc dotrze na pokład, choćby na kilka minut przed właścicielem, z pewnością znajdzie odpowiednią kryjówkę; problemy mogą się zacząć, gdyby Lando zaplanował dla tego akurat schowka jakieś zastosowanie... ale na to nie miała wpływu, toteż postanowiła nie martwić się na zapas.

Nim skończyła swoje przemyślenia, zakończyła też pakowanie się i opuściła szafę, kiedy tylko na korytarzu zrobiło się pusto. Teraz należało załatwić sobie bilet na prom, i to z miejscem bliższym wyjścia niż zajmowane przez Carlissiana.

- Panie admirale? - Z głośnika umieszczonego między ekranami zapasowego stanowiska dowodzenia rozległ się głos kapitana Dorji. - Prom ruuriańskiego ambasadora opuścił pokład hangarowy i skierował się ku powierzchni planety, sir.

Flim oddał drinka Tiercemu, posłał Disrze zadowolony uśmiech i podszedł do ekranów.

- Dziękuję panu, kapitanie - powiedział głosem Thrawna. - Proszę wziąć kurs na Bastion i poinformować mnie, gdy okręt będzie gotów do wejścia w nadprzestrzeń. - Rozkaz, sir - potwierdził Dorja i wyłączył się.

- Najwyższy czas! - warknął Disra. - Już i tak za bardzo kusimy los.

- Znamy aż nazbyt dobrze pańską opinię w tej kwestii, ekscelencjo. - Tierce oddał Flimowi drinka. - Chciałbym tylko przypomnieć, że trzy nowe traktaty o przystąpieniu do Imperium zawarte w ciągu tygodnia to nie najgorszy wynik.

- Tylko o ile Nowa Republika nie wpadnie w szal niczym ranny rancor - burknął Disra. - Jeżeli nadal będziemy ich równie wytrwale prowokować, zapewne tak właśnie się skończy.

- To nie jest żadne prowokowanie - wtrącił Flim, także nieco zbyt bezczelnym jak na gust moffa tonem. - Nie sprowokowaliśmy żadnego konfliktu, nie zmusiliśmy nikogo do niczego, zjawiliśmy się jedynie w miejscach, do których zostaliśmy zaproszeni. To na jakiej podstawie można nas atakować?

- Choćby na takiej, że między Nową Republiką a Imperium ciągle trwa wojna. Pomyślał ktoś o tym?

- Polityczne samobójstwo - prychnął Flim. - Zostaliśmy zaproszeni przez władze tych systemów i jeśli rząd Nowej Republiki spróbuje wetknąć nos... Przerwał mu ostry wizg alarmu.

- Co się dzieje?

- Alarm bojowy! - warknął Tierce, przepychając się obok niego i siadając w fotelu przed klawiaturą. - Proszę tu podejść, admirale!

Włączył holoprojektor, zmieniając środek sali w holograficzny obraz taktyczny, gdy głośnik ćwierknął i odezwał się ponownie głosem Dorji.

- Panie admirale, sądzę, że zostaniemy zaatakowani - powiedział spokojnie kapitan. - Osiem korwet klasy Maruder wyszło właśnie z nadprzestrzeni i wyraźnie kieruje się ku nam.

Disra zacisnął zęby i rozejrzał się wokół - naturalnie, że Dorja był spokojny: miał przecież na pokładzie wielkiego admirała Thrawna, który bez wątplenia panował nad sytuacją. Tyle że to nie był Thrawn i nad niczym nie panował i to właśnie miało się za chwilę wydać. Flim stał obok Tierce'a i

sięgał do przełącznika łączności.

- Każ Dorji dowodzić! - syknął Disra. - Powiedz mu, że to zbyt trywialne albo zbyt drobne żeby... - Cśśś! - uciszył go Tierce. - Admirale?

- Gotów... dziękuję, kapitanie. Zidentyfikowaliście ich? -w sali znów był wielki admirał Thrawn.

- Jeszcze nie, sir. Mają generatory białego szumu maskujące emisje silników. To naturalnie nielegalne.

- Naturalnie - zgodził się Thrawn. - Proszę nakazać start połowie eskadry Preybirdów. Mają lecieć kursem na przechwycenie. - Rozkaz, sir. Tierce odciął łączność.

- Zidiociałeś?! - wybuchnął Disra. - Pół eskadry myśliwców przeciwko...

- Spokojnie, ekscelencjo - Flim przyjrzał mu się pogardliwie. -To jedna ze standardowych technik Thrawna mająca na celu odkrycie tożsamości nieznanego przeciwnika.

- A co znacznie ważniejsze, dająca czas. - Tierce ani na chwilę nie przerywał operowania na konsolcie komputera. - Jest... korwet klasy Maruder używają głównie siły Sektora Wspólnego i parę flot obrony systemowej na terenach Zewnętrznych Odległych Rubieży.

- Ciekawe... - Flim przyglądał się danym nad jego ramieniem. - Czego mogą od nas chcieć władze Sektora Wspólnego? - Nie wiem - przyznał Tierce. - Disra?

- Nie - odparł zdecydowanie Disra, wyciągając z kieszeni datapad: nie miał pojęcia, dlaczego ktoś z władz Sektora Wspólnego chciałby ich zaatakować, ale klasa korwet z czymś mu się kojarzyła, tylko nie bardzo wiedział, z czym.

- Mamy wykaz systemów, które posiadają te okręty we flotach? - spytał Flim. - Mamy... o jest. I są też Preybirdy - odparł Tierce.

Disra zerknął na symbole myśliwców lecących ku napastnikom i skoncentrował się na notatkach. To miało coś wspólnego z Zothipem i Cawilhu, wszedł zatem do pliku o piratach i pogrążył się w lekturze. - Potrzebuję sugestii - przypomniał Flim.

- Thrawn odwołałby myśliwce po pierwszym przelocie. Sposób, w jaki przeciwnik reagował na atak, pozwalał mu zwykle w tym właśnie momencie go zidentyfikować. - Niestety, chwilowo brakuje nam geniusza tego kalibru -prychnął Flim.

- Chyba że major Tierce to czarny koń Czerwonej Gwardii -dodał Disra, z tryumfem zamykając elektroniczny notes.

- Jak zwykle pełen pomocnych pomysłów - mruknął Tierce, próbując wydusić coś więcej z

komputera.

- Cieszę się, że ktoś mnie docenił - odciął się Disra. - To Diamalanie.

I z satysfakcją obserwował, jak obaj przyglądają mu się osłupiali, z tym że Flim był tylko zaskoczony, a Tierce również podejrzliwy. - Co?! - wykrztusił Flim.

- To Diamalanie - powtórzył Disra, rozkoszując się chwilą tryumfu. - Około trzech miesięcy temu ich Ministerstwo Handlu kupiło dwanaście korwet klasy Maruder do ochrony frachtowców. I prawdopodobnie do różnych innych zadań, z którymi oficjalnie nie chcieliby być łączeni.

- To pewna wiadomość? - Flim ponownie zerknął przez ramię Tierce'a. - Tu nie ma ani słowa na ten temat.

- Pewnie, że nie ma. Wiem o tym tylko dlatego, że Zothip chciał je kupić, ale jego oferta została przebita.

- A skąd wniosek, że to właśnie te okręty. - Flim wykazał wyjątkową dociekliwość.

- Z logiki - wtrącił niespodziewanie Tierce. - To ich senatora ściągnęliśmy wraz z Carlissianem na „Niezlomnego”, pamiętacie? Wydawało mi się, że nie został do końca przekonany o autentyczności Thrawna.

- I jeśli nasz wywiad czegoś nie pomylił, to walnie przyczynił się do rozłamowi stanowisk we władzach Nowej Republiki - dodał Disra.

- Nie pomylił się - Tierce wrócił do komputera. - Najwyraźniej postanowił poddać nas ostatniej próbie.

- Zatem pozostaje pytanie, co robimy. - Flim przyjrzał się holoprojeksji. - Preybirdy są prawie na miejscu.

- Wiem - przyznał spokojnie Tierce. - Proszę je odwołać.

- Już? - zdziwił się Disra. - Myślałem, że potrzebujemy...

- Nic już nie potrzebujemy - przerwał mu Tierce. - Proszę kazać im zawrócić, a Dorji - zacząć manewr Tron Boral. - Co zacząć? - Disra zdziwił się jeszcze bardziej.

- Nieco ezoteryczną taktykę walki - wyjaśnił Flim, uaktywniając interkom. - Kapitanie Dorja, proszę odwołać myśliwce i przygotować okręt do manewru Tron Boral. - Wykonuję, sir. Dołączy pan do nas na mostku? Tierce puknął palcem w ekran.

- Nie będzie pan mnie tam potrzebował - zapewnił go Flim, odczytując wskazany fragment. - Tron

Boral i wymiatanie Marg Sabl w wykonaniu Preybirdów powinny skłonić naszych tajemniczych gości do namysłu. Jeśli naturalnie będą jeszcze wtedy żyli.

- Tak jest, sir. - Prawie było słyszeć, jak Dorja zaciera ręce. - Tron Boral gotów, panie admirale.

- Proszę wykonać, kapitanie Dorja - polecił Flim, wyłączył interkom i dodał: - I to powinno załatwić problem.

- Widzi pan, plan bitwy z Diamalanami mamy gotowy już od bardzo dawna - wyjaśnił Tierce, widząc minę Disry. - Thrawn natknął się na nich parę razy dziesięć lat temu i opracował taki plan. Wystarczyło go odszukać i kazać wykonać, żeby... - Uciekają- przerwał mu zadowolony Flim. - Aż się kurczy.

Faktycznie - korwety zawracały, kierując się ku przestrzeni pozaukładowej, by móc jak najszybciej wejść w nadprzestrzeń.

- Przecież myśmy jeszcze niczego nie zrobili! - bąknął zaskoczony Disra.

- Zrobiliśmy. - W głosie Tierce'a słyszeć było ponurą satysfakcję. - Oni też mają zapisy bitew sprzed dziesięciu lat. „Niezlomny" zaczął manewr wymyślony wówczas przez Thrawna podczas ostatniego starcia. I to było wszystko, co chcieli wiedzieć. - Właśnie - dodał cicho Flim, obserwując znikające w nadprzestrzeni korwety. - Zareagowaliśmy dokładnie tak jak Thrawn, mimo pełnego zaskoczenia i braku oficjalnej identyfikacji napastników. .. kapitanie Dorja, proszę odwołać alarm bojowy i sprowadzić myśliwce na pokład. Będzie pan też uprzejmy poinformować rząd ruuriański, że właśnie odstraszyliśmy od ich planety potencjalnych napastników.

- Natychmiast, panie admirale. Mamy wziąć kurs na Bastion?

- Tak. I proszę wejść w nadprzestrzeń, gdy uzna pan to za stosowne. Chwilowo zajmę się medytacjami. - Dobrego wypoczynku, sir.

- Dziękuję, kapitanie. - Flim wyłączył interkom i dodał. - Jeśli Diamalanie dotąd nie byli przekonani, to teraz nie mają cienia wątpliwości.

- Szczęściarze - parsknął Disra. - Dla nas jedynym realnym efektem tych ćwiczeń jest doprowadzenie rządu Nowej Republiki o krok bliżej do podjęcia działania. Mam nadzieję, że obaj zdajecie sobie z tego sprawę.

- Cierpliwości. - Tierce wygasił holoprojektor taktyczny i wstał. -Poza tym pomogły utwierdzić Ruurian w przekonaniu, że wybrali zwycięzców.

- Tak - zgodził się po chwili Disra. - I być może doprowadziły nas o krok bliżej do Ręki Thrawna.

- Czego?! - spytał ostrożnie Flim. - Jakiej znowu Ręki Thrawna? Tierce zmarszczył brwi, wyraźnie

niezadowolony.

- Ekscelencjo... - zaczął, ale Flim nie dał mu dojść do słowa.

- Co to jest Ręka Thrawna?! - powtórzył zdenerwowany.

- Proszę mu powiedzieć. To w końcu pańska historia, majorze - Disra machnął nieco lekceważąco ręką, przygotowując się na kolejny miły akcent tego dnia: komitywa obu współników zaszła zbyt daleko jak na jego gust, toteż nadszedł najwyższy czas, by nieco posmakowali podejrzliwości i niepewności, które jego dręczyły od początku. - Słucham - przypomniał z naciskiem Flim. - O czym to dotąd nie był pan łaskaw mnie poinformować, majorze?

- Nie ma powodu do irytacji. - Tierce odchrząknął. - Sprawa wygląda tak...

Pół godziny później Disra nabrał pewności, iż ten, kto zaprojektował zapasowe stanowisko dowodzenia niszczyciela klasy Imperial jako pomieszczenie całkowicie dźwiękoszczelne, był naprawdę przewidującym człowiekiem. Tierce i Flim tak się na siebie darli, że nikt nie zauważył lekkiej wibracji pokładu charakterystycznej przy wchodzeniu niszczyciela w nadprzestrzeń.

# R O Z D Z I A Ł 1 0

Pierwsze sto metrów było łatwe, nawet biorąc poprawkę na kłopoty Artoo z terenem. Mara zbadała ten rejon jaskini przy użyciu makrolornetki, dzięki czemu opracowała trasę, zanim wyruszyli. Kiedy jednak dotarli do około dziesięciometrowej wysokości uskoku w podłożu, znaleźli się w nieznanym terenie.

- Jak to wygląda? - spytał Luke, ustawiając droida na w miarę równej powierzchni za ostatnim głazem.

- Tak jak się należało spodziewać - odparła Mara, otoczona poświatą podświetlonego kurzu. - A miłą odmianą byłoby choć raz przejść się spokojnie i nie musieć ciągnąć go po skałach, krzakach, piachu i innych przeszkodach. Artoo pisnął urażony.

- Artoo sumiennie zarabia na swoje utrzymanie - przypomniał Luke, otrzepując ręce i podchodząc do Mary. - A poza tym, kiedy ostatnio przeciągaliśmy go przez jakiś piach?

- Nie ma strachu; prędzej czy później i ta przyjemność nas nie minie. Co o tym sądzisz?

Jaskinia, u wejścia której stali, nie była długa - od przeciwległej ściany dzieliło ich może z piętnaście metrów, ale stanowiła prawdziwy labirynt skał, stalaktytów, głazów i stalagmitów, blokujących drogę. A szczelina w przeciwległej ścianie wyglądała na tak ciasną, że ledwie dałoby się przez nią przecisnąć.

- Nie jest tak źle - ocenił. - Stalaktyty możemy odciąć mieczami, ale problem w tym, czy Artoo zmieści się w szczelinie po drugiej stronie.

Z cichym łopotem skrzydeł Dotrzymujący Obietnic przemknął nad ich głowami i usadowił się do góry nogami na skalnym występie najbliższego stalaktytu. „Czyżby dalsza droga była zbyt trudna, Mistrzu Sky Walker?” spytał.

„Żadna droga nie jest zbyt trudna dla Mistrza Jedi”, obruszył się Dziecko Wiatrów, siadając na skale w pobliżu Mary. „Widziałem, jak wspaniale radził sobie na zewnątrz”. „Może wspaniale tylko w oczach naiwnego Qom Qae”, zauważył Rozbijacz Kamieni z innego stalaktytu, znajdującego się już we wnętrzu jaskini. „Trudniej jest wywrzeć wrażenie na dorosłych, którzy zasłużyli już sobie na imiona”. - Znowu rozmawiają z tobą- domyśliła się Mara.

- Chwilowo bardziej ze sobą: Qom Jha zastanawiają się, czy ta jaskinia nie jest dla nas zbyt dużą przeszkodą, a Dziecko Wiatrów broni nas jak może.

- Miło z jego strony. - Mara odczepiła od pasa miecz świetlny i zważyła go w dłoni. - Może tak mały pokaz...? - Jesteś pewna, że zdołasz... to jest chciałem...

- Chodzi ci o to, czy będę w stanie operować mieczem? Będę. Fakt, że nie ukończyłam akademii Jedi nie znaczy, że nie potrafię używać Mocy tak jak twoi uczniowie. Wolisz wysoko czy nisko?

- Wolę wysoko - odparł, zaskoczony gwałtownością jej wypowiedzi.

Odpiął miecz i rozejrzał się uważnie, żeby zapamiętać położenie każdego stalaktytu. - Jesteś gotowa? - spytał i uaktywnił ostrze.

W odpowiedzi włączyła swoje, dodając do zielonego blasku błękitny. - Już! - polecił Luke.

Zgodnym ruchem rzucili miecze, obracając je równocześnie przy użyciu Mocy na podobieństwo łopat wiatraków. Laserowe ostrza szybko i zgrabnie cięły wystające formacje skalne, sypiąc na boki odłamkami i iskrami. A raczej zielone ostrze tak cięło, bo błękitne...

Mara naprawdę próbowała - Luke wyczuwał to w jej pozycji i w wysiłku psychicznym, przypominającym statyczny ładunek elektryczny otaczający ją niczym aura, ale sam Yoda powiedział mu kiedyś: „Rób albo nie rób. Nie próbuj”. I praktyka to potwierdzała. W połowie jaskini miecz Mary jakby się zawahał, łamiąc rytm i opuszczając ostrze tak, że zahaczyło o podłoże. Po chwili wyrównał i przez dwie do trzech sekund leciał prosto, tnąc jak należy, tylko po to, by zwolnić i ponownie opaść, gdy Mara omal nie straciła kontaktu z Mocą. Dwukrotnie Luke chciał jej pomóc, bo operowanie parą mieczy nie było specjalnym problemem, i dwa-kroć się opanował. Złość i frustracja Mary tworzyły groźną kombinację; z Marą złą, sfrustrowaną i po udzieleniu nieproszonej pomocy zdecydowanie wolałby nie mieć do czynienia. Zresztą robiła, co do niej należało i jeśli chodzi o drugi cel, jaki miał osiągnąć pokaz, to subtelności całkowicie umknęły uwagi widowni będącej bardziej niż pod wrażeniem.

Kakofonia pisków, skrzeków i ćwierknięć wypełniła powietrze, gdy wokół Qom Jha posypały się na podłogę stalaktyty i runęły stalagmity, siejąc na wszystkie strony odłamkami. Ich przerażone, bezładne wrzaski nie były jednakże w stanie zagłuszyć tryumfalnego trelu Dziecka Wiatrów:

„A nie mówiłem?! On jest wielkim Mistrzem Jedi, a Mara Jade jest Rycerzem Jedi!”

Luke tak zgrał lot swego miecza, by znalazł się w jego dłoni równocześnie z nieco bardziej oporną bronią Mary, która wylądowała jednak w jej wyciągniętej ręce i wyłączając ostrze upomniał łagodnie:

- Wojna nikogo nie czyni wielkim, Dziecko Wiatrów. Dla Jedi walka zawsze jest ostatecznością.

„Rozumiem”. Stan myślowy młodego Qom Qae przeczył temu zapewnieniu. „Ale kiedy zniszczycie Zagrożających...”



- Niczego nie zniszczymy - przerwał mu Luke. - A przynajmniej nie, zanim spróbujemy z nimi porozmawiać.

- Na twoim miejscu dałabym spokój - poradziła, nie odwracając się, Mara, będąca już w połowie jaskini. - Zrozumie, kiedy zobaczy, jak paru jego przyjaciół ginie w walce. Nie wcześniej.

Luke poczuł nagły skurcz w gardle - Obi-Wan, Biggs, Dack... lista była naprawdę długa.

- W takim razie mam nadzieję, że nigdy nie zrozumie - mruknął.

- Zrozumie, zrozumie - zapewniła go ponuro Mara. - Prędzej czy później, wszyscy to rozumieją.

Dotarta do szczeliny, zajrzała w nią, przyświecając sobie prętem, i sięgnęła po miecz przy pasie.

- Możesz ruszać z Artoo - oznajmiła. - Tu jest tylko krótki komin, potem robi się szeroko. To zajmie minutkę.

Sześć godzin później Luke zarządził w końcu postój.

- Najwyższy czas - oceniła Mara, krzywiąc się i usiłując znaleźć najwygodniejszą pozycję na płaskim kawałku skały. - Już zaczęłam sądzić, że chcesz dotrzeć do tej całej Wysokiej Wieży jeszcze przed nocą.

- Chciałbym, ale to niemożliwe - odparł, odgarniając kamyki ze skalnego siodła i też siadając.

Nie wyglądał na tak zmęczonego jak ona, co Marę z lekka zdziwiło. Chyba że lepiej to ukrywał.

- Przeczuwam, że nie mamy zbyt wiele czasu - dodał Luke.

- Ty nigdy nie masz zbyt wiele czasu - przypomniała, zamykając oczy. - Przyszło ci kiedyś do głowy, że nie musisz wszystkiego załatwiać własnoręcznie?

Poczuła drobną zmianę w jego emocjach i zastanowiła się, czy będzie miał minę urażoną, zdziwioną czy poirytowaną. Gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że przygląda się jej ze spokojnym zaciekawieniem. - Sądzisz, że próbuję zrobić zbyt wiele? - spytał.

- Owszem - przyjrzała mu się uważnie. - A co? Nie zgadzasz się?

- Rok czy dwa temu pewnie bym się nie zgodził. - Luke wzruszył ramionami. - Teraz... nie wiem.

- Aha - mruknęła zaintrygowana: najpierw to dziwne oświadczenie w bazie piratów, że stara się ograniczyć użycie Mocy, teraz przyznanie, że może za bardzo próbował... to już był prawdziwy postęp. - Oczywiście, jeśli ty nie zrobisz wszystkiego, to kto?

Dziecko Wiatrów ćwierknął coś ze swojej grzędy, co wywołało lekki uśmiech Luke'a.

- Nie - odparł, spoglądając dziwnie na Marę. - Nawet Mistrz Jedi nie potrafi wszystkiego. A czasami wygląda na to, że wręcz nie powinien robić niczego. Budujący z Pnączy skomentował tę wypowiedź.

- Tak - zgodził się Luke.

- Co on powiedział? - zainteresowała się Mara.

- Zacytował przysłowie o tym, że wiele pnączy splecionych razem jest znacznie wytrzymalsze niż ta sama ich liczba użyta osobno. Odmiana tego przysłowia istnieje chyba w każdej kulturze i zna je każda rasa inteligentna w galaktyce.

-Wiesz, mogłam rozmawiać telepatycznie z Palpatinem, gdziekolwiek się znajdowałam na obszarze Imperium. - Mara przyjrzała się nieżyczliwie Qom Jha. - Obojętne, czy były to Zewnętrzne Odległe Rubieże, czy Światy Środka.

- A z nimi nie możesz, mimo iż są w zasięgu ręki - dokończył Luke. - To musi być denerwujące.

- Denerwujące nie jest najtrafniejszym określeniem - burknęła jadowicie. - A tak w ogóle, to dlaczego ty ich słyszysz, a ja nie. Jakaś tajemnica zawodowa Mistrza czy co? - Prawdę mówiąc, prawie masz rację - odparł nieporuszony. -Nie Mistrza co prawda, ale sprowadza się do tego, że nie jesteś Jedi. - Bo nie ukończyłam twojej akademii?!

- Bynajmniej. Są sposoby zostania Jedi bez uczenia się w jakiegokolwiek akademii - zawahał się zauważalnie. - Ale skoro już o tym mowa: dlaczego nie wróciłaś? Mara przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się, czy naprawdę ma ochotę zająć się tym tematem już teraz. Zdecydowała, że nie.

- Miałam ważniejsze sprawy - odparła i tym razem wyczuła wyraźną zmianę w jego emocjach.

- Rozumiem. Jak na przykład latanie z Carlissianem po całej galaktyce?

- No, no. - Mara aż uniosła brwi. - Czyżby ktoś tu był zazdrosny?

Luke ponownie ją zaskoczył -jego uczucia, zamiast zapłonąć jak żar na wietrze, przygasły, zmieniając się w łagodny smutek.

- To nie zazdrość - powiedział cicho. - To rozczarowanie. Zawsze miałem nadzieję, że wrócisz i dokończysz naukę.

- To miałeś za słabą nadzieję - zmusiła się, by nie ujawniać żalu. - Sądziłam, iż po tym, co przeżyliśmy razem w lasach Myrkr czy na Wayland, zasługuję na choć trochę twojej uwagi. A za każdym razem, gdy się pojawiałam na Yavin IV, mówiłeś mi cześć i ignorowałeś mnie. Jak nie Kyp Duron to jakiś inny pupilek pochłaniał całą twoją uwagę.

- Masz rację... - skrzywił się boleśnie- ...myślałem... sędzę, że wydawało mi się, iż nie potrzebujesz aż tyle uwagi. Kyp był młody, niedoświadczony...

- I prawie mu się udało zabić cię, zniszczyć akademię i rozwalić Nową Republikę. Że nie wspomnę o paru systemach planetarnych, które zdołał całkowicie zniszczyć. - To nie była jego wina. Exar Kun przeciągał go na Ciemną Stronę, ale mu się nie udało.

- Poważnie?! - Mara zdała sobie sprawę, że ponownie dryfują ku tematowi, który postanowiła chwilowo omijać. - A tak w ogóle, to kto wpadł na ten kretyński pomysł, żeby akademia Jedi znalazła się akurat na czwartym księżycu planety Yavin? Bo kto zdecydował, by ją tam pozostawić po całym zamieszaniu z Exarem Kunem, to wiem. - Ja wpadłem - odparł spokojnie Luke, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - O co konkretnie ci chodzi?

Tym razem Mara się skrzywiła - to zdecydowanie nie było ani miejsce, ani pora na taką rozmowę.

- Ja tylko mówię, że nie jesteś nieomylny, co samo w sobie jest już wystarczającym powodem, żebyś nie próbował robić wszystkiego osobiście.

- Przecież nie twierdzę, że tak nie jest - zaprotestował z lekkim uśmiechem. - Zostałem zresocjalizowany: pozwoliłem ci dzisiaj samodzielnie używać miecza, prawda? - Dzięki za przypomnienie - prychnęła, czując, że się czerwieni. - Myślałam, że mam nad nim lepszą kontrolę.

- Kontrolowanie długiej, powtarzającej się czynności jest zazwyczaj najtrudniejsze do opanowania. Znalazłem na to sposób: unieś miecz to ci pokażę.

Mara przesunęła się i odpięła od pasa miecz, uwalniając biodro, a przy okazji i ścierpniętą nogę.

- Poznajesz go? - spytała i opuściła dłoń, utrzymując rękojeść w powietrzu jedynie Mocą.

- To nie jest konieczne, ale nie uaktywniaj ostrza. Dobrze, trzymaj go przed sobą tak, by się nie poruszał. Patrz na rękojeść, lecz równocześnie wyobraź ją sobie, jak się unosi w tym samym miejscu. Możesz?

Mara na wpół przymknęła oczy, przypominając sobie drogę przez puszcę dziesięć lat temu. Wtedy Luke też był jej nauczycielem i jakoś dobrze się rozumieli. Tylko od tego czasu wiele się zmieniło i może teraz właśnie ona będzie miała do przekazania najważniejszą lekcję. - Dobra, widzę go - oświadczyła. - Co dalej?

Mara szybko się uczyła, co Luke zauważył już dawno, toteż opanowanie podstaw nowego sposobu koncentracji nie zajęło jej wiele czasu. Dał jej pół godziny na ćwiczenia i zdecydował, że czas ruszyć w dalszą drogę.

- Mam tylko nadzieję, że nie skończy mu się energia, zanim dotrzemy do celu - zauważyła Mara, gdy Luke przenosił, pomagając sobie Mocą, Artoo nad kolejnymi przeszkodami terenowymi. - Nagła krew by mnie zalała, gdyby po tej całej szarpaninie został tylko elementem dekoracyjnym.

- Wystarczy, nie ma obawy. Teraz zużywa jej niewiele, a twój droid wyposażył go po drodze w dodatkowe zasilacze, które jakoś upchnęli w jego korpusie.

- Zaraz! Mój droid? Masz na myśli Slipsa? Przecież mówiłeś, że przylecieliście tu myśliwcem?

- Na planetę tak, ale do systemu dotarliśmy na pokładzie „Ognistej Jade”. Chyba w całym późniejszym zamieszaniu zapomniałem ci o tym powiedzieć.

- Właśnie! - warknęła, a emanacja złości, jaka temu towarzyszyła, kompletnie zaskoczyła Luke'a. - Kto, do cholery, ci pozwolił... Cofam. To był Talon?

- Całkiem rozsądnie zauważył, że twój Defender nie ma hipernapędu, a mój myśliwiec jest za ciasny dla dwóch osób przy dłuższym przelocie.

- I miał rację - przyznała niechętnie, zmuszając się do rozsądnej oceny użycia przez kogoś jedynej rzeczy w galaktyce, która należała naprawdę tylko do niej. - Mam nadzieję, że dobrze go ukryłeś gdzieś na obrzeżu systemu.

- Ukryłem - zapewnił ją Luke. - Wiem, ile dla ciebie znaczy.

- I lepiej żebyś go przy okazji nie poobijał - ostrzegła. - Nie pomyślałeś, żeby zabrać ze sobą przywoływacz?

- Prawdę mówiąc, pomyślałem. - Luke zastanowił się i z jednej z kieszeni kombinezonu wyjął niewielkie płaskie pudełko z paroma przyciskami.

Z jakichś nieznanых powodów przypominał mu się inny przywoływacz, znaleziony na Dagobah. Tamten był znacznie starszy, pochodził sprzed Wojen Klonów, a dowiedział się o nim jedynie tego, że Artoo widział kiedyś podobny u Landa. Udali się więc na Nklon, gdzie Lando administrował wówczas ruchomą osadą górniczą, i przybyli akurat na czas, by pomóc Leii i Hanowi odeprzeć atak sił imperialnych dowodzonych przez wielkiego admirała Thrawna. Luke nie miał pojęcia, dlaczego akurat to wspomnienie pojawiło się właśnie teraz. Czy dlatego, że była tu Mara i wiązało się z pierwszą wizją, czy może miało coś wspólnego z tamtym urządzeniem sprzed lat albo z urządzeniem tego typu w ogóle, czy też po prostu był przemęczony.

- Kłopoty? - spytała Mara, przyglądając mu się dziwnie.

- Luźne skojarzenia - odparł i podał jej przywoływacz. - Chociaż i tak nie zdołasz go użyć, bo skała tłumi sygnał, a poza tym, jeśli dobrze pamiętam te urządzenia działają tylko wzdłuż linii wzroku.

- Są też wezwania szerokopasmowe, ale masz rację, przez taką warstwę skały sygnał się nie przebije, a na dodatek nie dotrze do obrzeży układu. Natomiast w twierdzy mogą mieć nadajniki wystarczającej mocy, by go odpowiednio wzmocnić. - Schowała przywołyвач i nie zdołała powstrzymać ostatniej uwagi: - I tak nie zamierzam go użyć, dopóki nie zneutralizujemy tutejszej bazy myśliwskiej. Co mi przypomina, że zapomniałeś mi powiedzieć co się stało z tą parką, którą spotkałeś.

- Nie bardzo jest o czym opowiadać. - Luke odpiął od pasa miecz, włączył go i zajął się kolejnym stalaktytem blokującym drogę. - Kazali mi trzymać się szyku i wykonali serię ostrych manewrów, do tej pory nie wiem po co. Sądziłem, że szukają pretekstu do otwarcia ognia, ale zrobili to później bez żadnych sztuczek, więc nie o to im chodziło.

- Prawdopodobniejsze jest, że chcieli sprawdzić, z jakim pilotem mają do czynienia.

- Też doszedłem do takiego wniosku - zgodził się, przenosząc, przy użyciu Mocy, Artoo nad roztrzaskanym stalaktytem. - Oczekali, aż znajdziemy się o parę kilometrów od twierdzy i zaczęli strzelać. Schowałem się w długim krętym kanionie, który minęłaś po drodze i zgubiłem ich.

- Powiedziałeś, że kazali ci trzymać się szyku - odezwała się Mara po chwili ciszy. - Po jakiemu?

- W końcu we wspólnym. Zaczęli od tej samej wiadomości, którą nagraliście oboje z Talonem, kiedy podobna jednostka zainteresowała się niszczycielem Boostera Terrica.

- Karrde ci ją dał - mruknęła, posepniejąc. - A co oprócz niej?

- Zapis z twojego lądowania i rekonesansu. Powinien coś jeszcze dodać?

- Nie tyle dać, ile powiedzieć. Po pierwsze, w tej wiadomości zostało użyte prawdziwe, pełne nazwisko Thrawna, znane naprawdę niewielu. Po drugie na Wayland, w pobliżu Tantiss, twoja siostra znalazła uszkodzoną datakartę zatytułowaną „Ręka Thrawna”. - Nie podoba mi się to.

- Nikomu, kto o niej słyszał, się nie podobało. Ważniejsze jest co innego: co oznacza?

- Nazywano cię Ręką Imperatora - zastanowił się Luke. - Czy Thrawn mógł mieć podobnego agenta do specjalnych poruczeń?

- Wszyscy o to pytają - odparła zniecierpliwiona. - Albo czy nie jest to jakaś nowa superbroń. Moim zdaniem ani jedno, ani drugie nie byłoby w jego stylu.

- Fakt, jego styl to genialna i zaskakująca wszystkich strategia.

- Skrótowo rzecz ujmując - zgodziła się Mara. - Tym niemniej datakarta pochodzi z prywatnego archiwum Imperatora i musi dotyczyć czegoś konkretnego. Palpatine nie trzymałby tam dezinformacji dla prywatnej rozrywki.

- Co by to nie było, nasi przyjaciele z twierdzy wydają się w jakiś sposób powiązani z Thrawnem. Może są grupą, którą sam tu umieścił albo należą do jego rasy. - To faktycznie budująca myśl - warknęła. - Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że strategiczny geniusz nie jest u nich cechą rasową.

- Tak - mruknął Luke, zabierając się za kolejną przeszkodę terenową, gdy nagle coś mu przyszło na myśl... - Znowu myślisz. Lepiej powiedz, o co chodzi.

- Ręka Thrawna nie musi oznaczać agenta, lecz studenta. Kogoś, kogo przygotowywał na swoje miejsce, gdyby coś mu się stało.

- To gdzie się ten uczeń podziewał przez dziesięć lat?

- Może nie był jeszcze gotów, a przynajmniej tak uważał?

- Albo czekał na odpowiedni moment - dodała, poważniejąc.

Luke odetchnął głęboko, gdyż w jaskini zrobiło się jakby chłodniej.

- Jak, dajmy na to, sytuację, w której Nowa Republika stanie na skraju wojny domowej. Choćby w kwestii Caamas.

- Thrawn działałby dokładnie w taki sposób - zgodziła się Mara. - Przy potencjale Imperium zbliżonym do zera to jedyna metoda.

Przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Myślę, że lepiej pospieszmy się i sprawdźmy, co naprawdę dzieje się w tej całej fortecy czy Wysokiej Wieży - zaproponował w końcu Luke. - Istotnie, to najlepsze, co możemy zrobić.

O mniej więcej pięć metrów przed nimi znajdowało się wejście do sporej pieczary, której nie rozświetlały promienie ich latarek. Luke ruszył ku niemu i stanął, czując nagle delikatne mrowienie w karku.

- Też to poczułam - mruknęła stojąca za nim Mara. - Choć nie do końca jest to ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. - Może zagrożenie nie jest niebezpieczne dla nas...

Ćwierkot Artoo był jednocześnie podejrzliwy i smutny.

- Nie myślał o tobie - zapewniła go Mara. - Widzisz, Luke?

- Widzę - odparł, uśmiechając się ironicznie: cała trójka Qom Jha, zazwyczaj latająca wokół i przed nimi, siedziała skromnie na skalnych występach przed wejściem do pieczary. - Powiedziałbym, że jest tam coś, z czym nie spieszo im się spotkać. - I o czym zapomnieli nam powiedzieć. Kolejny test?

- Może... Nie wlatuj tam! - polecenie skierowane było do Dziecka Wiatrów.

„Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa”, zaprotestował młody Qom Qae, ale posłusznie wylądował na stalagmicie przed wejściem. „Co nam zagraża?”

- Mamy zamiar się dowiedzieć - poinformował go Luke, ujmując miecz i podchodząc do wejścia. - Mara?

- Jestem za tobą. Chcesz, żebym się zajęła światłem?

- Proszę. - Podał jej latarkę, sięgnął po Moc, wyostrzył zmysły i stanął w wejściu do pieczary.

Stał tak długą chwilę zupełnie bez ruchu, uważnie studiując teren oświetlany przez Marę. Pieczara była duża i wysoka, o mniej więcej równej podłodze, na którą sączyło się ze ścian kilka strumyków i płynęło dalej w płytkich korytach. Nie dostrzegł żadnych stalaktytów, stalagmitów czy gładów, za to w dolnej części bocznych ścian widniało kilkadziesiąt otworów, o półmetrowej średnicy sprawiających wrażenie głębokich. Ściany, podłogę i nawet koryta strumieni pokrywała gruba warstwa jakiegoś białego mchopodobnego porostu. Po przeciwnej stronie pieczara zwężała się, przechodząc w tunel podobny do tego, który właśnie przeszli.

- Muszą gdzieś być jakieś kominy sięgające powierzchni - powiedziała cicho Mara. - Nie dochodzi nimi bo prawda światło, ale wyraźnie czuć ruch świeżego powietrza. - Zgadza się - mruknął, myśląc intensywnie: świeże powietrze, woda, roślinność, to wszystko mogło doprowadzić do powstania zamkniętego ekosystemu.

- Chcesz kogoś poczęstować żelazną racją? - zapytała Mara.

- Zaczniemy od czegoś ciężiej strawnego - Luke podniósł odłamek skały wielkości pięści i cisnął go w głąb pieczary, a gdy ten zaczął opadać, złapał go Mocą i energicznie przesunął w bok.

W mgnieniu oka coś wyprysnęło ze ściany i błyskawicznie się w nią cofnęło. A kamień zniknął.

- Proszę! - spojrzął na oświetloną przez Marę część ściany. - Widziałaś, skąd to wyskoczyło?

- Gdzieś z tego rejonu, konkretnej dziury nie zauważyłam, bo było za szybkie.

Z jednego z otworów wysypała się nagle niewielka lawinka skalnych okruchów, które bezgłośnie opadły na mech. Coś się tam poruszyło, ale szybko znieruchomiło i pieczara ponownie zamarała. - Chyba mu nie smakowało - oceniła Mara.

- Trzeba było spróbować żelaznej racji - zgodził się Luke, przypominając sobie przy użyciu Mocy zapamiętany obraz, ale ten sposób także na nic się nie przydał: stworzenie okazało się zbyt szybkie. - Zauważyłaś, co to właściwie było?

- Język albo macka, reszta siedzi w dziurze albo i za nią.

- I prawdopodobnie jest ich tu więcej... Masz jakąś propozycję?

- Musimy się któremuś przyjrzeć dokładniej. Wyczułeś jakąś świadomość?

- Nie - odparł i na wszelki wypadek sprawdził raz jeszcze. - Nic.

- A więc prymitywne drapieżniki - stwierdziła, przeciskając się obok i oddając mu lampę i pręt oświetleniowy. - To ułatwia sprawę... mógłbyś się odsunąć?

- A co właściwie chcesz zrobić? - spytał, widząc, że odczepia od pasa miecz świetlny i uaktywnia go.

- Przyjrzeć się któremuś - odparła. Pochwyciła miecz Mocą i obróciła nim powoli, po czym posłała nadal wirującą broń w stronę lewej ściany.

Miecz zbliżył się do jednego z otworów i w nagłym błysku światła zniknął w nim, rozcinając skałę.

„Mara Jade” - jęknął Dziecko Wiatrów. „Twój bojowy pazur...”

- Spokojnie! - Luke nie odrywał wzroku od otworu, w którym zniknęła broń: jeśli Mara się przeliczyła...

Na szczęście z dziury posypała się, większa tym razem, lawina kamieni, za nim zaś wysunęło się długie, podobne do dżdżownicy stworzenie pokryte różową krwią, wypływającą jeszcze z kilkunastu głębokich ran. Z prawie groteskową powolnością twór zsunął się po porośniętej mchem ścianie i znieruchomiał na ziemi, wywalając z pyska długi, skręcony język i miecz świetlny Mary.

„A więc tak wyglądają!” W tonie Dotrzymującego Obietnic dominowały obrzydzenie i zaskoczenie. - Nie widzieliście ich dotąd? - spytał Luke.

„Nikt żywy nie widział polujących w tej jaskini. Pojawili się zresztą dopiero trzydzieści sezonów temu”.

- Uściślijmy: nie było ich tu wcześniej czy wy ich nie spotkaliście?

„Nie potrafię dokładnie odpowiedzieć na twoje pytanie, ponieważ rzadko zapuszczaliśmy się w te okolice”.

- Kłopoty? - zainteresowała się Mara, ściągając miecz przy użyciu Mocy.

- Raczej wątpliwości jak ten lokal wyglądał trzydzieści lat temu.



- Ciekawe - Mara z odrazą obejrzała miecz i zabrała się za wycieranie go o mech. - Może ktoś wprowadził się do tej całej Wysokiej Wieży, a potem postanowił wyeliminować niezorganizowaną turystykę. - Całkiem możliwe.

- Dobra, obejrzelismy go. - Mara obejrzała też ponownie miecz i zadowolona przypięła go do pasa. - Teraz twoja kolej. Ile ich zostało? Trzydziestka?

- Coś koło tego. Jak sądzisz: są wystarczająco sprytne, by zdać sobie sprawę, że jesteśmy za duzi na obiad?

- Wolalabym na to nie liczyć. Przy tej szybkości i sile mięśni spokojnie mogą nam połamać kości.

- Fakt. Wątpię też, aby istniała jakaś ścieżka znajdująca się poza ich zasięgiem. - Ja również. Poza tym nie ma co kombinować: wystarczy poruszać się przy samej ścianie i ciąć je, jak tylko się wychylą.

Luke skrzywił się - sposób był rzeczywiście prosty, tyle że tracił rzeźnię. Mieli do czynienia z prymitywnymi zwierzętami i musieli przejść przez ich teren, ale mimo to jakoś nie odpowiadał mu pomysł dokonania tego po wyrznięciu w pień mieszkańców jaskiń. Być może istniał inny sposób...

- Dotrzymujący Obietnic, powiedz mi, czym te stworzenia się żywią? - spytał, oglądając się przez ramię.

„Na początku i na końcu sezonu są duże migracje insektów”, machnął skrzydłami zapytany. - Hmm? - zainteresowała się Mara.

- Wędrownym robactwem - przetłumaczył Luke.

- I przelotnymi Qom Jha?

„Nie obrażaj nas”, nastroszył skrzydła Rozbijacz Kamieni.

- Co naturalnie nie wyjaśnia, czym się żywią pomiędzy wędrownkami robaków - dodała Mara, ignorując go całkowicie. - Jakoś nie widzę w okolicy nic insektopodobnego.

- A to akurat łatwo sprawdzić. - Luke wyłączył miecz i trzymając się ściany dał dwa kroki do wnętrza, po czym solidnie klepnął dłonią o mech.

Coś zabzyczało basowo i z tuzin żukopodobnych owadów kilkucentymetrowej długości poderwało się z niewidocznych zagłębień i zaczęło się dziko miotać po pieczarze. Nie miotały się długo - równie nagle jak przedtem, tylko w większej liczbie, ożywili się mieszkańcy skalnych otworów i w ciągu paru chwil oczyścili przestrzeń powietrzną ze wszystkiego co się ruszało. W pieczarze ponownie zapanowały cisza i bezruch.

- Interesujące - skomentowała Mara. - Ten mech musi być grubszy niż wygląda. Mam nadzieję, że nie postanowiłeś walić po nim i przemykać bokami, korzystając ze zorganizowania im dodatkowego posiłku. Artoo ćwierknął nerwowo.

- W pewnym sensie masz rację. - Luke włączył ostrze. Wszedł głębiej do pieczary i wyciął ostrożnie około metra kwadratowego mchu, po czym wyłączył broń, przypiął do pasa, złapał za brzeg wyciętego kawałka i pociągnął.

Łata piętnastocentymetrowej grubości urwała się z dziwnie nieprzyjemnym trzaskiem. Luke złapał ją oburącz, usiłując zachować całość pakunku i krzywiąc się, gdy mech zaroił się nagle setkami przerażonych larw.

- Śliczne - Mara znalazła się tuż obok. - Nadeszła pora karmienia?

- Przynajmniej w teorii - odparł, podchodząc ostrożnie do najbliższego otworu i zatykając go wyciętym mchem.

Natychmiast coś wyrwało mu pakunek z rąk i cofnęło się.

- Sprawdźmy, czy działa. - Mara minęła go i wysunęła przed otwór ostrze miecza. Nic się nie stało.

- Wygląda na to, że działa. Przenieś Artoo, dopóki ten tu przegryza się jeszcze przez kanapkę.

- Racja - Luke odwrócił się i używając Mocy przeniósł droida w głąb pieczary, a następnie poleciał pozostałym: - Ruszamy!

- Jestem pod wrażeniem - przyznała Mara, gdy po paru sekundach wszyscy znaleźli się po przeciwnej stronie otworu: dopiero wówczas zresztą przestała przy nim czuwać gotowa do ciosu.

- I nie wymaga zabijania - dodał Luke, podchodząc do kolejnego otworu.

- Jeśli nie liczyć kupy robaków. A tak na marginesie, chyba ich nie lubisz.

- Przypominają mi drochy - przyznał, z lekka zaskoczony: sądził, że lepiej ukrywał niechęć. - Poza tym nic do nich nie mam.

- Aha - mruknęła, podchodząc bliżej. - Coś ci powiem, tni, a ja zrobię resztę, zgoda?

Dwie godziny później zatrzymali się wreszcie na nocleg.

- To znaczy wydaje mi się, że teraz jest noc - dodał Luke, przyglądając się z namysłem chronometrowi. - Bo właśnie mi wyszło, że nie przestawiłem go na lokalny czas.

- Jest noc - zapewniła go Mara, wyciągając się na wybranej skale i zamykając oczy.

Miała świadomość, że zapłaci za to serią skurczów i siniaków, ale dopiero potem, a chwilowo było jej naprawdę wygodnie.

- Noc to najwłaściwsza pora na sen dla grzecznych chłopców i dziewczynek - wyjaśniła. - A więc na pewno jest noc. -Aha...

Otworzyła oczy, wyczuwszy kolejną zmianę emocji.

- Nie uważasz, że to logiczne? - spytała.

- Masz rację. - Luke potrząsnął głową i dodał z ociąganiem. -Musimy się wyspać. Sięgnęła po Moc, próbując głębiej wniknąć w jego uczucia, ale napotkała nieprzeniknioną barierę, lekko tylko zabarwioną... zaambarasowaniem. Zaskoczyło ją, toteż dopiero po chwili upewniła się, że właściwie rozpoznała emocję. Rzeczywiście wyczuła zaambarasowanie -jak na wielkiego Mistrza Jedi Luke'a Skywalkera nawet to było dowodem ogromnego postępu. I świadczyło wyraźnie, że nie należało mu ułatwiać życia: kiedy zdobędzie się wreszcie, żeby zwyczajnie spytać, jak wyglądały jej stosunki z Carlissianem, powie mu prawdę. Ale nie wcześniej.

Być może będzie też wtedy gotów do wysłuchania innych, znacznie gorszych rzeczy, jakie miała mu do powiedzenia... Być może.

# R O Z D Z I A Ł 1 1

- Mhm, więc to jest to, tak? - spytał Wedge, oparty nonszalancko o zabytkową lampę, jakich pełno było w parku, pośrodku którego na otwartym placu znajdowała się biała kopuła.

- To - potwierdził Corran, przyglądając się dla odmiany podręcznemu czytnikowi. - Przynajmniej on tak twierdzi.

- Wedge obejrzał park i okalającą go częściowo ulicę, pełną sklepów z wielobarwnymi flagami reklamowymi i zatłoczoną setkami Bothan oraz przedstawicieli rozmaitych innych ras inteligentnych.

- Powariowali - ocenił z przekonaniem. - Umieszczać taki cel w publicznym miejscu to jak specjalnie prosić o kłopoty.

Dokończył ciszej, ponieważ w pobliżu przeszedł jakiś Duros.

- Z drugiej strony lokalizacja jednego z głównych elementów planetarnego pola siłowego w samej stolicy gwarantuje miastu bezpieczeństwo, co ma duże znaczenie psychologiczne dla wszystkich przybywających tu w interesach - zauważył Corran. - Jasne, zawsze starali się robić dobre wrażenie - przyznał cierpko Wedge.

Musiał jednak uczciwie przyznać, że pozory myliły - według informacji dostarczonych przez Bel Iblisa kopułę zbudowano ze specjalnego stopu permastali. Całkowicie pozbawiona okien, miała tylko jedno wejście, a wyposażono ją zarówno w automatyczne systemy obronne, jak i w kontyngent uzbrojonych wartowników. Generator i pozostałe wyposażenie umieszczono dwa piętra pod ziemią i zaopatrzone w zapasowy reaktor oraz podwójny zestaw części zapasowych. Obsługa techniczna była ponoć w stanie rozebrać wszystko i złożyć działający system w dwie godziny.

- Wrażenie nie zawsze się Bothanom udawało, za to ochronę własnej dupy mają opanowaną naprawdę dobrze - dodał Corran. - Dublujące się zabezpieczenia to standardowa...

Przerwał, gdyż między nim a Wedgem przepchnęła się właśnie grupka rozgadanych Bothan, ignorujących wszystkich poza sobą. Para spóźnialskich, spiesząca, by do nich dołączyć, była jeszcze bardziej zajęta sobą - jeden wlaźł prosto na Wedge'a, omal go nie wywracając.

- Serdeczne przeprosiny całego mojego klanu, łaskawy panie - wymamrotał sprawca zamieszania. Jego futro gwałtownie falowało z zakłopotania, kiedy cofał się pospiesznie prosto ku Hornowi, który próbował zejść mu z drogi, ale tubylec poruszał się za szybko i wpadł również na niego.

- Co ty wyprawiasz, durniu! - Jego towarzysz złapał Corrana za ramię, pomagając mu utrzymać

równowagę. - Wpędzisz cały klan w długie, niezdane patentowe, i to do szóstego pokolenia! Strasznie panów przepraszamy. Czy któremuś z was coś się stało? - Nie, nic nam nie jest - odparł Wedge, ale spojrzawszy na marszczącego brwi Corrana dodał: - Choć po zastanowieniu...

- Doskonale - ucieszył się pytający, łapiąc towarzysza za ramię i ciągnąc ku sklepom. - Cieszymy się niezmiernie i życzymy szanownym panom udanego i przyjaznego dnia.

Wedge podszedł do Corrana, obserwującego obu Bothan z dziwną miną. Tamci tak się spieszyli, że prawie wpadli na starszą kobietę, nim zniknęli w tłumie. - O co chodzi? - spytał. - Potłukłeś się, czy co?

- Nie - powiedział powoli Horn, nadal marszcząc brwi. - Ale coś tu jest nie tak... Nagle sięgnął do wewnętrznej kieszeni i zaklął.

- Rąbnął mi portfel! - warknął po wstępnej wiaźance.

- Co?! - Wedge sięgnął do swojej kieszeni i stwierdził, że też jest pusta. - O, kur... - Gazu! - polecił Corran i ruszył biegiem.

- Nie wierzę! - jęknął Wedge, biegnąc za nim. - Jak im się to, do cholery, udało?! - Nie wiem - przyznał Corran, roztrącając przechodniów. - Sądziłem, że znam wszystkie chwytaki dolinarzy. Nie zauważyłeś przypadkiem, z jakiego byli klanu? - Nie rozpoznałem symbolu - warknął Antilles. Czuł się jak kompletny i patentowany głupiec, co nie zdarzało mu się zbyt często. - Stary nas zabije! Widzisz ich? Pytanie było o tyle uzasadnione, że znaleźli się na nieco wyżej położonym i w miarę pustym kawałku ulicy.

- I to powoli - dodał Horn, rozglądając się. - Nie widzę.

W portfelach mieli wszystko - pieniądze, kredytowe chity i oba zestawy dokumentów: tak wojskowe, jak i wyrobione przez wywiad Nowej Republiki cywilne. - Ja też ich nie widzę - przyznał Wedge, zastanawiając się, co robić: rząd bothański nie wiedział o ich obecności, a gdyby się dowiedział, zapewne byłby wściekły, podobnie jak oficjalni przedstawiciele Nowej Republiki. - Nie sądzę, żebyś zdołał... no wiesz...

- Gdybym ich wyczuł, kiedy byli tuż obok, to by nas nie okradli. Z tej odległości nie mam cienia szansy. - Corran był zły na samego siebie. - Spodziewam się, że masz jakiś zapasowy plan.

- Myślałem, że ty masz - przyznał Wedge, zdając sobie sprawę, że pozostało im jedynie wrócić na pokład promu i odlecieć do Ord Trasi.

Generał Garm Bel Iblis, jak wieść niosła, biegle operował zadziwiającym asortymentem koreliańskich inwektyw, co ujawniało się jedynie, gdy był wyjątkowo wściekły. Wedge, znający go od lat i również od lat będący z nim na ty, nigdy nie miał okazji potwierdzenia prawdziwości tej wieści, ale wszystko wskazywało na to, że przy pierwszym spotkaniu sytuacja ulegnie zmianie.

- Mirax ci tego nie zapomni - ostrzegł z westchnieniem.

- Iella tobie też nie - zrewanżował się Corran posępnie.

- Skąd te ponure miny, droga młodzieży? - dobiegło nagle z tyłu. - Napijcie się ze mną dla poprawy humoru?

Wedge odwrócił się zaskoczony i spojrzał w dziwnie bystre oczy starszej wiekiem kobiety. - Co...?!  
- wykrztusił.

- Zaprosiłam was na drinka - wyjaśniła cierpliwie niewiasta. - Dzień jest ciepły, a słońce zbyt ostre jak na moje stare oczy.

- Przykro nam, ale chwilowo jesteśmy trochę zajęci - wyjaśnił Corran, rozglądając się ponownie.

- Ech, ta dzisiejsza młodzież... zawsze załatani i za bardzo zajęci, żeby usiąść spokojnie i cieszyć się życiem. Albo posłuchać kogoś doświadczonego.

Wedge też zaczął się rozglądać z nadzieją, że stara nudziara zrozumie aluzję, choć po kimś, kto pałętał się bez celu po ulicach takiego miasta jak Drev'starn, trudno było spodziewać się rozsądnych reakcji. - Przykro nam, proszę pani, lecz...

- Jesteście zbyt zajęci, żeby się napić z samotną starą kobietą? - dokończyła z żalem. - Skandaliczne!  
Zwłaszcza że samotna stara kobieta stawia!

Wedge spojrzał na nią, szukając odpowiednio grzecznej, ale stanowczej odprawy i zamarł. Jego rozmówczyni uniosła dłoń, w której trzymała dwa niewielkie, czarne przedmioty tak, by mógł im się dokładniej przyjrzeć. Były to ich portfele.

Wedge Antilles, generał i as myśliwski z długoletnim stażem, poczuł jak opada mu szczęka. Opanował się z wysiłkiem i pierwszy raz przyjrzał się uważnie kobiecie - była to ta sama, na którą wpadli podczas ucieczki obaj kieszonkowcy.

- Corran? - zaczął, odbierając podane portfele. - Daj sobie spokój.

- Coś ty po...? - Horn urwał, widząc na wysokości nosa swój portfel. Wziął go, sprawdził zawartość i skupił uwagę na stojącej przed nim kobiecie, zanim spytał: - Mógłbym usłyszeć, w jaki sposób weszła pani w posiadanie portfeli?

- Gdybym nie wiedziała, to teraz by się wydało... - zapytana z rozbawieniem potrząsnęła głową. - Zawsze chciałam się dowiedzieć: w CorSecu programują was tylko na ton głosu czy karmią całymi instrukcjami?

- Chcielibyśmy tylko wyjaśnić pewną kwestię - odparł ostrożnie urażonym tonem Horn. - A z

CorSecem od lat nie mam nic wspólnego.

- Nawyki zostały - poinformowała go radośnie. - Powinniście bardziej uważać, macie holozdjęcia ładnych dziewczyn, po co je tracić? Co teraz powiesz na propozycję drinka, Wedge? A już poważnie, mamy sporo rzeczy do omówienia.

- Jasne, dlaczego nie? - zgodził się ostrożnie Wedge, przeglądając szybko w myślach listę nieprzyjemności: jeśli zrobiła to dla nagrody, jeszcze pół biedy, ale jeśli dla informacji... - Słyszę, że znasz nasze imiona, można wiedzieć, z kim mamy przyjemność?

- Moranda Savitch - przedstawiła się. - Długoletnia współpracownica waszego znajomego, Talona Karrde. Aha, jeszcze jedno: po zastanowieniu się zdecydowałam, że wy stawiacie.

Droid-kelner przyniósł zamówione napoje, rozlewając tradycyjnie kilka kropel na rzeźbiony kamienny blat, skasował należność od Wedge'a i odszedł.

- Chakta sai bae - Moranda uniosła naczynie. - Dobrze wypowiedziałam toast, bo nigdy nie byłam pewna, czy właściwie akcentuję po koreliańsku?

- Prawie dobrze. - Corran z trudem oderwał się od czytnika i spojrzał na towarzysza. - I co?

- Według mnie w porządku. - wzruszył ramionami Wedge.

- W porządku to za mało. Zauważyłeś, że jedynym sposobem potwierdzenia tego listu uwierzytelniającego od Talona jest sprawdzenie kodów identyfikacyjnych z kimś na Coruscant?

- A to oznacza, że musielibyście pofatygować się do przedstawicielstwa Nowej Republiki i ujawnić, kim naprawdę jesteście -dodała, upijając długi łyk jasnobłękitnego likieru, który zamówiła. - Radziłabym się pospieszyć, bo nie mamy aż tak wiele czasu. - Racja. - Wedge bez powodzenia spróbował odczytać coś z jej twarzy. - Niestety...

- Niestety nie chcecie albo nie możecie tego zrobić - dokończyła. - Tak też sobie myślałam. Niezręczne. - Dlaczego tak uważasz? - spytał Corran.

- Dlaczego uważam, że co? Ze jesteście zdani tylko na siebie, czy że to niezręczne?

- Pierwsze. Mówisz, jakbyś spodziewała się czegoś podobnego.

-Nie wygłupiaj się: miałam sporo czasu, żeby obejrzeć wasze portfele. Do jakiego wniosku byś doszedł, widząc dwa zestawy dokumentów na różne nazwiska, z tego jedno wojskowe, a drugie cywilne?

- Właśnie! - Corran posłał jej spojrzenie w opinii Wedge'a także ze standardowego CorSecu. - Czyli wiedziałaś, że nie jesteśmy w stanie sprawdzić tych referencji, zanim je nam pokazałaś.

- I do czego ten wniosek prowadzi? - spytała, wskazując na datakartę tkwiącą w jego czytniku. - Że wyprodukowałam je po drodze?

- Albo że miałaś przygotowane wraz z tuzinem innych fałszywek na podobną okazję - odpalił Corran. - Skąd możemy mieć pewność? Moranda długim łykiem opróżniła kielich i wstała.

- Tę zagadkę rozwiążcie sobie sami, moi mili. Założyłam, że jesteśmy po tej samej stronie i będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem. Przepraszam, mój błąd. Na pożegnanie jedna rada: pilnujcie lepiej portfeli.

Wedge zerknął na Horna, który ledwo zauważalnie skinął głową.

- Nie ma się co irytować - powiedział, wstając. - Siadaj, Morando. On jest z natury nieufny. Proszę...

Zatrzymała się, przyglądając im się podejrzliwie; w końcu uśmiechnęła się i usiadła. - Zdałam test? - spytała spokojnie.

- Na tyle dobrze, żebyśmy mogli sensownie porozmawiać - przyznał Wedge. - Zacznijmy od tego, co tu robisz.

- Sądzę, że to samo co wy. Karrde uważa, że dojdzie do strzelaniny, w samym środku której siedzi Bothawui, niczym piękna tarcza, i chciałby wiedzieć, czy ktoś zechce zrobić ją jeszcze atrakcyjniejszą, niszcząc pole siłowe. Byłoby też miło odliczyć, kto będzie tego próbował.

- I mógł do tego wygospodarować tylko ciebie? - spytał Wedge.

- Większość ludzi z jego organizacji bada teraz najrozmaitsze ślady w całej galaktyce. Ruchy osób, sprzętu, pieniędzy i informacji. Inni sprawdzają banki danych. Ja po prostu znalazłam się we właściwym czasie na właściwym miejscu. - I co dokładnie masz robić?

- Dowiedzieć się, czy ktoś próbuje wyłączyć planetarne pole siłowe i kto to taki. I jeśli będę w stanie, uniemożliwić temu ktosiowi sabotaż.

- Dlatego kręciłaś się koło tutejszego generatora? - upewnił się Wedge. - Żeby sprawdzić, jak można się tam dostać?

- To już zrobiłam. Dzisiaj sprawdzałam, czy ktoś jeszcze interesuje się generatorem - uśmiechnęła się złośliwie. - Dlatego przypięłam się do was. Bez urazy, ale pasowaliście do tłumu jak Wookie do klanowego zgromadzenia Noghri.



- I dlatego kazałaś nas obrobić? - domyślił się Wedge. - Żeby sprawdzić, z kim masz do czynienia?
- Nie kazałam. Przypadkiem zobaczyłam, jak was załatwiła ta parka, więc skorzystałam z okazji i odebrałam im łup.
- Jeżeli myślisz to samo co ja, nie jest dobrze - ocenił Wedge, spoglądając na Corrana.
- Ktoś nas namierzył. - Corran rozejrzył się dyskretnie. - Nie sędzę, żebyś wiedziała, gdzie przywarowała ta para artystów?
- Zjawiłam się tu dopiero dwa dni temu i nie miałam okazji dołączyć do tutejszego półświatka.
- Ale możesz to zrobić, jeśli tylko zechcesz. - Wedge nadal nie był do końca przekonany: Talonowi ufał, lecz jego organizacja była duża i nie miał szans znać i ręczyć za wszystkich.

Moranda mogła wykorzystywać ją do własnych celów albo pracować dla tego, kto da więcej... albo też wykonywać zlecenia uczciwie, gdy nie miała nic lepszego do roboty i korzystać z szyldu. Gdyby ktoś zaoferował wystarczająco wysoką nagrodę za poznanie ich planów, odmówiłaby czy nie? Moranda westchnęła ciężko.

- Posłuchaj, Wedge: zrobiłam w życiu sporo przekrętów, a jeśli ktoś chce być dobrym oszustem, musi umieć czytać z twarzy innych. Z twojej czyta się jak z książki.

Nie ufasz mi i nie mam ci tego za złe; w końcu dopiero się poznaliśmy. Ale odzyskałam wasze portfele i mam rekomendację Talona Karrde'a. Prawdę mówiąc, nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby cię przekonać.

- A dlaczego aż tak ci na tym zależy - zainteresował się Corran.

- Bo dostałam zadanie do wykonania - odparła bez uśmiechu.

Wedge nadal nie był do końca przekonany, ale jej argumenty miały sporo sensu, a potem należało liczyć na zdolności Corrana -w końcu był Rycerzem Jedi.

- Zgoda - zdecydował. - Połączymy siły, przynajmniej na razie. Masz jakieś sugestie?

- Na początek powinniśmy sprawdzić, czy od zniszczenia stacji kosmicznej pojawił się na planecie ktoś podejrzany - odparła rzeczowo. - Wtedy zaczął się ten złot gwiazdzisty-na orbicie, a jeśli ktoś zechce go wykorzystać, musi mieć na planecie swoich ludzi.

- Albo obcych - dodał Corran. - Ostatnio nawet Imperium ich używa.

- Brzmi rozsądnie, widzę tylko jeden problem: te informacje są w bankach danych centralnego komputera celnego, do którego nie mamy dostępu - zauważył Wedge. - To żaden problem - zapewniła

go Moranda. - Dopijcie, co macie i chodźmy porozmawiać w spokojniejsze miejsce, na przykład do waszego hotelu.

- Jasne - Wedge opróżnił duszkiem nie ruszając dotąd szklankę i wstał: jedno było pewne, cokolwiek miałyby się wydarzyć, niewątpliwie zrobi się ciekawie. Co naturalnie nie musiało być miłą odmianą.

- Naprawdę? - ucieszył się Navett. - Wspaniale, to kiedy mogę je odebrać?

- Kiedy tylko chcesz - z komlinku dobiegł odgłos kichnięcia. - Im szybciej, tym lepiej.

- To możemy zaraz? Bo klienci już się dopytują, co mamy, a my mówimy, że nic, bo siedzi na cie.

- Sądzę, że już odpowiedziałem na to pytanie - kwestię zakończyło powtórne kichnięcie. - Aha...  
Dobra. Dzięki.

- Spokojnego i dochodowego dnia.

- Wam również. - Navett wyłączył komlink i dodał pod adresem Klifa, który w międzyczasie wszedł do sklepu, starannie zamykając za sobą drzwi. - Zwolnili towar, a sądząc po kichaniu, przynajmniej kilku ma alergię na polpiany. - Co skutecznie przyspieszyło kwarantannę. - Właśnie. Widziałeś się z Horvikiem?

- Obaj z Pensinem zatrudnili się w tej ho'olińskiej knajpie, o dwie przecznice od generatora, na zmianie sprzątającej po zamknięciu.

- Doskonale. - Tym razem Navett ucieszył się szczerze: jeśli dostarczone przez wywiad plany były dokładne, lokal znajdował się akurat nad podziemnym kablem dostarczającym energię do generatora.

- Powiedzmy. - Klif wcale się nie cieszył. - Teraz reszta: nasi tutejsi doliniarze spieprzyli robotę.

Navett zaklął - nigdy nie darzył zaufaniem lokalnych przestępców ani tu, ani nigdzie indziej. - Dali się złapać?

- Oni twierdzą że zwinęli portfele bez kłopotów - skrzywił się Klif. - Tylko że jak się ze mną spotkali, już ich nie mieli. - Jak to nie mieli?!

- Stracili je po drodze. Podejrzewają, że ktoś był świadkiem kradzieży i skorzystał z okazji, okradając ich.

- Jesteś pewien, że nie zostawili sobie gotówki i nie wyrzucili reszty?

- Stuprocentowo pewien nie jestem. - Klif wzruszył ramionami. - Ale wątpię, by para agentów Nowej Republiki nosiła przy sobie więcej gotówki niż miałem zapłacić. Chyba że to nie byli agenci Nowej Republiki.

Navett przyciągnął sobie krzesło, usiadł i zamyślił się.

- Nie - zdecydował wreszcie po dłuższym milczeniu. - Są agentami, i to wywiadu wojskowego. Pytanie, kim jest ten talent, który właśnie włączył się do gry. - Może ktoś stąd, kieszonkowiec lepszy od tych dwóch, który postanowił wykorzystać sytuację.

- Naprawdę w to wierzysz? - Navett uniósł pytająco brwi.

- Raczej nie - przyznał ciężko Klif. - Za duże ryzyko złapania z towarem, jak ofiary się ockną. Poza tym ci dwaj Bothanie byli dobrzy. Powinni znać lepszych od siebie. - Chyba że ktoś tu przyjechał na gościnne występy. Ktoś naprawdę dobry. Ale o tym musieliby wiedzieć. Co oznacza, że to ubezpieczenie tamtych dwóch, którego nie zauważyliśmy.

- Nie mamy ludzi na pełną akcję obserwacyjną- mruknął Klif. - Może powinniśmy się ich pozbyć?

Navett podrapał się po policzku - propozycja była nęcąca, ale ryzykowna, a operacja i bez niej skomplikowana i delikatna. Cicha eliminacja rzadko się udawała, gdy miało się do czynienia z zawodowcami, i to w nieznannej liczbie...

- Nie. A przynajmniej jeszcze nie. W tej chwili fizycznie nie są w stanie nam zagrozić ani nawet nas zidentyfikować. Będziemy na nich uważać, ale zanim zdecydujemy się coś zrobić, muszą stać się groźni i musimy wiedzieć, ilu ich jest. Na razie zostawimy ich w spokoju.

- Ty tu rządzisz. - Klif nie był zachwycony. - Mam nadzieję, że nie popełniłeś właśnie błędu.

- Jeśli nawet, to łatwo go będzie naprawić. - Navett wstał. - Chodź, czas zagrać durni i odebrać zwierzęta.

# ROZDZIAŁ 12

W oddali rozległo się bojowe zawołanie Noghri.

- Statek ląduje - przetłumaczył Barkhimkh. - Niewielki i sam. Sakhisakh nie widzi innych jednostek.

- Wierzę mu na słowo - mruknęła Leia. Ze swego miejsca widziała głównie drzewa porastające niewielkie wzgórze usytuowane koło portu kosmicznego North Barris i pożyczony od Sabmina terenowy śmigacz. No i ewentualnie kawałek nieba za plecami.

Sytuacja była niezręczna, a ostrożność, jej zdaniem, niepotrzebna - skoro kody się zgadzały, wiadomość musiała pochodzić od Garma i on też powinien właśnie lądować. Noghri natomiast uważali, że ostrożność zapewnia dłuższe życie niż brawura i nie chcieli, by pokazała się na lądowisku, dopóki nie upewnią się, kto przyleciał. Ponieważ ostatnio postawiła na swoim, przylatując bez nich, tym razem postanowiła ustąpić. Z oddali usłyszała silniki nadlatującej maszyny, wyostrzyła zatem zmysły metodą Jedi, koncentrując się głównie na słuchu. - Rzeczywiście mały - szepnęła.

- W rzeczy samej - zadudniła jej w uszach równie cicha odpowiedź Barkhimkha. - Pójdę zobaczyć.

Coś hałaśliwie przedarło się przez krzewy, z tupotem, który okazał się cichszy od szmeru, gdy sprowadziła słuch do normalnego poziomu. W oddali usłyszała krótki jęk silników hamujących, ucięty nagle, gdy statek wylądował, a pilot wyłączył napęd. Przez długą chwilę jako jedyny słyszalny dźwięk docierał do niej szelest liści, bowiem szumnie nazwany port kosmiczny okazał się w rzeczywistości dużym kawałem łąki z kilkunastoma utwardzonymi lądowiskami. Jedynym tego plusem był fakt, że Sakhisakh powinien szybko dotrzeć do statku i sprawdzić tożsamość pilota. Chyba żeby zaczęły się kłopoty... w tym momencie rozległ się kolejny bojowy zaśpiew Noghri. - Nie ma niebezpieczeństwa i jesteśmy oczekiwani - odezwał się czekający obok Leii Barkhimkh, lekko zaskoczony. - I ostrzega nas, że nie wszystko wygląda tak, jak oczekiwaliśmy. - O co chodzi? To nie Garm przyleciał?

- Nie wiem. - Barkhimkh włączył silnik. - Widziałem tylko, że statek jest mały i nie ma oznaczeń. - Żadnych? - spytała ostrożnie. - Nie widziałem żadnych, ale mogły być zbyt małe.

Wylecieli spomiędzy drzew. Oprócz zdezelowanego frachtowca na przeciwnym krańcu lądowiska stał tylko jeden statek - niewielka, najwyżej dwuosobowa jednostka, przypominająca prom dyplomatyczny, ale konstrukcji, której Leia nie rozpoznawała. Na dziobie nie miał żadnych oznaczeń, a powinno znajdować się tam godło rządu, do którego statek należał. Na śródkręciu czekały otwarta śluza i opuszczona rampa. - Sakhisakh jest wewnątrz? - spytała.

- Tak. Czeka na ciebie, pani, wraz z pilotem i pasażerem.

Leia nie odezwała się, przyglądając się uważnie tajemniczemu statkowi. Z bliska dostrzegła wyraźne ślady po oznaczeniach na dziobie. Było w nich coś znajomego, co przywoływało odległe, zatarte wspomnienia, nie na tyle jednak wyraźne, by mogła je rozpoznać...

- Lady Vader, twój gość oczekuje na zaszczyt twych odwiedzin - oznajmił uroczyście Sakhisakh, stając w otwartej służbie w chwili, gdy zatrzymali się przy rampie. - Czy mój gość chciałby przedstawić swą prośbę osobiście? - spytała równie formalnie, wysiadając i wchodząc na pochylnię.

- Chciałby - Sakhisakh cofnął się z lekkim ukłonem.

W otworze służby pojawił się wysoki, ubrany w złocistą szatę humanoid, z delikatnymi purpurowymi znakami wokół oczu.

- Pokój z tobą, senator Organa Solo - odezwał się dźwięcznym i łagodnym głosem, w którym zabrzmiał dziwny, jakby odwieczny smutek. - Jestem Elegos A'kla, Powiernik Pozostałości Caamas. Zapraszam na pokład mojego statku.

Leia przełknęła ślinę. Zalała ją fala wspomnień z czasów, gdy jako dziecko odwiedzała obóz uchodźców z planety Caamas, znajdujący się na Alderaan. Najbardziej wryły jej się w pamięć setki różnobarwnych flag z godłami rodów, takimi jak usunięte ze statku Elegosa.

- Będę zaszczycona, Powierniku Elegos - powiedziała w końcu Leia.

- Wybacz, proszę, nachalne zakłócenie twego spokoju - Elegos cofnął się w głąb statku. - Wiem, że przybyłaś tu wraz z partnerem związkowym, by odpocząć, i w normalnych warunkach nie naruszyłbym waszej samotności, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać, a ten, którego przywiozłem, rzeczywiście ma sprawę niecierpiącą zwłoki.

- A jest to? - spytała, sięgając po Moc... na pokładzie był ktoś znajomy.

Nim rozpoznała, kto, znaleźli się w wejściu do kabiny. W fotelu pod ścianą wiercił się nerwowo pod baczny okiem Sakhisakha... - Ghent! Co ty tu robisz na litość Mocy?

- Musiałem się z tobą natychmiast zobaczyć - głos Ghenta był jeszcze bardziej nerwowy niż jego zachowanie. - To znaczy musiałem się zobaczyć z Bel Iblisem, ale gdzieś zniknął i nie mogłem go znaleźć, a ty jesteś prezydentem Nowej Republiki i go znasz, więc...

- Aktualnie nie jestem prezydentem - przerwała mu łagodnie. - Jest nim Ponc Gavrisom, a ja jestem na urlopie.

Ghent zamrugał, dokumentnie zaskoczony, i Leia z trudem stłumiła śmiech. Poznali się, kiedy Ghent był głównym slicerem w organizacji Talona Karrde. Chłopak posiadał tak nieprzeciętny talent do

włamywania się do wszelkiego typu komputerów i zmuszania ich do robienia najdziwniejszych rzeczy, że Garm Bel Iblis postawił sobie za punkt honoru nakłonienie go, by pracował dla Nowej Republiki. Dopiął swego, a młodzian przez lata udawał swą wartość, aż wreszcie został Szefem Kodów, które to stanowisko zajmował do chwili obecnej. Natomiast we wszystkim, co nie było związane z jego ukochanymi komputerami, Ghent zachowywał się niczym dziecko we mgle, czego najlepiej dowodził fakt, iż żyjąc w sercu Coruscant zdołał nie zauważyć zmiany na stanowisku prezydenta Nowej Republiki, chociaż minął już od niej spory kawał czasu.

- Być może mimo to mogłaby ci pomóc - zasugerował Elegos z typowo caamańską naturalnością urodzonego negocjatora. - Powiedz jej, o co chodzi.

- Pewno - ucieszył się Ghent i wyciągnął ze sfatygowanego pojemnika datakartę. - Garm dał mi ją...

- Moment - przerwał mu niezbyt uprzejmie, ale za to skutecznie Sakhisakh. - To ty wysłałeś do senator Organy Solo wiadomość w imieniu generała Bel Iblisa? - No... tego... ja - przyznał Ghent, spoglądając z obawą na pytającego, który wzbudzał w nim dziwny szacunek. - Chciałem mówić z Garmem, ale nie byłem w stanie go złapać, a dowiedziałem się, że Leia tu jest...

- Co to znaczy, że nie byłeś w stanie go złapać? - przerwała mu dla odmiany Leia. - Coś się stało? Gdzie jest Garm?!

- Nic się nie stało, a on jest gdzieś koło Kothlis - zapewnił ją pospiesznie Ghent, z trudem odrywając wzrok od Sakhisakha. - Formuje jakiś zespół uderzeniowy, nie wiem po co. Ale nie mogłem się z nim połączyć, nawet przy użyciu kodów najwyższego uprzywilejowania, więc jak się dowiedziałem, że jesteś tutaj...

- Skąd się tego dowiedziałeś? - przerwał mu tym razem ponownie Sakhisakh.

- No... tego... - Ghent zaciął się i w końcu wydukał z wysiłkiem: - Z notatek Gavrisoma... ja normalnie nie chodzę po zapisach członków rady, ale tym razem to naprawdę ważne. A potem spotkałem jego, no i...

Ostatnim słowom towarzyszył gest w stronę Elegosa.

- Czekałem, by móc się z tobą spotkać - wyjaśnił Caamasi i o dziwo, w kabinie zrobiło się nieco spokojniej. - Jak powiedzieli ci podczas ostatniego spotkania moi dwaj koledzy, bardzo nas martwi rozwój wydarzeń, a teraz, gdy Bothanom zaczęło zagrażać fizyczne niebezpieczeństwo, sprawa stała się znacznie poważniejsza. Naturalnie zamierzałem poczekać z rozpoczęciem rozmowy do twego powrotu, ale Ghent tak usilnie chciał się z tobą jak najszybciej spotkać, że zaofiarowałem mu transport, jeśli zdoła cię zlokalizować.

- I użyje prywatnej sygnatury kodowej Garma, żeby mieć pewność, że zjawię się na miejscu spotkania? - dodała Leia, spoglądając wymownie na Ghenta.

- Pomyślałem sobie, że pewnie byś nie przyszła, gdybym się przyznał, że to tylko ja - wymamrotał młodzieniec.

Leia westchnęła - to właśnie był klasyczny Ghent. Fakt, że jego nazwisko i osiągnięcia znali i szanowali przedstawiciele najwyższych władz Nowej Republiki, także jakoś zupełnie umknął jego uwagi. Jeśli zaś chodziło o techniczną stronę ich przybycia, Elegos rzeczywiście był niezbędny, gdyż Ghent nie miał bladego pojęcia, jak pilotować cokolwiek. Ogólnie irytujące, ale wszystko do siebie pasowało.

- Przestań się trząść, przesłuchanie skończone i uszu ci nie urwę - zapewniła go pogodzona już z losem Leia. - Przynajmniej na razie. Dobrze, przejdźmy do rzeczy: co jest tak ważne, że uznałeś za niezbędne złamanie najmarniej tuzina przepisów? Ghent skrzywił się boleśnie i podał jej trzymaną cały czas w dłoni datakartę wraz z czytnikiem.

- To jest wiadomość wysłana do Bel Iblisa- zaczął- ale... nie, najlepiej najpierw ją przeczytaj.

Leia włożyła jedno w drugie i uruchomiła czytnik, zastanawiając się, czy Ghent nie miał racji - gdyby wiedziała, kto naprawdę chce się z nią zobaczyć, prawdopodobnie bardziej by naciskała, żeby Han zabrał ją ze sobą. Wtedy to wydawało się jej ważniejsze, teraz zaś... teraz na ekranie wyświetliła się wiadomość i nagle Leii zrobiło się zimno.

- Skąd ją masz? - spytała nieswoim głosem, czując tętno w uszach.

- Bel Iblis przywiózł to z Morishim - głos Ghenta też zaczął drżeć. - Był tam taki numer, że korelińska korweta uciekała przed imperialnym niszczycielem w stronę planety, ale jej się nie udało: została ściągnięta na jego pokład. Lando zdołał przechwycić wiadomość, lecz nie potrafili oczyścić jej z zagłuszenia na tyle, żeby była zrozumiała. No to mi ją przywiózł, żebym spróbował, bo jego nazwisko zdołali odczytać. Udało mi się i teraz sama widzisz, dlaczego musiałem to pokazać komuś ważnemu, i to natychmiast.

- Czytałam prywatny raport Garma. Chciał, by sprawę zachować w tajemnicy, dopóki się nie dowiemy, o co chodzi - powiedziała cicho, spoglądając na ekran: teraz już wiedziała.

„... .tu pułkownik Meizh Vermel, specjalny wysłannik admirała Pellaeona do generała Bel Iblisa w sprawie negocjowania pokoju między Imperium a Nową Republiką. Zostaliśmy zaatakowani przez zdradzieckie elementy Imperialnych Sił Zbrojnych i nie sądzę, abym przeżył. Jeśli Nowa Republika zgadza się na rozmowy, admirał Pellaeon będzie za miesiąc w opuszczonym centrum górniczym na Pesitiin, by spotkać się z panem. Powtarzam: tu pułkownik Meizh Vermel...” - Kłopoty, pani? - spytał cicho Sakhisakh.

Jego głos oderwał Leię od kłębowiska myśli wirujących pod czaszką. Traktat pokojowy - nie jakiś tam pakt czy rozejm, ale prawdziwy pokój. Coś, na co miała nadzieję od śmierci Imperatora i na co dotychczas nigdy się nie zanosilo. A teraz propozycja wyszła od Głównodowodzącego Sił Zbrojnych Imperium. Tylko czy aby na pewno? Pellaeon proponował jedynie negocjacje, a w rzeczywistości mógł postawić takie warunki, że rozmowy okazałyby się stratą czasu lub propagandowym sukcesem

Imperium. A mogło to być coś jeszcze gorszego - mogła to być pułapka...

- Lady Vader? - powtórzył z troską Sakhisakh, podchodząc do niej - Co się stało? Bez słowa wręczyła mu czytnik. Jeśli Lando miał rację, a nie widziała powodu, by wątpić w jego słowa, cała sprawa i tak stała się obecnie czasem przeszłym niedokonanym - wrócił Thrawn, co oznaczało, że Pellaeon nie jest już Głównodowodzącym. A w przypadku Thrawna nic nie okazywało się takim, na jakie wyglądało...

Sakhisakh zaklął po noghrijsku, czego nikt nie zrozumiał, ale ton wypowiedzi wystarczył, by nikt też nie miał wątpliwości co do jej znaczenia.

- Nie można temu wierzyć! - warknął, zwracając Ghentowi czytnik niczym coś odrażającego. - Imperium to ucieleśnienie kłamstw i zdrady. Takie było od początku i takie pozostanie zawsze...

- Rzeczywiście często tak bywało - zgodziła się Leia. - Ale z drugiej strony...

- Nie ma drugiej strony! - przerwał jej gwałtownie. - Zdradzili i wymordowali mój lud. Zdradzili i wymordowali twój, pani, prawie w całości! - Wiem.

- A jeśli Thrawn rzeczywiście oszukał śmierć - w głosie Sakhisakha pojawił się teraz śmiertelny spokój - to nie można ufać ani jednemu ich słowu.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodziła się, mimo wszystko nie do końca przekonana Leia. - Mogę zobaczyć? - spytał Elegos.

Leia zawahała się - w zasadzie była to informacja ściśle tajna, ale ona miała w tej kwestii przecucia zupełnie jednoznaczne, a im nauczyła się ufać już dawno. - Naturalnie - powiedziała spokojnie.

Jeszcze w czasach Starej Republiki mieszkańcy planety Caamas cieszyli się sławą doskonałych mediatorów i negocjatorów, rywalizując o palmę pierwszeństwa z Jedi. Elegos miał zdolności i wiedzę, które mogły się okazać pomocne. Przez długą chwilę w milczeniu przyglądał się wiadomości, po czym uniósł pałające nagle błękitnozielone oczy i oznajmił:

- Nie widzę alternatywy. Może to pułapka, ale niczego nie wiemy na pewno, a jeśli istnieje choć cień szansy, że admirał Pellaeon działa uczciwie, należy z tego cienia skorzystać. Sakhisakh przyjrzał mu się podejrziwie.

- Od dawna podziwiałem twą rasę, Powierniku A'kla - odezwał się prawie wyzywająco. - Lecz teraz wypowiedziałeś słowa godne naiwnego dziecka. Naprawdę sugerujesz, by generał Bel Iblis' dobrowolnie oddał się w ręce Imperium?!

- Źle mnie zrozumiałeś, przyjacielu. Nie proponuję generałowi niczego podobnego choćby z powodu, który podano już wcześniej: sugerowanie mu czegokolwiek jest po prostu niemożliwe. - Dlaczego? - zdziwiła się Leia.



- Ponieważ jeśli ktoś tak utalentowany jak Ghent nie był w stanie skontaktować się z generałem Bel Iblisem z Coruscant, my nie mamy na to żadnych szans na takim odludziu. A szybkość jest nader ważna, gdyż chodzi o czas. Nie wiem co prawda, kiedy miało miejsce owo zdarzenie w pobliżu Morishim, lecz jestem pewien, iż siły przeciwstawiające się planom admirała Pellaeona przystąpiły już do działania. Nawet jeśli ataki okazały się dotąd nieskuteczne, nie może on w nieskończoność czekać na odpowiedź. - Kogo zatem mamy poprosić, by dał się złapać w pułapkę Imperium? - spytał ostrożnie Sakhisakh, spoglądając na Leię.

- Nie ma potrzeby prosić kogokolwiek - potrząsnął głową Elegos. - Wybór jest oczywisty: ja tam polecę.

- Ty? - Mało kto widział zaskoczonego Noghri, tym razem jednak można było podziwiać ten widok.

- Naturalnie. Jest tylko jeden problem: obiecałem dostarczyć Ghenta z powrotem na Coruscant. Jeśli senator Organa Solo zgodzi się przejąć to zobowiązanie, natychmiast odlatuję do Pesitiin.

Leia westchnęła - teraz rozumiała, dlaczego miała uczucie, że powinna zostać, gdy Han wyruszał na poszukiwanie Bastionu.

- Nigdzie nie polecisz, Elegos - powiedziała spokojnie. - Sam go odwieziesz, bo to ja polecę na Pesitiin.

- Nie mogę na to pozwolić! - oznajmił Sakhisakh, jako pierwszy odzyskując mowę. - To skomplikowana forma pewnego samobójstwa i...

- Przykro mi, Sakhisakh - przerwała mu łagodnie, lecz stanowczo. - Ale jak powiedział Elegos: nie mamy wyboru, a ja jestem jedyną obecną w okolicy osobą uprawnioną do negocjowania czegokolwiek w imieniu Nowej Republiki.

- W takim razie musimy sprowadzić kogoś odpowiedniego z Coruscant! - uparł się Noghri.

- Nie mamy czasu. Jeśli Pellaeon dotrzymał terminu, to od jedenastu dni czeka na Garma - wzięła głęboki oddech i dodała. - Muszę tam polecieć, i to zaraz. Rozumiem, że nie chcesz mieć do czynienia z Imperium i polecę sama.

- Proszę mnie nie obrażać, lady Vader. Barkhimkh i ja będziemy ci towarzyszyć nawet w chwili śmierci, jeśli taki los nas czeka.

- Dziękuję ci. Tobie też, Ghent, za tak szybkie dostarczenie wiadomości. Dobrze zrobiłeś, łamiąc przepisy. Powiernikowi A'kla zaś dziękuję za pomoc udzieloną Ghentowi i nam wszystkim.

- Zaraz, moment! - Ghent znowu się zgubił i nie ukrywał tego. - Chcesz tam lecieć? Sama?! - Nie sama! - warknął Sakhisakh. - Z nami!

- Dobra, nie o to chodzi! Elegos? Nie możesz... no wiesz?

- Polecieć razem z nią? - dokończył zapytany. - Naturalnie, że mogę i będę zaszczycony: Choć nie mam żadnego oficjalnego statusu w Nowej Republice, pochodzę z rasy obdarzonej pewnymi predyspozycjami do prowadzenia negocjacji. Tylko że jak już mówiłem, przedtem mam obowiązek dostarczyć cię z powrotem na Coruscant. - Chyba że dotrzesz promem na Pakrik Major i wsiądziesz na liniowiec odlatujący na Coruscant - podsunęła Leia.

- Ale ja nie chciałem, żebyś ty... - aż żal było patrzeć na nieszczęśliwą minę Ghenta. - Chodzi mi o to, że dostarczyłem ci tę wiadomość tylko dlatego, że...

Nagle urwał, westchnął i zapadł się w sobie jak przekłuty balon. A potem powiedział zrezygnowany:

- Dobra, zgoda. Niech już będzie moja krzywda. Polecę z wami. W końcu, dlaczego nie?

Leia zamruwała zaskoczona - nie była to decyzja, jakiej by się po nim spodziewała. - Dzięki, Ghent. Doceniam twoją ofertę, ale to naprawdę nie jest niezbędne - wykrztusiła.

- Nie próbuj mnie odwozić! Ja cię w to wpakowałem, więc też mogę wziąć udział w finale. I tak wszyscy mówią, że powinienem częściej wychodzić.

Leia zerknęła na Elegosa, który nieznacznie skinął głową-najwyraźniej trzy dni spędzone z nim w niewielkiej jednostce wywołały w Ghencie rewolucyjne zmiany. I to na lepsze. Albo młodzian zaczął wreszcie dorastać.

- Zgoda. W takim razie dziękuję wszystkim i proponuję, abyśmy się przenieśli na pokład „Sokoła”, bo tu podusimy się po drodze. „Sokół” stoi o jakieś dwadzieścia minut śmigaczem stąd.

- Wobec tego ruszajmy, bo czasu mamy niewiele - poparł ją Elegos.

Pięć minut później gnali na niewielkiej wysokości i w zupełnej ciszy, jeśli nie Uczyć dźwięku silnika i szumu wiatru. Leia nigdy nie dowiedziała się, o czym myśleli pozostali. Ona sama skupiła się na rozważaniu zupełnie nowej możliwości, która właśnie przysła jej do głowy: Jedi był w stanie wyczuć, a czasami nawet zobaczyć przyszłość albo, jak jej się to często zdarzało, wyczuć, czy postępuje właściwie i czy w przyszłości również dokona właściwego wyboru. Teraz właśnie tak czuła. Natomiast nie wiedziała, czy Jedi potrafi przewidzieć własną śmierć. Być może droga do niej prowadząca, a kończąca się zjednoczeniem z Mocą, także wydaje się właściwa? I właśnie przysła jej do głowy, że wkrótce może się tego dowiedzieć.

# R O Z D Z I A Ł 1 3

W położonej na rufie kabinie, którą przydzielono Shadzie, sygnał alarmu bojowego dochodzący z mostka rozbrzmiewał niezwykle subtelnym dźwiękiem. Ale Shada została dobrze wyszkolona w wychwytywaniu subtelności - nim dźwięk ucichł, była przytomna, ubrana i uzbrojona. I kierowała się ostrożnie w stronę mostka. Korytarze świeciły pustkami, toteż przyspieszyła kroku, nasłuchując odgłosów walki albo przeciążenia silników, świadczącego o ucieczce lub o unikach, ale słyszała jedynie cichy pogłos własnych kroków. Drzwi prowadzące na mostek rozsunęły się, gdy do nich podeszła, ujęła zatem miotacz, nie wyciągając go z kieszeni, i wpadła do środka. I zamarła zaskoczona - załoga znajdowała się na stanowiskach, a za oknami nadal było widać tylko nadprzestrzeń.

- Witaj - Talon uniósł głowę znad ekranu konsoli maszynowni, przy której konferował o czymś z Pormfilem. - Sądziłem, że śpisz. Co cię sprowadza o tej godzinie? - Alarm bojowy, a jak ci się wydawało? - rozejrzała się pytająco. - Ćwiczenia?
- Nie całkiem. - Karrde podszedł do niej. - Przepraszam, nie sądziłem, że go usłyszysz w kabinie.
- Dobry słuch jest w moim fachu niezbędny. O co chodzi w tym nie całkiem ćwiczebnym alarmie?
- Zbliżamy się do planety Dayark w systemie Episol i istnieje spora szansa, że po wyjściu z nadprzestrzeni mogą nas spotkać nieprzyjemności. - Piraci, o których mówił Bombaasa?
- Prawdopodobnie. Wieść o tym, pod czyją ochroną lecimy, na pewno nas wyprzedziła.
- Nie wspominając o informacji, z kim mają do czynienia - przypomniała szorstko. - W każdym razie - Karrde zapanował nad niezadowoleniem - po spotkaniu przy Jangelle tego statku, który wyraźnie sprawdzał, jaki kurs weźmiemy, pomyślałem sobie, że lepiej wyjść z nadprzestrzeni przygotowanym na najgorsze.
- Rozsądny pomysł, z wyjątkiem tego drobiazgu, że nie uważałeś za potrzebne mnie obudzić.
- Nie sądzę, abyś znalazła pole do działania - odparł spokojnie Karrde. - Gwarantuję ci, że nie zdołają wejść na pokład, a więc nie będzie walki wręcz.
- Jestem dobra nie tylko w walce wręcz. Czyżbym zapomniała ci powiedzieć, że jestem przeszkolonym strzelcem pokładowego uzbrojenia artyleryjskiego, w tym także turbolaserów?

Na mostku zapanowała pełna czujnego wyczekiwania cisza.

- Chyba zapomniałaś, ale to nieistotne. Stanowiska turbolaserów są, z konieczności, nieco odsłonięte i gdyby doszło do poważniejszych problemów, wolałbym cię mieć gdzieś, gdzie jest... cóż...

- Bezpieczniej? - dokończyła sztywno Shada. - Dlaczego? Sądzisz, że to nie piraci mogą na nas czekać?

Dankin odwrócił się od pulpitu sternika z zamiarem włączenia się do dyskusji, spojrzał na Talona i zmienił zdanie - bez słowa odwrócił się z powrotem.

- To nie Car'das. - Talon doskonale panował nad swoim głosem. - Gdyby chciał nas zaatakować gdzieś po drodze, już by to zrobił. Skoro spokojnie dolecieliśmy aż tutaj, najwyraźniej postanowił zaczekać, aż dotrzemy na Exocron.

- Miłe jest mieć na co czekać - warknęła Shada. - W takim razie pozwól mi obsługiwać turbolaser. Jestem przynajmniej tak dobra jak Balig, a na pewno lepsza niż Chał. - Chał by się przydał do koordynacji ognia - mruknął Dankin. Karrde skrzywił się, lecz skinął przyzwalająco.

- Zgoda, zobaczymy, jak jesteś dobra - zdecydował. - Dankin, każ Chałowi przyjść tu i zająć się wyszukiwaniem celów. Ile mamy czasu, H'sishi?

- Cztery i pół minuty do wyjścia z nadprzestrzeni. - Żółte oczy Togorianki przyglądały się Shadzie bez mrugnięcia.

- W takim razie lepiej się pospiesz - poradził jej Talon. - Masz turbolaser numer dwa.

- Zgłoszę się, gdy będę gotowa - powiedziała rzeczowo i wyszła.

Trzy minuty później siedziała już przypięta do fotela przed konsolą ogniową, osłaniana przez bąbel z transparistali, i kończyła procedurę sprawdzającą działą turbolaserów, przygotowując je do strzału. I z wysiłkiem usuwając z pamięci wspomnienia podobnych sytuacji z dwudziestu lat, kiedy walczyła najpierw wraz z innymi Mistryl, a potem u boku przemytników Mazzica. W większości bitew miała szczęście być po stronie zwycięzców, w pozostałych...

- Shada, tu Chał - głos chłopaka rozległ się w jej słuchawkach. - Jesteś gotowa? - Prawie. - Poczekała aż ostatnia kontrolka zmieni barwę z żółtej na zieloną. - Jestem.

- Dobra. - Jeżeli Chał był zły z powodu zmiany zajęcia, dobrze to ukrywał: ton jego głosu nie zdradzał żadnych pretensji. - Za dziesięć sekund wychodzimy, więc uważaj... teraz!

Z dłońmi na przyrządach, odruchowo zaczęła przeszukiwać otoczenie metodą wbitą do głowy przez instruktorkę Mistryl wiele lat temu. Linie zmieniły się w gwiazdy, „Szalony Karrde” wyszedł z nadprzestrzeni... i frachtowcem wstrząsnęła salwa z działek laserowych, która trafiła prosto w

pancerz burtowy.

- Siedem celów - warknęła H'sishi i Shada wyobraziła sobie, jak bardzo nastroszyło się przy tym futro Togorianki. - Niewielkie jednostki... typu Corsair.

- Potwierdzenie liczby i typu - dodał Chał. - Namiar...

Litania cyfr zginęła w syczącym ryku turbolaserów, gdy Shada przesunęła go delikatnie i strzeliła. Próbujący przemknąć pod śluzą dokującą myśliwiec został trafiony w lewą burtę i zmienił się w kulę ognia. Jego skrzydłowy ominął ją gwałtownym manewrem i trafił prosto pod lufę Griva. To co zostało z Corsaira, leciało dalej jako efektownie wirujący w przestrzeni stos pogrzebowy. - Dwa trafione - oznajmił Chał. - Nie, teraz trzy...

- Tylko niech was nie ponosi entuzjazm - rozległ się spokojny głos Talona. - Zaskoczyliśmy ich, teraz będą ostrożniejsi.

Shada przyznała mu rację, kiedy sprawdziła ekran taktyczny -cztery pozostałe myśliwce zwiększyły dystans, obierając ten sam kurs co frachtowiec, ale nie paląc się do ataku. „Szalony Karrde" zaś gnał pełnym ciągiem ku gazowemu gigantowi, wokół którego orbitowała stolica Republiki Kathol, planeta Dayark.

- Sądzę, że spróbują działek jonowych - powiedziała Shada do interkomu. - Wytrzymamy?

- Ostrzał z broni tej mocy bez kłopotów - zapewnił ją Talon. -Uwaga, nadlatują! Corsairy rozdzieliły się na dwie pary i zaatakowały równocześnie z góry i z dołu, strzelając z maksymalną szybkostrzelnością i mocą z działek jonowych. Shada natychmiast odpowiedziała ogniem i wprawdzie trafiła jednego w górną część kadłuba, ale poszedł rykoszet i oba myśliwce zniknęły za krzywizną kadłuba frachtowca. - Chał? - spytała.

- Zniszczyłaś jego działko jonowe. Ty, Balig, załatwiłeś mu osłony rufowe... - Atakują ponownie! - przerwała mu H'sishi.

Shada zerknęła na ekran i obróciła broń w kierunku, z którego powinni nadlecieć napastnicy...

Zza kadłuba „Szalonego Karrde" wyłonił się pojedynczy myśliwiec strzelający z całej posiadanej broni pokładowej, ale frachtowiec miał opancerzenie okrętu liniowego, toteż ostrzał odnosił niewielkie skutki. Shada i Balig strzelili równocześnie, trafiając go w dziób i zmieniając w kulę ognia...

I nagle coś rąbnęło z ogłuszającym hukiem w osłaniający Shadę pęcherz z transparistali.

- Zostałam trafiona! - jęknęła, czując dojmujący ból w prawym ramieniu.

Powietrze wokół niej z wyciem uciekało w próżnię przez otwór w osłonie. Prawą ręką nie mogła

ruszyć, szarpnęła więc lewą za klamrę zwalniającą uprząż przypinającą ją do fotela, zastanawiając się abstrakcyjnie, czy zdoła się wydostać, nim zabraknie jej powietrza. Może wreszcie to wszystko się skończy...

Zanim zdołała rozpiąć się do końca, szum uciekającego powietrza prawie ucichł, co było złym znakiem. Właśnie zaczynał jej się mącić wzrok, gdy z nagłym hukiem, który bardziej poczuła niż usłyszała, gwiazdy i przedziurawiony przezroczysty bąbel zniknęły, przesłonięte szarą płytą pancerną.

Zamrugnęła gwałtownie, lecz pozbawiony tlenu mózg pracował na zwolnionych obrotach, toteż nim zrozumiała, co się stało, ponownie usłyszała szum powietrza, tym razem włączanego do pomieszczenia, o czym świadczyła nagła głuchota, a czyjeś obce dłonie pomogły jej wyplątać się z pasów.

- Mamy ją! - rozległ się czyjś zbyt głośny okrzyk. - Poważnie oberwała! Dawajcie tu Annowirskiego!

- Już jestem - rozległ się inny głos z jej drugiej strony. Poczowała ukłucie w ramię i ktoś zgasił światło...

Shada budziła się powoli -przynajmniej jak na Mistryl. Przez chwilę leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, i starała się ocenić sytuację oraz własny stan psychofizyczny. Była przytomna, prawe ramię i prawą stronę klatki piersiowej miała nieco zmartwiałe, jak po ścierpieniu, a skalp swędział ją jak zwykle po pobycie w zbiorniku z bactą. Poza tym-wszystkim czuła się nieźle, a sądząc po czyimś cichym oddechu nie była w pomieszczeniu sama. Brak normalnych podczas lotu odgłosów pracy silnika i innych urządzeń świadczył, że wylądowali już na Dayark. A więc tym razem znowu oszukała śmierć i niestety nic się nie skończyło... Wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy.

Leżała na jednym z trzech łóżek w izbie chorych frachtowca, a po drugiej stronie pomieszczenia siedział, wpatrując się w ścianę, zamyślony Karrde.

- Rozumiem, że wygraliśmy? - spytała. Podskoczył i spojrzał na nią uważnie.

- Wygraliśmy. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej. - Poruszyła ostrożnie prawą ręką: nic oprócz lekkiej sztywności i mrowienia, a kończyna wydawała się sprawna, przynajmniej dopóki nie próbowała gwałtownie zwiększyć jej zasięgu. - Ramię wymaga jeszcze trochę pracy.

- Wiem, Annowirski powiedział mi, że potrzebujesz jeszcze jednej kąpieli w zbiorniku z bactą. Kazałem cię wyjąć i obudzić, żebyś mogła towarzyszyć mi w krótkim spacerze. Naturalnie jeśli

jesteś zainteresowana. - Oczywiście, że jestem. Gdzie jesteśmy?

- W głównym porcie kosmicznym stolicy Rytal Prime, w którym wylądowaliśmy około dwóch godzin temu.

- I dopiero teraz chcesz wyjść do miasta? Myślałam, że nam się spieszy.

- Bo tak jest - zapewnił ją Karrde. - Ale najpierw musieliśmy wpuścić na pokład bandę inspektorów, którzy przez godzinę przeczesywali statek, bo inaczej nie można tego nazwać. Oficjalnie, szukając kontrabandy, ma się rozumieć. - Mam nadzieję, że dobrze ich pilnowaliście?

- Troskliwie to zdaje się właściwe słowo - uśmiechnął się lekko. - Pormfil i Odonnl na wszelki wypadek sprawdzili wszystko, ledwie tamci wyszli. Teraz trzeba naprawić uszkodzenia, a w międzyczasie dostarczono nam wiadomość, że naczelny wódz wojsk Republiki Kathol chciałby z nami porozmawiać.

- Bez wątpienia o naszych napastnikach - mruknęła zgryźliwie Shada.

- Bez wątpienia. Może z ciekawości, jak zdołaliśmy wygrać i wyjść z tego z tak niewielkimi uszkodzeniami.

- Niewielkie uszkodzenia to pojęcie względne - przypomniała mu ironicznie.

- Przepraszam, Shada, nie miałem...

- Daj spokój - przerwała mu ostro, bo przeprosiny zawsze ją deprimowały, zwłaszcza gdy były szczere. - To był mój pomysł, pamiętasz? Więc jaki mamy plan? - Mam się spotkać z generałem Jutką w kawiarence tuż za granicą portu kosmicznego. Co prawda głównym językiem jest tu wspólny, ale ponieważ w okolicy mieszka sporo ithoriańskich kolonistów, pomyślałem sobie, że dobrze by było na wszelki wypadek zabrać ze sobą Threepio.

- Można go wziąć - zgodziła się Shada. - Choć to nieco dziwne miejsce na oficjalne spotkanie... zupełnie jakby nie wiedział, czy chce się przyznać do znajomości z nami, czy nie.

- Jak na prostego ochroniarza masz zadziwiające wyczucie subtelności politycznych - uśmiechnął się Karrde, przyglądając się jej z namysłem.

- Nigdy nie twierdziłam, że jestem prosta - prychnęła i przerzuciła nogi poza krawędź posłania. - Pięć minut i możemy iść na spotkanie z panem generałem.

Dziesięć minut później Shada, Karrde i Threepio szli zatłoczoną ulicą biegnącą wzdłuż terenu portu kosmicznego. Shada i Karrde maszerowali obok siebie, droid zaś tuptał nerwowo za nimi.

- Tubylcy wydają się zaciekawieni - zauważyła cicho Shada.

Karrde przytaknął -już wcześniej zauważył dyskretne spojrzenia Ithorian i zupełnie jawne wgapienie się ludzi mijanych na ulicy.

- Według Mary są ciekawi i ostrożni, ale nie nieprzyjaźni -odparł równie cicho. - Miło wiedzieć, choć przez sześć lat sporo mogło się zmienić. Ciekawe ubranka tu noszą: lśniący płaszcz z kępami futra. To naturalne czy sztuczne?

- To skóry zwierząt zwanych crosh, żyjących na jednej z planet w tym systemie. Są wygodne i trwałe, a kępki futra mogą służyć jako ozdoby, jeśli są rozmieszczone przypadkowo lub jako oznaczenie przynależności do określonej grupy, o ile zostaną odpowiednio przyszyte. Mara mówiła, że kiedy byli tu z Carlissianem, takie płaszcze dopiero wchodziły w modę. Jak widać moda przyjęła się na dłużej.

- Prawdopodobnie dlatego, że tak skutecznie ułatwiają identyfikację obcych. W kombinezonach za nic nie mamy szansy zlania się z tłumem.

- Jest w tym z pewnością trochę prawdy - zgodził się Karrde. -Tę część galaktyki pozostawiono w znacznej mierze samej sobie. Doszło wprawdzie do kilku starć z Imperium i paru prób rozmów dyplomatycznych za czasów Nowej Republiki, ale okazało się, że nikogo w okolicy nie interesuje przyłączanie się do czegokolwiek, czy to pod przymusem, czy dobrowolnie. Zaraz... Threepio, szukamy lokalu o nazwie „Ithor Loman”. Widzisz gdzieś taką nazwę?

Pytanie sprowokowała duża liczba napisów i reklam, z których ledwie drobna część była we wspólnym, większość zaś wykonano ithoriańskimi glyptografami. - To tam, kapitanie Karrde - droid wskazał niebieski szyld wypisany po ithoriańsku.

- Dziwnie mi przypomina lokal Bombaasy - warknęła Shada. - Wiesz co, Karrde? Mógłbyś od czasu do czasu nieco zwiększać liczbę wycieczkowiczów.

- I nie odczułabyś tego jako braku zaufania do twoich umiejętności?

- Wydaje mi się, że wykazałam się już wystarczająco. A chodziło mi o to, że jeśli ma się przy sobie dość ludzi łatwiej można zapobiec rozpoczęciu walki.

- Będę pamiętał. - Talon zmusił się do zachowania pełnej powagi. - Pozwolisz przodem?

Biorąc pod uwagę wczesną godzinę, lokal był zdumiewająco zatłoczony przez tubylców obu ras - prawie wszyscy, tak Ithorianie, jak i ludzie ubrani byli w płaszcze lub kurtki ze skór croshy. - Masz pojęcie, który to? - spytała cicho Shada.



- Sądzę, że się nas spodziewa. Jeśli nie...

Nie dokończył, gdyż od pobliskiego stolika wstał niewysoki, szczupły mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach.

- Ach, goście! - ucieszył się, podchodząc i przyglądając im się dziwnie wesołymi oczami. - Musicie być tymi, których oczekuje generał Jutka. - Jesteśmy - odparł zwięźle Karrde. - A ty jesteś...?

- Entoo Needaan E-elz, do usług - skłonił się zapytany. - Mówcie mi Entoo Nee. - Ciekawe nazwisko - Talon przyjrzał mu się uważnie. - Bardziej przypomina oznaczenie droida.

- Toteż często jestem mylnie brany za takowego - przyznał Entoo Nee z jeszcze radośniejszym błyskiem w oczach. - Przyznaję, że nie wiem, dlaczego. Jeśli pozwolicie, zaprowadzę was do stolika generała.

I nie czekając na odpowiedź przemknął między stolikami.

- Ciekawy człowiek - skomentował Threepio. - Jednakże nie wydaje się groźny. - Nigdy nie ufaj pozorom i wyglądowi - ostrzegła go Shada. - Osobiście uważam, że jest podejrzany, bo zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

- Będziemy na niego uważać - zgodził się Karrde. - A to musi być Jutka.

Ich przewodnik zatrzymał się przed stolikiem, za którym plecami do ściany siedział masywny mężczyzna dzierżący w dłoni wysoką szklankę z ledwie nadpitym trunkiem. Jak wszyscy, ubrany był w skórzaną kurtkę, ale rzucało się w oczy, że czuje się w niej nieco nieswojo.

- Wojskowy - stwierdziła zwięźle Shada, czekając, aż Entoo Nee skończy szeptać mu do ucha. - Źle się czuje bez munduru.

Entoo Nee skończył szeptać, odsunął się i szerokim gestem zaprosił ich, aby podeszli.

- Generale Judea, przedstawiam panu oczekiwanych gości. Niestety nie usłyszałem waszych nazwisk...

- Bo ich nie podaliśmy - zgasił go Karrde. - Możesz mi mówić, kapitanie. To moja przyjaciółka Shada i mój droid translacyjny See-Threepio. Judea burknął coś w nieznanym im języku.

- Mówi, że nie spodziewał się całego przedstawienia - przetłumaczył Threepio. - Choć bardziej poprawnie...

- Dość! - warknął Judea we wspólnym. - Każ mu się zamknąć albo ja go zamknę. - No proszę! - Threepio aż się cofnął. - Przepraszam, generale Jutka...

- Powiedziałem dość! - przerwał mu siedzący. - I lepiej żeby nie musiał tego powtarzać. Teraz siadajcie.

- Naturalnie. - Karrde usiadł obok niego, przyglądając się niezycyliwie Entoo Nee uspokajającemu cichym i nieprzerwanym słowotokiem droida. - Mój błąd: sądziłem, że celem spotkania będzie rozmowa, a nie wymiana gróźb.

- Przepraszam, jeśli odniosłeś takie wrażenie - odparł ponuro Judea, przyglądając się z kolei niezycyliwie Shadzie, która zignorowała krzesło, obeszła stolik i stanęła obok, górując nad oficerem.

Przez moment wyglądało na to, że każe jej również usiąść, ale po błyskawicznym zastanowieniu się doszedł do wniosku, że lepiej nie ryzykować i spojrzał wściekle na Talona.

- Sprowadzasz kłopoty - warknął. - A tacy nie są mile widziani w moim świecie. - Rozumiem - podsumował spokojnie Karrde. - W Republice Kathol to obiekt pirackiego ataku jest odpowiedzialny za kłopoty.

- Nie igraj ze mną. - Judea zmrużył oczy. - Wiem, dla kogo pracujesz: twój transponder ogłasza to aż za wyraźnie. Ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę, byłoby znalezienie się w środku jakiejś głupiej wojny między Bombaasą a Rei'Kasem.

- Rei'Kas? - spytała Shada tonem świadczącym, że właśnie coś zrozumiała. - Rodianin?

- Pewnie, że Rodianin! - Jutka zmarszczył brwi. - Tylko mi nie mówcie, że nie... - Nie wiedzieliśmy, kto nas zaatakował - przerwał mu Karrde. - Dzięki za informację. Shada, znasz tego Rei'Kasa?

- Tylko ze słyszenia. Zaczął jako handlarz niewolników, a sławę zyskał jako oficer w Karazk Slavers Cooperative. Jest bezwzględny, gwałtowny i wredny. Wkurzył praktycznie wszystkich, z którymi współpracował. No i nadal para się najczęściej handlem niewolnikami.

Karrde poczuł, że zasycha mu w gardle - handlarz niewolników cieszący się sławą bezwzględnego i działający na terenie Car'dasa. Ilu jeszcze podobnych kryminalistów zupełnie przypadkowo zawitało w ten rejon galaktyki. I pozostało.

- Interesujące.

- Równie interesujące jak to, że nasz generał zna jego tożsamość, podczas gdy Bombaasą jej nie znał - dodała Shada. - Dobrze się znacie, generale?

- Mam zadanie chronić Republikę Kathol - oznajmił Jutka cicho, a mimo to groźnie. - W stosunku do obcych, zjawiających się bez zaproszenia i mieszających się w nie swoje sprawy, nie mam żadnych zobowiązań.

Kątem oka Talon dostrzegł, jak Shada lekko porusza głową, oceniając sytuację. - Grozisz mi? - spytał spokojnie.

- Ostrzegam. Rei'Kas nie lubi tracić podwładnych i przegrywać nawet drobnych starć. Zapamiętał twój statek i jak długo pozostaniesz na jego terenie, tak długo będzie na ciebie polował.

- Mamy zamiar jak najszybciej opuścić jego teren - zapewnił go Karrde. - Naturalnie po załatwieniu tego, po co przylecieliśmy.

- Postąpisz według własnego uznania. - Jutka wstał. - Ale nie zapomnij, że cię ostrzegałem.

- Nie zapomnę. I dziękuję za to, że traciłeś dla mnie cenny czas.

Judea skrzywił się i wyszedł, nie odwracając się.

- I to jest właśnie okolica, w której Car'das pragnie spędzić schyłek życia? - Shada siadła na miejscu opuszczonym przez generała. - Cudowna.

- Mów ciszej. - Karrde rozejrzył się po lokalu: wprawdzie nikt nie wydawał się interesować narożnikiem, w którym siedzieli, ale to nic nie znaczyło. - I wątpię, by dożycie w spokoju do końca swoich dni leżało kiedykolwiek w jego planach. - Sądysz, że Rei'Kas pracuje dla niego?

- Powiedziałbym, iż to wysoce prawdopodobne - odparł poważnie, rejestrując kątem oka ruch przy ich stoliku: właśnie dosiadał się do nich Entoo Nee.

- Miło się wam gawędziło z generałem? - spytał wesoło. - To dobrze. To bardzo dobrze. Rozmawiałem z waszym droidem i powiedział mi, że poszukujecie słynnej zaginionej planety Exocron.

- Threepio? - głos Talona był niebezpiecznie spokojny.

- Przepraszam, panie kapitanie - powiedział Threepio nieszczęśliwym tonem. - Nie chciałem zdradzać żadnych tajemnic. Zapytał, czy szukamy Exocronu i bezmyślnie potwierdziłem.

- To nie jego wina - pospiesznie zapewnił Entoo Nee. - Wasz cel nie jest dla mnie tajemnicą. Poszukujecie Jorja Car'dasa, prawda?

Shada posłała Talonowi ostrzegawcze spojrzenie i powiedziała:

- Threepio, przejdź się do baru i przynieś nam po szklance lokalnego specjału. A po drodze posłuchaj, czy ktoś tu mówi po rodiańsku.

- Tak, panno Shado. - W głosie droida słychać było ulgę. - Już idę.

- Sprytne - przyznał Entoo Nee z radosnym uśmiechem, gdy Threepio się oddalił. - Sądzisz, że podwładni Rei'Kasa będą dla ułatwienia porozumiewać się po rodiańsku? Naprawdę sprytne.

- Dziękuję. - Shada przyjrzała mu się z ledwie ukrywaną groźbą. - Mówiłeś coś o Car'dasie.

- Mówiłem. - Entoo Nee pochylił się nad stołem i dodał konspiracyjnie zniżonym głosem: - Macie rację, szukając go na Exocronie, bo tam właśnie przebywa. Ale Exocron niełatwo odnaleźć. Prawdę mówiąc, większość obywateli Republiki Kathol nigdy o nim nie słyszała, a prawie wszyscy, którzy słyszeli, wierzą, że to mit.

- Też tak słyszałem - wtrącił Karrde, zastanawiając się, skąd ich rozmówca wie o celu ich lotu: najlogiczniejsze wydawało się założenie, że pracuje dla Car'dasa. - Powiedz mi, dlaczego tak trudno znaleźć tę planetę? Entoo Nee uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Nie muszę, bo dobrze wiesz, lecz być może twoja przyjaciółka nie wie - przeniósł wzrok na Shadę. - Powodem są minimglawice i inne obłoki pary powstające w Ryfcie Kathol. Odbijają promieniowanie najrozmaitszego rodzaju, i to w rozmaity sposób, ogłupiając sensory, przez co nie można wykonać map tego rejonu, a łączność jest tam bardzo utrudniona. Poszukiwania pojedynczej planety w tym obszarze mogą zająć całe lata.

- A ty, jak sądzę, możesz nam zaoszczędzić czasu i problemów? - spytała.

- W rzeczy samej. Mogę was zaprowadzić prosto do Car'dasa, jeśli chcecie - spojrzał na Talona i dodał - ale tylko wówczas, gdy kapitan Karrde wyrazi takie życzenie. Talon jedynie najwyższym wysiłkiem woli zachował obojętny wyraz twarzy: a więc kurdupel wiedział też, z kim ma do czynienia. Zaczynał w pełni rozumieć, dlaczego Han Solo marzył o własnoręcznym demontażu złocistego droida protokolarnego. - A ile nas będzie ta uprzejmość kosztować? - spytał.

- Nic. Ale nie nas, a wyłącznie ciebie. Tylko my dwaj się tam udamy. - Przepraszam - wtrąciła Shada. - A pozostali?

- Poczekacie tutaj. Obawiam się, że nie ma innego wyjścia, ponieważ mam dwuosobowy statek.

- Możesz lecieć z nami i pilotować, mamy większy - podsunął Karrde.

- Och, nie - Entoo Nee wyglądał na zszokowanego. - Nie mogę.

- A to dlaczego? - przyparła go Shada. - Bo Car'das nie chce widzieć nas wszystkich?

- A czy ja kiedykolwiek powiedziałem, że on chce się z kimkolwiek z was zobaczyć?

Faktycznie, nie powiedział, co bynajmniej nie znaczyło, że Jorj Car'das nie miał takiej ochoty.

- Jeśli się zgodzę, to kiedy wyruszamy? - spytał wolno Talon.

- Moment! - warknęła Shada, nim zapytany zdążył odpowiedzieć. - Co to znaczy: jeśli się zgodzisz? Nie chcesz chyba lecieć z nim sam.

Karrde skrzywił się - pewno, że nie chciał, ale wiedział też, że w końcu będzie musiał zobaczyć się z Car'dasem. Jeśli najlepszym sposobem ochrony załogi było udanie się dalej samotnie...

- Ujmijmy to inaczej - dodała Shada, przyglądając się wymownie Entoo Nee. - Jestem jego osobistą ochroną i nigdzie go samego nie puszczę. Ani z tobą, ani z kimkolwiek. Jasne?

- Ale... - zaczął Entoo Nee, unosząc dłonie i umilkł, bo przy stole pojawił się Threepio i postawił na blacie dwa kufle pełne jakiegoś ciemnego płynu.

- Udało się! - odetchnął z ulgą droid. - Klienci tego lokalu są naprawdę nieprzyjemną zbie...

- Daruj sobie lokalny koloryt - przerwała mu Shada. - Mówił tu ktoś po rodiańsku? - Jak najbardziej. - Threepio obrócił się i wskazał jeden ze stolików w pobliżu baru. - Trzej mężczyźni siedzący tam... o, jeden właśnie wstaje.

- Aha - mruknęła Shada i dodała cicho: - Czas się stąd wynosić!

- Nie fatygujcie się - rozległ się cichy i groźny głos za plecami Talona.

Oboje odwrócili się powoli - o dwa stoliki dalej siedziało, twarzami do ich stolika, trzech innych mężczyzn. Wszyscy trzymali w dłoniach blastery.

# R O Z D Z I A Ł 1 4

- No to jesteśmy zgubieni! - jęknął Threepio ledwie dosłyszalnie.

Karrde rozejrzał się - trójka, którą wskazał Threepio, zbliżała się między stolikami z bronią w rękach, zachodząc Shadę od tyłu. Pozostali goście albo przyglądali się wydarzeniom z zaskoczeniem czy fascynacją, albo też próbowali pospieszyć a niepostrzeżenie opuścić lokal, nim zacznie się strzelanina.

- Sądzę, że marnowaniem śliny byłoby przekonywanie was, że się pomyliliście - powiedział, odwracając się ku pierwszej grupie napastników.

- Dlaczego? - odezwał się ten sam co poprzednio, wstając. W ślad za nim podnieśli się dwaj pozostali. - Dobry śmiech z rana to miły początek dnia. Rączki na blat proszę. A więc, jeśli dobrze słyszałem, Talon Karrde?

- W rzeczy samej - potwierdził Entoo Nee, zanim Karrde zdążył otworzyć usta. - A to jest Shada i droid protokolarny Threepio.

- Jesteś z nimi? - Spojrzenie rzezimieszka stało uśmiech z oblicza Entoo Nee. -Ja?! Skądże... -Więc się wynoś!

Entoo Nee zamrugał gwałtownie, rozejrzał się i wstał.

- Proszę mi dać znać, co postanowiliście, kapitanie Karrde -powiedział, spojrzawszy na szefa napastników i prysnął w stronę drzwi.

- Co postanowiliście w związku z czym? - zainteresował się napastnik, gdy za Entoo Nee z hukiem zamknęły się drzwi.

- Złożył mi właśnie interesującą ofertę. - Karrde powoli splótł dłonie na piersiach. Napastnicy, skupieni na nim i na Shadzie, całkowicie przeoczyli fakt, że ledwie Entoo Nee wyszedł, do lokalu bezgłośnie wsunął się ktoś inny. Talon zauważył to i postanowił najdłużej jak się da skupiać na sobie ich uwagę. Zbyt długo mu się to jednak nie udało - ktoś z pozostałych w lokalu zaklął zaskoczony, co spowodowało, że jeden z napastników odwrócił się... -Cooo... Xern!

Najbardziej wygadany obejrzał się, słysząc swe imię, i zamarł z opuszczoną szczęką.

Bezszelestnie zbliżała się ku niemu zdeterminowana H'sishi.

Xern potrzebował dobrej sekundy, by odzyskać głos.

- Co to jest, na wszystkie demony Ryftu?! - wykrztusił.

- Togorianka - poinformował go uprzejmie Talon, patrząc na Shadę, która kilkoma spojrzzeniami zmierzyła właśnie odległości dzielące ją od znieruchomiałych nagle napastników. - Aha, byłbym zapomniał: ona jest ze mną.

H'sishi nadal zbliżała się równym, płynnym krokiem do półkola otaczającego Talona i Shadę. Dla dodania efektu wyszczerzyła zęby, ukazując imponujący zestaw kłów.

- Każ jej stanąć! - warknął nieco piskliwie Xern, zmieniając obiekt, w który celował, z Talona na nią. - Słyszałeś? Każ jej stanąć albo będziemy strzelać!

- Radziłbym uważać - doradził mu dobrodusznie Karrde. - Wątpię, byście ją zabili, a zraniona Togorianka to prawdziwe uosobienie wściekłości.

Xern spojrzał na niego z niedowierzaniem.. a Shada wkroczyła do akcji. Jej lewa dłoń, dotąd oparta o kufel, złapała go i wykonała krótki łuk, posyłając zawartość prosto w twarz Xerna. Ten ryknął, próbując zasłonić twarz przedramieniem, ale nie zdążył. Ręka Shady zrobiła kolejny gwałtowny ruch i kufel trafił następnego napastnika w krtań. Shada zaczęła wstawać i aż syknęła zaskoczona, gdy Karrde złapał ją za ramię z siłą uniemożliwiającą wstanie. Niespodziewanie rozległa się kanonada i dał się słyszeć głuchy odgłos padających na podłogę ciał...

- Opuść broń, Xern - polecił cicho Karrde, przerywając napiętą ciszę. - Bardzo powoli i bardzo ostrożnie.

Xern skończył przecierać oczy, zamrugał i rozejrzał się. I po raz drugi w ciągu ostatniej minuty jego szczęka prawie stuknęła o podłogę. Karrde i Shada siedzieli bowiem, jak poprzednio, przy stoliku, za to jego pięciu podwładnych leżało na podłodze, lekko dymiąc z licznych ran postrzałowych. A czterech ubranych w skórzane kurtki i siedzących przy różnych stolikach mężczyzn mierzyło w niego z miotaczy. - Twój blaster- przypomniał mu Karrde, próbując wytrącić go z osłupienia.

Shada drgnęła, lecz H'sishi była szybsza - płynnym ruchem znalazła się obok Xerna, ujęła broń za lufę i przekręciła ją, by celowała w sufit. Pazurem drugiej dłoni ukłuła go w nadgarstek, co skutecznie go otrzeźwiło. Spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, ale puścił blaster.

- Wszyscy doskonale się spisali - pochwalił Karrde i wstał, kiedy H'sishi ponownie odwróciła broń, zgrabnie łapiąc ją za kolbę. - Dankin?

- Jestem - odezwał się znajomy głos z nieznajomej twarzy, gdy wywołany podniósł się z krzesła.

- Zapłać barmanowi za ten bajzel, tutaj to tradycja Griv, stań przy drzwiach, Chal, Balig, obstawcie drogę do statku - polecił Karrde. - Jasne.

Dankin ruszył w stronę baru, pozostała trójka w kierunku drzwi.

- Cwane - splunął Xern, odzyskując rezon. - Naprawdę cwane. Ale jeśli myślisz, że dzięki temu wyniknięcie się Rei'Kasowi spod młotka, to zwariowałeś.

- Na twoim miejscu bardziej bym się martwił, jak Rei'Kas zareaguje na wynik operacji, w której straciłeś pięciu ludzi - uśmiechnął się Talon. - I nad tym, jak się stąd wydostać, zanim H'sishi uzna, że jesteś zbyt groźny, by pozostawić cię przy życiu. - Och, zaraz sobie pójde, jak tylko mnie wypuścicie - obiecał Xern. - Ale jeszcze się zobaczymy, Karrde. Tuż przed twoją śmiercią.

I nie zatrzymywany przez nikogo wymaszerował z lokalu.

- Cóż... - mruknął Talon, odwracając się ku Shadzie i wyciągając do niej rękę. Nie poruszyła się ani o centymetr.

- Ubezpieczenie zjawilo się tu przed nami - powiedziała spokojnie, ale tak w tonie, jak i w wyrazie jej twarzy było coś zdecydowanie nieprzyjemnego.

- Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś, że nie poczujesz się obrażona - przypomniał ostrożnie Talon. - Byli przebrani. Powoli opuścił rękę.

- Wszystkich ich widzieli, bo nie było innego sposobu, tutejsi celnicy przeszukujący statek - wyjaśnił. - Uznaliśmy za rozsądne założenie, że przynajmniej jeden z nich dorabia jako piracki szpieg, więc zapewne zostaliby rozpoznani. - A skórzane wdzianka?

- Mara je przywiozła - Talon poczuł na czole kropelki potu.

Shada wstała i powiedziała cicho:

- A ty doszedłeś do wniosku, że jednak nie możesz mi zaufać i uprzedzić o wszystkim.

Przez sekundę Talonowi odebrało głos - smutek, żal i ból, które usłyszał w jej głosie, zaskoczyły go całkowicie. - To nie tak! - zaprotestował. - Nie...

Mógł sobie darować resztę. Shada odwróciła się i ruszyła ku drzwiom pilnowanym przez Griva. - Naprawy zostały zakończone? - spytała.

Griv zerknął nad jej ramieniem na szefa i widząc przyzwalający gest powiedział ostrożnie: - Prawie.

- To dobrze - stwierdziła, mijając go i otwierając drzwi. - Wygląda na to, że okolica jest czysta. Możemy wracać. Griv ponownie zerknął pytająco na Talona.

- Możemy - zgodził się Karnie i też ruszył ku drzwiom.



Powrót na „Szalonego Karrde” upłynął w niezwyklej ciszy.

Shada właśnie zdążyła się przebrać w tunikę, gdy rozległ się brzęczyk do drzwi kabiny. - Kto tam? - zawołała. - Karrde. Mogę wejść?

Westchnęła i zawiązała pasek. Nie miała specjalnej ochoty na to spotkanie, ale brała udział w wyprawie i nie mogła przecież wypełniać obowiązków, unikając jednocześnie tego, którego powinna chronić. Poza tym ból wywołany przypadkową zdradą minął na tyle, że potrafiła już spokojnie rozmawiać z jej sprawcą. - Wejdz - powiedziała, zwalniając zamek.

Drzwi odsunęły się i Karrde znalazł się w kabynie.

- Właśnie weszliśmy w nadprzestrzeń - poinformował ją, ignorując zupełnie zmianę stroju. - Odonnl ocenia, że za siedem dni dotrzemy do Exocronu.

- To dobrze. Chyba zdążę odzyskać pełnię zdolności bojowych. A skoro o tym mowa, powinnam, zdaje się, wrócić do zbiornika z bactą.

- Bacta może poczekać. - Karrde uprzejmie acz stanowczo wskazał jej fotel. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Chętnie by mu odmówiła, ale nie bardzo miała możliwość, więc usiadła. Zastanawiała się, jaką zgrabną bajką zamierzał wytłumaczyć wydarzenia, do których doszło w lokalu. -O czym?

- O Jorjim Car'dasie, naturalnie - odparł, siadając naprzeciwko i zaskakując ją kompletnie. - Czas, żebyś poznała całą historię.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie: obiecał jej opowiedzieć dalszy ciąg w drodze do systemu Exocron, od którego, jak przed chwilą powiedział, dzielił ich jeszcze tydzień lotu; czyżby w ten sposób próbował zrównoważyć wcześniejszą bezmyślność? Co i tak nie miało już znaczenia: było to za mało i za późno. Ale przynajmniej uzyska przydatne informacje. - W takim razie słucham - zachęciła.

Karrde zapatrzył się w siebie, wracając myślą do odległych miejsc i czasów.

- Jego historia zaczęła się około sześćdziesięciu lat temu, w okresie Wojen Klonów i chaosu, jaki wywołały w galaktyce. I w czasie konfliktu, i po nim istniało olbrzymie zapotrzebowanie na przemyt, toteż błyskawicznie powstało wiele organizacji zajmujących się przerzutem kontrabandy. Najczęściej była to klecona w pośpiechu amatorszczyzna.

- Wtedy właśnie włączyli się w to na serio Huttowie, przejmując część rynku, którego już nie oddali, tak? - spytała, zainteresowana wbrew sobie: zawsze chciała dowiedzieć się więcej o tym okresie, o

którym było dziwnie cicho.

- Zgadza się. Car'das też wskoczył w ten interes i albo dzięki umiejętnościom, albo też ślepemu szczęściu stworzył jedną z lepszych organizacji. Nie większych, lecz lepiej zorganizowanych i skuteczniejszych. Działali od jakichś piętnastu lat, gdy Jorji przypadkiem znalazł się w samym środku bitwy pomiędzy Ciemnymi Jedi, a właściwie wszystkimi zamieszkującymi sektor Bpfassh. Według tego co potem opowiadał, jeden z Ciemnych Jedi wdarł się na pokład jego statku i zmusił go do odlotu.

Shada wzdrygnęła się - o tym konflikcie akurat coś wiedziała: brała w nim udział grupa Mistrzów walczących przeciwko Ciemnym Jedi. Opowieści, jakie w młodości słyszała od tych, które przeżyły to starcie, długo wywoływały koszmary.

- Dziwne, że był w stanie cokolwiek powiedzieć - mruknęła.

- Wszyscy się dziwili, jak zdołał przeżyć, bo pozostałych czterech członków załogi nikt już nigdy nie widział. Wrócił niespodziewanie dwa miesiące później i znowu zajął się kierowaniem organizacją. Pozornie wszystko wróciło do normy. - Ale tylko pozornie?

- I to nie na długo. Dla bliższych współpracowników szybko stało się jasne, że przytrafiło mu się coś poważnego. Nadal kierował jedną z najlepszych organizacji przemytniczych, ale nagle zaczął robić wszystko, żeby stała się też największą. Systematycznie wchłaniał lub niszczył inne organizacje, z tym, że w przeciwieństwie do Hurtów nie chodziło mu o brutalne wyniszczenie, lecz o przejęcie kontroli, toteż często kończyło się na zlikwidowaniu góry i wchłonięciu reszty istniejącej struktury. Nie interesowała go też wyłączość w poszczególnych systemach czy sektorach, lecz obecność wszędzie, gdzie się da, więc czasami ledwie starczało mu ludzi. W ciągu paru lat znalazł się na prostej drodze do podjęcia rywalizacji z Czarnym Słońcem, a organizacje takie jak Jabby przestały być konkurencją, stały się natomiast utrapieniem. - I nikt nie próbował go powstrzymać? - zdziwiła się Shada. -Jakoś nie bardzo mogę sobie wyobrazić jakiegokolwiek Hutta spokojnie obserwującego wyrastanie groźnego konkurenta.

- Wszyscy próbowali go powstrzymać. - Karrde uśmiechnął się ponuro. - Ale bez rezultatów. W jakiś sposób rozwinął w sobie zdolność przewidywania planów przeciwników i często kontratakował tuż przed tym, nim oni zaatakowali. Wykańczał ich całkowicie zaskoczonych.

Shada doskonale wiedziała, że w normalnych warunkach zaskoczenie wymaga wielu godzin drobiazgowych i trudnych obserwacji, poszukiwań i sprawdzania. Dopiero gdy się znało liczebność, uzbrojenie i strategię oraz słabe strony przeciwnika, można było zacząć planowanie. - Pożyteczny talent - oceniła cicho.

- Nadzwyczaj pożyteczny - zgodził się Karrde. - Niestety, zmiany polegały nie tylko na tym. Car'das stał się... jak by to ująć... nieobliczalny i bardzo podatny na gwałtowne zmiany humoru, co dotąd mu się nie zdarzało. Wściekłość wywołana przez drobiazg, którym normalnie nawet by się nie przejął, czy samotne ślęczenie nad mapami Imperium, same z siebie wydawały się już dziwne, ale najbardziej niepokojące było to, że zaczął się gwałtownie starzeć. Znacznie szybciej niż można by oczekiwać po

normalnym procesie fizjologicznym. A potem pewnego dnia wsiadł na swój prywatny statek, wystartował i... zniknął. -Jak to zniknął?!

- Normalnie, jeśli można tak powiedzieć: nie skontaktował się z nikim, nawet z najzaufańszymi zastępcami i nikt go już nigdy nie widział. Jeśli zaś przypadkiem spotkał go któryś z przeciwników, również nie powiedział o tym nikomu, co zresztą samo w sobie uznano by za nienormalne. - Kiedy to było?

- Dwadzieścia lat temu. Z początku nie wywołało to specjalnej reakcji: Car'das od czasu do czasu odbywał tajne loty, o których nikogo nie uprzedzał. Ale po trzech miesiącach braku kontaktu jego zastępcy zaczęli się martwić. Zastanawiali się też, co powinni zrobić, jeśli nie wróci.

- Niech zgadnę: postanowili głosować, kto zajmie jego miejsce - uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie pamiętam, by chociaż jeden z nich zaproponował głosowanie. - Karrde nie uśmiechnął się w odpowiedzi. - Prawdę mówiąc, groźbę użycia przemocy można było kroić, tyle jej wisiało w powietrzu. Doszło do tego, że najrozsądniejsza wydała się nam propozycja podziału organizacji, żeby każdy miał coś dla siebie.

- I pojawił się problem, jak dzielić, żeby wszyscy byli zadowoleni - nie skomentowała, że pierwszy raz użył słowa „my”, zamiast trzeciej osoby liczby mnogiej, jak dotąd. - A skończyło się na wojnie domowej.

- Nie do końca. Zobaczyłem, co nam grozi, chyba jako pierwszy, a ponieważ coś mi mówiło, że Car'das nie wróci, więc uprzedziłem pozostałych i... przejąłem kierownictwo. - Ot tak, po prostu?

- Mniej więcej - wzruszył ramionami. - Może raczej mniej, ale się udało. Wymagało to naturalnie starannego zaplanowania i zgrania w czasie, no i naturalnie szczęścia, choć wątpię, czy wtedy zdawałem sobie sprawę, ile. Ale w sumie faktycznie odbyło się tak po prostu: zneutralizowałem konkurentów, usunąłem ich z organizacji, a wszystkich pozostałych poinformowałem, że działamy tak jak dotąd.

- Założę się, że stałeś się niezwykle popularny, ale nie o to chodzi. Nadal nie rozumiem, dlaczego masz problem z Car'dasem. Bo on nie wrócił, prawda?

- Problem polega na tym, że tego akurat nie jestem pewien -przyznał ciężko Karrde. - Proszę? - aż zmrużyła oczy z wrażenia.

- Przejąłem władzę w ciągu jednej nocy, ale to nie znaczy, że pozostali też nie próbowali jej przejąć. Każdy z nas miał swoich zwolenników i łącznie doszło do ośmiu prób. Dwie nastąpiły prawie natychmiast, ostatnia trzy lata później, bo jak sądzę, trzy lata zajęło im przygotowanie przemyślanego planu, który omal się nie powiódł. - Naturalnie żadna nie była skuteczna.

- Nie o to chodzi. Przywódcy czterech prób twierdzili w czasie przesłuchań, że stał za nimi Car'das.

- Zasłona dymna - prychnęła pogardliwie Shada. - Chcieli cię przestraszyć, żeby się dogadać i przeżyć.
- Też tak wówczas myślałem, ale nie mogłem tego sprawdzić. Ani wtedy, ani potem. Do tej pory zresztą nie mam pewności.
- W takim razie co się stało sześć lat temu? - spytała, przyglądając mu się uważnie. - Co cię skłoniło do wysłania Mary i Landa na poszukiwania Car'dasa?
- Zaczęło się wcześniej niż sześć lat temu, bo aż dziesięć, zaraz po śmierci wielkiego admirała Thrawna albo po tym jak udał własną śmierć. Przebyłem na Coruscant, pomagając zgrupować przemytników w jedną organizację, z czego w końcu i tak nic nie wyszło, gdy zjawił się Lando i pokazał mi coś, co Luke znalazł na mokradłach planety Dagobah.
- Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek o niej słyszała - przyznała po chwili zastanowienia.
- Dziwiłbym się, gdybyś słyszała, bo nie ma tam zupełnie nic: miast, kolonii czy tubylców. Co Luke robił na tym bagnistym zadupiu, pojęcia nie mam, ale zagubione urządzenia elektroniczne były tam tak nie na miejscu, że zabrał ze sobą jedyne, jakie znalazł. A okazało się ono przywoływaczem prywatnego statku Car'dasa.
- Mhm - przywoływacz pozwalał na zdalne sterowanie całkowicie zautomatyzowanym statkiem i nigdy nie znalazł zastosowania wśród Mistryl, ale Shada parokrotnie spotkała się z podobnym rozwiązaniem u klientów. - Car'das miał całkowicie zautomatyzowany statek?
- Datujący się jeszcze z okresu poprzedzającego Wojny Klonów. Kupił go krótko po spotkaniu z Ciemnym Jedi, twierdząc, że potrzebuje statku, który będzie w stanie sam obsługiwać, żeby nie narażać innych na niebezpieczeństwo, jak to miało miejsce ostatnim razem.
- A Skywalker znalazł przywoływacz od tego statku leżący gdzieś w błocie. Ładny zbieg okoliczności.
- Też wydało mi się to podejrzane, ale przepytałem Luke'a. Faktycznie znalazł go przypadkiem.
- Z tym, że jeśli chodzi o Jedi i przypadki, nigdy nic nie wiadomo.
- Wiem. Ale był to pierwszy ślad od ponad dziesięciu lat, nawet gdyby ktoś podrzucił go specjalnie. Pomyślałem sobie, że warto byłoby sprawdzić, dokąd prowadzi. - Więc wysłałeś Marę, a Lando uparł się lecieć razem z nią-dodała Shada, przypominając sobie podsłuchaną w Orowood rozmowę.
- W zasadzie tak, choć pomysł okazał się niezłym maskowaniem, bo robili za zakochanych, więc nie wzbudzali podejrzeń. Zaczęli od Dagobah i przejrzel tam stare zapisy portów kosmicznych, w których mógł tankować lub dokonać napraw. Sprawdzili też stare archiwa, zaczynając od Korelii, a kończąc na CorSecu i układanka zaczęła do siebie pasować.

- To się chyba nazywa długoletni wyrok - oceniła zgryźliwie.

- Nie było aż tak źle, ale parę lat potrwało - przyznał. - Zwłaszcza że cały czas wyskakiwały różne zajęcia uboczne: a to jakiś kryzys, z którym na Coruscant sami nie mogli sobie poradzić, a to kolejny genialny pomysł na dorobienie się majątku. To akurat nie miało znaczenia, gdyż ślad był tak zimny, że miesiąc czy pół roku nie robiły żadnej różnicy. W końcu dotarli do Bezdroży Kathol i zlokalizowali Exocron. I z tego co zdołaliśmy ustalić, na tej planecie ślad się kończy...

Przez długą chwilę w kabinie panowała cisza. Shada próbowała przetrwać usłyszane wiadomości.

- Jeśli dobrze rozumiem, żadne z nich nie spotkało Car'dasa? - spytała w końcu. Widziała, z jakim wysiłkiem Talon wraca ze świata duchów przeszłości.

- Otrzymali dokładne instrukcje, żeby pod żadnym pozorem tego nie robić - wyjaśnił. - Mieli się dowiedzieć, na jakiej planecie przebywa, a w przypadku świata tak ukrytego jak Exocron, także znaleźć trasę do niej prowadzącą. Potem mieli natychmiast wrócić i wrócili. Reszta to moja sprawa.

- A dawno to było? - spytała uprzejmie.

- Parę lat temu. - Talon poruszył się niespokojnie.

- Jakoś ci się nie spieszyło?

- Prawdę mówiąc, straciłem ochotę i nerwy - przyznał. - Po tym co zrobiłem, nie byłem pewny, jak mam doprowadzić do tego spotkania. Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Nadal zresztą nie wiem. No więc odkładałem całą sprawę, znajdując wymówkę za wymówką. A teraz wygląda na to, że się spóźniłem...

- Myślisz, że Rei'Kas pracuje dla niego - było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Rei'Kas, Bombaasa i prawdopodobnie co najmniej tuzin innych, o których jeszcze nie słyszeliśmy - przyznał ciężko. - Nie mogą działać na jego terenie i nie pracować dla niego, a to jest jego teren. Jednak tym razem Car'das zamiast przemytem i handlem informacjami, zajął się raczej piractwem i handlem niewolnikami, które stanowią znacznie gorszą odmianę nielegalnych interesów. .. I widzę tylko jedno wytłumaczenie: chce mi się dobrać do skóry i potrzebuje do tego bezwzględnych wykonawców. Chce mnie dostać. Osobiście.

Przez długą chwilę jego wyznanie wisiało w ciszy niczym wyrok śmierci.

- Moim zdaniem niekoniecznie - odezwała się Shada, przerywając to ciężkie milczenie. - Może zbiera siły, żeby sobie wykroić miniaturowe imperium tutaj. Na przykład zajmując tę całą Republikę Kathol.

- On tu działa od prawie dwudziestu lat, Shada. Gdyby chciał mieć imperium, już by je miał.

- A gdyby chciał cię dopaść, nie sądzisz, że zrobiłby to już dawno? - skontrowała. - Mógł próbować.

- I co? Poddał się po trzech latach? A przez pozostałe siedemnaście siedzi tu i ze złości obgryza paznokcie?!

- Dla mnie to też nie ma sensu - przyznał z westchnieniem. - Ale znam go i wiem, że nie jest typem, który beczynnienie obgryza paznokcie. Zawsze był bezwzględny, twardy i doskonale planował każde swoje posunięcie. Nigdy też nie wybaczał ani nie pozwolił, by ktoś lub coś stanęło mu na drodze do celu, który chciał osiągnąć. I uwielbiał ryzyko: im większe było wyzwanie, tym bardziej go pociągało. Poza tym wie, że tu jestem i że go szukam. Ten kurdupel Entoo Nee wyraźnie dał mi to do zrozumienia. Shada z trudem opanowała drżenie. „Szalony Karrde”, dotąd bezpieczny, wydał jej się nagle mały i bezbronny.

- I oto grzecznie lecimy do jego siedziby - wymamrotała, nie mogąc się otrząsnąć. - Tobie nic nie powinno grozić - powiedział niespodziewanie Karrde. - Pozostałym członkom załogi może, ale nie na pewno. Przyleciałbym sam, ale wiedziałem, że nie zdołam dotrzeć na Exocron niczym słabiej uzbrojonym i opancerzonym niż „Szalony Karrde”. Widzisz, Car'das jest mściwy, ale podobnie jak Bombaasa uważa się za człowieka kulturalnego. Mam oczywiście nadzieję przekonać go, żeby mnie nie zabijał, chociaż nie jestem pewien, czy mi się uda. Pewne niebezpieczeństwo grozi członkom mojej załogi, jeśli postanowi wyrównać do końca stare rachunki... ty jednak nie należysz do moich podwładnych, więc powinien puścić cię wolno. Może nawet z dokumentami dotyczącymi Caamas, na których tak zależy Nowej Republice. O tym przynajmniej powinienem go przekonać. - To zwariowany...

- Oto cała historia - przerwał jej łagodnie, wstając. - A, byłbym zapomniiał: Car'das zawsze lubił zbierać rozmaite informacje i miał olbrzymie archiwum, uzupełniane przez całe lata. To archiwum zniknęło wraz z nim. Lando i ja uważamy, że może się tam znajdować pełna wersja poszukiwanego dokumentu. A teraz, jak sądzę, faktycznie już czas, żebyś trafiła do zbiornika z bactą. Pogadamy później. I wyszedł z lekkim ukłonem.

- Karrde, to jest szaleństwo! - powiedziała Shada, ale już do pustego pomieszczenia.

Dopiero później, gdy unosiła się w zbiorniku z bactą, uświadomiła sobie jeszcze coś - Karrde powiedział, że Car'das powinien puścić ją wolno i pozwolić odlecieć. Nie powiedział, że robi to na pewno.

# R O Z D Z I A Ł 1 5

Rozbijacz Kamieni powiedział coś, czego Mara naturalnie nie rozumiała, i zawisł głową w dół na niedociętym stalaktycie.

- Świetnie - ucieszył się Luke. - Wygląda na to, że prawie jesteśmy.

Mara oświetliła ściany wokół, ledwie wierząc, że to rzeczywiście koniec czterodniowej mordęgi w podziemnych tunelach i jaskiniach. Nie żeby cierpiała na klaustrofobię, ale jej ulubionym teatrem działań były miasta i statki kosmiczne. W ostateczności zaakceptowałyby pobyt pod gołym niebem, natomiast kilometry brudnych, pełnych pyłu, wilgoci i lodowatych strumieni, krętych przejść pośród skał zdecydowanie nie zaliczały się do miejsc, w których chciałyby dobrowolnie przebywać. Tutaj gościła z przymusu i za niezłe osiągnięcie uważała fakt, że wytrzymała tyle czasu i nie zabiła jeszcze żadnego z Qom Jha ani nie rozebrała Artoo na części. Nawet Skywalker jakoś przestał ją denerwować, stając się znośnym towarzyszem podróży. A teraz to łażenie pod ziemią wreszcie dobiegło końca. Podobno.

Wprawdzie mieli jeszcze przed sobą twierdzę wraz z załogą o nieznannej sile i związane z tym, także nieznanne, niebezpieczeństwa, ale to już była zupełnie inna sprawa - niebezpieczeństwo traktowała jako stan normalny. Luke zresztą też.

- Jest. - Luke oświetlił fragment ściany o kilka metrów przed nimi. - Obok tej bramy.

- Bramy? Jakiej bramy?! - zdziwiła się Mara, kierując snop światła w tę samą stronę: czyżby ktoś zbudował tu jakąś bramę, prowadzącą donikąd w samym środku pustkowia?

Nie, nikt tu niczego nie budował, co wykazały dopiero bliższe oględziny. Bramę stworzyła natura, rzeźbiąc kolumny po obu stronach mającego ze dwa metry przejścia w zwężeniu jaskini, której łukowate sklepienie wznosiło się około trzech metrów nad ich głowami. Wszystko to było dziełem erozji albo płynącej tędy dawno temu wody. - Tak mi się tylko powiedziało. - Luke przesunął strumień światła na bramę. - Przypomina łuk w Hyllyard City na Myrkr, prawda?

- Chodzi ci o to wielkie, grzybopodobne okropieństwo, które próbowałeś zwalić nam na głowy? To, do którego aż trzy dni przedzieraliśmy się przez upiorną puszczy? I gdzie czekała na nas połowa wszystkich szturmowców, jacy jeszcze pozostali w Imperium?

- Dokładnie to samo - przyznał z lekkim rozbawieniem. - To samo, gdzie chciałaś mnie zabić. I było to coś, czego pragnęłaś najbardziej we wszechświecie.

- Byłam wtedy młoda, piękna i naiwna - podsumowała, oświetlając ścianę za bramą. - Dawno i

nieprawda... Gdzie ten otwór?

- Właśnie tam - Luke wyeksponował fragment popękanej ściany pod sufitem: wewnątrz plamy blasku znajdował się otwór, zdający się znikać w mroku.

- Widzę - odparła, podchodząc. Z otworu nie płynęło świeże powietrze, musiał więc być gdzieś dalej zatkany. - Nie za ciasny przypadkiem?

- Zaraz temu zaradzimy - podał jej latarkę i odczepił od pasa miecz. - Odsuńcie się, bo odłamki mogą lecieć na boki.

Uaktywnił ostrze i ciął na odlew. Zielonkawy blask wgryzł się w kamień, zamigotał i zgasł.

Artoo zawył, Mara omal nie wypuściła latarki, a Luke pierwszy raz od dawna ucziwie się zdziwił. I omal nie stracił równowagi. - Co się stało? - spytała zaniepokojona.

- Nie wiem - przyznał, uważnie oglądając rękojeść miecza. - Wydawało mi się, że starannie zablokowałem przełącznik... no nic, spróbujmy jeszcze raz...

Włączył broń i ostrze pojawiło się ponownie, ze znajomym syczącym trzaskiem. Obserwował je przez chwilę, ale wyglądało normalnie, więc przyjął klasyczną pozycję szermierczą i ciął ponownie.

Ostrze, tak jak poprzednio, przecięło kawałek skały, zamigotało i zgasło.

Jeden z Qom Jha zamachał skrzydłami i coś powiedział. - Tak - zgodził się Luke.

A Mara wyczuła, że nagle coś sobie przypomniał - coś, co spowodowało, iż w jego umyśle zrodziło się paskudne podejrzenie.

- Tak co? - spytała.

- W tej ścianie musi być cortosis - wyjaśnił, zabierając jej latarkę i uważnie przyglądając się tańczącym w powietrzu drobinom skały. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Bo to naprawdę bardzo rzadki minerał. Sam wiem tylko tyle, że kontakt z nim wyłącza miecze świetlne. Kiedyś obaj z Corranem natknęliśmy się na grupę adeptów Mocy noszących pancerze inkrustowane jego włóknami. Przyznaję, że była to prawdziwa niespodzianka.

- Ja myślę - mruknęła, przypominając sobie coś innego. A więc właśnie coś takiego miał Palpatine pomiędzy podwójnymi ścianami swojej rezydencji. - Co proszę? - zdziwił się Luke.

- Jego rezydencje, gabinety, sale tronowe i apartamenty miały podwójne ściany wypełnione tajemniczą skałą, której przeznaczenia czy choćby nazwy nawet ja nie znałam. Mówił mi, że każdy miecz świetlny ma w obwodach wyłącznika trochę dimetrisu. Jeśli ostrze trafi na skałę zawierającą



ów cortisolu, wywołuje to sprężenie, które przeciąża system i w ułamku sekundy powoduje wyłączenie miecza. Prymitywny, ale skuteczny sposób wyhamowania ataku każdego przypadkowego Jedi, który zdołałby przeniknąć przez inne systemy obronne i wartowników.

- Czego to się człowiek nie dowie jako Ręka Imperatora... -mruknął zgryźliwie Luke. - Wiesz może, czy istnieje jakiś sposób przebicia się przez ten wynalazek? - Setki - pocieszyła go, zdejmując plecak. - Jeśli pominąć zastosowanie go jako przeszkody dla miecza świetlnego, jest to raczej bezużyteczny materiał; zbyt słaby i łatwo się kruszący, by nadawał się choćby do budowania czegokolwiek. Zwykły karabin blasterowy otworzyłby nam przejście maksimum dwoma strzałami... Zobaczmy, co my tu mamy... aha!

Wyciągnęła granaty i zaczęła sprawdzać oznaczenia.

- Ten powinien być dobry - oceniła po paru sekundach. Jeden z Qom Jha odezwał się śpiewnie.

- Dotrzymujący Obietnic uważa, że granat to nie najlepszy pomysł, bo pod ziemią dźwięk dobrze się niesie, a jesteśmy blisko Wysokiej Wieży - przetłumaczył Luke. - Może mieć rację... - Mara obejrzała skałę. - Z drugiej strony za każdym cięciem zyskujemy jedynie po parę centymetrów. Hałas albo zwłoka, wybór należy do ciebie. Luke przesunął dłonią po skale, koncentrując się.

- Zaczniemy od mieczy - powiedział powoli. - Powiedzmy przez dwie godziny. Wtedy będziemy mniej więcej wiedzieć, ile czasu nam to zajmie.

- Granaty mogą poczekać, nic im się nie stanie - zgodziła się Mara, oświetlając przeszkodę. - Zatem po jaskini pełnej drapieżników mamy teraz ciekawostkę blokującą miecze świetlne. Wygodne, nawet bardzo wygodne dla kogoś.

- To może być zbieg okoliczności - stwierdził bez przekonania Luke. - Proponuję zabrać się do roboty... chyba że sądzisz, iż możemy przy okazji uszkodzić miecze. - Nie bardzo widzę, w jaki sposób, ale nie znam się na tym aż tak dobrze. Powinniśmy zauważyć problem, nim stanie się poważny.

- Prawda - Luke przyjrzał się z namysłem stojącemu z boku astromechowi. - Artoo: pełnozakresowe monitorowanie obu mieczy świetlnych. Jeśli tylko zaczną się przegrzewać lub któryś z jakichś powodów zacznie się zmieniać, daj znać. Artoo bipnął potwierdzająco i wysunął z kopuły niewielką, obrotową antenkę.

- Powinniśmy chyba zrobić z tego trójkąt - zaproponowała Mara, wciskając przęt oświetleniowy w szczelinę tak, by dobrze oświetlał interesującą ich powierzchnię. - Tnąc w dół pod kątem i na boki, unikniemy krzyżowania się ostrzy, a cięcie kątowe zwykle bardziej osłabia strukturę skały.

- Brzmi rozsądnie - zgodził się Luke i dodał pod adresem wiszących razem Qom Jha - Rozbijacz Kamieni, wróć do Zjadacza Ogniaków i powiedz mu, że przydałoby się dodatkowi zwiadowcy, których obiecał przysłać, gdy znajdziemy się przy Wysokiej Wieży. Na wszelki wypadek weź kogoś

ze sobą.

Rozbijacz Kamieni ćwierknął coś, na co Luke wyjaśnił:

- To prawda, że tam nie dotarliśmy, ale mamy już niedaleko.

Dziecko Wiatrów zamachał skrzydłami i ćwierknął energicznie.

- Nigdzie nie lecisz - poinformował go Luke. - Dotrzymujący Obietnic, polecisz z Rozbijaczem Kamieni.

Rozgorzała krótka na szczęście dyskusja między Qom Jha, po czym dwaj z nich odlecieli, żegnani sarkastycznie brzmiącą uwagą Dziecka Wiatrów.

- Coś mi się wydaje, że straciłam dobrą pyskówkę - oceniła Mara, odpinając miecz i ustawiając się z lewej strony Luke'a.

- Taką sobie - odparł i uaktywnił ostrze. - Jesteś gotowa? W odpowiedzi włączyła swoje. - No to do roboty!

Po godzinie mieli gotowy obrys przejścia, ale właśnie wtedy Artoo ogłosił alarm. - Mara, czekaj! - Luke wyłączył miecz, zastanawiając się, co się stało: cały czas koncentrował się na broni i nie wyczuł niczego niepokojącego.

Zerknął na Artoo i zrozumiał, że koncentrował się nie na tym co trzeba - antena zestawu sensorów astromecha skierowana była wyraźnie na dalszy ciąg przejścia. - Mara? - powiedział cicho, przerzucając broń do lewej dłoni i biorąc w prawą latarkę, której światło skierował w głąb tunelu.

Mara również wyłączyła miecz i w nagłej ciszy usłyszeli odległy dźwięk: jakby szum tysięcy zachrypniętych głosów, gardłowo szepczących coś w kółko. Pozbawiony świadomości głos, który odbijał się echem w umyśle, gdy Luke sięgnął ku niemu, używając Mocy.

W dodatku ów głos całkiem raźnie się do nich zbliżał.

- Nie podoba mi się ten dźwięk - oceniła cicho Mara.

- Mnie też nie. - Przystawiając latarkę na wąski snop światła, sięgający najdalej, omiótł nią tunel.

Nie zobaczył niczego, ale ponieważ tunel skręcał, miało to niewielkie znaczenie. Wzmocnił zmysły techniką Jedi i omal go nie ogłuszył radosny wrzask Budującego z Pnaczy: „Ogniaki! Nadciągają ogniaki!” - Co?! - zażądała wyjaśnień Mara. - On mówi, że nadchodzą ogniaki.

- Oho... pamiętasz imię najważniejszego Qom Jha: Zjadacz Ogniaków...

- Pamiętam. - Luke przyglądał się Qom Jha, który z wyraźnym oczekiwaniem poruszał skrzydłami. - Sądziłem, że to jakaś roślina, ale... Budujący z Pnaczy, co to są ogniaiki?

„Małe lecz bardzo niebezpieczne stworzenia. Zjadają i niszczą wszystko, co napotkają na drodze. Zabijają każdego, kogo zdołają, i zjedzą”.

- Mówi: małe i groźne - przetłumaczył, oświetlając tunel.

- W takim razie poziom hałasu wskazuje, że zbliża się ich od cholery albo i więcej - oznajmiła ponuro Mara. - Nie mam ochoty poznawać tutejszej odmiany roverinów. Luke wzdrygnął się - na szczęście nie spotkał ich osobiście, ale widział holonagranie z przemarszu tych najślynniejszych na świecie owadzi drapieżników. Wędrowały po davireńskich puszczech w grupach liczących miliony osobników i zżerały dosłownie wszystko co napotkały na swej drodze, a co było jadalne. Po ich przejściu pozostawał pas jałowej pustej ziemi z rozrzuconymi tu i ówdzie objedzonymi do czysta kośćmi. - Jak szybko się przemieszczają? - zapytał Qom Jha.

- Za szybko - odpowiedziała zamiast niego Mara. - Już je widać.

Przed nimi, tam gdzie ledwie sięgał blask pręta oświetleniowego, pojawiła się jakby pulsująca czarna fala, szczelnie wypełniająca całą podłogę i ściany mniej więcej do wysokości metra. Jej czoło napotkało jakieś zagłębienie w podłożu, zalało je i pojawiło się za nim. Fala składała się z niewielkich owadów o czarnych chitynowych pancerzach, które, jak powiedziała Mara, poruszały się za szybko.

- Mamy może z minutę, nim tu dotrą - oceniła teraz. - Jeśli znasz jakąś chytrą sztuczkę na czarną godzinę, to właśnie nadeszła.

Luke przygryzł wargę, myśląc gorączkowo - znał sposób użycia Mocy pozwalający na stworzenie niskoenergetycznego pola osobistego, ale wątpił, czy zdoła utrzymać je wystarczająco długo, zwłaszcza że musiał nim objąć Marę, która prawie na pewno nie znała tej techniki. Nie mógł też odsunąć ich po kolei z drogi, przenosząc Marę, bo owadów było zbyt wiele, a jeśli przypominały roveriny, to wystarczyło, żeby choć jeden dotarł do Luke'a i uządlił go, a samokontrolę Jedi szlag trafi i reszta robaków będzie wiedziała, że obok jest jedzenie. Jedynym sensownym sposobem wydawało się fizyczne zejście z drogi ogniaków, czyli albo ucieczka, albo...

- Brama - powiedziała nagle Mara. - Potrzebujemy podestu pod nogi, ze dwa metry nad podłogą...

- Racja. - Luke uaktywnił miecz i uważnie ocenił wzrokiem odległość.

Powinno się udać, zakładając naturalnie, że starczy im czasu na niezbędne przygotowania.

- Artoo, zamknij wszystkie otwory - poleciał i ciął poziomo czubkiem ostrza w bliższy słup o jakieś

pół metra nad głową, z nadzieją, że nie natknie się na cortosis. Na szczęście złoże nie sięgało tak daleko - ostrze bez problemów przecięło skałę, toteż przesunął broń, cały czas korzystając z Mocy, i uderzył skośnie. Udało mu się wyciąć kamienny klin od wewnętrznej strony łuku. Mara wzięła z niego przykład. - Dziecko Wiatrów - polecił, przekrzykując buczenie mieczy i chrzęst pancerzy ogniaków. - Leć do otworu i znajdź tam jakiś uchwyt, na którym możesz sięść lub zawisnąć.

„A ty? Jak się schowacie?” spytał młody Qom Qae niespokojnie.

- Zobaczysz. Mara?

- Skończyłam - oznajmiła, wygaszając ostrze. - Zostało nam dwadzieścia sekund. Luke spojrzał w głąb tunelu - płynęła nim żywa groźna fala, oddalona od nich o jakieś pięć metrów.

- Jestem gotów. - Wyłączył miecz, przypiął go do pasa i spytał: - Na trzy?

- Na trzy - potwierdziła.

Dał krok w tył i przez moment każde koncentrowało się na swój sposób.

- Na trzy - powtórzył, starając się zignorować narastający chrzęst pancerzy. - Jeden... dwa... trzy!

Skoczył i w połowie drogi obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, z nadzieją, że nie przesadził i nie trafi głową w sklepienie. Kiedy lądował, zobaczył Marę z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby chciała się przytrzymać powietrza. Pospieszenie wyciągnął ku niej rękę i gdy oboje dotknęli obcasami wyciętych podestów, ich dłonie spotkały się w połowie drogi. W ten sposób utworzyli żywy łuk wewnątrz kamiennego, stojąc na wycięciach w kolumnach oparci plecami o łukowate sklepienie i utrzymując się na miejscu dzięki splecionym dłoniom. Mara odetchnęła z ulgą, co dało się słyszeć. - A niech mnie... - westchnęła. Udało się.

Luke przytaknął, także oddychając z ulgą, choć nieco ciszej. I woląc nie myśleć, co się stanie, jeśli któreś z nich spadnie...

- Przytulnie tu - skomentowała Mara, rozglądając się ciekawie. - I symbolicznie: wielki i potężny Mistrz Jedi zmuszony polegać na kimś innym, żeby przeżyć. - Może byś przestała się mnie czepiać? - zaproponował. - Już przyznałem, że sam nie potrafię zrobić wszystkiego.

- To nie dokładnie to samo co polegać na innych, ale niech już będzie: uważaj temat za wyczerpany. Wygląda na to, że obliczyłeś akurat idealną wysokość. Luke spojrzał w dół - jak okiem sięgnąć rozciągała się pod nimi ruchoma powierzchnia robactwa, na podłodze i nawet na dolnych powierzchniach ścian. Ponieważ jednak brama stanowiła przewężenie, a zbyt wiele insektów chciało przez nią przeleźć równocześnie, tu ich poziom na ścianach był znacznie wyższy. Niektóre przechodziły ledwie o centymetry od podeszew ich butów.

- Sądysz, że mogą się przegryźć przez podeszwy? - spytał niepewnie.

- Jeśli wystarczająca ich liczba zabrałaby się do żucia, mogą się przegryźć przez wszystko, co nie jest pancierzem burtowym, choć nie zakładałabym się, czy nie i przez niego. Wystarczy, żeby jeden nas zauważył i rozpoznał jako jedzenie, a zaraz zaalarmuje pozostałe...

- Czyli krótko mówiąc, jeśli któryś zbliży się bardziej niż w tej chwili, złap go Mocą i rzuć nim o ścianę.

- Niezły pomysł... Zastanawia mnie, co one tu robią? Przecież w całym kompleksie jaskiń, który przeszliśmy, nie znalazłoby się dość jedzenia, żeby wyżywić taką ich ilość choć przez krótki czas.

- To może być jakiś skrót między dwoma miejscami na powierzchni. Albo przyłazą tu się napić: pamiętasz tę podziemną rzekę, którą minęliśmy dwa dni temu? - Możliwe... szkoda, że nie zdążyliśmy schować gdzieś plecaków. .. a ten co znowu wyprawia?!

Luke podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył Budującego z Pnaczy, wychodzącego z krótkiego nurkowania nad ogniakami i zawzięcie coś żującego. - On je zjada - wykrztusił, ledwie wierząc własnym oczom. - To jasne. Zjadacz Ogniaków, pamiętasz?

- Ale... - Luke opanował się z trudem i dokończył nieco inaczej niż zaczął. - Czyżby nie były aż tak niebezpieczne?

- Naturalnie, że są niebezpieczne! - prychnęła Mara. - Słyszałeś kiedyś, żeby wódz klanu czy innego plemienia nosił imię chwalonego jego rozważę i spokój?! To musi być tutejsza wersja „kopnij rancora”. - Przepraszam, że co?

- Powiedzonko z dworu Palpatine'a. Kopnąć rancora oznacza głupie i niepotrzebne zachowanie, w którym ryzyko niewspółmiernie przekracza korzyści.

Luke nerwowo przełknął ślinę, obserwując kolejny atak Budującego z Pnaczy i zastanawiając się, dlaczego tamten tak głupio ryzykuje. Bo to było wielkie ryzyko - wyczuwał zagrożenie prawie tak, jak zazwyczaj skierowane przeciwko niemu samemu. Przecież Qom Jha nie mógł być aż tak głodny... Więc dlaczego?

- Pozer - mruknęła Mara w odpowiedzi na jego nieme pytanie. - Popisuje się. - Przed kim? Przed nami?

- Przed młodym - wyjaśniła, wskazując brodą na ścianę za Lukiem.

Ten podniósł głowę na ile mógł i dostrzegł Dziecko Wiatrów -balansował na skalnej grzędzie w pobliżu otworu i zafascynowany obserwował Budującego z Pnaczy. Skrzydła młodego Qom Qae drżały z podniecenia lub z zazdrości. A być może ze zdenerwowania. - Oho - wymamrotał Luke. - Nie myślisz chyba...

- Mam nadzieję, że nie jest taki głupi - przerwała mu poważnie. - Ale może nie wytrzymać: Qom Jha

od początku tej wycieczki jeżdżą po nim jak po łysym tauntaunie. - Dziecko Wiatrów, zostań tam gdzie jesteś - nakazał Luke stanowczym głosem Jedi. - Pod żadnym pozorem nie próbuj naśladować Budującego z Pnaczy, bo... Przerwał mu nagły, rozpaczliwy wrzask, słyszalny zarówno w uszach, jak i w mózgu.

- Co...?! -jęknął, drżąc konwulsyjnie i odwracając się równocześnie.

- Budujący z Pnaczy - warknęła ponuro Mara, zaciskając palce wokół palców Luke'a, aby oboje zdołali utrzymać równowagę. Luke spojrzał w dół...

Budujący z Pnaczy tym razem przeleciał za nisko - gorączkowo bijąc skrzydłami usiłował wznieść się wyżej, lecz już po szyję pogrążony był w fali ogniaków, a nowe ciągle wchodziły mu na głowę i plecy, żądłac i gryząc. Krzyk Dziecka Wiatrów dołączył do jego rozpaczliwego wrzasku, gdy setka kolejnych insektów obsiadła Qom Jha, samą wagą ciał pogrążając go w czarnej ruchomej rzece. Luke skoncentrował się i używając Mocy uniósł go ponad robaki, po czym zaczął je kolejno zdejmować.

-Nie wysilaj się-powiedziała cicho Mara. -Nic już nie można zrobić.

Przygryzł język, na końcu którego miał odruchową odpowiedź - był Jedi, a to znaczyło, że zawsze mógł coś zrobić. Lecz tym razem Mara miała rację - krzyk Budującego z Pnaczy od paru sekund rozlegał się tylko w jego umyśle, po czym tam również umilkł, ustępując miejsca ciszy śmierci. Luke powoli opuścił bezwładne ciało w rzekę owadów... - Uważaj na palce - odezwała się miękko Mara.

Z wysiłkiem spojrzał na nią, koncentrując wzrok na ich splecionych dłoniach - dopiero wówczas zauważył, że tak zacisnął swoje, aż pobielaly.

- Przepraszam - wymamrotał i rozluźnił uchwyt.

- Już w porządku. Nie sądziłam, że masz tyle krzepy - przyznała. - Myślałam, że wy, Jedi, koncentrujecie się bardziej na mentalnych aspektach Mocy niż na kondycji fizycznej.

Próbowała odwrócić jego uwagę od tego co się stało, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Jej sympatia i zrozumienie były czymś nowym, ale nie miały szans uspokoić poczucia winy i gniewu, które w nim wzbierały.

- Nic nie jest w porządku - warknął. - Wiedziałem, że to głupie i niebezpieczne, i mogłem go powstrzymać. Powinienem go powstrzymać!

- Jak? Rozpłaszczając na suficie przy użyciu Mocy? Bo wątpię, by inny sposób okazał się skuteczny. Poza tym, jakim prawem miałbyś coś takiego zrobić? - Jak to jakim prawem?! Ja kieruję tą wyprawą, byłem... jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników.

- Daj spokój, to nie jest szkolna wycieczka, a ty nie jesteś jej kierownikiem. - W jej tonie obok sympatii pojawiła się już ironia. - Budujący z Pnaczy był dorosłą istotą inteligentną, w pełni

odpowiedzialną za własne decyzje. Wiedział, co robi i czym ryzykuje. Zdecydował dobrowolnie i poniósł konsekwencje. Jeśli już musisz czuć się winny za swoje błędy, to zacznij od tych, które popełniłeś rzeczywiście z własnej winy. - Jak na przykład? - warknął niezachęcająco.

Przez długą chwilę przyglądała mu się z namysłem i Luke, mimo gniewu, wyczuł jej wahanie, ale w końcu zdecydowała się iść na całość.

- Jak na przykład nieprzeniesienie akademii Jedi w jakieś normalne miejsce, gdy okazało się, że czwarty księżyc Yavin jest dosłownie przesiąknięty Ciemną Stroną. Jak na przykład niewzięcie w karby rozwydrzonego gówniarza, jakim był Kyp Duron, w chwili, w której okazał pierwsze skłonności do wkroczenia na Ciemną Stronę albo uczciwe ukaranie go po masowych mordach. Jak na przykład niezapewnienie dzieciom własnej siostry odpowiedniej ochrony przed porwaniem, pomimo kilkakrotnych prób zrobienia im krzywdy. Jak na przykład bezpodstawne ogłoszenie się Mistrzem Jedi po mniej niż dziesięciu latach w zawodzie. Mam wymieniać dalej, czy ta lista wystarczy ci na początek?

Luke spojrział na nią nieżyczliwie, ale chyba raczej odruchowo niż z uczuciem, a po paru sekundach opuścił wzrok i westchnął.

- Masz rację - przyznał. - Masz absolutną rację... Nie wiem... to było... nie wiem. - Pozwól, że zgadnę: życie Jedi okazało się znacznie bardziej skomplikowane i niejasne niż się spodziewałeś. Od początku miałaś problemy ze zrozumieniem, co powinieneś zrobić i jak powinieneś się zachować. Uzyskiwałeś coraz większe możliwości posługiwania się Mocą, ale co jakiś czas, i to im byłeś potężniejszy tym częściej, paraliżował cię strach, że użyjesz jej w niewłaściwy sposób. Często był to strach podświadomy, ale był, i dlatego raz mogłeś chodzić wśród płomieni, a innym razem, po latach, nie potrafiłeś uzdrowić głupiego złamania. Mam rację?

- Tak - wykrztusił zaskoczony, przyglądając się jej w osłupieniu. - Dokładnie tak było.

- A w ciągu ostatnich paru miesięcy wiele spraw nagle się wyjaśniło. Nie stałeś się od razu jasnowidzący czy wszechmocny, ale w znacznej mierze pozbyłeś się wahania i obawy, o której mówiłam. I łatwiej ci przychodzi robienie tego, co uważasz za słuszne, a nie za konieczne.

- Znowu masz rację, choć nie do końca. W tym czasie miałem kilka wizji przyszłości, jak choćby tę na Tierfonie, po której skontaktowałem się z Talonem i dowiedziałem się o twoich kłopotach. Wiesz, co się ze mną dzieje lub działo?

- A owszem, bo to wręcz bije po oczach każdego, kto nie jest kompletnym kretynem. Dla mnie sprawa jest jasna od paru ładnych lat. Dla Leii i Corrana na pewno też, a prawdopodobnie i dla wszystkich twoich studentów. Możliwe, że dla większości niegłupich obywateli Nowej Republiki również - poinformowała go zgryźliwie. - Dziękuję - próbował mówić tym samym tonem, lecz nie bardzo mu to wyszło. - Rzeczywiście poprawiłaś mi samopoczucie.

- Dobrze się składa, bo miałam taki zamiar - odetchnęła głęboko i dodała z widocznym oporem. - Słuchaj, właściwie sam powinieneś wiedzieć najlepiej, ale skoro dotychczas to do ciebie nie

dotarło, uważam, że najwyższy czas, by ktoś cię uświadomił. Według mnie wszystko zaczęło się od twojej bezsensownej wycieczki na Byss, z dziewięć lat temu. Miałeś tam do czynienia z czymś zdecydowanie złym, cokolwiek to było. - Z odrodzonym Imperatorem.

- Załóżmy, chociaż nie jestem przekonana, że to prawda: za dużo mi się nie zgadza, ale nie o tym rozmawiamy. Mówimy o tym, że zdecydowałeś, według mnie głupio i arogancko, iż najskuteczniejszym sposobem, by go powstrzymać, jest udawanie, że się doń przyłączasz i poznanie technik Ciemnej Strony.

- Jednak nie przeszedłem na Ciemną Stronę! - zaprotestował, próbując przypomnieć sobie dokładniej ten okres, jakoś zawsze dziwnie słabo pamiętany. - Przynajmniej nie sądzę, abym to zrobił.

- Kwestia dyskusyjna, ale w tej chwili prawie bez znaczenia. Nie ulega natomiast kwestii, że dobrowolnie ją poznawałeś i stosowałeś. I od tego momentu zabarwia ona każdą twoją decyzję i każde postępowanie.

Luke'owi przypomniał się Yoda i jego ostrzeżenie: „Jeśli raz wejdiesz na ciemną drogę, na zawsze zdominuje ona twoje przeznaczenie...”. Niechętnie, lecz zmuszony był przyznać słuszność Mistrzowi Yodze, gdy przypomniał sobie własne błędy, niekonsekwencje, pomyłki i arogancję z ostatnich dziewięciu lat.

- O czym ja, do cholery, myślałem?! - mruknął ponuro.

- Nie myślałeś. - Pytanie było co prawda retoryczne, ale Mara odpowiedziała na nie, i to z dziwną mieszaniną zniecierpliwienia i współczucia, tak w głosie, jak i w emocjach. - Reagowałeś, próbując własnoręcznie wszystko zrobić i wszystkich uratować. I przy okazji prawie ci się udało zniszczyć samego siebie. - W takim razie co się zmieniło? Co się stało?!

- Chcesz mi powiedzieć, że naprawdę nie wiesz? - zmrużyła podejrzliwie oczy.

Luke skrzywił się z niesmakiem, zastanawiając się, dlaczego sam wcześniej niczego nie zauważył. Dotarło to do niego dopiero w pobliżu Iphigin, kiedy miał wizję śmiejących się Imperatora i Exar Kuna. Śmiejących się z niego...

- Wiem - przyznał cicho. - Podjąłem decyzję o ograniczeniu używania Mocy.

I niespodziewanie w uczuciach Mary wyczuł wszechobecną ulgę. - No, nareszcie zrozumiałeś - powiedziała cicho.

- Ale dlaczego?! Moc jest potężna i dostępna dla Jedi. Tylko dlatego, że miałem kontakt z Ciemną Stroną, normalne jej użycie jest dla mnie niebezpieczne? - Z pewnością jest to główny powód, ale podejrzewam, że kłopoty miałbyś nawet bez żadnych kontaktów z Ciemną Stroną Mocy. Tylko wydaje mi się, że mniejsze i później. Byłeś kiedyś w walcowni produkującej poszycia pancerne?



- Co... nie - przyznał, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- A w kopalni przy kruszarce rudy? Lando prawie zawsze ma jedną albo dwie, obojętne, czego by nie wydobywał i skąd.

- Widziałem taką z bliska na Varn - przyznał, spochmurniały nagle na dźwięk imienia Carlissiana.

Rosnące podniecenie, wywołane usłyszczanymi właśnie rewelacjami, zostało stłumione przez nie do końca sprecyzowane odczucia dotyczące stosunków Mary i Landa... - Czasami w górnych częściach wsporników zakładają gniazda ptaki. - Mara albo nie zauważyła zmiany w jego uczuciach, albo też ją zignorowała. - Słyszałeś, żeby któryś z nich choć raz zaćwierkał?

- Naturalnie, że nie - uśmiechnął się, rozumiejąc już, do czego Mara zmierza. - Jest tam zbyt głośno, by usłyszeć tak cichy dźwięk.

- Oczywiście, kiedy się to zrozumie, prawda? - uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Moc to nie tylko potęga i zdolność robienia rzeczy niemożliwych, jak uważają nie mogący z niej korzystać. Moc to także przewodnictwo, od delikatnych ostrzeżeń, które nazywamy zmysłem zagrożenia czy niebezpieczeństwa, aż po wizje przyszłości. Problem w tym, że im bardziej się ją wykorzystuje jako źródło siły, tym mniej jest się zdolnym do korzystania z niej jako ze źródła rad. Zamieszanie, które wywołuje się własnym postępowaniem, zagłusza jej właściwości doradcze.

- Tak... - przyznał, pojmując nagle wiele niewytłumaczalnych dotąd spraw, jak na przykład dlaczego był w stanie odbudować zamek Dartha Vadera, podczas gdy Yoda mieszkał w lepiance na bagnie.

Najwyraźniej Yoda znacznie lepiej rozumiał wybór, jaki niesie ze sobą znajomość Mocy. Teraz on sam o wiele lepiej rozumiał mistrza - przez stosunkowo krótki czas, w którym ograniczył użycie Mocy, miał okazję przekonać się, dlaczego Yoda wybrał tę właśnie drogę. Subtelne kierowanie, czasem w postaci podświadomych przeczuć, odbierał coraz częściej i, jak na razie, wszystko wskazywało na to, że dobrze na tym wychodził. Uniknął śmierci w bazie Cavrilhu, skorzystał z pomocy Dziecka Wiatrów, co doprowadziło do szybszego niż się spodziewał odnalezienia Mary i, czego się nie spodziewał, uzyskania pomocy Qom Jha.

- Kilka miesięcy temu udałem się na prośbę Hana na Iphigin, żeby mu pomóc w negocjacjach - powiedział z namysłem. - Jeden z Diamalan powiedział mi wtedy, że Jedi, który używa Mocy tak jak ja, zawsze kończy po Ciemnej Stronie.

- Mógł mieć rację - odparła po zastanowieniu. - Nie wszyscy Ciemni Jedi stali się nimi w wyniku złego szkolenia czy też jego braku albo własnych cech charakteru, choć tak zapewne działo się najczęściej. Niektórzy znaleźli się po Ciemnej Stronie przypadkiem lub na własne życzenie, dzięki nadużywaniu Mocy.

- Średnio przyjemna świadomość - przyznał, pamiętając swoje sukcesy i porażki w akademii Jedi. - Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że zacząłem uczyć innych, znajdując się pod wpływem

Ciemnej Strony.

- Też to zauważyłam i najprawdopodobniej to właśnie był główny powód, dla którego z pierwszą grupą studentów poszło ci tak, jak poszło. - I dlatego nie zostałam?

- Po części dlatego, po części z powodu zmian, jakie w tobie zaszły. Nie miałeś ochoty słuchać żadnych ostrzeżeń ani słów krytyki, dotyczących twojego postępowania czy metod nauczania. A były one, łagodnie rzecz ujmując, chaotyczne. Uznałam, że jak się to wszystko w końcu zawali, żadne z nas nie skorzysta, jeśli oberwę odłamkami. Poza tym Corran był na miejscu i robił co mógł. - Zbyt długo nie był... - Dowiedziałam się o tym trochę za późno...

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć wszechobecnego chrzęstu czarnego chodnika, rozciągającego się nadal jak okien sięgnąć. Retrospekcja nie była miła, ale niewątpliwie potrzebna, a w dodatku Luke'owi przyszło do głowy coś, o czym dotąd nie pomyślał. - A co z tobą? - spytał, przyglądając się Marze uważnie. - Byłaś Ręką Imperatora, dlaczego twoje życie nie zostało zdominowane przez Ciemną Stronę?

- Może zostało - wzruszyła niepewnie ramionami. - Przynajmniej na parę lat, dopóki nie pozbyłam się ostatniego rozkazu, który wbił mi w umysł Palpatine. Choć z drugiej strony, nigdy nie próbował zrobić ze mnie adeptyki Ciemnej Strony. Przynajmniej nie w ten sposób czy do tego stopnia, jak zrobił to z Vaderem i próbował z tobą. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek znalazła się po Ciemnej Stronie.

- Przecież pracowałaś dla Imperatora i wykonywałaś jego rozkazy. Skoro on był po Ciemnej Stronie, a był bez wątpienia, to czy nie powinnaś też się tam znaleźć? - Nie wiem, czy powinnam, wiem że się nie znalazłam. - Nagle zdała sobie sprawę, o czym rozmawiają i Luke wyczuł, jak odruchowo osłania przed nim swoje myśli i uczucia. - Ty jesteś Mistrzem Jedi, więc znajdź rozwiązanie tej ciekawostki. - Znajdę- obiecał, zaskoczony obecnością w jej umyśle barier psychicznych.

Ale po chwili delikatnego sondowania stwierdził, że nie są tak silne jak poprzednio.

- A w międzyczasie zajmijmy się chwilą bieżącą- odezwała się, zmieniając temat. - Czy ten sposób utrzymywania ciągłej kontroli, którego nauczyłeś mnie parę dni temu, działa także na mięśnie?

Luke skupił uwagę na jej ramionach i dostrzegł, że drżą z wyczerpania.

- Działa, ale znam lepszy sposób. Czekał, zaraz ci pokażę...

Upłynęła dobra godzina, zanim migracja ogniaków dobiegła końca i nawet spóźnialskie insekty zniknęły w tunelu. Na podłodze pozostał jedynie Artoo i metalowe lub inne ciężkostrawne elementy plecaków oraz ich zawartości. Plecaki i reszta zniknęły. Pozostały też ogryzione do czysta kości

Budującego z Pnączy...

Mara spojrzała na nie i odwróciła wzrok - Qom Jha był sam sobie winien i zginął na własną prośbę, ale to, podobnie jak świadomość, że w ten sposób utrzymywana jest naturalna równowaga, nie znaczyło, że miała ochotę oglądać jego śmierć lub kontemplować szczątki. Ponieważ zeskoczyli na posadzkę dopiero gdy chrzęst ucichł w oddali, zajęła się tym, co zostało z plecaków.

- Dobrze, że żelazne racje były rzeczywiście w metalowych pudełkach ucieszyła się, masując intensywnie dłonie. - Niestety, manierki nie okazały się pancerne. - W okolicy nie brakuje wody. - Luke podszedł do otworu i przyglądał się Dziecku Wiatrów. - A dodatkowe zapasy nie będą nas niepotrzebnie obciążać. Niebezpieczeństwo minęło, możesz sfrunąć na dół.

Ostatnie zdanie adresowane było do Qom Qae, który nawet nie drgnął, tylko coś cicho ćwierknął.

- Rozumiem - odpowiedział łagodnie Luke. - Ale musisz zejść na dół. Nie chcemy zrobić ci krzywdy, a będziesz nam przeszkadzał w cięciu skały.

Przez moment Mara obawiała się, że ta argumentacja nie wystarczy i młody Qom Qae zdecyduje się pozostać na górze i ryzykować bezpośrednie spotkanie z ostrzem miecza świetlnego, ale w końcu z wyraźną niechęcią rozłożył skrzydła i sfrunął na dół, siadając niepewnie na kopule Artoo.

- I co teraz? - spytała, podchodząc do Luke'a. - Kontynuujemy prace rozbiórkowe? - Ściana sama nie ustąpi - wzruszył ramionami zapytany. - Chyba, że uważasz, iż powinniśmy zaryzykować granaty.

Mara rozejrzała się: nie zauważyła niczego podejrzanego, ale ostatnie przejścia z lekka wyczerpały ją nerwowo.

- Proponuję na razie pozostać przy mieczach - powiedziała po chwili. - Jeśli posiłki przylecą, zanim skończymy, zastanowimy się, co dalej.

- Dobra. - Luke z mieczem w dłoni zajął pozycję z jednej strony. - Artoo, uważaj na niespodzianki.

Artoo ćwierknął potwierdzająco i wysunął antenę, omal nie strącając przy okazji Dziecka Wiatrów.

- No to do dzieła - mruknęła, stając po drugiej stronie i uaktywniając miecz.

Ostrze Luke'a zakreśliło krótki łuk, wgrzyło się w skałę i zgasło. Jej za moment zachowało się tak samo... I wtedy zrozumiała, że już jest po wszystkim; rozmowa, której bała się od chwili ujrzenia Luke'a w jaskini, ponieważ wiedziała, że musi się odbyć, odbyła się. I choć Luke nie był zachwycony wnioskami ani świadomością, jak spieprzył sobie i innym ostatnich parę lat, przyjął nowiny znacznie lepiej niż się spodziewała. Pytanie tylko, co robi z tą nowo uzyskaną wiedzą. Mógł ją zaakceptować i zmienić swoje postępowanie, a mógł świadomie poddać się szybkim rozwiązaniom i urokowi władzy. Jeśli pójdzie tą łatwiejszą drogą, skończy po Ciemnej Stronie. Na pewno i na stałe.

Ponieważ już nic więcej nie mogła zrobić, postanowiła czekać i obserwować.

# R O Z D Z I A Ł 1 6

Han odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Lando wszedł na mostek „Ślicznotki” i oznajmił zdecydowanie nerwowym głosem:

- Wszystko przełączone na czuwanie, tak jak chciałeś: silniki, sensory, komputer... wszystko. - Przeszedł przez pomieszczenie i ciężko opadł na fotel pilota. - I chciałbym dodać oficjalnie, że mi się to ani trochę nie podoba - obwieścił.

- Ja też nie jestem szczęśliwy, gdybyś przypadkiem nie wiedział - przyznał Han. - Ale to jedyny sposób.

- Jak twierdzi niedorobiony klon Fela imperialnej produkcji -parsknął pogardliwie Lando. - Wiesz, robiłem w życiu rozmaite zwariowane rzeczy, ale teraz biję chyba rekordy głupoty.

Han skrzywił się, bez słowa wpatrując się w gwiazdy. Nie przeczył, bo nie miałoby to sensu - rzeczywiście robili coś zwariowanego. Gdzieś o mikroskop nadprzeźrzenny od nich znajdowała się stacja imperialnego wywiadu z pełną załogą polami ochronnymi, artylerią i resztą nieprzyjemności. A oni najprawdopodobniej siedzieli wewnątrz perymetru obronnego niczym nażarty gornt, i do tego z wyłączonymi lub przełączonymi na czekanie systemami, żeby jak najmniej zwracać na siebie uwagę ewentualnych auto-czujników, jakie mogły kręcić się po okolicy. I czekali na powrót imperialnego klona, który miał przywieźć koordynaty Bastionu -stolicy tego, co pozostało z Imperium.

- Leia mówiła, że on jest w porządku - przerwał milczenie Han.

- Powiedziała, że jest uczciwy i nie planuje zdrady - poprawił go ponuro Lando. - Nie twierdziła, że jest na tyle dobrym łgarzem, żeby przekonać podejrzliwego z natury i w wyniku szkolenia agenta imperialnego wywiadu. - Nie lubisz klonów, co?

- Nie lubię - odparł zwięźle Lando. - Palpatine miał fioła i twierdził, że istoty niehumanoidalne są podludźmi, ale tak naprawdę, najgorsze i najniższe ze wszystkich są klony.

Znów przez dobrą minutę panowała cisza. Han starał się nie dopuścić, żeby udzieliło mu się podenerwowanie towarzysza, a Lando gapił się w gwiazdy. W końcu Leia zgodziła się na wyprawę, a była Jedi - gdyby wyczuła, że przytrafi się im coś złego, powiedziałyby. No bo coś takiego chyba by wyczuła?!...

- Opowiedz mi o Soontirze Felu - zażyczył sobie nagle Lando. - Jaki on był?

- A jaki miał być? - Han wzruszył ramionami. - Typowy Korelianin ze wsi. Do Akademii dostał się w ramach łapówki, żeby nie zeznawał przeciwko synowi jakiegoś wysokiego urzędnika kombinatu rolnego. Przebywaliśmy razem na Caridzie, chociaż nie przyjaźniliśmy się. Był honorowy i uparty, tyle pamiętam. No i był doskonałym pilotem. - Tak dobrym jak ty?

- Lepszym - przyznał Han ku kompletnemu zaskoczeniu Carlissiana. - Przynajmniej jeśli chodzi o myśliwce. Był najlepszym pilotem myśliwskim Imperium. - Wiadomo zatem, dlaczego go sklonowali, tylko nadal nie rozumiem, jak. Z tego co pamiętam, to w pewnym momencie zostawił Imperium i dołączył do Eskadry Łotrów, w której latał przez jakiś czas, zanim został złapany przez Imperium. Nie rozumiem, dlaczego zdecydowali się klonować kogoś, kto już raz ich zdradził.

- Leia spytała o to samo Cariba. Powiedział, że nie wie, bo nie uwzględniano tego w informacjach, które dostał podczas klonowania.

- Musieli go trzymać ze trzy czy cztery lata, nim Thrawn uruchomił cylindry klonujące... - ocenił Lando. - Dziwne.

- Nie musieli trzymać całego: Cbath sklonował Luke'a, mając tylko jego dłoń - zauważył Han.

- Ale klon Luke'a nie otrzymał jego wspomnień ani wiedzy, a dłoń była prywatną pamiątką Imperatora, pamiętasz? Po co ktoś miałby przez lata przechowywać kawałki Fela? Przecież nikt w Imperium nie wiedział o cylindrach i linii klonującej, schowanych przez Palpatine'a. Dopiero Thrawn zdołał je odszukać, bo słyszał o ich istnieniu. - Racja. W takim razie musieli go gdzieś trzymać żywego. - Gdzie i dlaczego?

- Nie wiem - przyznał Han. - Nie znaleźliśmy żadnych informacji o nim w żadnym archiwum ani więzieniu imperialnym czy kolonii karnej, jakie zostały wyzwolone. Gość był sławny, zanim dołączył do eskadry Łotrów, a oni dbają o swoich. Fakt, że nawet wariaci Wedge'a niczego się nie dowiedzieli, wydaje się co najmniej zastanawiający... A jest jeszcze coś dziwnego, o czym możesz nie wiedzieć: miesiąc czy dwa po ujęciu go przez Imperium zniknęła jego żona.

- Wedge coś o tym wspominał, ale sądziłem, że została porwana przez imperialny wywiad.

- Z początku wszyscy tak myśleli. Natomiast kiedy sprawdzono dowody, świadków i okoliczności, sprawa zaczęła się gmatwać i w sumie nie wiadomo, co się rzeczywiście wydarzyło. Pewne jest jedynie to, że nigdy także nie znaleziono żadnych informacji na jej temat, a znasz Wedge'a: robił co mógł, bo przecież chodziło o jego siostrę. Lando potrząsnął głową.

- Jeśli chciałeś podnieść mnie na duchu, chyba średnio ci wyszło - ocenił. - Jedyne sposob, w jaki Isard mogła przeciągnąć Fela z powrotem na stronę Imperium, to pranie mózgu. Wyobrażasz sobie, co ma w głowie klon z wiedzą i osobowością takiego Fela?!

- Mogę sobie wyobrazić, choć nie jestem pewien tego prania mózgu - westchnął Han. - Wiem tylko, że Leia uważa, iż on jest w porządku.

- No - mruknął bez przekonania Lando. - Pewnie. Ponownie zapadła cisza, którą tym razem przerwał Han: - Co robią Lobot i Moegid?
- Zanim nie wyłączyliśmy komputera, ćwiczyli - burknął Lando. - Teraz pewnie sprawdzają sprzęt. - Powiedziałeś im, gdzie lecimy?
- Powiedziałem, że do Imperium. Nie mówiłem dokładnie gdzie ani dokładnie po co.
- Może lepiej im powiedz - zasugerował Han. - Na wypadek gdyby Moegid musiał przypomnieć sobie coś o imperialnych kodach czy systemach komputerowych. - Wątpię, żeby Verpine musiał sobie cokolwiek przypominać - stwierdził Lando, ale wstał z fotela. - Zresztą, dlaczego nie? Możemy pomartwić się wszyscy, zawsze to lepsze od bezczynnego czekania aż nam przyłupią.
- Nie przyłupią - rzucił za nim Han. - Zaufaj mi: to się uda.

Jedyną odpowiedzią był dźwięk zamykanych drzwi. Han westchnął i zajął się oglądaniem gwiazd w oczekiwaniu na powrót frachtowca Cariba. Próbując się nie martwić.

Agent imperialnego wywiadu siedział za konsolą i przyglądał się gościowi spod zmarszczonych krzaczastych brwi.

- No dobra - odezwał się głosem przypominającym Caribowi odgłos tysięcy skrzydeł praszerów pocierających o liście tallgrainu, gdy robactwo obsiadło uprawy. - Tożsamość się zgadza: jesteś tym, za kogo się podajesz.
- Miło słyszeć. Czy to znaczy, że jesteś w końcu gotów mnie wysłuchać?

Agent rozparł się wygodniej w fotelu, nadal przyglądając mu się ponuro.

- Jasne - warknął. - O ile ty jesteś gotów wysłuchać listy zarzutów, jeśli ta wiadomość nie okaże się tak ważna, jak ci się wydaje. Do cholery, Devist, wiesz, że nie miałeś się tu nigdy zjawiać osobiście. Wszyscy powinniście to wiedzieć. A wszystkie meldunki powinny iść specjalnymi kanałami. Wszystkie!

Carib nadal stał na baczność, czekając cierpliwie, aż tamten się wygada. Słuchanie go nie miało sensu, bo taki słowotok stanowił jedną z klasycznych technik zbijania z tropu i wywoływania niepewności, a ten, kto czuł się niepewnie, częściej popełniał błędy. Ta wiedza zaskoczyła go, gdyż nie pochodziła z jego doświadczeń, barona Soontira Fela, sztucznie przeniesionych wraz z umiejętnościami pilotażu i częścią wspomnień oryginału. Były to cudze wspomnienia, i to kogoś obcego, kto równocześnie w pewien sposób stał się nim.

Świadomość była bolesna i przytłaczająca - zacierała poczucie tożsamości, którego stworzenie

kosztowało go wiele bezsennych nocy na Pakrik Minor, zanim nie podjął decyzji, by pogrzebać prawdę tak głęboko, jak tylko potrafi. Udało mu się to nawet dość skutecznie - do czasu nadejścia od dawna oczekiwanego rozkazu reaktywowania grupy, który odebrali dwa tygodnie temu... fakt, wydawało mu się, że znacznie dłużej borykał się z niepewnością i pytaniami, które znów nie dawały mu spokoju. Bo przecież był klonem... klonem...

Zmusił się do opanowania. Nazywał się Carib Devist. Był mężem Lacy, ojcem Daberina i Keena, farmerem z doliny Dorchess na Pakrik Minor. To, kim był wcześniej i skąd pochodził, nie miało znaczenia. Wziął ostrożny oddech i wątpliwości ponownie wróciły do kryjówki, w którą je wtoczył. Carib Devist, mimo tego co ktoś mógł mówić czy uważać, rzeczywiście był jednostką unikalną.

Agentowi zaczynało brakować tchu, a Carib z lekkim rozbawieniem stwierdził, że wypróbowana technika przesłuchań tym razem odniosła skutek odwrotny od zamierzonego - zamiast rozbudzić w nim wątpliwości, dała czas na zebranie myśli i uspokojenie się przed bitwą słowną stanowiącą następny etap.

- No to posłuchajmy, co tak niezwykle ważnego masz do powiedzenia - warknął z lekka zasapany agent.

- Atak jednostek imperialnych na senator Leię Organę Solo w pobliżu Pakrik Minor, który miał miejsce pięć dni temu, nie powiódł się...

- Serdeczne dzięki za oświecenie, ale to wiemy od dawna -przerwał mu agent. - Chcesz mi powiedzieć, że dlatego złamałeś...

- Powodem niepowodzenia ataku - Carib zignorował jego słowa-było...

- Teraz ja mówię, Devist! Złamałeś zasady bezpieczeństwa dla historii, którą można obejrzeć w holowiadomościach Nowej Republiki... - ..że frachtowiec rodziny Solo uzyskał...

- Zamknij się! Każę cię żywcem...

- ..pomoc niezidentyfikowanego okrętu obcej konstrukcji -dokończył Carib.

- ...ze skóry... Co to znaczy niezidentyfikowanego okrętu obcej konstrukcji?!

- To znaczy, że jednostka miała całkowicie nieznaną budowę, choć przypominała niektóre rozwiązania wykorzystane przy rodzinie TIE, i na pewno nie była imperialnej produkcji, a na dodatek nie zdołaliśmy jej zidentyfikować, mimo posiadania rozległej bazy danych na temat statków i okrętów, w jaką zaopatrzono nas przed rozpoczęciem zadania.

Przez długą chwilę agent przyglądał mu się w milczeniu.

- Nie sądzę, żebyś miał jakieś nagranie tej bitwy? - spytał w końcu wyzywająco. - Bitwy nie, ale



samej jednostki owszem - Carib wyjął z kieszeni datakartę i podał ją tamtemu, prawie wstrzymując oddech: Solo zmontował nagranie z dwóch autentycznych, które miał na pokładzie „Sokoła Millenium”, ale czy zrobił to na tyle dobrze, by nie wzbudzić podejrzeń, nikt z nich nie wiedział...

Prawdę mówiąc, Cariba nie interesowało, choć powinno, skąd pochodziły oryginalne nagrania i co przedstawiały. Wojna, intrygi i losy galaktyki dawno przestały go interesować. Jedyne, czego chciał tak naprawdę i czego chcieli jego bracia, to żeby wszyscy dali im spokój i by mogli wychowywać dzieci, uprawiać ziemię i prowadzić nieciekawą, zwykłą egzystencję. Teraz zaś najbardziej interesowało go, czy Solo wykonał swoje zadanie dość dobrze, by agent uwierzył w to, co oglądał. Obiekt jego zainteresowania gwizdnął z wrażenia.

- O zesz ty... te odczyty energetyczne są właściwe? - spytał z niedowierzaniem.

- Sprawdziliśmy sensory po wylądowaniu, były właściwie skalibrowane. I co, miałem rację, łamiąc zasady bezpieczeństwa?

Agent uniósł głowę, ale dało się zauważyć, że na dobrą sprawę nie widzi już Cariba, tylko swoją świetlaną przyszłość.

- Powiedziałbym, że tak... - mruknął i z nagłym zapalem rzucił się do klawiatury. - Jasne, że tak. Tylko uważaj, jak będziesz wracał do domu. Możesz odejść. I to było wszystko - żadnego dziękuję czy dobra robota, czy pocałuj mnie w nos. Tylko mały, do niczego się nie nadający agencik wywiadu na jednej z najgorszych placówek, który ujrzał oczami wyobraźni awans. I doskonale się złożyło, bo oznaczało to koniec zadania, resztą zajmie się Solo. A on, Carib, będzie mógł wrócić do domu i już na stałe pogрузić się w miłej anonimowości. Chyba, żeby...

Prawie stanął na środku korytarza, gdy uświadomił sobie nowe źródło zagrożenia - owszem, agent połknął przynętę bez cienia wątpliwości, ale to bynajmniej nie oznaczało, że analitycy na V Bastionie postąpią podobnie. Nagranie wydawało się na tyle rewelacyjne, że rozłożą je na czynniki pierwsze, a wtedy mogą zauważyć, że zostało zmontowane. Istniała też gorsza możliwość -jeśli wielki admirał Thrawn faktycznie żył, mógł natychmiast odkryć oszustwo. A gdyby Solo przebywał w tym czasie w przestrzeni należącej do Imperium...

Potrząsnął głową - dość, zrobił co chcieli i teraz już nic od niego nie zależało. Ryzykował życiem i wykonał swoje zadanie. Koniec. Przyspieszył kroku, kierując się ku śluzie, do której zacumował frachtowiec. Im szybciej się stąd oddali, tym lepiej.

- Solo? - odezwał się nagle głośnik.

Han opuścił nogi trzymane na tablicy kontrolnej i włączył nadawanie. - Jestem, Carib. Masz?

- Wysłał autokapsułę meldunkową wzdłuż wektora czterdzieści trzy na siedemnaście.

Drzwi za plecami Hana otworzyły się i do sterowni wpadł Lando. - To Devist?

- Tak - Han wybrał kombinację na klawiaturze komputera nawigacyjnego. - Jesteś pewien, że wysłał ją na Bastion?

- Jestem pewien, że wysłał ją według właśnie tych namiarów -odparł Carib. - Przesyłam ci kopię nagrania.

- Pytałem, czy są to koordynaty na Bastion - sprecyzował Han, gdy moduł łączności potwierdził przyjęcie nagrania.

- Skąd mam wiedzieć?! Nie mówił mi, co zamierza zrobić. Ale biorąc pod uwagę świetlaną wizję awansu, jaką miał przed oczami od momentu obejrzenia nagrania, wątpię, by wysłał ją gdziekolwiek indziej.

- A Yaga Minor? - spytał Lando. - To główna baza imperialnego wywiadu i chyba tam powinien przekazać taką rewelację.

- Powinien - zgodził się Carib. - Z drugiej strony, naprawdę ważne informacje wywiadowcze powinny jak najszybciej dotrzeć do najwyższego dowództwa, a obcą jednostkę nieznannej konstrukcji można chyba do nich zaliczyć. - Też mamy taką nadzieję - mruknął Lando.

- Poza tym jeszcze jedno przemawia za Bastionem - dodał Carib. - Na taką placówkę jak ta wysłała się jedynie spisanych na straty przez przełożonych. Albo niedojdy, albo tych, którzy się narazili, a ich jedyną możliwością wydostania się stamtąd jest wywarcie dobrego wrażenia nie na bezpośrednim dowódcy, tylko na kimś ważniejszym. A więc kimś z Bastionu.

- Brzmi logicznie - przyznał Han, spoglądając pytająco na

Landa.

- Brzmi - mruknął Lando, przyglądając się podejrzliwie frachtowcowi, czekającemu nieruchomo w pobliżu. - A więc baron Fel miał okazję poznać nie tylko blaski służby w Siłach Zbrojnych Imperium?

Han skrzywił się - niezależnie od opinii Landa o klonach, bezsensem było drażnić w ten sposób Cariba, który, mimo wszystko, ryzykował, żeby im pomóc. Tym bardziej że siedzieli na granicy przestrzeni Imperium, o splunięcie od imperialnej bazy. -Carib...

- W porządku, Solo - głos Cariba był sztucznie obojętny. - Może teraz przyznasz, że miałem rację w czasie naszej pierwszej rozmowy na Pakrik Minor.

Han skrzywił się ponownie - chodziło o uprzedzenia, które po tylu latach nadal żywiono wobec klonów i w Nowej Republice, i w innych rejonach galaktyki. - Przyznaję i przepraszam -

powiedział.

- W porządku - powtórzył Carib. - Zrobiłem co miałem, więc wracam do domu. Powodzenia.

Frachtowiec drgnął, szerokim łukiem oddalił się od „Ślicznotki” i zniknął, skacząc w nadprzestrzeń. - Faktycznie mu się spieszy - warknął Lando.

- Wraca do domu - przypomniał mu Han, koncentrując się na komputerze nawigacyjnym: kurs czterdzieści trzy na siedemnaście ze stacji o tych koordynatach powinien prowadzić do...

- Wygląda na system Sartina - ocenił Lando, zaglądając mu przez ramię. - Wygląda.

- Zabawne miejsce na stolicę Imperium - dodał nieco podejrzliwie Lando.

- Nie wiem... - Han sprawdził informacje na temat historii systemu w komputerze pokładowym. - Tu była stolica sektora, więc administrację mieli gotową.

- Może i racja... ale w porównaniu z Coruscant to już nawet nie jest zadupie. To gorzej.

- Przestań się roztkliwiać nad biednym Imperium. Poza tym wszystko jest gorsze od Coruscant, a my tracimy czas.

Lando zapadł w fotel pierwszego pilota i smętnie potrząsnął głową.

- Jasne, nie ma to jak spieszyć się w sam środek Imperium - sarknął. - Pewnie, po co zwlekać?!

- Posłuchaj, Lando...

- Nie wysilaj się - przerwał mu Carlissian nadspodziewanie poważnie. - Powiedziałem ci, że możesz na mnie liczyć i zrobię, co powiedziałem. Po prostu wolałbym, żeby do tego nie doszło. Ponieważ zaś pobożne życzenia nigdy nikomu nic nie dały, może zawiadom Lobota i Moegida: niech się przypną.

-Dobra -Han jedną ręką sięgnął po pasy, a drugą do przełącznika interkomu. - Nie łam się: wszystko się uda. - No - mruknął Lando. - Pewnie.

- Nie! - warknął gniewnie Ghic Dx'ono, waląc pięścią o zrogowaciałej miejscami skórze w stół dla dodania wagi swemu oświadczeniu. - To absolutnie nie wchodzi w grę: nie zaakceptujemy niczego oprócz należnej sprawiedliwości tak dla mieszkańców Caamas, jak i obywateli Nowej Republiki.

- Wszyscy pragniemy sprawiedliwości - odparł spokojnie Porolo Miatamia. - Ale. - Kłamiesz! - wrzasnął senator z rasy Ishori, kładąc uszy po sobie. - Diamalanie żądają niemożliwego i odmawiają

zadowolenia się czymkolwiek innym!

- Panowie senatorowie! - prezydent Pone Gawisom rozpostarł na moment skrzydła, jakby chciał zapobiec fizycznej konfrontacji. - Nie proszę byście tu i teraz znaleźli rozwiązanie problemu Caamas. Proszę jedynie...

- Wiem, o co wam chodzi! Historia uczy, że sprawiedliwość odwleczona to często sprawiedliwość zignorowana. - Dx'ono wskazał oskarżycielsko Miatamię. - A do tego właśnie dążą Diamalanie.

- Naszym zadaniem jest dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość - odparł chłodno Miatamia. - W przeciwieństwie do Ishori rozumiemy jednak, że są ważniejsze sprawy i tym powinniśmy najpierw poświęcić uwagę.

- Thrawn nie żyje! - ryknął Dx'ono, zrywając się na równe nogi. - Jest martwy od dziesięciu lat! Wszystkie imperialne archiwa są co do tego zgodne!

- Widziałem go jak najbardziej żywego. I słyszałem, co...

- Kłamstwo! Wszystko łgarstwo, wymyślone, żeby uniemożliwić wymierzenie sprawiedliwej kary!

- Idioci! - ocenił zwięźle i treściwie Booster Terrik, siedzący w niewielkim pomieszczeniu obok i obserwujący rozmowę przez jednostronnie przezroczystą ścianę. - Obaj!

- Obaj mają najprawdopodobniej uczciwe intencje - zauważyła siedząca koło niego Mirax Terrik Horn. - Każdy naturalnie ze swego punktu widzenia, tato. - A wszyscy przecież wiemy, dokąd prowadzi droga brukowana takimi intencjami - podsumował ponuro Booster, spoglądając ku drzwiom. - Gdzie się włóczy ten Bel Iblis?! Ja mam kupę roboty...

- Na najbliższe trzy tygodnie nie masz żadnej roboty - przerwała mu Mirax. - „Błędnego Rycerza” czekają teraz przegląd i naprawy, do czego jesteś zupełnie zbędnym dodatkiem na pokładzie.

Booster spojrział na nią gniewnie, co dało taki sam efekt jak zawsze, czyli żaden.

- Myślałem, że córki powinny być dla ojców źródłem dumy i radości - sarknął. - Zwłaszcza na starość.

- Jak będziesz stary, zobaczę, co się da zrobić - obiecała mu z promiennym uśmiechem, który zniknął, gdy ponownie spojrziała przez ścianę. - To wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli. Słyszałeś, że setka systemów poprosiła już o ponowne przyjęcie do Imperium?

- Moje źródła mówią o dwudziestu. Reszta to plotki.

- Obojętne ile, ale samo zjawisko jest zatrważające - w głosie Mirax słychać było troskę. - Jeśli Thrawn żyje, całe to zamieszanie dotyczące Caamas może wielu przekonać, że chcą lub

potrzebującego ochrony. I może się skończyć, że Imperium odzyska utracone terytoria bez jednego strzału.

- Wątpię, żeby w galaktyce znalazło się aż tylu durni - burknął Booster, ale bez dotychczasowego przekonania. - A na dodatek i tak nic nie możemy na to poradzić. Drzwi, które przestał obserwować, rozsunęły się i do pokoju wszedł generał Garm Bel Iblis.

- Witam, kapitanie Terrik - odezwał się, wyciągając rękę na powitanie. - Dziękuję za przybycie i mam nadzieję, że rozrywka była nie najgorsza?

- Jeśli chodzi o ten cyrk za ścianą, widziałem już lepsze. - Terrik niechętnie uściśnął jego dłoń: w obecności przedstawicieli władz nigdy nie czuł się zbyt dobrze. - A mówiąc o cyrkach, od tego nonsensu w systemie Sifkric minęły już trzy tygodnie, a wasi cholerni biurokraci jeszcze nie zwolnili „Żartu Hoopstera”.

- Nie wiedziałem - przyznał Bel Iblis, wyłączając głośnik przekazujący kłótnię z sąsiedniego pomieszczenia. - Każę go zwolnić natychmiast jak tylko skończymy. - Słowo „skończymy” implikuje jakiś początek. - Booster przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Rzeczywiście - zgodził się Bel Iblis i usiadł naprzeciwko nich. - Nie zaprosiłem was na prywatny pokaz zdolności mediatorskich Gawisoma. Aha, nie sądzę, bym musiał przypominać, że wszystko, co usłyszeliście lub usłyszycie, należy uznać za ściśle tajne.

- Naprawdę? - Booster przyjrzał się z namysłem córce. Podsumujmy: Ishori wrzeszczą przy rozmowach jak zawsze dotąd i chcą po metrze kwadratowym filtra z grzbietu każdego osobnika należącego do rasy Bothan, żeby zrobić prezent żyjącym Caamas. Diamalanie też chcą po metrze futra, ale tylko z grzbietów tych, którzy pomogli zniszczyć Caamas. Mogą ich przedtem ekshumować, jeżeli to będzie konieczne i jeśli tylko ktoś ich zidentyfikuje. Mirax, jak uważasz, komu najpierw sprzedamy te rewelacje? Mirax westchnęła cierpiętniczo i spytała Bel Iblisa. - Rozumiemy. O co konkretnie chodzi?

- Pokazałem wam kawałek tej prywatnej pogawędki, bo sądziłem, że skutecznie pomoże wam zrozumieć, jak wygląda nasza obecna sytuacja. - Bel Iblis wskazał ruchem głowy niemą wymianę argumentów za plecami. - Koncentracja okrętów wokół Bothawui powtarza się w innych miejscach Nowej Republiki, tylko tam zbierają się zwolennicy albo Diamalan, albo Ishori, utożsamianych z dwoma podejściami do problemu. Jedyнным sposobem zażegnania zbliżającej się wojny domowej jest odkrycie, którzy Bothanie uszkodzili generatory planetarnego pola siłowego Caamas. - Jako artysta jesteś nie lepszy niż ci za ścianą - przerwał mu Booster. - Przejdź do rzeczy. Bel Iblis spojrzał mu prosto w oczy i oznajmił: - Chcę pożyczyć „Błędnego Rycerza”.

Booster był tak zaskoczony, że nawet się nie roześmiał.

- Głupie żarty! - prychnął, odzyskując głos. - Mowy nie ma!

- Dlaczego chcesz go pożyczyć? - spytała spokojnie Mirax.

Sądzymy, że kompletna wersja dokumentacji dotyczącej Caamas znajduje się na Yaga Minor, w bazie imperialnego wywiadu.

Bel Iblis przeniósł wzrok na Mirax. - Gawisom zdecydował się na atak, żeby je zdobyć.

- Atak na bazę imperialnego wywiadu w celu zdobycia informacji?! - zdziwił się Booster. - Co za pechowa ofiara dostała to zadanie? - Ja - odparł spokojnie Bel Iblis.

Przez moment w pomieszczeniu panowała idealna cisza. Booster przyglądał się Bel Iblisowi, żałując, że ten wyłączył głośnik - sądząc po pantomimie za szybą, lada chwila mogło tam dojść do bójki. Z drugiej strony już sam widok skutecznie go rozpraszał, co Bel Iblis prawdopodobnie wziął pod uwagę.

- Rozumiem - odezwał się w końcu Booster. - Potrzebujecie niszczyciela, żeby prześliznąć się przez zewnętrzny pierścień obronny bazy, udając okręt imperialny. Niegłupie, tylko czegoś nie rozumiem: z tego co wiem, Nowa Republika nadal ma sporo zdobywczych okrętów tak klasy Imperial, jak i Victory. Dlaczego nie chcecie użyć któregoś z nich?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze imperialny wywiad wie o wszystkich i nie udałoby się zamaskować emisji ich silników, a zmiana napędu trwałaby zbyt długo. Większość przeszła rozmaite modyfikacje, które teraz trzeba by usunąć, co w wielu przypadkach jest niemożliwe. Bez tego zaś zostaną natychmiast zidentyfikowane. To aspekt techniczny, a jeśli chodzi o militarny, nie możemy żadnego odwołać z patrolu, bo wszyscy w sektorze to zauważą. Nie muszę tłumaczyć, że jeśli Imperium zacznie choćby podejrzewać, co planujemy, to rajd, sam z siebie ryzykowny, nie ma cienia szans na sukces. Booster skrzyżował ręce na piersiach.

- Przykro mi, rozumiem wasze problemy i współczuję, ale głupi nie jestem. Zbyt wiele kosztowało mnie zdobycie tej jednostki, żeby ryzykować jej utratę w jakimś wariackim przedsięwzięciu, które mnie na dodatek nic a nic nie obchodzi - oznajmił. - To nie mój interes.

- Jesteś pewien, że nie twój? - Bel Iblis przekrzywił lekko głowę.

- A widać tu gdzieś emblemat Sił Zbrojnych Nowej Republiki? - Booster rozkrzyżował ręce na tyle, by stuknąć się palcem w pierś.

- A zauważyłeś, że Miatamia to Diamalanin? - spytał uprzejmie Bel Iblis. - Bo widzisz, oni wraz z Kalamarianami bronią Bothan, a wiesz jak Kalamarianie kochają przemysłników. Jeśli zacznie się walka, to jednym z ich pierwszych posunięć będzie likwidacja wszystkich organizacji przemysłniczych, jakie tylko zdołają dopaść, choćby po to, by przeciwnicy nie użyli ich w roli korsarzy. Jak ci się wydaje: jako jedyny w galaktyce prywatny właściciel niszczyciela klasy Imperial i do tego przemysłnik o znanej sławie, na którym miejscu ich listy się znajdziesz? - Na pierwszym? - skrzywił się Booster boleśnie.

- Na pewno w pierwszej dziesiątce. Przyznasz więc, że udzielenie mi pomocy leży w twoim własnym interesie.

Booster musiał to przyznać. Nie wspominając o niemych wyrzucie w oczach Mirax, co w połączeniu z nieprzemyślaną uwagą sprzed paru minut, że nic nie mogą zrobić, stawiało go w głupiej sytuacji. Dodatkowo przyszło mu do głowy, a najwyraźniej nie dotarło jeszcze do Mirax, że skoro atakiem będzie dowodził Bel Iblis, to Corran wraz z resztą Eskadry Łotrów niewątpliwie też wezmą w nim udział. Choć z drugiej strony: zięć zięciem, a ukochany „Błędny Rycerz” to... no, „Błędny Rycerz”. Wprawdzie sypał się już na potęgę i ponad połowa systemów albo nie działała w ogóle, albo działała kiedy chciała, ale to był jego statek. Tylko jego...

Nagle coś mu zaświtało. Była to tak nowa i rewelacyjna myśl, że siadł prosto i przyjrzał się z namysłem rozmówcy, pierwszy raz traktując go serio.

- Niestety, z przykrością stwierdzam, iż nawet gdybym się zgodził wypożyczyć ci „Błędnego Rycerza”, i tak na nic się to nie zda - oświadczył. - Pierwszy z brzegu zestaw sensorów ze ślepych wamp jako operatorem natychmiast wykryje, że imperialny standard okrętu wojennego i stan tego niszczyciela to dwie różne rzeczy. Pomijając brak większości ciężkiego uzbrojenia, zdemontowanego zanim go dostałem, nie działają generatory tarcz, sensory wymagają wymiany, a połowa systemów albo nie funkcjonuje, albo wymaga unowocześnienia. O co byś nie spytał, jest potrzebne już lub będzie wkrótce.

Spojrzenie Bel Iblisa wyraźnie stwardniało podczas tej wyliczanki.

- Rozumiem - podsumował zwięźle. - Airen Cracken uprzedzał mnie, do czego może dojść.

- Miło, że mnie pamięta - ucieszył się Booster. - Ale prawdy nic nie zmieni: mogę ci pożyczyć „Błędnego Rycerza”, jednak żeby mieć z tego jakieś korzyści, musisz naprawić, zmodernizować i dozbroić okręt. I obojętnie, czy atak się uda, czy nie, te zmiany zostają. - Kalamarianie będą zachwyceni.

- Jeśli wybuchnie wojna, oni akurat okażą się najmniej kłopotliwi - wyznał szczerze Booster. - Każdy niedorobiony pirat i przemytnik w galaktyce będzie próbował odebrać mi „Błędnego Rycerza”, i to razem z życiem. Tak wygląda sytuacja i taka jest moja propozycja. Możesz ją przyjąć lub odrzucić, wolna wola.

- Przyjmuję z jednym warunkiem: po akcji na pokładzie zostanie tyle uzbrojenia głównego, ile miałeś na początku, Booster. Resztę zdemontujemy, z tych samych co poprzednio powodów. - Bel Iblis wstał. - Gdzie jest okręt?

- Na obrzeżach systemu Mrisst. - Booster także wstał, próbując ukryć zaskoczenie: podczas nielicznych kontaktów, jakie miał z przedstawicielami Nowej Republiki, osiągnięcie celu wymagało zwykle znacznie większej elokwencji, a wojskowi byli jeszcze gorsi od urzędników. - Gdzie mam go dostarczyć? - Powiem ci, jak się znajdziemy na pokładzie.

- Lecisz z nami? - tym razem Booster nie potrafił ukryć zdumienia.
- Razem z dwustu załogantami. Ktoś musi obsługiwać ten wrak, zanim nie zaokrętuję właściwej załogi.
- Ja mam właściwą załogę! - zaprotestował Booster: powinien wiedzieć, że Bel Iblis jeszcze nie skończył interesów.
- Do prowadzenia obwoźnego targu może masz, ale nie do podszywania się pod imperialny okręt liniowy. Zanim wyruszymy na akcję, na pokładzie będzie pełna szkieletowa załoga, którą sam wybiorę.
- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz - Booster nagle wyprostował się na całą swą niezbyt imponującą, wysokość. - „Błędny Rycerz” to mój okręt i jeśli nie będę jego kapitanem, to nigdzie nie polecę.
- Naturalnie - zgodził się spokojnie Garm, kolejny raz go zaskakując. - Nigdy nie sądziłem, by mogło być inaczej. Mój prom czeka, toteż proponuję, abyśmy natychmiast wyruszyli.
- Proszę uprzejmie - zgodził się Booster, próbując zwalczyć złe przeczucia. - Mirax, weź mój prom i wracaj do domu. Bel Iblis odchrząknął znacząco. - Czego?! - warknął podejrzliwie Terrik.
- Obawiam się, że Mirax musi nam towarzyszyć - powiedział przepraszająco Bel Iblis. - Dla powodzenia akcji niezbędna jest całkowita tajemnica, a to oznacza, że nie mogę pozwolić, by ktokolwiek, kto wie o niej tyle co twoja córka, plątał się swobodnie po galaktyce. Booster ponownie się wyprostował.
- Jeżeli uważasz, że ja pozwolę mojej córce brać udział w takim wariactwie jak atak na bazę imperialnego wywiadu...
- Skądże znowu - przerwał mu oburzony Garm. - Kto ci naopowiadał podobnych głupot?! Ona i twój wnuk pozostaną na miejscu spotkania wraz z ekipą remontową. Booster znowu miał dziwne wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg.
- No, ja myślę - bąknął. - No to nie ma co czekać. Skoro tak ci się spieszy do tej imperialnej bazy, nie chcę cię powstrzymywać...
- I bardzo słusznie - zgodził się Bel Iblis. - Pozwól, że raz jeszcze podziękuję ci za pomoc. I nie martw się: wszystko się uda.
- No - mruknął Booster, biorąc Mirax pod ramię. - Pewnie.



# R O Z D Z I A Ł 1 7

Luke po raz ostatni ciął mieczem, żeby wyrównać krawędź, i ostami odłamek stuknął głucho o skalną podłogę.

- No - odsapnął, zaglądając w wycięty otwór. - Co o tym sądzisz?

Mara podeszła z boku i oświetliła gotowe przejście.

- Z droidem może być trochę ciasno, ale powinno wystarczyć - oceniła.

Luke spojrzął przez ramię na ośmiu Qom Jha zwisających z sufitu - musiało wystarczyć, ponieważ powinni wyruszyć, zanim stracą zbyt wiele szacunku w oczach myśliwych przysłanych, zgodnie z obietnicą, przez Zjadacza Ogniaków. Albo inaczej rzecz ujmując - nim ich przewodnicy na tyle stracą zaufanie do Mistrza Sky Walkera, by uznali, że mogą się wycofać z tej wyprawy. Nie rozgadywali się o śmierci Budującego z Pnączy, ale starannie omijali miejsce, gdzie leżały jego szczątki. No i nie było mowy, żeby przestali dokuczać Dziecku Wiatrów. Jeśli szybko nie wyruszą, powtórzą się kłopoty, z takim trudem zażegnane na początku drogi.

- Masz rację - przyznał, przypinając miecz do pasa i podchodząc do pozostałości po plecakach, na które składały się żelazne racje w metalowych pojemnikach, zasilacze, latarki i lina.

Śpiwory, namioty, medpakiet, a nawet granaty padły łupem wszystkożernych owadów - w przypadku granatów zeżarły detonatory. Jakim cudem nie zjadły liny, pozostało zagadką - fakt, że została wykonana ze sztucznego tworzywa, ale tak samo było z większością innych przedmiotów.

- Zabieramy wszystko co zostało? - spytał na wszelki wypadek.

- Właśnie to robię - odparła Mara, upychając żelazne racje, już bez metalowych pojemników, po kieszeniach kombinezону. - Pierwsza zasada przetrwania w polu to skoncentrować się na jedzeniu. - Jasne. - Luke poszedł w jej ślady.

Artoo podjechał, chwiejąc się nieco na nierównościach terenu, i z zapraszającym bipnięciem otworzył kilka skrytek w obudowie.

- Linę i latarki włożę w Artoo - poinformował Marę, po czym zamknął schowki. - Na wszelki wypadek. - Dobra. Jestem gotowa.

- Ja też. - Luke spojrzął w ciemność. - Utrzymujemy ten sam szyk marszu?

- Czyli ty na przodzie, a ja z tyłu z bagażem? - spytała, wskazując głową Artoo. - Chodziło mi... - zaczął, czując, że się czerwieni.

- Wiem, o co ci chodziło - uspokoiła go. - Jesteś Jedi i gdyby czekało na nas coś z zębami, masz znacznie większą szansę spacyfikować owo coś, zanim nam zaszkodzi. Wobec tego: pan przodem.

- Jasne - przytaknął i przełożył latarkę do lewej ręki, by prawą ująć miecz. - Dotrzymujący Obietnic, jesteśmy gotowi.

„Chodźcie za mną”, polecił Qom Jha, odpadając od sklepienia i znikając w ciemnościach.

Już po paru krokach stało się jasne, że znaleźli się nie tyle w tunelu, ile w dość szerokiej szczelinie skalnej o kształcie odwróconego V. Po kilku dalszych - Luke został zmuszony do uwolnienia obu rąk, by móc przepchnąć się przez przewężenie. Miecz przyczepił więc do pasa, latarkę wcisnął do kieszeni i posuwał się do przodu, licząc na ostrzeżenie ze strony Qom Jha. Za sobą słyszał nerwowe poćwierkiwania Artoo i okazjonalne, stłumione łupnięcia, gdy Mara trafiała nim o ścianę. Za każdym razem Luke powstrzymywał się przed zawróceniem - gdyby Mara potrzebowała pomocy, poprosiłaby o nią. Prawdopodobnie.

Na szczęście po jakichś trzech metrach szczelina skończyła się, zablokowana skalną ścianą żółtawej barwy.

„To jest droga do środka”. Rozbijacz Kamieni przycupnął na występie koło dziury znajdującej się w górnej części ściany. „Za tą ścianą jest Wysoka Wieża”.

- Powiedziałyby, że dotarliśmy - stwierdziła Mara. - Ściana jest sztuczna.

- Jest - zgodził się Luke, sięgając po miecz świetlny. - Trzymajcie się z tyłu!

Ściana nie była gruba i, co ważniejsze, nie zawierała cortosisu, toteż trzy szybkie cięcia otworzyły im drogę. Luke wskoczył pierwszy, z bronią i zmysłami w pogotowiu. Nie czekało tam jednak na niego żadne niebezpieczeństwo czy zasadzka. Znalazł się w ciemnym pokoju o wysokim sklepieniu, bardzo zakurzone i tak obszerny, że nie zdołał ogarnąć go światłem latarki. Na ścianach, na dwóch trzecich wysokości, dostrzegł starannie wykonane uchwyty, które kiedyś chyba służyły do osadzania lamp, najprawdopodobniej w kształcie pochodni. Ponad nimi zauważył kilkanaście dziur i szczelin, które wyglądały jak wyłupane - zarówno ze ścian, jak i z sufitu. Pomieszczenie pozbawione było umeblowania i jakiegokolwiek dekoracji.

- Nie wygląda jak Hijarna - oceniła cicho Mara, oświetlając ściany. -Co?!

- Na planecie o nazwie Hijarna znajdują się ruiny fortecy, które Talon czasami wykorzystuje jako miejsce spotkań - wyjaśniła.

- Wspominał coś o tym podczas ostatniej rozmowy - przypomniał sobie Luke. - Mówił, że ta jest do

niej podobna i że prawdopodobnie nie byłby w stanie jej uszkodzić, nawet gdyby zebrał wszystkie jednostki, jakimi dysponuje.

- On czy ktokolwiek inny. Tamten zamek wykonano z jakiegoś niewiarygodnie wytrzymałego kamienia, który na dodatek częściowo pochłania ogień z broni energetycznej - poinformowała go ponuro. - Żeby zrobić na nim wrażenie, wątpię, czy wystarczyłby pojedynczy niszczyciel klasy Imperial. Kiedy pierwszy raz przyglądałam się tej budowli, skojarzenie było odruchowe, ale to, z czego wykonano te ściany, na pewno nie jest kamieniem, o którym mowa.

Artoo gwizdnął, obracając antenę zestawu sensorów.

- To akurat niewiele znaczy. - Luke przykucnął przed nim i spojrzał na czytnik, który zamontowali prowizorycznie jako tłumacza bardziej skomplikowanych komentarzy droida. - Mogły zostać zbudowane przez dwie różne grupy wywodzące się z tej samej rasy. - Może. Co on mówi?

- Że uchwyty nie są częścią oryginalnej konstrukcji. - Luke wyprostował się i wskazał na pogrążoną w mroku część pomieszczenia. - Twierdzi też, że gdzieś tam jest silne, działające źródło energii.

- Tak? - zaciekawiała się Mara, robiąc krok we wskazanym kierunku. - Zatem sprawdźmy, co to takiego.

„Nie” sprzeciwił się ostro Dotrzymujący Obietnic skądś z góry.

- Poczekaj! - polecił Luke, rozglądając się dookoła: Qom Jha aż podskakiwał z podniecenia na jednym z uchwytów. - Dlaczego nie?

„Tam czeka śmierć. Wielu poleciało w tamtą stronę, żaden nie wrócił”.

- Mówi, że tam jest coś niebezpiecznego - przetłumaczył Luke. - Detale nieznanne. - Poza tym, że jak sądzę, zjada Qom Jha - skomentowała Mara. - Tyle że jedyne wyjście prowadzi właśnie tamtędy.

„Jest drugie wyjście”, oświadczył Rozbijacz Kamieni, przycupnięty na innym uchwycie. „Chodźcie”.

Podleciał do ściany po ich lewej stronie i siadł na odłamku w jednym z otworów pod sufitem. „Tu jest wejście do ukrytego przejścia”, obwieścił.

- Doprawdy? - Luke zmrużył oczy: nikt dotąd nie wspominał o żadnych tajnych przejściach. - I to ukryte przejście prowadzi do Wysokiej Wieży? „Zobaczycie”.

- Ukryte przejście, co? - burknęła Mara, podchodząc do ściany z Artoo, toczącym się jej prawie po piętach. - Jakoś nie pamiętam, żeby ktoś wcześniej o nim wspominał. - Bo nie wspomniano - wyjaśnił Luke. - Być może przez przeoczenie.

- Albo przykre i bardzo komuś pasujące zapomnienie - dodała ponuro.

Artoo ćwierknął pytająco.

- Przykre, bo ukryte przejścia mają zazwyczaj również ukryte wyjścia - wyjaśniła przez ramię. - A jeśli Qom Jha nie znaleźli ich lub nie umieli ich otworzyć, to znaczy, że o wewnętrznym rozkładzie i przeznaczeniu pomieszczeń wiedzą tyle samo co my. - Co ty na to? - Luke spojrział wyczekująco na Rozbijacza Kamieni. - Byliście w końcu wewnątrz Wysokiej Wieży, czy nie?

„Przelecieliśmy całe ukryte przejście. Są tam miejsca, z których widać i słyszać Zagrożających”, padła po chwili niechętna odpowiedź.

- Niech zgadnę: żaden nie był w samej Wysokiej Wieży, ale jakbyśmy ich tam wpuścili, to na pewno się nie zgubią - skomentowała Mara.

- W zasadzie tak - przyznał ciężko Luke. - Mocni są w gębie, ale do środka nie dotarł żaden.

„Niektórzy Qom Qae tam byli”, odezwał się niespodziewanie Dziecko Wiatrów. „Sam znam kilku”. - Tak? - zdziwił się Luke. - Kto i kiedy?

„Przyjaciele z innych gniazd wlatywali do budowli od góry, ale zawsze szybko ich przepędzano, więc niewiele mogli zobaczyć”.

- Mimo wszystko to i tak więcej niż zrobili Qom Jha - ocenił Luke, przyglądając się wymownie Rozbijaczowi Kamieni, który choć nie odezwał się słowem, wyraźnie nie sprawiał wrażenia ucieszonego tymi rewelacjami. - A ty sam, Dziecko Wiatrów, byłeś w Wysokiej Wieży?

„Nie. Tylko przyjaciele z gniazd najbliższych wieży”. - Nad czym debatujecie? - zainteresowała się Mara.

- Dziecko Wiatrów mówi, że młodzi Qom Qae z okolicy odwiedzali wyższe piętra budynku - wyjaśnił Luke. - Powiedz mi, jak to możliwe, że masz przyjaciół w innych gniazdach? Łowca Wiatrów powiedział wyraźnie, że to, co dzieje się poza twoim gniazdem, nie powinno cię obchodzić.

„Nie obchodzi dorosłych, ale młodzież może latać, gdzie chce”, wyjaśnił Dziecko Wiatrów.

- Aha - mruknął zamyślony Luke: starzy byli istotami terytorialnymi, a młodzi nie, mogli więc odgrywać rolę nieformalnych ambasadorów czy agentów wywiadu. Była to informacja warta zapamiętania na wypadek, gdyby Nowa Republika zdecydowała się nawiązać z nimi oficjalny kontakt.

Stojąca cierpliwie obok Mara odchrząknęła znacząco.

- Czy ta bez wątpienia fascynująca konwersacja może nam w jakikolwiek sposób pomóc w dostaniu się do środka? - spytała podejrzenie uprzejmie.

- Nie bardzo - przyznał Luke, upychając informacje o strukturze socjalnej Qom Qae w zakamarkach pamięci i podchodząc do ściany: jeśli znajdowały się w niej ukryte drzwi, to zostały rzeczywiście dobrze ukryte. - Szukamy zamka czy wchodzimy na rympał? W odpowiedzi Mara uaktywniła miecz świetlny.
- Odsuńcie się! - poleciła stanowczo i po trzech szybkich cięciach w ścianie pojawił się otwór, przez który swobodnie można było wejść.
- Z mieczem w jednej i prętem oświetleniowym w drugiej dłoni Mara wskoczyła do środka, kierując się w prawo. Luke natychmiast zrobił to samo, ale ruszył w lewo. Znaleźli się w wąskim przejściu, liczącym około półtora metra szerokości, które, podobnie jak sala za ich plecami, w prawo ciągnęło się poza zasięg światła. Z lewej strony, ledwie o parę metrów, znajdowała się ściana. I prowadzące w górę schody. - Mara! - zawołał cicho, podchodząc do nich.
- Nad sobą bardziej wyczuwał niż widział wznoszące się pod kątem sklepienie - najprawdopodobniej były tam kolejne stopnie, prowadzące na niewidoczny podest czy też piętro. Wzdłuż, wewnętrznej krawędzi schodów umieszczono wiązkę średnio grubych rur biegnącą spod poziomu, na którym stali, ku górze.
- To by się zgadzało - mruknęła za jego plecami Mara. - Niestety.
- Co by się zgadzało? - odruchowo sięgnął po Moc, lecz nie wyczuł żadnego zagrożenia.
- Schody. - Mara oświetliła najniższe stopnie. - Wyglądają jak kamień, o którym ci mówiłam. - A możesz to jakoś sprawdzić?
- Wystarczy w nie strzelić, żaden problem, tylko że hałas będzie słyszalny dalej niż byśmy chcieli. Poza tym chwilowo to i tak nieistotne: nie planujemy oblężenia, prawda?
- Prawda. Próbowujemy wśliznąć się niepostrzeżenie - zgodził się Luke. - I prawdopodobnie znowu musimy iść pojedynczo.
- Chyba już się przyzwyczailiśmy... To przejście przypomina mi tajne korytarze, które Palpatine kazał wbudować w swój pałac na Coruscant.
- A mnie tunele techniczne w Hic na New Cov. - Luke przypomniał sobie długą wspinaczkę w towarzystwie Hana, a u jej kresu podest, na którym roilo się od żołnierzy Imperium.
- Tyle tego mamy w galaktyce, że jakiś budowniczy mógłby wreszcie i zainstalować windę zamiast schodów - oceniła Mara z niesmakiem. - Albo choćby taśmociąg bagażowy.
- Przestań narzekać. Nie zostało nam nic oprócz wspinaczki, więc ruszajmy.

Luke zdecydował, że Qom Jha polecą przodem - choć wąsko, było bowiem wystarczająco wysoko. On pójdzie jako następny, ale dla odmiany niosąc Artoo, a tylną straż będą stanowić Mara i Dziecko Wiatrów. Mara miała wprawdzie pewne obiekcje, ale bardziej teoretycznej natury - droid ostatnio jakby przybrał na wadze, toteż była wdzięczna, że tym razem nie ona musi go nosić. Dyskusję zakończył Luke, oświadczając, że schody są bezpieczne.

- Wiesz, co to może być? - spytała po paru stopniach, wskazując na rury. Z tego miejsca widać już było pierwszy podest, przez który biegło dwadzieścia takich samych. - Nie wyglądają na odpowietrzanie. Artoo ćwierknął w odpowiedzi.

- Linie przesyłowe energii - wyjaśnił Luke. - Prawdopodobnie ciągną się od tego dużego źródła energii, które odkryliśmy, do samej Wysokiej Wieży. - Wszystkie dwadzieścia? - zdziwiła się. Artoo ćwierknął ponownie.

- Tylko trzy są aktywne - przetłumaczył Luke. - Ale pozostałe nadal są sprawne. Być może prowadzą do generatorów pola albo stanowisk artyleryjskich?

- Tak właśnie myślałam... Z wejścia do jaskini widać trzy wieże. I czwartą częściowo zniszczoną.

Pamiętam to z nagrania przywiezionego przez „Gwiezdny Łód”. - Luke dobrze panował i nad głosem, i nad emocjami. - Łącznie z twoją sugestią, że strzał lub salwa, które spowodowały jej zniszczenie, wyorały też w gruncie wąwóz, którym leciałaś. Ten kamień rzeczywiście jest tak wytrzymały?

- Nie wiem, na ile wytrzymały jest sam kamień. Nigdy nie ostrzeliwaliśmy go z broni cięższej niż ręczna. Ale kamień i siedemnaście linii przesyłowych do generatorów pól siłowych razem wzięte, robią pewne wrażenie... Luke gwizdnął cicho, potrząsając głową.

- Właśnie, to miejsce z minuty na minutę coraz bardziej przypomina niezdobytą fortyfikację... - przyznał. - Chyba mi się to nie podoba.

- Mnie się zdecydowanie nie podoba, zwłaszcza że potencjalnie znajduje się we wrogim władaniu. Ta forteca może się okazać gorsza od zawartości góry Tantiss. Dotarli do podestu i zobaczyli kolejne stopnie, więc dalej szli w górę. Mara próbowała je liczyć, ale w okolicach dwustu dała za wygraną, dochodząc do wniosku, że to bezsensowne zajęcie. Minęli właśnie czwarty podest, kiedy zaczęła wyczuwać obcą obecność - na wszelki wypadek milczała jeszcze przez kilka minut, lecz gdy dotarli do piątego, powiedziała cicho: - Luke, mamy towarzystwo.

- Wiem - odparł równie cicho. - Od dobrej chwili ich czuję... Musimy się zbliżyć do zamieszkanych części budynku. - Nie wydaje ci się, że już się z nimi spotkałeś?

- Naturalnie: należą do tej samej rasy co piloci, którzy próbowali mnie zestrzelić parę dni temu - stwierdził, zaskoczony pytaniem.

- Nie o to mi chodziło. - Marą wstrząsnął nagły dreszcz. - Nigdy nie byłam w ich pobliżu, więc nie wiem, jak się ich odbiera. .. ale na pewno czułam już w życiu obecność kogoś z tej rasy. - Thrawna?

- spytał na wszelki wypadek Luke. - Thrawn.

Przez chwilę stali w całkowitej ciszy. Wykrakałeś - przerwała ją w końcu Mara. - Powiedziałeś, że mogą tu być jego zwolennicy. Widocznie ma ich także wśród własnej rasy.

- Na to wygląda - przyznał Luke i spojrzał w górę. - Rozbijacz Kamieni?

Mara nagle doszła do wniosku, że ma dość robienia za głuchą i gdy z góry nadleciał zawołany Qom Jha, lądując na stopniu powyżej nich, złapała Luke'a za rękę. - Powiedziałeś, że są tu miejsca, w których można zajrzeć do wnętrza Wysokiej Wieży - przypomniał mu Luke. - Gdzie jest najbliższe? „Niedaleko, dwa odcinki i kawałek w górę”.

- Kawałek? - zdziwiła się Mara.

- Prawdopodobnie nad schodami, nie nad podestem - wyjaśnił Luke, przyglądając się z namysłem rurom.

- Przynajmniej energia przez nie przesyłana powinna zamaskować naszą energię życiową, gdyby ktoś nas szukał. Wygodne.

- Średnio, bo oznacza, że Artoo także niewiele wykryje swoimi sensorami.

„Ale wam to nie powinno przeszkadzać”, zauważył Dziecko Wiatrów. „Wy macie Moc”. - Słusznie - zgodził się Luke.

- Choć niektórzy mają jej więcej niż inni - dodała Mara, tłumiąc grymas niezadowolenia.

Podobnie jak dziesięć lat temu, podczas wędrowki po lasach na Wayland, teraz też prawie cały czas udzielał jej instruktażu w technikach Jedi, a mimo to nadal nie rozumiała jego rozmów z Qom Jha czy Qom Qae lepiej niż w chwili, gdy zjawiała się na planecie. I zaczynało jato wkurzać. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić, by przebić się przez niewidzialną barierę oddzielającą ją od pełnych możliwości rycerzy Jedi. Luke zapewne wiedział, ale nie było takiej siły w galaktyce, która zmusiłaby ją do zapytania go o to. Przynajmniej nie tak szybko.

- Zatem chodźmy - warknęła, puszczając jego dłoń. - Skoro mamy coś zrobić, zróbmy to szybko.

- Masz rację - jeśli Luke wyczuł nagłą zmianę jej nastroju, nie dał tego po sobie poznać i dodał pod adresem Qom Jha: - prowadź i uprzedź swoich, żeby starali się zachować ciszę.

Mara ruszyła za nim właściwie na autopilocie, ponieważ całą uwagę skupiła na coraz bliższej obecności obcych umysłów. Żaden nie wydawał się być szczególnie blisko, ale z doświadczenia wiedziała, że w przypadku nieznanymi obcych wyczuć odległości niekiedy zawodziło.

Mniej więcej w dwóch trzecich wysokości trzeciej kondygnacji, zgodnie z obietnicą Rozbijacza

Kamieni, dotarli do punktu obserwacyjnego Qom Jha.

- Faktycznie wyjście - oceniła, zaglądając do alkowy na prawo od stopni: miała ona około trzech metrów szerokości i metr głębokości, a kończyła się panelem w kształcie drzwi, wykonanym z czarnego kamienia i zaopatrzonym w obrotowy zamek w kształcie koła z ręczną blokadą oraz niewielki otwór, przez który wpadał promień czerwonego światła. - Wygląda na to, że otwierają się na zewnątrz.

- Zgadza się. - Luke obejrzał dokładniej drzwi i zamek. - Ciekawe, dlaczego mechanizm otwierający i blokada znajdują się z tej strony?

- Może przejście przewidziano do wyłącznego użytku wyższych rangą czy ważniejszych osobistości? - zasugerowała, raz jeszcze sprawdzając przy użyciu Mocy, gdzie są gospodarze: stwierdziła, że tam, gdzie dotąd. - Tacy nie lubią tłoku, a za to lubią sekrety. Jeśli chcesz spróbować, czy mechanizm działa, możesz zaraz. Nie sądzę, żebyśmy na coś czekali.

Luke zajrzał przez otwór, niemal przytykając twarz do drzwi, po czym ujął szprychy koła i przekręcił je w lewo. Mara przygotowana była na zgrzyt zardzewiałego metalu i inne hałasy, ale nic takiego się nie rozległo. Słaby, głuchy dźwięk bardziej przypominał przesuwanie się kawałków dobrze wypolerowanego kamienia. Luke dokończył obrót i złapał oburącz za blokadę. Pociągnął ją i pchnął drzwi. Ten, kto wymyślił smarowanie zamka, musiał też opracować zawiasy, gdyż drzwi otworzyły się przy wtórze jedynie cichego odgłosu przesuwających się kamieni. Mara wypadła przez nie, jeszcze zanim otwarły się do końca - z miotaczem w dłoni i zmysłami w pogotowiu. Znalazła się w dosyć szerokim korytarzu, który po około dwudziestu metrach wychodził na coś w rodzaju atrium. Na jego środku stała pionowa kolumna rozsiewająca czerwony blask. W każdej ze ścian korytarza znajdowało się po pięć par drzwi, wszystkie opatrzone takimi samymi uchwyty, jak znane jej z niższego poziomu. Te miały jednak dodatkowo na górze walcowate elementy, które świeciły stłumionym białym światłem. Sufit i podłogę pokrywała delikatna mozaika w geometryczny wzór, ściany zaś srebrzysty, pozbawiony ozdób metal. Zza jej pleców rozległo się ciche ćwierknięcie.

- Artoo twierdzi, że ten czerwony blask ma dokładnie takie samo spektrum jak tutejsze słońce - przetłumaczył Luke. - Albo jesteśmy blisko powierzchni, albo z jakiegoś powodu przesyłają je na każdy poziom.

- Myślę, że to drugie. Wystrój wnętrza też jest zaskakujący: forteca na Hijarnie ma kamienne, proste ściany. Masz ochotę na mały zwiad?

- Pewnie. Dotrzymujący Obietnic: jeśli ty lub ktokolwiek z pozostałych wiecie o Wysokiej Wieży coś, czego dotąd nam nie powiedzieliście, to już najwyższy czas, żebyście to zrobili.

Pod sufitem nastąpiła żywiołowa wymiana pisków, ćwierków i szczebiotów, i niespodziewanie ósemka Qom Jha przeleciała Marze nad głową, kierując się ku świecącemu słupowi. Gdy dotarli w jego pobliże, rozdzielili się i polecili w różnych kierunkach.



- Powiedział, że nic więcej nie wiedzą, ale mają zamiar nadrobić zaległości - wyjaśnił Luke.

- To niech się uczą, jak długo nie ściągną nam na głowy tubylców. - Mara wyłączyła pręt i schowała go do kieszeni. - Lepiej zostaw tu Artoo.

- Właśnie miałem tak zrobić. Artoo, wróć za drzwi i zamknij je. Dziecko Wiatrów, zostań z nim.

Nie trzeba było rozumieć języka Qom Qae, żeby wiedzieć, że drugie polecenie spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem adresata.

- Nie teraz! - przerwał mu stanowczo Luke. - Może później, ale teraz na pewno nie. Chodź, Mara.

Ruszyli korytarzem, a nadal utyskujący Qom Qae wrócił wraz z Artoo do tajnego przejścia.

- Wygląda na zamieszkaną rejon - ocenił Luke, wskazując mijane drzwi.

- Tak. - Mara z napięciem wpatrywała się w błyszczący słup.

Gdy do niego podeszli, okazało się, że słup przypomina spiralną klatkę schodową, tyle że zamiast stopni posiadał rampę, i to ruchomą.

- Czy jej brzeg się porusza, czy tylko ćmi mi się w oczach? - spytała. - Porusza się w górę.

Doszli do końca korytarza - Mara z niezwykłą ostrożnością zapuściła żurawia zza załomu muru, chcąc się najpierw rozejrzeć. Z otwartej przestrzeni rozchodziły się promieniście liczne korytarze.

- To na pewno sekcja koszarowa - wywnioskowała. - Ciekawe, gdzie jest rampa biegnąca w dół.

- Po wewnętrznej stronie tej, która biegnie w górę. Jeśli przyjrzy się dokładnie, zobaczysz, w którą stronę porusza się powierzchnia.

- Zejście z tej jadącej na dół wymaga zapewne sporej wprawy.

- Prawdopodobnie będziemy mieli okazję spróbować - zauważył Luke, po czym niespodziewanie podszedł i objął ją ramieniem.

Nim zdążyła go zapytać, co wyprawia i co właściwie sobie wyobraża, usłyszała głos Dotrzymującego Obietnic:

„... .nikogo. Niektóre korytarze kończą się ścianami, ale większość prowadzi do podobnych jaskiń”.

- Widzieliście kogoś? - spytała Mara, gdy Qom Jha podleciał bliżej.

„Nie widzieliśmy nikogo”, odparł nieco speszony, jak ktoś, kto przed chwilą już odpowiedział na to

samo pytanie.

- Dzięki - Luke spojrzał na Marę. - W górę czy w dół?

- W górę - zdecydowała, wyslizgując się z objęcia: spoglądanie na jego twarz z odległości piętnastu centymetrów było nowym i nieco rozpraszającym doświadczeniem. - Może to dziwne, ale wyszło nam, że na Hijarnie stanowisko dowodzenia i inne interesujące rzeczy znajdowały się na górnych piętrach.

- No to w drogę - Luke podszedł do spiralnej rampy i spojrzał w górę. - Wygląda spokojnie... Wyczuwasz jakieś zagrożenie?

- Nie większe niż w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Próbujemy?

- Próbujemy. Dotrzymujący Obietnic, idziemy w górę!

Razem wkroczyli na ruchomy chodnik, jednocześnie się potknęli i razem złapali równowagę, doganiając stopy, które w pierwszym momencie próbowały być szybsze od reszty ciała.

- Czują, że zbliżamy się do gospodarzy - zauważył Luke, gdy przelecieli nad nimi Qom Jha. - Chciałbym móc lepiej ocenić odległość, ale za słabo ich znam. - Byłoby miłe - przyznała, obserwując, jak w górze zwiad lotniczy ponownie się rozdziela i zaczyna badać korytarze następnego poziomu.

Gdy do niego dojechali, pojawił się nad nimi jeden z myśliwych - Latający Między Kolcami - i wyćwierkał meldunek.

- Mówi, że tu też nikogo nie znaleźli - przetłumaczył Luke. Rozbij acz Kamieni proponuje...

- Luke! - przerwała mu, czując nagły rozbłysk zmysłu niebezpieczeństwa.

- Padnij! - polecił w odpowiedzi Luke i uaktywnił ostrze miecza świetlnego.

Mara zdążyła już opaść do przykłąku i odwrócić się w poszukiwaniu celu — w ślad za jej wzrokiem podążała też lufa miotacza. Kątem oka dostrzegła ruch w jednym z korytarzy... I nagle świat eksplodował jasnym błękitem.

Odruchowo odpowiedziała ogniem, robiąc unik, a kolejny błękitny rozbłysk zmienił się w zieleń, gdy Luke zablokował wiązkę ostrzem miecza i odbił ją w drugi koniec pomieszczenia. Następny błękitny strzał spotkał taki sam los. Mara wycelowała starannie, nacisnęła dwukrotnie spust i z satysfakcją zobaczyła jak strzelec pada... - Za tobą!

Padła plackiem, odwracając się jednocześnie, i zobaczyła dwóch innych napastników w czerwono-brązowych uniformach, wybiegających z jednego z korytarzy ku czemuś, co wyglądało jak

niewielki pojazd. Strzeliła jeszcze dwa razy, gdy nagle jeden z nich stanął i uniósł broń w klasycznym dwuręcznym uchwycie. Wycelowała w niego, podświadomie rejestrując niebieską skórę i palające, czerwone oczy. -Uważaj!

Ostrzeżenie przyszło za późno - strzelili równocześnie i tamten padł, szukając osłony, a Mara okręciła się wokół własnej osi w poszukiwaniu nowego celu, kiedy z boku błysnęło błękitnie i poczuła piekący ból w prawym ramieniu. Musiała chyba jęknąć, choć tego nie pamiętała, bo nagle Luke znalazł się tuż obok i przez fale bólu wyczuła jego strach. Delikatnie obmacał okolice rany i stwierdziła, że ból nieco mija, zablokowany Mocą, która z jego dłoni przepłynęła w jej ciało.

- Jak myślisz? - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. - Zobaczyliśmy już dosyć?

- Wystarczy - odparł, parując kolejny cios.

- To... - urwała i gwałtownie zamrugnęła na widok unoszącej się podłogi piętra: zjeżdżali na poziom, z którego rozpoczęli wypad. - Jak znaleźliśmy się na zjeżdżającej części rampy?

- Przetoczyłaś się na nią, gdy cię trafili - wyjaśnił, ujmując ją pod ramiona. - Nie pamiętasz? Potrząsnęła głową i skrzywiła się z bólu.

- Zadziałały stare odruchy - syknęła. - Czekać... mój miotacz!

- Dotrzymujący Obietnic go złapał - uspokoił ją. Wyłączył miecz i wstał z przysiadu: Mara poczuła, że także się unosi w niewidzialnym uchwycie Mocy. - Koniec jazdy!

Poziom, z którego wyruszyli, znalazł się właśnie na równej z nimi wysokości, więc Luke skoczył, unosząc Marę nad jadącą w górę częścią rampy, i wylądował na nieruchomej posadzce. Z raną na rękach pobiegł ku ukrytym drzwiom. Ponad jego ramieniem ostrzegła kilku Qom Jha i żadnego pościgu.

- Mogę chodzić! - zaprotestowała. - Nie umieram i nie musisz mnie...

- Nie kłóć się - przerwał jej, pełen troski i niepokoju. - Mam nadzieję, że Artoo nie zablokował...

Przerwał, gdyż przed nimi akurat powoli otwierało się wejście. Drzwi pchali Artoo i Dziecko Wiatrów, i widać było, że ledwie sobie radzą. Droid pisnął zaniepokojony i cofnął się pospiesznie, żeby przepuścić Luke'a z żywym ładunkiem i Qom Jha. „Zamknijcie drzwi”, polecił Rozbijacz Kamieni, machając gwałtownie skrzydłami, by się zatrzymać.

- A pozostali? - spytał Luke, gdy Qom Jha zabrali się za wykonanie polecenia.

„Polecieli innym korytarzem. Spróbują odciągnąć Zagrożających od tego rejonu”. - Miejmy nadzieję, że im się uda - mruknął Luke. - Zablokujcie drzwi, zabieram ją na dół.

- Na górę! - sprzeciwiła się Mara, nieco niezgrabnie wyciągając lewą ręką pręt oświetleniowy. - Jeśli znajdą drzwi, zaczną od szukania nas na dole. To odruchowe. - Masz rację - Luke skręcił w miejscu i polecił: - Artoo, dopilnuj, żeby zabezpieczyli drzwi i stój na straży. Minutę później byli na następnym podejściu.

- Szkoda, że nam zjedli śpiwory - westchnął, kładąc ją delikatnie na kamiennej posadzce i odbierając pręt. - Jak się czujesz?

- Jakby mi ktoś piekł ewoka na ramieniu, ale na wolnym ogniu. Zablokowałeś mi ból Mocą?

- Nie do końca, jak widać - odparł, zdejmując kurtkę, zwijając ją i podkładając jej pod głowę w charakterze poduszki. - Na kogoś innego ta technika nie działa tak skutecznie, jak na własny organizm.

- Wiedziałam, że powinnam się jeszcze czegoś nauczyć - syknęła, gdy położył jej na piersiach pręt oświetleniowy i zaczął ostrożnie rozcinać spalone brzegi kombinezonu wokół rany. - Wątpię, byś znał kurs przyspieszony? - O ile wiem, taki rodzaj nie istnieje... cholera...

Zaintrygowana jego tonem spojrzała na swoje odsłonięte ramię i natychmiast tego pożałowała.

- Cholera, nawet nie zaczynaj tego opisywać - poinformowała go, próbując podejść do sprawy rzeczowo, co nie bardzo jej się udało: rana okazała się paskudniejsza niż sądziła. - Właśnie zdecydowałam, że bardziej mi będzie brakowało medpakietu niż śpiwora.

- Nie jest aż tak źle - pocieszył ją, gładząc zarazem delikatnie po szyi i ramieniu: pod wpływem jego dotyku ból zaczął ustępować. - Są jeszcze inne sposoby... - Ten jest niezły - przyznała i zamknęła oczy.

- Wprowadzam cię w trans uzdrawiający - wyjaśnił, a jego głos dziwnie się oddalał. - Jest co prawda powolniejszy, ale czasami równie skuteczny jak bacta. - Mam nadzieję, że teraz jest to czasami - wymamrotała. Czowała się bardzo zmęczona. - Tego też musisz mnie kiedyś nauczyć... dobranoc, tylko mnie obudź, jak przyjdą natręci. - Dobranoc - odpowiedział cicho. Cicho i niepotrzebnie, gdyż spała już jak kamień.

„Umrze?“, spytał zaniepokojony głos z boku.

Luke uśmiechnął się kwaśno - tak był skoncentrowany na Marze, że nie zauważył, kiedy nadleciał Dziecko Wiatrów. Niezłe osiągnięcie, jak na Mistrza Jedi.

- Nie umrze. Rana nie jest groźna, a ja mam trochę uzdolnień do leczenia, więc powinna być zdrowa, kiedy się obudzi.

Qom Qae przez chwilę przyglądał się z natężeniem leżącej na kamiennych płytach postaci.

„To była moja wina, Mistrzu Sky Walker? Nie otworzyłem na czas drzwi?", spytał po tej chwili.

- Skądże. Została ranna wcześniej i z tobą nie miało to absolutnie nic wspólnego. „W takim razie to Qom Jha cię zawiedli”.

Luke zmarszczył brwi - biorąc pod uwagę rywalizację pomiędzy obiema grupami, spodziewał się albo potępienia, albo pogardy, a wypowiedzi towarzyszyły jedynie żal i smutek.

- Być może - powiedział z namysłem. - Ale niekoniecznie. Zagrożający mogli wykryć naszą obecność i zorganizować zasadzkę. Pamiętaj też, że Qom Jha, żyjący w jaskiniach, nie widzą w intensywnym świetle tak dobrze jak ty czyja. To nie musiała być ich wina.

Dziecko Wiatrów zastanowił się nad tym co usłyszał i odparł: „Jeśli Zagrożający zastawili sidła, to mogą tu przyjść, szukając was”.

- Zgadza się. Naturalnie jeśli wiedzą o istnieniu tego przejścia, a mogą nie wiedzieć: warstwa kurzu na podłodze świadczy, że od dawna nie było używane. „Mogą go nie używać, ale o nim wiedzieć. Twój przyjaciel-maszyna i Qom Jha pilnują na dole, ale czy ktoś nie powinien pilnować na górze?”

- Doskonały pomysł - pochwalił go Luke. - Powiedz Rozbijaczowi Kamieni, żeby wysłał na poziom nad nami dwóch myśliwych.

„Już leczę”. Qom Qae rozpostarł skrzydła. „Ale wystarczy wysłać tylko jednego. Ja będę pilnował razem z nim”.

Luke w ostatniej chwili ugryzł się w język, bo miał zamiar zaprotestować. Qom Jha od początku traktowali Dziecko Wiatrów pogardliwie, toteż nic dziwnego, że chciał zrobić coś użytecznego. A owo coś nie było w dodatku aż tak niebezpieczne. - Zgoda - powiedział po namyśle. - I dziękuję.

„Nie masz za co dziękować. Powinienem postępować tak, by pomóc Mistrzowi Jedi”. Dziecko Wiatrów przekrzywił głowę, spojrział na Marę i dodał: „I jego ukochanej towarzysze”.

Po czym odleciał, nim Luke zdążył w jakikolwiek sposób zareagować. Nie było to zbyt wielką sztuką, gdyż ostatnia uwaga Qom Qae wprawiała go w osłupienie. Ukochanej towarzysze... towarzysze ... ukochanej... te dwa słowa tłukły mu się pod czaszką we wszelkich możliwych konfiguracjach. Przyjrzał się znajomej twarzy, pogrążonej w dziwnej kombinacji światłocieni wywołanych przez nietypowe umieszczenie źródła światła. Ukochanej... - Nie - mruknął sam do siebie.

Lubił Marę, to nie ulegało kwestii, bardzo ją lubił - była sprytna, pomysłowa, inteligentna, wytrzymała fizycznie i psychicznie, a on mógł na tych jej cechach polegać. Miała odpowiednie poczucie humoru i cięty język, co stanowiło ostry kontrast z bezkrytycznym podziwem, jaki żywiła wobec niego większość istot, zwłaszcza w ostatnich latach. Od dawna stała się wypróbowanym sojusznikiem, godnym pełnego zaufania, nawet w najgroźniejszych sytuacjach czy najtrudniejszych

czasach. Przekonał się o tym osobiście, podobnie jak Leia czy Han, a to, że reszta władz Nowej Republiki zdumiewająco głupia, ślepa i złośliwa, nie podzielała ich zdania, było przykre, ale stanowiło raczej problem tamtych. No i być może najważniejsze - Mara miała naprawdę spore uzdolnienia do posługiwania się Mocą, co pozwalało im dzielić myśli i uczucia w sposób, jakiego nie zdołali osiągnąć nawet tak długo i blisko będący ze sobą Leia i Han. Ale wiedział też, że jej nie pokocha. Nie mógł podjąć takiego ryzyka, ponieważ za każdym razem, gdy pozwalał sobie choćby na początki podobnego luksusu jak uczucie do kobiety, przytrafiało jej się coś złego. Gaeriel została zabita, Callista straciła Moc i porzuciła go... Choć jeśli teoria Mary była słuszna, to owe nieszczęścia wydarzyły się, gdy pozostawał pod zgubnym wpływem Ciemnej Strony, z czego nie zdawał sobie sprawy... Teraz mogło to wyglądać inaczej... Tylko czy naprawdę...?

Pokręcił zdecydowanie głową - nie. Cała logika wszechświata nie zdoła go przekonać, by próbował właśnie teraz i właśnie z Mara. Ponieważ nad wszystkim nadal unosiło się mroczne widmo wizji, którą miał mniej niż miesiąc temu na planecie Tierefon. I wcale nie chodziło tu o Wedge'a i resztę eskadry Łotrów w ogniu walki czy Hana i Leię, którym zagrażała tłuszczka, lecz o to, jak ta wizja doprowadziła go do spotkania z Talonem, a przede wszystkim o obraz Mary, bezwładnie unoszącej się w wodzie otoczonej skałami. Zupełnie jakby była martwa.

Możliwie, że takie właśnie było jej przeznaczenie i nic, co by Luke zrobił, nie potrafi go zmienić, ale dopóki tego nie sprawdzi, uczyni wszystko co w jego mocy, by tak się nie stało. A jeśli nadal znajdował się pod wpływem Ciemnej Strony, nie miał prawa narażać Mary na jej destrukcyjny wpływ. Być może później... Natomiast teraz musiał zająć się tym, czego najbardziej potrzebowała - leczeniem. To akurat nie wymagało poświęceń, a jedynie czasu i uwagi. Pod wpływem nagłego impulsu pocałował ją delikatnie i wyciągnął się obok niej, opierając głowę na własnej kurtce, a rękę na jej piersiach w ten sposób, by czubkami palców dotykać zranionego ramienia. A potem pogrążył się w półtransie leczniczym i koncentrując się najlepiej jak potrafił, sięgnął po Moc. I zabrał się do pracy.

# R O Z D Z I A Ł 1 8

Wedge stracił nieco czasu, zanim odnalazł pozostałych w niewielkiej knajpcie na świeżym powietrzu o pół przecznicy od biura archiwum kontroli lotów.

- Tu jesteście - sapnął z lekka oskarżycielsko, opadając na trzeci fotel przy stoliku. - A gdzie mielibyśmy być? - zdziwiła się Moranda, upijając łyk zielonkawobłękitnego likieru, który był jej nieodłącznym towarzyszem w każdym lokalu, odkąd ją spotkali. - Przecież ci powiedziałam, że poczekamy gdzieś w pobliżu.

- Masz rację, powinienem się domyślić, w jakiego typu miejscach szukać. Nie zaczynasz przypadkiem o zbyt wczesnej porze?

- O to ci chodzi? - zdziwiła się ponownie unosząc kielich ku słońcu. - Przecież to drobiazg. A poza tym, dlaczego chcesz odbierać starej kobiecie jedną z ostatnich przyjemności, jakie jej pozostały u schyłku życia? Albo wymagać, żeby na starość wystawała na ulicy, zamiast dać odpocząć nogom?

- Ten tekst o starej kobiecie zaczyna się już zużywać - skomentował Wedge i przeniósł wzrok na Corrana, trzymającego średniej wielkości kufel z aromatyczną zawartością. - A ty jak się będziesz wykręcał?

- W ogóle. - Corran wzruszył ramionami. - Dotrzymuję jej towarzystwa, jeśli to ci ulży. Jak rozumiem, nie dowiedziałeś się niczego.

- Bo nie miałem jak — warknął Wedge, przyglądając się kufłowi z niejaką pretensją: też by się właściwie czegoś napił, ale po próbie zganienia pozostałych, głupio mu było cokolwiek zamówić...

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch obok siebie i cofnął się akurat w porę, by droid-kelner mógł spokojnie postawić na blacie drugi identyczny kufel, rozlewając kilka kropel bothańskim zwyczajem.

- A to co takiego? - zdziwił się Antilles.

- Zamówiliśmy jeszcze zanim wszedłeś. - Moranda uśmiechnęła się promiennie. - Doszliśmy do wniosku, że po kontakcie z tutejszą biurokracją będziesz miał ochotę na coś ździebko mocniejszego niż gorąca czekolada.

Wedge omal nie parsknął śmiechem - i to by było na tyle, jeśli chodzi o nimb tajemniczości, otaczający ponoć dowódców. - Dzięki - powiedział i pociągnął solidny łyk.

- Więc co się stało? - spytała. - Nie pozwolili ci przejrzeć spisów statków, które przyleciały na

planetę.

- Nie bez piętnastu tysięcy zezwoleń - prychnął Wedge. - Jak to kiedyś ktoś ujął, żeby mi je udostępnił, powinienem przedstawić: „cztery podania, klucz do mieszkania, holozdjęcie ojca i kłódkę od kojca”. Szczyt debilizmu, jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie dane z tych wykazów są jawne: jak bym sobie posiedział w porcie i pospisywał, co przylatuje i ląduje, miałbym komplet informacji zawartych w owych spisach. - Robią się nerwowi - ocenił Corran. - Pewnie boją się, że „Zemsta Wellinga” może zacząć atakować ich najlepszych klientów.

- Jak by nie było, z biurokracją jeszcze nikt nie wygrał - podsumowała Moranda. - Wobec tego pozostaje nam zacząć myśleć logicznie. - Słuchamy - zapewnił ją Wedge.

- Chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że jeśli ktoś chce zniszczyć tutejszy generator pola, to otwarty atak można wykluczyć - podjęła temat. - O ile ktoś nie ma przenośnej wyrzutni granatów fotonowych, nic nie robi konstrukcji; jest zbyt silna i za dobrze chroniona. A wyrzutnię by wykryto, zanim ów ktoś znalazłby się w miejscu umożliwiającym oddanie strzału. Od sensorów aż się tu roi, głównie nastawionych na cięższy kaliber niż broń ręczna.

- A to znaczy, że muszą uciec się do podstępu - zgodził się Corran. - To jasne.

- Ale nie takie proste: nie mogą liczyć na przekupienie czy przeciągnięcie na swoją stronę kogoś z techników, a o wartownikach w ogóle nie ma co mówić - wyjaśniła spokojnie. - Szantaż też odpada, z braku czasu. Mogą natomiast umieścić coś na nich czy na ich ubraniach.

- Bombę? - spytał z niedowierzaniem Wedge. - Wątpię. Na dole jest spora przestrzeń, więc ładunek na tyle silny, by wyrządzić tam poważne szkody, byłby łatwy do wykrycia.

- W dodatku jeśli ten, kto opracowywał zabezpieczenia, choć trochę myślał, zapewne wszyscy wchodzący przebierają się zaraz po wejściu w inne ubrania, co załatwia zagrożenie tak ze strony ewentualnych ładunków, jak i rozmaitych kamer, nadajników i innych „pluskiew”, które jest znacznie trudniej wykryć - dodał Corran.

- A co z połączeniami podziemnymi, takimi jak linie przesyłowe czy rury kanalizacyjne? - spytała po chwili ciszy Moranda.

- Kanalizacji nie ma - poinformował ją Wedge. - Żywność i woda są przywożone i potrójnie skanowane przed zmagazynowaniem, a odpadki wywożone. Natomiast energia to zupełnie co innego...

- Każdy generator ma własne źródło energii, ale jest ono określane jako zapasowe czy ewakuacyjne - Horn w zamyśleniu za-bębnił palcami po stole. - Co oznacza, że normalnie generator działa dzięki energii przesyłanej z zewnątrz, i to podziemnym kablem. To może być to...

- A właściwie skąd to wszystko wiecie? - zainteresowała się Moranda. - Bo raczej nie z oficjalnych



reklamówek propagandowych?

- Z danych wywiadu Nowej Republiki - oświecił ją Wedge. -Niestety, informacje są nieco ubogie w szczegóły.

- Typowa bothańska paranoja informacyjna - prychnęła. - Nie sądzę, żebyście wiedzieli, gdzie dokładnie znajdują się te linie przesyłowe?

- Nie mamy nawet ogólnego pojęcia - przyznał Wedge.

- W takim razie to będzie druga sprawa do załatwienia -oświadczyła i widząc ich miny wyjaśniła: - Zorganizowanie planów budynku wraz z przyległym terenem. - Przypuszczam, że nie liczysz, iż Bothanie nam je dadzą -upewnił się Corran.

- Przecież powiedziałam „zorganizowanie” - parsknęła. - I dlatego jest to druga sprawa. W dzień nie wejdziemy do archiwum budowlanego.

- Godziny otwarcia są w dzień - Wedge spojrział wymownie na Corrana.

- Właśnie - uśmiechnęła się bardzo zachęcająco. - Szybko się uczysz.

- Corran?

- Otrzymaliśmy chyba rozkazy? - zapytany wzruszył ramionami. - A nasze działanie ma na celu ochronę nie tylko Bothan.

- Też mi się tak wydaje - przyznał niechętnie Wedge: Moranda, niestety, miała rację. - W takim razie co jest pierwszą sprawą do załatwienia.

- Pomyślałam sobie, że przydałoby się może sprawdzić wiadomości wysyłane w ciągu paru ostatnich dni z Bothawui. Jeśli „Zemsta” coś tu rzeczywiście majstruje, pewnie co jakiś czas muszą się odmeldować.

Wedge poczuł jak opada mu szczęka i nawet nie próbował nad tym zapanować. - Sprawdzić łączność? - spytał słabo, gdy zdołał przetrwać usłyszaną rewelację. - Masz pojęcie, ile wiadomości nadaje się dziennie z takiej planety jak ta?

- Pewnie więcej niż byłabym w stanie sobie wyobrazić - odparła beztrąsko Moranda. - Co powoduje, że nikt się nimi nie martwi i są ogólnie dostępne. Władze doszły do wniosku, że nikt nie jest na tyle zwariowany, by próbować sprawdzić wszystkie. - Wyłączając obecnych, jak słyszę.

- Poczekaj, to wcale nie jest taki idiotyzm, jak sądzisz - uniosła uspokajająco dłoń. - Na początek należy wykluczyć wszystkie wiadomości pochodzące z dużych i znanych firm: nawet gdyby któraś była w to zamieszana, nie wyśle ich przecież pod własnym szyldem. Za duże ryzyko. Dalej można

wykluczyć wszystkie wiadomości niekodowane i wszystkie dłuższe niż jakieś pięćdziesiąt słów. To chyba nieco zmienia postać rzeczy? - Dlaczego krótsze niż pięćdziesiąt słów? - spytał Wedge.

- Bo im wiadomość krótsza, tym trudniej ją odszyfrować - odparł Corran, choć także nieco niepewnie.  
- To jedna z zasad sprawdzonych przez CorSec. Ja mam trochę inną wątpliwość: skoro nie będziemy w stanie jej odczytać, po co w ogóle szukać? - Żeby się dowiedzieć, dokąd została wysłana, naturalnie - Moranda odstawiła pusty kielich. - Ci tutaj mogą zachowywać wszelkie środki ostrożności, ale wystarczy, żeby odbiorca tego nie zrobił i już ich mamy. Wystarczy, że będziemy znali system, a mogą uruchomić zasoby Talona Karrde, żeby zajęto się tym od drugiego końca. - Całość nadal brzmi jak wariactwo - ocenił Wedge. - Co ty na to, Corran?

- Nie większe niż nocne włamanie do archiwum budowlanego.

- Dzięki za przypomnienie - westchnął Wedge. - Dobrze, spróbujemy. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że komputer pokładowy promu poradzi sobie z tym zadaniem.

- Jeśli nie, to komputer mojego statku zrobi to na pewno - zapewniła go Moranda, wstając. - Chodźcie, szkoda czasu.

- Panie kapitanie?

Nalgol odwrócił się od wychodzącego na dziób okna, za którym niepodzielnie panowała ciemność. - Tak?

- Przyszła iskrówka od zespołu na Bothawui, sir. - Oissan, szef wywiadu na „Tyranie” stanął na baczność podając mu wiadomość. Obawiam się, że się panu nie spodoba, sir.

- Doprawdy? - Nalgol przyjrzał mu się uważnie i z namysłem: każda wiadomość była cennym urozmaiceniem monotonii oczekiwania niczym głuchoniemy, ale też każda, nawet tak krótka i szyfrowana, zwiększała szanse przeciwnika na odkrycie prawdy. A jeśli na dodatek zawierała złe nowiny... Jak zwykle była zwięzła:

„Dziesięć dni do rozbłysku, będziemy informowali o zmianach czasowych”.

- Dziesięć dni?! - Nalgol ponownie wpatrzył się w Oissana. - Co to za bzdury? Raport sprzed dwóch dni mówił, że zostało sześć! - Nie wiem, sir. Wiadomości muszą być krótkie...

- Wiem - westchnął Nalgol: dziesięć dni w ciemności! Tylko tego potrzebowała załoga do wzniecenia buntu. - Mam nadzieję, że Bastion jest informowany lepiej niż my.

- Bez wątplenia, sir. To w pewien sposób paradoksalne, ale znacznie bezpieczniej jest wysyłać długie wiadomości na normalnych częstotliwościach handlowych, używając Holonetu, niż

krótkodystansowe iskrówki do nas.

- Jestem niezłe zorientowany w zasadach łączności - przypomniał mu chłodno Nalgol.

Rozsądny podkomendny znalazłby sposób, aby czym prędzej zniknąć po dostarczeniu takiej wiadomości - albo Oissan okazał się nie tak rozsądny, za jakiego go uważał, albo też sam był wystarczająco poirytowany czekaniem w tych warunkach, by ryzykować spięcie z dowódcą. Albo też właśnie oceniał stan psychiczny przełożonego - a Nalgol, choć niechętnie, zmuszony był przyznać, że bezczynność i izolacja zaczynają działać mu na nerwy.

- Opóźnienie może zagrozić całej strategii - wyjaśnił, zmuszając się do spokoju. - Poza tym chciałbym wiedzieć, jak, do cholery, zdołali stracić sześć dni z dwumiesięcznego rozkładu.

- Nie wiedząc, na czym polega ich zadanie, nie sposób nawet zgadywać, sir. - Oissan wzruszył ramionami. - Musimy polegać na ich ocenie sytuacji i na geniuszu wielkiego admirała Thrawna.

- Tak... - mruknął Nalgol. - Problem w tym, czy ci wszyscy napaleńcy, krążący wokół Bothawui, zdołają wytrzymać jeszcze dziesięć dni, zanim zaczną strzelaninę. Ile tam jest obecnie okrętów?

- Ostatni meldunek mówił o stu dwunastu, sir.

- Sto dwanaście?! - zdumiał się Nalgol. - To niemożliwe!

- Możliwe, sir. W ciągu ostatnich dziesięciu dni zjawiono się trzydzieści jeden nowych jednostek.

Nalgol spojrział na wykaz - siły były wyrównane: przybyło czternaście okrętów diamalańskich i d'fariańskich, występujących jako siły probothańskie oraz siedemnaście okrętów ithoriańskich z przeciwnego obozu.

- Niewiarygodne! - potrząsnął głową. - Czy oni naprawdę nie mają nic lepszego do roboty?!

- Z meldunków zwiadu wynika, iż w okolicy nie ma więcej okrętów wyłącznie dlatego, że większość członków Nowej Republiki musiała zająć się własnymi problemami. Co do tych dziesięciu dni, sir, to wierzę w dyplomatów Nowej Republiki: zrobią co mogą, żeby panował spokój, dopóki nie będziemy gotowi.

- Pozostaje mieć taką nadzieję - zgodził się cicho Nalgol, odwracając się w stronę okna i panującej za nim ciemności.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli nie uda mu się postrzelać do tych parszywych obcych, będzie naprawdę wściekły.

Irytująco radosny sygnał oznajmiający otwarcie drzwi „Exoticalia Pet Emporium”, jak Navett

szumnie nazwał swój sklep ze zwierzakami, oznajmił przybycie Klifa. - Widzę, że interes kwitnie - powitał od progu gospodarza. - Dobrze, że klienci nie podusili się w tłoku. Przeszedł między rzędami pełnych klatek do lady.

- Interes wygląda dokładnie tak jak powinien - Navett oparł się o ladę i wskazał mu krzesło. - Nadałeś?

- Nadałem, ale wątpię, żeby treść się komuś spodobała.

- Witamy w klubie - Navett wzruszył ramionami. - Nam to bardziej psuje szyki, jakby ktoś nie wiedział: musimy opóźnić datę dostawy tych trzech mawkrenów i nic na to nie poradzimy. Kto mógł przewidzieć, że Bothanie wpadną na pomysł sześciodniowych dyżurów obsługi generatora?

- Nikt. A trudno jest podłożyć cokolwiek komuś, kogo nie można spotkać - dodał Klif.

- W sumie nie powinno to wiele zmienić: nasza oficjalna wersja jest nie do ruszenia, a Horric i Pensin mogą jeszcze trochę pozmywać naczynia, nic im nie będzie. Przeżyjemy te sześć dni bez kłopotów.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Klif. - Zgadnij, kogo spotkałem w centrum łączności, sprawdzając wiadomości?

- Nie chcesz chyba... - Navett zmrużył oczy. - Tych dwóch z Nowej Republiki? - We własnych nadętych osobach. Tym razem byli z kimś jeszcze: ze starszą kobietą w pelerynie z kapturem, która radziła sobie znacznie lepiej niż oni. Wyglądała na kogoś ze sporym doświadczeniem przemytniczym i nie tylko...

- Myślisz, że to ona załatwiła naszych kieszonkowców? - Portfele mieli, więc prawdopodobnie ona.

- Wojskowi Nowej Republiki i doświadczona doliniara... Navett podrapał się po podbródku - interesujące. Nadawali czy odbierali wiadomość?

- Brali wykaz transmisji z ostatnich pięciu dni. - Jeszcze ciekawsze... co o tym sądzisz?

- Próbuje nas namierzyć. A przynajmniej wiedzą, że istnieje jakaś grupa próbująca uszkodzić tutejszy generator pola, bo inaczej nie spędziliby tyle czasu w tym rejonie. - Załatwić ich - warknął zwięźle Klif. - Dziś w nocy.

Navett przeniósł wzrok na okno wystawowe, za którym przelewał się tłum przechodniów i pojazdów - Drew'starm zawsze było ruchliwym miejscem, a teraz stało się jeszcze ruchliwsze, jakby mieszkańcy starali się aktywnością zabić strach... - Nie - powiedział wolno. - Nie namierzają nas... podejrzewają, że komuś może chodzić o ten generator, ale nie mają pewności. Jeśli spróbujemy i nie załatwimy wszystkich, będą ją mieli. Lepiej spokojnie poczekać i nie dać się sprowokować. - Nie podzielam twojej opinii, ale ty tu dowodzisz. Chociaż z drugiej strony, gdyby chodziło im o

"Zemstę", takiej sławnej organizacji nie będą szukać w tanim małym sklepiku.

- Właśnie - uśmiechnął się Navett. - A gdyby zaczęli węszyć za blisko, zawsze można ich załatwić albo zorganizować małe rozruchy... o ile naturalnie weźmiesz udział w kolejnym przedstawieniu.

- Rozruchy to żaden problem. - Klif wzruszył ramionami. - Ale drugi raz na Bothawui można by uznać za proszenie się o nieszczęście. -

Jedno z przebywających w klatkach zwierząt pisnęło dwa razy i ucichło - zapewne któraś z samic mawkrenów miała koszmarki senne. Navett doszedł do wniosku, że musi zacząć stosować zastrzyki blokujące, bo inaczej sześć dni przed czasem będzie miał pod nogami stado świeżo urodzonych jaszczurek. - Chciałbym wiedzieć, kim oni są - mruknął.

- Może zdołamy to ustalić - Klif podszedł do czytnika stojącego na ladzie. - Szedłem za nimi do portu. Okazało się, że mają ciekawy statek... właściwie okręt: „Pacyfikator”.

Navett skrzywił się odruchowo - Sydon MRX-BR „Pacyfikator” był jednostką zwiadowczą, używaną przez Imperium do poszukiwania nowych planet. Na wszelki wypadek miał też potężne uzbrojenie, gdyby przypadkiem okazało się, że świeżo odkryty świat należy natychmiast spacyfikować. Nowa Republika uznała te jednostki za zbyt prowokacyjne i najpierw zaprzestano ich używania, a potem sprzedano prywatnym użytkownikom - był to kolejny przykład bezsensownych działań i upadku wszystkiego, co zaczęło się po Bitwie o Endor.

- Masz nazwę? - spytał, otrząsając się z ponurych wizji.

- I kod rejestracyjny. Niestety to jednostka tej kobiety, ale dzięki niej możemy dojść do tych dwóch.

- Doskonale - Navert zajrzał mu przez ramię. - „Opuszkowy Ekspres”, jakie to ludzie teraz nazwy wymyślają... chyba gdzieś w Drev'starm powinno być biuro rejestracyjne statków. Poszukaj go i zobacz, co się da z nich wycisnąć.

- Aha... - ucieszyła się Moranda, pochylona nad klawiaturą komputera pokładowego. - No, no, no...

Siedzący beczynnie obok niewielkiej, mieszczącej tylko terminal i fotel, alkowy Wedge przestał kontemplować kosztowną rzeźbę konturową wiszącą na ścianie i skończył jałowe rozważania, jakim cudem Moranda weszła w jej posiadanie. - Znaleźliście coś?

- Możliwe. - Corran wyprostował się: przez ostatnie dwie godziny stał za fotelem Morandy, służąc radą i obserwując jej poczynania. - Trzy krótkie i zaszyfrowane wiadomości nadane w ciągu ostatnich pięciu dni. Ostatnia dziś rano. - O której? - Wedge wstał.

- Jakies dziesięć minut przed naszym przybyciem - odparła Moranda. - Powinniśmy szybciej pić. Szkoda.

- Wedge skrzywił się z niesmakiem - szkoda nie było tu najwłaściwszym określeniem. Biorąc pod uwagę zdolności Corrana jako Rycerza Jedi, najprawdopodobniej zdołaliby zidentyfikować wysyłającego ową informację. Gdyby zjawili się na czas. - Dokąd zostały wysłane?
- Do sektora Eislomi, a konkretnie do stacji przekaźnikowej HoloNetu Eislomi III - poinformowała go Moranda. - A więc martwy trop... - Na to wygląda.
  - Jeśli wysłali trzy wiadomości, wyślą i następne - głos Horna był opanowany i spokojny, mimo że czuł to samo co Wedge: rozczarowanie i frustrację. - W najgorszym wypadku możemy obserwować centrum.
  - Strata czasu - sprzeciwiła się Moranda. - Jeżeli nie są ślepi i głusi, zobaczą obserwatora z sześćdziesięciu metrów.
  - To zależy, jak ta obserwacja będzie prowadzona - uparł się Corran. - I przez kogo.
  - Może przez ciebie? - Moranda przyjrzała mu się z zaciekawieniem. - Pewnie, będziesz równie niewidoczny jak szturmowiec na balu ewoków. - Myślałem, że jak Wookie na imprezie u Noghri.
  - Jesteś zdolny: w obu wypadkach osiągniesz podobny efekt.
  - Serdeczne dzięki - warknął Corran. - Lubię być doceniany.
  - Uspokójcie się - wtrącił się Wedge. - Corran ma rację i doświadczenie w takich zajęciach, ale ty również masz rację, że to strata czasu, bo nie mamy go za dużo, nie mówiąc o siłach potrzebnych do pełnej, całodobowej obserwacji. Ani o tym, że nie wiemy, czy ponownie użyją akurat tego centrum łączności.
  - Przynajmniej mamy pewność, że ktoś tu działa, jak podejrzewaliśmy - podsumowała Moranda. - To już coś. - Nadal za mało - ocenił Corran.
  - Ale nie sprawdziliśmy jeszcze jednego tropu - wtrącił pospiesznie Wedge. - Zakładając, że ta cała „Zemsta” nie jest rodzimego chowu, co wydaje się mało prawdopodobne, i biorąc pod uwagę, iż jest w zasadzie głównie antybothańska, musieli znaleźć jakieś lokum, skąd mogliby działać. Pytanie: gdzie?
  - To powinien być jakiś interes - oświadczyła Moranda. - Sklep, firma, usługi... coś w tym guście.
  - Racja - zgodził się Corran. - Mieszkanie jest zbyt ryzykowne: za dużo gości w dziwnych porach. Przy knajpie albo sklepie zawsze można wytłumaczyć to klientem, dostawą czy sprzątnięciem.
  - I w dodatku własny interes, bo praca u kogoś nie daje wystarczającej swobody - uzupełniła. - A więc coś niewielkiego, niedawno uruchomionego i prawdopodobnie blisko generatora... tak blisko, jak zdołali znaleźć.

- Właśnie - ucieszył się Wedge. - A ponieważ planami budynku mamy się zająć po zmroku...

- To na co czekamy? - Corran odkleił się od ściany i ruszył ku słuzie. - Gdzieś w tym mieście musi być wykaz firm z datami rozpoczęcia działalności. Poszukajmy go!

# R O Z D Z I A Ł 1 9

- Nie - kapitan Ardifff z emfazą stuknął widelcem. - Nie wierzę. Mowy nie ma.

- A co z nowościami podawanymi w wiadomościach? - skontrolował pułkownik Bas. - Nawet siedząc tu, odebraliśmy już pięć. Jeśli to jakiś kant, to cholernie dobry, z przeproszeniem za określenie, sir.

Ostatnie zdanie skierowane było pod adresem Pellaeona.

- Proszę się nie przejmować językiem, pułkowniku - uśmiechnął się Pellaeon. - Pańskie przeprosiny zostały przyjęte.

Bas wywodził się spośród pilotów myśliwskich i choć próbował dostosować się do imperialnego korpusu oficerskiego, nie dokonał tego, nagminnie używając pieprznego języka jako swoistego wyróżnika, co zresztą Pellaeonowi nie przeszkadzało. Nie dlatego, że lubił jak ktoś klnie, ale Bas zawsze otwarcie wyrażał swoje opinie i uczucia, co należało raczej do rzadkości. Był to zresztą główny powód, dla którego od dłuższego czasu pozostawał w randze pułkownika.

- To tylko plotki. - Ardifff potrząsnął głową. - Fakty mówią same za siebie: Thrawn nie żyje, a obecny tu pan admirał był świadkiem jego śmierci. A więc jeśli to kant, to... Pellaeon spuścił oczy na talerz, nadział na widelec następny kawałek brullaka i wyłączył się z dyskusji. Argumenty, jakie tu padały, krążyły po całym okręcie od tygodnia, czyli od chwili, w której porucznik Mavron powrócił z informacjami o pojawieniu się Thrawna w systemie Kroctar. Wszyscy na pokładzie mieli własne zdanie na temat prawdziwości tych rewelacji i nikt nie był w stanie niczego udowodnić, toteż napięcie wśród załogi rosło z godziny na godzinę. Szczęśliwie oczekiwanie dobiegło końca - dał generałowi Bel Iblisowi pełne półtora miesiąca na przygotowania i czekał w umówionym miejscu równe dwa tygodnie. Bel Iblis z jakichś powodów się nie zjawił, należało zatem wracać do Imperium, a konkretnie na Bastion, dowiedzieć się, co dokładnie kombinuje moff Disra. Jak tylko zakończą posiłek, wyda odpowiednie rozkazy i jeśli Bel Iblis nie zjawi się w ciągu godziny...

- Panie admirale, tu oficer wachtowy - rozległ się z głośnika głos majora Tschela. Ardifff pierwszy dopadł przełącznika.

- Kapitan Ardifff- warknął. - Proszę meldować, admirał też tu jest. - Do systemu właśnie wleciał obcy statek, sir.

- Znowu piraci? - Ardifff spojrzał pytająco na Pellaeona, ale odpowiedzi udzielił Tschel.

-Nie sędzę, sir. To koreliański frachtowiec serii YT-1300 o lekkim uzbrojeniu. Jest sam i nadano z



niego prośbę o wejście na pokład i spotkanie z admirałem, panie kapitanie. Pellaeon odetchnął głęboko i spytał: - Ktoś się podpisał pod tą prośbą?

- Tak jest, sir. Senator Nowej Republiki Leia Organa Solo, sir.

„Sokół Millenium” wyłonił się z blasku słońca w eskorcie czterech myśliwców TIE i wleciał w cień rzucany przez kadłub niszczyciela, kierując się ku głównemu pokładowi lądowiskowemu.

- Teraz już nie mamy odwrotu - powiedział cicho Elegos.

- Fakt - Leia trzymała dłonie na sterach, ale był to odruch: wszystkie manewry wykonywał za nią operator promienia ściągającego na pokładzie niszczyciela. - Nie mamy. - Niepokoi cię to? O czym myślisz?

- Z jednej strony tak, bo ryzykujemy, a tego rozsądne istoty starają się unikać - wzruszyła ramionami. - Ale nie każde ryzyko jest złe i to, które podjęliśmy, można uznać za dobre i potrzebne. A jeśli chodzi o drugie pytanie, cieszę się, że na pokładzie nie ma Threepio, bo od godziny by desperował, że jesteśmy zgubieni.

Elegos zachichotał, co przedstawicielom jego rasy rzadko się zdarzało.

- Doskonale - pochwalił. - Niewiele o tobie wiedziałem, wyruszając w tę podróż, naturalnie poza tym, co przeczytałem i usłyszałem od innych. Ten lot, choć krótki, okazał się niezwykle pouczający i cokolwiek by się stało, zawsze będę się uważał za zaszczyconego, że mogłem cię poznać.

Leia odetchnęła głęboko - same jego słowa brzmiały ponuro, ale w połączeniu z ciepłym, głębokim głosem zamiast strachem i groźbą napawały odwagą nadzieją i siłą. A co ciekawsze - uczucia te nie pochodziły od Elegosa, lecz z jej własnych, ukrytych rezerw, które jego obecność i słowa w jakiś sposób zdołały uaktywnić.

Nic dziwnego, że żądny władzy Palpatine zrobił co mógł, by zniszczyć istoty, które uważał za tak groźne dla swych planów.

W międzyczasie frachtowiec osiadł na pokładzie, zatem Leia wyłączyła systemy pokładowe i otworzyła służę. Gdy wraz z pozostałą trójką stanęła na rampie, zobaczyła, że oczekuje na nich tylko jedna postać - siwy oficer w mundurze admirała, wyprostowany w postawie zasadniczej, typowej dla kogoś o długoletniej służbie wojskowej. - Jestem admirał Pellaeon - przedstawił się z lekkim ukłonem, gdy Leia zeszła. - Witam panią na pokładzie „Chimery”.

- Dziękuję, admirale - Leia odkloniła się uprzejmie. - Długo się nie widzieliśmy. - Obawiam się, że ma pani nade mną przewagę. - Pellaeon zmarszczył z namysłem czoło. - Nie wiedziałem, że się kiedykolwiek spotkaliśmy.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, to prawda. Ale pamiętam, że ojciec wskazał mi pana na Wielkim Balu w Królewskim Pawilonie na planecie Alderaan. Miałam wtedy dziesięć lat, a pan był kapitanem. Ojciec powiedział, że jest pan jednym z najbardziej obiecujących oficerów w imperialnej flocie.

- Dobrze pamiętam ten okres... - powiedział cicho. - Choć z pewnych względów wolałbym mieć gorszą pamięć. Może zechciałaby mnie pani przedstawić reszcie delegacji?

- Naturalnie. - Leia uznała, że chwilowo lepiej będzie pominąć nieoficjalny status grupy. - To Elegos A'kla, Powiernik Pozostałości Caamas.

- Witam, Powierniku A'kla - Pellaeon uśmiechnął się leciutko.

- Panie admirale. - Elegos skłonił się uroczyście wedle zwyczaju swej rasy.

- A oto Sakhisakh z klanu Tlakh'sar - kontynuowała Leia. Uśmiech Pellaeona stężał.

- Naturalnie - powiedział powoli. - Alderaan, Caamas, Honoghr... planety, których mieszkańcy mają najwięcej powodów, by nienawidzić Imperium. Sakhisakh drgnął, lecz uprzedził go Elegos:

- Nie żyjemy nienawiści czy złości do pana, admirale Pellaeon ani do obywateli Imperium. Nasze planety zniszczył Imperator Palpatine, od lat nieżyjący. Podsycanie nienawiści niczego nam nie da.

-Dziękuję, Powierniku. Doceniam pańską wspaniałomyślność i mądrość. - Pellaeon spojrzał przelotnie na Sakhisakha i skupił uwagę na Ghencie, nerwowo przestępującym z nogi na nogę obok Elegosa. - A jakie nieszczęście pan reprezentuje? - Ja? - zdziwił się Ghent. - Żadnego. Prawdę mówiąc, nawet nie należę do delegacji... jestem zwykłym oficerem, który zrekonstruował wiadomość od Vermela do Bel Iblisa. Z twarzy Pellaeona zniknął uśmiech.

- Co to znaczy „zrekonstruował”? - warknął admirał. - To pułkownik nie przekazał jej osobiście?!

- Obawiam się, że nie zdążył - odparła Leia. - Według raportu generała Bel Iblisa korweta pułkownika została przechwycona przez niszczyciel klasy Imperial podczas podchodzenia do planety Morishimi.

- Przechwycona i zniszczona? - oczy Pellaeona błysnęły groźnie.

- Nie, przynajmniej nie w trakcie przechwytywania: została ściągnięta na pokład lądowiskowy, po czym niszczyciel natychmiast wszedł w nadprzestrzeń - wyjaśniła Leia.

- Rozumiem - przez długą chwilę Pellaeon stał, wpatrując się w pustkę z naprawdę paskudną miną.

Leia spróbowała wyczuć jego emocje, ale gniew blokował wszystkie zbyt skutecznie, toteż postanowiła poczekać, aż oficer przerwie milczenie. Zrobił to jednak Elegos.

- Jak rozumiem, pułkownik Vermel był pana bliskim przyjacielem - powiedział cicho.

- Mam nadzieję, że nadal jest - Pellaeon ocknął się. - Jeśli nie, to ktoś za to zapłaci, i to z nawiązką. Ale przybyłście tu rozmawiać o pokoju, nie o zemście. Jeśli pozwolicie, mam w pobliżu przygotowaną salę konferencyjną.

- Wolalabym, aby rozmowy odbywały się na pokładzie mojego statku, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, admirale. - Leia uśmiechnęła się bez wesołości. - Obawiam się, że moja ochrona nie da się w tej kwestii przekonać.

Przez sekundę wyczuła u Pellaeona niepewność, potem strach, a w końcu zrozumienie.

- Ma pani na pokładzie oddział Noghri - uśmiechnął się, spoglądając na frachtowiec. - Obserwujących nas z gotową bronią.

- Panu, admirale, nie będzie groziło żadne niebezpieczeństwo -zapewnił go Elegos. - Chyba że sam pan je sprowadzi na pokład.

- W takim razie przyjmuję zaproszenie pani senator - tym razem Pellaeon uśmiechnął się nieco szerzej. - Proszę wskazać drogę.

Minutę później siedział wraz z Leią i Elegosem przy stoliku w sekcji mieszkalnej „Sokoła Millenium”, zwykle służącym do hologier. Było to wręcz niewiarygodnie nieformalne miejsce na tak doniosłe rozmowy, ale jedynie tutaj wszyscy mogli usiąść. Sakhisakh bez słowa komentacza stanął w drzwiach, skąd mógł brać udział w dyskusji, mając równocześnie na oku służbę wejściową. Ghent, też bez komentacza, siadł w fotelu przed konsolą stanowiska technicznego i zajął się komputerem pokładowym. - Jeśli pani pozwoli, przejdę od razu do rzeczy - zagaił Pellaeon, z pewnym wysiłkiem odrywając wzrok od Sakhisakha. -Wojna, która zaczęła się dwadzieścia lat temu, w praktyce już się zakończyła... i Imperium przegrało.

- Zgadzam się, ale czy tę opinię podzielają również inni kierujący Imperium? - spytała Leia. Na policzku Pellaeona zadrgał mięsień.

- Jak sądzę, przeciętny obywatel zdał sobie z tego sprawę już jakiś czas temu, natomiast przywódcy kurczowo trzymali się nadziei na uniknięcie jakimś cudem nieuniknionego - przyznał.

- A obecnie przywódcy skłonni są zgodzić się z nami i przeciętnymi obywatelami? - Niechętnie, ale są. Ośmiu pozostałych moffów upoważniło mnie do rozpoczęcia negocjacji z Nową Republiką.

Leia poczuła nagły ucisk w gardle - dopiero teraz uwierzyła, że to prawda.

I że istnieją realne szanse na pokój z Imperium.

- Jak sam pan powiedział, Imperium przegrało - głos Elegana przerwał powstałą ciszę. - To co tu

negocjować?

Leia była mu naprawdę wdzięczna za przypomnienie o ciążyących na niej obowiązkach - reprezentowała Nową Republikę i nie mogła pozwolić, by emocje przysłoniły jej realną ocenę sytuacji.

- Powiernik A'kla słusznie zauważył - podjęła. - Wiemy, co wy zyskacie dzięki takiemu traktatowi, ale co my możemy zyskać?

- Wbrew pozorom może wcale nie zyskamy tak wiele - skontrował Pellaeon. - Nowa Republika ma od pewnego czasu poważne problemy wewnętrzne i wszystko wskazuje na to, że stają się one coraz poważniejsze. Część moffów uważa, że stoicie na krawędzi wojny domowej, wywołanej przez sprawę Caamas. Wojny oznaczającej koniec Nowej Republiki, na czym pozostałości Imperium mogą tylko skorzystać. A wtedy po co mielibyśmy się zastanawiać nad upokorzeniem, jakim jest traktat pokojowy? Leia poczuła suchość w ustach - pytanie było jak najbardziej logiczne.

- Gdyby pan był naprawdę przekonany, że jesteśmy na najlepszej drodze do samozagłady, nie byłoby tu pana, admirałe - zauważyła.

- Możliwe. Albo może po prostu uważam, że ci, którzy najbardziej nienawidzą Imperium, nie zapomną o nas nawet w środku wojny domowej. - Pellaeon zrobił krótką przerwę i dodał: -A może byłbym w stanie powstrzymać wybuch tej wojny. - Jak? - Leia zmarszczyła brwi.

- Może najpierw ustalmy, czego Imperium oczekuje od traktatu. Chcemy potwierdzenia aktualnych granic jako oficjalnych, gwarancji wolnego handlu i podróży między planetami, należącymi do Imperium i Nowej Republiki bez szykan celnych i innych utrudnień, zapewnienia o wstrzymaniu jakichkolwiek rajdów pogranicznych i nie wywierania żadnej presji propagandowej.

- A co z niehumanoidalnymi rasami żyjącymi pod panowaniem Imperium? - spytał Sakhisakh nieprzyjaźnie. - Mamy tak po prostu zaakceptować ich zniewolenie? - Imperium, które wykorzystywało inteligentne rasy i zmieniało je w niewolników, od dawna jest martwe. - Pellaeon potrząsnął głową ze zdziwieniem. - Ludzka dominacja z czasów rządów Palpatine'a zmieniła się we współpracę na równych prawach. Możecie to sami sprawdzić, jeśli macie ochotę.

- Czy wszystkie rasy uważają, że są sobie równe? - spytała Leia.

- Prawdopodobnie nie, lecz po zawarciu traktatu każdy system znajdujący się na terytorium Imperium będzie miał możliwość Przyłączenia się do Nowej Republiki - wyjaśnił spokojnie Pellaeon. - Naturalnie oczekujemy, że każdy system znajdujący się w waszych granicach, jeśli zechce dołączyć do Imperium, również uzyska taką możliwość i zostanie objęty tymi samymi zasadami wolnego handlu i podróży. Może to nieco skomplikować przebieg granic, ale będzie uczciwe i zażegna sporo lokalnych konfliktów.

- Tylko idioci chcieliby zrezygnować z wolności i przyłączyć się do Imperium - prychnął Sakhisakh.

- Być może wynik niejednego zaskoczy, ale wolność, jak by nie było, jest rzeczą względną i subiektywną - sparował spokojnie Pellaeon. - W dodatku nie jesteśmy, jak już mówiłem, Imperium z czasów Palpatine'a.

Noghri mruknął coś obelżywego, jednak na tyle cicho, że nikt go nie zrozumiał, i umilkł.

- Naturalnie gwarancje bezpieczeństwa, wolnego handlu i powstrzymywania się przed atakami tak pogranicznymi, jak i propagandowymi obejmą obie strony - podjął Pellaeon. - Przewidujemy także zakaz ataku regularnych sił którejkolwiek ze stron oraz wykorzystywania do tego celu korsarzy czy najemników. No i oczywiście całkowity zakaz prowokacji. A gdybyśmy się jeszcze gdzieś natknęli na jakąś superbroń Imperatora, to wspólnie rozbroimy ją i zneutralizujemy.

- A co z superbronią której używacie? - spytała, siląc się na spokój, Leia. - Jaką superbronią? - zdumiał się Pellaeon.

- Tą która już omal nie pokonała nas kiedyś w przeszłości: wielkim admirałem Thrawnem.

- Nie wiem - Pellaeon zacisnął wargi, a Leia wyczuła falę niepewności i zaniepokojenia przetaczającą się przez jego umysł. - Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Co konkretnie ma pan na myśli, admirale? - spytała, spoglądając na Elegosa.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Przez ostatnie dwa tygodnie czekałem tu na generała Bel Iblisa, a już tydzień wcześniej utrzymywaliśmy całkowitą ciszę łącznościową, toteż o tym, że pojawiły się informacje o powrocie Thrawna dowiedziałem się zaledwie kilka dni temu.

Leia skoncentrowała się, sięgając po Moc, ale nie zdołała wykryć fałszu w myślach ani w emocjach rozmówcy.

- Powiedział pan „pojawiły się informacje” - odezwał się Elegos. - Czyżby dobór słów implikował, że nie wierzy pan w prawdziwość tych wiadomości?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, w co mam wierzyć. Aż do tej pory nie wątpiłem w jego śmierć. Byłem na mostku „Chimery” podczas ataku Rukha, a potem przy Thrawnem, gdy wydawał się umierać.

- Ponownie użył pan słowa wskazującego, że nie jest pan przekonany, admirale - Elegos nie ustępował. - To jak w końcu było: zginął czy nie zginął?

- Nie wiem - westchnął Pellaeon. - Thrawn należał do rasy humanoidalnej o nieznanym mi budowie i fizjologii... Czy ktoś go naprawdę widział? Ktoś, komu ufać? - Mój przyjaciel Lando Carlissian został przymusowo zaproszony na pokład niszczyciela „Niezlomny” wraz z diamalańskim senatorem, którego przewoził - odparła Leia. - Obaj twierdzą, że rozmawiali z autentycznym Thrawnem.

- „Niezlomny”. - Pellaeon zmarszczył brwi. - Okręt Dorji... on znał Thrawna osobiście, więc raczej

trudno uwierzyć, żeby dał się nabrać... albo by ryzykował swój okręt bez naprawdę istotnych powodów.

- Przyszło mi na myśl, panie admirale - Leia zawahała się na moment - że te rozmowy mogą się okazać nieco przedwcześnie. Jeśli Thrawn żyje, należy założyć, iż nie jest pan już Naczelnym Dowódcą Sił Zbrojnych Imperium.

- Jeśli żyje, z pewnością obejmie to stanowisko - zgodził się spokojnie Pellaeon. - Jednakże w tej chwili jest to nieistotne: wojsko podlega moffom, a oni upowaznili mnie do tych negocjacji.

- Czy owo upoważnienie nie traci ważności w związku z powrotem Thrawna? - nie ustępowała Leia.

- Może ją stracić, gdy zostanie powiadomiony o takiej decyzji. Do tego momentu mam wszystkie potrzebne upoważnienia.

- Rozumiem... - Leia z namysłem i uwagą spojrzała na siedzącego na pozór spokojnie oficera: dowiedział się przed paroma dniami o powrocie Thrawna i zamiast pospieszyć po informację, utrzymał blokadę łączności i czekał.

Powodem takiego postępowania była nie tylko nadzieja, że Bel Iblis jednak się zjawi, ale i świadomość, iż jedynie w ten sposób nadal miał prawo negocjowania traktatu w imieniu Imperium, gdyby Garm się zjawił. A to oznaczało rozpoczęcie procesu, którego nie mogliby tak łatwo powstrzymać czy odwrócić nawet moffowie lub Thrawn. Pellaeon nie grał i nie brał udziału w żadnej dezinformacji, chyba że całkowicie nieświadomie - on naprawdę pragnął pokoju.

- Czy Thrawn powiedział coś szczególnego? - spytał Pellaeon, przerywając jej rozmyślenia. - Bo sądzę, że pozwolono im odlecieć... naprawdę niewielu zdołało uciec z pokładów imperialnych niszczycieli.

- W pewien sposób wiadomość, którą przekazał za ich pośrednictwem władzom Nowej Republiki, była podobna do pańskiej, admirale - poinformowała go Leia. - Ostrzegł, że zmierzamy do samozniszczenia i zaoferował swoją pomoc w uniknięciu wojny domowej. - Jak została przyjęta jego oferta?

- Nie została, ponieważ zaproponował warunki nie do przyjęcia: chciał porozmawiać bez świadków z bothańskimi przywódcami i uważał, że dowie się z tych rozmów, kto jest odpowiedzialny za sabotaż generatorów pola planetarnego Caamas - odparła Leia.

- Interesujące - Pellaeon potarł w zamyśleniu podbródek. - Ciekawe, jak zamierzał to osiągnąć... o ile oni nie znają prawdy, ma się rozumieć.

- Twierdzą, że nie znają, a biorąc pod uwagę wzrastające zagrożenie dla całej rasy bothańskiej, uważam za wysoce wątpliwe, by nie przekazali nam tych informacji, gdyby je znali - zauważyła Leia.

- Bothanie mają aż za dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy.

- Zasugerował pan, admirale, że zna pan sposób zapobieżenia wojnie domowej - wtrącił Elegos. -  
Mógłby pan wyjaśnić dokładniej, na czym on polega?

Widać było, że zapytany przestawia się na nowe tory myślowe, toteż chwilę trwało, nim odparł:

- Zdajecie sobie państwo naturalnie sprawę, że najszybszym rozwiązaniem kryzysu byłoby opublikowanie listy osobników współwinnych za zniszczenie Caamas. W zamian za rozsądne warunki traktatu pokojowego Imperium zgodziłoby się wam udostępnić.

Leia spojrzała na Sakhisakha, który ledwie zauważalnie drgnął -jeśli nic im nie stało na przeszkodzie, Han i Lando powinni już prowadzić poszukiwania na Bastionie.

- Ot tak, po prostu? - spytała podejrzliwie. - Zwyczajnie pan ją nam wręczy?

- Kiedy tylko dostanę ją do ręki. Jest bowiem pewien problem: jeśli ta lista istnieje, znajduje się w specjalnej części archiwum, do której dostęp zawsze był bardzo ograniczony i do której ani ja, ani nikt inny nie zna kodów. Przynajmniej oficjalnie. Jeśli mamy zdążyć na czas z ogłoszeniem listy, zmuszony jestem prosić Nową Republikę o wypożyczenie najwyższej klasy slicera, znajdującego się także na deszyfrazu. Od strony pulpitu technicznego dobiegł zduszony charkot -Ghent nadal siedział nad konsolą komputera, ale teraz siedział na baczność.

- A dokąd ten specjalista miałby się udać? - spytała Leia, nie spuszczać wzroku z Ghenta. - Na Bastion?

- Do bazy wywiadu na Yaga Minor. Jej dowódca jest moim przyjacielem, a użycie znajdującego się tam odosobnionego terminalu nie zwróci niczyjej uwagi - wyjaśnił Pellaeon. - Na Bastionie byłoby zbyt niebezpiecznie.

- Jak to zbyt niebezpiecznie? - spytała Leia, czując serce w gardle.

- Bastion to planeta, na której, zanim przeniesiono tam stolicę Imperium, rządził najbardziej przeciwny pokojowi ze wszystkich moffów. Moff Disra nadal ma tam wielu zaufanych i nader silną pozycję. A wszystko wskazuje na to, że prowadzi też prywatną wojnę, używając wynajętej bandy piratów i nielegalnie uzyskanych funduszy. - O piratach wiemy - głos Lei nie drżał, co ją samą zaskoczyło. - O ile dobrze rozumiem, na Bastionie nawet przy pańskiej ochronie wysłannikowi Nowej Republiki groziłoby niebezpieczeństwo?

- Gdyby zaczął grzebać w imperialnym archiwum, Disra dowiedziałaby się o tym w ciągu sześciu godzin. A w ciągu następnych sześciu wydarzyłby się jakiś przekonujący wypadek. Yaga Minor jest zdecydowanie bezpieczniejsza.

- Miło słyszeć - Leia ponownie zerknęła na Sakhisakha, ale tym razem niczego nie dał po sobie poznać.

- Może pani dostarczyć takiego eksperta? - spytał Pellaeon.

- Nie wiem - przyznała, odrywając myśli od niebezpieczeństwa grożącego Hanowi. - Wątpię. - Proszę?! - zdziwił się admirał.

- Nie sądzę, abyśmy zdołali znaleźć kogoś takiego od ręki - odparła, spoglądając nieznacznie na Ghenta, strzygącego uszami, choć nadal zwróconego ku terminalowi. - Po podpisaniu traktatu najprawdopodobniej tak, ale w tej chwili to raczej niemożliwe. - Wtedy będzie za późno - ostrzegł Pellaeon. - Wprawdzie moje jednostki zwiadowcze nie są w stanie przechwycić wszystkich nowin, ale nawet z tego co wiem, wasza sytuacja pogarsza się dosłownie z dnia na dzień. A nawet doświadczony slicer potrzebuje czasu, by włamać się do tak zabezpieczonej bazy danych. No i jest jeszcze coś... podejrzewamy, że jeden z ludzi Disry już raz zdołał się tam dostać. Nie jesteśmy tego pewni i nie wiemy, czego szukał, ale wspomniany dokument wydaje się wysoce prawdopodobnym celem. Nie mamy niestety gwarancji, że ktoś nie zdoła tego zrobić ponownie. Jeżeli mu się uda i skasuje te dane, nigdy nie poznamy prawdy, a jedynym sensownym rozwiązaniem jest jak najszybsze...

- Już dobrze! - przerwał mu Ghent, odwracając się razem z fotelem. - Dobra, polecę.

Leia aż zamrugła ze zdziwienia - Ghent okazywał się ostatnio skarbnicą niespodzianek.

- To może być niebezpieczne - ostrzegła. - Lepiej się zastanów.

- Niebezpieczeństwo oceniam jako znikome - sprzeciwił się Pellaeon.

- Nieważne - głos Ghenta trochę drżał, ale dźwięczało w nim zdecydowanie. - Elegos opowiedział mi, co się stało z jego planetą. O tym jak wszyscy zginęli... nawet zwierzęta. Nienawidzę drani, którzy to zrobili i nienawidzę Bothan za to, że im pomogli. Gdyby nie ci zawszańcy, zniszczenie Caamas byłoby niemożliwe. Elegos co prawda mówił, że nienawiść bardziej potem boli nienawidzącego, ale to się okaże dopiero później. Zgadzam się z nim, że sprawiedliwość to nie ślepa zemsta i z tym, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to co robimy i czego nie robimy. Niewinni nie mogą płacić za winnych... Jestem slicerem, i to dobrym, o czym wiecie. I odpowiadam za swoje czyny tak jak ty czy Elegos, więc gdybym nie pomógł, mogąc to zrobić, to... nie jestem dobry w gadaniu, ale mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem doskonale - zapewniła go Leia, do której adresowana była znaczna część tej wypowiedzi. - I doceniam twoją propozycję. Problem w tym, czy pozwolę ci tak ryzykować.

- Wydaje mi się, że łatwo możesz go rozstrzygnąć - wtrącił Elegos. - Jesteś Jedi, więc odpowiedz sobie na pytanie: czy właściwe jest, by Ghent udał się do bazy wywiadu imperialnego na Yaga Minor?

Ponownie miał rację, co nie znaczyło, że Leii musiało się to podobać. Skoncentrowała się i sięgnęła po Moc, lecz tym razem umiejętności ją zawiodły: obojętne, czego by nie próbowała, wyczuwała



jedynie własny strach o Hana i żal do siebie, że pozwoliła mu, a nawet zachęciła do całej tej wyprawy. Czuła też żal i gniew, że pomimo upływu tylu lat nic się nie zmieniło - znów ona i Han mieli ryzykować wszystko dla dobra innych. Spróbowała zapanować nad emocjami, ale był to wysiłek z góry skazany na fiasko. Tak samo zresztą jak próba poznania przyszłości Ghenta.

- Nie wiem - przyznała w końcu. - Nie jestem w stanie niczego wyczuć.

- Czy to oznacza, że grozi mu niebezpieczeństwo? - zdziwił się Pellaeon.

- Każdemu w tej galaktyce grozi niebezpieczeństwo, admirale - uśmiechnął się Elegos. Nawet Jedi nie są w niej zupełnie bezpieczni ... Ale większość z nas przez całe życie nie wie, czy w danym momencie dokonuje właściwego wyboru. Możemy jedynie próbować postępować zgodnie z własnym sumieniem.

- I tak przez całą drogę z Coruscant - skomentował Ghent, wstając. - Skoro już mi odbiło, niech to będzie szybko... Jestem gotów, kiedy odlatuję?

- Natychmiast - Pellaeon wysunął się zza stołu i także wstał. - Dam panu list polecający do generała Hestiva, dowódcy bazy i zaufanego pilota. I sądzę, że również imperialny mundur. Disra ma bez wątpienia informatorów w bazie, a cywil zwracałby zbędną uwagę.

- Sądziłam, że odtransportuje go pan osobiście - mruknęła Leia.

- Jak tylko skończymy rozmowy, wracam prosto na Bastion - wyjaśnił Pellaeon. - Disra jest mi winien dość istotne wyjaśnienia. I uzyskam je, zapewniam. - Rozumiem - przytaknęła poważnie Leia.

- Jeśli państwo pozwolą,, zajmę się zorganizowaniem transportu dla pana porucznika Ghenta. Proszę za mną, poruczniku - polecił Pellaeon i skierował się ku służbie. - Jasne - mruknął Ghent - czemu nie... Do zobaczenia.

- Idź w pokoju i odwadze - pożegnał go poważnie Elegos.

- Niech Moc będzie z tobą - dodała Leia. - I dziękuję ci.

Kapitan Ardifff czekał w rufowej części mostka.

- „Sokół Millenium” właśnie wszedł w nadprzestrzeń, sir - zameldował.

- Dobrze - Pellaeon spojrział w okno, za którym widać było wracającą na pokład eskortę. - A porucznik Mavron?

- Odleciał wraz z pasażerem pół godziny temu, sir. Mogę spytać...

- Jak przebiegły rozmowy? - Pellaeon wzruszył ramionami. - Tak dobrze jak można się było spodziewać po rozmowach wstępnych. Organa Solo nie zmieni polityki zagranicznej Nowej Republiki jedynie na podstawie mojego słowa, podobnie jak ja nie przyjmuję jej słów jako gwarancji przyszłych posunięć rządu Nowej Republiki. Czeka nas wiele ostrożnych rozmów i szermierki słownej. - Ale jest skłonna do rozmów.

- Jest skłonna... przynajmniej na temat większości spraw. - Co pan ma na myśli, sir?

- Jest coś, o czym nie wspomniała ani słowem... coś ważnego, ale pojęcia nie mam co...

- Jakieś prywatne informacje dotyczące Bothan... albo coś bardziej osobistego? Już miewała kłopoty z polityką czyżby znów traciła wpływy w rządzie?

- Mam nadzieję, że nie, bo znacznie utrudniłoby to cały proces. Rząd może odrzucić propozycję pokoju tylko dlatego, że brała w tym udział.

- Albo właśnie z tego powodu ją poprzeć, sir. Polaryzacja stanowisk w sprawie Caamas łatwo może się przerodzić w spór również w kwestii traktatu pokojowego. - I tu tkwi problem - zgodził się Pellaeon. - Zakrawałoby na paradoks, gdyby propozycja pokoju została odrzucona jedynie z powodu rywalizacji politycznej wewnątrz władz Nowej Republiki. Ale na to nic nie poradzimy: każdy ma takie karty, jakie rozdał mu los i jeśli Organa Solo nie chce pokazać swoich, musimy grać tym, czym dysponujemy. Ale na razie mamy ważniejsze sprawy do załatwienia. Proszę wziąć kurs na Bastion. Zamierzam poważnie porozmawiać z Disrą!

Gdy znaleźli się w nadprzestrzeni, Leia wyraźnie się odprężyła.

- Jak sądzisz, mówił szczerze? - spytała, odwracając się do Elegosa.

Ten wzruszył ramionami, co u Caamasi wywoływało ruch prawie całego ciała, nim odpowiedział:

- Admirał Pellaeon mówi i działa szczerze, co, jak sądzę, wiesz lepiej ode mnie. Podejrzewam, że chciałabyś raczej wiedzieć, czy jego szczeroci można ufać. - Nie wiem... to znaczy masz rację: nie wyczułam w nim nie-szczeroci czy oszustwa, ale jeśli Thrawn wrócił... Z nim nic nigdy nie okazywało się takie, na jakie wyglądało. Potrafił każdego wmanewrować dokładnie w taką sytuację, w jaką chciał, chociaż wmanewrowywany wiedział, co się dzieje. Teraz może wykorzystać inicjatywę pokojową Pellaeona do zupełnie innych celów.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Han przebywa na Bastionie?

- Skąd o tym wiesz? - zdziwiła się, nieprzyjemnie zaskoczona. - Nie mówiłam ci, gdzie jest Han.

- Wyciągnąłem wnioski z twoich wypowiedzi i zachowań. Nie było to zbyt trudne - przyjrzał się jej błękitnozielonymi oczami. - Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Leia odwróciła wzrok, udając, że sprawdza dane dotyczące napędu.

- Wiemy, że Imperium wywołało lub wykorzystało większość zamieszek, do których doszło na terenie całej Nowej Republiki - powiedziała w końcu. - Choćby ta najsłynniejsza strzelanina na Bothawui. Moi Noghri znaleźli dowód, że strzały, które zapoczątkowały masakrę, pochodziły z bardzo rzadkiej broni snajperskiej będącej tylko na wyposażeniu oddziałów specjalnych Imperium. - Interesujące... Tego też mu nie powiedziałaś.

- Bo nie mam wystarczających, konkretnych dowodów. A nawet gdybyśmy je mieli... walka z Thrawnem przypomina walkę z cieniem, Elegos. Nigdy nie ma go tam, gdzie się go człowiek spodziewa. Wszystko, co robi czy mówi, ma ukryty cel, przeważnie tak ukryty, że nie zdają sobie z niego sprawy nawet podwładni Thrawna. - Co nie zmienia faktu, że nie możesz pozwolić, by niepewność cię sparaliżowała - zauważył Elegos. - Bo pozwolisz mu wygrać przez bezczynność. W pewnym momencie musisz zacząć działać, obojętnie, czy będzie to działanie słuszne, czy nie. Musisz zdecydować, komu zaufasz.

Słowom tym towarzyszyło przeszywające spojrzenie, od którego z trudem oderwała wzrok.

- Nie mogę zaufać Pellaeonowi - oświadczyła. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeśli to wszystko zorganizował Thrawn, Han byłby niezwykle atrakcyjnym zakładnikiem czy też kartą przetargową. Nie mogłam więcej ryzykować, że dowie się tego od Pellaeona.

- Ale zaufałaś mu na tyle, by Ghent znalazł się w równie niebezpiecznej sytuacji. - Ghent chciał lecieć, a poza tym jego wartość jako zakładnika jest minimalna.

- Może nie okłamywałabyś samej siebie - zauważył z wyrzutem Elegos. - Jako zakładnik istotnie ma niewielką wartość, ale jako źródło informacji o kodach używanych przez władze i dowództwo Nowej Republiki jest wprost bezcenny. Dobrze, że Pellaeon nie zdaje sobie sprawy, jakie stanowisko zajmuje Ghent, ale rozpatrując sprawę obiektywnie, dla Imperium jest on znacznie bardziej użyteczny niż twój mąż. Zwłaszcza gdyby doszło do konfliktu.

- Już o tym dyskutowaliśmy - Leia poczuła gniew, wywołany głównie poczuciem winy. Jakim prawem Elegos mówił jej, co powinna czy czego nie powinna zrobić?! - Nie dało się unikać ryzyka.

- Zgadzam się i wcale nie sugeruję, że twoje decyzje były złe.

- W takim razie co sugerujesz? - spytała podejrzliwie i niezbyt pewnie.

- Że obawiasz się, iż użyłaś swych możliwości i autorytetu, aby chronić męża bardziej niż kogoś obcego. Że boisz się, iż zdradziłaś zaufanie, którym obdarzono cię jako członka Rady, dyplomatę i

Jedi.

- Nie musi ci odpowiadać, Protektorze A'kla - rozległ się ponury głos za ich plecami.

- Kłopoty? - spytała Leia, widząc stojącego w drzwiach Sakhisakha.

- Nie, lady Vader. - Noghri zrobił dwa długie kroki i stanął tuż za jej fotelem. - Nikt nas nie ściga, więc Barkhimkh wyłączył uzbrojenie. Jeśli zdecydowała się chronić swój klan przed niebezpieczeństwem, to nie jest to twoje zmartwienie, Protektorze.

- Zgadza się. Jak już mówiłem, nie przybyłem tu, by ferować wyroki.

- W takim razie dlaczego powiedziałeś to, co powiedziałeś? -nie ustępował Sakhisakh.

- Ponieważ, jak również mówiłem wcześniej, nie jest przekonana, czy postąpiła słusznie - Elegos przeniósł wzrok na Leię. -A istotne jest, by przemyślała sprawę i doszła do jakiegoś wniosku. Albo godzi się z własnymi decyzjami jako słusznymi, albo uznaje je za złe i postępuje zgodnie z tym założeniem.

- A dlaczego musi tak postąpić? - spytał Sakhisakh. - I dlaczego to takie ważne? -Ponieważ jest członkiem Wysokiej Rady, dyplomatą i Rycerzem Jedi - uśmiechnął się smutno Elegos. - I tylko w zgodzie z własnym sumieniem może korzystać z mądrości i umiejętności, których będzie potrzebowała w najbliższych dniach. Przez długą chwilę nikt się nie odezwał - do wszystkich dotychczasowych uczuć Leii doszedł jeszcze wstyd: Elegos miał rację.

- To ty powinieneś być Rycerzem Jedi - westchnęła, rozpinając pasy i wstając.

- Nie mam niezbędnych predyspozycji do korzystania z Mocy - odparł ze smutkiem. - A w twoich słowach jest być może więcej prawdy niż sądzisz: wśród mojego ludu krąży legenda, że dawno temu pierwsi Rycerze Jedi przybyli na Caamas, aby nauczyć się moralnego używania swych niezwykłych umiejętności.

- Nie wątpię, że ta legenda jest prawdziwa. Sakhisakh, siądź za sterami. Pójdę do ładowni, bo muszę spokojnie pomyśleć i pomedytować.

# R O Z D Z I A Ł 2 0

- Witam szanownych obywateli-naukowców z Bractwa M'challa - zabytkowy droid SE2 urzędujący w recepcji wychrypiał standardową formułką powitalną. - W czym Imperialna Biblioteka i ja osobiście możemy dziś panom pomóc?
- Przydziel nam jakiś spokojny terminal - Han próbował, z niebyt dobrym skutkiem, zapanować nad złym humorem. Dzień już był duszny i parny, a paradowanie po ulicach w tradycyjnej dla M'challa długiej opończy z kapturem nie poprawiało mu nastroju i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było wymienianie uprzejmości z droidem. - Z poszukiwaniami poradzimy sobie sami.
- Naturalnie - droid popatrzył najpierw na niego, potem na Landa, a wreszcie nieco dłużej na Lobota, mimo gorąca szczelnie otulonego kapturem. - Panowie byliście tu przez ostatnie trzy dni, jeśli moja pamięć nie szwankuje.
- Prowadzimy raczej dłuższe badania - włączył się do rozmowy Lando. - Wymagają one czasu i spokoju.
- Życzyliby sobie panowie pomocy? Mamy kilkanaście droidów wyspecjalizowanych w wyszukiwaniu danych i wyposażonych w możliwości bezpośredniego podłączenia się do banku danych, które wynajmujemy za czysto nominalną opłatą. - Poradzimy sobie - warknął Han. - Przydziel nam tylko terminal, dobra?
- Jak pan sobie życzy. Terminal 47A. Proszę przejść przez te podwójne drzwi po lewej i...
- Wiemy - burknął Han, odwracając się na pięcie i maszerując ku wskazanym drzwiom. - Dziękujemy - dodał Lando, podążając za nim. Obaj z Lobotem dogonili go tuż przed drzwiami.
- Jakbyś go skopał, to może zwróciłbyś na nas jeszcze większą uwagę! - warknął wściekłym szeptem Lando, gdy znaleźli się w labiryncie stanowisk komputerowych wypełniających salę za drzwiami. - Zgłupiałeś do reszty, czy co?
- Wielu ludzi nie lubi droidów, także w Imperium i również wśród naukowców, więc przestań przesadzać - odwarknął równie cicho Han.

Lando nic nie odpowiedział i Hanowi zrobiło się nieco głupio - w końcu Lando wyświadczał mu sporą przysługę, choćby swoją obecnością tutaj, nie wspominając już o całej reszcie. Ale nie miało to większego znaczenia: Han był za bardzo zły, by wyrazić skruchę. Trzy dni w stolicy Imperium, na dodatek pełnej imperialnych cwaniaków, wygórowanych cen i bezczelnych droidów, wyprowadziły

go z równowagi. Dotarli do terminalu 47A i Han przestawił trzecie krzesło od najbliższego wolnego stanowiska, gdyż przed klawiaturą stały tylko dwa.

- Dobra - Lando usadził Lobota przed konsolą i spytał: - masz dobry kontakt z Moegidem?

W odpowiedzi Lobot położył dłonie na klawiaturze i zamarł na kilka sekund. Potem powoli zaczął pisać. Han i Lando usiedli za nim. Lando uruchomił pole zapewniające ciszę, spokój i brak podsłuchu - przynajmniej w teorii. Han zaś westchnął, tłumiąc kolejną cisnącą mu się na usta złość. Może tym razem będą mieli szczęście...

Karoly przez ponad godzinę wsłuchiwała się w ciszę panującą na statku, zanim zrozumiała, że znowu się pomyliła, co już samo w sobie było wkurzające. A świadomość, że przebyła całą drogę zamknięta w ciasnym schowku pod elegancką częścią mieszkalną jachtu po to, by nie znaleźć Shady czekającej na ich przybycie, doprowadzała ją do furii. Zmusiła się do serii uspokajających ćwiczeń oddechowych w tych ciemnościach, zanim zdecydowała się ruszyć. Karrde i Shada mogli się zwyczajnie spóźnić, toteż należało cierpliwie poczekać, a w międzyczasie zająć się czymś pożytecznym. Siedzenie w ciemnej skrytce i uzalanie się nad sobą na pewno do użytecznych nie należały, więc wymacała zamek nad głową i otworzyła go, ostrożnie odsuwając na bok ukryte drzwi, a następnie podciągnęła się bezgłośnie do poziomu kabiny. Na chwilę znieruchomiła w przykłęku, nasłuchując, czy przypadkiem ktoś jej nie usłyszał, po czym wysunęła się na korytarz. Był pusty, co jej zresztą nie dziwiło - Solo, Carlissian i cyborg zwany Lobotem wyszli rankiem, a Verpine, jak zwykle, siedział w kabine. Działo się tak od dnia, w którym wylądowali, i nic z odsłuchanych rozmów nie wskazywało, by cokolwiek mogło ulec zmianie. Przez moment miała ochotę sprawdzić, co właściwie porabia Verpine, ale zrezygnowała - dwa dni pod rząd siedział przed komputerem, nie robiąc nic poza wypisywaniem nonsensów na ekranie, toteż nie zamierzała marnować więcej czasu na podglądanie go. Ale w ten sposób zyskiwała właśnie sporo wolnego czasu i musiała zdecydować w jaki sposób go nie zmarnować. Specjalnego wyboru nie miała - przez ostatnie trzy dni śledziła całą trójkę idącą do imperialnej biblioteki, ale do dyżurnego SE2 wolała nie podchodzić. Udało jej się wśliznąć do środka, lecz zdołała tylko zobaczyć z daleka trzy postacie skupione nad komputerem. Tak spędziła dwa dni. Wczoraj miała dość, więc zbadała okolice budynku. Wróciła też na statek i sprawdziła, co porabia Verpine. Teraz testowała teorię, która przyszła jej do głowy w nocy - Shada mogła spotykać się z insektoidem podczas nieobecności pozostałych. Teoria okazała się błędna. Nic, co dotąd widziała i słyszała nie wskazywało, by Shada w ogóle miała się tu pojawić.

Karoly za wysoce irytujący uznała nasuwający się wniosek, że zupełnie źle zrozumiała podsłuchaną rozmowę pomiędzy Solo a Carlissianem i bez sensu wybrała się z nimi w podróż, na dodatek nie bardzo wiedząc, gdzie się znalazła. Nie ulegało wątpliwości, że na terenie Imperium - świadczyła o tym znikoma ilość nie-humanoidów i szeroki wybór imperialnych uniformów na ulicach. Natomiast w której konkretnie części Imperium, nie miała pojęcia. Nie była to zresztą wielka przeszkoda - oznaczała jedynie pewne kłopoty przy powrocie do reszty galaktyki, gdyby Solo i Carlissian zdołali jej się wymknąć i odlecieć. Karoly uznała to zresztą za mało prawdopodobne - z ich porannej rozmowy wynikało, że nadal byli dalecy od osiągnięcia tego po co przybyli: cokolwiek to było.

Ponieważ Karrde również został wspomniany w tej rozmowie, oceniła jako całkiem możliwe, że błędnie wywnioskowała i Talon, a wraz z nim Shada po prostu się spóźniali. Pozostawało sprawdzić bibliotekę i towarzyszyć całej trójce, gdy zrobią sobie przerwę na obiad. Może tym razem usłyszy coś istotnego. Podjąwszy decyzję ruszyła w stronę śluzy.

- Kolejne wiadomości z Nowego Imperium, ekscelencjo -oznajmił Tierce, kładąc na biurku Disry dwie datakarty. - Rządy ruuriańskie przesłały ratyfikowaną kopię traktatu zawartego między ich systemami i Imperium.

- Systemami? - Disra zmarszczył brwi. - Sądziłem, że zawarliśmy traktat tylko z systemem macierzystym.

- Istotnie, ale najwyraźniej nasza demonstracyjna akcja przeciwko Diamalanom skłoniła trzy z ich niezależnych kolonii do opowiedzenia się po stronie zwycięzców - poinformował go zadowolony Tierce.

- Aha - Disra z zainteresowaniem przyjrzał się datakartom. - Niezależne kolonie ruuriańskie to efekt połączonych wysiłków kilku różnych ras. Czy współwłaściciele tych planet także zgodzili się na traktat?

- Najwidoczniej tak, gdyż mowa w nim o całych systemach, a nie o poszczególnych regionach czy dystryktach. - Tierce uśmiechnął się. - Należy naturalnie pamiętać, sir, że Ruurianie mają dar przekonywania.

- Nie tylko oni jedni. - Disra spojrział wymownie w drugi koniec pomieszczenia, gdzie zgarbiony na krześle Flim gapił się w okno. - Gratulacje, panie admirale, zyskał pan kolejne trzy systemy.

Flim nie odpowiedział, najwyraźniej nadal pogrążony w ponurych rozmyślaniach. - Proszę się nie martwić - skomentował sytuację Tierce. - Wkrótce mu przejdzie. - O ile tylko nie skończy na palu gdzieś w Nieznanych Terytoriach - warknął Flim, nie odwracając się. - Obok was, ma się rozumieć. - Co mu się stało? - zdziwił się Disra.

- Nic poważnego - Tierce machnął lekceważąco ręką. - Zmartwił go ten obcy okręt. - Aha - Disra uśmiechnął się z satysfakcją. - A właśnie: co z analizą nagrania z Pakrik Minor?

- Lada chwila powinna być gotowa. Mam przeczucie, że to właśnie to.

- Naprawdę sądzi pan, majorze, że pilotowała go Ręka Thrawna? - Disra poczuł mrowienie w plecach.

- Widział pan konstrukcję: częściowo TIE, częściowo coś zupełnie obcego. Tak, myślę, że to Ręka Thrawna albo jej agent, albo też wysłannik kapitana Parcka. Sadzę też, że w końcu wywabiliśmy nasz

cel z ukrycia.

- Oby nie okazał się większy od Gwiazdy Śmierci - mruknął Flim.

- Tylko bez melodramatów, dobrze? - cierpliwość Tierce'a zaczynała się wyczerpywać. - Kim by nie byli, są dziesiątki sposobów, w które możemy trzymać ich na dystans, żeby się nie zorientowali, że nie jesteś oryginałem.'

-A jeśli zechcą się przywitać to co im powiesz? Że mam świnkę czy wolny dzień? - Uspokójcie się! - warknął Disra, wskazując mrugające światelko na konsoli łączności. - To może być to... Moff Disra, słucham.

Na ekranie pojawił się oficer w średnim wieku. Wyglądał na krótkowidza od lat marnującego wzrok przed monitorem komputerowym.

- Tu pułkownik Uday z Wydziału Analitycznego Imperialnego Wywiadu. Skończyłem analizę nagrania, które pan mi przysłał, ekscelencjo. - Doskonale - ucieszył się Disra. - Proszę o raport.

- Już... - Uday pomanipulował klawiszami poza zasięgiem kamery i na konsoli Disry zapaliło się kolejne światelko, oznaczające koniec transmisji danych. Obawiam się, że niewiele zdołałem się dowiedzieć o samej jednostce, ale wszystko, co udało mi się odkryć, przekazuję do pańskiej dyspozycji.

- Dziękuję, pułkowniku. - Disra robił co mógł, by nie okazać zniecierpliwienia, ale wiedział, że im prędzej wyłączy nudziarza, tym szybciej obaj z Tiercem będą mogli zabrać się za raport. - Nie omieszkam oficjalnie docenić pańskiej sprawnej pracy. - Jeszcze dwie sprawy, zanim się rozłączę, ekscelencjo. - Uday uniósł dwa palce. - Jestem pewien, że zawarł je pan w raporcie. - Disra sięgnął do przełącznika. - Dziękuję...

- Według noty dołączonej do nagrania zostało ono wykonane przez TIE Interceptora w pobliżu Pakrik Minor. - Uday nie dał sobie przerwać. - Ale okazało się, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Disra zamarł z palcem na przełączniku. - Proszę o wyjaśnienia! - warknął.

- Nagranie jest kompilacją dwóch oryginalnych. Jedno zrobiono w systemie Kawon, a drugie w systemie Nosken lub Drompani. I żadne nie zostało dokonane przez maszynę z rodziny TIE. Disra spojrział na Tierce'a, którego twarz stężała.

- Skąd pan to wie, pułkowniku?

- Że nie zostały zrobione przez TIE? - spytał Uday. - Bo parametry sensorów się nie zgadzają. Pierwsze zostało wykonane najprawdopodobniej przez myśliwiec typu X lub typu A. Drugie przez jednostkę dobrze wyposażoną, ale niestandardową. Mógł to być okręt wojenny, ale nie klasy czy typu szeroko używanego przez Nową Republikę. Jeśli zaś chodzi o to, gdzie zostały dokonane, wykryła to analiza gwiazd widocznych w tle.



Disra wolno wypuścił powietrze z płuc, zanim się odezwał.

- Dziękuję, pułkowniku. Doskonale się pan spisał. Jak już powiedziałem, nie ominie pana pochwała.
- Dziękuję, ekscelencjo.

Disra wyłączył nadajnik, poczekał, aż twarz oficera zniknie z ekranu i spojrzał na Tierce'a.

- No... wychodzi na to, że ktoś nam zdrowo nałgał - ocenił.

- Istotnie - zgodził się cicho Tierce z miną, od której robiło się zimno. - A co więcej, sądzę, że zostaliśmy zdradzeni. Disra bluznął aż ziemia jęknęła.

- To ten pierdolony klon! Nigdy nie powinniśmy im ufać, a Thrawn nigdy nie powinien zaczynać tego zasranego klonowania! - oznajmił, kiedy nieco ochłonał. - Uspokój się! - zbeształ go ostro Tierce. - Thrawn wiedział, co robi. I nie zapominaj, że większość z jego klonów zginęła, walcząc za Imperium.

- Co nie zmienia faktu, że są wynaturzeniem - warknął Disra: to, że z nimi rozmawiał, wysyłał ich na śmierć czy sprzedawał Zothipowi za myśliwce, nie zmieniało faktu, że się ich brzydził. - I żadnemu nie można ufać.

- Możemy na chwilę przestać kląć na klony i ich zdradziecką naturę? - zaproponował niespodziewanie Flim. - Problem tkwi nie w tym, kto, ale dlaczego. Co ten, jak mu tam... Devist zyskał, wysyłając nam sfalszowane nagranie?

Tierce z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą.

- To faktycznie najważniejsze pytanie. Disra, jak to nagranie się tu znalazło?

- Zostało przysłane automatyczną sondą ze stacji wywiadu w Parshoorze. Wysłał je dowodzący nią agent...

- Prosto tutaj? - przerwał mu Tierce. - Bez pośredników czy zmian kursu?

- Bezpośrednio tu... - Disra zacisnął pięści, rozumiejąc teraz, o co chodziło. - Chcieli poznać lokalizację Bastionu!

- I poznali - Tierce miał już w dłoni komlink. - Major Tierce do Służby Bezpieczeństwa Stolicy: ogłaszam alarm. W mieście są prawdopodobnie szpiedzy. Należy ich odszukać i śledzić, ale pod żadnym pozorem nie zatrzymywać. Powtarzam: nie zatrzymywać. Potwierdzenie moich rozkazów przez moffa Disrę w drodze.

Począł na odpowiedź, wyłączył komlink i dodał już normalnym tonem:

- Proszę wysłać potwierdzenie rozkazów, ekscelencjo.

- Zaraz wyślę - Disra przyglądał mu się z namysłem. - Być może jestem dziś wyjątkowo tępy, ale czy mógłby mi pan wytłumaczyć, majorze, dlaczego nie kazał ich pan zatrzymać? Szpieg czy sabotażyści krążą po moim mieście i mają krążyć bezkarnie? - Nie sądzę, aby w grę wchodziło sabotażyści: są tu co najmniej od dwóch dni i jakoś nic jeszcze nie wybuchło.

- Upiornie pocieszające! - prychnął Disra. - Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Jak często mawiał wielki admirał Thrawn, każdy problem stwarza równocześnie okazję - odparł Tierce, spoglądając nagle w bok. - Przyszło mi do głowy, że właśnie nadarzyła się nam wyjątkowo sprzyjająca okazja. Disra podążył za jego wzrokiem...

- Lepiej żebyście nie myśleli tego, co podejrzewam, że właśnie myślicie - ostrzegł ich Flim, spoglądając nerwowo to na jednego, to na drugiego.

- Oczywiście, że myślimy - zapewnił go radośnie Tierce. - Zespół szpiegowski schwytny i skonfrontowany z samym wielkim admirałem Thrawnem, to wręcz idealne ukoronowanie twojej roli.

- Raczej dolanie paliwa do mojego stosu pogrzebowego! Zwariowałeś?! Wystarczy, że mnie zobaczą i będziesz miał martwego wielkiego admirała Thrawna. Martyrologii nie planowaliśmy i ja na to nie idę.

- Zaraz, to wcale nie taki zły pomysł - ocenił Disra, wysyłając potwierdzenie rozkazów. - Tierce ma rację: to doskonały sposób na potwierdzenie twojej wszechwiedzy. - Doczekać się nie mogę - prychnął Flim.

- Spokojnie - Tierce zastąpił Disrę za konsolę i wyświetlił plan miasta. - Za kwadransik ich namierzemy, a za pół godziny będzie po sprawie.

Moduł łączności bipnął niespodziewanie i Disra, klnąc cicho pod nosem, zmuszony był go włączyć. - Tak, o co chodzi? - spytał średnio uprzejmie.

Na ekranie pojawiło się oblicze młodego, pełnego zapału porucznika.

- Porucznik Kerf z kontroli lotów, ekscelencjo - przedstawił się. - Sądziłem, że zechce pan wiedzieć, iż jego prom właśnie wylądował.

Disra spojrział na Tierce'a, który wymownie wzruszył ramionami.

- Czyj prom właśnie wylądował? - Spytał.

- Sądziłem, że pan wie... powiedział, że udaje się prosto do pałacu, żeby się z panem zobaczyć, więc

założyłem...

- To niech pan nie zakłada, poruczniku! - warknął Disra. - Kto, do cholery, przyleciał?

- Admirał, ekscelencjo. No wie pan: admirał Pellaeon...

Kelner obsługujący taras postawił na stoliku talerz pieczystego z trimpiana, przyjął zapłatę, powstrzymując się od pogardliwego grymasu, i odmaszerował ku ocienionemu barowi.

- Prawdziwy skarb, no nie? - prychnął Lando, spoglądając za nim nieżyczliwie. - Pewnie uznał, że M'challa nie docenią dobrej obsługi nawet gdyby się o nią potknęli, więc po co miałby się męczyć? - Han wziął pasek mięsa, zanurzył go w żółtawym sosie mięsa, uważając, by nie zrobić tego samego z rękawem, i zabrał się za jedzenie: mimo iż nadal nie mogli mówić o jakimkolwiek postępie w poszukiwaniach, czuł się znacznie lepiej niż rano.

Lando natomiast miał zdecydowanie gorszy humor.

- Nie podobają mu się nasze pieniądze, czy co? Mówię ci, Han, oni znowu zaczynają być bezczelni.

- Widzę - przytaknął Han, obserwując spieszących ulicą przechodniów, pełnych życia i optymizmu, jakiego nie odczuwali pewnie od lat i nie trzeba było dysponować przenikliwością geniusza, by wiedzieć dlaczego. Wielki admirał Thrawn wrócił.

- Przecież nadal nie mają szans - zauważył, przełykając. - Ile im zostało? Z tysiąc systemów?

- Coś koło tego - zgodził się Lando, który właśnie brał kolejny kawałek trimpiana. - Rzeczywiście niewiele, ale jakoś tego po nich nie widać.

Lobot, nie marnujący czasu na gadanie, kończył już trzeci kawałek mięsa.

- Mhm - Han rozejrzył się uważniej: przechodnie rzeczywiście sprawiali wrażenie szczęśliwych, jakby lada chwila miały się ziścić ich marzenia.

Obrazek był już wystarczająco wymowny, żeby zepsuć mu humor, ale nagle wręcz zamarł z wrażenia, gdy ciężarowy śmigacz zablokował na chwilę oba pasy ruchu, manewrując, by zbliżyć się tyłem do pochylni załadunkowej jakiegoś sklepu. Bo w śmigaczu terenowym stojącym prawie naprzeciwko tarasu siedział ktoś, czyj widok spowodował, że Han zapomniał o niedogryzionym pasku mięsa zwisającym pomiędzy zębów.

- Lano... Lando- poprawił się, przełykając cały kawał. - Obejrzyj sobie gościa z blond brodą w ciemnozielonym śmigaczu terenowym.

Lando odchylił kaptur dla lepszej widzialności i natychmiast nasunął go na oczy. - Niech mnie nagle i niespodziewana... To przypadkiem nie Zothip?

- Jeśli nie on, to jego brat bliźniak, o którym nikt nie słyszał -wymamrotał Han i powoli naciągnął swój kaptur głęboko na oczy: z szefem bandy piratów zwanych Cavrilhu miał już pecha spotkać się w przeszłości, a wieść niosła, że owo wredne indywiduum odznaczało się dobrą pamięcią do twarzy.

Biorąc pod uwagę wysokość nagrody wyznaczonej za jego głowę, w galaktyce nie powinna istnieć cywilizowana planeta, na której mógłby się pokazać. A tymczasem w samym sercu Imperium rozpiekał się w maszynie wraz z pięcioma osiłkami i bluzgając aż powietrze gęstniało na kierowcę śmigacza blokującego ruch - zupełnie jakby był u siebie.

- Powiedziałbym, że znaleźliśmy powiązanie Imperium-piraci, którego szukałem wraz z Lukiem - podsumował oglądaną scenkę. - Wiesz: klony i cała reszta. - Powiedziałbym, że masz rację - zgodził się Lando i dodał: - Ale mam nadzieję, że nie zamierzasz go śledzić, żeby zyskać pewność.

- Bez obaw. Miałem z nim raz do czynienia i ani myślę powtarzać tego błędu.

- Całe szczęście - odetchnął Lando. - Wiesz co? Starzejemy się.

- Mnie to mówisz?! Dobrze, teraz kończymy jeść i wracamy grzecznie do biblioteki. - Han spojrzał z odrazą na błękitne, bezchmurne niebo i dodał: - Wiesz, jakoś zrobiło się tu nieprzyjemniej niż pięć minut temu.

Ciężarowy śmigacz zakończył manewry i ruch powrócił do normy, a Solo wraz z towarzyszami do posiłku. Karoly zostawiła na stoliku zapłatę z nieodzownym napiwkiem za na wpół zjedzone danie i opuściła taras, wtapiając się w tłum na ulicy - nagle okazało się, że ma coś ciekawszego do roboty niż przesiadywanie w bibliotece i jej okolicy. Coś znacznie ciekawszego.

Ciemnozielony śmigacz terenowy firmy Kakkran oddalił się może o przecznicę, gdy znalazła to, czego szukała - starego Ubrikkiana 9000 zaparkowanego przy chodniku. Z ukrytym w dłoni uniwytrychem, stanowiącym część wyposażenia Mistryl, wskoczyła na fotel kierowcy. Prawą ręką chwyciła drążek sterowy, a lewą wsunęła elektroniczny uniwytrych pod tablicę rozdzielczą i uaktywniła go. Silnik ożył niechętnie, spojrzała zatem do tyłu i wcisnęła się w niewielką przerwę w ruchu. Dla przypadkowego obserwatora wszystko wyglądało całkiem normalnie, a jeśli chodziło o właściciela, to mogła jedynie żywić nadzieję, że ten nie zauważy kradzieży, zanim pojazd przestanie jej być potrzebny.

Przestała manewrować, gdy od maszyny Zothipa dzieliły ją trzy inne, i utrzymując bezpieczny dystans zaczęła sprawdzać, gdzie się kierują. Doszła do wniosku, że do pałacu gubernatora, bo tylko taką funkcję mogła pełnić okazała budowla na wzgórzu znajdującym się na północnym skraju miasta, którą mijali po lewej. Jeśli Solo miał rację i piraci pracowali dla Imperium, powinni lada moment właśnie w lewo skręcić. Ku jej rosnącemu zaskoczeniu nic takiego nie nastąpiło - zielony kakkran kierował

się na wschód i dopiero po wyjechaniu z miasta zaczął skręcać na północ, ku porośniętym lasem wzgórzom. Pałac został daleko za nimi, a Karoly zmuszona była zwiększyć odległość od śledzonej maszyny w miarę jak zmniejszał się ruch na drodze.

Po drugim skręceniu na północ zaczęła żałować, że nie kupiła mapy - wyglądało na to, że okrążają miasto, co nie bardzo miało sens, chyba że piraci próbowali dostać się do pałacu od tyłu. Zanim zdążyła wymyślić, co próbują zrobić, skręcili nagle w leśną dróżkę i zniknęli między drzewami. Poszła w ich ślady, lecz ledwie maszynę przesłoniły od drogi pierwsze drzewa, wyłączyła silnik, zabierając uniwytrych, i dalej poszła pieszo. Nie musiała iść daleko; niebawem dobiegający z przodu szum silników ucichł, a za to dały się słyszeć głosy.

- Jesteś pewien, że to tu? - spytał przepity sznapsbaryton. - W niczym nie przypomina żadnej drogi ucieczki jakie w życiu widziałem.

- Może mi pan zaufać, szefie - odpowiedział mu kulturalniejszy i przyjemniejszy głos. - Sprawdziłem wszystko dokładnie, kiedy byliśmy tu ostatnim razem. Karoly dostrzegła ruch wśród drzew i ukryła się za krzakiem.

- Jest - oświadczył kulturalny głos i Karoly dostrzegła ze swej kryjówki, że jeden z piratów odsuwa pnącza porastające skalną ścianę, przed którą stali. - Typowa imperialna szczurza nora. Zothip chrząknął i zajrzał do środka.

- No proszę, pojazdy też są na wszelki wypadek - ucieszył się. - Tunel jest wystarczająco szeroki, Control?

- Najprościej sprawdzić, no nie? Grinner, uruchom większy.

Cała szóstka zniknęła za zasłoną gałęzi i pnączy, a w chwilę później rozległ się stłumiony odgłos uruchamianych silników. Kiedy ścichł w oddali, Karoly odliczyła do dziesięciu, wysunęła się z za krzewu i podeszła do skały. Za pnączami znalazła niewielką pieczarę, ledwie dwukrotnie szerszą od wyłożonego płytkami tunelu, którego wylot znajdował się w jej tylnej ścianie. Nieco z boku parkował niewielki śmigacz terenowy typu Slipter, z uruchomieniem którego jej uniwytrych nie miał najmniejszych problemów.

Gdy wjechała do tunelu, widziała jeszcze oddalający się blask reflektorów maszyny piratów. Sama nie zapalała świateł i liczyła na to, że odgłos silnika jej maszyny zostanie zagłuszony przez głośniejszy silnik pierwszego śmigacza. Zresztą nie miała wyjścia, nie chcąc ich zgubić.

- Meldunek od Patrolu Ósmego, panie poruczniku! - zameldował operator łączności. - Trzech podejrzanych w śmigaczu terenowym przed Timaris Building. Patrol Drugi zgłasza dwóch podejrzanych w sklepie jubilerskim pod czternastym na ulicy Bleaker. - Mam dane od obu patroli, panie poruczniku - dodał programista siedzący przy klawiaturze komputera. - Sprawdzanie rysów

twarzy w toku.

- Sprawdzamy w banku danych wywiadu, ekscelencjo - wyjaśnił stojący obok Disry porucznik. - Jeżeli kiedykolwiek pojawili się na drodze Imperium, Ompersan będzie miał ich dane i hologramy.

- Doskonale, poruczniku - pochwalił Disra, rozglądając się po pograżonym w półmroku centrum dowodzenia z mieszaniną zazdrości i satysfakcji: satysfakcji, ponieważ stworzony przez niego zaledwie przed rokiem zespół działał z prędkością i skutecznością, jaka niegdyś cechowała imperialne siły zbrojne, a zazdrości, bo nie on był tu najważniejszy. - Ma pan jakieś sugestie, admirale?

Stojący przed głównym ekranem Thrawn uniósł uprzejmie brwi. W półmroku jego czerwone oczy błyszczały bardziej niż zwykle.

- Sugeruję, ekscelencjo - na „sugeruję” położony był subtelny nacisk - żebyśmy pozwolili fachowcom robić to co do nich należy. Niczego nie zyskamy, ujawniając się, dopóki nie zidentyfikujemy szpiegów.

- Może ich być więcej niż podejrzewamy - sprzeciwił się Disra, który miał już dość udawania: uznał, że najwyższy czas przypomnieć Flimowi, kto tu rządzi. - Nowa Republika od ponad dwóch lat próbowała poznać koordynaty Bastionu. Wątpię, by marnowali tak ciężko zdobytą wiedzę, wysyłając jednego czy dwóch agentów. Na karku czuł wściekłe spojrzenie Tierce'a, ale Thrawn przyjrzał mu się wyłącznie z uprzejmym zainteresowaniem.

- W takim razie co pan sugeruje? Że wysłali grupę dywersyjną z zadaniem zniszczenia generatorów pola i przygotowali atak połową floty?

Disra omal nie podskoczył - dokładnie tak samo zamierzali postąpić z Bothawui. Co Flimowi chodziło po głowie, że mówił o tym głośno?! Nim zdążył odpowiedzieć, odezwał się programista:

- Meldunek z Ompersan, panie admirale: wszyscy podejrzani są obywatelami Imperium.

- Doskonale - potwierdził Thrawn. - Proszę kontynuować poszukiwania. Mam nadzieję, ekscelencjo, że nie zapomniał pan o umówionym spotkaniu?

Disra spojrział na chronometr i zmełł w ustach przekleństwo - Pellaeon lada minuta dotrze do pałacu, a Flimowi znów udało się odparować jego słowny atak, i to bez jednego słowa, które można byłoby uznać za niesubordynację. Dokładnie tak postąpiłby prawdziwy Thrawn, co powinno Disrę ucieszyć, ale jakoś tego nie zrobiło. - Dziękuję za przypomnienie, admirale. Proszę dać mi znać, jak tylko dowie się pan czegoś konkretnego.

Po półgodzinie wyętej pracy palce Lobota nagle znieruchomiały na klawiaturze.

- Co jest? - spytał Han, pochylając się nad jego ramieniem. - Weszliśmy w końcu? - Nie wiem -

Lando ze zmarszczonymi brwiami obserwował grę światełek na wszczepie cyborga. - Coś chyba przerwało jego kontakt z Moegidem... - Myślisz, że nas namierzyli?

- Nie wiem - powtórzył Lando, zastanawiając się, czy spróbować porozumieć się z Lobotem wyglądającym tak, jakby nagle wpadł w trans hipnotyczny. - Nigdy nie widziałem u niego podobnej kombinacji barw.

- Hm - Han dotknął ramienia cyborga, ale ten nie zareagował. - Może zapasowa częstotliwość? Nagle wzór światełek zmienił się i Lobot ożył.

- Uwaga! - wychrypiał w średnio udanej parodii głosu Verpine. - Wysoka aktywność częstotliwości używanych przez planetarną służbę bezpieczeństwa.

- Namierzają nas! - Han wstał. - Wynosimy się stąd!

- Myślisz, że to dobry pomysł? - Lando rozejrzał się po nieco zamazanej przez pole sali. - Tu przynajmniej muszą wejść, żeby się nam dobrze przyjrzeć.

- Tylko jeśli nie wpadną na pomysł, żeby podłączyć tego SE2 do monitora. Pomóż mi z Lobotem, bo może mieć problemy z koordynacją. Moegid, węszył ktoś w pobliżu statku?

Przeszli połowę drogi do drzwi, podtrzymując Lobota z obu stron, nim Moegid odpowiedział: - Nikt. I nie węszy. Instrukcje?

- Uważaj na wszystko i zerwij połączenie z Lobotem - polecił Han. - Wracamy, jak zdołamy najszybciej.

- I nie ruszaj niczego! - dodał Lando. - Jeżeli uruchomisz silniki, złapią cię w pół minuty.

- I tak mogą to zrobić - mruknął Han, gdy przeszli przez drzwi. - Musieli się zorientować, że nagranie jest sfalszowane. Wystarczy, żeby sprawdzili statki, które wylądowały tu po nadejściu przesyłki od Cariba.

- Chyba że Moegid zdołał wejść do komputera kontroli lotów i zmienił datę naszego przylotu. - A miał?

- Miał spróbować. Nie wiem, czy mu się udało - wyjaśnił Lando.

Układ światełek na implancie cyborga zmienił się ponownie i Lobot wyprostował się niczym budzący się ze snu lunatyk, stąpając równo i pewnie.

- Wracamy na statek tak szybko, jak się da - poinformował go Lando, sprawdzając, czy ma w wewnętrznej kieszeni pistolet: zabytkową broń palną, niewykrywalną przez sensory. - Miejmy nadzieję, że będziemy tam prędzej od nich.

Światła pojazdu piratów znieruchomiały, toteż Karoly czym prędzej zatrzymała swoją maszynę i wyłączyła silnik. Zdażyła w ostatniej chwili - zaraz potem zapadła cisza, przerywana jedynie słabnym echem, gdy w pojeździe przed nią także wyłączono silniki, zostawiając jednakże zapalone lampy. Ponieważ strumień światła skierowany był ku przodowi, Karoly spokojnie wysiadła i nieco dziwnie wyglądającym krokiem ruszyła w kierunku piratów. Krok był wynikiem starannie sprawdzonego stanu równowagi między ciszą a szybkością - pierwszy czynnik okazał się zresztą niezbyt istotny, bo Zothip zupełnie się nie martwił, ile hałasu powoduje, rezonując na cały głos: - Rzeczywiście typowo imperialna szcurza nora. Dokąd jedzie ta winda?

- Sądzę, że do pałacu. - Control starał się mówić cicho, chociaż wyraźnie. - Nigdy tam nie...

- A gdzie prowadzi ten tunel w drugą stronę? - przerwał mu inny głos.

- Nie wiem - przyznał cierpliwie Control. - Jak zacząłem mówić, nigdy tu osobiście nie byłem.

- Lepiej sprawdźmy - zdecydował Zothip. - Grinner, ściągnij windę i sprawdź, czy przyjedzie pusta. A reszta na spacer!

Pięć postaci przeszło przez teren oświetlony lampami śmigacza - Zothip w środku, otoczony pozostałymi, tworzącymi wokół niego ochronny kwadrat. Grinner nacisnął guzik windy i obserwował oddalających się towarzyszy. Karoly zaś dotarła do tylnej części pojazdu i znieruchomiała w przykłęku za jego osłoną. W garści trzymała wycelowany blaster, jako że winda właśnie zjechała i Grinner odwrócił się ku niej. Spoglądał teraz częściowo w stronę Karoly, ale bardziej w świecące reflektory pojazdu, które skutecznie go oślepiały, więc pospiesznie odwrócił wzrok i sprawdził windę. Była pusta, zatem unieruchomił ją i zadowolony, że wykonał zadanie, ponownie się odwrócił, spoglądając w głąb tunelu w ślad za pozostałymi. Karoly zrozumiała, że nie pozostało jej zbyt wiele możliwości i w dodatku żadna nie wyglądała specjalnie atrakcyjnie. Mogła uregulować rachunki Mistryl z Zothipem tu i teraz, korzystając z przewagi zaskoczenia, ale najwyraźniej między Zothipem a kimś w pałacu rozgrywało się coś wysoce interesującego. Zabójstwo?... Zamach stanu?

Prawdę mówiąc, niewiele ją obchodziło, co się stanie z gubernatorami, moffami czy innymi przedstawicielami Imperium. Z punktu widzenia Mistryl jako całości czyjej jako jednostki, mógł ich wszystkich trafić jasny szlag. Natomiast piratów wślizgujących się do pałacu gubernatora uznała za zjawisko wystarczająco dziwne, by opłacało się je dokładniej sprawdzić. Bezgłośnie wstała i przesunęła się za Grinnera, myślącego o niebieskich migdałach i wpatzonego w tunel jak w obraz. Uważając, by nie dostrzegł jej kątem oka, wśliznęła się do windy.

Tak jak podejrzewała, było to standardowe urządzenie, zdemontowane z jakiegoś starego okrętu - może klasy Dreadnaught, a to oznaczało, że miało dwie pary drzwi ustawione naprzeciwko siebie. Te, które ją interesowały, były naturalnie zamknięte i od dawna nie używane, ale nie zostały zapieczętowane. A przynajmniej na takie nie wyglądały...



W ciągu pięciu sekund wyjęła z torby na biodrze naręczne haki do wspinaczki, założyła je i wsunęła czubki w szczelinę między połówkami drzwi. Z tunelu dobiegł ją odgłos zbliżających się kroków, a Grinner nader uprzejmie ruszył w tamtą stronę, nie mogąc opanować ciekawości. Karoly zacisnęła zęby i napięła mięśnie. Przez moment nic się nie wydarzyło, wytrzymała więc bardziej siły i nagle drzwi otworzyły się prawie bezgłośnie.

Szyb nie został znikąd przeniesiony - wydrążono go w skale i wyposażono w lekką kratownicę z prowadnicami i niezbędnym sprzętem antygravitacyjnym. Odstęp między samą windą a kratownicą był niewielki, lecz wystarczający. Karoly przeszła przez drzwi, złapała się dachu, odwróciła i stojąc czubkami palców na progu zamknęła drzwi, pozostawiając jedynie wąską szczelinę. Tej nie zdążyła już zasunąć, gdy do windy z tupotem wkroczył Zothip.

Karoly zamarła, gorączkowo szukając wzrokiem uchwytów. Istniała co prawda teoretyczna możliwość, że Grinner zauważy większą szczelinę, ale ponieważ nie robił wrażenia zbyt spostrzegawczego, mało się tym przejmowała. Zmartwił ją natomiast brak czegokolwiek nadającego się do złapania, co oznaczało, że winda ruszy, a ona zostanie. Była to mało pociągająca możliwość, toteż postanowiła zrobić sobie uchwyty. Zgrywając ruchy z krokami piratów, wbiła haki lewej, a potem prawej dłoni w blachę za panelami oświetleniowymi. Zaledwie skończyła, poczuła lekką wibrację i dotąd otwarte drzwi zamknęły się, a po sekundzie winda ruszyła w górę.

- I co było na drugim końcu tunelu? - usłyszała głos Grinnera.

- Jakies mieszkanie - odpowiedział mu ku jej zaskoczeniu Control. - Niebrzydkie. - Z gospodarzem?

- Chwilowo akurat nie, ale ten kto je zajmuje ma specyficzny gust: na środku stał fotel kapitański z imperialnego niszczyciela.

- Co stało?! - zdziwił się Grinner. - Na wała komuś coś takiego?

- Pytanie zadałeś prawidłowe, choć nieco niegramatyczne - pochwalił go Control. - Teraz wystarczy znaleźć odpowiedź i będziemy mieli komplet.

- Nie podoba mi się to - warknął Zothip. - Wcale mi się to nie podoba. On coś przed nami ukrywa, i to coś ważnego.

- Wkrótce wszystkiego się dowiemy - zapewnił go Control. - Tylko musimy w tym celu wejść ciszej niż pan planował, szefie.

- Nie ma sprawy, wejdziemy po cichutku - zdecydował Zothip. - Niczego nie usłyszy, dopóki nie nadejdzie pora.

# R O Z D Z I A Ł 2 1

Minęli pięć przecznic, czyli i tak o cztery więcej niż Han się spodziewał, zanim zaczęły się kłopoty.

- Han? - mruknął Lando, gdy w tłumie przechodniów przecinali następną ulicę. - Śmigacz policyjny z lewej właśnie zwolnił.

- Wiem. - Han wyjrzał spod kaptura: w wozie dostrzegł dwóch pełnych zapału i bez wątplenia uzbrojonych po zęby młodzieńców. - To trzeci, który się nami zainteresował.

- Coś koło tego - zgodził się Lando. - Gdzie, cholera, podziewa się Luke i te jego sztuczki Jedi, jak jest człowiekowi naprawdę potrzebny?!

- Luke albo Leia. - Han przelotnie pożałował, że tak skutecznie zniechęcił ją do wzięcia udziału w wyprawie: może zauważono by ich wcześniej, ale mieliby ze sobą Jedi... - Zawraca, tym razem nas namierzili.

- Nie rezygnuj. - Lando rozejrzał się. - Piastujesz oficjalne stanowisko w Nowej Republice, więc może uda się nam z tego wyłgać, zwłaszcza jeśli oni tu wiedzą, jak reaguje Leia, kiedy ktoś z jej rodziny wpada w tarapaty.

- Chodzi ci o ów małpi szal, gdy ktoś porywa jej dzieci albo tłucze męża do nieprzytomności czy coś w tym stylu? - spytał Han, czując, że czerwienieje. - Nie użyłbym takiego określenia, ale...

- Serdeczne dzięki. - Han rozejrzał się, szukając inspiracji i zauważył reklamę po przeciwnej stronie ulicy: WIELKI TURNIEJ SA-BAKA. - Tam... widzisz? Masz, jak sądzę, ten zabytkowy samopał?

- Mam - przyznał ostrożnie Lando. - A co konkretnie wymyśliłeś?

- Czemu nigdy nie potrafią się oprzeć policjanci? Zwłaszcza młodzi i pewni siebie? - Nie wiem. Okazji do obicia więźniowi gęby?

- Dobremu zamieszaniu. - Han wskazał głową reklamę. - Wejdz z Lobotem do środka i opróżnij lokal. Resztą ja się zajmę. - Dobra. Powodzenia.

Przez ulicę przedostali się cali i zdrowi, co należało uznać za spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę natężenie ruchu, a wewnątrz było tak, jak się Han spodziewał - duża, dobrze oświetlona i pełna po brzegi sala. Gracze przy stolikach, wokół tłum kibiców, zagląających im przez ramiona, do tego bar i szatnia. Han zaraz po wejściu skręcił w prawo i stanął koło ściany, Lando i Lobot przepchnęli się ku półkolistemu barowi, stojącemu na środku, nieco bliżej lewej ściany. Zanim do niego dotarli, Han

pozbył się płaszcza i czekał, gotów do akcji. Nie musiał czekać zbyt długo.

- Dobra, dosyć tego! - okrzyk Carlissiana przeciął gwar panujący w lokalu niczym miecz świetlny bryłę lodu: wszyscy podskoczyli i odwrócili się ku niemu, gdy rozpryskowy pocisk z pistoletu wywalił dziurę w suficie. - Załatwimy to tu i teraz, dwupierdku kowka! Reszta won!

Poleceniu towarzyszył kolejny strzał i kolejna eksplozja w suficie, a ponieważ określenie „dwupierdek kowka” było wystarczająco ogólnikowe, nikt nie wiedział, kogo konkretnie strzelec miał na myśli. Nikt też nie zamierzał się z tym określeniem identyfikować. Karty, napiwki i powaga zostały całkowicie zapomniane, gdy tłum runął ku wyjściu. Han pozwolił, by minęła go mniej więcej połowa gości, nim wepchnął się w tłum i pozwolił mu się ponieść przez drzwi na ulicę. Tu okazało się, że miał rację odnośnie obu policjantów - zapomnieli o śledzeniu podejrzanych i przepychali się pod prąd z blasterami w rękach. Lando strzelił ponownie, a Han, energicznie pracując łokciami, ruszył ukosem ku policjantom. Pierwszy tak się skupił na dochodzących z lokalu hałasach, że minął Hana, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. Han poczekał, aż zaczął go mijać drugi, i na tyle płynnym ruchem, na ile mógł to zrobić w tłoku, złapał jedną ręką za blaster, wykonał półobrót na pięcie i rąbnął go łokciem drugiej ręki w żołądek. Policjant z jękiem runął na ziemię i zwinął się w kłębek, wyłączony z walki. Niestety zrobił to na tyle głośno, że zaalarmował partnera - zanim Han wyrwał leżącemu broń, drugi policjant zdążył się odwrócić. Był szybki, ale i niedoświadczony - odwrócił się w lewo, nie miał więc bezpośrednio przed sobą broni wycelowanej do strzału. Han okazał się szybszy, lecz nie zdążył sprawdzić nastawienia blastera, toteż nacisnął spust, mając nadzieję, że policja w stolicy Imperium nie gania z bronią ustawioną na zabijanie. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował, był martwy policjant albo, co gorzej, kupa poranionych cywilów. Na szczęście broń nastawiono na ogłuszanie.

Policjant zwał się na ziemię jak kamień, a tłum rozpierzchnął się na boki, otwierając Hanowi wolną drogę do wejścia. Lokal był pusty - nawet barman zdołał umknąć. - Łatwizna - powitał go Lando, zdejmując jedną ręką pelerynę; w drugiej trzymał gotowy do strzału pistolet. - Nie to co dawniej na Rubieżach.

- I twoje szczęście, bo na Tatooine czy Bengely celowałyby w ciebie z tuzin blasterów, nim byś zdążył wystrzelić drugi raz - skwitował Han. - Idziemy, tam powinno być tylne wyjście!

Co nie zmieniało faktu, że sam poczuł nostalgiczny żal za dawnymi latami - to faktycznie były dobre czasy...

Disra zebrał się w sobie i uniósł głowę znad czytelnika.

- Naprawdę nie wiem co mam powiedzieć, admirale - odezwał się, uważając, żeby nie przedobrzyć z tonem urażonej niewinności. - Oczywiście kategorycznie zaprzeczam temu wszystkiemu.

- Oczywiście - zawtórował Pellaeon, przyglądając mu się zimno. - Z pewnością to starannie

zaaranżowana prowokacja polityczna, mająca na celu oczernienie pana, ekscelencjo.

Disra przygryzł wargę - właśnie ten tekst zamierzał wygłosić za chwilę.

- Nie posunąłbym się aż tak daleko - powiedział z namysłem. - Nie wątpię, że przynajmniej część pańskich informatorów działała uczciwie, ale niezależnie od ich motywacji i uczciwości informacje są fałszywe.

Pellaeon i siedzący obok komandor Dreyf wymienili cierpliwe spojrzenia ludzi przygotowanych na podobne wykręty.

- Doprawdy? - Pellaeon przeniósł spojrzenie na Disrę. - A jaka jest, według pana motywacja i uczciwość oficjalnych danych handlowych odkrytych przez komandora Dreyfa na planecie Muvnilinst?

- Rozdział piętnasty, gdyby pan przeoczył - dodał Dreyf, nie siląc się na zbytnią uprzejmość.

Disra zgrzytnął zębami, udając, że sprawdza coś na ekranie czytnika i życząc obu nagłej a niespodziewanej śmierci. W miarę możliwości bolesnej.

- Mogę jedynie sugerować, że ktoś celowo sfalszował owe dane - odezwał się po chwili: była to tak nieprzekonująca wymówka, że nikt nawet nie próbował jej komentować.

A w następnej chwili uchyliło się ostrożnie jedno ze skrzydeł ozdobnych drzwi prowadzących z korytarza do gabinetu i pilnowanych przez dwóch uzbrojonych szturmowców, których przyprowadził Pellaeon. Disra spojrział na nie z wściekłością, gotów zrugać bezczelnego osobnika ośmielającego się przerwać prywatne spotkanie. - Ekscelencjo? - Tierce zamrugał, zaskoczony widokiem wartowników. - O, przepraszam...

- Nic nie szkodzi, majorze. Co pana sprowadza? - przerwał mu uprzejmie Disra. - Właśnie przyszła ważna wiadomość do waszej ekscelencji. - Tierce niepewnie podszedł do biurka, przyglądając się Pellaeonowi. - Przekazano ją z centrum pałacowego...

- Proszę pokazać - warknął Disra, starając się nie okazać zniecierpliwienia: Tierce mógł po prostu połączyć się z nim i tą drogą przekazać informacje o postępach w poszukiwaniach; głośnik został ustawiony tak, żeby nikt inny nie usłyszał wiadomości. Jeśli zatem Tierce zjawił się tu osobiście, coś musiało się dziać zdecydowanie nie tak... Tierce dotarł do biurka, wręczył mu wiadomość i okazało się, że sprawy rzeczywiście się posypały.

„Szpiegzy zidentyfikowani jako byli generałowie Nowej Republiki Han Solo i Lando Calrissian oraz niezidentyfikowany osobnik, prawdopodobnie cyborg z komputerowym implantem. Zauważono ich i zidentyfikowano na rogu Regisine i Corlioon, ale udało im się uciec. Siły bezpieczeństwa stolicy próbują ich odnaleźć”.

Disra spojrział na majora i dostrzegł wyraz jego oczu.

- Nie lubię otrzymywać takich wiadomości - warknął. - Co na to oficer dyżurny? - Robi co może, ekscelencjo.

- Jakiś problem? - spytał Pellaeon, kierując pytanie do Disry, ale przyglądając się uważnie Tiercemu.  
- Może chciałby pan zająć się nim osobiście?

Disra ponownie zgrzytnął zębami - pewnie, że miał ochotę zobaczyć, co się dzieje, ale Pellaeon nie proponowałby mu choćby chwilowej przerwy, gdyby nie planował czegoś złośliwego. I nagle olśniło go - Pellaeon chciał skorzystać z okazji do prywatnego przesłuchania Tierce'a, który właśnie po to zjawił się osobiście - żeby robić za przynętę i pozwolić Disrze zająć się tym, co najważniejsze.

- Dziękuję, admirale - powiedział, wstając. - Sądzę, że tak będzie najlepiej. Majorze Tierce, zechce pan dotrzymać towarzystwa panom oficerom do mojego powrotu? - Ja, ekscelencjo?! - Tierce wytrzeszczył oczy. - Na... naturalnie. .. jeśli pan admirał nie ma nic przeciwko temu...

- Skądże. - Pellaeon uśmiechnął się lekko. - Będę zaszczycony.

- Postaram się szybko wrócić - obiecał Disra. - Życzę panom miłej pogawędki.

Trzydzieści sekund później Disra wpadł do centrum dowodzenia.

- Co się, do cholery, porobiło?! - zażądał wyjaśnień już od progu.

- Proszę się uspokoić, nerwy szkodzą zdrowiu - ostrzegł go Thrawn. - Chwilowo ich straciliśmy.

Disra opanował się z trudem - nawet jeśli zawinił fałszywy Thrawn, nie był to ani właściwy czas, ani właściwe miejsce na porachunki.

- Mogę się dowiedzieć, jak do czegoś takiego mogło w ogóle dojść? - spytał spokojniej.

- Solo i Carlissian to weterani, czego nie da się powiedzieć o tutejszych policjantach - poinformował go spokojnie Thrawn. Tym razem trafili na lepszych. Prawdę mówiąc, potraktowałbym tę akcję wręcz instruktazowo: wykazała braki w wyszkoleniu sił bezpieczeństwa. Będziemy musieli temu zaradzić.

- Jestem pewien, że ucieszą ich pańskie uwagi, admirale Disra spojrział na ekran z planem miasta i lokalizacją jednostek, którymi dysponował. - Nie byłoby rozsądniej skoncentrować siły wokół portu kosmicznego? Muszą przecież wrócić na statek. - I prawdopodobnie właśnie wracają - zgodził się Thrawn. Jeśli jednak zobaczą pierścień szturmowców uniemożliwiający im wejście, po prostu znajdą

inną drogę ucieczki z planety.

- Ma pan rację - zgodził się Disra, rozpoznając w słowach Thrawna logikę Tierce'a, który był ich najlepszym taktykiem. -Można zatem spytać, co pan proponuje, admirale? Thrawn odwrócił wzrok ku ekranowi.

- Pierwszym krokiem do ujęcia inteligentnego osobnika jest rozszyfrowanie toku jego myślenia - zabrzmiało to jak cytaty z Tierce'a, łącznie z dykcją i intonacją. - Pytanie podstawowe: po co tu przybyli i jak chcieli ten cel osiągnąć? - Sabotaż? - zaproponował pewien swego Disra.

- Nie. Ludzi z doświadczeniem Solo czy Carlissiana nie marnuje się i nie naraża na ryzyko tylko po to, żeby coś wysadzili. Można ich wykorzystać do roli szpiegów, jeśli informacje są wystarczająco ważne, ale nigdy jako sabotażystów.

- Panie admirale? - odezwał się nieśmiało jeden z operatorów. -Dostaliśmy częściowe sprawdzenie aktywności podejrzanych. Ostatnie trzy dni spędzili głównie w Imperialnej Bibliotece, sir.

- Doskonale - Thrawn spojrzał wymownie na Disrę i ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazał pusty kąt pomieszczenia.

- Jeśli można, chciałbym z panem porozmawiać na osobności, admirale - powiedział głośno Disra.

- Naturalnie, ekscelencjo - Thrawn już otwarcie skinął ku wcześniej wskazanemu miejscu. Podeszli tam w milczeniu.

- Niech zgadnę - mruknął Disra. - Dokumenty dotyczące Caamas.

- Co za przenikliwość - pochwalił go ironicznie Thrawn. -Interesujące, prawda? Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że o ile wiem ani Solo, ani Carlissian nie posiadają stosownych do tego celu umiejętności. Żeby się tam dostać, potrzebny jest naprawdę dobry slicer.

Disra zmarszczył brwi - była to prawda. On sam dostał się do danych, ale zajęło mu to ładnych parę lat i wymagało konsultacji z ekspertami.

- W takim razie slicerem musi być ten cyborg - zdecydował.

- Nie sądzę... wprawdzie na razie nie zdołano go zidentyfikować, ale uważam, że to Lobot, długoletni pomocnik Carlissiana, jeszcze od czasów Bepin. A z tego co wiem, on też nie jest slicerem. .. - Flim nagle zmrużył oczy i umilkł. - O co chodzi?

- Słyszałem kiedyś o numerze, na który ktoś wpadł parę lat temu... zaraz, jak to było... niech pomyślę.

Przez dłuższą chwilę w kącie panowała cisza, przerywana jedynie głośnymi westchnieniami Disry

próbującego zapanować nad niecierpliwością; w końcu szpiedzy, i to nie byle jacy, krążyli po jego mieście!

- Verpine! - ucieszył się nagle Flim. - Już wiem: Verpine. Panie poruczniku, proszę zrobić szerokopasmowe skanowanie częstotliwości radiowych. Proszę skoncentrować się na częstotliwościach biokomów rasy Verpine. - Tak jest, sir - porucznik nawet nie mrugnął.

- Zaraz! - Disra omal nie złapał Flima za rękaw. - Częstotliwość biokomów rasy Verpine?!

- Numer był rzeczywiście pomysłowy - wyjaśnił Flim, zniżając głos. - Verpine porozumiewają się między sobą za pomocą specjalnych organów generujących fale radiowe. Bierze się dobrego slicera tej rasy i sadza gdzieś w ukryciu z dobrym sprzętem komputerowym do dyspozycji, a kogoś mającego implant dostrojony do częstotliwości tego konkretnego insektoidea wysyła się do systemu, do którego ma się włamać. Przy tej ilości danych, jaką może przepuścić przez siebie implant, jest to w praktyce telepatia, a Verpine widzi oczami implantu i operuje jego palcami. Samo włamanie odbywa się na terminalu nie połączonym z systemem, a implant wykonuje sprawdzone posunięcia, więc nie wzbudza podejrzeń systemów zabezpieczających. Sposób jest praktycznie nie do wykrycia, jeśli ktoś nie wie, na jakiej zasadzie się opiera.

- Krótko mówiąc, ten z implantem staje się marionetką - pomyśl, żeby człowiekiem, no, powiedzmy cyborgiem, ale ludzkiego pochodzenia sterowały oczy owada, napawał Disrę obrzydzeniem: to już graniczyło z perwersją.

- Można to i tak ująć - zgodził się obojętnie Flim. - Jednak numer jest naprawdę dobry.

- Wierzę na słowo - burknął Disra: dla kogoś takiego jak Flim może i było to normalne, ale Flim sam wywodził się z marginesu. - A jeśli przerwali połączenie? Flim wzruszył ramionami w stylu Thrawna, nadal nie wypadając z roli.

- Wtedy będziemy musieli spróbować czegoś innego - przyznał.

- A gdybyśmy spróbowali nadawać na tych częstotliwościach? Moglibyśmy kazać mu uruchomić silniki i w ten sposób namierzyć.

- Musielibyśmy wiedzieć, jakiego kodu używają, a wątpię, czy uda się znaleźć na poczekaniu kogoś, kto mógłby to zrobić wystarczająco szybko. - A droid translacyjny?

- Standardowy model nie zna verpińskiego, bo to rzadko występujący język. Musiałby mieć dodatkowy moduł... - wyjaśnił Flim i w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Ale jeśli Lobot nie wyłączył nadajnika, powinniśmy odebrać rezonans echa, o ile trafimy na właściwą częstotliwość. To stara metoda, używana przez lepiej wyposażone technicznie planetarne siły policyjne przeciwko grupom przemytniczym, z tym że chodzi o komlinki. Jeśli zdołamy umieścić odbiornik wystarczająco blisko, przy odrobinie szczęścia możemy ich zlokalizować nawet dość dokładnie.

- Strasznie tu dużo przypuszczeń - skrzywił się Disra.

- Wiem, ale czegoś musimy spróbować, a to najlepszy pomysł, na jaki wpadłem. Może lepiej niech pan tu sprowadzi Tierce'a: jest w końcu naszym ekspertem od taktyki, no nie?

A Pellaeon miał wystarczającą ilość czasu na nieudolne próby, dodał w duchu Disra.

- Przyślę go - obiecał, odwracając się ku drzwiom. - Proszę mnie o wszystkim informować, admirale.

Winda stanęła z lekkim szarpnięciem. - To tu? - zdziwił się Zothip.

- Tak sądzę - odpowiedział spokojnie Control. - Powinniśmy być na miejscu...

- I w którą stronę teraz? - spytał nowy głos.

Karoly przesunęła głowę i spojrzała jednym okiem przez szczelinę w drzwiach - piraci wysiedli z windy, a Zothip stał właśnie w wąskim korytarzu i podparty pod boki rozglądacie niepewnie, ponieważ korytarz biegł w obie strony.

- Nie wiem - Control też się rozejrzał i wskazał w lewo. - Spróbujmy tu!

- Dobra - zgodził się Zothip. - Grinner, zablokuj windę, nie lubię niespodzianek.

- Się robi - Grinner pomajstrował coś przy tablicy kontrolnej windy, czego Karoly nie mogła zobaczyć. - Gotowe.

Po czym pospieszył za pozostałymi. Ledwie zniknął z jej pola widzenia, Karoly policzyła do pięciu i rozsunęła drzwi. Zdążyła właśnie wejść do windy, gdy usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Odruchowo szarpnęła, zamykając drzwi na ile zdołała i, zostawiwszy kilkucentymetrową szparę, w dwóch długich krokach dopadła przedniego lewego narożnika i wtuliła się weń.

Zdążyła w ostatniej chwili, akurat gdy idący dotarli do windy.

- I co z tego, że nie był sam? - burknął Zothip, mijając otwarte drzwi. - Słyszałem zresztą tylko dwa głosy.

- Co nie znaczy, że nie mogło być więcej obecnych - wyjaśnił cierpliwie Control, przechodząc z pozostałą grupą obok windy. - A należy pamiętać, że jeśli nas zobaczą niewłaściwe osoby, nie dość, że układ szlag trafi, to jeszcze zaczną nas ścigać. - Niech tylko próbują! - głos Zothipa stopniowo przycichał. - A gdybyś przypadkiem zapomniał, to mamy tu dopilnować, żeby szlag trafił Disrę. Układ pójdzie przy okazji.



- Powinniśmy przynajmniej najpierw z nim pogadać - upierał się Control. - Może chociaż interesy da się uratować.

- Grinner, ty to się, chłopie, znasz na technice! - rozległ się nowy głos. - Blokując windę, otworzyłeś tylne drzwi, cymbale!

Karoly wstrzymała oddech, ale Grinner jedynie zaklął i, nie przerywając marszu, zajął się rozstawianiem po kątach rodziny spostrzegawczego kompana. Ponownie policzyła do pięciu, ostrożnie zdjęła haki, uważając, żeby nie zabrzczały, i schowała je do pokrowców. Następnie ujęła blaster i ruszyła w ślad za nimi.

Zrobiła zaledwie parę kroków, gdy delikatny powiew prosto w twarz uprzedził ją, że gdzieś przed nią właśnie otwarto drzwi. Przyspieszyła zatem i minęła lekki zakręt akurat w porę, by zobaczyć prostokąt światła zwiężający się w smugę w trakcie zamykania drzwi, przez które wpadało. Bezgłośnie podbiegła do nich i przyłożyła ucho do szczeliny pozostawionej przez niedokładne zamknięcie.

- Nieźle - ocenił jeden z piratów z mieszaniną pogardy i zazdrości. - Bielizna pościelowa z ramoroliańskiego jedwabiu...

- Poproś go, to ci da prześcieradło na koję - warknął Zothip. - Gdzie jest ten zasrany... aha, jest.

Rozległo się szuranie towarzyszące przesuwaniu ciężkiego fotela po grubym dywanie i Karoly zamiast ucha przyłożyła do szczeliny oko, ale dostrzegła jedynie fragment wiszącego na ścianie gobelinu. - To co robimy? - spytał Control.

- Połączymy się z jego gabinetem - wyjaśnił Zothip. - Niech spławi, kogo tam ma albo każe mu czekać.

- Bardzo mi przykro, panie admirale - wykrztusił Tierce, wycierając nerwowo dłoń o nogawkę spodni. - Z całym szacunkiem, aleja naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

Chyba nigdy nie byłem w bazie Yaga Minor, a jeżeli, to jako kadet w okresie szkolenia. Na pewno nie byłem tam... ile pan mówił... sześć tygodni temu.

- Około sześciu tygodni - Pellaeon, obserwując uważnie jego twarz, żałował, że nie ma dowodów: Tierce łągał aż się kurzyło, ale dopóki admirał nie potrafił zidentyfikować go jako tego, który próbował włamać się do systemu komputerowego bazy, nie mógł zrobić nic więcej.

Albo dopóki Ghent nie uzyska dowodów, że Tierce tam się włamał. To był atut, o którym ani Tierce, ani Disra nie mieli pojęcia. Podwójne odrzwia otworzyły się, przerywając mu rozmyślenia.

- Przepraszam za zwłokę - Disra rażno wmaszerował do pomieszczenia, obszedł Dreyfa i siadł w swoim fotelu za biurkiem. - To byłoby wszystko, majorze. Dziękuję. - Tak, ekscelencjo - Tierce skłonił się, a Pellaeon przysiągłby, że w momencie, w którym oczy moffa i majora się spotkały, Disra niedostrzegalnie skinął głową. Tierce odetchnął z wyraźną ulgą i oddalił się z pośpiechem kogoś, kogo tylko resztką przyzwoitości powstrzymuje przed bieganiem.

- Ufam, że major Tierce okazał się zadawalającym rozmówcą- zagaił Disra, gdy oficer zamknął za sobą drzwi.

- Całkowicie - zapewnił go Pellaeon z kamienną twarzą, uważnie obserwując równie nieprzeniknione oblicze rozmówcy: na razie nie mógł jeszcze udowodnić tego co wiedział, ale wystarczyło, by Disra popełnił jeden błąd...

- O czym to rozmawialiśmy? - spytał Disra, siadając wygodniej; rzuciło się w oczy, że przerwa wręcz podbudowała jego pewność siebie. - A tak, mówiliśmy o tych obelżywych i sfałszowanych oskarżeniach wysuwanych przez rozmaite indywidua pod moim adresem. Przyszło mi na myśl, że...

Przerwał mu brzęczek stojącego na biurku komunikatora. Disra najpierw się zdziwił, a potem zirytował. - Tak? - rzucił, uruchamiając urządzenie. - Co do...

I zastygł z wytrzeszczonymi oczami i rozdziawionymi ustami. Ocknął się błyskawicznie, spojrzął na Pellaeona i ponownie utkwiał wzrok w ekranie.

- Owszem, jestem zajęty - warknął. - I nie podoba mi się takie bezceremonialne przerywanie...

Nagle zamilkł w pół zdania. Niestety Pellaeon, mimo wysiłków, nie był w stanie usłyszeć ani słowa z tego, co mówił rozmówca Disry. W następnej chwili Disra ponownie wybałuszył oczy, a na jego twarzy Pellaeon dostrzegł coś, czego raczej nie spodziewał się zobaczyć.

Moff Disra - bezwzględny kłamca, manipulator i oszust, a najprawdopodobniej też zdrajca - pobladł jak trup. Dreyf także to zauważył i wstał.

- Co się stało? - spytał, obchodząc biurko.

Szok gospodarza jednak minął i osłupienie zastąpiła wściekłość.

- Cofnij się! - warknął. - Nic mi nie jest! Siadać... proszę! Dreyf stanął i zdziwiony obejrzał się na Pellaeona.

- Co się wydarzyło tym razem, ekscelencjo? - zainteresował się admirał.

- Nic wielkiego - wycodził Disra przez zaciśnięte zęby, nie spuszczać wzroku z ekranu. - Proszę mi wybaczyć, muszę jednak ponownie panów opuścić, choć sądzę, że na krócej.

Wstał, wyłączył nieco zbyt energicznie komunikator i ruszył ku drzwiom. Nie biegł, ale niewiele mu do tego brakowało.

- Proszę się aż tak nie spieszyć - zawołał w ślad za nim Pellaeon.

Odpowiedział mu huk zatrzaskiwanych drzwi.

- Interesujące - ocenił Dreyf, przenosząc spojrzenie z drzwi na zwierzchnika. - Kolejny wybieg, żeby zyskać na czasie, sir?

- Wątpię, by którekolwiek z tych wyjść było udawane - Pellaeon przyjrzał się z namysłem biurku Disry.

Wiedział, że na meble z kultur hodowlanych mogli sobie pozwolić jedynie naprawdę zamożni politycy, przemysłowcy lub... szefowie organizacji przestępczych. Osoby te łączyło jedno: wszyscy mieli sporo do ukrycia...

- Coś tu się dzieje - odezwał się po chwili. - I to coś bardzo ważnego. - Hm... mam się rozejrzeć, sir? - spytał Dreyf.

- Może później. Teraz wygląda na to, że zostaliśmy zdani jedynie na własne towarzystwo. W gabinecie Disry... Dreyf prawie się uśmiechnął.

- Prawda? - rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu, spojrzał wymownie na szurmowców i dodał: - To może nie do końca legalne, jako że nie posiadamy nakazu, ale na Disrze ciężą poważne podejrzenia, choć nie został jeszcze o nic oskarżony oficjalnie... - Formalności biorę na siebie - przerwał mu Pellaeon. - Odpowiedzialność także. Proszę robić, co pan uzna za stosowne, komandorze.

- Tak jest, sir! - Tym razem Dreyf uśmiechnął się, obchodząc biurko. - Z przyjemnością, sir!

Tierce stał najbliżej drzwi, gdy Disra wpadł do centrum dowodzenia.

- Mamy echo - poinformował wchodzącego ze złośliwą satysfakcją. - Jak przeprowadzimy triangulację...

- Zothip tu jest! - przerwał mu Disra. - W mojej sypialni! Uśmiech majora zniknął.

-Jak?!

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć, jak? Po prostu stwierdzam fakt. Rozpoznałem meble w trakcie rozmowy z nim, bo ścierwo połączył się z moim gabinetem! Tierce spojrzał na Flima stojącego za

oficerem dyżurnym.

- Coraz lepiej i lepiej - przyznał ponuro. - Pellaeon słyszał coś z waszej rozmowy? - Tylko moją część. Jego pomagier, Dreyf, zaczął obchodzić biurko, ale go zatrzymałem. Wątpię, by zdołał coś usłyszeć lub zobaczyć. - Musimy się pozbyć Zothipa! - syknął Tierce.

- Zaskakująco genialna myśl - warknął Disra. - A jak? Bo na pewno nie zjawił się sam. Tierce ponownie spojrzął na ekran.

- Nie mogę stąd odejść - stwierdził. - Solo i Carlissian są naprawdę sprytni i dopóki nasi ludzie nie będą ich widzieć...

- Zothipa też nie możemy zostawić - przerwał mu Disra. - Jest w moim mieszkaniu, co oznacza, że ma wolne przejście do gabinetu. A tam siedzi Pellaeon! - Sam?!

- Z pomocnikiem i dwoma szturmowcami. A co miałem zrobić? Zawołać wartowników i kazać go pilnować?!

- Nie byłby to taki zły pomysł. - Tierce uniósł dłoń. - Dobra, załatwimy ich po kolei. Pellaeon musi poczekać... Solo i Carlissian...

- Mamy drugie echo, panie admirale - zameldował operator. - Jak tylko uzyskamy solidny namiar, możemy ruszać: zespoły przechwytyjące są gotowe, sir.

- Dziękuję. - Thrawn spojrzął ku drzwiom. - Proszę kontynuować działanie. Jakiś problem, ekscelencjo?

- Niewielki, panie admirale - odpowiedział mu Tierce. - Ale może wymagać paru minut pańskiego czasu. - Jeśli to niezbędne.

- Co pan wyprawia? - syknął Disra, widząc podchodzącego Flima. - Nie chce pan chyba...

- Kogoś takiego jak Zothip można załatwić tylko na dwa sposoby: zabić go albo przestraszyć - przerwał mu Tierce. - A co może go przestraszyć bardziej niż widok wielkiego admirała Thrawna? - Kogo mamy zamiar przestraszyć? - spytał Flim.

- Zothipa - wyjaśnił Disra. - Jest w mojej sypialni.

Flim znieruchomiał ze wzrokiem wlepionym w Tierce'a.

- Nic ci nie będzie - zapewnił go major. - Zothip współpracuje dla zysków, a ty stanowisz gwarancję, że impreza się opłaci. Nie zaryzykuje zranienia cię, nie mówiąc o czymś gorszym.

- Chyba że przybył się mścić - zauważył ponuro Flim. - Za to, co Pellaeon zrobił z nim w pobliżu

Pesitiin. Pamiętacie?

- Zapomni o wszystkim, jak cię zobaczy - zapewnił go zniecierpliwiony Tierce. - A zresztą ja też tam idę. Ilu by ich nie było, poradzę sobie, nie bój się.

- A Solo? - Flim spojrział na ekran. - Jeśli go znowu zgubimy...

- Jak? - przerwał mu Tierce. - Mamy dwa echa, czyli wiemy, w którym rejonie miasta się znajdują. Zanim wrócimy, będą aresztowani. Idziemy. Flim skinął głową.

- Proszę kontynuować operację, poruczniku - polecił głosem Thrawna. - Wrócę za kilka minut. Cała trójka skierowała się ku drzwiom.

- Nie wiem... - mruknął Flim na tyle głośno, by Disra go usłyszał. - Wątpię, żeby mi się to spodobało.

Pierwszym ostrzeżeniem było leciutkie szarpnięcie Lobota. - Co jest? - spytał Lando.

- Co jest co? - zdziwił się Han idący z drugiej strony cyborga.

- Przed sekundą się zawahał - Lando odchylił opuszczone rondo kapelusza osłaniające głowę Lobota przed ciekawskimi spojrzeniami i przyjrzał się różnobarwnym światełkom na implancie: ich wzór wyglądał nieco inaczej niż poprzednio.

- Może się potknął - bąknął zniecierpliwiony Han, rozglądając się po otaczającym ich tłumie. - Chodź, nie mamy czasu do stracenia.

- Poczekaj! - Lando w skupieniu badał wzrokiem twarz Lobota: znał go dobrze i wiedział, że ani gwałtowne ruchy, ani zamyślona mina nie są u niego normalne, a zignorowanie ich może prowadzić jedynie do kłopotów. -Lando...

- Zaraz - przerwał mu ostro, bo Lobot ponownie drgnął, a światełka zmieniły wzór, po czym mrugnęły i kolejny raz zmieniły układ.

I Lando poczuł lodowaty chłód w żołądku, rozumiejąc nagle, co się stało.

- Namierzają nas, dostrajając się do częstotliwości biologicznej Verpine! - powiedział ponuro.

- Pięknie - Han złapał Lobota pod ramię i przyjrzał się niezyczliwie implantowi. - Znaleźli już właściwą częstotliwość?

- Chyba jeszcze nie - Lando rozglądał się w poszukiwaniu natchnienia. Na piechotę od lądowiska

dzieliło ich około pół godziny marszu, wynająć pojazd nie mogli, pozostawała więc jedynie kradzież, a to było zbyt ryzykowne...

Nad jednym ze sklepów dostrzegł wielobarwną pulsującą reklamę ogłaszającą wyprzedaż kilkuset typów droidów. Reklama oczywiście głosiła bezczelnie, że wyprzedaż trwa tylko jeden dzień i że ceny są najniższe w Imperium.

- Idziemy! - zdecydował, ujmując Lobota pod drugie ramię i ciągnąc w stronę sklepu. - Do środka.

Zdążyli tam wpaść, zanim imperialne poszukiwania ponownie trafiły na właściwą częstotliwość.

- I co teraz? - spytał Han, taksując wzrokiem wypełniający pomieszczenie tłum poszukiwaczy okazji cen.

- Tam! - Lando przepchnął się ku części, w której oferowano droidy astromechaniczne. - Potrzebujemy kilku R2 lub R8.

- Stoi ich ze dwadzieścia. - Han wspiął się na palce, żeby spojrzeć nad głowami tłumu. - Tylko pamiętaj z łaski swojej, że nie mamy zbyt wiele gotówki.

- Przecież nie zamierzam ich kupować! - obruszył się Lando. - Chcę je tylko wykorzystać.

Przepchnęli się w końcu ku astromechom, wokół których było prawie pusto, jako że w mieście miały one niewielkie zastosowanie.

- Witam serdecznie szanownych panów - na ich spotkanie wyszedł srebrzysty droid protokolarny. - Jestem C-5MO, w czym mogę panom pomóc?

- A, dziękuję - Lando uśmiechnął się olśniewająco. - Szukamy droida mogącego służyć jako przekaźnik łączności dalekodystansowej na pewnych, specyficznych częstotliwościach.

- Rozumiem, proszę pana - droid odwrócił się lekko ku rzędowi astromechów. - Proponuję modele R2 lub R8. Oba typy mają w standardowym wyposażeniu pełnozakresowe systemy łączności.

- Brzmi nieźle - Lando podszedł do najbliższego R8. - Można je przetestować? - Naturalnie, proszę pana. Proszę sprawdzać, jak się tylko panu podoba.

- Dziękuję - Lando wskazał pierwszego R8. - Chciałbym, żebyś nadał wielotonowy sygnał na następującej częstotliwości...

I podał mu litanię cyfr. Następnie polecił to samo, tylko na innej częstotliwości. - Chwileczkę, proszę pana - odezwał się nieszczęśliwym tonem droid protokolarny. - Obawiam się, że nie może pan nadawać nieautoryzowanych sygnałów łącznościowych w środku miasta... Jeden z R8 przerwał mu związłym ćwierknięciem.

- Och - zdziwił się droid protokolarny. - Jesteś pewien, że tej częstotliwości nikt nie używa? R8 gwizdnął potwierdzająco.

- Rozumiem. Przepraszam szanownego pana, może pan oczywiście kontynuować. Lando przespacerował się wzdłuż linii astromechów, podając im kolejne częstotliwości - wszystkie mieściły się w zakresie częstotliwości używanych przez rasę Verpine.

- Dobra - oznajmił, gdy już skończył. - Doskonale. Teraz dopilnuj, żeby nadawały, a my wrócimy do śmigacza terenowego i sprawdzimy, czy utrzymują właściwą częstotliwość.

- Chce pan, by nadawały? - droid protokolarny znów był nieszczęśliwy. - Ale... - Chyba nie sądzisz, że kupimy je tylko na podstawie twojego zapewnienia, że nadają na właściwych częstotliwościach, prawda? - wtrącił Han. - Nie musisz się obawiać, jeden z nas tu zostanie.

Han wskazał mężczyznę w ciemnozielonym płaszczu oglądającego droidy domowe.

- Zostanie tu, dopóki nie wrócimy - dodał Lando. - Przyjmujecie naturalnie korporacyjny list kredytowy przy zakupie powyżej dwudziestu droidów?

- Naturalnie, szanowny panie - droid poweselał. - Wystarczy, że pokaże pan upoważnienie korporacji, kiedy będziemy wystawiali rachunek.

- Doskonale - Lando spojrzał na Hana, unosząc znacząco brwi: Han zrozumiał sygnał i poprowadził Lobota w stronę wyjścia. - Za parę minut wrócimy.

Wyjść ze sklepu było tylko nieco trudniej niż wejść - zajęło im to ponad dwie minuty.

- Niezły pomysł miałeś z tym gościem, którego tam zostawiliśmy - ocenił Lando, ledwie znaleźli się na ulicy. - Powinniśmy zyskać kilka dodatkowych minut. - Teraz gdzie? Prosto na statek? - Chyba że masz lepszy pomysł.

- Właśnie się zastanawiam... droidy powinny zagłuszyć echo i na dłuższy czas uniemożliwić im dalsze poszukiwania, ale wiedzą, że tu jesteśmy i będą wiedzieli, w której dzielnicy. A gdyby tak skorzystać z autofraktu? Moglibyśmy dostać się do portu kosmicznego z przeciwnej strony...

- O ile nie damy się złapać: podobno tu strasznie nie lubią pasażerów automatycznych transportów towarowych - ostrzegł Lando.

- Zaryzykujemy - Han najwyraźniej podjął decyzję. - Chodź, najbliższy terminal jest tam.

# R O Z D Z I A Ł 2 2

Rozmowa - a przynajmniej ta jej część, którą Karoly słyszała przez niedomknięte drzwi - była krótka, ostra i nieprzyjemna. I niezwykle pouczająca - Cavrilhu współpracowali z Imperium.

W zasadzie dokonane właśnie odkrycie nie stanowiło aż takiej rewelacji, zwłaszcza po podsłuchaniu rozmowy Solo z Carlissianem. Imperium od lat wykorzystywało rozmaite organizacje przestępcze, zaczęło to robić jeszcze zanim Palpatine został Imperatorem, a szczyt osiągnęło, gdy współpracował z Xizorem, szefem Czarnego Słońca. Teraz zaś, kiedy z dawnej świetności pozostały jedynie smętne resztki, w ogóle nie powinno to budzić zdziwienia.

Zaskoczyło ją coś innego: Zothip rozmawiał z Disrą jak partner, nie jak sługa, i to niezadowolony partner, o czym świadczyły wiązanki przekleństw, których nie szczędził. Co więcej - zawołane groźby ujawnienia wskazywały, że nie jest to oficjalny układ z Imperium, lecz prywatna umowa z Disrą. Do tej pory śledziła piratów, żeby wyrównać rachunki za ich udział w lorardiańskiej masakrze sprzed trzech lat, teraz okazało się, że trafiła na coś znacznie bardziej interesującego.

- Myślisz, że przyjdzie? - głos jednego z piratów przerwał jej rozmyślenia.

- Pewnie, że przyjdzie - burknął Zothip. - Jak nie, to ogłosimy o wszystkim na pełnym zakresie częstotliwości: nawet każdy głuchy w Bastionie będzie wiedział. - Nie przyjdzie sam - ostrzegł Control. - Weźmie ze sobą ochronę.

- Niewielką- odparował Zothip. - To ścierwo mało komu ufa.

- Mimo to przydałoby się ukryte wsparcie - zasugerował Control. - Tak na wszelki wypadek.

- Niech będzie - zgodził się niechętnie Zothip. - Crans, Portin: wróćcie na korytarz i czekajcie. Jak gwizdnę, wpadacie i rozwalacie wszystkich poza nami.

Usłyszawszy dwa potwierdzające mruknięcia i odgłos zbliżających się kroków, Karoly cofnęła się, z nieporównanie mniejszym hałasem, za zakręt korytarza i znieruchomiła, czekając, aż piraci zamkną za sobą drzwi. Teraz musiała zdecydować, co dalej - oddalona o cztery metry i dwóch piratów od drzwi nie była w stanie niczego usłyszeć, a chętnie posłuchałaby rozmowy między Disrą i Zothipem. Na dodatek Cavrilhu mieli do spłacenia dług krwi za śmierć Mistryl... Zdecydowała, że zaliczkę pobierze tu i teraz-schowała blaster do kabury i wyjęła parę długich noży o cienkich ostrzach. Crans i Portin podsłuchiwali przy uchylonych drzwiach, wymieniając szeptem uwagi, w oczekiwaniu na sygnał do egzekucji. Żaden z nich nie słyszał zbliżającej się śmierci. Żaden też nie wydał dźwięku, umierając. Karoly odciągnęła trupy o kilka metrów, żeby jej nie przeszkadzały, wróciła do drzwi i przez szparę wsunęła ostrze jednego z noży do środka. Wprawdzie obraz odbijał się w nim zamazany i zniekształcony, ale jej to zupełnie nie przeszkadzało - po paru tysiącach takich doświadczeń



odczytywała go, jakby pochodził z kryształowego zwierciadła.

Zothip i pozostali trzej piraci ustawili się twarzami do ozdobnych drzwi w prawej ścianie. Zothip rozparł się w fotelu za biurkiem, reszta stała oparta o ściany i meble, trzymając ręce w pobliżu kolb blasterów. Wszyscy znajdowali się poza linią ognia prowadzonego przez drzwi, za którymi czekała. Właśnie kończyła planować atak, gdy rozległ się ostry szczęk zamka. Piraci umilkli, ozdobne drzwi otworzyły się i do pokoju weszło dwóch mężczyzn.

Pierwszy musiał być moffem Disrą - wskazywał na to wiek, strój i arogancki krok. Zaraz za nim szedł oficer w imperialnym mundurze... Na jego widok Karoly poczuła mrowienie w karku - był to bowiem wojownik. Nie żołnierz, lecz wojownik, co natychmiast poznała po charakterystycznej postawie, ruchach, sposobie, w jaki rozejrzał się, oceniając sytuację, wreszcie pozycji jego rąk. Control ostrzegł, że Disra przyprowdzi ochroną, ale nic nie wskazywało na to, by piraci zorientowali się, jakie niebezpieczeństwo kryje oficerski mundur. Zothip na pewno się nie zorientował, o czym świadczył jego ton i słowa:

- Nie spieszyło się wam, co? - warknął, gdy oficer odwrócił się i zamknął drzwi. - Co to za jeden?

- Wynoś się z mojego fotela! - odwarknął Disra, ignorując pytanie.

- Tutaj ja wydaję polecenia - Zothip nawet nie drgnął. - Zaraz, ja cię znam! Tak, to ty przyleciałeś wtedy i zabrałeś mi wszystkich doradców, zdrańcu!

Karoly wstrzymała oddech, spodziewając się natychmiastowej reakcji, ale oficer nie dał się sprowokować.

- Wszystko się zgadza, poza obelgą - odparł z lodowatym spokojem. - Jestem major Tierce i jak już wtedy wyjaśniłem, Imperium miało dla nich inne zadania. - Więc ich po prostu zabrałeś - dodał ponuro Zothip. - Może w Imperium tak się robi ze sługusami, ale my mamy inne zasady: jak ktoś zawiera umowę, to jej dotrzymuje i w trakcie nie zmienia żadnych warunków. Albo spędza ostatnie minuty życia ciężko tego żałując.

- Stałeś się ostatnio dziwnie nerwowy - prychnął Disra. - Pellaeon aż tak cię przestraszył?

- Pellaeonem się nie martw, załatwię się z nim później. Teraz ty jesteś na celowniku i zaczniemy od pełnej rekompensaty za krążownik z ośmiuset ludźmi załogi, który straciłem.

- Stracił też nerwy, ekscelencjo - wtrącił Tierce. - Stawka stała się zbyt wysoka i chce się wycofać z gry.

- Gadanie! - skrzywił się pogardliwie Zothip. - Z tobą, Disra, zawsze wszystko sprowadza się tylko do pustego gadania i niedotrzymywania obietnic. Ja nadstawiam dupy i załatwiam brudną robotę, a ty wyciągasz same korzyści. Gównu, nie będę się dłużej dawał wykorzystywać! Dwadzieścia milionów powinno pokryć...

- Założmy, że mamy coś więcej niż tylko słowa - przerwał mu Tierce wyzywająco. - Założmy, że udowodnimy ci, iż Imperium rośnie w siłę i tym razem wygra. Nadal będziesz chciał się wycofać? Zothip zachichotał bez śladu wesołości.

- Udowodnicie? - prychnął. - Jeśli uważacie, że macie cokol...

I umilkł, ponieważ drzwi, przez które weszli Disra i Tierce, otworzyły się ponownie i stanęła w nich postać w białym uniformie Imperium.

- Witam, kapitanie Zothip - odezwał się nowo przybyły. - Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem wielki admirał Thrawn.

Komandor Dreyf potrzebował mniej niż minuty na znalezienie ukrytej szuflady i niespełna dwóch następnych, by przy użyciu wysoce specjalistycznych narzędzi ją otworzyć. W szufladzie znajdowało się osiem datakart - trzy z nich zostały oficjalnie opisane: raport wywiadu imperialnego i dwa raporty wywiadu floty. Natomiast pozostałe pięć...

- Proszę je skopiować - polecił Pellaeon i po sekundzie dodał: - Wszystkie. Zobaczymy, co z nich wyciągną deszyfranci na „Chimerze”.

- Jeśli można, chciałbym najpierw coś poradzić, sir - Dreyf wsunął do swego czytnika jedną z nieopisanych datakart, a do dodatkowego slotu drugą, wyjętą z kieszeni, i wyjaśnił: - Jedna z korzyści płynących ze sprawdzenia finansów Graemona: szyfr, którego używał do rozmów z Bastionem, panie admirale. Jeśli Disra był na tyle pewny siebie, żeby używać go do więcej niż jednego celu... proszę, proszę, nasz cwany moff nie jest aż tak sprytny jak myślał! Wszystko tu jest, sir. Wszystko, czego tylko potrzebujemy.

Pellaeon zajrzał mu przez ramię - rzeczywiście, na ekranie pojawiły się nazwiska, daty, kwoty i detale rozmaitych transakcji.

- Zdoła pan to połączyć z danymi od Graemona, komandorze? - spytał na wszelki wypadek.

- Z łatwością, sir - Dreyf nadal przeglądał informacje z data-karty. - Disra był na tyle uprzejmy, że umieścił wszędzie dary. Prawdę mówiąc, wszystko, co będę musiał... - Stop! - polecił nagle Pellaeon. - Proszę się cofnąć o kilka pozycji... jeszcze trochę... jeszcze...

I na ekranie pojawiło się nazwisko, które zwróciło uwagę admirała, a umknęło Dreyfowi. Nazwisko, aktualne miejsce pobytu i data wystawienia nakazu aresztowania. - Pułkownik Meizh Vermel - przeczytał zaskoczony Dreyf. - Czy to niejeden z pańskich adiutantów, sir?

- A owszem - przytaknął Pellaeon z ponurą satysfakcją błyskawicznie przechodzącą we wściekłość. - Zniknął ponad miesiąc temu podczas wykonywania zadania specjalnego.

- Zniknął... - powtórzył Dreyf przeciągle. - A więc Disra zajął się także porwaniami...

- Jedynie przy specjalnych okazjach - mruknął Pellaeon, oglądając szufladę: nie dało się ukryć, że została otwarta. Gospodarz zorientuje się, ledwie usiądzie przy biurku i popatrzy na nie uważniej. - Proszę ich nie kopiować - zdecydował. - Zabieramy oryginały.

- Proszę?! - Dreyf aż zamrugał, zaskoczony. - Ale...

- I wychodzimy - dodał Pellaeon, po czym zwrócił się do jednego ze szturmowców: - Sierzancie, proszę skontaktować się z kapitanem Ardifem i przekazać mu, by „Chimera” była gotowa do odlotu, gdy tylko znajdziemy się na pokładzie. A potem proszę się porozumieć z porucznikiem Marshianem i powiedzieć, żeby przygotował prom do startu.

- A co z Disrą? - spytał Dreyf. - Jeszcze z nim nie skończyliśmy, sir.

- Nie ucieknie. Teraz najważniejsze jest uwolnienie Vermela, zanim Disra uzna, że stał się niepotrzebny. - Chce pan to zrobić osobiście, panie admirale?

- Tak. - Pellaeon zamknął ukrytą szufladę. - Nie wiemy, jak Disra sformułował nakaz aresztowania. Może się okazać, że tylko ja jestem w stanie anulować go od ręki. A poza tym nie mogę już ufać nikomu, kto nie należy do załogi „Chimery”. Każdy może siedzieć w kieszeni Disry. - Albo Thrawn - mruknął Dreyf.

- Jeżeli on rzeczywiście żyje - zgodził się Pellaeon. - Teraz jednak nie czas na spekulacje, komandorze. I skierował się ku wyjściu.

- To się może nie udać, sir - ostrzegł Dreyf, idąc za nim. - Stacja Rimcee leży o dwa dni lotu, Disra na pewno odkryje utratę datakart znacznie wcześniej.

- Tym akurat może się pan nie martwić, komandorze - zapewnił go Pellaeon. - I co, sierzancie?

- Porucznik Marshian prosił powtórzyć, że prom jest gotów do startu, sir. A kapitan Ardif, że „Chimera” będzie gotowa, jak tylko prom znajdzie się na pokładzie. - Doskonale, panowie. Zatem nie każmy na siebie czekać.

Przez kilka długich sekund w pokoju panowała idealna wręcz cisza - niczym w grobie. Disra rozkoszował się nią, podobnie jak wyrazem totalnego osłupienia malującym się na gębie zwykle przemądrzałego Zothipa. Czar i cisza prysły, gdy przerwał je, z sobie tylko znanych powodów, Flim:

- Wydaje się pan zaskoczony moją obecnością, z czego wnoszę, że niestarannie słuchał pan nowin z Coruscant, kapitanie.

Przez kolejne kilka sekund Zothip bezgłośnie poruszał ustami - ich ruchy podkreślała jeszcze broda, toteż efekt był nader komiczny.

- Słyszałem o pana powrocie - wykrztusił wreszcie, odzyskując głos. - Tylko w to nie uwierzyłem. - Dlaczego?

Zothip spojrział po swoich ludziach, jakby upewniając się, że on tu rządzi.

- Bo uważałem pana za inteligentnego, a nikt, kto zdołałby się wyrwać z takiej beznadziei jak Imperium, nie byłby na tyle głupi, by tam wracać - oznajmił najwyraźniej odzyskując tupet. Tierce drgnął, ale Thrawn tylko się uśmiechnął.

- Nieźle - ocenił. - Trochę zbyt wolno, ale ogólnie nieźle.

- O czym pan gadasz? - zdziwił się Zothip.

- Imperium przeszło do kontrofensywy. - Thrawn minął Disrę, przyglądając się pod drodze każdemu z piratów krótko i badawczo. - I choć sprzymierzeńcy nie są nam niezbędni, nie mamy nic przeciwko ich posiadaniu.

Jeden z piratów, stojący za Zothipem z prawej strony, odchrząknął i spytał, krzyżując ręce na piersiach: - Znaczy, że jesteśmy teraz sprzymierzeńcami?

- Właśnie - ucieszył się Zothip. - Control ma rację: wydajecie rozkazy i zgarniacie zyski, a my ryzykujemy życie i odwalamy brudną robotę. To co to jest za przymierze?! - Takie, w którym sprzymierzeniec może zyskać ponad wyobrażenie - odparł nieco chłodniej Thrawn. - Pozycję, władzę i majątek wystarczające, by mieć własny system planetarny. Albo kilka.

- A kiedy ten radosny fakt ma nastąpić? - spytał Control, wolniutko, ale przez cały czas odsuwając się od Zothipa w stronę ściany, jakby spodziewał się strzelaniny. Disra dostrzegł to pierwszy, ale Tierce pierwszy zareagował - dał niewielki krok w bok, pozostając w tej samej odległości od Controla i równocześnie przybliżając się ku piratowi podpierającemu ścianę z lewej strony Zothipa. Dzięki temu manewrowi miał w bezpośrednim zasięgu nie tylko jednego pirata...

- Wkrótce - zapewnił go Thrawn. - Większość elementów jest już na właściwych pozycjach, gotowych do akcji. Pozostałe znajdą się tam w najbliższym czasie. - Te elementy to inni sprzymierzeńcy? - zasugerował Control. - Traktuje nas pan jak pionki w grze albo części składowe układanki?

- Nie będę niczym pionkiem! - obruszył się Zothip, nim Thrawn zdążył odpowiedzieć. - I nie znoszę układanek. Cavrillu grają według własnych reguł i tylko w gry, które im odpowiadają!

Przerwał mu świergot sygnalizujący, że ktoś próbuje porozumieć się z modułem stojącym na biurku.

- Kto tu wydzwania? - zdziwił się Zothip. - To miała być prywatna rozmowa, Disra!?

Zapytany zignorował go, podszedł do biurka, odwrócił do siebie ekran i uruchomił urządzenie. -

Tak?

Na ekranie pojawił się porucznik z centrum dowodzenia, i to z nieszczęśliwą miną. - Mamy poważny problem, ekscelencjo. Szpiedzy wysłiznęli się z obławy.

- Jak? - warknął Disra, z trudem tłumiąc przekleństwa.

- Użyli droidów w jednym ze sklepów, żeby zagłuszyć częstotliwości biologiczne Verpine. Zanim zlokalizowaliśmy sklep i wyłączyliśmy droidy, znaleźli się poza zasięgiem detektorów i nie udało się nam uzyskać echa. Czy admirał Thrawn jest z panem?

- Tak. - Thrawn podszedł do Disry. - Za chwilę do was zejdę, w międzyczasie proszę rozproszyć detektory w klasyczny wzór poszukiwawczy wokół ostatniego namierzonego miejsca i spróbować odzyskać echo. - Tak jest, sir.

Disra wyłączył komunikator i z urazą popatrzył na majora - za nic nie powinien dać się namówić na konfrontację z Zothipem przed schwytaniem tamtych dwóch. - Lepiej dopilnujmy poszukiwań - zaproponował, patrząc wymownie na Thrawna. - I co, zostawicie nas tak? - spytał Control, stojący już o dobre trzy kroki od Zothipa i nadal trzymający ręce skrzyżowane na piersiach.

- Przestańcie się wygłupiać - Disra miał dość Zothipa i jego piratów. - Nie chcecie być po stronie zwycięzców? Wolny wybór, mamy już sporo chętnych. Majorze Tierce, proszę wezwać eskortę i wyprowadzić naszych nieproszonych, ale jednak gości. - Ani mi się waź! - ryknął Zothip, wstając i chwytając za kolbę blastera. - Odejdziemy, jak dostaniemy dwadzieścia milionów. I radzę się pospieszyć, bo inaczej... - Co inaczej?! - warknął Disra. - Będziesz mi groził, ty zawszony. ..

- Dość! - Zothip wsadził dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie.

Znajdujący się po jego bokach piraci złapali za blastery... I do akcji wkroczył Tierce.

Pirat stojący najbliżej niego nie zdążył nawet wyjąć broni z kabury. Jeden ruch, błyskawiczny cios wyprostowaną dłońią, trzask pękających kości i zaatakowany zwałił się na dywan. Jego towarzysz po drugiej stronie Zothipa zaklął, ale zanim Disra odwrócił ku niemu głowę, Tierce wykonał kolejny rutynowy ruch i w piersi klnącego utkwil nóż o płaskiej rękojeści. Prawie identyczny, jak ten wystający z szyi pirata. Disra z trudem złapał oddech, widząc smukłą, ciemno ubraną kobietę, która nagle zjawiała się w pokoju przez ukryte drzwi. Jej lewa ręka wykonała krótki, gwałtowny gest, coś błysnęło i Zothip jęknął, rzucając się nagle do przodu, prosto na wyprowadzone przez gwardzistę kopnięcie z półobrotu, które trafiło go w brzuch z siłą wystarczającą, by przeleciał przez blat biurka. Blaster wyfrunął z jego bezwładnej dłoni, a ciało znieruchomiało, przerzucone przez fotel. Dopiero w tym momencie Disra zobaczył rękojeść noża wystającą z jego karku.

Kobieta podeszła do fotela, złapała Zothipa za brodę i odwróciła jego głowę tak, by gasnące oczy spjrzały prosto na nią.

- Zapłata za Lorardian - powiedziała cicho, lecz wyraźnie.

Zothip poruszył ustami, nie wydając żadnego dźwięku, i zwiotczał z oczami wywróconymi tak, że widać było jedynie białka. Kobieta wyciągnęła z jego karku nóż i puściła bezwładne ciało.

W pokoju zapanowała ciężka, pełna napięcia cisza. I ponownie przerwał ją Thrawn: - Ładna robota. Dziękujemy za pomoc.

- Której nie potrzebowalem - dodał ostro Tierce i Disra zobaczył, że major trzyma w dłoni niewielki blaster wymierzony w kobietę. - Kim jesteś?

Przyjrzała mu się uważnie od stóp do głów i odparła z lekką pogardą, ignorując pytanie:

- Najwyraźniej nie wszyscy podzielają pańskie zdanie, admirale Thrawn.

- Proszę wybaczyć majorowi. Jest odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo, a swoje obowiązki traktuje bardzo poważnie. I nie rozumie pani tak jak ja - wyjaśnił uspokajająco Thrawn. - Majorze, może pan schować broń. Mistryl nie zabijają bez powodu ani dla przyjemności.

Disra poczuł nagle lodowaty strach - Mistryl w jego pałacu?! Kobieta zamrugła gwałtownie, najwyraźniej zaskoczona, że Thrawn ją rozpoznał.

- Skąd pan wie, kim jestem? - spytała, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Proszę bez fałszywej skromności. - Thrawn oszczędnym gestem wskazał pobojuwisko. - Czy po takim pokazie można mieć wątpliwości? Gdybym zresztą nie wiedział tego wcześniej, sprawę wyjaśniała pani uwaga o Lorardian. Proszę przyjąć moje kondolencje; spóźnione, lecz szczerze.

- Dziękuję - prawie niechętnie skinęła głową. - Nie sądziłam, by kogokolwiek innego obchodziło, co się tam stało. Niewiele osób w ogóle o tym wie.

- Informacje to podstawa mojej pracy - zauważył Thrawn.

- Fakt - przyznała i skinęła głową w lewo. - Co pan zamierza zrobić z niedobitkiem?

- Jeszcze nie wiem - przyznał Thrawn. - Powiedz mi, Control: co właściwie mam z tobą zrobić?

Dopiero w tym momencie Disra zdał sobie sprawę, że przy życiu pozostał jeszcze jeden pirat.

Pozostał zresztą tylko dlatego, że podczas walki jako jedyny nawet nie drgnął, wykazując podziwu godne opanowanie: cały czas stał nieruchomo z bronią w kaburze i pustymi dłońmi na wysokości piersi. A co ciekawsze, na jego twarzy malowało się tylko zainteresowanie, bez śladu strachu czy złości.

- Moje gratulacje, panie admirale - odezwał się, lekko skłaniając głowę. - Panu także, majorze. Spodziewałem się szturmowców w niszach ukrytych w ścianach, pański sposób okazał się równie skuteczny i znacznie subtelniejszy. Przyznaję natomiast, że pani obecność całkowicie mnie zaskoczyła. Jak sądzę, śledziła nas pani i dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, jak pani tego dokonała i jak zdołała tu pani dotrzeć.

- Jedyne, co Cavrilhu może dostać od Mistryl, to śmierć - odparła, przyglądając mu się zimno. - Może zacniemy od tego, że podasz mi jakiś powód, dla którego powinieneś przeżyć.

Control wzruszył ramionami, ale widać było, że nie jest tak spokojny, na jakiego próbuje wyglądać.

- Pomściłaś już śmierć Mistryl - odparł rzeczowo. - Masakrą lorardiańską kierował Zothip i nikt nie mógł mu przeszkodzić. Podobnie, jak to on, zaparł się na punkcie zemsty na panu, ekscelencjo, i na admirale Pellaeonie za Pesitiin. Chciałbym zasugerować, abyśmy potraktowali te i pozostałe nieprzyjemne wydarzenia jako zamkniętą przeszłość. - Odważny, nie? - prychnął Tierce.

- Nie rozumiał go pan, majorze - Disra uśmiechnął się z zadowoleniem: wszystko nareszcie nabrało sensu. - Obecny tu Control nie próbuje gorączkowo znaleźć sposobu na uratowanie głowy. On doprowadził do tej konfrontacji, starannie wszystko planując i zakładając, że jako jedyny ją przeżyje. - Nie rozumiem - przyznała Mistryl.

- Krótko mówiąc, miał dość roli drugiego w bandzie - wyjaśnił Disra, obserwując uważnie pirata, który uśmiechnął się lekko. - Czysta, żywa polityka.

- Trochę więcej niż tylko polityka, ekscelencjo - poprawił go Control. - Zothip miał odwagę i niewyparzoną gębę, ale brakowało mu mózgu, niezbędnego do kierowania organizacją tak dużą jak nasza. Od lat ja trzymałem całość w kupie i podpowiadałem mu najważniejsze posunięcia. Nie dość, że robota niewdzięczna, to jeszcze marnie płatna, zdecydowałem więc, że czas coś zmienić.

- A my uprzejmiem uprzątneliśmy najważniejszą przeszkodę w realizacji pańskich planów - dodał Thrawn. - Jest może jeszcze coś, co moglibyśmy zrobić?

- Na początek chciałbym stąd wyjść żywy i cały - Control uśmiechnął się szerzej i zdecydowanie pewniej, ale zaraz potem się zawahał. - Poza tym... Zothip miał rację odnośnie naszej umowy z moffem Disrą. Owszem, odnieśliśmy sporo korzyści, ale ryzykowaliśmy znacznie więcej, a na dodatek Nowa Republika na serio nas szuka. Uważam, że czas, byśmy się wycofali.

- W takim razie stracie szansę na udział, gdy po zwycięstwie zacniemy dzielić galaktykę - ostrzegł Disra, choć Control kierował wypowiedź pod adresem Thrawna. - Zaryzykujemy - odparł Control. - Może pan być geniuszem, admirale, ale prawdę mówiąc, wątpię, czy ten numer nawet panu się uda.

- Nie zamierzamy nikogo zmuszać do współdziałania - obiecał Thrawn. - Natomiast wy będziecie, naturalnie, nadal produkowali Preybirdy.

- Będziemy. Jako prezent powitalny dam panu nawet nasze udziały w tym interesie. Będzie to zresztą również prezent pożegnalny, aby po owocnej współpracy pozostały jedynie miłe wspomnienia.
- Oczywiście - Thrawn uśmiechnął się ze zrozumieniem. - A gdyby się okazało, że nie docenił pan mego geniuszu? Control spoważniał.
- Kiedy ostatni raz wystąpił pan przeciwko Nowej Republice, wiele rozmaitych organizacji i grup wylądowało nagle w samym środku konfliktu. Wolałbym, by Cavrilhu nie znaleźli się w podobnej sytuacji między młotem a kowadłem.
- Sądzę, że da się tego uniknąć. - Thrawn także przestał się uśmiechać. - Z pewnością tak długo, jak długo będziemy regularnie otrzymywać Preybirdy.
- Umowa stoi. - Control spojrział na kobietę i powoli opuścił ręce. - Jeśli to wszystko, mam teraz do zrestrukturyzowania sporą organizację. Powodzenia, panie admirale.
- Panu również, kapitanie Control. - Thrawn skinął lekko głową. - Nie spodziewam się ujrzeć ponownie pana czy też pana podwładnych w przestrzeni należącej do Imperium. Control z wysiłkiem przełknął ślinę.
- I nie zobaczy pan - obiecał, cofając się o krok ku ukrytym drzwiom, przez które wysunął się wręcz błyskawicznie.
- Mam nadzieję, że puszczenie go wolno było właściwą decyzją - wymamrotał Disra, pamiętając, że na drugim końcu przejścia siedzi Pellaeon.
- Proszę się nie martwić - zapewnił go Thrawn. - Jak pan słusznie zauważył, poświęcił sporo czasu i wysiłku na wmanewrowanie Zothipa w tę sytuację. Control wróci teraz na statek, sprzeda załodze wcześniej przygotowaną historię i zajmie się przejęciem władzy.
- A co z nią? - Tierce zgodnie z rozkazem opuścił blaster, ale nadal trzymał go w dłoni. - Przybyła tu wraz z nimi.
- Przybyłam za nimi - poprawiła go kobieta. - Usłyszałam rozmowę o klonach i piratach współpracujących z Imperium...
- Klonach? - przerwał jej Disra. - Kto mówił o klonach?
- Han Solo i Lando Calrissian - odparła, przyglądając mu się zimno. - Znajome nazwiska, prawda?
- I owszem. - Thrawn uśmiechnął się lekko. - Prawdę mówiąc, właśnie próbujemy się z nimi skontaktować. - Już to widzę - mruknęła.
- Natomiast bardziej interesuje mnie w tej chwili pani odpowiedź na moją propozycję sprzed paru



minut - dodał Thrawn. - Jaką propozycję?

- Nie pamięta pani? Powiedziałem, że nieźle pani zapanowała nad sobą na mój widok, choć nieco wolno, a potem powiedziałem, że Imperium, chociaż nie szuka sprzymierzeńców, nie ma nic przeciwko temu, by ich mieć.

- Powiedział pan to Zothipowi, nie mnie - kobieta zmarszczyła brwi. - O moim istnieniu nawet pan wtedy nie wiedział.

- Wręcz przeciwnie - odparł cicho Thrawn. - I właśnie dlatego ani razu w swej propozycji nie wymieniłem Zothipa i jego piratów. Proszę sobie przypomnieć, a przyzna mi pani rację.

Mistryl spoglądała na niego zaskoczona i ogłupiona, próbując rozdzielić prawdę od kłamstwa. I widać było, że pomimo wszystkich dotychczasowych uprzedzeń Flim coraz bardziej ją przekonuje. Disra jednakże nie miał czasu rozkoszować się przedstawieniem.

- Jestem pewien, że ma pan sporo do przedyskutowania z obecną tu niewiastą wielkich zalet, admirale, ale chciałbym wrócić do admirała Pellaeona - odezwał się najuprzejmiej jak umiał.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, ekscelencjo - Thrawn poparł słowa gestem. - I tak przeniesiemy się do innego pomieszczenia, by kontynuować naszą pogawędkę. Zakładając, że zainteresuje panią co moje nowe Imperium może zaoferować Mistryl. - Nie pracowałyśmy dla Imperium, bo nigdy nie zasługiwało na zaufanie.

- Mówi pani o Imperium Palpatine'a - przypomniał Thrawn. - To, które ja chcę odbudować...

Resztę reklamowej przemowy Disra stracił, zamykając za sobą drzwi i przyspieszając kroku. Znacznie szybciej dotarłby do gabinetu ukrytym przejściem, ale nie miał zamiaru zdradzać Pellaeonowi jego istnienia. Skręcił w inny korytarz, minął zakręt i wyszedł wprost na dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi swego gabinetu, pilnowane przez wartowników.

- Admirał Pellaeon nie pytał o mnie? - zainteresował się, podchodząc do nich.

- Nie, ekscelencjo. Wyszedł wraz z pozostałymi krótko po pana wyjściu. Disra stanął jak wryty. - Co znaczy: wyszedł?!

Zajrzał przez otwierające się drzwi i stwierdził, że gabinet rzeczywiście jest pusty. - Gdzie wyszedł?! - Nie powiedzieli, ekscelencjo.

Disra wszedł do gabinetu i rozejrzał się, marszcząc brwi. Zachowanie Pellaeona nie miało sensu - przecież przybył tu, żeby go przesłuchać, a nie przestraszyć. Coś musiało się wydarzyć podczas jego drugiej nieobecności, tylko co...? Odruchowo spojrzął na biurko.

W pięciu długich krokach znalazł się po jego drugiej stronie, zlany potem i klnąc całą drogę. To, co

przyszło mu do głowy, było nie do pomyślenia... ale wydarzyło się. Ukryta szuflada została otwarta na siłę. A znajdujące się w niej datakarty zniknęły.

# R O Z D Z I A Ł 2 3

Disra na oślep wymacał przełącznik interkomu i wcisnął go. - Tierce, do mnie - wychrypiał. - Natychmiast!

Przełączył częstotliwość na wartownika stojącego przed drzwiami i spytał:

- Kiedy dokładnie wyszedł Pellaeon? - Około dziesięciu minut temu, ekscelencjo.

Co oznaczało, że był już na pokładzie promu albo w najlepszym wypadku w drodze do portu, a policja, która ewentualnie mogłaby go przechwycić, ganiała właśnie po całym mieście za tą parą cwaniaków z Nowej Republiki... Disra zgrzytnął zębami, widząc jak cały, latami konstruowany plan wali się w gruzy dosłownie przed jego oczami - na tych datakartach było wszystko. Na szczęście zaszyfrowane, więc zostało mu chyba trochę czasu... Nagle zaświtała mu jeszcze gorsza myśl...

Przez ponad minutę nie mógł uzyskać połączenia przez system przekaźników z układem Rimcee. A gdy je wreszcie uzyskał... Ukryte drzwi otworzyły się i stanął w nich Tierce.

- Mamy ich - oznajmił z ponurą satysfakcją. - Ich statek cumuje na stanowisku

155.

- Pellaeon ma wszystkie datakarty - przerwał mu Disra.

- Co?! - Tierce podbiegł do biurka.

- Przecież mówię! Plan „Zemsty”, nasz układ z Zothipem, szczegóły powiązań finansowych, dzięki którym mamy pieniądze... wszystko!

Tierce gwizdnął przez zęby, spoglądając na pustą szufladę.

- Niesamowite - przyznał cicho. - Włamał się do biurka... nie podejrzewałem go o coś podobnego... to musiał być pomysł Dreyfa.

- Szczegółów dowiemy się na procesie - warknął Disra. - Nieważne, czyj pomysł, ważne, co teraz robimy?!

- A co mamy robić? - Tierce wzruszył ramionami. - Są zakodowane, prawda? Zanim Pellaeon zdoła złamać kody...

- Już złamał - przerwał mu Disra. - Wie, że Vermel jest na stacji Rimcee.

- Skąd wiesz?!

- Bo próbowałem połączyć się z komendantem i dowiedziałem się, że łączność z całym systemem została zablokowana z rozkazu Pellaeona.

- Szybka robota - przyznał z uśmiechem Tierce. - Moje gratulacje...

- Przestań się wydurniać! - Disra prawie trząsał się ze strachu i wściekłości. - Musimy go powstrzymać. Musimy dostać Vermela, nim zjawi się tam Pellaeon... - Nie! - tym razem przerywającym był Tierce. - Musimy złapać Solo i Calrissiana, zanim dotrą do statku, i przedstawić im Thrawna.

- Zwariowałeś?! Na Kessel z oboma, mówimy o karze śmierci za zdradę! Dla nas! - Uspokój się! - ton majora był lodowaty. - To, co Pellaeon ma lub będzie miał przeciwko nam, jest bez znaczenia. Rozumiesz?! Jest nieważne! Bo to my ukrywamy najważniejszą kartę: wielkiego admirała Thrawna. Wystarczy, żeby przejął dowództwo i ogłosił, że wszystko co zrobiliśmy, zrobiliśmy z jego rozkazu. Przestań się trząść, człowieku, i zacznij myśleć, do cholery!

Disra wciągnął na raty powietrze i obdarzył Tierce'a wściekłym a równocześnie bezsilnym spojrzeniem, głównie dlatego, że tamten miał rację.

- Dobra, ignorujemy go - wykrztusił. - To co robimy?

- Nie słuchałeś - upomniał go Tierce. - Wiemy, gdzie jest ich statek. Ta Mistryl, Karoly D'ulin, przyleciała tu z nimi jako pasażer na gapę. Thrawn i ja musimy tam dotrzeć przed nimi. Jasne?

- Jasne - warknął Disra, powoli wychodząc z szoku. - Nie jestem dzieckiem.

- Miło słyszeć, bo gdy nas nie będzie, musisz z nią porozmawiać i dowiedzieć się, czego chce i co przeciagnęłoby Mistryl na naszą stronę.

Disra poczuł, że opada mu szczęka - niewiele, bo o centymetr, ale jednak.

- Chcesz się z nimi dogadać?! Zwariowałeś? One nienawidzą Imperium!

- Potrzebujemy kogoś, kto zastąpi Cavrilhu - słysząc było, że Tierce traci cierpliwość. - A co do nienawiści... Thrawn i D'ulin siedzą teraz w bibliotece i wydają się coraz lepiej nawzajem rozumieć. Idź tam i przejmuj rolę gospodarza, bo my musimy lecieć do portu. Rozumiesz? No to rusz dupę!

Ostatnie słowa zabrzmiały jak rozkaz, toteż Disra dosłownie podskoczył.

- Nie waż się mówić do mnie tym tonem - ostrzegł niespodziewanie spokojnym głosem. - Nigdy

więcej.

- To się tak nigdy więcej nie zachowuj, ekscelencjo - prychnął Tierce, na którym ostrzeżenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. - A teraz do roboty!

Jakoś nie zauważyli tabunu szturmowców blokujących wejście do portu kosmicznego, których obawiał się Han, podobnie zresztą jak podejrzliwej kontroli przy samym wejściu, robotów monitorujących ruch na prowadzących do niego ulicach czy w ogóle jakichkolwiek śladów podejrzanej aktywności władz. Wszystko wyglądało cicho, spokojnie i naturalnie - zupełnie jakby udało im się uciec. I to właśnie było zatrważające.

- Nie podoba mi się ten spokój - oznajmił Lando, rozglądając się nerwowo, podczas gdy Han otwierał drzwi prowadzące do ich stanowiska postojowego. - Za łatwo nam poszło.

- Jeszcze nie poszło - Han złapał Lobota pod ramię i przepchnął go przez drzwi. Poprawki w oprogramowaniu, wprowadzane na oczekaniu przez Landa w ciągu ostatniej godziny, mogły co prawda zdjąć im z karku policję, ale wywołały u cyborga efekt zbliżony do solidnego upojenia alkoholowego - gdyby doszło do walki, nie należało na niego liczyć. Przejście korytarzem także było puste, lecz i to nie poprawiło im nastroju. „Ślicznotka” wyglądała tak jak ją zostawili, ale Han poczuł mrowienie w karku.

- Jak tylko znajdziemy się na pokładzie, uruchamiamy silniki - polecił. - Ja zajmę się uzbrojeniem. Może Moegid zdoła dostać się do komputera kontroli lotów i przyspieszyć zezwolenie na start...

- To nie będzie konieczne - przerwał mu spokojny głos za plecami.

Han odwrócił się, wyciągając zdobyczny blaster. Za nim migotała pełnowymiarowa holoprojekcja błękitnoskórego mężczyzny w białym uniformie imperialnego wielkiego admirała... Lando zacharczał, jakby się dusił.

- To on! - wychrypiał.

Han skinął głową, czując w niej kompletną pustkę. To rzeczywiście był on. Wielki admirał Thrawn.

- Proszę odłożyć broń - polecił Thrawn. - Wolałbym porozmawiać z panami osobiście, ale nie mam zamiaru służyć za tarczę strzelniczą. To chyba zrozumiałe? - Zrozumiałe - zgodził się Han, ani myśląc odkładać blaster i rozglądając się gorączkowo: gdzieś tu musieli się ukrywać żołnierze...

Holoprojekcja uśmiechnęła się i oświadczyła z lekką naganą:

- Generale Solo, nie spodziewa się pan chyba, że zdoła wyrąbać sobie drogę ogniem, podobnie jak już wielokrotnie w przeszłości. To jest Bastion, generale Solo. Nie chce pan zobaczyć żony i dzieci?

- Właśnie o to chodzi, że chcę.

- Nie rozumiemy się - holoprojekcja potrząsnęła ze smutkiem głową. - Z mojej strony nie ma się pan czego obawiać. Pragnę jedynie porozmawiać z panem i wszyscy będziecie mogli swobodnie odlecieć. Proszę spytać kapitana Calrissiana: pozwoliłem mu odlecieć, mimo że znajdował się na pokładzie mojego niszczyciela.

- To niedokładnie to samo - odezwał się Lando. - Teraz przebywamy w ukrytej stolicy Imperium. Wątpię, czy pozwolicie odlecieć stąd komuś, kto zna jej położenie. - Kapitanie Calrissian, proszę mnie nie obrażać: uważa pan, iż uwierzę, że tylko wy znacie to położenie i wiedza ta zginie wraz z wami? Poza tym stolicę Imperium przenoszono już wielokrotnie i można ją przenieść ponownie. Widzę jednakże, że potrzebujecie panowie innych argumentów.

Han dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Spojrzał w górę i powoli odłożył miotacz na powierzchnię ładowiska. Wzdłuż dachu magazynu stał bowiem szereg szturmowców z wycelowanymi w nich karabinami blasterowymi.

- Jak nas znaleźliście? - spytał z westchnieniem żalu: wiedział, że należało przebiec rampę ładunkową od razu, a nie gadać z holoprojekcją...

- Bez większego trudu, kiedy tylko dowiedziałem się, gdzie spędzacie większość czasu - odpowiedziała holoprojekcja, obserwując, jak Lando niechętnie rozstaje się z pistoletem. - Żaden z was nie ma wystarczających umiejętności, by dotrzeć do specjalnej części archiwum, więc zacząłem podejrzewać udział przedstawiciela rasy Verpine i poleciłem przeskanować ich biologiczne częstotliwości radiowe.

- Szukając echa - dodał Han. - Założyłbym się, że przerwaliśmy łączność, zanim zdołaliście nas namierzyć.

- Tak też było, ale znowu mnie pan nie rozumie: echo było jakby premią... - holoprojekcja nagle zniknęła, a zza sterty skrzyń po prawej stronie wyłonił się Thrawn w otoczeniu sześciu szturmowców.

Han doszedł do wniosku, że pomysł natychmiastowego biegu do służby „Ślicznotki” nie zaliczał się do tych najlepszych.

- Przede wszystkim szukałem potwierdzenia, że wasz slicer to Verpine - dokończył Thrawn, podchodząc bliżej. - Gdy mi je dostarczyliście, zagłuszając wybrane częstotliwości, musiałam jedynie sprawdzić w archiwach kapitanatu portu statki, które wylądowały teoretycznie osiem, dwanaście i siedemnaście dni przed przybyciem nagrania ze stacji wywiadu Parshoone.

- Moment, bo się zgubiłem - przyznał Han. - Jakie osiem, dwanaście i siedemnaście dni?

- Bo są to liczby bardzo istotne dla Verpine - uśmiechnął się Thrawn. - Może nawet nie zdają sobie z

tego sprawy, ale odruchowo ich używają. Skoro waszym slicerem był Verpine, niewątpliwie on zmieniał zapisy w kapitanacie portu kosmicznego, żeby ukryć rzeczywistą datę waszego przylotu. Muszę kontynuować?

- Nie - przyznał Han, czując lodowate zimno na plecach: w Orowood Tower zastanawiał się, jakim cudem Lando dał się tak łatwo przekonać i dlaczego był taki nieswój. Teraz wiedział.

- To dobrze. - Thrawn przyjrzał się mu ze zrozumieniem, które Hanowi wcale się nie spodobało i dodał głośnie: - W takim razie możemy przejść do interesów. Majorze? Zza sterty skrzyń po lewej stronie wyszedł młody oficer, trzymając w prawej dłoni blaster, a w lewej datakartę.

- Jeśli pamięta pan naszą ostatnią rozmowę, kapitanie Carlissian - dodał Thrawn - musi pan również pamiętać swoją sugestię, że jeśli rzeczywiście chce uratować Nową Republikę, powinienem po prostu dać wam pełną dokumentację dotyczącą zagłady Caamas.

- Pamiętam - przyznał Lando, obserwując majora, który stanął o metr przed nimi. - Powiedział pan, iż to zbyt długo potrwa.

- Okazało się, że zajęło mniej czasu niż sądziłem - przyznał Thrawn. - Oto one. Major wysunął w ich stronę datakartę.

- Co znaczy: oto one? - Lando spojrzał na datakartę, jakby miała za chwilę eksplodować.

- Pełna dokumentacja zagłady Caamas posiadana przez Imperium - wyjaśnił Thrawn. - Jest wasza, proszę ją wziąć.

Powoli i z wahaniem Lando go posłuchał.

- Na jakich warunkach? - spytał, gdy major się cofnął.

- Bez żadnych warunków. Jak powiedziałem wcześniej, po prostu chcę wam pomóc.

- Jasne - burknął średnio uprzejmie Han. - Podobnie jak pomógł pan w masakrze na Bothawui. - Proszę to wyjaśnić - polecił Thrawn.

- Zamieszki zostały wywołane przez imperialną grupę dywersyjno-wywiadowczą- oznajmił Han, ignorując wysiłki Landa sygnalizującego mu, żeby zamilkł, choć przyznawał, że to co robi, nie jest specjalnie dyplomatyczne. Miał już jednak dość roli kozła ofiarnego. - Znaleźliśmy resztki urzędnika wykorzystanego przez nich do rozpoczęcia strzelaniny. Wiemy też, że używali karabinów snajperskich marki Nightstinger firmy Xerrol.

Thrawn wysłuchał tych rewelacji z kamienną twarzą, a potem uśmiechnął się smutno.

- Ach tak, nightstingery... najwyraźniej nadal stanowią ulubioną broń zabójców i dywersantów. Ale

tym razem szukacie nie tam, gdzie trzeba: ostatnie pięć egzemplarzy, które znajdowały się jeszcze w posiadaniu Imperium, zostało pół roku temu skradzione ze zbrojowni na planecie Marquarra. Jeśli chcecie je odnaleźć, sugeruję przeszukanie prywatnej posiadłości senatora Borska Fey'lyi. Han i Lando wymienili zaskoczone spojrzenia.

- To jego prywatna armia dokonała kradzieży - dodał Thrawn.

- Nie - zaprzeczył odruchowo Han - to bez sensu.

Co nie do końca było prawdą: Fey'lya wiedział, po co Leia i on udają się na Bothawui, kiedy odlatują i gdzie na pewno znajdą się zaraz po wylądowaniu. Po masakrze zaś jakoś tak wyszło, że nigdy nie dokończyli sprawdzania stanu Domańskich finansów. Cała sprawa podejrzenie wyglądała na typową bothańską machinację, mającą na celu ukrycie prawdy.

- Nie próbuję nikogo przekonywać. - Thrawn wzruszył ramionami. - Sami możecie zbadać czy mówiłem prawdę, jeśli rzeczywiście będzie wam na tym zależało. Tymczasem życzę panom udanego startu i szczęśliwej podróży. Do zobaczenia.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i skierował ku wyjściu, otoczony przez trzech szturmców ustawionych w formacji trójkąta. Pozostała trójka i major poczekali, aż wyjdzie i ruszyli jego śladem. Jako następni odeszli szturmców z dachu. I po parunastu sekundach Han, Lando i Lobot zostali sami.

- No cóż - Han spróbował mówić spokojnym głosem, ale nie była to specjalnie udana próba. - Chyba jestem ci winien przeprosiny.

- Obejdzie się. - Lando zabrał broń i rozejrzał się po dachach. - Lepiej jak najprędzej się stąd zmywajmy, dobra?

- Ano - zgodził się Han, ujmując Lobota pod ramię i kierując go ku śluzie wejściowej jachtu. - Zmywajmy się.

- Trzeba było widzieć ich miny - ton Flima stanowił ewidentne zaprzeczenie radosnych słów, a towarzyszyło mu równie nie pasujące do okazji spojrzenie, jakim wpatrywał się w drinka. - Zgłupieli do imentu i tak się starali tego nie okazać, że w sumie było to zabawne.

- Jestem pewien, że obaj ledwie powstrzymaliście się od śmiechu - skomentował kwaśno Disra. - Ale czy oni to kupili?

- Kupili. - Tierce wyjął z czytnika datakartę i wziął następną ze sporej kupki leżącej na blacie: jako jedyny zdawał się nie mieć wątpliwości co do efektów spotkania. - A wielki admirał był wręcz idealny. Nawet nie mrugnął, gdy Solo powiedział mu o naszym zespole na Bothawui.

- O czym?! - Disrę prawie poderwało. - O Navetcie?



- Tak, ale chodziło o rozruchy - wyjaśnił Tierce. - Nic nie wskazuje na to, że ktoś wie, gdzie są teraz.

- Mam nadzieję - odetchnął Disra, choć ta operacja, podobnie jak inne, została opisana na datakartach skradzionych przez Pellaeona.

Było jednak mało prawdopodobne, żeby admirał poleciał z ostrzeżeniem na Coruscant, o ile ją w ogóle zauważy wśród masy danych finansowych, na których zależało mu przede wszystkim.

- Skąd się dowiedzieli, że to my? - spytał spokojnie.

- Mało ważne, nasz admirał naprawdę zgrabnie odbił piłeczkę - przyznał Tierce, spoglądając na Flima. - Skąd wiedziałeś o kradzieży broni na Marquarrę? Nie przypominam sobie, żebym gdzieś o tym czytał.

- Bo nie czytałeś. - Flim przestał się gapić w naczynie i pociągnął solidny łyk. - Wymyśliłem to wszystko, żeby...

- Jak to wymyśliłeś?! - przerwał mu Disra. - Co to za głupi dowcip?

- Tylko nie głupi - oburzył się Flim. - Skuteczny, bo przestali pytać. Co się znowu nie podoba?

- Thrawn nie wymyślał informacji: jeśli czegoś nie wiedział, po prostu to przyznawał.

- Spokojnie, ekscelencjo. - Tierce także nie był uszczęśliwiony sytuacją. - Musiał powiedzieć coś konkretnego, bo sprawa zaczęłaby się sypać: nie mogliśmy ofiarować im tych dokumentów i przyznać, że wywołujemy rozruchy na planetach członkowskich Nowej Republiki. W najgorszym razie kupił nam czas potrzebny na sprawdzenie tych informacji. - Jak krótko by to nie trwało - prychnął Disra.

- I tak wystarczy - dokończył Tierce. - Za siedem dni w Nowej Republice wybuchnie wojna domowa i już nikt nie będzie się przejmował jakimiś zamieszkami czy losami paru blasterów snajperskich. A skoro mowa o kupowaniu, to jak panu poszło z naszym gościem? Zdołamy kupić Mistryl?

- Nie wiem - przyznał Disra niechętnie. - Z piętnaście razy powtórzyła, że Mistryl nie pracują dla Imperium, ale zgodziła się zawiadomić swoich przełożonych. No i nie ulega wątpliwości, że jest coś, czego bardzo chcą, jednak nie byłem w stanie dowiedzieć się co to takiego.

- Chcą zemsty - wtrącił Flim. - Jak ostatnio wszyscy.

- Zemsty na kim i za co? - spytał Disra.

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że ich świat został przez kogoś zniszczony w czasie wojny, która toczyła się paręnaście czy parędziesiąt lat temu. Pieniądze zarabiane przez Mistryl, wynajmujące

swoje usługi, przeznaczone są na pomoc dla tych, którzy przeżyli i nadal zamieszkują planetę. - Jaka planetę? - powtórzył Disra.

- Mówiłem, że nie wiem: nie chwałę się, skąd pochodzą, prawdopodobnie z obawy, żeby napastnicy nie wrócili i nie dokończyli roboty.

- Mówiła coś o masakrze lorardiańskiej - wtrącił Tierce. -Może to ta planeta.

- Błędęgo pojęcia nie mam - Flim wzruszył ramionami. -Mogło jej chodzić nie o planetę tylko o rasę.

- Jak to nie wiesz?! - zdziwił się Disra. - Mówiłeś, jakbyś wiedział, o co chodzi. - Podobnie mówiłem o tym, że wiedziałem o jej obecności za drzwiami - westchnął Flim. - Podstawą dobrego oszustwa jest przekonanie ewentualnej ofiary, iż wie się więcej niż wie się rzeczywiście.

- Oczywiście, zapomniałem - Disra skrzywił się z niesmakiem.

- Tylko bez żadnych takich - ostrzegł niespodziewanie Flim. -Twoje rajdy na transport Nowej Republiki przy wykorzystaniu piratów to też był kant, podobnie jak ta cała „Zemsta”: paru imperialnych dywersantów udających dużą grupę cywilnych malkontentów. Że już nie wspomnę o przebierance, w której uczestniczę. Nie lubisz oszustów, Disra? Twój problem, bo tkwisz w oszustwie po uszy. Zresztą nie masz, a raczej nie macie większego wyboru, biorąc pod uwagę stan w jakim znajduje się Imperium. I powiem wam coś jeszcze: nawet jeśli uda się wam osiągnąć etap, na którym zaczniecie dysponować rzeczywistą siłą militarną, nadal będziecie mnie potrzebowali. Bo to ja znam świat przestępczy, wiem, gdzie znaleźć dobrego łowcę i wiem, kto jest kim. To ja rozpoznałem Mistryl jedynie po sposobie w jaki walczyła, a nie wy!

- Nie przeczymy, że jesteś i będziesz nam potrzebny - zapewnił Disra, nieco zaskoczony ogniem w głosie Flima. - Możesz powiedzieć jaśniej o co ci chodzi? - Chodzi mi o to, że gdy w końcu objawi się ta cała Ręka Thrawna i maskarada przestanie wam być potrzebna, nadal będziecie potrzebowali mnie - wyjaśnił Flim, przyglądając im się z uwagą. W pokoju zapadła cisza.

- Skończyłeś? - przerwał japo chwili uprzejmie Tierce.

- Tak - mruknął zapytany znacznie spokojniej. - Wiesz, to co właśnie zrobiliśmy wywoła burzę od Coruscant po Zewnętrzne Odległe Rubieże i jeśli Ręka Thrawna nie jest głuchym idiotą, nie może tego przeoczyć.

- Powiedziałem ci kiedyś, że potrafimy cię obronić i zrobimy to, jeśli zajdzie taka konieczność - przypomniał mu Tierce. - Nie musisz się martwić.

- No - Flim ponownie zainteresował się swoim drinkiem. -Pewnie.

Lando przesunął dźwignię hipernapędu i znaleźli się w nadprzestrzeni.

- No cóż - miało to zabrzmieć normalnie, ale wyszło mu nieco chrapliwie. - Chyba naprawdę mówił poważnie o puszczeniu nas wolno.

Han nie odezwał się - prawdę mówiąc od rozstania z Thrawnem powiedział może z dziesięć słów, toteż Lando przyjrzał mu się badawczo, zastanawiając się, czy już nadszedł czas, by zacząć się martwić.

- To naprawdę był on, prawda? - spytał cicho Han, najwyraźniej czując owo spojrzenie, choć nadal wpatrywał się w przestrzeń za oknem.

- We własnej osobie - przyznał ciężko Lando. - Idealnie spokojny i o trzy kroki przed nami przez cały czas.

- Nie uwierzyłbym w to... i właściwie nadal, cholera, nie wierzę. Cofam wszystko, co wtedy powiedziałem w mieszkaniu...

- Daj spokój. Za pierwszym razem też nie wierzyłem. A raczej nie chciałem uwierzyć.

- Mamy kłopoty - ocenił Han. - Od tej chwili nie możemy wierzyć niczemu, co zobaczymy, usłyszymy czy wywnioskujemy. Jeśli Thrawn wrócił, logika ma urlop. - Możliwe, ale Imperium obejmuje tylko osiem sektorów... Może chce po prostu tak skołować rząd Nowej Republiki, żeby nie był w stanie niczego zrobić.

- Skąd mam wiedzieć? - warknął Han, powoli wracając do równowagi psychicznej, na co zdaniem Landa był już najwyższy czas. - To właśnie doprowadza człowieka do szału, jeśli chodzi o tego faceta. Czego byś nie próbował zrobić, istnieje pięćdziesiąt procent szans, że jemu dokładnie o to chodziło. A jeśli sparaliżuje cię bezsilność, już założyłeś sobie stryczek, i w dodatku własnoręcznie.

- W takim razie jak sądzisz, czego on się spodziewa, że z tym zrobimy? - Lando wskazał datakartę.

- Nie wiem, czego on się spodziewa. - Han wziął przedmiot ich dyskusji i przyjrzał mu się z obrzydzeniem. - Mogę ci natomiast powiedzieć, co zrobimy: najpierw to przeczytamy i zobaczymy, czy faktycznie zawiera nazwiska, na których tak wszystkim zależy. Potem zawiadomimy Leię, i to jak tylko będziemy w stanie skorzystać z HoloNetu, żeby wiedziała, że je mamy. A wreszcie damy ją Moegidowi do sprawdzenia na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby. Zobaczymy, czy zdoła znaleźć jakieś ciekawostki albo niespodzianki, które w niej ukryto.

- Myślisz, że ukryto? - Lando przyjrzał się datakarcie z nową podejrzliwością. - Dał ją nam Thrawn - wyjaśnił zwięźle Han.

- Prawda.

- Najlepiej zabrać się do tego od razu - dodał Han, wstając. - Wolę nie trzymać jej zbyt blisko komputera pokładowego... poszukaj jakiegoś czytnika i bierzemy się do roboty.

# ROZDZIAŁ 24

Pierwszy postój nawigacyjny po odlocie z Dayark nie przyniósł na kursie odkrycia niczego nowego poza miniaturowymi obłokami zjonizowanego gazu i kilkoma mgławicami, wyglądającymi tak, jakby oddarto je siłą od większej całości. Podobnie drugi przystanek, a po nim trzeci. Shada zaczęła się poważnie zastanawiać czy legendarna zaginiona planeta Exocron nie jest mitem. Odnaleźli ją za piątym razem.

- Wygląda całkiem przyjemnie - ocenił z powątpiewaniem Threepio, przyglądając się szybko rosnącej przed dziobem planecie. - Mam nadzieję, że mieszkańcy okażą się przyjaźni.

- Nie liczyłabym na to - ostrzegła go Shada, czując dziwną suchość w gardle: jeśli wierzyć Marze i Calrissianowi, tam właśnie oczekiwał na nich Jorj Car'das. - Nie powinniśmy obsadzić turbolaserów? - spytał siedzący przy sterach Odonnl. - Na wypadek gdyby nie lubili tu niezapowiedzianych natrętów.

- Przylecieliśmy rozmawiać, nie walczyć - Talon dobrze ukrywał zdenerwowanie, nawet głos mu nie drżał, ale Shada zauważyła je bez trudu. - Nie chcę, żeby ktoś tam odniósł błędne wrażenie. - Ale po Dayark...

- Przybyliśmy, żeby rozmawiać - uciął Karrde tonem nie zostawiającym miejsca na dyskusję. - H'shishi, czy ktoś próbuje nas skanować? Albo coś nadawać, Chin? - Nikt nie próbuje, wodzu - zameldowała Togorianka, lekko strasząc futro; najwidoczniej także zauważyła podenerwowanie Talona.

- I nikt niczego nie nadaje, szefie - dodał Chin. - Może nas jeszcze nie zauważyli? - Zauważyli, możesz być pewny - uspokoił go Karrde. - Tylko pytanie...

Przerwało mu bipanie alarmu na pulpicie łączności.

- Niezidentyfikowana jednostka, tu admirał Trey David, zastępca admirała Horzao Darra, głównodowodzącego Połączonej Floty Przestrzenno-Powietrznej Exocron - rozległ się w głośniku uprzejmy, acz stanowczy głos. - Proszę się natychmiast zidentyfikować.

Chin sięgnął do przełącznika, lecz Talon go powstrzymał.

- Ja to załatwię - widać było, że zebrał się w sobie, zanim przełączył się na nadawanie. - Tu Talon Karrde na pokładzie frachtowca „Szalony Karrde”. Mamy całkowicie pokojowe zamiary i prosimy o zezwolenie na lądowanie.

Zapadła cisza. Prawdę mówiąc, długa cisza i Shada widziała już oczami wyobraźni kilka wersji tego, co działo się w dowództwie Połączonej Floty Exocron... - „Szalony Karrde”, tu admirał David, powiedziano mi, że przybywa pan, aby spotkać się z panem Car'dasem. Może pan to potwierdzić?

Jeśli nie liczyć drgnięcia kącika ust, Talon zachował wręcz kamienny spokój.

- Mogę - powiedział nieco głucho. - Jest pewna niezwykle ważna kwestia, którą muszę z nim przedyskutować.

- Rozumiem... - tym razem pauza trwała znacznie krócej. - Czy on pana oczekuje? - Nie wiem, czy „oczekuje” jest najwłaściwszym określeniem, ale byłbym naprawdę zaskoczony, gdyby nie wiedział o naszym przylocie.

- Aha... - głos zabrzmiał nieco dziwnie. - Dobra, macie zezwolenie na lądowanie. Stanowisko piętnaste na terenie bazy wojskowej w Rintatta City. Koordynaty właśnie są transmitowane. - Dziękuję.

- Mam je - Odonnl przyjrzał się uważniej ekranom. - Wyglądają uczciwie.

- Wysłaliśmy wam eskortę - dodał admirał David. - Spodziewam się, że nie muszę wyjaśniać korzyści płynących ze współpracy.

- Rozumiem je doskonale - zapewnił go Karrde. - Zobaczymy się po wylądowaniu?

- Wątpię - tym razem głos Davida brzmiał zdecydowanie ponuro. - Ale może wszyscy będziemy mieli szczęście... Nigdy nie wiadomo. Spokojnego lądowania. I w głośniku zapadła cisza.

Podobnie jak na mostku. Sądząc po minach i układzie ciał, jeśli dotychczas ktoś nie do końca zdawał sobie sprawę, w co się pakuje, teraz dotarło to do wszystkich. A jednak nikt nie zdradzał zamiaru czy choćby ochoty do wycofania się - była to całkowicie lojalna i oddana Talonowi załoga. Podobnie jak Shada była kiedyś lojalna i oddana ideałom Mistryl - nawet wówczas, gdy Mistryl zapomniały o swoich ideałach... Nawet teraz, w obliczu nieznanego, lecz poważnego zagrożenia, te wspomnienia nadal były bolesne... - Jakie rozkazy, szefie? - spytał cicho Odonnl. - Ląduj - polecił bez wahania Talon.

Rintatta City wyglądała jak średniej wielkości skupisko obiektów wojskowych, między którymi usytuowano z pół setki lądowisk rozmaitej wielkości - większość z nich była zajęta. Tereny wojskowe otaczał szeroki pierścień cywilnych domów, biur i innych budowli, a całość znajdowała się u podnóża niewysokiego, lecz strome go łańcucha górskiego. Z pozostałych stron miasto otaczały trawiaste równiny.

Nikt im nie zawracał głowy ani przy podchodzeniu do lądowania, ani po nim - eskortę stanowiły dwa

sędziwe patrolowce, które odleciały, zaledwie „Szalony Karrde” wyłączył silniki. Wokół innych jednostek kręciło się kilkaset osób i kilkadziesiąt droidów zajętych własnymi sprawami i kompletnie ignorujących nowo przybyły frachtowiec. Właściwie można by pomyśleć, że wszyscy na planecie zignorowali ich przybycie, gdyby nie jeden mały wyjątek, czekający przy rampie.

- Witam, kapitanie Karrde - zawołał Entoo Nee, gdy tylko Talon i pozostali wyszli ze śluzy. - Witamy na planecie Exocron. Widzę, że znaleźliście ją bez mojej pomocy. Dzień dobry, Shado. Cześć, Threepio.

- Witam pana, panie Entoo Nee - w głosie Threepio zabrzmiała jakby ulga. - Przyznaję, że nie spodziewałem się zastać tu pana.

- Prawdę powiedziawszy, ja żywiłem podobne wątpliwości wobec was - przyznał radośnie Entoo Nee. - Kiedy się rozstawaliśmy na Dayark, mieliście kłopoty z piratami. Czy urocza Togorianka dołączy do nas?

- H'shishi pozostanie na pokładzie - odparł lekko rozbawiony Talon: H'shishi określano już w rozmaity sposób, ale „urocza” jakoś nikomu dotąd nie przyszło do głowy na jej widok.

- Szkoda. W takim razie jesteśmy w komplecie? Nikogo więcej nie chcesz zabrać, kapitanie?

Widać było, że Talon z trudem się opanował. Naturalnie, że chciałby zabrać znacznie liczniejszą grupę: na początek całą załogę plus załogi „Gwiezdnego Lodu” i „Etherway”, a w dalszej kolejności ewentualnie pełną grupę uderzeniową Bel Iblisa, Eskadrę Łotrów i ze cztery klany Noghri. Co, nawet gdyby mógł to wykonać, byłoby posunięciem bezsensownym, gdyż oznaczałoby albo zagrożenie dla większej liczby istot, albo zaprzepaszczenie szans na spotkanie ukrywającego się Car'dasa. - Nikogo - powiedział spokojnie. - Zakładam, że ty masz być naszym przewodnikiem?

- Jeśli naprawdę chce się pan z nim spotkać, owszem. - Entoo Nee spoważniał i już nie wyglądał tak niegroźnie. - To co, ruszamy?

Pytanie należałoby zaliczyć do retorycznych, ponieważ od razu ruszył do terenowego śmigacza, zaparkowanego na obrzeżu stanowiska. Pojazd, jak zauważył Karrde, był czteroosobowy, co zaprzeczało wcześniejszemu zdumieniu Entoo Nee. Właściciel siadł za sterami i z wprawą wy dostał się na teren miasta.

- Co tu się dzieje? - spytała Shada, gdy wyminął wolno poruszającą się cysternę. - Jakieś manewry, czy coś w tym stylu. Wojskowi zawsze przygotowują się do jakichś manewrów albo są w trakcie ćwiczeń.

- Jak daleko mamy do miejsca spotkania? - zaciekał się Karrde, którego plany lokalnych sił zbrojnych na najbliższą przyszłość interesowały tak sobie, czyli wcale. - Niedaleko. Widzisz ten błękitny budynek na zboczu góry, prosto przed nami? To właśnie nasz cel.

Talon osłonił oczy przed słońcem - z tej odległości budynek nie wyglądał ani na fortecę, ani na posiadłość. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyglądał imponująco, a gdy wydostali się na przedmieście, gdzie panował znacznie mniejszy ruch, zaczął coraz bardziej przypominać zwykłą wiejską chałupę.

- Car'das tam mieszka, czy to tylko miejsce spotkania? - Shada musiała dojść do podobnych wniosków.

- Zawsze zadajesz tyle pytań? - Entoo Nee błysnął zębami w uśmiechu. - Co za dociekliwy umysł!

- Pytania to część mojej pracy, a na ostatnie nie odpowiedziałeś.

- Udzielanie odpowiedzi nie jest częścią mojej pracy. Jeszcze odrobina cierpliwości i wszystkiego się dowiecie. Odprężcie się i podziwiajcie widoki.

Im byli bliżej, tym gorzej prezentował się dom - nie dość, że dosłownie małał w oczach, to jeszcze coraz wyraźniej rzucało się w oczy, jak bardzo jest zaniedbany. - Jak widzicie, zbudowano go tak, że jedną ze ścian stanowi zbocze - odezwał się Entoo Nee, gdy minęli ostatnie zabudowania i znaleźli się na łące przeciętej strumieniem. - Przypuszczam, że oryginalny właściciel uważał to za dodatkową stabilizację budynku w czasie zimowych wichrów.

- A co się stało z lewym skrzydłem? - spytała Shada. - Wiatr okazał się silniejszy? - Nigdy nie zostało zbudowane. Car'das zaczął rozbudowywać dom, ale... sami zobaczycie.

Talonowi coś paskudnego przemaszerowało po kręgosłupie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że sami zobaczymy? Kto go powstrzymał? - spytał. Odpowiedziała mu cisza, spojrzał zatem na Shadę, która przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

Minutę później dotarli na miejsce i pojazd znieruchomiał przed niegdyś białymi drzwiami. Niegdyś, bowiem farba w wielu miejscach zniszczyła się i odpadła. - Prowadź - Shada ustawiła się między Talonem a budynkiem i dodała: - Pójdę za tobą, a Karrde za mną.

- To się nie uda - Entoo Nee potrząsnął głową krótkim, nerwowym ruchem. - Wejść możemy tylko ja i kapitan Karrde. - Ujmijmy to prościej... - Shada zmrużyła oczy.

- W porządku, Shada. - Talon ominął ją i postąpił o krok ku drzwiom, czując się niczym ruchomy cel. - Jeśli Car'das chce widzieć tylko mnie, niech tak będzie. - Nie będzie. - Shada złapała go za ramię i siłą powstrzymała przed następnym krokiem. - Entoo Nee, masz wolny wybór: albo wchodzę razem z nim, albo on nie wchodzi.

- Nie utrudniaj - warknął Talon, zły, że ktoś wprowadza dodatkowe zamieszanie, zanim w ogóle ma okazję porozmawiać z Car'dasem. - Gdyby chciał zabić mnie od ręki, to miał dziesiątki okazji po drodze, nie mówiąc już o tym, że okolica jest wymarzona na zasadzkę.



-Wiem. I nie w tym rzecz: jestem twoją ochroną osobistą i będę nią do końca!

Talon ze zdumieniem ujrzał ją niejako w innym świetle -przy pierwszym spotkaniu jedynie zgodziła się z nim polecieć. Jakimś cudem w ciągu dwóch i pół tygodnia ta niechętna zgoda zmieniła się w układ ochroniarz-chroniony, znacznie głębszy i bardziej zobowiązujący. Dla obu stron zresztą.

- Doceniam twoją troskę - powiedział cicho, lecz zdecydowanie, kładąc dłoń na jej dłoni. - Pamiętaj jednak, po co tu przybyliśmy. Moje życie czy moja przyszłość nie są najważniejsze.

- Dla mnie są: jestem twoją obstawą osobistą- odparła równie cicho i zdecydowanie.

- Zdaje się, żeśmy się nie zrozumieli - odezwał się przepaszająco Entoo Nee - kapitan Karrde i ja musimy wejść pierwsi, ale to nie znaczy, że nie możesz wejść tuż za nami. Po prostu dlatego, że... no, sami zobaczycie.

Shada nie wyglądała na uszczęśliwioną, ale skinęła przyzwalająco głową.

- Zgoda, tylko weź pod uwagę, że z tej odległości na pewno nie chybię - ostrzegła. - A moim celem w pierwszej kolejności będziesz ty. Dobrze, wy dwaj przodem, potem ja, potem Threepio.

- Panno Shado, jestem pewien, że moja obecność nie jest niezbędna - Threepio cofnął się niepewnie ku śmigaczowi. - Może zostanę i popilnuję...

- Prawdę mówiąc, przydasz się - wtrącił Entoo Nee, uśmiechając się zachęcająco. - Chodź, wszystko będzie w porządku.

- Tak jest, proszę pana - odparł zrezygnowany droid i przesunął się za Shadę, cicho pojękując. - Ale muszę powiedzieć, że mam złe prze...

- Doskonale! - ucieszył się jak zwykle radośnie uśmiechnięty Entoo Nee. - Gotowi?

Drzwi nie zostały zabezpieczone żadnym zamknięciem, co dodatkowo pogorszyło samopoczucie Talona. Przejście ze słonecznego blasku do pogrążonego w półmroku i pełnego dziwnych zapachów pomieszczenia jeszcze spotęgowało to wrażenie. Pokoju, w którym się znaleźli, nikt zapewne od dłuższego czasu nie używał- kilka stojących w nim starych i zakurzonych mebli wyraźnie świadczyło o wieloletnim braku zainteresowania, podobnie jak i sam budynek od wewnątrz. Trzy okna, które z zewnątrz wydawały się groźne i ciemne, teraz okazały się po prostu niesamowicie brudne i porysowane przez niesione z wiatrem drobiny piasku. Resztki światła przenikające przez nie oświetlały głównie brud i pajęczyny, łączące sufit z meblami.

- Tędy - cichy głos Entoo Nee nieco zakłócił atmosferę niesamowitości. Poprowadził ich do jedynej poza wejściowymi drzwiami. Były zamknięte.

- Jest tam, kapitanie Karrde - powiedział cicho Entoo Nee. - Proszę się przygotować.

Karrde wziął głęboki oddech, a Shada wyciągnęła z kabury miotacz. - Jestem gotów - odparł. - Załatwmy to wreszcie.

Entoo Nee uaktywnił mechanizm otwierający drzwi, które rozsunęły się z cichym piskiem.

Jako pierwszy zaatakował ich smród - odór starości, choroby i bezsilności, kojarzący się ze straconymi nadziejami i niezrealizowanymi marzeniami. Zapach śmierci.

Pokój był mały, znacznie mniejszy niż Karrde się spodziewał. Dwie ściany pokrywały wbudowane półki zawierające przypadkową kolekcję rozmaitych przedmiotów, głównie niewielkich „przydasiów”, ale sporo też było tu sprzętu medycznego i lekarstw. Większość miejsca zajmowało rozłożyste łóżko, które kończyło się o pół metra od wejścia, pozostawiając tylko tyle miejsca, by mogły tam stanąć dwie osoby.

A na nim, przykryty stertą koców, leżał stary człowiek i pomrukiwał coś cicho sam do siebie.

- Jorj? - zawołał cicho Entoo Nee, wchodząc. Mruczenie ustało, ale spojrzenie leżącego pozostało wbite w sufit. - Jorj? Ktoś przyszedł cię odwiedzić.

Talon wcisnął się obok niego, zbyt ogłupiały, żeby zwracać uwagę na niebezpieczeństwo. To nie mógł być niespożytej energii i pełen ambicji raptus, który w pojedynkę stworzył jedną z najpotężniejszych organizacji przemytniczych w galaktyce. - Jorj? - powiedział cicho, ale bardzo wyraźnie. Leżący uniósł głowę, przyglądając mu się z wysiłkiem. - Mertan? - spyta\* drżącym głosem. - To ty?

- Nie, Jorj - odpowiedział spokojnie. - Jestem Talon Karrde, pamiętasz mnie? Chory zamrugał z wysiłkiem.

- Karrde? - spytał niepewnie.

- Tak, Jorj. Talon Karrde, pamiętasz mnie?

Przez twarz leżącego przesunął się słaby uśmiech, zupełnie jakby mięśnie były zbyt stare lub zbyt zmęczone, by go utrzymać. - Tak... Nie... Kto, mówisz?

- Talon Karrde - powtórzył zapytany, czując gorycz porażki i rozczarowanie.

Przebył kawał drogi, mobilizując się do konfrontacji i zwalczając strach i poczucie winy, żeby prosić o pomoc... I wszystko na nic. Jorj Car'das, którego przez tyle lat się obawiał, odszedł dawno temu. Pozostawiając po sobie tylko zużyte opakowanie. Tyle myśli kłębiło mu się pod czaszką, że ledwie poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. - Chodź - powiedziała Shada. - Nie mamy tu już czego szukać.

- To był Karrde, tak? - spytał nagle leżący, niemrawo poprawiając sobie koc. - Talon Karrde?

- Talon Karrde, Jorj - poprawił Entoo Nee tonem używanym w rozmowach z małymi dziećmi. -

Nadal tu jest. Podać ci coś?

Car'das zmarszczył czoło, powoli opadając na poduszki i powracając do wpatrywania się w sufit.

- Shem-mebel ostorran se'mmitas Mertan anial? - wymamrotał ledwie słyszalnie. - Karmida David shumidas krree?

- Starotarmidiański - wyjaśnił Entoo Nee. - Język jego młodości. Coraz częściej go używa. - Threepio? - spytała wymownie Shada.

- Pyta, czy Mertan dziś był - przetłumaczył droid, nie chwając się tym razem, ile to zna języków i nie ozdabiając niczym przekładu. - I czy to ten miły admirał David. - Żadnego z nich nie było - odpowiedział Entoo Nee i dał Talonowi znak, żeby wyszedł. - Wrócę później, Jorj. Spróbuj zasnąć, dobrze?

Leżący nie odpowiedział, więc wszyscy wyszli, zamykając za sobą drzwi. Dogonił ich cichy głos:

- Spać? Nie mogę teraz spać, Mertan. Mam dużo do zrobienia, o wiele za... - resztę odcięły drzwi.

- Teraz widzicie, jak to wygląda - powiedział cicho Entoo Nee.

- Ile czasu jest w tym stanie? - Talon czuł gorzyc w gardle.

- I dlaczego nas tu przywiozłeś, zamiast powiedzieć, jak się sprawy mają? - dodała Shada.

- Jest stary... bardzo stary i bardzo chory, a trwa to naprawdę długo... a dlaczego was tu przywiozłem? Przecież chcieliście go zobaczyć i wątpię, czy uwierzylibyście mi na słowo...

- Chcieliśmy zobaczyć Car'dasa, a nie jego doczesne szczątki - prychnęła.

- W porządku - przerwał jej łagodnie Karrde. - To moja wina, nie Entoo Nee; powinienem tu przybyć wiele lat temu... Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, Entoo Nee: Car'das zgromadził potężną bibliotekę elektroniczną, naprawdę okazały zbiór datakart. Wiesz, gdzie one mogą być?

- Nie mam pojęcia - zapytany wzruszył ramionami. - Cokolwiek z nią zrobił, to na długo przedtem, nim zacząłem dla niego pracować.

Karrde skinął głową - i to by było wszystko, jeśli chodzi o dokumenty dotyczące Caamas.

Zmarnowane lata strachu, zmarnowana podróż i zmarnowane nadzieje. Nagle sam poczuł się stary.

- Dzięki - ocknął się z wysiłkiem i wyjął z kieszeni komlink. - Dankin?

- Jestem, szefie - rozległ się lekko napięty głos. - Jak sprawy?

- Nienajgorzej, dziękuję - Talon odpowiedział uzgodnioną kwestią. - Zadanie zakończone, przygotujcie się do startu. Odlatujemy, jak tylko oboje wrócimy. - Dobra, chociaż może to być trochę trudne - poinformował go ponuro Dankin. - Coś się tu szykuje, szefie, i to coś dużego. Wszystkie jednostki są gotowe do boju. - Jesteś pewien?

- Jeżeli taszcą na pokład kombinezony pancerne, przeciwodłamkowe dla strzelców, skrzynie zasilaczy do ciężkiej broni ręcznej i kontenery rakiet, to do czego się przygotowują? I uzbrajają w co się da, wszystkie maszyny cywilne.

- Rei'Kas się zbliża - odezwał się niespodziewanie Entoo Nee. - Chyba ktoś was śledził.

Karrde skrzywił się, zły na samego siebie - kolejny kawałek układanki najwyraźniej został mylnie umieszczony: był pewien, że Rei'Kas pracuje dla Car'dasa... - Nikomu nie powinno się to udać - odparł. - Z założenia starannie uważamy na takich cwaniaków.

- Jak widać tym razem nie wyszło. Zresztą to mało istotne: odnaleźli Exocron i tylko to jest ważne... Dlatego chciałem cię przywieźć moim statkiem, jego nie są w stanie wyśledzić, już nie raz próbowali.

- Ale skoro wiedzieliście o tym, jeszcze zanim wylądowali - wtrąciła Shada - dlaczego nam nie powiedzieliście?

- Po co? Według informacji admirała Davida cała ich flota opuściła ukrytą bazę i kieruje się do nas. Tego nie da się zmienić, a jeden frachtowiec, nawet duży, niewiele może nam pomóc. Zresztą... Karrde skrzywił się ponownie.

- Za ile tu dolecą? - spytał.

- Przepraszam, ale jeśli lecą tu piraci, czy nie czas zająć się odlotem? - wtrącił się Threepio, nim Entoo Nee zdążył odpowiedzieć.

- Ma rację - przyznał ten ostatni. - Choć spieszyć się specjalnie nie musicie: dotrą tu najwcześniej za osiem godzin, a prawdopodobnie nawet później. - A co z wami? - zainteresowała się Shada.

- Nic nam nie będzie. Nasza flota systemowa, jak słyszałem, jest całkiem dobra. - Do ścigania przemytników - odparła ponuro Shada. - A mówimy o Rei'Kasie. - To nasz problem, nie wasz - w głosie Entoo Nee pojawiło się niespotykane dotąd zainteresowanie. - Lepiej rzeczywiście zajmijcie się przygotowaniem do odlotu. W tym momencie Talon zorientował się, że nie wyłączył kom-linku. - Dankin, słyszałeś wszystko?

- Słyszałem, szefie. Reszta też. Mamy się przygotować?

Karrde spojrział w ciemne okna, za którymi rozciągała się planeta, której mieszkańcy, w wyniku jego postępowania nieoczekiwanie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Nieświadomie, ale jednak

sprowadził na nich zagrożenie, i to bardzo poważne. I dlatego właściwie decyzja została już podjęta.

- Tak, przygotujcie statek - odpowiedział spokojnie. - Do walki. - I spoglądając na Entoo Nee dodał:
- To także nasza sprawa. Zostajemy.

# R O Z D Z I A Ł 2 5

Na pokładzie „Błędnego Rycerza” panowało zamieszanie, jakiego Booster Terrik nie widział, odkąd został właścicielem tego okrętu, a nie dało się ukryć, że widział tu już naprawdę dużo. Technicy, mechanicy, inżynierowie, oficerowie i żołnierze Nowej Republiki kręcili się tłumnie po wszystkich zakamarkach naprawiając, wymieniając, rozmontowując, zamontowując i zmieniając wszystko, co tylko się dało. Jego własna załoga została grzecznie, lecz zdecydowanie wyproszona, żeby, jak to Garm Bel Iblis delikatnie ujął, nie szwendała się pod nogami i nie przeszkadzała.

Wokół samego Bel Iblisa panował zresztą względny spokój -było to jedyne miejsce na całym niszczycielu, gdzie istniała namiastka normalności: zupełnie jak w oku cyklonu.

- W nocy przybyło pięć kolejnych okrętów - meldował adiutant, próbując dotrzymać kroku generałowi maszerującemu prawoburtowym korytarzem artyleryjskim oznaczonym numerem szesnaście.

Booster, obdarzony dłuższymi nogami, nie miał z tym kłopotu, ale i tak uważał, że Bel Iblis ma zdecydowanie za wiele energii, jak na normalnego człowieka o tak wczesnej porze.

- Kolejno zameldowały się: „Furia Wolności”, „Duch Mindoru”, „Gwiezdny Wojownik”, „Gwiezdny Strażnik” i „Zemsta Wellinga”.

- Doskonale - Garm Bel Iblis zatrzymał się przed monitorem kontrolnym turbolasera. - A „Garfin” i „Beledeen II”?

- Jeszcze się nie zameldowały, sir. Słyszałem plotki, że pojawił się również „Webley”, ale też jeszcze się nie zgłosił.

- „Webley” jest, bez obaw - wtrącił Booster. - Bo kapitan Winger nigdy by nie zostawiła okrętu, a ona na pewno już się pojawiła: jej metalowa rączka zostawia niezatarte ślady na puszkach po piwie.

- Wszystkie przybywające jednostki mają rozkaz meldować się niezwłocznie i... - zirytował się adiutant.

- Spokojnie - przerwał mu Garm. - Zgłoszą się na czas. Alex pewnie chce dać załodze chwilę odpoczynku, zanim wokół zrobi się gęsto od rozkazów.

- Nie tylko im przydałby się odpoczynek - wymamrotał pod nosem Booster.

- Czy mi się wydaje, czy chodzi ci o coś konkretnego, Terrik? - spytał Bel Iblis, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności.
- Zastanawiam się tylko, kiedy skończycie ten remont.
- Prawie skończyliśmy - zapewnił go Garm. - Poruczniku?
- Modernizację najważniejszych systemów zakończą w ciągu najbliższych dwunastu godzin, sir. Zostaną pewne drobiazgi, ale w najgorszym razie można się nimi zająć w drodze.
- Coś jeszcze? - spytał Bel Iblis, spoglądając na Boostera.
- Owszem - odparł Terrik i popatrzył z niechęcią na adiutanta. Bel Iblis zrozumiał wymowę jego wzroku.
- Poruczniku, proszę sprawdzić emiter promienia ściągającego numer siedem - polecił. - Niech się pan upewni, że właściwie go skalibrowano.
- Tak jest, sir - porucznik strzelił obcasami i odszedł, obdarzywszy Boostera zaintrygowanym spojrzeniem.
- Może byśmy tu weszli? - zaproponował Bel Iblis, wskazując drzwi z czerwonym symbolem awaryjnego punktu medycznego. - Nikomu nie będziemy przeszkadzać. - Ciągle jeszcze nic nie wiem o planach naszej małej wycieczki - oświadczył Booster, gdy znaleźli się wewnątrz i zamknęli za sobą drzwi. - I sądzę, że najwyższy czas, żebyśmy się czegoś dowiedzieli.
- W zasadzie plan jest prosty: bierzemy „Błędnego Rycerza”, podszywamy się pod jednostkę imperialną tej klasy i przelatujemy przez linię pikiet osłaniających bazę, a miejmy nadzieję, że także przez perymetr obronny. Kiedy już znajdziemy się wewnątrz, z nadprzestrzeni wychodzi reszta sił i zaczyna atak. Jeśli będziemy mieli szczęście, obrońcy będą zbyt zajęci, aby przyjrzeć się nam uważniej.
- Zakładając, że pierwsze spojrzenie nie spowoduje rozstrzelania nas od ręki. A jeśli spełnią się nasze marzenia, to co dalej?
- Yaga Minor ma specyficzną budowę, chyba jako jedyna baza imperialnego wywiadu. Wyposażono ją w dwa stanowiska komputerowe umieszczone na końcu stumetrowego korytarza odchodzącego od głównej stacji - wyjaśnił Bel Iblis. - Dziwny pomysł.
- Ale niegłupi: chodziło o to, żeby umożliwić cywilnym naukowcom wysokiej rangi dostęp do danych, ale nie do samej bazy. Również wielki moff Tarkin często używał tych terminali, nie chcąc, by jego przeciwnicy polityczni zorientowali się, co go interesuje.

- Dobra, mamy oddalony od reszty terminal czy dwa, które możemy wykorzystać. A istnieje też może jakieś miłe wejście, powiedzmy zewnętrzna śluza na końcu, którym da się po cichu wśliznąć?

- Śluza jest, i to niejedna, ale nie bardzo da się ją wykorzystać, bo nie znamy kodów wejściowych, więc najprawdopodobniej skończy się na rozwaleniu ściany korytarza i wysłaniu slicerów w skafandrach próżniowych.

- Jasne! - prychnął Booster. - Rozwalenie korytarza na pewno nie zwróci niczyjej uwagi.

- Może nie zwrócić: wybuch zostanie zsynchronizowany z salwą torped naszych sił atakujących perymetr. Obrońcy mogą go uznać za trafienie przez jedną z nich. - A jeżeli nie uznają?

- Wtedy my dwaj, wraz z całą resztą załogi zaczniemy zarabiać na swoją pensję. Będziemy musieli powstrzymać obrońców, dopóki slicerzy nie uzyskają interesujących nas dokumentów i nie prześlemy ich treści reszcie grupy - wyjaśnił spokojnie Bel Iblis. - Bez obrazy, ale to najgorszy plan, jaki w życiu słyszałem ocenił Terrik. - A co się z nami stanie, kiedy już nadamy treść tych dokumentów?

Bel Iblis spojrział mu prosto w oczy i odparł spokojnie:

- To akurat nie ma większego znaczenia. Jeśli przyjmą naszą kapitulację, dobrze, jeśli nie... to zmienią „Błędnego Rycerza” w złom, a nas w nieboszczyków. - Zaraz - Booster zmarszczył brwi, dopiero teraz zauważając wysoce znaczący zwrot, którego używał rozmówca. - Jakich nas?! Przecież będziesz z głównymi siłami. - Ten niszczyciel stanowi klucz do całej operacji - wyjaśnił mu rzeczowo Bel Iblis. - I musi przetrwać na tyle długo, by najpierw umożliwić zdobycie dokumentów, a potem przebić się przez zagłuszanie. Na jego pokładzie będę najpotrzebniejszy i tu właśnie pozostanę.

- Zaraz, bo mnie cholera zadusi! - warknął Booster, prostując się na pełną wysokość. - Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze: to mój okręt i ja jestem jego kapitanem! Chyba już uzgodniliśmy ten warunek.

- I nic nie uległo zmianie - przytaknął Bel Iblis. - Ja po prostu będę pełniącym obowiązki admirała.

Boostera zatkało, choć w duchu przyznawał, iż powinien się tego spodziewać.

- A jeśli odmówię wykonywania rozkazów? - spytał. Garm Bel Iblis uniósł lekko brwi.

Terrick skinął głową- biorąc pod uwagę, kto stanowił dziewięćdziesiąt pięć procent załogi niszczyciela, właściwie nie potrzebował odpowiedzi na to pytanie. - Jasne - mruknął. - Wiedziałem, że tego pożałuję.

- Możesz tu zostać - zaproponował Garm. - Jestem pewien, że wypłacą ci stosowne odszkodowanie, gdyby okręt uległ zniszczeniu...



- Tylko bez takich! - zirytował się Booster. - To mój okręt i nikt go nie poprowadzi do walki beze mnie. Koniec, kropka!

- Rozumiem. - Garm uśmiechnął się słabo. - Naprawdę rozumiem. Coś jeszcze cię gryzie?

- Nic ważnego - burknął Booster. - Ale jakbyś w ciągu najbliższych trzech dni wymyślił lepszy plan, chętnie o nim pogadam. Teraz nie bardzo jest o czym. - Spróbuję - Garm odwrócił się ku drzwiom.

- Poczekaj! Powiedziałeś, że w razie czego musimy wywalić dziurę w korytarzu. A co ze sprzętem i tymi, którzy tam wtedy będą?

- Sprzęt stoi na końcu i nic mu się nie powinno stać, nie spodziewam się też niczyjej obecności, bo terminale są bardzo rzadko używane. Poza tym nie widzę innego sposobu, by się tam dostać.

- Czyli, jak będziemy mieli pecha, to zabijemy kilku cywilów, bo sam mówiłeś, że tylko cywile ich używają. Zdajesz sobie z tego sprawę? - Tak - przyznał Garm cicho. - Zdaję.

- To już ze cztery godziny - Klif spojrzął na chronometr. - Jak sądzisz: jeszcze dwie i zacznie się panika?

Navett zastanowił się - według Pensina delikatna operacja przeniesienia ich broni biologicznej na ubrania bothańskich techników poszła gładko. On i Klif na wszelki wypadek byli wtedy gdzieś indziej i zapewnili sobie niepodważalne alibi. Technicy weszli do budynku generatorów przed czterema godzinami, należy więc dodać jeszcze jedną, zanim obsługa zorientuje się, że coś jest nie tak, i ze dwie kolejne, w czasie których zda sobie sprawę z powagi zagrożenia oraz z własnej bezsilności, gdy wszystkie środki pozbycia się nieproszonych gości zawiodą.

- Sądzę, że bliżej trzech - odpowiedział. - Zanim będą gotowi wezwać na pomoc obcych.

- Sprzęt jest gotów, my też. - Klif wzruszył ramionami.

Wesolutki dzwoneczek przy drzwiach wejściowych oznaczał klienta, toteż Navett zrobił głupawo radosną miną i spojrzął w tamtym kierunku. I zamarł - do sklepu weszła para agentów Nowej Republiki, których kilka dni temu próbowali pozbawić portfeli. Usłyszał zduszone charknięcie Klifa i zmusił się do akcji, czyli do pospiesznego wyjścia zza lady, co uczyniłby każdy napalony na klienta sprzedawca.

- Zabawnego i korzystnego dnia, czy jak tam się to mówi - powitał ich z nadzieją w głosie. - Czym mogę służyć?

- Na razie tylko się rozglądamy - odparł jeden z gości, kierując się ku klatkom. Obaj byli niewysokimi szatynami z pierwszymi oznakami siwizny, dziwnie do siebie podobnymi. Różniły ich

głównie oczy -ten, który się odezwał, miał brązowe, a jego towarzysz zielone. I z bliska Brązowooki wydał się Navettowi dziwnie znajomy... - Jasne, jasne - trzymał się w pobliżu, zgodnie z najgorszymi zwyczajami handlowymi. - Szukacie panowie czegoś konkretnego?

- Raczej nie - Zielonooki zatrzymał się przy jednej z klatek. -To podpiany?

- Pewnie. - Navett zauważył, że obaj mają Słaby koreliański akcent. - Zna się pan na zwierzakach.

- Trochę. - We wzroku Zielonookiego pojawił się dziwny błysk. - Sądziłem, że Bothanie są na nie uczuleni?

- Niektórzy są - zgodził się Navett, wruszając ramionami. - A mimo to przywieźliście je na Bothawui?

- Przecież to, że niektórzy mają alergię, nie musi znaczyć, że inni nie zechcą ich kupić, nie? - Navett udawał zdziwionego. - Nie wszyscy Bothanie są na nie uczuleni, a tu jest dużo innych ras... Przerwał, gdyż Brązowooki kichnął.

- Proszę, pana kolega też jest uczulony na coś, co tu mamy - oznajmił z tryumfem. - A jednak weszliście, prawda? I założę się, że każdemu z panów potrafię znaleźć pasującego zwierzaka.

Dzwoneczek przy drzwiach rozcwierkał się ponownie i do sklepu weszła starsza kobieta.

- Witam - uśmiechnął się szerzej Navett. - Zabawnego i udanego dnia życzę. Czym mogę służyć? - Macie jakieś thisty?

Navett z trudem zapanował nad mięśniami twarzy, zastanawiając się, o jakie cholerstwo chodzi.

- Wątpię, bo jakoś nigdy o nich nie słyszałem - odparł. Wolał nie udawać fałszywej wiedzy na wypadek sprawdzianu. - Ale mogę sprawdzić, czy nie da się ich skądś ściągnąć. Co to za stworki?

- Niezbyt popularne - głos kobiety był beztroski, ale przyglądała się Navettowi równie uważnie jak Zielonooki. - Niewielkie, zwinne, o beżowej sierści i chowanych pazurach. Czasami są pasiaste i często używa się ich jako zwierząt pilnujących stad w górzystym terenie.

- Aaa - ucieszył się Klif zza lady. Stał tam nadal niedbale o nią oparty, by ukryć datapad, z którego korzystał. - Chodzi pani o korduliańskie krissy.

- A, krissy! - Navett zrobił mądrą minę, nadal nie mając pojęcia, o jakie zwierzęta chodzi, ale idąc śladem podsuniętym przez Klifa. - Pewnie, że znam, tylko jakoś tej drugiej nazwy nigdy nie słyszałem. Klif, możemy je zdobyć?

- Niech sprawdzę... - Klif wyjął datapad na ladę i udał, że go uruchamia.

- Co to takiego? - zainteresował się Brązowooki, który właśnie stanął przed pojemnikiem zawierającym mawkreny. Na jego obliczu malowało się średnie obrzydzenie.
- Małe mawkreny - wyjaśnił Navett, podchodząc i z zadowoleniem spoglądając przez przezroczyste wieko na łożące po sobie niewielkie jaszczurki. - Wylęgły się dziś rano. Fajne, nie?
- Fajne - potwierdził bez śladu przekonania Brązowooki.
- Są! - ogłosił Klif. - Korduliańskie krissy...

W tym momencie niespodziewanie bipnął komlink Navetta.

- Przepraszam - powiedział i wyciągnął urządzenie z kieszeni, nagle pełen najgorszych przeczuć. - Halo?
- Właściciel Navett ze sklepu „Exoticalia Pet Emporium”? -zapytał oficjalny, choć zdenerwowany głos z bothańskim akcentem.
- Osobiście - zapewnił go radośnie Navett: tak bardzo na to czekali i przez zasmarkane szczęście świadkami akurat rozmowy miały być najmniej odpowiednie osoby. - W czym mogę pomóc?
- Mamy problem z kłopotliwymi insektami. Nasze próby pozbycia się ich jak dotąd nie okazały się skuteczne. Może, jako osoba handlująca egzotycznymi zwierzętami, podsunie nam pan jakieś użyteczne pomysły.
- Mogę spróbować. Obaj z Klifem mamy spore doświadczenie w tępieniu robactwa, bośmy się tym zajmowali, zanim zaczęliśmy handlować zwierzakami. Co to za robaki?
- Nie znane naszym ekspertom - przyznał niechętnie rozmówca. - Małe, nie reagują na normalne środki owadobójcze i co jakiś przypadkowy okres czasu zaczynają wydawać głośnie ni to buczenie, ni bzyczenie.
- Może skronki... - podsunął niepewnie Navett. - One nielecho hałasują. Albo aphreny... albo, zaraz. Założę się, że to metal-mity! Macie w pobliżu jakąś elektronikę czy inne maszyny? Z głośnika dało się słyszeć zduszone charknięcie.

- Całkiem sporo maszyn i urządzeń elektronicznych - przyznał głos. - Co robią metalimity?
- Jedzą metal. To znaczy nie tyle go gryzą, ile rozpuszczają specjalnymi enzymami, które...
- Nieważne - przerwał mu coraz bardziej podenerwowany rozmówca. - Jak je zlikwidować?

- Niech pomyślę. - Navett potarł w zamyśleniu podbródek na użytek gości. - Trzeba rozpylić taki środek... macie u siebie CorTrehan? To trehansicol cordiolinowy, jeśli potrzebujecie pełnej nazwy.

- Nie wiem, ale na pewno będziemy go szybko mieli.

- Tylko zanim zaczniecie przyskać, upewnijcie się, że robi to fachowiec, bo normalne zlanie pomieszczenia płynem nic nie da -ostrzegł Navett. - Jak to spryskanie nic nie da?!

- Trzeba przyskać tam, gdzie jedzą i zostawić im dość nie spryskanych miejsc... Navett westchnął. -To nie jest robota dla amatorów i za dużo bym musiał tłumaczyć, mam lepszy pomysł: wy załatwcie CorTrehan, a my możemy zrobić resztę. - Niemożliwe! - szczechnął głośniczek. - Obcym nie wolno wchodzić na ten teren. - Dobra, jak sobie chcecie. - Navett był przygotowany na odrzucenie oferty. - Chciałem tylko pomóc. Przy pojedynczym roju macie masę czasu, nim zrobią większe zniszczenia... Bo to jest pojedynczy rój, jeśli dobrze rozumiem? Kiedy brzęczą to słyszać jeden dźwięk czy kilka różnych?

- Kilka różnych - odparł po chwili przerwy komlink. - Pięć lub sześć.

Navett gwizdnął.

- Pięć?! - powtórzył. - Klif, słyszałeś? Mają pięć rojów metalmitów. No to życzę szczęścia i mam nadzieję, że znajdziecie kogoś, zanim zacznie się wojna rojów. I wyłączył urządzenie.

- Pięć rojów! - powtórzył potrząsając głową. - Cholera!

- Szokujące - zgodził się Zielonooki, nadal z tym błyskiem w oczach, który Navettowi coraz mniej się podobał. - Metalmity to chyba duża rzadkość w tym rejonie galaktyki, prawda?

- Często przenoszą się, korzystając ze statków, a słyszałem, że także z mynocków. Właściwie nie sposób przewidzieć, gdzie i kiedy się pojawią... - Navettowi przerwał ponowny sygnał komlinku. - Przepraszam... Halo?

- Tu ponownie kontroler Tri'byia - tym razem głos się przedstawił. - Rozmawialiśmy przed chwilą.

- Ano rozmawialiśmy - zgodził się Navett. - Słucham uprzejmie.

- Polecono mi zapytać, ile pańska firma życzyłaby sobie za zajęcie się metalmitami.

- Niewiele. - Navett zdusił uśmiech: Tri'byia nawet nie próbował ukryć, że nagła zmiana frontu nie jest jego pomysłem. -Zrobimy tak: na cle powiedzieli mi, że potrzebuję specjalnego zezwolenia handlowego, żeby sprzedawać moje zwierzaki poza Drew'starn. Załatwi mi pan takie zezwolenie i będziemy kwita. No i zapłaci pan za CorTrehan temu, od kogo go kupicie, bo ja go nie mam.

- Skąd ta wspaniałomyślność? Tri'byia nie krył podejrzliwości.

- Bo widziałem, co one potrafią - warknął Navett. - I jeśli ktoś myśli, że będę prowadził interesy w mieście, w którym się te cholery zadomowiły, niech idzie do lekarza. Im szybciej zaczniemy, tym

łatwiej się ich pozbędziemy. Pan załatwi płyn i licencję handlową, i z nimi kwita.

- Sądzę, że to się da zrobić - przyznał niechętnie Tri'byia. - Naturalnie panowie i sprzęt zostaniecie przeskanowani, zanim będziecie mogli przystąpić do pracy. - A proszę uprzejmie, młodość mi się przypomni. Kiedy zaczynamy?

- Terenowy śmigacz po panów zjawi się za pół godziny - w głosie Tri'byia słychać było ostrożną ulgę. - Proszę się przygotować. - Nie ma obaw - zapewnił Navett.

Jego rozmówca wyłączył się, nie tracąc czasu na pożegnania.

- No i proszę... - Navett schował komlink. - Strasznie państwa przepraszamy, nie nasza wina. Życzy pani sobie zamówić te krissy? Klif znalazłeś coś?

- Możemy je ściągnąć od dostawcy z Eislo za jakieś trzy dni, albo kazać je przywieźć bezpośrednio z Kordu, co będzie tańsze, ale dłużej potrwa.

- Chce pani zamówić? - spytał Navett z nadzieją. - Wystarczy jedna dziesiąta wartości jako zaliczka.

- Chyba najpierw sprawdzę, czy inny sklep nie ma ich na stanie - odparła kobieta po namyśle.

- Jak pani nie znajdzie, zapraszamy z powrotem - pożegnał całą trójkę Klif, widząc, że kierują się ku drzwiom. - Mamy naprawdę niskie ceny.

- Będziemy pamiętać - obiecał Brązowooki. - Dzięki, może wrócimy.

Po czym wyszli kolejno i przedelfilowali wzdłuż frontowego okna.

- Założę się, że Wrócicie - mruknął obserwujący ich odejście Navett.

Po czym wzruszył tylko ramionami - teraz nie miał głowy ani do utalentowanych doliniarek, ani do agentów wywiadu wojskowego Nowej Republiki. Teraz najważniejsze były metalnity, które spełniły swoje zadanie, otwierając im drogę do generatora pola. Nadszedł czas, by on i Klif spełnili swoje.

- Lepiej się przygotujmy - poradził partnerowi i sam ruszył na zaplecze. - Po co niepotrzebnie denerwować gospodarzy.

- A tu będzie pan pracował - poinformował generał Hestiv, wystukując na klawiaturze kod otwierający drzwi.

- Jasne - mruknął bez entuzjazmu Ghent i nerwowo obejrzał się na długi korytarz dzielący ich od głównej części bazy: Hestiv co prawda zapewniał, że nikt tu nie przychodzi, ale świadomość

bliskości całej bazy imperialnego wywiadu sprawiała, że Ghentowi ciarki chodziły po plecach.

- Idziemy - Hestiv otworzył drzwi i przepuścił Ghenta przodem.

Ten przeszedł, przyglądając się generałowi nieco podejrzliwie -wprawdzie Pellaeon mówił, że to przyjaciel, ale był w końcu imperialnym oficerem. Gdyby ten cały Disra chciał go zabić, tutaj miałby idealną okazję...

A potem Ghent zobaczył, co znajduje się w pomieszczeniu...

- To pański tymczasowy dom - odezwał się zza jego pleców Hestiv. - Jak się panu podoba?

Ghent ledwie go słyszał, zafascynowany oszłamiającym widokiem. I ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Everest 448 DataSifter, dwa deszyfratory Fedukowski D, pięć procesorów peryferyjnych Wickstrom K220, pełnozakresowy analizator numeryczny Merilang-1221...

- Sprzęt, przyznaję, nie jest najnowszej generacji - dodał przepaszająco Hestiv - ale powinien wystarczyć.

...a na samym środku stał sobie nowiutki terminal Rikhous Masterline-70 Oc.

- Nie aż taki stary! - wykrztusił Ghent, nadal wgapiony z podziwem w sprzęt i nie wierzący własnemu szczęściu. - I zupełnie wystarczy.

- To dobrze - Hestiv przeszedł przez pokój i otworzył drzwi, których Ghent nawet nie zauważył. - Tu jest w pełni samowystarczalna część mieszkalna. Nie musi pan w ogóle opuszczać tego modułu, a po moim wyjściu może pan zmienić kombinację zamków, żeby nikt się tu, nawet przez przypadek, nie dostał.

- Jasne, że tak zrobię - Ghent zdążył zapomnieć, że się denerwuje, na widok tego co miał do swojej własnej i wyłącznej dyspozycji. - Mogę zaczynać?

- Kiedy tylko będzie pan gotów - poinformował go nieco zaskoczony Hestiv. - Wie pan, jak się ze mną skontaktować, gdyby pan czegoś potrzebował. Życzę powodzenia.

- Aha - mruknął Ghent, woląc nie dziękować, żeby nie zapeszyć.

Hestiv wyszedł i Ghent został sam.

Torbę postawił na podłodze i kopniakiem skierował ku drzwiom do sypialni, zapominając o wszystkim, co nie dotyczyło komputerów. Przyciągnął obrotowy fotel przed klawiaturę Master-linea-70 i usiadł. Zapowiadała się niezła zabawa.

Skanowanie okazało się dużo ponadgodzinnym prześwietlaniem i rewizją przeprowadzoną, zdaniem Navetta, w obecności przynajmniej połowy sił bezpieczeństwa Drew'starn. W końcu jednak, z niechęcią i bez jakichkolwiek efektów, poszukiwania zakończono. Tri'byia z prawdziwym żalem kogoś, kto nie ma innego wyjścia, choć wie, że nie powinien tego robić, pozwolił im wejść do właściwych pomieszczeń generatora na niższych poziomach. Czyli do serca systemu obronnego Drew'starn.

- Robi wrażenie - Navett rozejrzał się bez troski, ignorując ponurych strażników śledzących podejrzliwie każdy jego ruch. - Teraz rozumiem, dlaczego chcecie się ich szybko pozbyć. No, dobra: pokażcie mi coś naprawdę delikatnego czy ważnego, w co nie chcecie, żeby się dostały.

- Nie chcemy, żeby się dostały do jakiegokolwiek urządzenia! - parsknął Tri'byia, a jego futro gwałtownie zafalowało.

- Jasne - Navett poprawił zbiornik CorTrehanu na plecach i machnął uspokajająco spryskiwaczem. - Ale od czegoś musimy zacząć, nie? Najpierw powinniśmy zabezpieczyć to co najdelikatniejsze. Futro kontrolera ponownie zafalowało.

- To brzmi rozsądnie - przyznał z nieszczęśliwą miną; perspektywa pokazywania najważniejszych elementów generatora ludziom najwyraźniej kłóciła się z jego zasadami, i to ostro. - Tędy.

Jego bohaterska decyzja nie miała zresztą znaczenia - Navett i Klif doskonale wiedzieli, gdzie się co znajduje, ale nie mogli wypaść z roli życzliwie głupich pomocników, a takie pytania były w ich przypadku nieuniknione. Prywatnie zaś Navett miał ochotę sprawdzić, na ile uczciwości zdobędą się Botrianie w sytuacji kryzysowej. - Można zacząć od tego - Tri'byia wskazał zupełnie nieistotną zapasową konsolę łączności.

- Jasne - mruknął Navett z lekką satysfakcją: Bothan stać było na tyle uczciwości, o ile ich podejrzewał.

Pryskali przez ponad kwadrans, rysując skomplikowane koliste wzory, uznawane za jedyny sposób skutecznej eliminacji metalmitów, zanim sprawy zaczęły przybierać ciekawszy obrót.

- Teraz to - polecił Tri'byia i wskazał konsolę synchronizacji częstotliwości i natężenia pola, łączącą generator z resztą systemu obrony planetarnej.

- Aha - Navett podszedł do konsoli, czując przyspieszone bicie serca: miał właśnie zadać pierwszy rzeczywisty cios wymierzony przeciwko rasie, która tak wiele kosztowała Imperium.

Panele techniczne zdjęto już wcześniej, toteż zmienił jedynie chwyt na rękojeści rozpylacza i kucnął, po czym ostrożnie wsunął dyszę w elektroniczny labirynt i nacisnął przycisk. Tym razem na obwody, a z nich na zasilanie i wentylatory znajdujące się w konsolecie, poleciał nie tylko zabijający

metalmity płyn. Zmiana chwytu uruchomiła niewielki zbiorniczek wbudowany w rozpylacz, który do CorTrehanu dodał nieco swojej specjalnej zawartości.

Godzinne poszukiwania i skanowania dobitnie świadczyły o paranoicznej podejrzliwości Bothan - szukali broni, wyposażenia szpiegowskiego, materiałów wybuchowych, trucizn, grzybów, kwasów, bakterii i zapewne z pół setki innych rzeczy, na które normalny człowiek nigdy by nie wpadł, ale nikt nie pomyślał, żeby szukać jedzenia.

Zresztą ten roztwór nikomu z obecnych nie przypadłby do gustu - nawet metalmitom, dla których i tak nie był przeznaczony. Metalmity spełniły swoją rolę, a ponieważ faktycznie były zbyt niebezpieczne, należało je naprawdę zlikwidować.

Navett i Klif spędzili dwie godziny na opryskiwaniu kompleksu trucizną i ze dwadzieścia sekund na dodawaniu do niej, w starannie wybranych miejscach, pożywki. Kiedy skończyli, słodkokwaśny odór CorTrehanu był, łagodnie mówiąc, wszechobecny. Niczym fizyczna bariera, przez którą trzeba było się przedzierać.

- No to pierwszy krok mamy za sobą- oznajmił Navett, gdy odprowadzono ich do wejścia. - Teraz musicie puszczać przez głośniki wszystkie rodzaje buczenia, jakie nagraliśmy, co uniemożliwi im gadanie wewnątrz rojów i powstrzyma przed szybkim rozmnażaniem. A potem zacznie działać trucizna.

- Rozumiem - Tri'byia wydawał się już nieco mniej nieszczęśliwy. - Ile czasu musimy tak postępować?

- Tydzień powinien wystarczyć, a osiem do dziewięciu dni z całą pewnością. Niektóre roje są odporniejsze, ale nie ma obaw, w tym czasie i tak niczego nie jedzą. A zdychać zaczną już wcześniej.

- Doskonale - zgodził się niechętnie Tri'byia. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie: dowiedziałem się, że metalmity są prawdziwą rzadkością. Jak one się tu dostały? Navett wzruszył ramionami z udaną obojętnością- jeśli Bothanie okażą się bardziej podejrzliwi niż zakładano i wyczyszczą wszystko, co właśnie skończyli z Klifem rozpylać, cały pomysł nie wypali. Owszem, będą mieli metalmity, ale także i wiedzę, jak się ich pozbyć.

- To jest ciekawostka - przyznał. - W ciągu ostatniego tygodnia nie dostarczono tu jakiegoś nowego urządzenia?

- Siedem dni temu przywieziono dwa, ale zostały sprawdzone i dokładnie przeskanowane.

- Może i zostały, tylko założę się, że wasze skanery nie są skalibrowane na formy życia oparte o metal. - Navett był pewien swego: skanery nie wykryły metalmitów na ubraniach robotników. -



Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy ktokolwiek tak do końca wie, jak one się przemieszczają i skąd pochodzą. Co pewien czas dają o sobie znać w innej części galaktyki i zaczynają sprawiać kłopoty. Jak już się tu pojawiły, może złapcie parę i przeprogramujcie skanery, a unikniecie kłopotów na przyszłość.

- Dziękuję za radę. - Tri'byia był równie speszony, co zaskoczony. Najwyraźniej nie przywykł do rad, zwłaszcza dotyczących rzeczy oczywistych.

- Nie ma za co. - Navett lekceważąco machnął ręką. - Cieszę się, że mogliśmy pomóc. A co z moją licencją handlową?

- Zobaczę, co się da zrobić - odparł Tri'byia. Wyraźnie wycofywał się z pierwotnych ustaleń, ale nie miało to żadnego znaczenia: za sześć dni, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Tri'byia przestanie istnieć, razem z całym miastem i taką częścią planety, jaką zdołają zniszczyć trzy okręty klasy Imperial.

Navett zamierzał oglądać to z pokładu jednego z nich i śmiać się. Teraz wystarczyło, że się uśmiechnął.

- Jasne - oznajmił radośnie. - Dzięki. Jakbyście jeszcze czegoś potrzebowali, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Dopóki nie wrócili do sklepu i nie sprawdzili się wzajemnie wykrywaczem mikrofonów, kamer i innych „pluskiew”, Navett i Klif nie rozmawiali o niczym ważnym. Okazało się, że nie wzbudzili podejrzeń, gdyż nie podrzucono im żadnego elektronicznego szpiega.

- Niechlujstwo i brakoróbstwo - ocenił Klif, wkładając detektor do schowka.

- Sprawdzili nas na tyle dokładnie, na ile mogli, zanim się z nami skontaktowali - Navett zdjął ubranie przesiąknięte CorTrehanem. - Udało ci się sprawdzić, którędy nasza linia przesyłowa wchodzi do budynku? Boja nigdy nie dotarłem do tej ściany. - Owszem. Zdążyli już przygotować rozgałęzienie do podłączenia tego nowego sprzętu, o którym mówił. - Ale ściany jeszcze nie ruszyli?

- Aż tacy głupi nie są.

- Nie szkodzi - Navett wzruszył ramionami: wolałby oczywiście mieć przygotowane przejście przez metrowej grubości ścianę złożoną z wielu warstw sprasowanej i wzmocnionej, wyjątkowo odpornej mieszanki budowlanej, ale nie było to niezbędne. - Mnie martwi te sześć dni oczekiwania - odezwał się Klif. - To, co rozpyliliśmy, nie zwietrzeje?

- Nie ma prawa. Teraz najbardziej ryzykowne jest dokopanie się do linii przesyłowej z tej restauracji Ho'Dina i dojście do niej tak, żeby nie uruchomić systemu alarmowego.

- Myślisz, że na pewno wyposażyli linię przesyłową w system alarmowy?!

- Ja bym tak zrobił. Horic i Pensin mogą nas wpuścić po zamknięciu lokalu, ale nie zostaje nam wtedy zbyt wiele czasu na samo kopanie. Sześć nocy powinno akurat starczyć.

- Przy optymistycznym założeniu, że będziemy mieli sześć dni spokoju - Klif spoważniał. - Jeżeli w końcu zdecydujesz się coś zrobić z tą parą przyjemniaczków z... Cholera, mam! Wedge Antilles! Wiedziałem, że skądś znam tę gębę!

- Masz rację. - Navett skrzywił się, zły na samego siebie: oczywiście, Brązowooki to generał Wedge Antilles, dowódca przekłetej, i to wielokrotnie, Eskadry Łotrów, która, dysponując tuzinem myśliwców typu X, wyrządziła Imperium większe szkody niż wszyscy Bothanie w galaktyce razem wzięci! - Szlag by to... potrójne morderstwo już samo w sobie wywołuje zamieszanie, a jeśli na dodatek utłuczemy bohatera Nowej Republiki...

Navett umilkł i rozejrzał się po rzędach klatek i reszcie sklepu - Antilles nie powinien ich o nic podejrzewać, w końcu sklep był autentyczny... Ale słyszeli tamtą rozmowę i musieli się domyślić, o jaki budynek chodzi. I jeśli nawet jeszcze nie wpadli na trop grupy, stanie się to lada chwila.

- Nie możemy ich dłużej ignorować, są zbyt groźni - zdecydował. - Trzeba ich załatwić.

- Tak mi mów! - ucieszył się Klif. - Mam się tym zająć?

- Sam?!

- Przecież to para pilotów myśliwskich, poza kabinami swoich maszyn są jak pijane dzieci we mgle.

- Możliwe, ale jakoś nas znaleźli, i to szybko - zauważył Navett. - A stara też musi być cwana, jeżeli tyle czasu uchowała się w tej profesji. - A więc?

- A więc nie załatwisz ich samodzielnie: zrobimy to razem.

Moranda, jak zwykle, raczyła się błękitnozieloną miksturą.

- Nie wiem - przyznała. - Nic nie wydało mi się zdecydowanie podejrzane.

- Ładnie powiedziane - Wedge rozmasował skronie: w ciągu ostatnich czterech dni odwiedzili pięćdziesiąt sklepów, zakładów usługowych i agencji otwartych w mieście już po pojawieniu się na orbicie pierwszych okrętów. - Można by to ująć prościej: znowu trafiliśmy w ślepy zaułek.

- Nie zgodziłbym się - powiedział z namysłem Corran, bawiąc się zawartością swojej szklanki. - Parę miejsc sprawiało wrażenie zdecydowanie bardziej podejrzanych niż pozostałe. Choćby ten

meshakiański jubiler.

- Paser - prychnęła pogardliwie Moranda. - A nerwowy był, bo nas od razu rozpoznał: mógłbyś się wreszcie, Corran, pozbyć tej wyprężonej postawy rodem z CorTechu. Od razu widać, że nie jesteś zwykłym klientem.

- Albo ta knajpka Ho'Dina - Corran zignorował jej uwagę. -Znajduje się dokładnie nad jedną z linii przesyłowych prowadzących do generatora. - Od dziesięciu lat - przypomniała Moranda.

- Tylko szef sali powiedział nam, że niedawno przyjęli jakichś ludzi do sprzątanania na drugą zmianę - dodał Corran. - I coś mi się w tym nie podoba...

Wedge przyjrzał mu się kątem oka - Corran nie dorównywał w sondowaniu umysłów i odczytywaniu uczuć przy użyciu Mocy na przykład Luke'owi czy Leii, jednak ogólne wrażenie wyczuwał nieomylnie. W połączeniu ze szkoleniem i doświadczeniem służby w CorTechu dawało to praktycznie pewność, że jeśli coś mu się w kimś lub w czymś nie podobało, należało to sprawdzić.

- No i naturalnie urocza parka z "Exotical Pet Emporium" - dodał Corran.

Wedge odruchowo spojrział na Morandę, lecz ona, zamiast znowu zaprotestować, przyznała:

- Rzeczywiście. Tam mi się naprawdę nie spodobało.

- A mówiłaś, że nic ci się nie wydało zdecydowanie podejrzane?

- Właśnie o to chodzi, że nie wydało. Oni byli wręcz doskonali, tylko powiedzcie mi, ilu handlarzy zwierzętami domowymi potrafi zarazem tępić robactwo, i to egzotyczne?

- Myślę, że zdołamy ich sprawdzić - Corran nie wyglądał na szczęśliwszego od niej. - Swoją drogą ciekawe, gdzie dokładnie miała miejsce ta inwazja metalmitów. - Gdzieś, gdzie dobrze pilnują bo w pierwszej chwili nie chcieli ich wpuścić - przypomniał Wedge.

- A równocześnie inną decyzję podjęto piorunem - dodała Moranda. - Czyli miejsce dobrze strzeżone, zarazem ważne i bardzo wrażliwe. Przez chwilę cała trójka spoglądała na siebie.

- Stacja generatora pola siłowego - pierwszy powiedział to głośno Corran. - Nic w całym Drew'starn bardziej nie odpowiada temu opisowi.

- Zgadza się - przyznała Moranda, pociągając łyk likieru. -Pytanie: czy był to atak, czy przynęta? Jeśli atak... Przerwał jej stłumiony sygnał komlinka Wedge'a.

- Kto wie, gdzie was znaleźć? - spytała.

- Nasz prom. A specjalnie ustawiony moduł łączności ma nam przekazywać wszystkie połączenia. Tu

Dwójka, słucham?

- Tu tatuś - rozległ się głos Bel Iblisa. - Wszystko w porządku, wracajcie do domu. - Potwierdzam. Ruszamy w drogę - odparł Wedge i schował urządzenie.

- Można spytać, co to znaczyło? - zaciekawiała się Moranda.

- Że powinniśmy stąd odlecieć, i to zaraz. - Wedge nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Wygodne - warknęła. - A generator?

- Mówi się trudno, Bothanie muszą sami sobie poradzić - Wedge wysypał na blat kilka monet i dopił swego drinka. - Przepraszamy, ale skierowano nas tu tylko czasowo. - Rozumiem - skrzywiła się kwaśno. - Zabawnie było, szkoda, że tak krótko.

- Powinnaś zawiadomić o wszystkim tutejszą służbę bezpieczeństwa - zaproponował Wedge, wstając. - I nasłać ich na naszych handlarzy zwierząt.

- Dobra, dobra - Moranda machnęła ręką. - Udanego polowania. - Dzięki, Chodź Corran.

- Moment - Horn nie ruszył się z miejsca, przyglądając się Morandzie. - Chciałbym wiedzieć, co zamierzasz zrobić. - Nic mi nie będzie. Idźcie już sobie, sio!

- Inaczej mówiąc, nadal będziesz się zajmowała tym, co dotąd robiliśmy razem? - Doskonale - uniosła teatralnie brwi. - W CorSecu jednak czegoś uczą.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie - zauważył Wedge i również usiadł. - Zawiadomisz bezpiekę?

- I co im powiem? - spytała spokojnie. - Nie mamy śladu dowodu, a co gorsza, oni już sprawdzili tych dwóch i wpuścili ich do najlepiej strzeżonego budynku w mieście. - Więc co zrobisz? Zostałaś sama - nie ustępował Wedge.

- Nie raz byłam sama - Moranda zacisnęła usta. - Dostałam zadanie: mam pilnować, żeby Zemście nie udał się sabotaż tarczy na Bothawui.

- To nie jest najlepszy pomysł - Corran potrząsnął głową. - Jeśli, jak podejrzewamy, Zemście pomaga Imperium albo Zemsta to właśnie Imperium...

- A wy gdzie lecicie? - przerwała mu. - Na plażę Berchest? Założę się o każdą kwotę, że tam, gdzie się udajecie, będzie znacznie niebezpieczniej niż tutaj. - Moranda... - zaczął Wedge.

- Poza tym nie macie czasu na kłótnie - przerwała mu energiczniej. - Jeśli dobrze zgaduję, kim jest tatuś, to nie będzie zachwycony waszym spóźnieniem. Ruszajcie i dzięki za wszystkie drinki.

Wedge wstał z ociąganiem - Moranda miała rację, a w dodatku była bardziej niż pełnoletnia i miała

pełne prawo decydować o własnym postępowaniu. Co nie znaczyło, że muszą mu się te decyzje podobać.

- Chodź, Corran - powiedział cicho. - A ty... uważaj na siebie, Morando.

- Wy też. I nie bójcie się o mnie: zamierzam dożyć sędziwego wieku.

# R O Z D Z I A Ł 2 6

Mara powoli odzyskiwała przytomność. Najpierw poczuła dziwny, ale przyjemny aromat... - Dzień dobry - rozległ się głos Luke'a. Podskoczyła i natychmiast ocknęła się do reszty.

I jeszcze szybciej tego pożałowała. Zaledwie bowiem otworzyła oczy, zdała sobie sprawę z bolesnego mrowienia w całym ciele, od stóp po czubki włosów. - Auu! Z półmroku wyłoniła się zatroskana twarz Luke'a.

- Nadal boli cię ramię? - spytał z niepokojem.

Mara zmarszczyła brwi, mrugając gwałtownie i przypominając sobie ostatnie wydarzenia, łącznie z odniesioną poważną raną ramienia... Przekręciła głowę i zmusiła do wysiłku jeszcze niezupełnie sprawnie działające oczy, żeby przyjrzeć się spalonemu kombinezonowi. A także widocznej przez wypaloną dziurę gładkiej skórze bez blizny. - Nie - wykrztusiła, nadal nie bardzo wierząc w to co widzi. - Ramię jest w porządku, tylko... aha, twój uzdrawiający trans.

- Nie martw się, bezpośrednio po obudzeniu zawsze jest się trochę oszołomionym. - Nie martwię się - poruszyła ramieniem, i spróbowała zignorować kolejną falę mrowienia, jaką mięśnie zareagowały na ten eksces.

Jakąś cząstką świadomości zarejestrowała, że Luke złapał ją pod ramiona i pomógł usiąść.

- Mówiłeś, że jest rano? - spytała, koncentrując się z wysiłkiem.

- Prawdę mówiąc, jest popołudnie - przyznał. - Ale Han kiedyś mi powiedział, że dla każdego budzącego się, niezależnie od realnej pory dnia, jest właśnie rano i dlatego powiedziałem ci „dzień dobry”.

- To faktycznie do niego podobne, zawsze miał beztroskie podejście do życia. Ile czasu, obiektywnego czasu, leżałam bez przytomności? - Pięć dni.

- Aha - teraz reakcja protestujących przeciwko każdemu ruchowi mięśni nabrała sensu: po pięciu dniach bezczynności miały prawo narzekać. - Jestem pod wrażeniem. Wątpię, żeby nawet bacta zdołała tak szybko zaleczyć tę ranę.

- Masz silne predyspozycje do używania Mocy, co bardzo pomaga w leczeniu.

- I koniecznie muszę się tego nauczyć - oświadczyła, rozglądając się w poszukiwaniu źródła owego

dziwnego, a nadal obecnego aromatu.

- To jakiś ptak - wyjaśnił. - Pieczony. Prezent na dzień dobry od Qom Jha.

- Tak? - Mara wstała, w związku z czym mrowienie skoncentrowało się w nogach, zmuszając ją do przestępowania z jednej na drugą. - Co im się stało i skąd masz płytkę? - Wysłałem Dotrzymującego Obietnic do twojego Defendera po resztę pakietu ratunkowego. Wolałbym co prawda drugą część tego, który sam przywiozłem, bo jest bardziej kompletny, ale nie są zbyt chętni do wylatywania na zewnątrz.

- I kto by się tego spodziewał po rasie zjadającej żywcem ogniaki - mruknęła, siadając powoli i dostojnie koło pieczystego. - Dziwnie selektywna ostrożność. - To trochę bardziej skomplikowane. - Luke usiadł obok i wskazał na ptaka. - A prezencik wziął się stąd, że doszli do wniosku, iż tam na górze uratowałaś im życie. - Pojęcia nie mam, jak na to wpadli - oświadczyła, oddzierając część pieczystego. - Przecież strzelano do nas, a nie do nich.

- Właśnie w tej kwestii brak nam pewności. Rozbijacz Kamieni uważa, że było dokładnie na odwrót, dopóki nie zaczęłaś odpowiadać ogniem. Sprawdziłem moje wspomnienia z bitwy i jestem skłonny przyznać mu rację.

Mara ostrożnie ugryzła trzymane mięso - było nieco przepieczzone od zbyt długiego przygotowywania, ale dobre, a zresztą jej rozbudzony żołądek kategorycznie domagał się jedzenia, przypominając, że po pięciu dniach diety nie życzy sobie wybrzydzenia. Toteż energicznie wzięła się za jego napełnienie.

- Ciekawe - przyznała - choć nie bardzo wiem, co z tego wynika. Do kogo by nie strzelali, pozostaje faktem, że nie przepadają za obcymi.

- Może, ale niekoniecznie. Nie zastanowiło cię nigdy, dlaczego nie przeszukali jaskiń w czasie, gdy byłaś nieprzytomna na własną prośbę? - A jesteś pewien, że nie próbowali?

- Qom Jha twierdzą, że nie. Kilkakrotnie przelecieli nad okolicą, ale nie przeszukali nawet terenu w pobliżu jaskiń. Dziecko Wiatrów to potwierdził.

Mara skoncentrowała się na zuciu, woląc nie przypominać, że Dziecko Wiatru nie jest najbardziej wiarygodnym źródłem informacji w okolicy.

- Dobra, załóżmy, że gospodarze stracili zainteresowanie mną. Do czego nas to prowadzi?

- Jeśli rzeczywiście stracili zainteresowanie, to nie wiem - przyznał Luke. Natomiast jeżeli nie stracili, to tylko czekają, żebyś sama znalazła drogę do twierdzy? Mara przełknęła i ugryzła następny kawałek, pogrążona w niewesołych myślach. O ile Luke miał rację, to do rozważenia pozostało jedynie coś, czego dotąd wołała nie brać pod uwagę...

- Nie wiem, czy Talon ci powiedział, ale ten system znaleźliśmy śledząc wektory nadprzestrzenne

ucieczki obu ich maszyn i wyznaczając punkt ich przelot. Zakładałam, że nie wiedzą, iż mamy możliwość odczytania takiego wektora w ciągu paru mikrosekund po skoku w nadświetlną, ale teraz nie jestem taka pewna... - Uważasz, że mogli chcieć cię tu sprowadzić?

- To by nawet nieźle pasowało do braku poszukiwań po moim lądowaniu, prawda? Natomiast nie wyjaśnia, dlaczego próbowali zestrzelić ciebie.

- Może wolą przyjmować gości pojedynczo - uśmiechnął się Luke. - A może nie chcą gadać z nikim z Nowej Republiki, dopóki nie porozmawiają z tobą.

Mara przyjrzała mu się uważniej, odbierając nagłą zmianę w jego uczuciach.

- Właśnie to wymyśliłeś, czy ma to coś wspólnego z Mocą? spytała zaciekawiona. Potrząsnął przecząco głową, wpatrując się w pustkę.

- Nie jestem pewien, ale mam przeczucie... nieważne.

- Co nieważne? - zapytała tym razem podejrzliwie, próbując go wysondować. - Dalej, nie mamy czasu na zabawy.

- Mam przeczucie, że to z tobą chcą się spotkać - przyznał niechętnie. - Konkretnie z Marą Jade.

- Czuję się zaszczycona - prychnęła zirytowana, unosząc brwi. - Widzę, że zdobywam wielbicieli, jak galaktyka długa i szeroka.

- Zjadacz Ogniaków mówił, że słyszeli, jak Zagrożający rozmawiali właśnie o tobie - przypomniał Luke. - Chciałbym wiedzieć, w jakim kontekście...

Od strony schodów nadleciał jeden z Qom Jha i musiał coś powiedzieć, gdyż Luke odrzekł:

- Dzięki. Sprawdź, czy Dotrzymujący Obietnic ma jakieś wiadomości.

Qom Jha odleciał w dół schodów.

-Patrolują górne rejony schodów i nasłuchują pod drzwiami - wyjaśnił Luke. - Na górnych piętrach rano coś się działo, ale od paru godzin panuje tam spokój i cisza. - Mhm - mruknęła, kończąc piecyste: ci cholerni Qom Jha ze swoją niezrozumiałą gadaniną... - Co się stało? - zaniepokoił się Luke. Przyjrzała mu się nieżyczliwie i stwierdziła:

- Wiesz, jak jesteś w pobliżu, to człowiek ma problemy z zachowaniem swoich myśli tylko dla siebie!

- Dziwne - Luke uśmiechnął się niewinnie. - Całkiem dobrze pamiętam, że nie tak dawno nie mogłaś się wprost doczekać, żeby wybranymi się ze mną podzielić. - No proszę, najwyraźniej wspomnienia



starych błędów zaczynają być radosne. - Radosne nie - Luke spowaźniał. - Ale kształcące. Uczę się z nimi żyć i uczę się na nich. A przez ostatnie pięć dni miałem dużo czasu na rozmyślanie. - I doszedłeś do jakichś konkretnych wniosków?

- Wiem, dlaczego nie przeszłaś na Ciemną Stronę - powiedział spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. - I wiem, dlaczego nie możesz w pełni korzystać z Mocy. - Zamieniam się w słuch - usiadła wygodniej, opierając się o ścianę.

- Nie przeszłaś na Ciemną Stronę, ponieważ podczas całej służby u Imperatora wykonywałaś jego rozkazy, a nie własne pragnienia, a służenie innym to podstawa bycia Jedi. Mara zastanowiła się dłuższą chwilę.

- Nie zgadzam się - powiedziała w końcu. - Służenie złu jest także złem. Ty zaś właśnie sprowadzasz wszystko do zasady, że jeśli robisz coś złego, ale z dobrych pobudek, przestaje to być złem. A takie twierdzenie jest nonsensem.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, ale wcale tego nie powiedziałem. Spora część twego postępowania była zła i tego nie kwestionuję, lecz nie robiłaś niczego ani dla władzy, ani dla pieniędzy, a jedynie wykonując rozkazy Palpatine'a. Złe były wyłącznie twoje czyny, a nie ich motywacja i dlatego nie spowodowały przejścia na Ciemną Stronę. Bo przechodzi się tam nie z powodu uczynków, tylko ich motywacji.

- Rozumiem - przyznała po chwili. - Ale nadal mi się to nie podoba.

- Prawdę mówiąc, twoja sytuacja przypomina sytuację Jensaarai, na których natknęliśmy się z Corranem na Susevfi. Nie wiedzieli, jak stać się Jedi, ale służyli najlepiej jak potrafili.

- I przy okazji tak skrzywili całą ideę, że straciłeś parę lat, żeby ich wyprowadzić na właściwą drogę - przypomniała mu rzeczowo. - Ale im przynajmniej pozostał utrwalony w pamięci wzorzec do naśladowania, ten jak-mu-tam Jedi.

- Nikkos Tyris - uzupełnił Luke. - Co mi nasuwa całkiem interesującą myśl... może ty także miałaś jakiś wzorzec postępowania.

- Zapomnij. Na całym dworze Palpatine'a nie było nikogo, kogo można by podejrzewać choćby o resztki moralności czy jakichkolwiek cnót.

- W takim razie mógł to być ktoś, kogo znałaś w dzieciństwie, nim zabrano cię na Coruscant. Twoi rodzice albo bliski przyjaciel rodziny.

Mara skończyła ogryzać wszystko co się jeszcze dało obgryźć i wyrzuciła resztki do kąta.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi - oceniła rzeczowo, wycierając dłonie o nogawki kombinezonu. - Wróćmy do spraw bieżących. Gdzie położyłeś mój miotacz? Luke nawet nie drgnął.

- Wiem, że niewiele pamiętasz z dzieciństwa - powiedział cicho. - I wiem, jak to jest. - Dzięki - warknęła. - Od razu lepiej się czuję. - Chciałabyś odzyskać te wspomnienia?

Przyjrzała mu się ze zmarszczonymi brwiami, pełna mieszanych uczuć, których nawet nie próbowała ukryć. - Co masz na myśli? - spytała ostrożnie.

- Istnieją pewne techniki, które Jedi może wykorzystać do odzyskania utraconych wspomnień. A ty możesz zostać prawdziwym Rycerzem Jedi. I to potężnym Jedi. - Pewnie. Wystarczy, że zadeklaruję gotowość służenia całej galaktyce hurtem na wagę, tak? Wyczuła, że ta złośliwość go zaskoczyła.

- Czego się obawiasz? - zdziwił się. - Całe życie służyłaś, choć przyznaję, że to głupie określenie i nie bardzo oddające sens... współpracowałaś z ludźmi albo pracowałaś dla nich: dla Palpatine'a, Karrde'a, Leii, Hana czy dla mnie. A kiedy już stawałaś się wobec kogoś lojalna, nie zmieniałaś zdania, więc możesz to zrobić. Wiem, że możesz.

Mara zacisnęła pięści, na wpół zdecydowana, by zamknąć temat raz na zawsze, ale zdawała sobie sprawę, że Luke zasługuje na odpowiedź.

- Nie jestem w stanie zrobić tego w ciemno - powiedziała. - Pewnie, że potrafię być lojalna, lecz tylko w stosunku do tych, których wybiorę. Nie zamierzam otwierać się przed pierwszym lepszym z ulicy i nie poczuwam się do lojalności wobec kogoś takiego, z tego prostego powodu, że jego los nie mnie nie obchodzi. A na dodatek pamiętam, że ostatni krok do zostania Jedi zwykle wymaga jakiegoś nadzwyczajnego i z reguły niemiłego osobistego poświęcenia. Muszę przyznać, że na to też nie mam specjalnej ochoty.

- Nie zawsze jest tak źle, jak się wydaje - odparł, ale i bez trudu wyczuła falę niemiłych wspomnień, które temu towarzyszyły. - Tuż przed śmiercią Yoda powiedział mi, że zanim stanę się prawdziwym Rycerzem Jedi, muszę ponownie spotkać się z Vaderem. Wyciągnąłem z tego błędny wniosek, że albo będę musiał go zabić, albo on bije mnie. Okazało się, iż nic podobnego nie nastąpiło.

- Ale byłeś na to przygotowany, gdyby zaszła konieczność, dziękuję, mnie to nie interesuje.

- W takim razie automatycznie ograniczasz swoje możliwości. Jeżeli nie zechcesz się zaangażować...

- Co proszę? Ty mi będziesz opowiadał o zaangażowaniu?! A Callista, Gaeriel czy którakolwiek inna ze sporej grupy, z jaką miałeś kontakty przez ostatnie dziesięć lat? Angażowałaś się jak cholera!

Gniew Luke'a był tak niespodziewany i silny, że fizycznie przygwoździł ją do ściany. - Tak? A Lando? - warknął.

Przez długą chwilę mierzyli się mało życzliwym wzrokiem. Mara przygotowała się odruchowo na kolejny wybuch gniewu, dobrze pamiętając opowieści o nie kontrolowanych napadach złości u Jedi. Spotkała ją jednak kolejna niespodzianka - Luke wcale się nie wściekł, tylko zawstydził, co wyczuła wyraźnie, bo nawet nie próbował blokować swoich emocji.

- Przepraszam - powiedział, spuszczać wzrok. - To było głupie i niepotrzebne. - To ja powinnam cię przeprosić - spróbowała ukryć swoje poczucie winy, ale wiedziała, że nie całkiem jej się udało.
- Wiem, co do nich czułeś i co się stało z tymi kobietami. Przepraszam.
  
- W porządku. To, co je spotkało, wydarzyło się prawdopodobnie częściowo z mojej winy... może nawet w większej części... to ja byłem skażony przez Ciemną Stronę, nie one.
  
- Człowiek uczy się na błędach, jeśli tylko zdaje sobie z nich sprawę. Potem zaś robi to, co uważa za rozsądne, bo nie można w ogóle nic nie robić. A ty właśnie osiągnąłeś ten drugi etap.
  
- Być może - wstał, nadal na nią nie patrząc. - A skoro mowa o robieniu czegoś w sensie fizycznym, masz całkowitą rację. Kiedy spałaś, Qom Jha dokonali pewnych pomiarów, z których wynika, że górny wylot tego przejścia znajduje się na jednym z trzech najwyższych pięter. Proponuję sprawdzić, co tam jest.
  
- Za chwilę. - Mara postanowiła złamać daną sobie obietnicę, wychodząc z założenia, że Luke właściwie zadał to pytanie, choć nie w taki sposób, jakiego oczekiwała. - Chcesz wiedzieć, co było między mną a Calrissianem, tak? Na szyi Luke'a coś drgnęło nerwowo.
  
- W porządku - powiedział, siląc się na spokój. - To naprawdę nie moja sprawa. - A ja uważam, że także twoja - wstała, by móc mu spojrzeć w oczy. - Między nim a mną nie było absolutnie nic. - Mogłabyś to wyjaśnić? - spytał podejrzliwie.
  
- Nie ma czego wyjaśniać. Po prostu kiedyś Talon chciał, żebym wykonała dla niego pewne ważne zadanie, a Lando wprosił się do wzięcia w nim udziału, ponieważ dostarczył coś, od czego wszystko się zaczęło. Prywatne aspekty całej sprawy nie istniały, choć Lando miał nadzieję, że to się zmieni. A pozory związku stanowiły wręcz idealny parawan dla naszych prawdziwych działań. - Mogłaś mi powiedzieć.
  
- Mogłeś mnie zapytać. Nigdy nie dałeś po sobie poznać, że cię to interesuje.
  
- Luke skrzywił się i w jego doznaniach poprzednią ciekawość, z którą delikatnie próbował wysondować, czy Mara mówi prawdę, zastąpiło zawstydzenie. - Właśnie, prawda? - mruknął.
  
- A tak na marginesie, właściwie wszystko zaczęło się od ciebie. Pamiętasz przywoływacz, który znalazłeś na Dagobah i przywiozłeś na Nklon, żeby pokazać Landowi?
  
- Owszem. - Luke ożywił się. - Parę dni temu właśnie o nim myślałem i sam się zastanawiałem, dlaczego.
  
- Oddziaływanie Mocy - stwierdziła rzeczowo Mara. - Okazało się, że urządzenie należało do kogoś, kogo przed laty Talon dobrze znał i kto później zniknął. Nazywał się Jorj Car'das, słyszałeś może o nim kiedykolwiek? -Nie.

- Niewielu słyszało i dlatego cała sprawa stanowiła tym większe wyzwanie. Zaczęliśmy od przywoływacza i zamierzaliśmy wyśledzić, gdzie zaszły się Car'das. Lando wyczuł korzyści, a poza tym miał nadzieję mnie poderwać, więc wziął udział w poszukiwaniach.

-Wyjątkowo długotrwałych - dodał Luke. - Opowieści o was...

- Poszukiwania trwały parę lat - przerwała mu Mara. - Naturalnie mieliśmy też i inne zajęcia, więc sprawa się przeciągała. Możesz mi nie wierzyć, ale aspekt romantyczny doprowadzał mnie do szału, zwłaszcza że Lando przez cały czas doskonale się bawił. Talonowi jednak bardzo zależało na odszukaniu tego kogoś, więc robiłam co tylko mogłam. Jak powiedziałeś: lojalność. Choć czasami sytuacje były bardziej śmieszne niż denerwujące. Pewnego razu spędziliśmy cały tydzień na M'haeli, bo Lando usiłował wyciągnąć od wicebarona Sukariana potrzebne nam informacje, co można było osiągnąć jedynie biorąc go na wspominki. Musiałam grać słodką idiotkę, która posiada wyłącznie walory dekoracyjno-widowiskowe, ponieważ tylko ten rodzaj kobiet nie wzbudzał Podejrzeń Sukariana i tak uzyskałam niezbędną swobodę ruchu. Han złapał mnie któregoś wieczoru dalekodystansowym połączeniem, a ponieważ Sukarian miał zwyczaj łączyć się z nami w środku nocy, zareagowałam odruchowo. Nigdy potem nie zebrałam się na odwagę, żeby spytać Hana, jakie były jego wrażenia z tej rozmowy.

- Nie sądzę, żeby radykalnie wpłynęły na jego opinię o tobie -uśmiechnął się Luke z dziwną mieszaniną uznania, galanterii i zawstydzenia. - Za to wątpię, by Sukarian mógł poprawić swoją...

- O niego sama się zatroszczyłam - zapewniła go z uśmiechem. - Podczas jego wieczornych wizyt, osobistych czy holograficznych, przeważnie nosiłam którąś z koszul Calrissiana. Jedną z nich zostawiłam na drzwiach sejfu wicebarona po tym, jak go otworzyłam i wybebeszyłam.

Luke uśmiechnął się-jeszcze nieco nieśmiało, ale już szczerze, co Mara uznała za spory sukces. - Musiał mieć niezłą minę - przyznał.

- Żałuję, że jej nie widziałam...

- Tak... - Luke zmusił się do powrotu myślami do rzeczywistości, a Mara bez trudu to wyczuła. - Ale mamy tu coś do zrobienia, a schody są długie i strome. Proponuję, żebyśmy się spakowali i wyruszyli.

Tak jak Luke przewidział na podstawie wiadomości uzyskanych od Qom Jha, była to długa wspinaczka. Prawie tak długa, jak od tunelu do pierwszych drzwi. A ponieważ mięśnie Mary nie funkcjonowały jeszcze dość sprawnie po pięciodniowej bezczynności, Luke sam zajmował się przenoszeniem Artoo i reszty sprzętu. Powinien to odbierać jako spory kłopot i obciążenie, ale ku jego zaskoczeniu tak się nie stało.

I wcale nie potrzebował wybitnych zdolności Jedi, żeby zrozumieć, dlaczego.

Bariera, którą dawno temu ustawił między sobą a Marą zniknęła, a najdziwniejsze było to, że dotąd w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Co więcej, uważał nawet, że osiągnęli stan pełnego zrozumienia. Mylił się, i to bardzo.

Luke miał już dość bliski kontakt z innymi osobami przy rozmaitych okazjach, lecz nigdy aż tak intensywny, jak teraz z Marą-jej emocje i myśli zdawały się go opływać, a ich poziom i intensywność zależały tylko od niej. W identyczny sposób przepływały również w drugą stronę i w efekcie powstała między obojgiem nowa więź, pogłębiająca starą znajomość i zażyłość. Było to uczucie równocześnie wspaniałe i napawające obawą, i dopiero dziś Luke zdał sobie sprawę, czego dotąd nie miał okazji zaznać. Znając teraz dokładnie stan fizyczny Mary narzucił takie tempo, żeby jej nie zmęczyć, a rozruszać. W rezultacie częstotliwość przerw irytowała ją tylko nieco mniej niż Qom Jha, ale po godzinie dotarła do drzwi gotowa do dalszej akcji.

- Plan jest taki - wyjaśnił, sprawdzając okolicę przy użyciu Mocy. Ustalił, że w pobliżu nikogo nie ma. - Zostawimy tu Artoo i Qom Jha, i dokonamy małego zwiadu. - Brzmi rozsądnie - przyznała. Sprawdziła miotacz i z trudem opanowała odruchowy protest przeciwko powrotowi w rejony, w których została postrzelona. Luke miał podobne problemy, kiedy pierwszy raz wracał do Miasta w Chmurach. - Może zostawimy im jeden komlink? - zaproponowała.

- Możemy - Luke wyjął swój i włożył w manipulator Artoo. - Tylko nie zapomnij go wyłączyć.

Artoo gwizdnął z oburzeniem, wyświetlając na ekranie średnio cenzuralną odpowiedź. - Wiem - zapewnił go Luke. - Żartowałem.

- Chyba nie rozumiem, prawda? - spytała podejrzanie spokojnie Mara.

- Prywatny żart: wyłączenie komlinku w krytycznych momentach to specjalność Threepio. Jesteś gotowa?

- Gotowa - odparła, używając Mocy, żeby uspokoić się do reszty. - Idziemy.

Ukryte drzwi otworzyły się równie cicho, jak poprzednio i Luke wyszedł jako pierwszy. Mara poszła za nim, zamykając za sobą drzwi.

- No proszę - szepnęła. - Wygląda dokładnie tak jak forteca na Hijarnie.

Luke rozejrzał się wokół i przytaknął - znajdowali się w przestronnej komnacie, pełnej krótkich ścianek działowych rozrzuconych raczej przypadkowo i łączących podłogę z w miarę niskim sufitem. Lśniące powierzchnie ścian, uchwyty oświetleniowe i starannie ułożona posadzka zniknęły, ustępując miejsca surowym ścianom z czarnego kamienia.

- Nasi przyjaciele z dolnych poziomów chyba od dawna nie używali tego pomieszczenia - ocenił Luke. - Ciekaw jestem, dlaczego.

Mara odeszła tymczasem parę kroków w bok i wskazała za najbliższe przepierzenie:

- Tu masz odpowiedź. Proponuję obejrzeć ją z bliska - i zniknęła za murkiem.

Luke, idąc w jej ślady, najpierw poczuł łagodny przepływ powietrza, a po chwili zauważył wyraźną szczelinę w przeciwległej ścianie pomieszczenia. Przez to pęknięcie czy raczej rozcięcie prześwitywało niebo.

- Uboczne efekty bitwy, która zniszczyła wieżę - oceniła Mara, podchodząc do całkiem sporego ubytku w ścianie. - Uważaj - ostrzegł ją odruchowo i niepotrzebnie.

- Wiem, wiem. - Wyjrzała ostrożnie. - Miałam rację. Tam jest to, co z niej zostało. Luke podszedł do niej i też wyjrzał.

Zobaczył wielką połąć zaokrąglonego dachu, opadającego dość stromo ku widocznej z lewej strony, oddalonej o mniej więcej osiemdziesiąt metrów wieży, a raczej jej pozostałości. Słońce i duża odległość utrudniały rozpoznanie detali, ale nie ulegało wątpliwości, że poszarpany szczyt wieży miał stopione krawędzie.

- I mówisz, że ten kamień pochłania energię? - spytał cicho Luke.

- Jak wysuszona gąbka - potwierdziła poważnie. - Ktokolwiek zbudował to miejsce, musiał obawiać się naprawdę groźnych przeciwników.

- Miejmy nadzieję, że zadowolili się zniszczeniem tej wieży i odlecieli na dobre. - Luke obejrzał starannie resztę dachu.

W takiej samej odległości po prawej stronie stała druga wieża, tym razem nie uszkodzona: miała dobre dziewięćdziesiąt metrów wysokości i wieńczył ją krąg stanowisk artyleryjskich. Przeciwny koniec dachu znajdował się o prawie dwieście metrów od miejsca, w którym stał Luke. Dwie jakby przybudówki po jego zewnętrznej stronie musiały być wartowniami przy głównej bramie, gdyż poniżej widać było gładką powierzchnię drogi biegnącej po poszarpanym zboczu. W centrum fortyfikacji stała ponad trzydziestometrowej długości konstrukcja o płaskim dachu, dotykającym tego spadzistego, która wyglądała na klinową dobudówkę z późniejszego okresu.

- Na płaskim dachu jest lądowisko - wskazała Mara. - Jak się dokładniej przyjrzysz, zobaczysz oznakowanie.

Oznaczenia nie rzucały się specjalnie w oczy, ale jeśli wiedziało się, gdzie ich szukać, bez trudu dało się je dostrzec.

- Prawdopodobnie są podświetlone - ocenił. - Światła włączają, jeśli nadlatuje swój.

- A na nieproszonych gości mają turbolasery na wieży - dodała i precyzyjnie się przez wyłom w

ścianie.

Zatrzymała się po paru krokach, spoglądając w kierunku lądowiska.

- Wygląda na to, że tam pod dachem nie ma przedniej ściany - oświadczyła. - To może być hangar, bardzo przydatny dla nas, gdybyśmy zostali zauważeni zbyt daleko od wyjścia. - Odwróciła się i zamarła. - Noo... - mruknęła po chwili, patrząc w górę. - Chodź, zobaczysz coś ciekawego.

Luke przepchnął się na zewnątrz, podszedł do niej i odwrócił się.

Nad pomieszczeniem, z którego wyszedł, wznosiła się kolejna wieża. A dalej w lewo, wzdłuż krzywizny dachu, stały trzy następne, bliźniaczo do niej podobne. Nawet z tak ściętej perspektywy Luke bez trudu zauważył, że cztery znajdujące się z tyłu wieże są masywniejsze i o dobre dwadzieścia metrów wyższe niż ta, która stała poniżej nich. I na wszystkich również ulokowano podobnie rozmieszczone stanowiska artyleryjskie.

- W czasach świetności to miejsce musiało sprawiać naprawdę imponujące wrażenie. - Głos Mary był opanowany, ale Luke bez trudu wyczuł, że niepokoi się nie mniej niż on sam. - Podobnie jak to na Hijarnie. Chciałabym wiedzieć, co takiego miały chronić.

- Albo przed czym atakiem - dodał, rozglądając się wokół. - Wracajmy do środka i znajdziemy drogę na niższe poziomy.

Drogę znaleźli bez trudu za jedną ze ścianek działowych - nieco spiralną rampę, mniejszą od poprzedniej i nieruchomą.

- Albo uszkodzona, albo wyłączona, bo nie używana - oceniła Mara. - Piętro pod nami nie sprawia wrażenia zamieszkanego.

- Cały ten rejon wygląda na opuszczony - dodał Luke, gdy zaczęli schodzić. - A biorąc pod uwagę kształt dachu, im niżej, tym jest więcej miejsca. Musieli przenieść się dalej od uszkodzonych poziomów, a równocześnie tam, gdzie mają nieco wygodniej. - Sensowne. Proponuję schodzić, aż znajdziemy ruchomą pochylnię; powinien to być albo najwyższy z używanych poziomów, albo najbliżej niego położony. Rzeczywiście, na każdym mijanym poziomie pomieszczenia były coraz obszerniejsze. Ściany działowe nadal sprawiały wrażenie rozmieszczonych przypadkowo, ale za każdym razem inaczej. Dopiero cztery piętra niżej Luke usłyszał delikatny szum pracujących urządzeń.

- Chyba dotarliśmy - mruknął, zmieniając chwyt na rękojeści miecza i przeszukując okolicę zmysłami wzmocnionymi Mocą. W pobliżu nadal nie było nikogo.

- Sądząc po dźwięku, to chyba działająca rampa - uznała Mara. - Poszukamy?

- Pójdę pierwszy - zdecydował Luke i ruszył, ignorując jej milczącą irytację.

Mogła sobie uważać jego postępowanie za nadopiekuńczość, ale po dotychczasowych doświadczeniach wolał zbytnią ostrożność od kolejnej wielodniowej sesji leczniczej.

Na tym poziomie było znacznie mniej ścianek działowych, toteż zza każdej roztaczał się widok na spory fragment pomieszczenia. Za kolejną, zza której ostrożnie wyjrzał, dostrzegł poruszającą się spiralę pochylni. - Jesteśmy - szepnął. - Teraz naprawdę...

Usłyszał jej psychiczne wezwanie, lecz nie dokładnie za sobą, tylko nieco z boku - kiedy się odwrócił, dostrzegł ją za inną ścianką, o dwadzieścia metrów w lewo. Widząc, że ją wypatrzył, Mara przywołała go niecierpliwym i gwałtownym gestem, wraz z falą niezbyt miłych uczuć... Dotarł do niej w parę sekund.

- Co się stało? - syknął zaniepokojony.

- Spójrz tam - wskazała za krawędź ściany, przy której stali.

Znajdowało się tam obszerne pomieszczenie, stanowiące centrum dowodzenia, choć obecnie nie używane, jak wszystko wokół. Dwa półkola konsol i ekranów mrugały światłkami i wykresami, a nieco z boku stał, na mniej więcej metrowym podwyższeniu, fotel otoczony mniejszymi ekranami i wyposażony we własny pulpit sterowniczy. Natomiast na samym środku rzucało się w oczy coś, na widok czego Luke poczuł nieprzyjemny chłód, spowodowany niemiłymi wspomnieniami - holomapa galaktyki. Widniały na niej, zaznaczone różnymi kolorami, sektory wchodzące w skład Nowej Republiki i Imperium oraz inne znane rejony, nie podlegające nikomu. Cała ta wielobarwna mozaika obejmowała nieco ponad czwartą część potężnej spirali, przechodząc w neutralną biel od pogranicza Zewnętrznych Odległych Rubieży i Nieznanych Terytoriów.

Był to duplikat mapy holograficznej znajdującej się w sali tronowej Imperatora wewnątrz góry Tantiss.

Luke z trudem oderwał od niej wzrok, przyglądając się uważniej reszcie sprzętu. Konsoly były niewątpliwie imperialne - identyczne stanowiły standardowe wyposażenie każdego niszczyciela - podobnie jak stojące przed nimi fotele. Wygodniejszy fotel ustawiony na podwyższeniu, również był imperialnej produkcji, tyle że już nie seryjnej, ponieważ był to fotel admirałski. Taki, jakiego używał wielki admirał Thrawn. - Myślę, że znaleźliśmy brakujące ogniwo łączące ich z Imperium - powiedział cicho. - Wygląda na to, że Palpatine miał swój udział w meblowaniu tego miejsca. Mara stanęła obok i potrzęsnęła głową.

- Nie zauważyłeś najważniejszego - oznajmiła. - Przyjrzyj się mapie. Tylko naprawdę uważnie!

Luke zmarszczył brwi, ale podporządkował się. Dopiero po parunastu sekundach dostrzegł to, o czym mówiła, ale za to wrażenie było piorunujące. Bo i powód okazał się niecodzienny.

Na skraju Nieznanych Terytoriów, tam gdzie mapa z wnętrza góry Tantiss pokazywała jedynie biel i gwiazdy, tu zaznaczono kolorem cały duży region. Naprawdę duży region.



- Zabawne - powiedziała Mara, nadal targana sprzecznymi uczuciami. - Wiesz, on został wygnany z dworu Imperatora. Po prostu go wyrzucono. - Kto?!

- Wielki admirał Thrawn. Źle wybrał w jednej z intryg, a na dworze Palpatine'a stale jakieś knuto i bez przerwy trwały wojny podjazdowe, i przegrał. Wszystkich innych wplątanych w tę sprawę zdegradowano lub uwięziono, a w najlepszym razie wysłano do najgorszych garnizonów w Zewnętrznych Odległych Rubieżach, ale nie jego. Dla tego niewdzięcznego obcego nawet najgorsze zadupie w znanej części galaktyki uznano za zbyt małą karę. Przecież przyjęto go do grona swoich, a w zamian odplacił im obelgą. Nie, dla niego wymyślono coś ekstra. - Wygnanie na Nieznane Terytoria?

- Obrazowo rzecz ujmując, Zewnętrzne Odległe Rubieże uważano za salę tortur, a Nieznane Terytoria wręcz za wybieg rancora. Uruchomiono wszystkie środki nacisku, dogadano się z kim trzeba i w końcu wsadzono go na pokład niszczyciela klasy Imperial i wysłano w podróż bez powrotu. A żeby go dodatkowo poniżyć, nazwano to „wyprawą kartograficzną”. Najlepszy strateg Imperium miał sporządzać mapy rejonu, który nikogo właściwie nie interesował, i to mając do dyspozycji jeden okręt! Za jednym zamachem zrujnował sobie karierę i życie. Założę się, że jego przeciwnicy przez całe lata cieszyli się, przypominając sobie, jak go wtedy załatwili.

- Chyba nie rozumiem twojej ironii - przyznał ostrożnie Luke.

- Oni też nie rozumieli i nigdy nie zrozumieli sedna tego dowcipu. - Mara spochmurniała. - O Imperatorze dałoby się powiedzieć różne złe rzeczy, ale nikt nie mógł uznać go za durnia. A tylko dureń postąpiłby w ten sposób z najlepszym oficerem flagowym, jakiego miał do dyspozycji. I intryganci nigdy się nie nauczyli, że Palpatine zawsze był o krok przed nimi we wszelkiego rodzaju zakulisowych rozgrywkach. A jeśli on ich wyprzedzał o krok, to strateg klasy Thrawna musiał wyprzedzać ich co najmniej o dwa.

- Twierdzisz, że obaj to zaplanowali? - Luke poczuł, że robi mu się zimno.

- Oczywiście, a tu masz najlepszy dowód. - Wskazała na mapę. - Zobacz, jak olbrzymi obszar zbadał i umożliwił jego wykorzystanie. Nie dokonał tego, mając jeden niszczyciel, bo to fizyczna niemożliwość, a więc Palpatine cały czas musiał mu wysyłać ludzi i okręty.

- Ależ to nie mogą być terytoria Imperium - zaprotestował

Luke. - No... nie mogą...

- Dlaczego? Przyznaję, że kolonii może tam być zaledwie kilka, ale założę się, że na całym obszarze są garnizony, centra wywiadu i nasłuchu. Najprawdopodobniej także sporo stoczni, a znając Thrawna, powstała również cała sieć sojuszy i przymierzy z tubylcami. I wszystko to należy albo do Imperium, albo do jego sojuszników. - Dlaczego więc Imperium nigdy nie skorzystało z tych terenów czy z ich potencjału? Zostało im osiem sektorów, Mara, tyle co nic!

- To oczywiste - odparła jeszcze ciszej. - Imperium nie wie o istnieniu tego regionu ani o jego możliwościach. Przez długą chwilą oboje milczeli.

Luke przyglądał się holomapie i powoli uświadamiał sobie konsekwencje tego, co widział. Obszar, o którym mówili, stanowił odpowiednik mniej więcej dwustu pięćdziesięciu sektorów, czyli ponad trzydzieści razy więcej niż obecnie liczyło Imperium. Zapewne podobnie zwielokrotniłaby się też jego potęga militarna. Gdyby taka siła znalazła się nagle w dyspozycji władz Imperium.

- Potrzebujemy więcej informacji - zdecydował, ruszając ku stanowiskom kontrolnym. - Sprawdźmy, czy jest tu jakieś gniazdo, do którego Artoo zdoła się podłączyć. Wtedy można byłoby zrzucić dane bezpośrednio z komputera.

- Ryzykowne - ostrzegła go Mara. - Baza danych stanowiska dowodzenia musi być starannie pilnowana i na pewno ma czułe systemy alarmowe. Spróbujesz się do niej włamać i nim się obejrzysz, spadnie nam na kark połowa tutejszego garnizonu. Luke stanął jak wryty-z przykrością musiał przyznać jej rację.

- No dobrze - odezwał się po chwili. - Jaki masz plan?

- Udać się do źródła. Zejdę i porozmawiam z nimi - dodała, biorąc głęboki oddech. Luke oniemiał z wrażenia.

- I ty nazywasz mój plan ryzykownym?! - wykrztusił. - A masz lepszy pomysł?

- Nie o to chodzi - warknął. - Jeśli już ktoś ma zejść, to z pewnością nie ty.

- Bzdura - skontrowała rzeczowo. - Po pierwsze: to do ciebie strzelali podczas podchodzenia do lądowania, nie do mnie. Po drugie: sam masz przecucie, że chcą się zobaczyć właśnie ze mną. Po trzecie: jeśli okaże się, że potrzebna jest pomoc, udzielisz jej znacznie skuteczniej ode mnie, bo więcej umiesz. Po czwarte... -uśmiechnęła się, odpięła od paska miecz i podała mu. - Mogą nie wiedzieć o moich zdolnościach posługiwania się Mocą, a to daje mi dodatkowe atuty w krytycznej sytuacji.

Luke zważył w dłoniach znajomą broń - był to jego własny miecz świetlny. Dostał go na Tatooine od Obi-Wana Kenobiego, jako pamiątkę po ojcu, a stracił wraz z prawą dłonią podczas pierwszego pojedynku z Vaderem w Mieście w Chmurach. Miecz znalazł się później w kolekcji Imperatora, a po odebraniu go Lukowi - klonowi wyhodowanemu przez Jorause Cbaotha, dał go Marze na dachu pałacu w Coruscant. Kiedy pierwszy raz go użył, był młodszy, mniej doświadczony i pewniejszy siebie niż Mara, ale mimo to...

- A ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest twoja nadopiekuńczość - przerwała mu rozmyślania z ostrzegawczym błyskiem w oczach. - Jakoś sobie radziłam przez tyle lat, więc chyba potrafię się o siebie troszczyć.

Luke spojrział jej prosto w oczy i z zaskoczeniem stwierdził, że zapomniał, jak są intensywnie zielone... choć może była to kwestia oświecenia.

- Nie przekonam cię? - spytał raczej retorycznie.

- Dopóki nie wymyślisz lepszego planu, mowy nie ma - odparła rzeczowo, podając mu komlink i miotacz wraz z kaburą przedramienną. - Zostawiam, bo i tak mi zabiorą przy pierwszej rewizji. Wezmę Blastecha, ponieważ gdybym się zjawiała zupełnie bez broni, staliby się podejrzliwi.

- Szkoda, że drugi komlink zostawiliśmy Artoo - przyznał Luke. - Słyszałbym waszą rozmowę.

- Za to możesz w razie potrzeby szybko wezwać Qom Jha. A poza tym, czy nie dasz rady śledzić mnie, używając Mocy?

- Mogę śledzić twoją obecność, wyczuć emocje i odebrać pewne obrazy, które będziesz widziała, ale nie jestem w stanie usłyszeć słów.

- Szkoda, że nie masz takich możliwości jak Palpatine: z nim porozumiewałam się telepatycznie z dowolnego miejsca - skomentowała i wyczuwając jego wyrzuty sumienia na wspomnienie kontaktów z Ciemną Stroną dodała - żartowałam. Słuchaj, spróbuj wyciągnąć z mojego umysłu, ile tylko zdołasz. Dokładny raport zdam ci po powrocie. - Dobra, ale bądź ostrożna.

- Nic mi nie będzie - odparła, ujmując jego dłoń i lekko ją ściskając, ku kompletnemu zaskoczeniu Luke'a. - Do zobaczenia. I skierowała się ku spiralnej rampie.

Luke westchnął, podszedł do najbliższego narożnika i przykucnął, opierając się o niego plecami. Zamknął oczy, skoncentrował się i sięgnął po Moc. Parokrotnie już, jak choćby na Dagobah czy Tierfon, zdołał dzięki temu zobaczyć przyszłość; teraz zogniskował tę zdolność na teraźniejszości i na określonej osobie, mając nadzieję, że uda mu się obserwować, co się z nią dzieje.

Do pewnego stopnia nawet mu się udało - obraz Mary i tego co ją otaczało był niewyraźny i nieco zamglony przez jej odczucia. Zdradzał też tendencję do falowania i metamorfozy, jak niemal wszystkie wizje Jedi, ale korzystając z umysłu Mary jako punktu odniesienia, Luke był w stanie sprowadzać go z powrotem do zrozumiałych obrazów, przedstawiających rzeczywistość. Wprawdzie daleko odbiegało to od ideału, lecz przynajmniej pozwalało śledzić wydarzenia.

Mara zjechała już o dwa poziomy niżej, nie kryjąc się i nie czując żadnego zagrożenia, czyli nie widząc nikogo. Oba poziomy wyglądały podobnie jak ten, na którym sam się znajdował, i kiedy ruszyła ku kolejnemu, wyczuł jej rosnące poirytowanie na gospodarzy zarówno z powodu braku zainteresowania nią samą, jak i wyjątkowo słabego systemu bezpieczeństwa wewnętrznego.

Minęła ten poziom i następny, gdy nagle coś ją wstrząsnęło i zabolęło. Luke otworzył oczy, lecz zanim zdążył wstać, poczuł ją ponownie - odebrał zapewnienie, że nic się nie stało połączone ze zrozumieniem tego co zaszło. Otóż pochylnia bez ostrzeżenia zmieniła kierunek ruchu, powodując

utrata równowagi pasażerki, i Mara padła plackiem. Ledwie minął ból i oszołomienie wywołane upadkiem, poczuła zagrożenie. Uznał je za zupełnie uzasadnione, ponieważ nie była już sama.

Wokół stało kilka niebieskoskórych postaci, a jedna wołała do niej po imieniu.

Przez chwilę obcy coś mówił i choć Luke nie zrozumiał słów, odniósł wrażenie, że tamten prosi Marę, żeby z nim poszła, na co się zgodziła. Przeszukano ją, zabrano miotacz i cała grupa udała się korytarzem o ścianach równie ozdobnych, jak te w niższej części budynku.

Szybko dotarli do jakichś drzwi i znów nastąpiła wymiana zdań, której nie słyszał. Wyczuł jedynie lekki niepokój Mary, zanim przeszła przez drzwi. Zorientował się, że była oczekiwana, i to nie przez jedną osobę. Ktoś powitał ją po imieniu, czemu towarzyszyły dziwne, niezbyt silne uczucia, których Luke nie potrafił w pełni zidentyfikować. Mara odpowiedziała coś, wchodząc głębiej do pomieszczenia...

I nagle, gdy była w połowie kroku, kontakt się urwał, wyrywając Luke'a z transu. Gorączkowo próbował go nawiązać, lecz bez skutku - nie mógł nawet wyczuć jej obecności.

W ogóle nie był w stanie jej wyczuć, zupełnie jakby zniknęła.

# R O Z D Z I A Ł 2 7

Mara rozejrzała się już od progu, na wszelki wypadek bez poruszania głową, żeby nie zdradzać swych poczynań. Pomieszczenie było długie i wąskie - miało prawie pięćdziesiąt metrów długości i nieco ponad pięć szerokości. W pobliżu tylnej ściany stał solidny fotel, zwrócony ku niej oparciem, a przed nim identyczny, zajęty przez oficera w mundurze imperialnego admirała. O jakieś pięć metrów za nim, przy samej ścianie, stało sześciu niebieskoskórych w takich samych burgundowych uniformach jak jej eskorta. Jedni i drudzy mieli imperialne oznaczenia stopni. Uwagę Mary przykuł, naturalną kolejną rzeczą, siedzący. Był nie pierwszej młodości - porwana zmarszczkami twarz i szpakowate włosy mówiły o wieku, ale oczy pozostały czujne, a postawa dumna i wyprostowana.

- W końcu się spotykamy, panno Jade - powiedział, wskazując jej fotel. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko skorzystaniu z przywileju wieku, proponuję, abyśmy skończyli z formalnościami. Muszę też przyznać, że wcale ci się nie spieszyło.

- Nie mam. Nie sądziłam, że jestem tak niecierpliwie oczekiwanym gościem - odpaliła, nie kryjąc złośliwości: wiedzieli, kim była i pozwalali jej na swobodę ruchu, co uznała za wysoce podejrzaną.

- A poza tym przyszedłbym wcześniej, gdybyście za pierwszym razem nie potraktowali mnie jak ruchomego celu.

- Moje najserdeczniejsze przeprosiny, ale to był wypadek, Siądź, proszę.

Mara powoli podchodziła do fotela, starając się obserwować równocześnie wszystkich obecnych; gdyby zastawiali pułapkę, powinni zacząć działać, nim znajdzie się zbyt blisko... Nagle, bez śladu ostrzeżenia, gdy była w pół kroku, całkowicie utraciła kontakt z Lukiem.

Oślupiała, poruszając się niejako siłą rozpędu i odruchowo, żeby nie dać nic po sobie poznać. Równocześnie próbowała odtworzyć kontakt z Lukiem, ale nie była w stanie. Luke zniknął.

- Siadaj, proszę - powtórzył admirał. - Po tym co przeszłaś, musisz czuć się zmęczona.

- Nie powiem, że bym była przesadnie wypoczęta - odparła, koncentrując się jednocześnie na odtworzeniu kontaktu z Lukiem i rozważaniach, co się z nim stało.

Odpowiedź była prosta - jakoś zdołali go zaskoczyć i zaatakować, w wyniku czego Mistrz Jedi Luke Skywalker stracił przytomność. Albo życie.

Tę ostatnią myśl zablokowała, zdając sobie sprawę, że jeśli się jej nie pozbędzie, stanie się niezdolna nie tylko do akcji, ale i do myślenia, a siedzący przyglądał się jej z pełnym

zainteresowania namysłem. Zmusiła się do elementarnej logiki - jeśli Luke tylko stracił przytomność, mieli jeszcze szansę, jeśli był martwy, to sama szybko pójdzie w jego ślady. Dotarła do fotela i usiadła z ulgą.

- Niepotrzebnie się martwisz - zapewnił ją admirał. - Nie mamy najmniejszego zamiaru wyrządzić ci krzywdy. - Naturalnie. Podobnie jak parę dni temu, prawda?

- Jak już powiedziałem, był to pożałowania godny przypadek. Strażnicy strzelali do latających szkodników, z którymi już w przeszłości mieliśmy problemy. Ciebie zauważyli, dopiero gdy odpowiedziałaś ogniem i zareagowali odruchowo. Moje najszczersze przeprosiny, ale naprawdę podobnego zbiegu okoliczności nie dało się przewidzieć. Gdyby te latające stworzenia nie znajdowały się tak blisko ciebie, nie doszłabyś do wniosku, że stałaś się celem ataku, gdybyś nie zaczęła strzelać... można tak jeszcze długo gdybać, co i tak niczego nie zmieni. Jeszcze raz przepraszam.

- Już mi lepiej - prychnęła. - Dobrze, to był przypadek. Co teraz?

Oficer wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Porozmawiamy - odparł. - A jak sądzisz, w jakim celu zdradziliśmy ci swoje położenie? Chcieliśmy, żebyś tu przyleciała i spotkała się z nami.

- Aha - mruknęła, zadowolona, że sama wcześniej doszła do podobnych wniosków, choć istniała szansa, iż jej rozmówca kłamie, żeby zamaskować błędy pilotów; bardzo niewielka szansa. - Mogliście wysłać mi zaproszenie. Chyba że ten sposób uznaliście za zbyt prosty i łatwy?

Równocześnie spróbowała wysondować jego myśli, ale, ku swemu zaskoczeniu, nie zdołała nawet wyczuć obecności ani jego, ani żadnego ze stojących za nim obcych. - Gdybyśmy ci przysłali zaproszenie, wątpię, abyś zjawiała się sama. - Admirał uśmiechnął się lekko. - Coś mniej konkretnego wydawało się nam znacznie rozsądniejszym rozwiązaniem. Przepraszam, że nie czekała na ciebie eskorta, ale przyznaję, że zaskoczyłaś nas błyskawicznym podejściem do lądowania.

- Podobnie jak poprzednim pojawieniem się w fortecy - dodał stojący po prawicy admirała, równie jak on kulturalnym i przyjemnym głosem. - Gdybyśmy wiedzieli o twoim przybyciu, strażnicy używaliby broni znacznie ostrożniej. Mogę spytać, jak zdołałaś dostać się niepostrzeżenie do wnętrza?

- Zamieniłam się w latającego szkodnika, to wygodniejsze i szybsze niż chodzenie - odpowiedziała z wyszukaną uprzejmością.

- Naturalnie - admirał uśmiechnął się szerzej. - Lub, być może, wdrapałaś się po zewnętrznej ścianie i weszłaś przez któreś z pęknięć? - Przepraszam: tajemnica zawodowa.

- Aha - nadal się uśmiechał. - W sumie to nie takie ważne, po prostu zwykła ciekawość.

Najważniejsze, że się tu znalazłaś, tak jak chcieliśmy. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci forma, w jakiej się do ciebie zwracam? Jeśli chcesz, mogę cię tytułować: kapitan Jade.

- Nie przeszkadza, ale wolałabym wiedzieć, jak mam się zwracać do ciebie i do pozostałych; forma ty jest mało konkretna. Ma ktoś z was jakieś imię czy nazwisko? - Wszystkie istoty mają imiona, a większość rozumnych także nazwiska. Jestem admirał Voss Parek. I jest mi niezwykle miło, że wreszcie mogę poznać cię osobiście. - Z wzajemnością - odparła odruchowo, nawet nie próbując opanować zaskoczenia.

Voss Parek dowodził niszczycielem klasy Victory, który odnalazł Thrawna na odludnej planecie i przywiózł go na imperialny dwór. A potem dołączył doń na wygnaniu jako kapitan niszczyciela oddanego do dyspozycji Thrawna. Ale siedzący przed nią mężczyzna. ..

- Jak sądzę, wyglądam nieco starzej niż mogłaś się spodziewać - powiedział spokojnie Parek. - Zakładając naturalnie, iż spodziewałaś się mnie tu znaleźć. I o ile nie popełniłem błędu, uważając nieskromnie, że Ręka Imperatora pamięta moje nazwisko czy twarz.

- Pamiętam jedno i drugie. Stanowiłeś uosobienie tego, czego nie należy robić w trakcie jakiegokolwiek walki o wpływy. Wszyscy używali cię jako przykładu - Mara doszła do siebie i szybko dodała: - Ale to byli ci sami ludzie, którzy uważali, że Palpatine wysłał tu Thrawna za karę, a więc co mogli tak naprawdę wiedzieć?

- A ty sądzisz, że Mitth'raw'nuruondo w rzeczywistości otrzymał inne zadanie? - spytał ten sam co poprzednio obcy.

- Nie sądzę, lecz wiem. - Mara zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy. - Powiedz mi, Parek, czy cała rasa gada jak Thrawn, czy też poddajesz swoich oficerów specjalnemu szkoleniu towarzyskiemu na wypadek, gdyby ich nieoczekiwanie zaproszono na dworską uroczystość? Obcy zmrużył oczy...

- Uspokój się, Stent - polecił spokojnie Parek, podnosząc dłoń. - Powinieneś zrozumieć, że jedną z najsubtelniejszych i zarazem najskuteczniejszych broni Mary zawsze był jej talent do irytowania rozmówców. Ktoś rozżłoszczony albo jeszcze lepiej wściekły, nie myśli logicznie.

- Istnieje też druga możliwość: nie lubię go - dodała Mara, zła, że Parek tak szybko odkrył prawdę. Jej przeciwnicy z reguły tracili na to więcej czasu, a co głupszy nie domyślali się tego nigdy. - Ale wystarczy pogawędki na mój temat. Chciałabym usłyszeć, czego tu dokonaliście i co właściwie robicie w Nieznanych Terytoriach. Jak by nie było, poświęciłeś wiele: Coruscant, stanowisko i towarzyszy z Floty Imperium, cywilizację...

Stent ponownie zmrużył oczy, kiedy usłyszał ostatnie słowo, ale Parek tylko się uśmiechnął.

- Spotkałaś Thrawna - powiedział prawie z czcią. - Każdy prawdziwy wojownik oddałby wszystko

za szansę służenia pod jego rozkazami.

- Poza członkami jego własnej rasy, jak słyszałam. Chyba że historia jego pojawienia się na Coruscant nie była prawdziwa.

- Była prawdziwa, choć, jak większość historii dotyczących Thrawna, wersja oficjalna nie uwzględniała wszystkich faktów.

- No proszę - odparła, siadając głębiej w fotelu i zakładając nogę na nogę.

Teoretycznie wyglądało to na pozę pełną odprężenia i nie wzbudzającą podejrzeń. W praktyce pozwalało bez zwracania uwagi odchylić nieco mebel na tylnych nogach i zbadać jego wagę, Fotel okazał się, niestety, wyjątkowo ciężki, co skutecznie eliminowało go jako broń, którą mogła rzucić.

- Wygląda na to, że mam sporo czasu, więc może poznałabym kompletną i prawdziwą wersję? - zaproponowała. - Nie jestem pewien, sir, czy... - zaczął Stent.

- W porządku - przerwał mu Parek, nie spuszczać wzroku z Mary. - Trudno oczekiwać, żeby nam pomogła, nie znając faktów, prawda? - Pomogła w czym? - zdziwiła się Mara.

- Wszystko zaczęło się ponad pół wieku temu. - Parek zignorował jej pytanie. - Podczas przygotowań do Zewnętrznego Lotu, tuż przed wybuchem Wojen Klonów. Tak dawno, że w ogóle nie wiem, czy słyszałaś o tym projekcie.

- Czytałam. Wysłano grupę Mistrzów Jedi, aby zbadali inną galaktykę.

- Taki miał być cel ostateczny, ale przed rozpoczęciem lotu do innej galaktyki postanowiono wysłać ich jakby w dziewiczy rejs, żeby sprawdzić sprzęt i ich reakcje na dłuższy pobyt jedynie we własnym gronie. Mieli zatoczyć krąg przez część Nieznanych Terytoriów i wrócić do cywilizowanej części galaktyki. Okazało się, że trasa, którą im wyznaczono, przebiega przez skraj terytorium pozostającego pod kontrolą rasy o nazwie Chiss.

Ucieszona nową informacją Mara próbowała sobie przypomnieć, czy słyszała lub czytała o nich cokolwiek, ale doszła do wniosku, że Palpatine nigdy nie wspominał przy niej tej nazwy.

- A oni nie mieli ochoty bawić się w uprzejmych gospodarzy? - spytała domyślnie. - Prawdę mówiąc, właściwie nawet nie zdążyli zdecydować, na co mają ochotę. Palpatine już dawno uznał, że Jedi stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo dla Imperium, które zamierzał stworzyć, toteż wysłał w ten rejon zespół uderzeniowy z zadaniem zniszczenia Zewnętrznego Lotu, gdy ten tylko dotrze na miejsce.

- Aha - domyśliła się Mara. - I właśnie pracownicy organizowali zasadzkę, kiedy znalazł ich Thrawn.



- Żeby w pełni ocenić sytuację, musisz wiedzieć coś jeszcze, po jednej stronie znalazły się najlepsze jednostki prywatnej armii Palpatine'a, piętnaście okrętów liniowych. Po drugiej - komandor Mitth'raw'nuruondo z Ekspansywnej Obrony Chissyjskiej, mający pod swymi rozkazami dwanaście jednostek patrolowych.

- Doceniam to w pełni. Jak bardzo ich zmasakrował?

- Całkowicie. - Parek uśmiechnął się lekko. - Zdolny do lotu pozostał tylko jeden okręt z piętnastu, i to jedynie dlatego, że Thrawn chciał przesłuchać grupę najeźdźców. Na ich szczęście, a być może na szczęście całej galaktyki, wśród niedobitków znajdował się dowódca zespołu uderzeniowego, jeden z doradców Palpatine'a: Kinman Doriana.

Mara przełknęła ślinę - to nazwisko pamiętała aż za dobrze. Był prawą ręką Palpatine'a i, jak wieść niosła, jednym z głównych architektów jego dojścia do władzy. - Słyszałam o nim, i to wiele - przyznała.

- Tak też myślałem. Można go określić jako szarą eminencję: niewielu znało jego tożsamość, a jeszcze mniej prawdziwą pozycję. Ci, którzy znali, uważali, że jego przedwczesna śmierć spowodowała lukę, którą Palpatine próbował wypełnić trzema osobami: Darthem Vaderem, wielkim admirałem Thrawnem i... tobą.

- Zbytnią uprzejmość - odparła rzeczowo, nie czując nawet śladu dumy, że w oczach Imperatora była więcej warta i osiągnęła wyższą pozycję niż sądziła; teraz nie miało to już znaczenia, gdyż ta część jej życia od lat była zamkniętą przeszłością. - Jesteś także, przyznaję, bardzo dobrze poinformowany.

- Znajdujemy się w osobistej bazie Thrawna - powiedział Parek. - A jak zapewne zauważyłaś, informacje zawsze stanowiły jego obsesję. Jedną z niewielu zresztą. Bank danych, ulokowany głęboko pod nami, jest jednym z największych, jeśli nie największym w galaktyce.

- To akurat mnie nie dziwi. Szkoda tylko, że cała ta wiedza nie zapobiegła jego śmierci - stwierdziła, mając nadzieję sprowokować jakąś żywszą reakcję.

Ku jej zaskoczeniu żaden z obecnych nawet nie mrugnął.

- Nigdy nie zakładaj czegoś, czego nie jesteś pewna - ostrzegł Parek. - Ale o tym, potem. Na czym skończyliśmy? - Na Zewnętrznym Locie i Dorianie.

- Dziękuję. Doriana zdołał, po wyjaśnieniu całej sytuacji, przekonać Thrawna, że statek, wraz ze wszystkimi znajdującymi się na pokładzie, musi zostać zniszczony. Dwa tygodnie później, gdy Zewnętrzny Lot znalazł się w przestrzeni Chissów, Thrawn go oczekiwał. - I to był koniec Zewnętrznego Lotu.

- Owszem. Równocześnie był to jednak początek kłopotów samego Thrawna, ponieważ doktryna

militarna Chissów nie zna pojęcia „ataku przewencyjnego”. To, co zrobił, uznali za równoznaczne z morderstwem.

- Bez obrazy, ale mieli rację. Jak inaczej można nazwać zabicie grupy Mistrzów Jedi, lecących sobie spokojnie przez galaktykę i pilnujących własnych spraw? - Zrozumiesz - obiecał poważnie Parek. - Kiedy nadejdzie właściwy czas, zrozumiesz.

Mara zmarszczyła brwi - albo Parek był doskonałym aktorem, albo w tym wszystkim naprawdę kryło się coś poważnego, i to na tyle, że zawodowy oficer z wieloletnim stażem bał się tego czegoś. Ponownie spróbowała go wysondować przy użyciu Mocy, ale, tak jak poprzednio, nie zdołała wyczuć nawet jego obecności.

- Znowu wybiegłem zbyt daleko w przyszłość - odezwał się Parek. - Thrawn zdołał wytłumaczyć, dlaczego tak postąpił, i utrzymać swoją pozycję oraz stopień, ale odtąd obserwowano go nader uważnie. Jak było do przewidzenia, skorzystano z pierwszej okazji, gdy walcząc z innymi wrogami swej rasy nieco przekroczył narzucone reguły. Został zdegradowany i skazany na wygnanie: pozostawiono go na nie zamieszkaną planetę leżącą w pogranicznym rejonie w pobliżu terenów Imperium.

- Gdzie pewnego pięknego dnia pojawił się imperialny niszczyciel klasy Victory, dowodzony przez kapitana gotowego zaryzykować przywiezienie żywej osobliwości na Coruscant - dokończyła i dodała po sekundowej przerwie. - Tylko w rzeczywistości nie było to takie ryzyko, jak wszyscy myśleli.

- To prawda - uśmiechnął się Parek. - Jak się później dowiedziałem, Palpatine dwukrotnie bez powodzenia próbował skontaktować się z Chissami, aby zaoferować Thrawnowi wysoką pozycję: najpierw w mającym powstać, a potem w już istniejącym Imperium. Mój prezent naprawdę wielce go ucieszył, choć z powodu sytuacji politycznej panującej na dworze była to radość starannie ukrywana.

- Po czym Thrawn przeszedł najlepsze możliwe przeszkolenie militarne i stopniowo awansował do najwyższej rangi, jaką mógł mu zaoferować Imperator. A w końcu zorganizował własne wygnanie, żeby móc tu wrócić i policzyć się z tymi, którzy skazali go na autentyczne - zakończyła Mara.

- Skądże znowu - obruszył się Parek. - To znaczy, do pewnego momentu tak, ale wyciągnęłaś błędne wnioski: Thrawn nie wrócił, żeby się mścić. Wrócił, aby bronić własnej rasy. - Przed czym? Stent prychnął pogardliwie.

- Kobieto, co ty wiesz o niebezpieczeństwach galaktyki? Uważasz, że skoro kręcicie się po jej spokojnym kawałku otoczonym okrętami wojennymi, reszta też wygląda podobnie? W galaktyce jest pełno niebezpieczeństw, i to takich, od których krew by ci się ścięła w żyłach. Tych zagrożeń nie zdołają powstrzymać ani panujące rody, ani inne siły w tym rejonie. Jeśli nasza rasa ma przetrwać, my musimy ją chronić i bronić. - A kim wy właściwie jesteście? Stent wyprężył się w postawie zasadniczej.

- Jesteśmy Falangą Syndyka Mitth'raw'nuruondo - oznajmił z dumą. - Żyjemy, by mu służyć, a służąc jemu służymy wszystkim Chissom.

- Czy tego chcą, czy nie, jak znam życie - dodała cicho Mara, zauważając zastosowanie czasu teraźniejszego, jakby Thrawn nadal żył. - Czy oni w ogóle wiedzą o waszym istnieniu?

- W zasadzie wiadomo, że znajdują się tu siły Imperium - odpowiedział Parek. - Wprawdzie rody panujące udają że nie mają pojęcia, iż oddział Stenta współpracuje z nami, ale, wszyscy inni wiedzą i cały czas do baz i garnizonów zgłaszają się ochotnicy. Mara stłumiła gniewny grymas - a więc rzeczywiście istniały tu imperialne bazy. - Palpatine nie byłby zachwycony mieszanym się jego wojsk z obcymi - zauważyła. - Wątpię też, by obecne władze Bastionu zareagowały inaczej. Parek przestał się uśmiechać.

- Tak jest w istocie - przyznał. - Co sprowadza nas do aktualnej sytuacji. Otóż wiele lat temu Thrawn powiedział nam, że jeśli dotrą do nas informacje o jego śmierci, a on sam sienie zjawi, mamy kontynuować rozpoczęte działania i spodziewać się jego powrotu po dziesięciu latach.

Mara zamrugała oszołomiona, tak nieprawdopodobnie to zabrzmiało.

- Możecie długo czekać - zauważyła, próbując zapanować nad sarkazmem. - Zginął od pchnięcia nożem, a ostrze przebiło oparcie fotela, w którym siedział. Mało kto jest w stanie wyzdrowieć po czymś takim. - Thrawn jest wyjątkowy - przypomniał jej Stent.

- Był - poprawiła go. - Czas przeszły dokonany. Powiedziałam przecież, że zginął. Dokładnie w Bitwie o Bilbringi.

- Tak? - spytał uprzejmie Parek. - Widziałaś ciało? Czy może słyszałaś jakiegokolwiek informacje o jego śmierci nie pochodzące z komunikatów imperialnych? Mara otworzyła usta, zastanowiła się i zamknęła je, widząc, z jaką niecierpliwością Parek oczekuje na jej reakcję.

- To było pytanie retoryczne, czy rzeczywiście oczekujecie ode mnie odpowiedzi? - spytała. Parek z uśmiechem odchylił się na oparcie fotela.

- Mówiłem ci, że jest bystra - przypomniał Stentowi i dodał, zwracając się do Mary: - Prawdę mówiąc, sądziliśmy, że będziesz mogła udzielić nam jakiejś odpowiedzi. Masz w końcu pełny dostęp do informacji zgromadzonych przez organizację Talona Karrde i jeśli ktoś znałby prawdę, najprawdopodobniej byłabyś to ty.

Nagle Mara zrozumiała coś, co powinno było do niej dotrzeć znacznie wcześniej: - Przy bazie Cawilhu i niszczycielu Terrika nie szukaliście Imperium, tylko mnie! - Doskonale - pochwalił Parek. - Kiedy Dreel zauważył cię koło tego niszczyciela, podejrzewał, że mogłaś się właśnie spotkać z Thrawnem, dlatego nadał wiadomość do niego z prośbą o kontakt.

- Słuchajcie, wiem, że przebywacie tu długi czas i musiało wam być ciężko, ale najwyższy czas

pogodzić się w pewnych faktach: obojętnie, czy wam się to podoba, czy nie, Thrawn nie żyje!

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Parek. - To dlaczego cały HoloNet pełen jest informacji o jego powrocie i nowych sojuszach, dzięki którym całe systemy wracają do Imperium? Marze na moment odebrało mowę.

- Niemożliwe! - jęknęła. - Mylicie się albo blefujecie.

- Zapewniam cię... - zaczął Parek i umilkł, przenosząc spojrzenie gdzieś za jej plecy.

Równocześnie słaby podmuch na karku uświadomił jej, że otworzyły się jakieś drzwi. Spięła się odruchowo, gotowa do skoku, ale w jej pole widzenia wszedł jedynie lekko utykający mężczyzna w średnim wieku, o z lekka siwiejącej czuprynie i krótko przyszywanej, szpakowatej brodzie.

Idący trzymał się blisko lewej ściany, ubrany był w kombinezon pilota myśliwskiego Imperium i nosił niezwykłą wręcz rzadkość - czarną przepaskę na prawym oku.

- Słucham, generale? - powitał go Parek.

- Sorn zameldował się z połowy drogi, sir - nowo przybyły minął Marę, obserwując ją z zaciekawieniem. - Jego przelot przez system Bastionu okazał się niejednoznaczny: wiele plotek i spekulacji bez dowodów. Wszystkie natomiast zgodnie twierdzą, że Thrawn obecnie tam przebywa.

- Momencik! - wtrąciła Mara. - Wiecie gdzie leży Bastion?

- Oczywiście - Parek znów się uśmiechnął. - Thrawn spodziewał się wielokrotnego przenoszenia stolicy, a chciał, żebyśmy zawsze znali jej położenie, toteż zainstalował specjalne urządzenie w fałszywym pojemniku wchodzącym w skład Imperialnego Archiwum. Wyszedł ze słusznego założenia, że archiwum zawsze będzie podążać śladem siedziby władzy, a jest tak obszerne, że nikt na to nie zwróci uwagi.

- Urządzenie jest naszego pomysłu i wykonania - dodał z dumą Stent. - Pozostaje nieczynne, dopóki nie znajdzie się w nadprzestrzeni, a podczas lotów w niej nikt nie prowadzi nasłuchu ani nie skanuje ładunku. Od początku wiemy, gdzie mieści się stolica Imperium, choć niektóre lokalizacje nie wydawały się nam logiczne.

- A więc Sorn wraca? - Parek spojrzał na jednookiego.

- Będzie tu mniej więcej za trzy godziny, sir - Zapytany wskazał głową Marę. - Powiedziała coś użytecznego?

- Jeszcze nie. - Parek przeniósł wzrok na Marę i dodał, wskazując na pilota. - Ale zapominam o dobrych manierach. Oto Mara Jade, a to generał, baron... Soontir Fel. Mara z najwyższym wysiłkiem zachowała kamienny wyraz twarzy.

Baron Soontir Fel był legendarnym asem, latającym na myśliwcu TIE, który przeszedł na stronę Nowej Republiki i walczył w Eskadrze Łotrów. Przed wieloma laty zniknął, porwany przez dyrektorkę imperialnego wywiadu, Isard, i już nikt nigdy o nim nie słyszał. Panowało ogólne przekonanie, że kazała go zabić za zdradę. A tymczasem pozostawał żywy i zdrowy, w szeregach sił imperialnych, i to w dodatku w stopniu generała.

- Witam, generale Fel. - Mara skinęła mu lekko głową. - Sądząc z tonu admirała Parcka, powinnam, zdaje się, być pod wrażeniem, prawda?

Młodszy Fel prawdopodobnie uznałby te słowa, jeśli nie za obelgę, to na pewno za wyzwanie. Starszy po prostu lekko się uśmiechnął.

- Tutaj nie ma czasu czy miejsca na dumę - powiedział poważnie. - Kiedy do nas dołączysz, zrozumiesz.

- Jestem pewna - mruknęła, trzymając ręce na piersiach i zaciskając dłonie w pięści.

Równocześnie spróbowała się skoncentrować i wykorzystać Moc, którą czuła. Nadal jednak nie mogła nawet wyczuć żadnego z obecnych, nie mówiąc o sondowaniu. Wyglądało to zupełnie tak, jakby znalazła się w zasięgu tych cholernych ysalamiri z Myrkr, co uznała za niemożliwe, ponieważ czuła Moc, a nie pustkę. Poza tym nie zauważyła żadnego w pomieszczeniu...

Z trudem powstrzymała się przed skłębieniem samej siebie za głupotę - oczywiście, że nie było tu ysalamiri: były w sąsiednim pokoju, oparte o ścianę, pod którą stali Chissy. Oba fotele celowo ustawiono tak, by zabezpieczyć Parcka i pozostałych przed jej możliwościami użycia Mocy, a biorąc pod uwagę, jak poruszał się po pokoju Fel, ysalamiri stały także wzdłuż dłuższych ścian. Zapewne umieszczono je również nad nią i dlatego straciła kontakt z Lukiem. Wzięła głęboki oddech, czując, jak opada z niej większość napięcia: Luke był cały, zdrowy i przytomny.

Powtórnie głęboko odetchnęła, zdając nagle sobie sprawę, że Parek i Fel uważnie się jej przyglądają.

- Co za wspaniałomyślne zaproszenie - podjęła, nim cisza stała się za bardzo podejrzana. - Przykro mi sprawić wam zawód, ale jestem osobą dość zajęta. Spóźniła się. - Widzę, że się domyśliła - spokojnie zauważył Fel.

- Owszem - zgodził się Parek. - Choć przyznaję, że trwało to dłużej niż sądziłem. Zwłaszcza że skutek działania ysalamiri poczuła już od progu: zgubiła krok, znajdując się w ich zasięgu.

- Co udowadnia, że mieliśmy rację: ma uzdolnienia Jedi -zakończył Fel.

- Gratuluję sprytu i przenikliwości - prychnęła. - Prawdziwi z was spadkobiercy geniuszu Thrawna. Może zatem przestalibyśmy bawić się w gierki i testy, i przeszli do konkretów? Czego dokładnie ode mnie chcecie?

- Jak powiedział generał Fel, chcemy, żebyś się do nas przyłączyła. - Żartujesz?!

- Skądże znowu! - obruszył się Parek. - Rzadko kiedy jestem...

- Panie admirale - przerwał mu Stent, od paru sekund stojący z lekko przekrzywioną głową, jakby nasłuchiwał. - Ktoś próbuje skorzystać z komputera w górnym stanowisku dowodzenia.

- Skywalker - Fel skinął głową. - Miłe z jego strony, że oszczędził nam kłopotliwych poszukiwań. Wyślij po niego oddział, Stent, tylko przypomnij im, żeby do Skywalkera zbliżali się jedynie niosący ysalamiri.

- Tak jest, sir - Stent przeszedł obok Fela i skierował się ku drzwiom, mówiąc coś szybko w nieznanym Marze języku.

Kiedy ją mijał, dostrzegła w jego ręku jakieś urządzenie, najwyraźniej lokalną odmianę komlinku.

- Za parę minut obaj do nas dołączą - poinformował ją Fel. - Na Coruscant muszą cię wysoko cenić, skoro na ratunek wysłali samego Skywalkera. Mam nadzieję, że nie będzie zbyt energicznie stawiał oporu i nie zostanie poważnie ranny.

- Ja bardziej bym się martwiła, czy zdołają go pojmać - odparła pewniej niż się czuła: Luke co prawda działał już w zasięgu bąbli tworzonych przez ysalamiri, ale działało się to dawno temu. - A jeśli już mowa o ranach, co się stało z twoją twarzą, baronie? Czy ta przepaska ma jedynie wywierać wrażenie na tubylcach?

- Straciłem oko w finałowej bitwie z jednym z niedoszłych samozwańczych władców tych okolic - głos Fela był spokojny, ale tylko z pozoru. - Nasze możliwości medyczne, zwłaszcza regeneracyjne, są nieco ograniczone, wolałem więc, aby oko dostał jeden z moich pilotów. I tak jestem najlepszym myśliwcem w okolicy.

W ostatnim zdaniu usłyszała echo głosu młodego, pewnego siebie Fela.

- Bez wątpienia - zgodziła się. - Natomiast biorąc pod uwagę, że wojna między Imperium a Nową Republiką od paru lat stała się teorią, sądzę, że w ocalałych sektorach posiadają dostateczne zapasy i wystarczyłoby zjawić się tam i poprosić o nowe... Tylko że to oznaczałoby dopuszczenie władz Imperium do waszego wielkiego sekretu, czego najwyraźniej nie chcecie. Można się dowiedzieć, dlaczego? Parek westchnął. - Bo wszystko, co tu zrobiliśmy, jest dziełem Thrawna i do niego należy podejmowanie najważniejszych decyzji. A w zaistniałej sytuacji, prawdę mówiąc, nie wiemy, po której stronie zamierza się opowiedzieć w nadchodzącym konflikcie. - Przepraszam, co?! Mówimy o imperialnym wielkim admirale, a wy nie wiecie, po czyjej stronie zechce on walczyć?

- Imperium to zaledwie osiem sektorów - przypomniał Fel. - Z militarne go punktu widzenia w ogóle nie warto brać go pod uwagę.

- I jak słusznie zauważyłaś, nadal władze nie są w stanie poradzić sobie z rasizmem - dodał Parek. - A z drugiej strony władze Nowej Republiki także mają masę problemów, z których najważniejszym jest powstrzymanie ras członkowskich od wojen domowych.

- I tak doszliśmy do ciebie - podsumował Fel. - I do twojej roli. Jako Ręka Imperatora sporo wiesz o zasadach funkcjonowania Imperium i o tych, którzy są tam obecnie przy władzy. Jako długoletnia współpracowniczka Luke'a i Leii Organy Solo masz także wielką wiedzę o Nowej Republice. A jako zastępczyni Talona Karrde o wszystkim innym. Twoja pomoc w zakończeniu konfliktu i zjednoczeniu tego regionu galaktyki będzie wręcz nieoceniona, a twoje doświadczenie bardzo się przyda, gdy rozpoczniemy poważne przygotowania związane z czekającą nas w przyszłości konfrontacją. - Twoja wiedza i doświadczenie są dla nas niezwykle cenne - zawtórował mu Parek. - Z konieczności bowiem skoncentrowaliśmy się na uporządkowaniu tego obszaru i nieco brakuje nam aktualnych informacji o rozwoju sytuacji w znanej części galaktyki. Potrzebujemy kogoś, kto wypełniłby tę lukę, abyśmy mogli podejmować prawidłowe decyzje.

- I naturalnie pomyśleliście o mnie - dodała ironicznie Mara. - Skąd ta autozłośliwość? - zdziwił się Fel.

- To nie autozłośliwość, tylko niedowierzanie. Wątpię, żeby Thrawn was pochwalił za proponowanie mi stanowiska doradcy politycznego.

- Wręcz przeciwnie. - Parek po raz kolejny się uśmiechnął. - Thrawn bardzo cię cenił. Wiem, że chciał ci zaproponować całkiem odpowiedzialną funkcję, kiedy zorganizujemy ten rejon.

Jeden ze stojących za Parckiem Chissów przekrzywił głowę, jak przedtem Stent, a po chwili podszedł do fotela i szepnął siedzącemu coś do ucha. Admirał odpowiedział również szeptem i przez całą minutę trwała ta niesłyszalna dla Mary rozmowa... Spędziła ją, oceniając, jak mogłaby załatwić Fela i pięciu Chissów, gdyby musiała, co oczywiście było ćwiczeniem czysto teoretycznym, gdyż nie miało prawa się udać. Cała piątka nie spuszczała z niej wzroku, podobnie jak rąk z kolb broni, toteż bez Mocy nie miała szans załatwić ich wszystkich, zanim przynajmniej raz jej nie trafią. A na to nie mogła sobie pozwolić.

Rozmowę zakończono, niebieskoscóry wyprostował się i wyszedł, również wzdłuż ściany.

- Przepraszam za przerwę - powiedział Parek, gdy Chiss wyszedł.

- Nie ma za co. - Sześciu przeciwników... nadal żadnych szans na sukces. - Jakież kłopoty z odnalezieniem Skywalkera? - Nieistotne - zapewnił ją Parek.

- Miło słyszeć - mruknęła, żałując, że nie może sprawdzić jego myśli: Chiss nie wychodził jak ktoś, kto nie ma kłopotów. - A więc Thrawn zamierzał zaproponować mi współpracę i stanowisko?

- W rzeczy samej. Miał dość czasu, by dokładnie poznać i wybrać najlepszych, tak pod względem

wiedzy i umiejętności, jak i odporności psychicznej. - Parek wskazał Fela. - Generał Fel jest tego doskonałym przykładem. Jego rebelię przeciwko Isard, Thrawn uznał za nieistotną, tym bardziej, że o samej Isard zawsze miał niezbyt dobrą opinię. A u Soontira Fela najbardziej cenił jego uczucia do ludzi i innych istot inteligentnych oraz planet tego regionu. No i naturalnie jego umiejętności jako pilota. Tak więc, kiedy kazał Isard go porwać..

- Zaraz! - przerwała mu Mara. - Thrawn kazał go porwać?!

- To był jego plan - wyjaśnił Fel. - Nie sądziłaś chyba, że ta rzeźniczka mogła wymyślić coś równie sprytnego? Przywiózł mnie tu i pokazał, z czym mamy do czynienia. Wyjaśnił, co musimy zrobić, żeby powstrzymać zagrożenie. Udowodnił, że nawet dysponując pełnymi możliwościami Imperium i Nowej Republiki, zjednoczonymi pod jego przywództwem, nie będziemy mieli gwarancji zwycięstwa.

- Dlatego też przygotował plany na wypadek klęski - dodał Parek. - Dziesięć lat temu rozsiał po terytorium Imperium i Nowej Republiki grupy najlepszych sklonowanych żołnierzy. Ich zadanie, to czekać na rozkaz albo w razie upadku Bastionu i Coruscant stworzyć załążki ruchu oporu na planetach i w systemach, w których przebywają. Zostali dobrani tak, by nade wszystko cenili domy, rodziny i ziemię, i aby gotowi byli poświęcić życie w ich obronie.

- Kiedy to zrozumiałem... kiedy naprawdę zrozumiałem powagę sytuacji, nie miałem wyboru: musiałem do niego dołączyć - zakończył Fel.

- Podobnie jak ty to zrobisz - powiedział cicho Parek.

- Przykro mi, ale mam inne plany.

- Zobaczymy - admirał pozostał nieporuszony. - Być może Thrawn zdoła cię przekonać, gdy do nas wróci.

- A jeśli nie wróci? - spytała spokojnie Mara. - Jeśli te plotki okażą się jedynie plotkami?

- Wróci. - Parek był pewien swego. - Powiedział, że wróci, a zawsze dotrzymywał słowa. Jedyną niewiadomą jest teraz to, czy ostatnie wieści rzeczywiście dotyczą jego, czy jakiegoś oszusta. A w obecnej sytuacji sędzę, że jedynym sposobem sprawdzenia tego będzie udanie się na Bastion. Jeśli Thrawn faktycznie tam jest, zapewne dowiem się od niego, co robimy dalej, a więc i po której stronie się opowiadamy.

- Nie wiesz, co mówisz! - Mara zacisnęła dłonie w pięści. - Nie można przekazać całego waszego rejonu Imperium. Z tymi bazami, sojusznikami i zasobami będzie to oznaczało kolejny etap wojny po prawie dziesięciu latach spokoju w galaktyce. - Nie pozwolimy źle użyć naszych zasobów - odparł poważnie Parek. - Czeka nas zbyt poważne zadanie, abyśmy mogli pozwolić komuś marnować czas i środki na głupie rozgrywki polityczne czy dla prywatnych korzyści.



- Proponuję, żebyście się obudzili, bo śnicie nierealne bzdury! - warknęła zdenerwowana. - Przypomnijcie sobie dwór Imperatora i to, co ze wszystkimi tam przebywającymi zrobiło posmakowanie władzy. Większość nigdy nie myślała o czymkolwiek innym niż o własnych korzyściach.
- Musimy zaryzykować - uparł się Parek. - Przy zachowaniu ostrożności, naturalnie. Najpierw porozmawiamy z Sornem i przejrzymy zebrane przez niego dane. A jeśli nie znajdziemy niczego, co zadawałoby sensowny kłam pogłoskom o powrocie Thrawna, nie pozostanie nam ni; innego, jak nawiązać kontakt z Bastionem.
- Nie mogę wam na to pozwolić - oznajmiła spokojnie. - Ty nam nie pozwolisz?! - zdziwił się Fel.
- Nie mogę. Oddacie ten rejon do dyspozycji Imperium, a pierwsze co oni zrobią, to zaatakują Nową Republikę i zaczną wojnę w galaktyce.
- Nie obawiaj się, nikomu niczego nie oddamy, dopóki nie będziemy mieli pewności, po czyjej stronie jest Thrawn i czego od nas oczekuje - zapewnił Parek. - Z drugiej strony być może powinniśmy zacząć się martwić nią- zauważył Fel. - Nie braliśmy tego pod uwagę, ale ktoś tak zdeterminowany, by zapobiec naszym planom, może stać się źródłem sporych kłopotów. - Fel przyglądał się Marze z namysłem. - Może i masz rację. - Parek wstał przy pomocy jednego z Chissów. - Obawiam się, że oboje ze Skywalkerem będziecie musieli przez jakiś czas pozostać naszymi gośćmi.
- A jeśli Thrawn naprawdę wrócił i nie zdoła mnie przekonać? - spytała stanowczym tonem. - To co wtedy?
- Jestem pewien, że do tego nie dojdzie. - Tym razem Parek nie spojrzał jej w oczy. - Okaze się zresztą za parę dni... nie dłużej niż w ciągu miesiąca.
- Żartujesz? Naprawdę uważacie, że kilkanaście czy kilkadziesiąt ysalamiri zdoła tak długo powstrzymać Luke'a Skywalkera?! - prychnęła pogardliwie.
- Ona ma rację - zgodził się Fel. - Żeby powstrzymać ich oboje, potrzeba znacznie więcej.
- Co proponujesz? - Parek również przyjrzał się Marze z głębokim namysłem.
- Brosh, ustaw charric na drugi stopień - polecił Fel najbliższemu Chissowi.
- Zaraz! - Mara zerwała się, podczas gdy tamten wydobywał broń, czując nagły przypływ znajomych emocji i telepatyczne polecenie, by zyskała na czasie. - Co jest, do nagłej krwi?! Jestem nie uzbrojonym jeńcem! Pozostali obcy także wydobyli broń.
- Wiem. - W głosie Fela brzmiał szczery żal. - I bardzo mi przykro, że muszę to zrobić, ale miałem już do czynienia z Jedi i jedynym znanym mi sposobem jest zmuszenie cię do uzdrawiającego transu.

- Zaczekaj! - Mara gorączkowo próbowała zyskać na czasie. -Chcecie się ze mną dogadać, tak? No więc możecie to sobie ostatecznie wybić z głowy, jeśli mnie postrzelicie. Nie będę z wami więcej gadać, gwarantuję.

- Zmienisz zdanie, gdy poznasz całą prawdę i rozmiary zagrożenia - zapewnił ją ponuro Fel.

- Jestem wręcz niezwykle uparta - warknęła. - I radzę wam wziąć pod uwagę jeszcze coś: Talona Karrde. Jeżeli chcecie mieć rzetelne informacje, musicie się z nim dogadać, a Karrde nie cierpi, kiedy torturuje się jego ludzi. Sama widziałam, jak niszczył za takie rzeczy całe organizacje, choćby tych Hurtów, którzy...

- Jestem pewien, że mówisz prawdę - przerwał jej Parek, myśląc nad czymś intensywnie. - Tylko nie rozumiem, dlaczego tak się boisz w sumie niegroźnego postrzału. Owszem, charric jest niebezpieczną bronią, ale nie dla kogoś, kto posiada zdolności Jedi do leczenia i blokowania bólu, a generał Fel ma rację: musimy cię tu zatrzymać przez jakiś czas.

- To nawet, owszem, rozumiem i pomysł, przyznaję, jest oryginalny, ma tylko jedną małą wadę: ja nie znam ani sposobu blokowania bólu, ani technik leczących - wyznała.

- No, no, tylko bez łgarstw - zganił ją Parek, wskazując na dziurę w kombinezonie. - Twoje ramię przeczy twoim słowom.

- Skywalker mnie wyleczył - odparła, przygotowując się do skoku. - Atu go nie ma, więc jeśli nie zabije mnie szok, to wykrwawię się na śmierć albo...

- Ani jedno, ani drugie - zapewnił ją Fel. - Znam tę broń i to ci nie grozi. A będzie dodatkową motywacją dla Skywalkera, żeby się szybko poddał.

Dał znak Broshowi, który skinął głową i uniósł lekko broń... I z wylotu lufy błysnęła jasnozielona wiązka...

# R O Z D Z I A Ł 2 8

Luke desperacko próbował nawiązać kontakt z Marą, ale bez rezultatów. Co oznaczało, iż musieli zaatakować ją tak błyskawicznie i skutecznie, że nie zadziałał jej zmysł zagrożenia, zanim straciła przytomność. Albo zginęła.

- Nie! - szepnął, czując tętno pulsujące w skroniach: kolejny raz ktoś, kogo darzył uczuciem...

- Nie! - warknął przez zaciśnięte zęby, a miejsce bólu zajęła rosnąca wściekłość. Chcą jedynie zabijać? Jeśli pragną śmierci, pokaże im, jak ona wygląda z bliska. Wystarczy zejść na dół, a przekonają się, co potrafi Moc i miecz świetlny w doświadczonych rękach - niebiesko-skóre ciało odbijające się jak szmaciane lalki od kamiennych ścian, laserowe ostrze tnące broń, ciało i kamień tak, że po jego przejściu pozostaną jedynie trupy... Jego miecz...

Zaskoczony stwierdził, że trzyma go w dłoni. Ale nie ten, który wykonał na Tatooine, lecz tamten, który wiele lat wcześniej wykonał jego ojciec, a który on sam ofiarował Marze...

Wziął głęboki oddech, pozbywając się stopniowo nienawiści i wściekłości. Po paru kolejnych wydechach zrobiło mu się nagle zimno, gdy uzmysłowił sobie, czego omal nie uczynił - tym razem od przejścia na Ciemną Stronę dzielił go tylko krok. Gdyby poddał się nienawiści i zemście, znalazłby się całkowicie tam, skąd nie ma odwrotu... „Jeśli szanujesz to, za co walczą oni...” przypomniały mu się słowa Yody.

- No dobrze - mruknął: nie ma sensu się mścić, skoro nawet nie wie, co się z nią stało. Najpierw musi się tego dowiedzieć.

Oczyścił umysł z resztek gniewu i sięgnął, używając Mocy, ku miejscu, w którym stracił z nią kontakt - jeśli go jeszcze nie zabrali, powinien być w stanie wyczuć jej ciało...

Ale nie wyczuł nic: ani Mary, ani ludzi, ani obcych, którzy powinni być blisko niej, atakując. Prawdę mówiąc, w pewnym rejonie nie wyczuwał w ogóle nic, jakby coś tam blokowało dostęp Mocy...

Nagle odetchnął z ulgą, mając równocześnie ochotę skląć się za głupotę - ysalamiri! Thrawn często ich używał, więc tu niewątpliwie też były. Musieli je umieścić albo przenieść tak, że znalazły się między Marą a nim. A on spanikował, choć powinien się natychmiast zorientować, co się dzieje. I to mimo dzielących ich czterech poziomów. Wyglądało na to, że będzie musiał ponownie przypomnieć sobie uwagi Yody o działaniu pod wpływem silnych emocji. Tylko może później, bo teraz należało działać, a konkretnie wyciągnąć Marę z pułapki.

- Artoo? - powiedział cicho, wyciągając komlink. - Potrzebuję cię cztery piętra niżej. Użyj

nieruchomej rampy za ścianą po prawej stronie od ukrytych drzwi. A Rozbijacz Kamieni niech zostawi kogoś, kto zamknie za wami drzwi, i przyleci tu razem z tobą. Zrozumiałeś?

Odpowiedział mu potwierdzający gwizd droida i ćwierknięcie Qom Jha.

Luke schował komlink i przeszedł do jednego z dalszych kątów, sięgając Mocą w dół. Mógł wyczuć obecność żywych istot na niższym poziomie, ale w wybranym przez siebie rejonie nie odkrył nikogo. Co zresztą mogło nie być prawdą, zwłaszcza że jeszcze nie potrafił uzyskać wyraźnych odczytów umysłów obcych. Tym razem musiał jednak zaryzykować - zaktywizował miecz Mary, wywołując przyływ wspomnień, ujął oburącz rękojeść i wbił błękitno-białe ostrze w podłogę.

Miecz nie wyłączył się, więc odetchnął z ulgą - najbardziej obawiał się, że czarny kamień mógłby mieć właściwości podobne do cortosisu, ale choć przypominało to poruszanie gałęzią pod ostry prąd rzeczny, ostrze przecinało kamienie bez problemów. Wyciął w podłodze okrąg, idąc po jego zewnętrznej stronie i pochylając ostrze tak, by na dole otwór był nieco mniejszy. W ten sposób uzyskał rodzaj czopu, który nie mógł spaść pod własnym ciężarem. Wycięty okrąg miał średnicę nieco większą niż Artoo. Gdy skończył, ponownie sprawdził, czy pod nim nikogo nie ma, po czym, używając Mocy, uniósł wycięty korek.

Okazał się znacznie cięższy niż powinien. Ostrożnie manewrując Luke położył go na podłodze tak, by część krawędzi wystawała nad otwór i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności zajrzał przez dziurę.

Wyglądało na to, że rzeczywiście nikogo tam nie ma, więc opuścił się powoli, trzymając się wyciętego brzegu, i zeskoczył, amortyzując upadek zgiętymi nogami i płynnie przechodząc w przewrót. Dla Jedi nie było to nic godnego uwagi, mógł zatem spokojnie skoncentrować zmysły na sprawdzaniu, czy został zauważony lub usłyszany. Ponieważ niczego takiego nie wyczuł, powoli wstał i rozejrzał się... „Mistrzu Sky Walker?”

Luke uniósł głowę - w otworze zobaczył Dotrzymującego Obietnic, przyglądającego mu się z zaciekawieniem. - Staraj się być cicho - ostrzegł go. - Gdzie reszta?

„Nadlatują szykiem ubezpieczonym, a część pilnuje twojej maszyny, która porusza się wolniej”.

- Daj mi znać, kiedy dotrą tam, gdzie jesteś - polecił Luke, sięgając po Moc.

Na niższym poziomie było więcej obcych, ale kąt, który wybrał, cieszył się minimalnym zainteresowaniem, wobec czego włączył miecz i zabrał się za wycinanie następnego otworu bezpośrednio pod pierwszym. Skończył, odsunął kamienny czop i opuścił się na kolejne piętro, nim cichy gwizd w górze oznajmił przybycie Artoo. - Wspaniale - mruknął, zadzierając głowę i sięgając po komlink.

Artoo ostrożnie zaglądał przez otwory, by po chwili cofnąć się w bezpieczniejsze miejsce.

- Jesteś tam? - szepnął Luke, obserwując przez otwarte drzwi cienie poruszające się w następnym pomieszczeniu. Odpowiedział mu cichy gwizd z głośniczka.

- Widzisz centrum dowodzenia? Chcę, żebyś znalazł gdzieś gniazdo, do którego możesz się podłączyć i wyszukał w komputerze plany fortecy, i co tam jeszcze zdołasz innego. Zrozumiałeś? Aha, i może nie pomył się i nie podłącz do prądu.

Odpowiedziało mu nerwowo urażone ćwierknięcie, po czym połączenie zostało przerwane.

Luke ujął miecz, skoncentrował się na umysłach obcych z niższego piętra i czekał. Nie musiał czekać długo - nagle wszystkie równocześnie zmieniły się, jakby dostrajały się do jednej fali i koncentrowały na tym samym. Ciekawostką było, że nie towarzyszył temu strach, troska czy zaskoczenie. Wszystko odbywało się spokojnie i konsekwentnie, jak przystało na zawodowych żołnierzy. Artoo właśnie uruchomił alarmy, którymi ostrzegła Mara, i załoga mobilizowała się do złapania intruza. Luke kucnął, zdając sobie sprawę, że teraz wszystko zależało od ich strategii -jeśli zostaną na miejscach, czekając na atak, pozostanie mu tylko wyrąbanie sobie drogi do Mary. Jeżeli jednak skoncentrują się na spiralnych rampach i piętrze, na którym objawił się intruz... I tak właśnie postąpili - wszyscy, których obecność czuł piętro niżej, ruszyli ku ruchomej schodni, którą wcześniej zjechała Mara. A to dawało mu otwartą drogę -jeśli będzie mieć szczęście i o ile się pospieszy. Zwłaszcza to ostatnie było istotne - toteż włączył miecz i zajął się wyrzynaniem kolejnego otworu w posadzce.

Skończył i zeskoczył, gdy wyczuł subtelną zmianę w umysłach załogi, na którą czekał: grupy uderzeniowe przygotowywały się do akcji.

- Teraz, Artoo - polecił cicho. - Najpierw Qom Jha, potem ty!

Z głośniczka dobiegło ciche bipnięcie, a Qom Jha, nie tracąc czasu, runęli kolejno w wycięte otwory, zwijając skrzydła, gdy przez nie przelatowali i rozkładając je, by wyhamować, kiedy znajdowali się między nimi. Artoo ostrożnie wysunął kopułę nad skraj otworu i ćwierknął nerwowo, widząc, o ile niżej jest Luke w stosunku do poprzedniego zerknięcia. Ćwierkot zmienił się w pisk, gdy Luke złapał go, używając Mocy, i zaczął opuszczać nogami w dół przez kolejne otwory. Pisk umilkł prawie natychmiast i Luke odetchnął z ulgą: ostatnią rzeczą jakiej potrzebował, był przeraźliwy, opadający, elektroniczny wrzask - od razu miałby obcych na karku.

Ostrożnie odstawił Artoo i sięgnął po najbardziej oddalony kamienny korek. Z tej odległości okazał się jeszcze cięższy, jednak Luke zdołał w ciągu trzech sekund umieścić go bezgłośnie w otworze. Piętnaście sekund później wszystkie czopy tkwiły w otworach.

- Mara jest piętro niżej - poinformował pozostałych, sprawdzając równocześnie, co się tam dzieje.

Wszyscy obcy wyszli i na razie nic w ich stanie emocjonalnym nie wskazywało na to, że zorientowali się, co zrobił. Natomiast nie mógł wyczuć grup uderzeniowych, wywnioskował więc, że zostały wyposażone w ysalamiri. Nie było to miłe, ale chwilowo przebywały zbyt daleko, by musiał się nimi martwić.

- Trzymajcie się blisko - polecił, uaktywniając ostrze i zabierając się za ostatni otwór. - Spróbujemy, na ile się da, zachować ciszę.

„A kiedy nas odkryją?”, zaciekał się Dziecko Wiatrów.

Luke spojrział na niego, zaskoczony - dotąd nie zdawał sobie sprawy, że i on przyleciał wraz z Qom Jha, choć należało się tego spodziewać, bo zapomniał kazać mu pozostać w ukrytym przejściu. Teraz i tak było już za późno.

- Jak nas zauważą, rozdzielimy się. Wy macie lecieć we wszystkie strony naraz i zrobić jak najwięcej zamieszania. Odciągnijcie ode mnie tyłu z nich, ilu się tylko da, a potem poszukajcie drogi ucieczki i wracajcie do domu.

„Wykonamy twoje polecenie”, zapewnił go Rozbijacz Kamieni.

- I nie dajcie się zabić - dodał Luke, unosząc czop. - Dziecko Wiatrów, zostaniesz z Artoo i ze mną.

Pomieszczenie w dole wyglądało na równie puste jak wtedy gdy je sprawdzał przy użyciu Mocy, więc nie tracąc czasu opuścił się i zeskoczył. Ten poziom, w przeciwieństwie do wyższych, składał się z normalnych pokoi i korytarzy, a nie przestrzeni ogrodzonych ściankami działowymi, co akurat stanowiło utrudnienie w niezauważalnym podejściu do celu.

Przez kilka pierwszych minut wszystko szło zgodnie z planem - Luke prowadził, kierując się ku pustej przestrzeni oznaczającej skupisko ysalamiri i unikając zbrojnych grup poruszających się po tym samym piętrze. Na szczęście nie było ich wiele i tylko dwa razy musiał używać Mocy do wywołania odległych hałasów, by odwrócić ich uwagę. Załoga sprawiała wrażenie dobrze wyszkolonej i metodycznej, co dawało nadzieję, że uda mu się niepostrzeżenie dotrzeć do Mary.

Hanowi pewnie by się udało, ale on nie miał tyle szczęścia - prawie dotarli do celu, gdy w obcych umysłach wyczuł zmianę, której się obawiał. Albo znaleźli dziurę, albo zakończyli przetrząsanie piętra, na którym powinien być, i doszli do logicznych wniosków. Niezależnie od przyczyny, informacje błyskawicznie dotarły do pozostałych grup - najwyraźniej dysponowali doskonałym systemem łączności. A to oznaczało poszukiwania w całej okolicy i zaalarmowanie pilnujących czy też przesłuchujących Marę. Czyli inaczej rzecz ujmując: właśnie skończył im się czas.

- Zaraz się zacznie zabawa - poinformował Qom Jha, wyglądając ostrożnie za narożnik korytarza.

Z prawej strony, tuż za skrzyżowaniem dwóch korytarzy, dostrzegł niczym nie oznaczone drzwi. Z tego, co udało mu się wyczuć, w przeciwległym końcu pokoju, do którego prowadziły, znajdowały się ysalamiri.

- Idę tam - zdecydował. - Artoo i Dziecko Wiatrów ze mną, reszta zaczyna dywersję.

„Wykonujemy, Mistrzu Sky Walkerze”, odparł Rozbijacz Kamieni i wraz z Qom Jha zniknęli wśród

łopotu skrzydeł.

- Trzymajcie się za mną! - rozkazał Luke i skoczył ku drzwiom, uaktywniając miecz Mary.

Złapał za klamkę, przekręcił ją i pchnął drzwi jednym ruchem, w następnej sekundzie wskakując do wnętrza. I stwierdził, że źle obliczył.

Pomieszczenie było długie i pogrążone w półmroku. Większą jego część z lewej strony wypełniały sterty skrzyń. No i nigdzie nie dostrzegł śladu Mary. Dopiero drugi rzut oka wykazał, że nie pomylił się aż tak dalece, jak się obawiał - oparty o tylną ścianę stał tu rząd ram z ysalamiri. Artoo ćwierknął pytająco.

- Jest w następnym pokoju, za tą ścianą - rzucił Luke przez ramię, biegnąc ku niej. Jeśli przesłuchujący nie byli wrażliwi na Moc, nie mieli możliwości stwierdzenia, czy bariera utworzona przez ysalamiri znajduje się nadal na miejscu. Jeżeli zdąży przestawić odpowiednią liczbę ram, da Marze dostęp do Mocy. Razem powinno im się udać... Zatrzymał się przed jedną ze stojących pośrodku ściany ram, czując rozstrajającą ciszę wypełniającą jego umysł, gdy znalazł się w zasięgu generowanego przez ysalamiri bąbla. Położył miecz na podłodze, złapał ramę i odniósł kilka kroków w bok. Na szczęście okazały się niezbyt ciężkie, bo nie mógł teraz wspomagać tężyzny fizycznej Mocą. Wrócił pod ścianę, złapał następną ramę i w tym momencie rozległ się ostrzegawczy pisk Artoo.

Było to jedyne ostrzeżenie, a Luke, przyzwyczajony do korzystania z Mocy, nie był gotowy. Uniósł głowę, puścił ramę i odskoczył, wyciągając jednocześnie dłoń po leżący na podłodze miecz w otwartych drzwiach stał na ugiętych nogach i w klasycznej postawie strzeleckiej jeden z niebieskoskórych z ramą na plecach. Jeszcze nie wycelował dokładnie, toteż Luke cofnął się o następny krok, czując ponowny przyływ Mocy. Tym bardziej go zdumiało, dlaczego jeszcze nie ma w dłoni miecza...

I nagle zrozumiał - on sam znajdował się poza zasięgiem ysalamiri, ale miecz nie. A obcy właśnie dokładnie wycelował.

- Nie ruszaj się! - rozkazał w chropawym wspólnym, ale jak najpoważniejszym tonem.

Artoo ruszył w jego stronę, błyszczące czerwone oczy spojrzały ostrzegawczo na droida...

I z sufitu, z wrzaskiem na wpół strachu, na wpół wyzwania, spadł Dziecko Wiatrów, lądując z wyciągniętymi szponami na rękę trzymającej broń.

Obcy strzelił, ale błękitny promień poszedł bokiem, trafiając w jedną ze stojących pod ścianą ram. Luke rzucił się do tyłu w przeciwnym kierunku, kryjąc się za skrzyniami i odczepiając od pasa swój miecz, cały czas grzecznie tam wiszący. Siłą rozpędu wpadł na inną ramę i przewrócił ją na podłogę. Odbijając się od ściany przez sekundę czuł obecność Mary, nim znalazł się w zasięgu dwóch innych ysalamiri i ponownie ukrył za skrzyniami. Zdołał jej przekazać polecenie, żeby grała na zwłokę. Wyczuł, że nic się jej nie stało i że są z nią tak ludzie, jak i obcy. Nie tracąc czasu uruchomił broń i

pobiegł wzdłuż rzędu ram, zastanawiając się przelotnie, czy zdąży dotrzeć do końca bąbla, zanim obcy ponownie weźmie go na muszkę.

Niewiele brakowało i przez moment wydawało się, że Qom Qae zapłaci życiem za swą odwagę - niebieskoskóry bowiem nie próbował odczepić go ze swej prawej ręki, tylko trzepnął na odlew lewą i przełożył do niej broń. W pierwszym odruchu chciał odstrzelić latającego napastnika, ale dostrzegł nadbiegającego Luke'a, więc wybrał groźniejszy cel i nacisnął spust.

Te kilka sekund, które Luke'owi dał atak Dziecka Wiatrów, było jednak decydujące - Luke znalazł się poza zasięgiem ysalamiri, a kiedy miał do dyspozycji Moc, pojedynczy strzelec w żaden sposób nie mógł go trafić. W pełnym biegu odbił kolejne strzały, zmuszając obcego do uskoczenia w bok. Strzelec zdecydował się na skok w prawo; prawdopodobnie chciał wykorzystać Artoo jako osłonę, ale nie miał ku temu okazji - ledwie znalazł się za droidem, z korpusu astromecha strzeliło błękitne wyładowanie, trafiło go prosto w pierś i powaliło na podłogę.

Luke w dwóch susach dopadł porażonego prądem, wykopał mu broń z ręki i ponownie poczuł pustkę, znajdując się w zasięgu ysalamiri, którego tamten miał na plecach. Leżący spojrzał pałającymi czerwonymi oczami na opadający miecz świetlny i zobaczył zbliżającą się śmierć...

Nie dostrzegł, że Luke w połowie cięcia wyłączył ostrze i trzepnął go w tył głowy ręką, pozbawiając przytomności zamiast życia.

- Nic ci nie jest? - spytał Qom Qae, pomagając mu odczepić pazury wbite w dłoń nieprzytomnego. Z głębokich ran kłutych sączyła się czerwona krew.

„Nic”, odparł nieco wstrząśnięty Dziecko Wiatrów. „Dlaczego go oszczędziłeś?” - Bo nie musiałem zabijać - Luke przyjrzał się Artoo: ten też wyglądał na nieco wstrząśniętego, ale spokojnie schował w kadłub spawarkę. - Dziękuję wam za pomoc. A teraz do roboty: Mara nas potrzebuje.

Podbiegł szybko do ściany i zaczął odrzucać ramy z ysalamiri - cisza przestała mieć znaczenie, za to pośpiech nabrał ogromnego. W ciągu tej sekundy kontaktu wyczuł groźbę użycia broni, więc szybkość była zrozumiała. Odrzucił pięć ram i stanął blisko ściany.

I przez kalejdoskop uczuć i bezużytecznych pomysłów taktycznych przebiegających przez jej głowę zobaczył czterech obcych, celujących do niej. Oparł czoło o ścianę, wzmocnił słuch i zdołał wychwycić stłumiony przez kamień jej głos:

- Skywalker mnie wyleczył. A tu go nie ma, więc jeśli nie zabije mnie szok, to wykrwawię się na śmierć, albo...

- Ani jedno, ani drugie - przerwał jej męski głos. - Znam tę broń i to ci nie grozi, a będzie dodatkową motywacją dla Skywalkera, żeby się szybko poddał.

Luke nie czekał dłużej: wyprostował się, włączył miecz, sięgnął po Moc i skoncentrował się. Zdawał



sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę i jeśli nie trafi idealnie... Nagle w jego umyśle pojawił się zadziwiająco wyraźny obraz obcego, stojącego plecami do ściany i unoszącego broń ku Marze.

Po drugiej stronie muru precyzyjnie odgrywana i dotychczas statyczna scena uległa gwałtownemu przeobrażeniu.

Luke przeciągnął ostrzem w dół, wycinając przejście tak szybko, jak na to pozwalał czarny kamień, a Mara zaatakowała. Przeskoczyła fotel i ukryta za jego oparciem sięgnęła po Moc, a potem, przy jej pomocy, po broń przeciwników. Jednemu wyszarpnęła ją z rąk, innemu wykręciła tak, że strzelił w sufit, przed wiązką z trzeciej uchyliła się - strzał trafił w róg fotela, rozsiewając po drodze kropelki roztopionego metalu. Kilka z nich spadło jej na policzek...

Luke czuł to wszystko, a potem już nie musiał się wysilać - wycięty fragment ściany runął z łomotem do środka i mógł zobaczyć przykucniętą za fotelem Marę. Rzucił jej swój miecz, sięgając równocześnie Mocą po jej broń, leżącą na podłodze... I czując wręcz wypełniające jego umysł fragmenty wspomnień z Tatooine, Hoth czy Bespin, wywołane przez znajomą rękojęść, wkroczył do walki.

Błękitno-białe ostrze migotało w jego dłoniach, odbijając wiązki energii i rozcinając broń, z której zostały wystrzelone. Jeden z obcych skoczył ku niemu w wibronożem w dłoni - zanim dotarł, Luke złapał go, używając Mocą, i cisnął na dwóch innych, sięgających po własne ostrza... - Stać! - rozległ się nagle czyjś rozkaz.

Niebieskoscórzy znieruchomieli, nie spuszczać pałających czerwonych oczu z Luke'a, który przyglądał się im, gotów do odparcia kolejnego ataku. Tego, który wydał rozkaz, widział kątem oka - był to szpakowaty mężczyzna w uniformie imperialnego admirała.

- Nie ma sensu, by ktokolwiek tutaj zginął - dodał admirał. - Pozwólcie im wyjść. Luke sięgnął ku niemu zmysłami wyostrzonymi przez Moc, ale i admirała, i drugiego obecnego w pomieszczeniu oficera w imperialnym kombinezonie nadal chroniły pozostawione przy ścianie ysalamiri. - Mara? - spytał nie odwracając się.

- A jak ci się wydaje? - odparła i podeszła do niego z gotowym do użycia mieczem. - Próbuje ocalić życie.

- Naturalnie, że próbuję - przyznał spokojnie admirał. - Podobnie jak życie moich żołnierzy. Thrawn dokładnie wbił do głowy wszystkim swoim oficerom, żeby nigdy nie marnowali bez powodu życia choćby jednego żołnierza. A ogólnie wiadomo, że Mistrz Jedi Luke Skywalker nie zabija bez potrzeby. Ostatniemu zdaniu towarzyszył chłodny uśmiech.

- Próbuje też zyskać na czasie - dodała Mara. - Prawdopodobnie gdzieś w pobliżu organizują już zasadzkę albo nawet kilka.

- W takim razie lepiej stąd wyjdźmy - oznajmił Luke. - Jak uważasz: wziąć któregoś jako

zakładnika?

- Nie. Parek jest za stary i tylko spowolni nasze tempo, Chissom nie ufam: mogą przy każdej okazji stwarzać problemy, a Fel zrobi to na pewno.

Luke zamrugał, pierwszy raz koncentrując uwagę na pilocie...

- Witaj, Luke - odezwał się Soontir Fel. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Rzeczywiście dawno - mruknął, zaskoczony tym, że Fel znów jest po stronie Imperium.

- Może spotkanie weteranów Eskadry Łotrów odłożymy na inną okazję? - zaproponowała Mara, trącając go w bok. - Raczej nie mamy zbyt wiele czasu.

- Fakt - przyznał Luke, cofając się ku otworowi w ścianie.

- Przemyśl naszą propozycję, Maro - dodał Parek. - Przekonasz się wkrótce, że czeka cię tu największe wyzwanie w twoim życiu.

- A wy przemyślcie moje ostrzeżenie i trzymajcie się z dala od Bastionu.

- Zrobimy to, co będziemy musieli - Parek lekko potrząsnął głową.

- W takim razie ja też - obiecała Mara. - Tylko nie mówcie, że was nie ostrzegałam. - Próbuj - uśmiechnął się Fel.

- Być może twoja obawa, co Imperium zdoła zrobić, dysponując naszymi informacjami, okaże się dodatkową motywacją do przyłączenia się do nas - dodał Parek. - Jak by nie było, jestem pewien, że jeszcze się zobaczymy.

- A, to faktycznie jest pewne - zgodziła się Mara. - Nie mogę się już doczekać.

# R O Z D Z I A Ł 2 9

Luke puścił Marę przodem, a gdy zniknęła w otworze, powoli wycofał się w ślad za nią.

- To chyba twój - stwierdził, wyłączając miecz i podając jej rękojęść.

- Dzięki - zrewanżowała się tym samym. - Ciekawy chwyt ma rękojęść twojego. I jest chyba lepiej wyważona.

- Pamiętaj o tym, jak będziesz robiła własny. - Luke wyjął z kieszeni miotacz wraz z kaburą i również jej podał. - Masz i uważaj: niektórzy noszą na plecach ramy z ysalamiri.

- Wiem - podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała. - Nikogo nie ma, ale długo to nie potrwa. Jaki masz plan? Z powrotem do tunelu?

- Niestety, kazałem Qom Jha go zamknąć - Luke podszedł do niej, nie spuszczać wzroku z własnoręcznie wyciętej dziury, nieco zdziwiony, że nikt nie próbował z niej skorzystać.

Najwyraźniej Parek rzeczywiście nie ryzykował bez potrzeby życiem podkomendnych, co znaczyło, że Mara chyba miała rację -przygotowywali zasadzkę.

- Dziecko Wiatrów, złap się mocno czegoś i siedź na kopule Artoo - poleciał, przeszukując korytarz Mocą. - Nie chcę, żebyś się zgubił.

- Albo latał, gdzie nie trzeba - dodała Mara. - Dokąd zatem idziemy?

Zanim Luke zdołał odpowiedzieć, Artoo wyjechał na korytarz i natychmiast skręcił w lewo. Qom Qae balansował na szczycie jego kopuły, nie bardzo mając się czego przytrzymać.

- Chyba chce prowadzić - domyślił się Luke i ruszył za droidem. - Musiał zdążyć znaleźć plany fortecy, nim uruchomił alarm w komputerze.

- Albo szuka gniazdka, żeby się doładować - Mara poszła w jego ślady. - Jak dobry jesteś w namierzeniu pojedynczych ysalamiri?

- Gorszy niż w przypadku grup - przyznał i zaczął sondować Mocą otoczenie.

Wszędzie wokół czuł ponurą determinację obrońców, przygotowujących się do walki i... Pusta przestrzeń z prawej była tak niewielka, że prawie ją przeoczył. - Uważaj - warknął, stając i

obracając się równocześnie.

Uniósł miecz w chwili, gdy otworzyła się półmetrowa kłapa w ścianie. Z otworu wysunęła się lufa, a za nią dostrzegł w mroku parę czerwonych świecących oczu i matowy poblask metalowej ramy nad nimi...

Stojąca za nim Mara strzeliła. Luke z zaskoczeniem stwierdził, że nie pomiędzy pałające oczy, lecz wyżej. Coś w jego umyśle zawyło z bólu i umilkło, a otaczający przeciwnika bąbel pustki zniknął. Broń obcego wypluła błękitny strumień energii, ale zablokował go bez trudu, podobnie jak i następny strzał. Kolejnego nie było, gdyż strzelec zwałił się, trafiony przez Marę.

- Jak miło, że ogłuszanie na nich działa - oceniła, przyglądając się miotaczowi. - Można wiedzieć, dlaczego go nie zabiłaś? - spytał, sondując okolicę.

- To ty podobno chcesz, żebym zachowywała się jak Jedi, nie? - rzuciła przez ramię. - A poza tym przełącznik znajdował się w tej pozycji, kiedy zaczęłam strzelać. Gorzej, że ta zabawka ma mały zasięg. Mniej więcej tyle, co splunięcie banthy, więc jeżeli okażą się cwani i zaczną trzymać dystans, będziesz musiał blokować strzały, zanim załatwię ysalamiri. Już idę, czego się denerwujesz?

Pytanie skierowane było do Artoo, który zatrzymał się parę metrów przed nimi i poćwierkiwał niecierpliwie, kręcąc kopułą.

- Da się zrobić - Luke przyspieszył. Czuł coś groźnego, formującego się za jej barierami psychicznymi: przez moment zastanawiał się, czy o to nie spytać, ale sama siła, z jaką ukrywała przed nim owo coś sugerowała, by tego nie robić. - Wiesz, co oni planują?

- Bezpośrednio chcieliby uziemić nas na parę dni. Wykombinowali sobie, że najskuteczniej osiągną cel, jeśli zmuszą nas do uzdrawiającego transu, stąd ta kanonada. - Przyjemniaczki.

- Długofalowo zaś czekają na powrót Thrawna. - Owo coś w jej umyśle stało się jeszcze bardziej ponure. - A ponieważ sądzą, że mógł się zjawić na Bastionie, Parek postanowił polecieć tam i go poszukać.

- I przekazać to wszystko Imperium?! - Luke poczuł dziwny chłód.

- A owszem. To znaczy oni wierzą, że tego nie zrobią, ale oszukują sami siebie. Kiedy Imperium dowie się o ich istnieniu, znajdzie sposób, żeby ich wykorzystać do własnych celów. Nie mamy najmniejszych wątpliwości, jakkolwiek by to z pozoru nie wyglądało.

Artoo ćwierknął i skręcił w prawo, w odchodzący w bok korytarz.

- Dokąd my właściwie idziemy? - spytała Mara, przytomniejąc.

- Pojęcia nie mam - Luke zmarszczył brwi.

O dwadzieścia metrów przed nimi korytarz krzyżował się z poprzecznym, co z jakiegoś powodu przywołało w umyśle Luke^ inny korytarz z rozgałęzieniem, w bazie Cavrilhu... Bezpośrednio przed nimi wyrosła nagle ściana i skupisko ysalamiri. Artoo bipnął zdziwiony i zatrzymał się przed blokującą dalszą drogę przeszkodą. - Artoo, wracaj! - warknął Luke, unosząc miecz i długim krokiem wychodząc przed Marę. - To pułapka!

Nim skończył, ściana eksplodowała na miliony błyszczących drobin i zniknęła, ukazując dalszy ciąg korytarza, pełen stojących ramię przy ramieniu obcych. Było ich dwunastu, każdy miał w dłoniach broń, a na plecach ramę z ysalamiri. Razem blokowali korytarz od ściany do ściany.

Artoo pisnął, wrzucił wsteczny i najszybciej jak mógł potoczył się z powrotem, z desperacko próbującym nie spaść Qom Qae na szczycie. Luke ledwie to zauważył, koncentrując uwagę na przeciwnikach i odprężając się, by umożliwić Mocy kierowanie swymi ruchami, jak zawsze przy tego typu okazjach. Tym razem sytuacja była jednak trudniejsza, bo ysalamiri odcinały dostęp do umysłów strzelców i pozbawiały go tej części sekundy, która upływała między decyzją a strzałem, co zawsze dawało mu dość czasu na przygotowanie się i zablokowanie wiązki ostrzem miecza. Zza pleców słyszał rytmiczne strzały - Mara systematycznie eliminowała ysalamiri, toteż robił co mógł, by zapewnić jej osłonę...

Usłyszał okrzyk Dziecka Wiatrów, ale nie marnował czasu na jego zrozumienie, bowiem za linią strzelców dostrzegł coś jakby ruch i nagle wszyscy przyklękli... Odsłaniając drugi szereg, który zbliżył się za ich plecami.

Nagle w powietrzu zrobiło się gęsto - dwadzieścia cztery lufy w normalnych warunkach stanowiły dużą trudność, w tych wynik był jasny; pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy dostanie pierwszy raz. Niedługiego czasu.

Usłyszał przekleństwo Mary i zarejestrował przerwę w prowadzonym przez nią ostrzale. Zanim zrozumiał, co to oznacza, miotacz za jego plecami odezwał się ponownie - tym razem trafieniu towarzyszył łoskot padającego z dziurą w głowie Chissa. Mara miała dość marnowania czasu na głuszenie zwierząt. Zdwoił wysiłek, zdając sobie mętnie sprawę, że jeśli Parek w porę wysłał posiłki, które znajdą ich z boków czy z tyłu, oboje będą skończeni, i to błyskawicznie. Dziecko Wiatrów wrzasnął coś ponownie... W tym momencie z bocznych korytarzy wypadły dwie formacje Qom Jha i włączyły się do walki. Było to tak zaskakujące, że strzelcy nie zdążyli zareagować, a latający napastnicy przemknęli nad głowami stojących, złapali za górne poprzeczki ram i wykorzystując swój impet przewrócili cały szereg strzelców na plecy. - Biegiem! - polecił Luke, ruszając ku klęczącym.

Qom Jha tymczasem zawrócili z niesamowitą wręcz precyzją i wykonali powtórny atak, tym razem przewracając klęczących, tyle że do przodu. Luke przystanął i przestał wywijać mieczem, jako że nikt już do nich nie strzelał. Mara minęła go i metodycznie eliminowała skłębionych beładnie strzelców, tworzących dwie malownicze kompozycje na podłodze. Qom Jha trzymali się blisko sufitu, żeby nie oberwać, bo choć przestawiła miotacz na ogluszanie, nie było to miłe doświadczenie. Kiedy Luke do

niej dotarł, ostatni z niebieskoskórych przestał się ruszać.

- Niezła zabawa - oceniła, przestawiając przełącznik broni i spoglądając w głąb korytarza. - Mam nadzieję, że nie zdążyli przygotować więcej takich niespodzianek. - Nie sądzę, żeby mieli gdzie, bo wydaje mi się, że prawie dotarliśmy do celu, cokolwiek nim jest - odparł Luke, czując, jak zaczynają mu drżeć ręce, wraz z opadającym napięciem, a rosnącym zmęczeniem.

Artoo pojechał w lewo i gdy jego śladem minęli zakręt, zobaczyli kolejne rozwidlenie korytarzy, a zaraz za nim jeden kończył się masywnymi drzwiami, wyposażonymi w obrotowy uchwyt blokujący zamek i system uchwytów, podobnie jak drzwi prowadzące z ukrytego przejścia.

- Zbierz swoich i lećcie za nami - polecił Luke Rozbijaczowi Kamieni.

Po czym wyłączył miecz i podbiegł do drzwi, przed którymi zatrzymał się Artoo. Przypiął broń do pasa, złapał za koło i przekręcił. Drzwi rzeczywiście były ciężkie, toteż otworzyły się powoli, wpuszczając podmuch świeżego powietrza.

„Na krwawe przestworza!”, zdumiał się Rozbijacz Kamieni. „Cóż to za miejsce?” - Nasza droga na zewnątrz - wyjaśnił z mimowolnym podziwem Luke, przyglądając się ustawionym w równych rzędach na czarnej kamiennej posadzce maszynom, identycznym jak te, które próbowały go zestrzelić, gdy przyleciał po Marę. - No proszę - przyznała z podziwem Mara. - A z zewnątrz hangar wyglądał na całkiem mały.

- Musi sięgać głębiej niż sugeruje dach - zgodził się Luke, zastanawiając się, w jaki sposób tak ciasno ustawione maszyny mogą mieć zapewnioną właściwą obsługę techniczną.

Odpowiedź znajdowała się pod sufitem - w postaci plątaniny metalowych szyn i przejść, z której zwisały wszystkie akcesoria potrzebne do naprawy, przeglądu czy tankowania. - Musi ich tu być z setka - ocenił.

- Co najmniej - zgodziła się z coraz bardziej ponurą determinacją.

Luke już miał ją o to zapytać, gdy wyczuł coś dziwnego za plecami.

- Z tyłu! - Mara zrobiła półobrót i dwukrotnie strzeliła ponad jego ramieniem w stronę otwartych drzwi.

Luke odwrócił się, chwytając miecz i uaktywniając go. Z bocznego korytarza wyszło kilku obcych, którzy teraz cofali się, by nie stanowić celu dla Mary.

- Strzelaj dalej - polecił, a sam przyjrzał się drzwiom.

Od strony hangaru nie miary koła blokującego - pozostała po nim tylko dziura w kamieniu, przez którą mógł obejrzeć mechanizm zamka i jego działanie, gdy pokręcił tym pozostawionym od strony

korytarza. Ustawił je w pozycji „otwarte” i odciął tuż przy drzwiach, a potem pchnięciem zamknął je, uważając, by nie wejść Marze w linię ognia.

„Ale nie są zamknięte”, zauważył Rozbijacz Kamieni. „I można je otworzyć, tylko z większą siłą”.

- Jeszcze można - odparł Luke, kucając i spoglądając przez otwór na mechanizm zamka.

Bez koła operacja była trudniejsza, ale przy użyciu Mocy, poganiany świadomością zbliżania się pościgu, w dziesięć sekund zamknął i zablokował mechanizm, na ile mógł.

- Długo ich to nie powstrzyma - ostrzegła Mara. - Najwyżej przejdą po dachu i wejdą od drugiego końca hangaru.

- Wiem - przyznał, spoglądając w stronę, w którą skierowano wszystkie pojazdy.

Jak się słusznie domyślili, patrząc z góry, cały przód był otwarty i osłonięty jedynie skośnym daszkiem chroniącym przed deszczem czy śniegiem. Z całą pewnością nie zbudowano go z myślą o takiej ilości sprzętu.

- Ale powinno ich to przyhamować na tyle, żebyśmy zdążyli któryś pożyczyc i odlecieć - wyjaśnił.

- I wtedy będziemy się martwić już tylko artylerią przeciwlotniczą na wieżach - dokończyła zwięźle, mijając go i znikając między dwoma rzędami jednostek. - Musimy wziąć któryś z pierwszego rzędu, bo prędzej się rozbijemy niż wystartujemy. Spróbuję go uruchomić, a ty wymyśl sposób na unieruchomienie pozostałych z tego rzędu, bo inaczej zaraz będziemy mieli pościg na ogonie.

- Jasne. Artoo, jedź za Marą i pomóż jej zorientować się w kabinie i systemach. Dziecko Wiatrów, leć z nimi, a pozostali Qom Jha najlepiej wracajcie do domu, póki możecie. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

„Dotrzymaliśmy umowy Mistrzowi Sky Walker i zrobiliśmy to, co przyrzekliśmy”, oznajmił Rozbijacz Kamieni. „Teraz ty dotrzymaj słowa i przegoń stąd Zagrożających”. I odleciał, a w ślad za nim pozostali.

- Zobaczymy, co się da zrobić - mruknął Luke, sprawdzając drzwi i korytarz.

Był pusty - najwyraźniej załoga zdecydowała się nie marnować czasu na forsowanie drzwi z wyjątkowo odpornego na perswazję kamienia. Zwłaszcza że alternatywa była bardziej niż kusząca.

Trzydzieści sekund później, podążając za odgłosami jadącego astromecha, Luke dotarł do przedniej części hangaru, gdzie znalazł Artoo i Qom Qae, który usiłował nie spaść z obracającej się w tę i z powrotem kopuły rozglądającego się z zainteresowaniem droida. Luke też się rozejrzył - w pierwszym rzędzie brak było jednej maszyny i nigdzie nie dostrzegł śladu Mary. - Artoo, gdzie ona jest? - spytał.

Odpowiedziało mu przeczące ćwierknięcie nadal rozglądającego się astromecha. Luke sięgnął po Moc...

- Na co czekacie? - zdziwiła się Mara, nadbiegając z tyłu. - Trzeba je unieruchomić!

- Na ciebie - Luke zmarszczył brwi: ponury sekret nadal tkwił w jej umyśle, lecz oprócz niego pojawiło się też coś nowego, głęboki żal i zdecydowanie - jakby właśnie wydarzyło się coś naprawdę ważnego. - To przestańcie - warknęła, uruchamiając blokadę śluzu najbliższej jednostki. Blokada puściła, coś w górze syknęło i drzwi śluzu otworzyły się, zwalniając drabinkę, która opadła aż do podłogi.

- Wygląda na to, że któregoś brakuje - zauważył Luke.

- Parek mówił, że czekają na jego powrót - Mara wspięła się na pierwszy szczebel. - Nic na to nie poradzimy, więc zajmij się pozostałymi. I zniknęła wewnątrz maszyny.

- Jasne - mruknął Luke, wykorzystując Moc, by unieść Artoo i umieścić go w śluzie.

Następnie podszedł do najbliższej jednostki i obejrzał ją uważnie. Nie dało się ukryć, że maszyna była wielozadaniowa, ale opracowano ją z myślą o głównym wykorzystaniu w roli myśliwca. Chociaż trzykrotnie większego niż tradycyjny typu X i wyposażonego w cztery panele słoneczne, typowe dla rodziny konstrukcyjnej TIE, zgrabnie połączone z obcymi rozwiązaniami technicznymi. Oprócz normalnego napędu maszyna została wyposażona w silnik antygravitacyjny, a to nasunęło mu pomysł. Zajrzał pod spód - dolną powierzchnię kadłuba pokrywał diamentowy wzór ogniów antygravitacyjnych zgrupowanych w dwóch pasach. Wystarczyły cztery cięcia mieczem, aby przestały być zdatne do użytku. Luke uśmiechnął się i pobiegł ku kolejnej maszynie, omijając wspornik podwozia.

Unieruchomił siedem, czyli połowę, gdy wyczuł zmianę w stanie emocjonalnym Mary. Chwilę później myśliwiec, do którego wsiadła, uniósł się powoli, wykonując ostrożne i nieco kanciaste manewry - typowe w sytuacji, kiedy za sterami siedział nie znający maszyny pilot.

- Mamy towarzystwo - odezwał się komlink Luke'a jej głosem.

Luke skoncentrował się i rzeczywiście wyczuł zbliżających się po dachu Chissów i puste miejsca świadczące o niesionych ysalamiri. - Pospiesz się, spróbuj ich zająć - dodała.

I dotrzymała słowa - kiedy Luke kończył uszkadzać ostatnią maszynę z pierwszego rzędu, kanonada w hangarze grzmiała aż miło - błękitne smugi energii z broni ręcznej krzyżowały się z niebieskimi strzałami z laserów pokładowych. Dał jej w myślach znać, że już skończył i pobiegł, osłaniany przez płatowce, do miejsca, skąd mógł zobaczyć pole walki toczącej się przy wlocie do hangaru. Polecenie Mary, by był gotów, prawie zbiegło się z wynurzeniem się jej myśliwca znad okapu i niezbyt udanym przyziemieniem. Maszyna odbiła się od kamiennej podłogi, nim znieruchomiła, ale Luke już biegł ku niej od strony rufy. Śluza, którą weszła Mara, była otwarta, choć drabinka została schowana, co akurat nie robiło mu różnicy - użył Mocy, wybił się i skoczył, lądując we wnętrzu i jedynie rękami



amortyzując upadek na pokład.

- Leć! - krzyknął i uruchomił Mocą mechanizm zamykający.

Mara nie potrzebowała zachęty - myśliwiec skoczył do przodu i pomknął w górę, żegnany chmurą laserowego ognia.

„Jesteśmy bezpieczni?“, spytał Dziecko Wiatrów, wciśnięty w cofnięty fotel i kurczowo trzymający się pasów.

- Sądzę, że tak - ocenił Luke, czując, że nadal nabierają wysokości. - Z ręcznej broni nic nam nie zrobią, a jeśli szybko nie użyją ciężkiej, to...

- Chodź tutaj - z kabiny rozległ się napięty głos Mary, więc wstał pospiesznie i sięgnął ku jej umysłowi: owo ponure coś nadal tam tkwiło, ale przytłumione mieszaniną uczuć, których nawet nie próbował zidentyfikować.

Przeszedł obok Artoo, mruczącego coś do siebie we wnęce przeznaczonej dla astromecha, i siadł w fotelu drugiego pilota. - O co chodzi?

- Przyjrzyj się fortecy - poleciała, kładąc maszynę w szeroki, wolny skręt.

- Zaczęli strzelać z wież? - zdziwił się Luke, bo nic takiego nie zauważył.

- Nikt do nas nie strzela, więc możesz na chwilę zapomnieć o strategii i logistyce. Po prostu przyjrzyj się fortecy. No, pooglądaj ją sobie z lotu ptaka.

Luke spojrzał w dół. Fortyfikacja istotnie prezentowała się imponująco - mury, płaski, zaokrąglony i opadający w jedną stronę dach, z hangarem mniej więcej w połowie długości i czterema wieżami w tylnej, zaokrąglonej części oraz jedną, wysuniętą ku przodowi...

- Popatrz na nią po prostu - powtórzyła cicho. I nagle zobaczył.

- O cholera!

- Prawie zabawne, no nie? - głos Mary brzmiał nieco głucho. - Automatycznie odrzuciliśmy pomysł, że „Ręka Thrawna” to superbroń, bo Thrawn nigdy jej nie używał. A to właśnie jest superbroń, i właśnie taka, jakiej użyłby strateg jego klasy. Jedyna, jakiej potrzebował.

Luke przypomniał sobie holomapę i zaznaczony na niej obszar objęty kontrolą Thrawna - wystarczający, by mógł stanowić decydującą siłę w każdym starciu. - Informacje - powiedział cicho. - Informacje - przytaknęła.

Ponownie spojrzał na leżącą w dole fortecę o płaskim dachu, czterech wieżach i piątej usytuowanej

nico z boku. Wyglądała jak otwarta dłoń, sięgająca gwiazd. Jak Ręka Thrawn.

Zaledwie kilometr od samej fortecy, ale osłonięte spadzistą granią, uniemożliwiająca jego dostrzeżenie, znajdowało się dość obszerne zagłębienie w skale. Mara wylądowała tam po paru ostrożnych manewrach i ustawiła maszynę najbliżej ściany jak tylko potrafiła. Od góry osłaniał ich nawis, z trzech stron skała -kryjówka była prawie doskonała. Wyłączyła silniki i resztę systemów, i zmęczona opadła na fotel. Przynajmniej chwilowo byli bezpieczni. Chwilowo.

Z tylnego fotela dobiegł pytający świergot, ale nawet nie próbowała go zrozumieć. - Co powiedział?

- Pyta, co teraz zamierzamy zrobić - przetłumaczył Luke. -Całkiem sensowne pytanie, prawdę mówiąc.

- Siedzieć - odparła rzeczowo, przyglądając się krytycznie Luke'owi i kilku świeżym oparzeniom po strzałach, których nie zdołał do końca sparować, a których ból automatycznie i prawie podświadomie zablokował. - Wyglądasz, jakbyś tęsknił za paroma godzinami uzdrawiającego transu.

- To może poczekać - oświadczył zdecydowanie. - Robi się ciemno, a moje uszkodzenia nie powstrzymają ich zbyt długo. Musimy wrócić, zanim zorganizują poszukiwania z powietrza.

- Wątpię, żeby się aż tak starali. Po pierwsze te sensory są prawie bezużyteczne w poszukiwaniach naziemnych, a po drugie znacznie łatwiej mogliby przeszukać okolicę, w której sądzą, że zostawiliśmy nasze myśliwce, po prostu na piechotę.

- Uważasz, że nie będą się bali, iż wrócimy do twierdzy? - I co zrobimy?

- Mogłabyś skonkretyzować pytanie? Wzięła głęboki oddech i wyjaśniła:

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powinniśmy próbować mieszać się w ich poczynania.

Z tylnego fotela dobiegło coś przypominającego zduszony protest. Luke spojrział w tamtą stronę i ponownie przyjrzał się Marze.

- Są przeciwnikami Nowej Republiki - powiedział zdecydowanie. - Prawda?

- Nie wiem. Tylko dlatego, że noszą imperialne mundury... Tam był Fel. Ten sam Soontir Fel, który przed laty wypiął się na Imperium, gdy zrozumiał, jak skorumpowane i złe stały się rządy Isard i innych samozwańczych następców Imperatora. A teraz ponownie nosi uniform Imperium... na pewno nie poddano go praniu mózgu, bo to wykończyłoby go jako pilota, a na takie marnotrawstwo nikt by się nie zdecydował: prościej było go zabić. Musiało nastąpić coś, co spowodowało, że sam zmienił zdanie. - Thrawn?

- W pewien sposób. Fel powiedział, że Thrawn pokazał mu ten region... i po tym pokazie zdecydował się pozostać tu i przyłączyć do nich.

- Tu coś jest... - powiedział powoli Luke, pochmurniejąc. - Coś straszego...

- A według Chissów co najmniej setka strasznych cosiów. Naturalnie może tylko tak gadają i są spore szanse, że wobec potencjalnych możliwości Nowej Republiki owe zagrożenia okażą się śmieszne, o ile w ogóle kiedykolwiek dotarłyby one do Zewnętrznych Odległych Rubieży. Z drugiej jednak strony...

- Thrawn nie miał zwyczaju przesadzać, a Soontir znał możliwości Nowej Republiki równie dobrze jak my, a jednak pozostał tutaj.

- Razem z Parckiem i nie wiadomo iloma jeszcze imperialnymi oficerami, i to na pewno nie zaliczanymi do najgłupszych. Co ciekawsze, żaden z nich w najmniejszym stopniu nie wydawał się zainteresowany marnowaniem czasu i sił na walkę z Nową Republiką, co samo w sobie jest wielce wymowne. Przez długą chwilę oboje milczeli.

-Niestety, jest jeszcze jeden problem - Luke ocknął się pierwszy. - Imperium, reprezentowane przez władze przebywające na Bastionie, z którymi, jak mówiłaś, Parek chce nawiązać kontakt.

- Chce - przytaknęła. - I możemy się spokojnie założyć, że obecni przywódcy Imperium nie zamierzają brać pod uwagę długoterminowej perspektywy, jak Fel. Jeśli zdobędą dostęp do Ręki Thrawna, wykorzystają ją przeciwko Nowej Republice. - A na to nie możemy pozwolić - podsumował Luke. - Tym bardziej wiedząc, w jakim stanie znajduje się obecnie Nowa Republika.

- Zwłaszcza że te zasoby są potrzebne do zwalczania poważnego zagrożenia - zgodziła się Mara, rozpinając pasy. - A to niestety oznacza, że musimy wrócić i skopiować podstawowe dane. Wtedy będziemy przynajmniej mieli szanse zablokować posunięcia władz Imperium zmierzające do przeciągnięcia ich na swoją stronę. - Masz rację - zakończył ze zmęczeniem w głosie Luke i również rozpiął uprząż bezpieczeństwa swojego fotela. - Jeśli zdołamy dostarczyć Artoo do jakiegoś terminalu wyposażonego w interfejs, to zdoła...

- Zaraz, zaraz - Mara złapała go za ramię. - Nie natychmiast. Nigdzie się nie ruszymy, dopóki nie zaleczysz tych oparzeń. - To drobiazg. Prawie ich nie czuję.

- Dureń! - prychnęła ostrzej niż zamierzała, ale sama była zmęczona i obolała. - Ledwo poradziłeś sobie z ostatnim atakiem. Gdyby sytuacja się powtórzyła, nie dałbyś już rady, a można tego uniknąć, odpoczywając kilka godzin. Więc powtarzam, że nigdzie z tobą nie pójdę, póki się nie wyleczysz. Zrozumiano?

Spojrzał na nią niezycliwie, ale widać było, że choć niechętnie, to jednak przyznaje jej rację.

- Wygrałaś - westchnął, opadając w fotel. - Ale obudź mnie, jeśli coś się wydarzy. Hasło

wybudzające to „Witam z powrotem”. - Zgoda.

- A gdyby się nic nie wydarzyło, obudź mnie za dwie godziny - dodał, zamykając oczy. - Nie poświęcę więcej niż kilka godzin na naprawy wystarczające do zabrania uszkodzonych jednostek, żeby nie blokowały drogi sprawnymi. Musimy wrócić tam wcześniej, jeśli zamierzamy powstrzymać Parcka przed zrobieniem z siebie niespodziewanego prezentu dla Imperium.

I nie czekając na odpowiedź odetchnął głęboko. Jego myśli i uczucia powoli osłabły, a po chwili całkiem zniknęły i pogрузzył się w transie.

- O imperium nie musisz się martwić - powiedziała cicho Mara. - Tym ja się zajmę.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, przyglądając mu się, szarpana sprzecznymi uczuciami. Znali się dziesięć lat - lat, które powinny być pełne przyjaźni, a które Luke skutecznie zmarnował głupią i arogancką samotnością w zupełnie niepotrzebnym bólu i wątpliwościach. Dopiero teraz byli ponownie razem i mężczyzna, którego niegdyś tak szanowała i o którego się martwiła znalazł się w końcu z powrotem na właściwej drodze. Albo być może oboje się tam znaleźli. Być może. Z tyłu dobiegło nieśmiałe bipnięcie.

- To tylko trans uzdrawiający - zapewniła, wstając. - Nic mu nie będzie, a dopóki się nie obudzi popilnuj go, dobrze?

Droid ćwierknął potwierdzająco i podejrzliwie zarazem.

- Wychodzę - poinformowała go, po czym sprawdziła, czy broń jest na miejscu. - Nie martw się: wrócę.

Minęła go, ignorując lawinę komentarzy i pytań, i otworzyła śluzę. Dziecko Wiatrów przeleciał obok, ćwierkając szybko przez parę sekund, i zniknął w zapadających ciemnościach. Które idealnie pasowały do tego, co czuła.

Obejrzała się, ciekawa, czy Luke domyślił się, co planuje, ale nie wydało się jej to prawdopodobne: dobrze ukryła swoje zamiary, a Palpatine skutecznie nauczył ją, jak tworzyć i utrzymywać mentalne bariery. Stary Luke - opętany samodzielnym rozwiązywaniem problemów - mógł je naturalnie złamać, żeby dowiedzieć się prawdy. Zreformowany nie odważył się i prawdopodobnie bardzo tego pożałuje, kiedy będzie już za późno. Jednak ktoś musi powstrzymać Parcka przed ujawnieniem istnienia tego miejsca i jego tajemnic bandzie rządzącej aktualnie Imperium.

I to należało do niej. Musiała ich powstrzymać za wszelką cenę i w każdy sposób.

Artoo zamilkł i obserwował ją, przypominając przestraszone dziecko.

- Nie martw się - zapewniła go cicho. - Wszystko będzie w porządku, tylko uważaj

na niego, dobrze?

Gwizdnął smętnie na potwierdzenie, więc odwróciła się i sięgając po Moc zaczęła schodzić po drabinie. Za wszelką cenę i w każdy sposób.

# R O Z D Z I A Ł 3 0

Port kosmiczny Drev'starn nawet w późnych godzinach nocnych był miejscem pełnym życia i ruchliwym, a więc i jasno oświetlonym. Przyglądając się tej iluminacji Navett z przyjemnością myślał, jak idealny cel stanowi cały kompleks dla orbitujących wokół planety okrętów i zastanawiał się, czy podobne skojarzenia przyszły do głowy jeszcze komuś z obecnych. Może przyszły i dlatego wszyscy tak się tu spieszyli. Dotarł w pobliże celu i cicho gwizdnął. Odpowiedział mu równie cichy gwizd z prawej strony, zza sterty skrzyń, więc natychmiast ruszył w tamtym kierunku. - Melduj - polecił czekającemu Klifowi.

- Jesteśmy gotowi. Mniej więcej przed godziną zgasła światła i większość systemów. Wyłączyłem najbliższą lampę, żebyśmy mieli bezpieczne dojście.

Navett ostrożnie wyjrzał zza skrzyni. „Pacyfikator” stał sobie spokojnie w kręgu oznaczającym lądowisko, świecąc jedynie światłami pozycyjnymi. Prawie do samej jego burty sięgały sfery skrzyń i pojemników, zapewniając osłonięte, pogrążone w mroku dojście.

- Wygląda nieźle - ocenił. - A ci dwaj z Nowej Republiki?

- A to jest ciekawostka. Zgodnie z danymi kapitanatu portu, odlecieli. - Dokąd?

- Pojęcia nie mam, ale jak się już włamałem do systemu, sprawdziłem sygnaturę ich silników i inne parametry na całej planecie i wygląda na to, że nie wylądowali z powrotem ani tu, ani gdziekolwiek na Bothawui.

- Rzeczywiście interesujące. - Navett podrapał się po brodzie. - Albo tak skutecznie ich oszukaliśmy, albo nagle okazało się, że mają coś pilniejszego do roboty. Eskadra Łotrów nadal podlega Bel Iblisowi? - Myślisz, że on coś kombinuje?

- Ta chodząca kupa problemów zawsze coś kombinuje - warknął Navett. - Ale to już nie nasze zmartwienie: zawiadomimy Bastion i niech oni się dowiedzą, o co chodzi. My mamy własną samobieżną kupę problemów. Chodź!

Wyjął z podramiennej kabury blaster i wysunął się zza osłony, nasłuchując i rozglądając się uważnie. Do „Pacyfikatora” dotarli jednak bez żadnych trudności i znieruchomieli w przykłęku po obu stronach śluzy.

- Otwieraj! - polecił Navett. Sam usiłował mieć oczy dookoła głowy.

Klif bezgłośnie dotarł do drzwi i po paru sekundach operowania wytrychem rozległ się cichy syk świadczący o sukcesie. Droga stała się otworem, a opuszczone drzwi utworzyły rampę wejściową. Antilles mógł oczywiście odesłać kumpla i zastawić na nich zasadzkę, ale na to nie byli w stanie nic poradzić, toteż Navett wstał i wbiegł do środka pojazdu.

Wewnątrz panował mrok, rozświetlony jedynie nocnymi lampkami sygnalizacyjnymi, więc bez trudu obaj dotarli bezszelestnie do części mieszkalnej. Nigdzie nie zauważyli ani śladu ruchu, czego się zresztą spodziewali: starsi ludzie o tej porze zazwyczaj śpią. Navett podszedł do pierwszych drzwi, uchylił je... I nagle na całym okręcie zapłonęły światła.

Odruchowo kucnął, mrugając oślepiiony, i poczuł uderzenie w plecy, gdy Klif zrobił to samo, żeby osłonić im tyły. - Nikogo tu nie ma! - syknął Klif. - Tu też - Navett zaczął coś widzieć.

Żadnych strzałów, środków obezwładniających czy oślepiających światła obronnych... zwykłe dzienne oświetlenie pokładowe. Zanim zdążył się zastanowić, o co tu chodzi, ciszę przerwał głos: - Dobry wieczór panom. Głos należał do starszej wiekiem kobiety.

- Klif? - syknął, rozglądając się wokół, gdyż nadal nikogo nie widział. - Widzisz ją?

- Nie ma mnie tu - zapewnił go głos. - To tylko nagranie, a nie zrobicie krzywdy niewinnemu nagraniu, prawda? Choć biorąc pod uwagę, kim jesteście, nie mam stuprocentowej pewności.

- Tam - Klif wyprostował się i wskazał wciśnięty za skrzynkę przekaźnikową niewielki czytnik.

- Musiało się wam wydawać, że jesteście naprawdę dobrzy - ciągnął głos. - Jawnie planujecie zagładę durnych Bothan i nikt was o nic nie podejrzewa. Cały świat jest głupi, wy genialni itd. itp. etc.

Navett podszedł do urządzenia - przyklepionego taśmą do ściany i z datakartą z nagraniem w środku. Wyglądało to, jakby ktoś umieścił je tu na siłę i w pośpiechu. Z drugiej jednak strony zostało zaprogramowane tak, by włączyć się równocześnie ze światłem.

- Cóż, przykro mi tak bezceremonialnie rozwiewać wasze złudzenia, ale nie jesteście najlepsi ani nawet dobrzy. Jesteście po prostu mierni.

Navett ruchem głowy wskazał Klifowi następne drzwi, a sam ruszył do ostatnich, na wszelki wypadek blisko ściany i plecami do niej. Broń też trzymał gotową do strzału - to mogła być dywersja, mająca na celu odwrócenie ich uwagi... Drzwi wychodziły na korytarz prowadzący do kabiny. Nie było w nim żywego ducha.

- Widzicie, dziś po południu porozmawiałam z paroma przyjaciółmi. Powiedzieli mi, że za każdym razem, gdy próbowali złapać ślad wielkiej, złej organizacji Zemsta, rozpływała się ona w nicość. Zupełnie jak dym, który stanowił efekt działania kilku imperialnych agentów.

Kątem oka dostrzegł ruch, odwrócił nieco głowę i zobaczył Klifa wychodzącego z najwyraźniej pustej sypialni. Wskazał głową ładownię i uniósł pytająco brwi. - A więc, jak sądzę, rzecz sprowadza się do rozgrywki między wami a mną - kontynuował głos. - Moi przyjaciele z Nowej Republiki odlecieli, o czym już zapewne wiecie, a wielka organizacja, którą udawaliście, nie istnieje, więc powinna być niezła zabawa. Klif, ogłupiały, spojrział na Navetta.

- O czym ona, do cholery, gada? - syknął. - Wyzywa nas?! Navett wzruszył ramionami.

- Aha, poczęstujcie się, jeśli macie ochotę - dodał głos. - Zwłaszcza ten, który przez cały dzień obserwował mój statek. To strasznie wysuszające zajęcie. Tylko odłóżcie potem wszystko do lodówki. No cóż, do zobaczenia później. Co naturalnie nie znaczy, że wy mnie zobaczycie. Rozległo się ciche kliknięcie i głos umilkł.

- Zwariowała - ocenił Klif, rozglądając się. - Powiedziała, że wie, kim jesteśmy, ale ani razu nie wspomniała, czym się tu oficjalnie zajmujemy albo czy zdaje sobie sprawę, że z nami rozmawiała. - A więc bije w ciemno.

- Zgadza się. A w dodatku działa sama. Gdyby miała dowód lub oficjalne wsparcie, czekałoby na nas coś więcej niż nagranie. Wygląda na to, że po prostu chce nas wywabić. - To co robimy? Załatwimy ją?

- Sądzę, że się wycofamy - powiedział powoli Navett. - Jeśli się do nas zbliży, zobaczymy, ale skoro została sama, bo Antilles i ten drugi odlecieli, przestała być groźna. Chyba że czai się gdzieś na pokładzie i zamierza nas sobie obejrzeć. Wtedy jest już trupem, tylko jeszcze o tym nie wie. Sprawdź ładownię i uważaj na pułapki. Ja się zajmę kabiną.

Przeszukiwali „Pacyfikatora” jeszcze przez ponad godzinę, zanim wreszcie zrezygnowali i odeszli, ale w tym czasie jedynie trzy razy znaleźli się na tyle blisko czytnika, by ukryty w nim komlink przekazał Morandzie, o czym mówili. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że byli zdrowo wkurzeni.

Obserwowała, jak wychodzą przez jeden ze strategicznie rozmieszczonych otworów w ścianach pojemnika stojącego na stercie innych, o pięćdziesiąt metrów od śluzy „Pacyfikatora”. Całą tę konstrukcję wzniosła osobiście poprzedniego dnia na taką właśnie okoliczność. Teraz miała pewność, że się nie myliła - podobnie zresztą jak Wedge i Corran. Imperium wysłało na planetę agentów, aby dokonali sabotażu generatora pola w Drev'starn. Co ważniejsze, jeśli jej całkowicie nie zawiódł słuch i zdolności kojarzenia, to dzięki ich głupocie wiedziała wreszcie, kim są: właścicielami sklepu „Exotalia Pet Emporium”. I uznali ją za groźną, by zaryzykować morderstwo w samym środku portu kosmicznego. Interesujące. Nawet bardzo interesujące.

Naturalnie wiedzieć a udowodnić, to dwie zupełnie różne sprawy. I co ważniejsze, pierwszy raz ta różnica zdawała się działać przeciwko niej. Obaj napastnicy włączyli się do ruchu na jednym z ruchomych chodników, wtapiając się w tłum z łatwością sugerującą doświadczonych agentów



wywiadu. Być może rekrutowali się nawet spośród Wszędobylskich. Mimo wszystko byli jednak zawodowcami, i to dobrymi. A przedstawiciela Nowej Republiki nie zainteresują jej rewelacje nie poparte dowodami, których nie miała. Podobnie jak Bothan. Zresztą, gdyby się dobrze zastanowić, ci ostatni pewnie mają jeszcze parę nakazów jej aresztowania z dawnych lat. Tak, Bothan należało się obawiać.

Obaj agenci zniknęli, ale już dawno nauczyła się nie ufać pozorom. Wystarczająco mocno wkurzeni, mogli zostawić obserwatora. A jeśli uznali ją za dostatecznie groźną wrócić. Wyjęła z kieszeni piersiówkę, pociągnęła łyk błękitnawego likieru i sprawdziła chronometr - jeszcze ze dwie do trzech godzin, zanim będzie można spokojnie wyjść. Usadowiła się zatem wygodnie w rogu i zaczęła planować następne posunięcie. Od dawna nie trafiła na godnego siebie przeciwnika, więc uznała, że twórcze wykorzystanie wolnego czasu, gdy tacy się wreszcie znaleźli, to rozsądny pomysł.

- Miło cię znowu słyszeć, Han - w głosie dobiegającym z głośników „Ślicznotki” wyraźnie dało się słyszeć ulgę.

- Nie było aż tak źle - zapewnił ją pospiesznie, nieco naginając prawdę, ale pełną wersję zamierzał przedstawić w późniejszym czasie, a teraz nie chciał robić z siebie przedstawienia w HoloNecie, gdzie nawet kodowane transmisje stawały się publiczną tajemnicą. - Najważniejsze, że mamy, co chcieliśmy i wracamy do domu.

- Dobrze wiedzieć, że jesteście bezpieczni - potwierdziła i dodała ostrożnie: - Jesteś pewien, że...

- Mamy - powtórzył. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Co to znaczy? - spytała po krótkiej pauzie.

- Że w zasadzie wszystko odbyło się niemal zgodnie z planem, tylko znasz mnie i wiesz, że jestem podejrzliwy z natury, a wystąpiły pewne komplikacje, o których opowiem ci, gdy się spotkamy. Zgoda?

- Zgoda - odparła z ociąganiem, również zdając sobie sprawę z ograniczeń HoloNetu. - Ale nie leć na Coruscant, bo jestem w drodze na Bothawui. - Gdzie?!

- Słyszałaś. Zawróciłam, kiedy dowiedziałam się, że przyleciał tam Gavrisom i próbuje mediować w sporze.

- Aha - zasępił się Han: biorąc pod uwagę, że rozstali się dziesięć dni temu na Pakrik Minor, już dawno powinna być na Coruscant, a nie dopiero tam lecieć, co oznaczało, że coś się wydarzyło. - Gość się spóźnił, czy jak?

- Gość zjawił się na czas, tylko nie okazał się dokładnie tym, kogo oczekiwałam i zostałam zmuszona

do pewnej wycieczki.

- Jakiego rodzaju? - spytał, zaciskając pięści. - Jak się czujesz?

- W porządku, a wycieczka była naprawdę całkowicie dobrowolna - zapewniła go pospiesznie. - Po prostu sprawy potoczyły się nieco inaczej niż się spodziewałam. Dlatego właśnie muszę jak najszybciej porozmawiać z Gavrisomem.

- Dobra, zaraz zmienimy kurs na Bothawui, ale trochę potrwa, nim tam dotrzemy. - Nie szkodzi, ja też dotrę tam dopiero jutro.

Han skrzywił się - wolałby zdążyć przed nią, bo z tego co słyszał, okolica Bothawui przypominała gotów do użycia granat termiczny, którym bawią się kretyni. - Będiesz na siebie uważać? - spytał z naciskiem.

- Będę - przyrzekła. - I mam nadzieję, że ty też. Zaraz skontaktuję się z Gavrisomem i przekażę nowiny o tobie.

- Powiedz mu też, że dopóki nie udzieli ci uczciwych wakacji, może ode mnie dostać jedynie w dziób - ostrzegł Han poważnie. - Powtórzę mu, tyle że on nie ma dzioba...

- To dostanie po pysku, jakoś się załatwi. To tymczasem... Kocham cię...

- Wiem - prawie słyszał, jak się uśmiechnęła z ich prywatnego żartu. - Na razie. Han westchnął i skończył połączenie. Na Bothawui znajdą się najwcześniej za dwa dni, co daje Leii dzień przewagi. Chyba że Lando wyciśnie z tego pudła jakąś rozsądną prędkość. Obrócił fotel, zdecydowany o to zapytać i spostrzegł go stojącego w drzwiach. - Jak Leia? - spytał Lando.

- W porządku - Han przyjrzał mu się uważnie; sądząc po wyrazie twarzy przyjaciela, właśnie wydarzyło się coś bardzo niemiłego. - Nie wróciła do domu z Pakrik Minor, a teraz leci na Bothawui, gdzie mamy się z nią spotkać, więc lepiej zmienmy kurs. Co jest?

- Kłopoty - Lando ponuro wskazał za siebie. - Lepiej chodź.

Lobot i Moegid czekali przy rufowym stanowisku komputerowym. Lobot wyglądał jak to Lobot, natomiast czułki Moegida podrygiwały w sposób, jakiego Han nigdy nie widział u żadnego przedstawiciela rasy Verpine. A na stole między nimi stał sprzężony z komputerem czytnik, w którym tkwiła datakarta otrzymana od Thrawna. - Powiedziałeś, że jest w porządku - oświadczył z pretensją w głosie Han, kiedy zorientował się, o co chodzi.

- Bo uważaliśmy, że jest - Lando przełączył obraz na duży ekran - Moegid dopiero niedawno wpadł na ten sposób sprawdzania. I jak widzisz, okazało się, że ktoś dokonał zmian w zapisie.

Pierwszy raz w życiu Han nie był w stanie znaleźć odpowiedniego do sytuacji przekleństwa. - Jakich zmian? - spytał na wszelki wypadek.

- Nie udawaj idioty! - warknął Lando. - Najważniejszych. Zmieniono całą listę Bothan odpowiedzialnych za sabotaż generatorów pola. Wystarczy?

- Jesteś pewien?

- Moegid jest. Robota jest doskonała, ale w ciągu ostatnich lat jego rasa wymyśliła sporo nowych sposobów na wykrywanie fałszerstw. Pamiętasz, jak byliśmy zaskoczeni, kiedy przeczytaliśmy ją pierwszy raz i zobaczyliśmy, ile ważnych rodów bothańskich było w to zamieszanych? Teraz wiemy, kto i po co ich tu umieścił. A ponieważ zmieniono całą listę, nie dojdziemy, kto figurował na oryginalnej.

- Nie ma to jak dolać oliwy do ognia - mruknął z niesmakiem Han. - A przy okazji zmniejszyć i tak już znikome zaufanie Nowej Republiki do bothańskich władz. - Dokładnie - Lando siadł ciężko w pierwszym wolnym fotelu. - Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Gorzej - Han również siadł ciężko, tyle że w innym fotelu. - Już powiedziałem Leii, że mamy spisa i że jest prawdziwy. - Przecież nie będzie tego rozgłaszać?!

- Normalnie by tego nie zrobiła, ale powiedziała, że chce zaraz poinformować o wszystkim Gavrisoma.

- No to co? On też nie zalicza się do specjalnie pyskatych.

- Ale jest na Bothawui i próbuje zapobiec rozpoczęciu strzelaniny. Znasz go i wiesz, że aby nie dopuścić do wojny użyje wszystkich możliwych środków - wyjaśnił Han.

- A zatem mamy zjawić się na Bothawui, oczekiwani jako ci, którzy uratują sytuację. - Lando potrząsnął głową. - I gdzie jest uczciwa imperialna zasadzka, jak jej człowiek potrzebuje?!

- Lepiej nie prowokuj losu - ostrzegł Han. - Możemy się wprawdzie założyć, że Thrawn dopilnuje, żeby Imperium dało nam tym razem spokój, ale jest jeszcze cała kupa zainteresowanych, żeby Bothanom się nie upiekło. Teoretycznie są zresztą po naszej stronie.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Lando. - Chociaż... nie.

- Co nie?

- Właśnie sobie przypomniałem, co Thrawn powiedział o tych snajperkach Xerrola - powiedział powoli Lando. - Jeśli skłamał w sprawie Caamas...

- To nie musiał kłamać w tej - dokończył Han. - Nie mamy nawet cienia dowodu, że zmian dokonano na jego rozkaz... - Dlaczego gadasz takie bzdury?

- Bo ktoś nam to wytknie, i to szybko. Gwarantuję ci.

Lando zaklął pod nosem.

- Coraz piękniej się, cholera, robi naokoło - warknął. - Co robimy?

- Lecimy na Bothawui i udajemy, że nic się nie stało. Może jednak Bothanie znają nazwiska winnych, a wtedy można ich będzie zmusić do powiedzenia prawdy. - A jeśli nie wiedzą albo się ich nie zmusi?

- Mamy dwa dni na wymyślenie czegoś innego - Han wstał. - Chodź, czas zmienić kurs.

- Nareszcie - ocenił z ponurą satysfakcją Tierce. - Udało się!

- Nie jestem przekonany. - Disra ponownie przyjrzał się ekranowi. - Owszem, używają naszych rozwiązań technicznych, ale to niczego nie dowodzi.

- Przelecieli przez ten system, jakby nas sprawdzali, a nigdy i nigdzie nie widzieliśmy podobnych do tej maszyn...

- Co nawet nie dowodzi, że przyleciała z Nieznanych Terytoriów - przerwał Disra. - A więc tym bardziej, że wysłał ją Parek lub pilotowała Ręka Thrawna czy cokolwiek podobnego.

- ... a Bastion to miejsce, w którym ostatnio widziano Thrawna - dokończył Tierce, ignorując jego uwagę. - Proszę sobie wątpić, ile wola, ale ja twierdzę, że nasz plan się udał: starzy sprzymierzeńcy Thrawna zaczęli obwąchiwać przynętę.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli, bo reszta rozłązi się nam w rękach: opóźnienie na Bothawui, Pellaeon uwalniający Vermela...

- Mówiłem już, że nie ma się czym przejmować. Nie mogą nam zagrozić.

- Kto? - rozległ się nagle głos Flima, wychodzącego z ukrytych drzwi, jak miał ostatnio w zwyczaju.

Disra podejrzewał go o coraz częstsze podsłuchiwanie ich rozmów, jakby im nie dowierzał, ale nie miał pewności.

- Admirał Pellaeon - poinformował go Tierce. - Właśnie spekulujemy, że razem z pułkownikiem Vermelem zjawią się tu niedługo, żądając wyjaśnień, dlaczego zostali tak źle potraktowani.

- A spekulowaliście również na temat tego obcego, który parę dni temu przeleciał przez układ? - spytał Flim. - Czy też macie zamiar poczekać, aż Ręka Thrawna zapuka tu, żeby mi wszystko

wyjaśnić?

- Zapewniam, że na pewno nie zjawi się tu osobiście - oświadczył Tierce. - To doświadczeni i rozsądni ludzie, co, biorąc pod uwagę atut, którym tylko oni dysponują, jest całkowicie zrozumiałe. Zaczną raczej od transmisji z wybranego miejsca w przestrzeni, skąd można niepostrzeżenie uciec, gdyby zdecydowali, że tak będzie lepiej. - Osobiście nie widzę wielkiej różnicy: tak czy inaczej zechcą ze mną gadać. To znaczy z Thrawnem.

- Oczywiście, że zechcą- wyjaśnił cierpliwie Tierce. - Ale ten sposób pozwoli mi odegrać rolę posłańca i po drodze wyciągnąć z nich użyteczne informacje. Planowałem to od naprawdę długiego czasu.

- Dużo to pomoże, jeśli Parek pozna się na kancie i zmieni Bastion w ruinę - skrzywił się Flim.

- Oni są niezwykle lojalni wobec Thrawna - sprzeciwił się Tierce. - A poza tym, niezależnie od ostrożności i sceptycyzmu, bardzo chcą wierzyć, że Thrawn przeżył Bitwę o Bilbringi, a sam wiesz, jak wielkie znaczenie ma takie właśnie nastawienie ofiary oszustwa.

- Jest połową sukcesu - przyznał Flim. - I równocześnie oznacza, że stają się podwójnie groźni, gdy numer wychodzi na jaw. Aha, jeśli chodzi o zagrożenie: wiecie, że generał Gram Bel Iblis zniknął? Tierce i Disra spojrzeli na siebie zaskoczeni. - Jak to zniknął? - zdziwił się Disra.

- Parę godzin temu dostaliśmy wiadomość od zespołu na Bothawui, że kilku pilotów z Eskadry Łotrów, którzy weszli w ich pobliżu, nagle odleciało z planety. - Flim rzucił na biurko datakartę. - Nadawca sugeruje, że może to mieć związek z czymś, co planuje Bel Iblis. - Możliwe - Tierce wziął datakartę. - sprawdzę to.

- Już sprawdziłem. - Flim usiadł wygodnie. - Wersja oficjalna głosi, że Bel Iblis przebywa w systemie Kodilis i montuje tam grupę uderzeniową okrętów Nowej Republiki przeznaczoną do obrony Bothawui. Jak się jednak zacznie dokładnie sprawdzać, nie ma żadnych dowodów, że znajduje się gdziekolwiek w pobliżu którejs z tych planet. - Skąd to wszystko wiesz? - zdumiał się Disra.

- Od naszego wywiadu. - Flim zdziwił się uprzejmie. - Jestem wielkim admirałem Thrawnem, czy nie? No to ich zapytałem.

- Dostałeś pisemny raport? - spytał Tierce, sprawdzając zawartość datakarty w swoim czytniku.

- Jest dołączony na końcu. W ogóle bardzo się starali: spytali, czy chcę, żeby ktoś poleciał do systemu Kothlis i sprawdził.

- Strata czasu - burknął Tierce. - Jeśli tam jest, to zwiad nie wróci, a jeśli to tylko przykrywką, z pewnością została dobrze przygotowana.

- Dokładnie to samo im powiedziałem - poinformował go z zadowoleniem Flim. - Chyba zaczynam znać się na taktyce.

- Tylko nie wpadaj w samouwielbienie - poradził Tierce, wpatrując się w ekran. - A na przyszłość bądź uprzejmy nie zwracać się do nikogo bezpośrednio: od tego jesteśmy my. Teraz zaś bądźcie łaskawie obaj cicho i dajcie mi pomyśleć.

Obserwujący go Disra zaczął odnosić dziwne wrażenie - Tierce coraz częściej nieruchomiał, spoglądając nie widzącym wzrokiem w ścianę, zupełnie jakby pogrążał się w transie. Mogły to być oznaki załamania nerwowego, choć może zachowywał się tak zawsze, tylko Disra niczego dotąd nie zauważył. Równie niespodziewanie jak zamarł, Tierce ocknął się.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ta D'ulin skłoniła kogoś z dowództwa Mistryl do przybycia tu na negocjacje? - spytał.

- Owszem - potwierdził Flim. - I o ile wiem, ten ktoś jest już w drodze.

- Każ D'ulin skontaktować się z nią i zmienić miejsce spotkania na bazę Yaga Minor. - Yaga Minor? - powtórzył zaskoczony Disra.

- Tak - Tierce uśmiechnął się zimno. - Sądzę, że będziemy mogli dać im małą próbkę geniuszu taktycznego wielkiego admirała Thrawna. I przekonać kapitana Parcka, że Thrawn wrócił. A na dodatek upokorzyć jednego z najlepszych taktyków Nowej Republiki.

- Zaraz, moment! - zdenerwował się Disra. - Nic nie rozumiem!

- On próbuje nam w ten pokrętny sposób powiedzieć, że Bel Iblis przygotowuje czysty idiotyzm, czyli atak na bazę Yaga Minor - wyjaśnił Flim, przyglądając się Tiercemu z lekkim niedowierzaniem.

- Doskonale, panie admirale - pogratulował mu Tierce. Tylko to nie idiotyzm, a desperacja: ostatnia szansa, jeśli chcą uniknąć wojny domowej. Wyślą najlepszych z samobójczą misją w nadziei, że im może się udać.

- Przecież dostali całą dokumentację dotyczącą Caamas - zdziwił się ponownie Disra.

- Ale Bel Iblis o tym nie wie - Tierce postukał w ekran. - Zgodnie z danymi wywiadu zniknął osiem dni wcześniej niż ten pieprzony Devist przywiózł nam sfalszowane nagranie, dzięki któremu Solo poznał lokalizację Bastionu. W takiej sytuacji zakaz łączności jest obustronny, więc ani nie wie o misji Solo i Carlissiana, ani nie dowie się o ich sukcesie.

- A co, jeśli przed atakiem skontaktuje się jednak z Coruscant? - zainteresował się Disra.

- To odwołają atak, a my zrobimy po prostu dobre wrażenie na Mistryl wielkością i siłą bazy -

wyjaśnił Tierce. - Ponieważ nie wiedzą, że spodziewamy się ataku, nie będą rozczarowane, jeżeli nie nastąpi. Klasyczna technika oszustów, a nie musimy przecież informować Mistrzy, dlaczego zmieniamy miejsce spotkania. - Racja - zgodził się Flim.

- No dobrze... - Disra nadal nie był do końca przekonany. - A jeśli nastąpi zmiana planów i każą mu zaatakować Bastion.

- Na jakiej podstawie? - Tierce wzruszył ramionami. - Dostali listę...

- Po zmianach.

- O czym nie wiedzą i czego nie udowodnią. A w dodatku, gdyby zaatakowali ten system, daliby nam doskonałą broń propagandową której gorzko by potem żalowali - zapewnił Tierce.

- Poza tym, nawet jeśli zaatakuje Bastion... my będziemy bezpieczni w bazie wywiadu - dodał Flim. - Chyba że pan, ekscelencjo, jest tak przyzwyczajony do domowych pieleszy, że za nic się pan z nimi nie zechce rozstać.

- Chodziło mi jedynie o reputację Thrawna, która bardzo by ucierpiała, gdyby był nieobecny podczas ataku na stolicę Imperium - wyjaśnił urażony Disra.

- Niech się pan nie martwi: Bel Iblis z pewnością nie zaatakuje Bastionu - oznajmił stanowczo Tierce. - Zaatakuje bazę na Yaga Minor. A gdy go tam pokonamy, wzrośnie prestiż nie tylko Thrawna, ale i całego Imperium.

- Co może się skończyć atakiem Nowej Republiki na pełną skalę - ostrzegł Disra. - Za pięć dni Nowa Republika będzie miała regularną wojnę domową. A zanim się z nią upora, my będziemy mieli Parcka i Rękę Thrawna - oczy Tierce'a rozblęły. - A wtedy nic nas nie powstrzyma. Absolutnie nic.

Szli długim, szarym, ponurym korytarzem, mijając szeregi równie szarych, ponurych, wąskich metalowych drzwi. Naturalnie zamkniętych - w końcu było to więzienie. Podłoga z metalowej kraty dudniła głucho pod nogami nawet pojedynczej osoby. Oddział dowodzony przez Pellaeona wywoływał hałas podobny do burzy z gradobiciem na blaszanym dachu, gdy maszerował ku dodatkowemu stanowisku strażniczemu na końcu korytarza. Zaalarmowani zamieszaniem strażnicy wyjrżeli we czterech zza rogu i natychmiast się cofnęli.

Zanim Pellaeon tam dotarł, cała czwórka zjawiała się ponownie, wyprężona w postawie zasadniczej. Minał ich, nie zaszczycając spojrzeniem, i skręcił za róg, gdzie znajdowało się biurko wraz z siedzącym za nim majorem, czterech następnych strażników i pancerne drzwi celi o podwyższonym stopniu bezpieczeństwa. Major przyjrzał mu się z dziwną mieszaniną uporu i niepewności i otworzył usta...

- Jestem admirał Pellaeon - warknął Pellaeon, nim tamten zdołał wydobyć z siebie dźwięk. - Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium. Proszę otworzyć te drzwi, majorze.

- Przepraszam, panie admirale, ale otrzymałem rozkaz, aby nikomu nie pozwolić na widzenie z więźniem.

Pellaeon przez parę sekund spoglądał na niego wzrokiem, którego wyraz dopracował do perfekcji przez lata dowodzenia różnymi okrętami. Spojrzenia takie rezerwowano we Flocie Imperium dla robactwa i niższych rangą oficerów.

- Jestem admirał Pellaeon - powtórzył, cedząc słowa i akcentując je dobitnie: mógł dać strażnikom ostatnią szansę, ale nie miał czasu ani ochoty na podobne nonsensy. - Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium. Proszę otworzyć drzwi.

Major z wysiłkiem przełknął ślinę, spoglądając na dwunastu szturmowców otaczających Pellaeona. Dodał do tego następną dwunastkę czekającą za rogiem, o której poinformowali go podkomendni, i przeniósł wzrok na admirała.

- Ten rozkaz podpisał osobiście moff Disra, sir - wykrztusił.

Stojący obok Pellaeona kapitan szturmowców wyprostował się.

- Moff Disra jest cywilem - Pellaeon jednak dał majorowi ostatnią szansę. - A ja anuluję jego rozkazy.

- Tak jest, sir - major odwrócił się ostrożnie i dał znak strażnikowi stojącemu najbliżej drzwi.

Strażnik zapewne znacznie szybciej dokonał odpowiednich obliczeń, gdyż od dłuższej chwili przyglądał się szturmowcom z wyraźną obawą. Nie zwlekając wybrał właściwą kombinację na klawiaturze i czym prędzej odsunął się od otwierających się drzwi.

- Proszę tu poczekać, kapitanie - polecił Pellaeon i wszedł do celi.

Jeśli Disra zdołał w jakiś sposób skontaktować się ze stacją i polecił zabić świadków...

Przy stoliku siedział pułkownik Vermel i układał właśnie pasjansa. Słyszając kroki uniósł głowę i zamarł z otwartymi ustami.

- Ja... - nagle zerwał się i wyprężył na baczność. - Pułkownik Meizh Vermel prosi o zezwolenie na powrót do pełnienia obowiązków służbowych; panie admirale! - Udzielam zezwolenia, pułkowniku - Pellaeon nie krył ulgi. - I cieszę się, że znajduję pana w dobrym zdrowiu.

- Dziękuję, sir - Vermel też odetchnął z ulgą, obchodząc stolik. - Mam nadzieję, że nie przybył pan sam.



- O to może pan być spokojny - Pellaeon wskazał głową na drzwi. - Co prawda nie zająłem całej stacji, ale rozstawiłem ludzi wszędzie, gdzie trzeba, na wypadek gdyby podwładni Disry nie chcieli się z panem rozstać.

- Tak jest, sir. Ale mimo wszystko pozwolę sobie sugerować, żebyśmy się pośpieszyli.

- Też tak uważam. - Pellaeon zmarszczył brwi: w tonie Vermela było coś dziwnego.

Bez słowa minęli majora i strażników oraz narożnik korytarza, za którym zgodnie z wcześniejszymi rozkazami szturmowcy przyjęli ubezpieczający szyk eskortowy - po dwunastu z przodu i z tyłu, z bronią gotową do strzału.

- Jakoś nie sprawiał pan wrażenia przekonanego, gdy mówiłem o podwładnych Disry, pułkowniku - skomentował Pellaeon.

- Bo może to nie z autorytetem Disry będzie pan miał do czynienia - Vermel przysunął się bliżej i zniżył głos. - Kiedy kapitan Dorja spotkał się ze mną po ściągnięciu mego okrętu na pokład niszczyciela, powiedział, że rozkazy wydał mu osobiście wielki admirał Thrawn. Pellaeon poczuł nagły skurcz w gardle. - Thrawn... - powtórzył cicho.

- Tak, sir. Miałem nadzieję, że to kłamstwo Disry, pamiętając, jak dalece był on przeciwny rozmowom pokojowym, ale Dorja sprawiał wrażenie tak pewnego siebie... - Słyszałem pogłoski o powrocie Thrawna. Podobno widzieli go także przedstawiciele Nowej Republiki. Vermel przez chwilę milczał.

- Ale pan go nie spotkał, sir? - spytał w końcu.

- Nie i uważam, że nadszedł czas, by to zmienić. Jeśli naturalnie pogłoski okażą się prawdziwe.

- Może pan mieć kłopoty z powodu uwolnienia mnie. Czy nie byłoby lepiej, gdybym wrócił do celu?

- Nie. Thrawn nigdy nie karał swoich oficerów za robienie tego, co uważali za słusne. Zwłaszcza jeśli nie wydał im innych rozkazów lub nie udzielił stosownych informacji.

Dotarli do końca korytarza i minęli wartownię, w której strażnicy i oficerowie siedzieli w całkowitym bezruchu pod lufami kolejnego oddziału szturmowców z kontyngentu pokładowego „Chimery”.

- Wrócimy na Bastion i wysłuchamy, co też Di sra ma do powiedzenia - dodał Pellaeon, gdy weszli w kolejny korytarz, prowadzący na pokład hangarowy, gdzie czekały promy. - Jeśli pogłoski okażą się fałszywe, będzie to koniec Disry i kłopotów, których stał się sprawcą. Komandor Dreyf uzyskał informacje zabezpieczone osobistym kodem Disry. Jest tam wszystko: nazwiska, interesy, kwoty, łącznie z jego powiązaniem zarówno z piratami, jak i machinacjami finansowymi po obu stronach granicy. Oraz dokumentacją wysiłków prowadzących do wywołania wojny domowej w Nowej

Republice, co powinno być doskonałym atutem w przyszłych negocjacjach pokojowych. - A jeśli pogłoski okażą się prawdziwe?

- To wtedy się nimi zajmiemy. - Tak, sir.

- A w międzyczasie - dodał tonem towarzyskiej konwersacji Pellaeon - złoży mi pan raport o przebiegu waszej misji. Chciałbym się w końcu dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w pobliżu Morishim.

# R O Z D Z I A Ł 3 1

Przygotowania zajęły im sześć godzin. Było to sześć godzin gorączkowej krzątaniny, podczas której uzbrojono, jak się dało, wszystkie nadające się do lotu statki kosmiczne znajdujące się na planecie. Godzinę potrwał start tej zbieraniny, a kolejną ustawienie ich w czymś, co z grubsza przypominało szyk bojowy. W ten sposób minęło osiem godzin, dzielących ich od przylotu armady Rei'Kasa. Teraz obrońcy mogli już tylko czekać, co też zrobili, choć zdaniem Shady szans na obronę czy też przeżycie nie mieli żadnych.

- Meldunek z powierzchni, panie admirale - odezwał się Chin, obsługujący na mostku „Szalonego Karrde'a" stanowisko łączności. - Najwyższy admirał Darr mówi, że jesteśmy na pozycji i że jednostki powietrzne floty są gotowe do walki. Stojący nad Dankinem admirał Trey David skinął głową.

- Doskonale - potwierdził formalnie meldunek. - Proszę przesłać reszcie floty sygnał gotowości. Napastnicy mogą się pojawić lada chwila.

- Oj - jęknął Threepio. - Jak ja nienawidzę kosmicznych bitew.

- Pod tym względem całkowicie się z tobą zgadzam - przyznała Shada, spoglądając na ekran przedstawiający sytuację taktyczną.

W pierwszej chwili zastanawiała się głęboko i podejrzliwie, dlaczego David poprosił, aby mógł kierować bitwą z pokładu „Szalonego Karrde'a". Przestała, kiedy na ekranie pojawiły się dane o jednostkach wchodzących w skład floty i o ich możliwościach bojowych. Osiem godzin temu złośliwie oceniła tutejszą flotę systemową jako zdolną jedynie do utrudniania życia pojedynczym przemytnikom i nawet się nie spodziewała, że trafiła w sedno.

- No to zaczynamy zabawę w chowanego. - Karrde przykucnął obok jej fotela. - Co o tym wszystkim sądzisz?

- Że nie mamy nawet cienia szansy. Chyba że Rei'Kas nie wysłał nic większego niż Corsairy.

Sądziła, że powiedziała to tak cicho, iż jedynie Talon ją usłyszał - okazało się, że albo mówiła głośniejszym głosem niż myślała, albo David miał ponadprzeciętny słuch.

- Wysłał przeciw nam wszystko co ma - zapewnił ją spokojnie - i osobiście dowodzi tymi siłami. Od dawna próbował zagarnąć legendarne bogactwa planety Exocron. A w dodatku, jeśli Entoo Nee

czegoś nie pokręcił, chce się zemścić za Dayark, a on bardzo lubi się mścić.

- Co daje nam pewną szansę - odparł spokojnie Karrde. - Jeśli dobrze udamy, że uciekamy, może uda się nam odciągnąć dostateczną część jego sił, żebyście sobie poradzili z pozostałymi.

- Być może - zgodził się David. - Choć tu obecnym zapewne nie wyjdzie to na zdrowie.

- To moja wina, że was znaleźli - przypomniał mu Talon. - Jeszcze nie jest za późno, żeby się pan przeniósł na inny...

Przerwało mu nagłe prychnięcie H'sishi obsługującej stanowisko obserwacyjne. - Są, wodzu - zameldowała. - Trzy korwety klasy Marauder firmy Sienar, cztery krążowniki uderzeniowe klasy Discril, cztery zmodyfikowane frachtowce CSA Etti i osiemnaście myśliwców uderzeniowych typu Corsair.

- Potwierdzam - dodała Shada, tracąc resztki złudzeń: „Szalony Karrde” był w stanie pokonać każdą z tych jednostek albo nawiązać równorzędną walkę z dwiema z nich, ale nie ze wszystkimi... - Przygotować turbolasery - polecił Karrde.

- Turbolasery gotowe do otwarcia ognia - odparła i przełączyła dane o celach do trzech stanowisk artyleryjskich: to, że walka była beznadziejna nie znaczyło, iż mają tanio sprzedać życie. - Moim zdaniem Corsairy tworzą strefę ochronną wokół większych jednostek.

- Szefie, wywołuje nas jedna z korwet - odezwał się Chin. - Odpowiadamy?

- Przełącz na głośnik - polecił Karrde, wyraźnie spięty.

- Sie masz, Karrde - zabrzmiał z głośnika znajomy, pewny siebie głos. - Mówiłem ci, że się spotkamy, nim umrzesz, pamiętasz?

- Mówiłeś, Xern - głos Talona nie zdradzał nawet śladu napięcia. - Dziwi mnie natomiast, że ty jeszcze żyjesz po tej partaninie na Dayark. Rei'Kas robi się miękki na stare lata. W tle rozległa się wiązanka rodiańskich inwektyw.

- Rei'Kas kazał ci powtórzyć, że za tą obelgę zostawi cię na koniec - przekazał Xern. - Miłe z jego strony, no nie? David odchrząknął i oświadczył oficjalnym tonem:

- Tu admirał Trey David z Połączonej Floty Systemowej Exocron...

- Jeju, cały admirał? - zdziwił się Xern. - Ta kolekcja złomu wymaga aż całego admirała?!

- Naruszenie przestrzeni systemu Exocron - David zignorował jego uwagę. - To ostatnia szansa, jeszcze możecie się wycofać.

- Doskonałe! - ucieszył się Xern. - Naprawdę doskonale. Chyba jednak ciebie zostawimy na koniec.

Usłyszeli też kolejną, tym razem mniej obelżywą wypowiedź po rodiańsku.

- Musimy lecieć, Karrde - przetłumaczył Xern. - Czas zrobić mniejsze śmieci z większych. Do zobaczenia, admirale. W głośniku szczęknięło i zapadła cisza.

- Na pewności siebie im nie zbywa - oceniła Shada. - A nawet mają jej w nadmiarze.

- Mają - Talon z ociąganiem położył dłoń na jej ramieniu. -Przepraszam. Nie powinienem cię w to wplątywać.

Mówił tak cicho, że nikt inny nie miał prawa usłyszeć jego słów.

- Nie szkodzi - odparła równie cicho. W Orowood Tower gotowa była umrzeć z rąk Noghri i prawie żałowała, że jej nie zabili - byłoby łatwiej.

Teraz wiedziała, że śmierć nie będzie łatwa, ale za to pewniejsza. Widocznie nie da się zginąć nieodpowiedzialnie czy bez przyjaciół. Bo kiedy tak obserwowała patrzącego w okno Talona, dotarło do niej, że - sama nie wiedząc, jak i kiedy - zaczęła go uważać za przyjaciela. Teraz straciło to zresztą znaczenie - znaczenie miało tylko jedno: spróbować jak najlepiej posprzątać bałagan, którego stali się mimowolnymi sprawcami. Czyli pozabijać możliwie wielu piratów, zanim sami zginą.

Skupiła uwagę na ekranie, wybierając kolejność celów i przydzielając je poszczególnym turbolaserom. Czołowe jednostki piratów były już prawie w zasięgu... - Sygnał do wszystkich jednostek - odezwał się niespodziewanie David. - Wycofać się. Powtarzam: wycofać się! - Co?! - zdumiała się Shada.

- Powiedziałem wycofać się. - David przyjrzał się jej zdziwiony. - Które z tych słów jest niezrozumiałe?

Zanim zdążyła się odciąć, Talon delikatnie ścisnął ją za ramię i powiedział:

- Dziwimy się, ponieważ „Szalony Karrde”, podobnie jak większość pańskich jednostek, znacznie straci na zwrotności w polu grawitacyjnym planety.

- Wiem o tym, ale rozkaz pozostaje w mocy i proszę go nadać na inne jednostki. - Szefie? - spytał Dankin. Karrde przyjrzał się z namysłem Davidowi.

- Nadaj ten rozkaz, Chin - powiedział zamyślony. - Dankin, zacznij odwrót, ale trzymaj szyk z innymi jednostkami. Shada, każ otworzyć ogień zaporowy. - Jasne - przekazała polecenie, próbując równocześnie zrozumieć, co chciał osiągnąć David.

Odwrót ku powierzchni planety miał sens tylko w dwóch przypadkach - aby wciągnąć przeciwnika w zasięg umieszczonej na tejże powierzchni ciężkiej broni lub w pułapkę, którą zamkną siły startujące z planety. Problem polegał na tym, że wszystko, co było na Exocronie i mogło latać w przestrzeni, znajdowało się już w niej, a na powierzchni nie posiadano żadnego silnego uzbrojenia, gdyż takie źródła energii sensory pokładowe „Szalonego Karrde'a" dawno by już wykryły.

Powoli cofali się w stronę planety, jakimś cudem zachowując nawet szyk, choć część jednostek zaczęła strzelać do zbliżających się Corsairów. Marnowały tylko energię, ponieważ z tej odległości naprawdę trudno było trafić w ruchliwy cel znajdujący się na granicy zasięgu ognia. Shada spojrzała na Davida, lecz ten albo nie zauważył marnotrawstwa, albo nie miał nic przeciwko niemu, co uznała za jeszcze bardziej niezrozumiałe.

- Powtórzyć rozkaz wycofania się do wszystkich jednostek -poleciał. - Proszę o sytuację taktyczną.

H'sishi syknęła i włączyła symulację nałożoną na ekran taktyczny. Obrońcy znajdowali się już w polu grawitacyjnym planety, toteż zaden nie mógł zmienić zdania i skoczyć w nadprzestrzeń, a pierwsze jednostki piratów właśnie przekraczały jego granicę. Większe okręty leciały w linii prostej, za myśliwcami osłony, co było zrozumiałe - przy tak słabej obronie nie musiały tracić czasu na manewry, wystarczyło przelecieć przez linię obrońców, strzelając ze wszystkiego, czym się dysponowało, a potem zbombardować wybrane cele na powierzchni. Niejako przy okazji rozprawiając się z jednostkami atmosferycznymi Darra.

Zanim Shada skończyła analizę taktyczną, wszystkie okręty pirackie znalazły się w polu grawitacyjnym planety, co oznaczało, że nikt stąd nie odleci, dopóki któraś ze stron nie zostanie zniszczona. - Nadlatują - mruknął David.

Shada ugryzła się w język - pewnie, że nadlatują, ślepy by to zobaczył, więc...

H'sishi warknęła niedowierzająco.

Shada spojrzała na ekran - piraci istotnie nadal się zbliżali, ale to nie o nich mówił David. Za linią ich okrętów pojawiło się coś jeszcze.

Był to statek kosmiczny. A właściwie okręt, choć nie przypominał żadnej znanej jej jednostki: ovoid o połowę większy od korwety i pokryty grubym pancerzem, nadającym mu wygląd opancerzonego mieszkańca morskich głębin. Cały pancerz pokrywały owalne wypukłości mieszczące spore źródła energii - albo napęd, albo broń, chociaż symetrii czy zasady ich rozmieszczenia nie potrafiła dostrzec. Na jednym z ekranów ukazało się powiększenie fragmentu kadłuba. Pokryty był wzorem dziwnych napisów i sprawiał wrażenie czegoś żywego...

Ktoś na mostku zaklął cicho i z uczuciem. Shada przeniosła wzrok za okno i zobaczyła, jak obok pierwszej materializują się trzy kolejne jednostki. Właśnie materializują, a nie wychodzą z nadprzestrzeni, gdyż nie towarzyszył temu charakterystyczny błysk pseudoruchu.

A potem pierwszy okręt podleciał do najbliższej korwety Rei'Kasa i przeciął ją na pół jednym

potężnym wyładowaniem błękitnozielonej energii. - Co to jest? - warknęła H'sishi.

- Nazywani są mnichami Aing-Tii - powiedział z podziwem i satysfakcją David. - To obce istoty, spędzające prawie całe życie w Ryfcie Kathol. Niewiele o nich wiadomo.

- A jednak teraz przybyli wam z pomocą- zauważył Karrde. - I, co ważniejsze, wiedział pan, że to zrobią.

- Nienawidzą handlarzy niewolników, a Rei'Kas jest handlarzem niewolników. I to wystarczyło.

Druga korweta rozpadła się na dwie części, przecięta przypominającym błyskawicznie rozkwitający kwiat rozbłyskiem energii z innej jednostki Aing-Tii. Zaraz po niej zrobiła to trzecia. Piraci przerwali atak, gorączkowo próbując przegrupować siły i przeprowadzić skoordynowany atak na nowego i nieoczekiwanego przeciwnika. Nie udało im się to. Zbyt szybko niszczone ich jednostki, a nieskoordynowany ostrzał turbolaserów czy dział jonowych absorbowały pola siłowe przybyszów.

Aing-Tii ignorowali zresztą ten ostrzał, systematycznie eliminując pirackie okręty - większe ogniem, mniejsze taranowaniem.

- Obawiam się, że to chyba nie wszystko - powiedział Karrde. - Według moich informacji Rei'Kas działa w okolicy od roku. Dlaczego Aing-Tii tyle czasu zwlekali, skoro tak nienawidzą procederu, który uprawia?

- Jak już mówiłem, nie lubią oddalać się od Ryftu. Bez specjalnej okazji nie przylecą nawet na Exocron.

- Krótko mówiąc, potrzebowali kogoś, kto zwabiłby na ich teren Rei'Kasa - podsumował Talon. - A tymi ktosiami byliśmy my.

David nawet nie drgnął, ale Shada dostrzegła napięcie na jego twarzy - prawdopodobnie zastanawiał się, jak zareaguje grupa przemytników, jeśli uzna, że ubliżyła im rola przynęty.

- Wykorzystaliśmy tylko pańskie akcje, kapitanie Karrde - powiedział powoli. - Pańską decyzję przybycia na Exocron i fakt, że nie zdołał pan zgubić podwładnych Rei'Kasa. Nie wykorzystaliśmy pana ani pańskich ludzi.

Przez długą chwilę na mostku panowała cisza. W tym czasie wszystkie jednostki piratów zostały zniszczone, a okręty Aing-Tii kolejno się zdematerializowały, co Shada obserwowała z prawdziwym zainteresowaniem. Większość pozostałych członków załogi obserwowała Davida.

- My, to znaczy pan i reszta wojskowych? - spytał Karrde.

- Dziwne pytanie, a kto inny mógłby o tym decydować?

- Właśnie - uśmiechnął się Talon. - Chin, nawiąż łączność z planetą. Threepio, bądź łaskaw przetłumaczyć na starotaormiński następującą wiadomość: „Tu Karrde. Chciałbym wylądować i jeszcze raz się z tobą spotkać”.

- Naturalnie, panie kapitanie - Threepio podszedł niepewnie i pochylił się nad ramieniem China. - Merirao Karrde tuliak. Mu parriran se'tuffriad moa sug po'porai? - Obejrzał się na Talona i dodał: - Rozumie pan kapitanie, że możemy długo czekać na odpowiedź. ..

- Se'po brus tai - przerwał mu głos dobiegający z głośnika.

Silny i dźwięczny, bez śladu choroby.

Shada spojrzała na Talona, którego twarz stężała na kamień. - Mógłbyś przetłumaczyć? - On powiedział... przylatuj - wykrztusił Threepio.

Entoo Nee czekał na nich na stanowisku piętnastym lądowiska w Rintatta City. Całe przedstawienie towarzyszące podróży do niebieskiego domu stanowiło dokładne powtórzenie poprzedniego wyjazdu, ale tym razem Karrde sam nie wiedział, co czuje. Przeważały chyba niepewność i zaskoczenie, ze sporą domieszką złości, że manewrowano nim jak zdalnie sterowanym modelem. A do tego wszystkiego dochodziła obawa - Car'das, jak dobrze pamiętam, zawsze cenił drapieżniki, które bawiły się ze swymi ofiarami przed ich zabiciem.

Niebieski domek także nie zmienił wyglądu - był brudny i zaniedbany. Ale gdy Entoo Nee prowadził ich do sypialni, Karrde uważał, że zniknął zapach starości i choroby. I tym razem drzwi otworzyły się automatycznie, z czego natychmiast skorzystała Shada, by przepchnąć się przed Talona.

Półki z osobliwą kolekcją, cały sprzęt medyczny oraz łoża i sterty koców zniknęły. Na środku pustego pomieszczenia stał o własnych siłach stary, ale jak najbardziej jary i żwawy, Jorj Car'das.

- Witaj, Talon - uśmiechnął się na powitanie. - Jak dobrze znów cię zobaczyć.

- Nie przesadzaj: ostatni raz widziałeś mnie dziewięć godzin temu. Gratulacje z powodu błyskawicznego wyzdrowienia.

- Jesteś na mnie zły, rozumiem - uśmiech nie drgnął ani o milimetr. - Wszystko ci wyjaśnię, a w międzyczasie...

Odwrócił się lekko i skinął ręką - tylna ściana zniknęła, ukazując długi, wyposażony w poczwórne prowadnice tunel. Tuż za nieobecną teraz ścianą znajdował się zamknięty wagonik, stojący między prowadnicami.

- Pozwolicie, że zaproszę was do mego prawdziwego domu - kontynuował Car'das. - Jest znacznie



wygodniejszy.

Ponownie skinął ręką i drzwi wagonika odsunęły się. - Goście przodem.

Talon spojrział na gościnnie otwarte drzwi: drapiezniki bawiące się z ofiarami... - A gdybyśmy tak pojechali sami? - zaproponował. - Shada i Threepio mogą wrócić na statek i...

- Nie! - przerwała mu Shada. - Jeśli planujecie wycieczkę krajoznawczą to raczej ty poczekaasz, a ja pojedę z gospodarzem i potem zdecyduję, czy możesz do nas dołączyć.

- Doprawdy? - Car'das przyjrzał się jej z takim rozbawieniem, że Talonowi ciarki przeszły po plecach: robienie sobie rozrywki z Shady nie było najzdrowszym pomysłem. - Prawdziwa, choć nieco nerwowa lojalność... zazdroszczę ci takich podwładnych, Talon.

- Shada nie jest moją podwładną. Towarzyszy mi na prośbę senator Leii Organy Solo z Nowej Republiki i nie ma ani nie miała nic wspólnego ze mną czy moimi posunięciami.

- Proszę - Car'das uniósł dłoń. - Przyznaję, że to urocze przedstawienie, ale naprawdę niepotrzebnie się oboje martwicie. Nie jestem już tym człowiekiem, którego znałeś, Talon, i udowodnię ci to, tylko daj mi szansę, cholera!

Karrde pierwszy odwrócił wzrok, niezdolny dłużej patrzeć w oczy gospodarza, spoglądające na niego bez mrugnięcia. Drapieznik igrający z ofiarą... Tyle że jeśli Car'das chciał ich zabić, nie miało znaczenia, czy pozwolą mu ze sobą igrać, czy nie. - Zgoda - powiedział. - Chodź, Shada.

- Przepraszam, panie kapitanie - odezwał się niepewnie Threepio. - Jeżeli nie będzie mnie pan już potrzebował...

- Wręcz przeciwnie, chciałbym potem z tobą porozmawiać. - Car'das był pierwszy. - Od dawna nie spotkałem rozmówcy tak płynnie znającego starotaormiński. Entoo Nee próbuje, ale to nie to samo. - Nie to samo - przyznał Entoo Nee.

- Dlatego, proszę, dołącz do nas. A tak na marginesie: nie znasz przypadkiem dialektów z Cincher? Threepio wyjaśniał.

- Oczywiście, że znam - odparł z dumą. - Biegłe posługuję się ponad sześcioma milionami...

- Doskonale - ucieszył się bardzo Car'das. - W takim razie ruszajmy.

Minutę później byli już w drodze.

- Rzadko miewam gości - wyjaśnił Jorj - ale czasem muszę spotkać się z kimś z władz planety. Używam wtedy niebieskiego domu: jest wygodny i nie wzbudza przesadnego podziwu.

- Wiedzą, kim jesteś? - spytała Shada tonem, który jeszcze nie brzmiał jak rozkazujący, ale mało mu brakowało. - Kim naprawdę jesteś?

- Znają odpryski mojej historii, ale jak się sami niebawem przekonacie, ta historia jest bez znaczenia.

- W takim razie zajmijmy się kilkoma bardzo aktualnymi wydarzeniami - zaproponowała. - Zaczynając od tych twoich Aing-Tii. David może sobie do upojenia opowiadać o ich nienawiści do handlarzy niewolników, ale wiemy, że to nie wszystko. Czy ty ich wezwałeś?

- Aing-Tii i ja mieliśmy już ze sobą do czynienia - przyznał i nagle się uśmiechnął. - Ale to też tylko historia. Wszystko we właściwym czasie.

- Spróbujmy jeszcze raz. David twierdzi, że nie użył nas do zwabienia Rei'Kasa. Mogę się z nim zgodzić, bo to ty nas użyłeś -nie ustępowała.

- Lubię ją, Talon - zadeklarował Car'das, spoglądając na niego. - Ma charakter. Nie byłabyś przypadkiem zainteresowana nową pracą?

- Zmarnowałam ponad dziesięć lat w organizacji przemytniczej, Car'das - prychnęła. - Nie interesuje mnie przyłączenie się do innej. - Aha, przepraszam... Jesteśmy.

Tunel kończył się niewielkim, dobrze oświetlonym pomieszczeniem. Jorj otworzył drzwi i wysiadł jeszcze niemal w biegu, po czym pogonił pozostałych:

- No dalej, wysiadać. Pokochasz to miejsce, Talon. Możesz mi wierzyć. Wszyscy gotowi? To w drogę.

Prawie podskakując z niecierpliwości, zaprowadził ich do łukowato sklepionego wejścia, w którym znajdowały się drzwi. Wystarczył kolejny ruch ręki i drzwi zniknęły. A za nimi rozciągał się krajobraz jak ze snu.

Gdy Talon przeszedł przez portal, odniósł nieodparte wrażenie, że znalazł się w doskonale utrzymanym ogrodzie na świeżym powietrzu. Miał przed sobą około stu metrów kwadratowych obsadzonych starannie dobranymi i pielęgnowanymi kwiatami i niewielkimi krzewami, pomiędzy którymi wily się kręte ścieżki. Na obrzeżu ogrodu rosło kilkanaście gatunków drzew, o liściach od granatowych po jasnoczerwone.

Wszystko zostało artystycznie skomponowane, a skądś dochodził plusk wody płynącej po kamieniach. Dopiero gdy spojrział w górę, dostrzegł nad sobą ochronną kopułę o barwie nieba.

- Tak, znajdujemy się wewnątrz - potwierdził Car'das. - Prawdę mówiąc, dość głęboko pod ziemią, a ściślej, pod jedną z gór na wschód od Rintatta City. Piękne, prawda? - Sam to uprawiasz? - zainteresował się Karrde.

- Większość prac wykonuję sam - Car'das wszedł na ścieżkę. - Mam jednak paru pomocników. Chodźcie za mną.

Poprowadził ich do drzwi ukrytych między parą drzew o czerwonych pniach. - Niezły wyczyn i musiał cię kosztować sporo pracy - skomentowała Shada, gdy i te drzwi zniknęły po kolejnym ruchu ręki. - Pomogli nowi przyjaciele Aing-Tii? - Pośrednio tak. A to mój salon. Na swój sposób jest równie piękny jak ogród.

Pomieszczenie zaprojektowano w prawie klasycznym stylu alderańskim, łącząc ciemne drewno i żywe rośliny, i osiągając podobny efekt żywej, otwartej przestrzeni jak w ogrodzie.

- Co rozumiesz przez „pośrednią pomoc”? - spytał Karrde.

- W sumie to dość zabawne - Car'das skierował się ku drzwiom w prawej ścianie. - Kiedy tu przybyłem, zacząłem budowę siedziby pod górami ze względów czysto obronnych. Potem, gdy okazało się to całkowicie zbędne, spodobało mi się tu z uwagi na odosobnienie od świata.

Karrde, coraz bardziej ogłupiał, spojrzał na Shadę.

- Rei'Kas już wówczas był groźny? - zdziwił się głośno.

- Nic nie rozumiesz - gospodarz potrząsnął głową. - Owszem Rei'Kas rzeczywiście był groźny, ale dla reszty Exocronu. Pomogłem im się go pozbyć w ramach dobrosąsiedzkiej uprzejmości. A kiedy tu przybyłem, nikt jeszcze o nim nie słyszał. Chodźcie, muszę się pochwalić gabinetem, to moje ulubione pomieszczenie.

Otworzył kolejne drzwi, przepuszczając Talona przodem. Ten przekroczył próg i zamarł. Stał na zewnętrznym skraju amfiteatralnego pokoju, który wydawał się niewiele mniejszy od ogrodu. W centrum znajdowało się masywne biurko z terminalem komputerowym, a wokół ustawiono w koncentrycznych kręgach dwumetrowej wysokości regały na datakarty, pozostawiając między nimi jedynie niezbyt szerokie przejścia. A o ile dobrze widział, wszystkie półki pełne były datakart. Ich liczby Talon nawet nie próbował sobie wyobrazić.

- Wiedza- powiedział cicho Car'das. - Informacje... moja pasja, potem broń i wygoda, teraz zaś głównie hobby i rozrywka... zadziwiające, co człowiek uważał kiedyś za najważniejsze w swoim życiu.

- Tak... - mruknął Talon, mając przed oczami cel całej tej eskapady

- A więc Entoo Nee zełgał - oceniła rzeczowo Shada. - Powiedział, że nie wie, co się stało z twoją biblioteką.

- Ładnie to tak, Entoo Nee? - spytał z przyganą Jorj.

- Powiedziałem, że nie wiem, co z nią zrobiłeś, bo wtedy jeszcze dla ciebie nie pracowałem - odparł odległy głos, gdyż Entoo Nee pozostał w salonie, żeby przygotować napoje.

- Niedokładnie tak to brzmiało, ale nie w tym rzecz - mruknęła Shada.

- Siadajcie - zaprosił ich gospodarz. - Wiem, że macie wiele ' pytań.

- Zacznę od najważniejszego - Karrde nie ruszył się z miejsca. - Przybyliśmy tu, szukając pewnego niezwykle ważnego dokumentu historycznego. Listy...

- Wiem - przerwał mu z westchnieniem Car'das. - Pełnej dokumentacji sprawy Caamas, a zwłaszcza listy Bothan zamieszanych w zniszczenie tej planety. - Skąd wiesz? - zdziwiła się Shada.

- Nie jestem starym sklerotykiem, którego spotkaliście parę godzin temu - przypomniał jej bez złośliwości. - Nadal mam parę źródeł informacji i staram się śledzić na bieżąco wszystko, co się dzieje w galaktyce. Niestety, nie mogę wam pomóc: jak tylko sprawa Caamas stała się głośna, sprawdziłem swoje archiwum i okazało się, że nie mam tej listy.

- Jesteś absolutnie pewien? - spytał przybity Karrde.

- Niestety, tak. Przykro mi, Talon.

Karrde potrząsnął głową - a więc jednak cała wyprawa okazała się daremna. Shada nie zamierzała tak łatwo ustępować.

- A gdybyś znalazł tę listę, co byś zrobił? - spytała. - Przez ostatnie dwadzieścia lat siedziałeś tu i obserwowałeś, jak inni odwalają brudną robotę...

- Podejrzliwość i brak umiejętności przebaczenia - Car'das uniósł brwi. - Nie ma niczego i nikogo, komu byś ufała?

- Jestem zawodową ochroną osobistą- warknęła. - Zaufanie nie należy do moich zadań i zakresu szkolenia. Poza tym nie zmieniaj tematu. Przesiedziałeś spokojnie na tym zadupiu rozkwit Imperium, całą Rebelię, powstanie Nowej Republiki i kontrofensywę Thrawna, że wymienię najważniejsze fakty. Dlaczego?

Coś nieodgadnionego przemknęło przez twarz gospodarza.

- Thrawn... - wymamrotał. - Nader interesująca postać. Mam tu większość jego historii w służbie Imperium, ostatnio nawet czytałem ją ponownie. .. ale to tylko część prawdy. Szkoda, że nie znam całej, bo jestem przekonany, iż nie tak to wszystko wyglądało, jak zostało przedstawione...

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że je zadałaś. Słyszałem jedynie oskarżenie o beczyność, ale jeśli

było pytaniem... - Jorj uśmiechnął się. - W pewien sposób to prawda, lecz tylko w pewien. .. Miałem własne zajęcia, a nie potrafię być w paru miejscach równocześnie. Natomiast teraz zapominam o roli gospodarza, co jest niewybaczalne. Chodźcie, bo inaczej przygotowane przez Entoo Nee rusc'te wystygnie.

W salonie czekał na nich wpuszczony nieco w podłogę krąg zastawiony wygodnymi siedziskami, ze stołem o kształcie kolumny. Stała na nim taca z parującymi naczyniami, przy której cierpliwie tkwił Entoo Nee.

- Co powiedziałeś o mnie swojej towarzyszce, Talon? - spytał Car'das gdy siedli. - Nie lubię się powtarzać.

- To co najważniejsze - mimo przyjaznej atmosfery Karrde miał wrażenie, że coś tu nie gra, a raczej, że nadal toczy się jakaś gra, w której bierze udział. - Jak założyłeś i rozwinąłeś organizację i jak zniknąłeś ponad dwadzieścia lat temu.

- Powiedziałeś jej o tym jak mnie porwał Ciemny Jedi? - głos Car'dasa zabrzmiał dziwnie. - Bo tak naprawdę wszystko zaczęło się właśnie wtedy. - Tylko tyle, ile wiedziałem.

Car'das westchnął, nie patrząc nawet na Entoo Nee, który włożył mu w dłońe dymiącą filiżankę.

- To było straszne przeżycie - przyznał cicho. - Pierwszy raz w życiu byłem naprawdę przerażony. A on, na wpół szalony z wściekłości, miał olbrzymią Moc. Sądzę, że chyba taką jak Darth Vader, ale brakowało mu samokontroli Vadera. Jednego z moich ludzi rozerwał na strzępy, pozostałymi trzema zawładnął psychicznie, zmieniając ich umysły, aż stali się jego żywymi wcieleniami. A mnie... mnie zostawił w spokoju i nadal nie wiem, dlaczego. Może zamierzał wykorzystać moją wiedzę o portach kosmicznych i trasach przelotowych, żeby uciec, a może chciał mieć na pokładzie kogoś, kto byłby odpowiednio przerażony jego możliwościami... Przez dłuższy czas udawało mu się unikać pościgu, a ja marnowałem czas, wymyślając coraz to nowe sposoby pokonania go, z których żadnego nawet nie próbowałem wprowadzić w życie, ponieważ znał je równocześnie ze mną. Miałem i mam zresztą do dziś wrażenie, że moje wysiłki szczerze go bawiły. W końcu z powodów, których nadal nie bardzo rozumiem, wylądowaliśmy na planecie położonej na takim odludziu, że nie ma jej na większości map. Zresztą nie było tam nic ciekawego: bagna, moczary, podmokłe lasy, i tak w kółko. Planeta nazywała się Dagobah.

Karrde poczuł egzotyczny aromat i rozejrzał się w poszukiwaniu jego źródła - Entoo Nee podał mu filiżankę i dopiero wówczas Talon zauważył, że dotychczasową głupawą wesołość ich przewodnika zastąpiła powaga.

- Nie wiem, co ten Ciemny Jedi spodziewał się zastać i po co wylądował na tym zadupiu - ciągnął Jorj. - Na pewno jednak nie spodziewał się spotkać zabawnie wyglądającej i mierzającej może i z metr wzrostu istoty, która czekała na skraju polany, na której wylądowaliśmy. Był to Mistrz Jedi Yoda. Nie wiem również, czy mieszkał w tym bagnie, czy specjalnie w tym celu przyleciał, ale z pewnością czekał na nas. Bitwy, do której wtedy doszło, nie podejmuję się opisać nawet po czterdziestu pięciu latach. Bo to była bitwa, nie walka. Trwała półtorej doby, a wokół szalał ogień, błyskawice i

zjawiska, których nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem, ani nie rozumiałem. W końcu Ciemny Jedi zniknął w ostatnim rozbłysku błękitnego ognia... Nikt z mojej załogi tego nie przeżył, zresztą psychicznie dawno przestali być ludźmi. Ja też nie spodziewałem się przetrwać, ale ku memu zaskoczeniu Yoda podjął się uratowania mnie.

- Widziałem, co potrafi Luke Skywalker - odezwał się Talon. - Czasami jest lepszy od bacty.

- W moim przypadku bacta nic by nie działała. Yoda stracił sporo czasu, zanim wyzdrowiałem. Nie wiem dokładnie, ile, ale sporo. Potem poskładałem, jak się dało, statek i tą prowizorką dotarłem do domu. I dopiero po pewnym czasie zacząłem pojmować, że w trakcie procesu uzdrawiania jakaś część mnie uległa zmianie. Jestem pewien, że pamiętasz, o czym mówię. Nieoczekiwanie posiadałem zdolność domyślania się, co i kiedy planują przeciwko mnie moi rywale. Doszedłem do wniosku, że te umiejętności przejąłem w jakiś sposób od Yody w procesie leczenia. W każdym razie, stałem się praktycznie wszechmocny. Nie istniały granice tego, co mogłem zrobić. Zająłem się powiększaniem organizacji, wchłaniając lub niszcząc wszystkich, którzy nie wydawali mi się użyteczni. Sukces gonił zwycięstwo. Planowałem już, jak wykończyć huttyjskie kartele, żeby najwięcej zyskać, gdy Palpatine wreszcie sięgnie po władzę absolutną gdyż i to przewidziałem. Nic nie mogło mnie powstrzymać... I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wszystko się skończyło...

Ostatnie zdanie wypowiedział bez poprzedniego ognia, cicho i z rezygnacją, i zajął się filiżanką, dotąd jedynie trzymaną w dłoniach. - Co się stało? - spytała Shada z niedowierzaniem.

- Przestałem być zdrowy. W ciągu kilku tygodni młodość i wigor, które Yoda przywrócił mojemu ciału wraz z życiem, wyparowały. Krótko mówiąc: umierałem. Karrde skinął głową, rozumiejąc, skąd wziął się przywoływacz w bagnie.

- Wróciłeś na Dagobah i poprosiłeś Yodę o pomoc - powiedział domyślnie.

- Poprosiłeś? - Car'das roześmiał się ironicznie. - Pomyłka, Talon: ja zażądałem pomocy. Potrząsnął głową z niesmakiem.

- Musiałem wyglądać absurdalnie, żeby nie powiedzieć, idiotycznie - przyznał. - Stałem nad nim z blasterem w jednej, a przywoływaczem w drugiej ręce, grożąc, że ściągnę statek, a jak wiesz, był on solidnie uzbrojony. I wrzeszczałem jak opętany na mające mniej niż metr stworzenie wsparte na kosturze. Naturalnie, byłem twórcą i szefem największej organizacji przemytniczej w galaktyce, a on tylko zwykłym Mistrzem Jedi. Kiedy to sobie przypominam, mam ochotę sam sobie nakłaść po gębie za głupotę. - Dziwię się, że cię nie zabił od ręki - stwierdziła Shada.

- Czasami tego żałowałem. Czułbym się znacznie mniej upokorzony. Zabrał mi broń i przywoływacz, i odrzucił je w bagno. Potem uniósł mnie o parę centymetrów nad ziemię i spokojnie pozwolił się wyrzeshceć. A na koniec poinformował mnie, że umrę.

Entoo Nee podszedł bezszelestnie i napełnił pustą filiżankę szefa.

- Sądziłem, że to był szczyt upokorzenia - kontynuował Car'das. - Ale dalszy ciąg okazał się jeszcze

gorszy: siedziałem na kamieniu, z trudem łapiąc oddech, woda wlewała mi się do butów, a on dokładnie i rzeczowo wyjaśniał mi, jak zmarnowałem jego dar. Jak przez ćwierć wieku samolubnie dążyłem do władzy, co pozbawiło moje życie celu i wyczerpało dar, który dał mi wraz z przywróconym życiem. Zanim skończył, wiedziałem, że nigdy nie wrócę, bo żadnemu z was nie zdołałbym spojrzeć w oczy. Ostatnie zdanie skierował do Talona, który nagle zdał sobie sprawę, jak kurczowo ściska filiżankę. - Więc nie próbowałeś... to jest nie byłeś...

- Zły na ciebie? - Car'das uśmiechnął się. - Wręcz przeciwnie: okazałeś się jedynym miłym akcentem w całym tym bagnie, w jakie zmieniło się moje życie. Dopiero po opuszczeniu Dagobah zdałem sobie sprawę, że moja organizacja składa się z ludzi i innych istot inteligentnych, których zostawiłem na pastwę wojny domowej, nieuniknionej między moimi zastępcami, ponieważ większość z nich miała wszystkie moje wady, a jedynie część zalet. Nigdy nie byłem na ciebie zły, ani tym bardziej nie darzyłem cię nienawiścią za przejście władzy i zachowanie organizacji w całości. Potem zacząłem cię szanować, gdy dowiedziałem się, że troszczysz się o podwładnych i szanujesz ich tak, jak na to zawsze zasługiwali, a do czego ja nigdy jakoś nie byłem zdolny. Potrafiłeś przetworzyć efekt mojej samolubnej ambicji w coś, co mogło stanowić powód do dumy... przez dwadzieścia lat chciałem ci za to podziękować.

I ku zaskoczeniu Talona wstał, podszedł do niego i wyciągnął prawicę. - Dziękuję - powiedział po prostu.

Karrde również wstał, czując, jak z ramion spada mu olbrzymi ciężar.

- Proszę bardzo - wymamrotali uściskał dłoń Car'dasa. - Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej.

- To moja wina, lecz jak powiedziałem: najpierw było mi wstyd, potem byłem zajęty, a potem zaczęli tu węszyć Mara Jade i Lando Calrissian, więc uznałem, że wkrótce pojawisz się osobiście. - Jorj puścił jego rękę i wrócił na swój fotel.

- Powinienem tak zrobić, ale nie bardzo mi było spieszo.

- Rozumiem. Obaj popełniliśmy błędy, lecz za to przy okazji twojej wizyty pozbyliśmy się kłopotu, jakim stał się Rei'Kas i jego banda. Tego między innymi uczą mnie Aing-Tii: nic nie jest z góry przesądzone, jednak los ma duży wpływ na życie każdego z nas. To jakby forma kierowania... nadal tego co prawda nie rozumiem, ale pracuję nad tym.

- Brzmi dziwnie, podobnie jak niektóre zasady Jedi - ocenił Talon.

- Podobnie, lecz nie tak samo - zgodził się Car'das. - Właściwie Aing-Tii też znają Moc, tylko albo podchodzą do niej inaczej niż Jedi, albo korzystają z innego aspektu Mocy. Nie wiem, co jest bliższe prawdy. Widzisz, Yoda nie mógł mnie uleczyć czy też raczej nie miał czasu na tak skomplikowany zabieg. Powiedział mi, że musi się przygotować do prawdopodobnie najważniejszego szkolenia, jakie będzie miał od ponad stu lat.

Talon skinął głową, bo właśnie kolejny element układanki trafił na miejsce.

- Chodziło o Luke'a Skywalkera - wyjaśnił.

- Zawsze tak podejrzewałem, ale nigdy nie zdołałem uzyskać potwierdzenia. W każdym razie powiedział mi, że moją jedyną szansą na odroczenie śmierci są mnisi Aing-Tii z Ryftu Kathol, którzy może zechcą mi pomóc. - I pomogli - mruknął Karrde.

- Owszem - zgodził się kwaśno Car'das. - Tylko za jaką cenę... - Jak to: za jaką cenę? - zdziwił się Karrde.

- Za moje życie - wyjaśnił Car'das. - Resztę życia miałem spędzić, ucząc się ich pojmovania Mocy. Nie zrozumcie mnie źle, sam dokonałem wyboru. Wiesz, że zawsze szukałem wyzwań: im większe, tym atrakcyjniejsze. Kiedy posmakowałem tego, co tu odkryli... to było największe wyzwanie w życiu. Jak mogłem je zignorować? - Żeby zostać Jedi, trzeba mieć wrodzone predyspozycje - wtrąciła Shada.

- Jedi tak, ale oni zupełnie inaczej korzystają z Mocy. Oni rozumieją to, co znajduje się pomiędzy, a ja nazywam je tęczą barw. Pokażę wam, tak będzie prościej... Entoo Nee, mógłbyś zabrać tacę? - polecił, odstawiając filiżankę, a gdy stolik został opróżniony, zatarł ręce. - Teraz patrzcie... zobaczymy, czy mi się uda...

Przygarbił się nieco i z natężeniem wpatrzył się w blat.

I nagle pojawiła się na nim niewielka kryształowa butelka, czemu towarzyszył ostry trzask przemieszczanego powietrza,

Karrde podskoczył, rozlewając zawartość swojej filiżanki -nigdy ani Mara, ani Luke nie zrobili w jego obecności niczego podobnego.

- W porządku - zapewnił pospiesznie gospodarz. - Nie chciałem nikogo przestraszyć. - Ty to stworzyłeś? - wykrztusiła osłupiała Shada.

- Skądże znowu! Przeniosłem to z kuchni. To jedna z rzeczy, których nauczyli mnie Aing-Tii: najpierw trzeba sobie wyobrazić pokój, a potem pokój z butelką na stole... - umilkł, podniósł filiżankę i wstał. - Wybaczcie mi, o Mocy i Aing-Tii mogę mówić całymi dniami, ale oboje jesteście zmęczeni, a ja zapominam o obowiązkach gospodarza. Chodźcie, zaprowadzę was do pokoi. Odpocznijcie i odświeżcie się przed posiłkiem.

- To miło z twojej strony - Talon też wstał, strząsając z palców krople płynu. - Obawiam się jednak, że będziemy musieli cię opuścić: skoro nie masz listy, której szukamy, powinniśmy jak najszybciej wrócić na tereny Nowej Republiki.

- Rozumiem twoje przekonania i zobowiązania, ale na jedną noc odpoczynku możesz sobie chyba



pozwolić.

- Chciałbym, żeby tak było - Karrde za wszelką cenę próbował nie być nieuprzejmy. - Naprawdę, lecz...

- A poza tym, jeśli uprzecie się odlecieć dzisiaj, będziecie wracali do domu znacznie dłużej - dodał z uśmiechem Car'das. - Rozmawiałem z Aing-Tii i zgodzili się przysłać tu jutro okręt, który przewiezie „Szalonego Karrde'a”, gdzie tylko zechcecie. - A co to ma wspólnego z szybkością? - spytała Shada.

A to, że ich sposób podróżowania i rodzaj napędu znacznie różnią się od naszego. Jak pewnie zauważyliście w czasie bitwy, oni nie lecą w nadprzestrzeni, tylko natychmiast przenoszą się do wybranego przez siebie miejsca. Coś jakby teleportacja, chociaż nie całkiem. - Tak było? - Talon spojrział podejrzliwie na Shadę.

- Logiczne wytłumaczenie niezrozumiałego zjawiska - Shada wzruszyła ramionami. - H'shishi sprawdziła wszystkie odczyty i nie potrafiła wyjaśnić ani jak się zjawili, ani jak zniknęli. A dlaczego nie mogą przylecieć po nas dzisiaj?

- Nie musisz zaraz robić się taka podejrzliwa - uśmiechnął się Jorj. - Ponieważ powiedziałem im, że odlatujecie jutro. No, spełnijcie zachciankę starego człowieka, rzadko mającego miłe towarzystwo, a załozde też się przyda spokojny nocny odpoczynek po stresującej podróży.

- Zawsze byłeś doskonały w manipulowaniu innymi - Talon potrząsnął głową, przyznając się do porażki. - Widzę, że tak zostało.

- Człowiek nie może się całkowicie zmienić - Jorj uśmiechnął się szerzej i dodał, zwracając się do milczącego cały czas droida. - A my w tym czasie przygotujemy posiłek, naturalnie jeśli zechcesz mi pomóc. Będziemy mieli okazję spokojnie porozmawiać.

- Naturalnie, proszę pana - ucieszył się Threepio. - Prawdę mówiąc, w czasie służby u księżniczki Leii i jej rodziny nabrałem sporego doświadczenia jako kucharz. - Doskonale, może nauczysz mnie czegoś nowego. Talon, skontaktuj się ze swoimi ludźmi i powiedz im, żeby odpoczęli do rana. A potem pokażę wam wasze pokoje.

# R O Z D Z I A Ł 3 2

Wyszli z nadprzestrzeni i Leia natychmiast wzięła głęboki oddech.

- Co się stało? - zaniepokoił się siedzący w fotelu drugiego pilota Elegos.

Bez słowa wskazała widoczną przed dziobem frachtowca Bothawui i orbitującą wokół niej armadę. - To wygląda gorzej niż sądziłam - wykrztusiła.

- I zakrawa na ironię losu, prawda? - powiedział cicho. - Wszystkie te okręty z załogami gotowymi zabić lub zginąć. Kolejne masakra i zniszczenie z powodu szacunku dla Pozostałości Caamas.

Na jego twarzy malowały się żal, smutek i gorzka akceptacja nieuchronnego, kiedy tak przyglądał się zgromadzonym na orbitach okrętom.

- Próbowaliście z nimi rozmawiać - przypomniała. - Ty i inni Powiernicy. Obawiam się, że nie potrafią już słuchać głosu rozsądku.

- Rozsądek i spokój są zawsze pierwszymi ofiarami podobnych konfrontacji. Pozostaje zemsta i naprawa subiektywnych krzywd. To, czy wydarzyły się one rzeczywiście, czy nie, jest bez znaczenia, gdyż najważniejsza dla wszystkich staje się zemsta... Powiedz mi, czy nie stąd możemy zobaczyć kometę?

- Kometę? - zdziwiła się Leia, sprawdzając odczyty: rzeczywiście, po prawej stronie, nieco nad nimi znajdowała się kometą, przesłonięta kadłubem „Sokoła Millenium”. Przechyliła frachtowiec o parę stopni i kometą pojawiła się w polu widzenia. - Wspaniała, prawda?

- Owszem - zgodziła się, nieco zaskoczona: kometą jak kometą, nie była ani większa, ani ładniejsza od innych; spośród wielu wyróżniała ją jedynie bardzo niewielka odległość od planety.

Kometą systematycznie okrążała słońce systemu i właśnie minęła orbitę Bothawui. - Z powierzchni Caamas rzadko widać komety - głos Elegosa stał się jakby odległy. - W naszym systemie było ich niewiele i żadna nie przelatywała tak blisko powierzchni. W tym systemie jest ich ponad dwadzieścia, prawda?

- Coś koło tego. Słyszałam, że podobno umożliwiły powstanie i rozwój całej gałęzi bothańskiego folkloru.

- Najczęściej bez wątplenia stając się zwiastunami przełomowych i groźnych wydarzeń - dodał Elegos.

- Jeśli coś takiego przelatuje komuś głupie pół kilometra nad głową, trudno, żeby się nie martwić, zwłaszcza kiedy następuje to raz albo dwa razy w ciągu roku. - Skrzywiła się i dodała: - Choć przy uroczej polityce, jaką od lat prowadzą Bothanie, zwiastuny klęsk i zmian z trudem nadążają za kolejnymi intrygami i rewolucjami pałacowymi. - Masz rację, choć w sumie jest mi żal Bothan. Mimo całej ich siły i odporności psychicznej, którymi chępią się wobec innych ras, uważam ich za nieszczęśników. Na wszystko patrzą podejrzliwie, a przecież bez zaufania nie mogą osiągnąć prawdziwego spokoju tak duchowego, jak i w polityce wewnętrznej całej planety.

- Nie sędzę, że bym kiedykolwiek myślała w taki sposób - przyznała, przywracając frachtowcowi poprzednie położenie. - Nigdy nie próbowaliście im tego uświadomić? - Jestem pewien, że próbowano. Natomiast nie wydaje mi się, aby to niechęć Bothan była powodem, dla którego uszkodzili nasze pole planetarne, jeśli to miałaś na myśli. Leia zarumieniła się.

- Jesteś zupełnie pewien, że nie posiadasz żadnych uzdolnień do posługiwania się Mocą? - spytała.

- Absolutnie żadnych - zapewnił z uśmiechem. - Ale zastanawialiśmy się nad tym długo i dogłębnie. Ja osobiście uważam, że choć sami sabotażyści zostali zmuszeni lub zaszantażowani przez Palpatine'a albo jego agentów, w grę wchodziło też coś bardziej osobistego. Jakaś ponura tajemnica, której odkrycia przez nas obawiali się Bothanie. - Ale nie wiesz, o co konkretnie mogłoby chodzić?

- Nie wiem. Inni być może poznali te wspomnienia, lecz nie zdają sobie sprawy z ich wagi.

- Poznali wspomnienia? - zdziwiła się, unosząc brwi.

- Nasza pamięć ma pewne unikalne właściwości, o których może kiedyś ci opowiem.

- Lady Vader? - odezwał się nagle przez interkom Sakhisakh. - Kłopoty w namiarze dwanaście na cztery.

Leia spojrzała we wskazanym kierunku - znajdujący się na skraju skupiska okrętów krążownik Ishori zdawał się dryfować ku parze skiffów Sif'krie.

- Wygląda, jakby chciał przejść na niższą orbitę - oceniła.

- Tylko że ona jest już zajęta - dodał Elegos.

- Owszem - zgodziła się zaskoczona, obserwując parę słabiej uzbrojonych jednostek nie zamierzających bynajmniej ustąpić pola silniejszemu krążownikowi. Nagle zrozumiała, dlaczego - z drugiej strony zbliżały się do skiffów dwa diamalańskie eskortowce.

- Sędzę, że komuś sprzykrzyło się oczekiwanie - Elegos także je dostrzegł.

Wśród krążących okrętów wszczął się ruch - część starała się oddalić od punktu zapalnego, inne manewrowały, chcąc uzyskać lepsze pole ostrzału najbliższych przeciwników, jeszcze inne otwierały

śluży prowadzące na pokłady lądowiskowe, żeby przyspieszyć start myśliwców. Oba skify także drgnęły - najwyraźniej nie miały ochoty znaleźć się w samym środku ogólnej strzelaniny - a Ishori, widząc nadarzącą się okazję, przyspieszyli. W odpowiedzi oba diamalańskie okręty także zwiększyły szybkość, rozdzielając się nieco, by wziąć krążownik w krzyżowy ogień.

- Albo krążownik staranuje skify, albo Diamalanie ostrzelają go, żeby temu zapobiec - podsumował Elegos. - W każdej sytuacji obie strony będą twierdzić, że zaczął przeciwnik.

- I w każdej zacznie się strzelanina - mruknęła, sprawdzając odczyty sensorów: gdyby któryś z okrętów Nowej Republiki był na tyle blisko, żeby zdążył wlecieć między Ishori i Diamalan...

Okazało się, że wokół Bothawui krążą tylko trzy korwety Nowej Republiki, co ją trochę zdziwiło. Wszystkie też znajdowały się zbyt daleko; nie mogły dotrzeć na czas i zapobiec konfrontacji. Co oznaczało, że nie miała wyboru.

- Trzymajcie się! - poleciła przez interkom i nie czekając na potwierdzenie od któregokolwiek z Noghri, siedzących w wieżyczkach artyleryjskich, skierowała dziób „Sokoła” na krążownik i dała pełen ciąg.

- Ufam, że wiesz, co robisz - Elegos przekrzyczał nagły ryk silników podświetlnych. - Chciałbym jedynie przypomnieć, że twój autorytet jako senatora i członka rady najprawdopodobniej tym razem ich nie powstrzyma.

- Nawet o tym nie pomyślałam - odparła. Poprawiła nieco kurs, tak by „Sokół” znalazł się dokładnie na kursie kolizyjnym z krążownikiem i dodała: - Przejmij stery i utrzymuj dokładnie ten kurs.

Po czym złapała miecz świetlny, rozpięła pasy i wstała.

- Rozumiem - dogonił ją głos Elegosa, gdy wypadła z kabiny i gnała ku rufowej ładowni, uruchamiając Mocą przełącznik otwierający drzwi.

- Lady Vader? - zawołał Barkhimkh, obsługujący górne sprzężone działka lasero we.

- Zostań przy działkach - poleciła, wpadając do ładowni i skręcając ku prawej burcie.

Za kolejnymi hermetycznymi drzwiami znajdowała się kłapa techniczna dająca dostęp do prawoburtowych konwerterów i stabilizatorów jonowych. Świadoma, że jeśli Han jej za to nie zabije, to przynajmniej znienawidzi, uaktywniła miecz i wbiła ostrze w jeden z konwerterów, ciągnąc je następnie przez wszystkie urządzenia aż do stabilizatora. Zdążyła zgasić broń laserową i złapać za uchwyt, nim „Sokół” szarpnął się na podobieństwo rannego taun-tauna. Kolejnemu szarpnięciu towarzyszyło już wycie silników, pobiegła więc z powrotem do kabiny, gdzie znalazła się dwadzieścia sekund później. - Jaki stan? - spytała.

- Straciliśmy prawoburtowe silniki manewrowe - wyjaśnił Elegos. - A cały napęd podświetlny jest

niestabilny i próbuje wejść w sprzężenie zwrotne. Mam nadzieję, że to część twojego planu.

- Owszem - odparła, żałując, że nie czuje się tak pewnie, jak mówi, i uruchomiła moduł łączności. - Tu „Sokół Millenium”, mówię do krążownika Ishori. Mamy kłopoty i pilnie potrzebujemy waszej pomocy.

Odpowiedziała jej cisza. - Krążownik Ishori, tu frachtowiec...

- Tu krążownik Ishori „Dominacja” - wreszcie odpowiedział jej z głośnika rozgniewany głos. - Zidentyfikuj się.

- Mówi senator Nowej Republiki Leia Organa Solo z pokładu frachtowca „Sokół Millenium”. Straciliśmy kontrolę nad pra-woburtową częścią napędu i jesteśmy na kursie kolizyjnym z wami. Musicie natychmiast zejść nam z drogi, bo dojdzie do zderzenia.

W głośniku ponownie zapanowała cisza. Leia obserwowała rosnący w oczach okręt, zdając sobie sprawę, że jego dowódca może skorzystać na rozwoju wydarzeń - wystarczy, jeśli użyje jej prośby jako pretekstu do zwiększenia prędkości bez zmiany kursu.

- Proszę, pospieszcie się z podjęciem decyzji - dodała, rozszerzając pasmo nadawania, dzięki czemu okoliczne okręty także mogły słyszeć całą rozmowę. - Mój pasażer, Powiernik Elegos A'kla próbuje naprawić uszkodzenia, ale obawiam się, że sprzęt, który mamy na pokładzie, wykracza poza standardowe caamasjańskie doświadczenie techniczne.

Elegos bez słowa odpiął pasy, wstał i wyszedł z kabiny.

- „Dominacja”, nadal mnie odbieracie? Powtarzam...

- Nie ma potrzeby powtarzać - warknął ten sam, tym razem już wściekły głos.

Leia poczuła odruchową złość, słysząc ten ton, i z trudem zmusiła się do spokoju. Pamiętała, że emocje w głosie Ishori oznaczają intensywny wysiłek umysłowy, nie nastrój rozmówcy. Przeniosła wzrok na krążownik i wstrzymała oddech...

Niespodziewanie krążownik zwolnił i zaczął wykonywać powolny skręt, schodząc z drogi „Sokołowi”.

- Jesteśmy gotowi pomóc pani senator Organie Solo i Powiernikowi A'kla - z głośnika dobiegł już znacznie spokojniejszy głos, jako że myślenie dobiegło końca, a nadszedł czas na akcję, w czym Ishori zawsze byli lepsi. - Opuśćcie osłony i przygotujcie się na gwałtowne wyhamowanie. Spróbujemy was złapać i zatrzymać promieniem ściągającym - Dzięki - Leia wyłączyła osłony siłowe.

Co prawda nie zmniejszały skuteczności działania promienia ściągającego, ale operacja i tak była

delikatna, więc nie należało jej utrudniać.

- Jak tylko nas złapiecie, spróbujemy awaryjnego wyłączenia i zobaczymy, co dalej - dodała. - Jesteśmy gotowi - odezwał się głośnik. - Uwaga...

„Sokołem” szarpnęło gwałtownie, kiedy znalazł się w wiązce promienia ściągającego, zachybotało na moment i frachtowiec znieruchomiał. Leia wyłączyła silniki i wycie umilkło. Kontrolki na tablicy rozbłysły czerwienią, a światła mrugnęły, gdy włączyło się zasilanie awaryjne.

- Mamy odczyt udanego wyłączenia - głos Ishori był już zupełnie spokojny. - Jeśli chcecie, ściągniemy was na pokład i pomożemy w naprawach.

Przez moment miała ochotę skorzystać z zaproszenia - obecność Elegosa na pokładzie okrętu jednej z ras, które najostrzej występowały przeciwko Bothanom, mogła pomóc w przeciągnięciu okresu spokoju wokół Bothawui. Jednak z drugiej strony można ją było odebrać jako wsparcie dla stanowiska reprezentowanego przez Ishori... - Dziękujemy, ale musimy pilnie skontaktować się z prezydentem Gawisomem. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyście zechcieli doholować nas do najbliższego okrętu Nowej Republiki.

- Naturalnie - odparł Ishori po sekundowej przerwie.

Diamalańskie okręty dotarły już do skifów i wszystkie cztery jednostki czekały w gotowości. Okazja została jednak zmarnowana i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę - wokół widać było okręty wracające na pozycję, zamykające zewnętrzne wrota hangarowe i kontynuujące czujne wyczekiwanie. Tym razem strzelanina nie wybuchła. Tym razem.

- W tej podróży nieźle oberwałeś - powiedziała cicho po wyłączeniu modułu łączności, gładząc z sympatią tablicę przyrządów. - Przepraszam...

- Widzę, że zadziałało - stwierdził Elegos, który właśnie wrócił do kabiny i siadał w fotelu drugiego pilota. - Muszę ci pogratulować nieortodoksyjnego podejścia do dyplomacji. - Dziękuję, ale czasami to po prostu szczęście. - Sądziłem, że Jedi nie wierzą w szczęście.

- Kiedy ktoś ma dłużej do czynienia z Hanem i z „Sokołem”, musi zmienić zdanie, możesz mi wierzyć - uśmiechnęła się. - Gdzie pobiegłeś? Obejrzeć uszkodzenia? - Wiedziałem, że w niczym nie pomogę, ale powiedziałaś, że próbuję napraw, więc chciałem, żeby tkwiło w tym choć ziarno prawdy.

- Prawda - westchnęła ciężko. - To właśnie coś, czego rozpaczliwie potrzebujemy. - Twój mąż przywiezie ją jutro - przypomniał cicho. - Musicie, razem z prezydentem Gavrisomem, powstrzymać do tego czasu wybuch walk. - Tylko tyle... i aż tyle. Leia sięgnęła po Moc, próbując poznać przeszłość.

- Nie sądzę... - powiedziała powoli. - Coś mi mówi, że to nie będzie aż takie proste...

Navett i Klif już pierwszej nocy wycięli otwór w podłodze piwnicy pod lokalem Ho'Dina. Trwało to tylko dziesięć minut, dzięki użyciu przecinaka plazmowego, który załatwił gdzieś Pensin. Potem jednak robota stała się ciężka, trudna i męcząca. - Jeszcze cztery dni, tak? - sapnął Klif, wydobywając z głębokiej na półtora metra dziury kolejną łopatę drobniotkich ziaren piasku i wysypując na rozpostarty na podłodze płat wyłapywacza.

- Jak się postaramy, może trzy - Navett zebrał piasek z elektrostatycznej materii i wrzucił w lejek pojemnika dezintegrującego firmy Velkrex.

Rozumiał Klifa, ale nic nie mogli na to poradzić -jedynie ręczna, powolna praca dawała pewność, że wibracje nie uruchomią systemu alarmowego linii przesyłowej.

Użycie jakiegokolwiek ciężkiego sprzętu było gwarancją ściągnięcia bothańskiej policji. I to błyskawicznie.

- Dziękuję, nasram - Klif opuścił kolejną łopatę. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby zginąć za Imperium, ale mam serdecznie dość przygotowań do tego. - Uważaj, co mówisz - ostrzegł Navett.

Wprawdzie Pensin powinien pilnować, żeby w nocy nikt nie wchodził do magazynu, w którym urzędowali, ale na nocnej zmianie pracowało jeszcze paru facetów oprócz niego i Horrica, i mogły ich zainteresować odgłosy rozmowy.

Jakby na zawołanie, coś zastukało do drzwi. Navett puścił łopatę, opadł na kolano i wydobył blaster-wszystko jednym płynnym ruchem. Przestał celować w drzwi, dopiero gdy rozległo się umówione ciche pukanie: dwa-jeden-dwa. W niewielkiej szparze pojawiła się głowa Horrica.

- Pakujcie się! - syknął. - Nocna zmiana straży została zaalarmowana i mogą tu zejść. Szukają złodziei.

Klif wyskoczył z wykopu, obaj przenieśli wycięty fragment podłogi nad otwór. - Jakich znowu złodziei, to spokojna okolica - burknął Navett.

- Pewnie to ta wasza baba - prychnął Horric. - Kiedy przyszliśmy z Pensinem, ktoś podobny był w knajpie, ale ulotniła się, zanim miałem okazję bliżej się jej przyjrzeć. - Wspaniale - mruknął Navett, zostawiając Klifowi maskowanie krawędzi cięcia i wynosząc pojemnik, po uprzednim jego wyłączeniu, za stertę skrzyń z vodokrenu. - Wracaj i miej oko, może się jeszcze pokaże. - A wy?

- Poczekamy na zewnątrz, a nuż będzie się kręcić w pobliżu.

- Udanych łowów - rzucił na pożegnanie Horric i zniknął.

Trzydzieści sekund później po ich pracach górniczych nie został nawet ślad, a po następnej minucie

wydostali się na zewnątrz przez specjalnie przeprogramowane tylne drzwi. Ulice w okolicy były wyludnione, a światła przyciemnione, jak zawsze w porze spoczynku.

- Poczekam tu, a ty pokręć się po okolicy - zdecydował Navett. - Tylko ostrożnie. - Komu to mówisz  
- Klif zniknął jak cień za rogiem budynku. Navett zaś sprawdził oba wyloty alejki i ukrył się w cieniu rzucającym przez pojemnik na śmieci z bronią gotową do strzału. I czekał.

Od czasu do czasu na tle oświetlonych okien lokalu widać było przechodzącą postać, parokrotnie tylne drzwi sprawdzili strażnicy i właściciel, ale nikt ani nie wyszedł, ani nie czekał na zewnątrz.

Minęła dobra godzina, zanim zamieszanie w lokalu Ho'Dina wreszcie się uspokoiło, ale Navett odczekał jeszcze prawie pół godziny i dopiero wtedy sięgnął po komlink. - Klif?

- Nic - dobiegła z głośniczka cicha odpowiedź. - Wygląda na to, że skończyli. - Chodź, i tak straciliśmy zbyt wiele czasu.

Kilka minut później byli już w piwnicy, przygotowując się do dalszego kopania. Navett poszedł po pojemnik dezintegrujący i zamarł. Urządzenie stało tam, gdzie je ukrył, ale na nim leżał komlink. - Klif? Chodź no tu!

Zawołany stanął obok i gwizdnął z mimowolnym uznaniem.

- Nie wierzę! - stwierdził. - Jak ona to, do cholery, zrobiła?!

- Najprościej będzie ją zapytać, nie? - Navett ostrożnie uniósł niewielki walec.

Był to model binarny, będący na wyposażeniu wszystkich niewielkich jednostek latających i fabrycznie zestrojony z innym egzemplarzem tak, że stanowiły parę używającą tej samej częstotliwości i dość trudną do podsłuchania.

- Muszę przyznać, że jesteś pomysłowa - powiedział głośniejsz.

- Miło słyszeć - z głośniczka dobiegł znany obu głos, pełen zadowolenia z siebie. - Komplement tym cenniejszy, że pochodzi od zawodowca w służbie Imperium. - Już drugi raz oskarżasz mnie o powiązania z Imperium - przypomniał jej Navett. - Byłoby to przykre, gdyby nie fakt, że sondujesz na ślepo.

- Bynajmniej. Komu innemu zależałoby na uszkodzeniu bothańskiego pola planetarnego?

- Nadal macasz na oślepe. - Navett wyteżył słuch, ale nie udało mu się usłyszeć w tle niczego, co mogłoby się okazać pomocne do zlokalizowania miejsca jej pobytu. - Gdybyś była pewna, nasłalałabyś na nas tutejszą policję i bezpieczeństwo, a nie bawiła się w chowanego.



- A kto powiedział, że ich nie zawiadomiłam? I może lubię bawić się w chowanego? Może nawet mam w tym wprawę po zabawach z Hurtami i innym śmieciem, i trochę mi się nudzi?

- A może szukasz pewnej i gwałtownej śmierci? - spytał Navett, żałując, że nie zabrali sprzętu do namierzania rozmów. - A w ogóle, jak nas znalazłaś?

- Nie wygłupiaj się: wasza legenda nie była aż tak dobra. Rozgryźliśmy was od razu. Skoro jednak już się wypyujemy, na czym właściwie polegał wasz numer z metalmitami w budynku generatora? - Nie spodziewasz się chyba, że ci powiem?

- Co mi szkodzi spróbować? A na marginesie, ten, który bawił się tylnymi drzwiami, następnym razem powinien się lepiej przyłożyć do roboty, bo ślady zostały tak wyraźne, jakbyście wywiesili ogłoszenie. Choć przyznaję, że się przydały. - Ja myślę - parsknął Navett. - Ciągłe jesteś w budynku, zgadza się?

- I kto teraz szuka po omacku? Prawdę mówiąc, nie ma mnie. Pod sufitem jest całkiem wygodny tunel wentylacyjny, nie wiadomo dlaczego zakończony oknem. Ta informacja była darmowa.

- Uprzejmie dziękuję - warknął Navett przez zaciśnięte zęby. - Zrewanżuję ci się za uprzejmość darmową radą: wróć na statek i odleć stąd, bo jak nie, to nie opuścisz żywa tej planety. Osobiście ci to gwarantuję.

- Z całym szacunkiem, panie poruczniku... czy też majorze albo jaki tam stopień nosisz, bo to w sumie niezbyt istotne, ale grozili mi już znacznie poważniejsi przeciwnicy. Kiedy tylko będziesz miał ochotę na spotkanie twarzą w twarz, jestem gotowa.

- Dobra, dobra: spotkamy się z całą pewnością, i to ja wybiorę czas i miejsce - warknął, zmuszając się do spokoju: złość przytępia rozsądek i o to właśnie chodziło jego rozmówcy.

- Jak sobie chcesz. Najlepiej byłoby w nocy: mógłbyś w pełni wykorzystać zalety swojego nightstingera. Chyba go nie wyrzuciłeś po wrobieniu Hana Solo w strzelanie do tłumu?

Navett spojrzał wściekle na komlink - poza tym, że generalnie zaczynała mu już doskwierać jak wrzód na tyłku, baba była w dodatku zdecydowanie za dobrze poinformowana. Ciekawe, dla kogo pracowała?! - Znowu próbujesz w ciemno - skomentował.

- Nie bardzo. Po prostu umiem myśleć i potrafię dodać dwa do dwóch bez kalkulatora.

- Czasami taka matematyka się nie sprawdza, a czasami można się przeliczyć, nawet dość grubo - warknął.

- Zaczynasz się powtarzać - oceniła z niesmakiem. - Popracuj nad oryginalniejszymi groźbami. Ale my tu gadu-gadu, a czas leci. W moim wieku należy dbać o wypoczynek, więc idę spać, a wam życzę niemiłego kopania. Chyba że chcesz iść po Xerrola i od razu zacząć zabawę: niech już będzie moja

strata. - Na razie nie chcę.

- Twoja wola. Komlink możesz zatrzymać, mam ich sporo w zapasie. Dobranoc. I rozłączyła się.

- Tobie też, zwłaszcza koszmarów i bezsenności - mruknął, wrzucając komlink do dezintegratora. - Jeszcze tego nam brakowało. - I co zamierzasz z nią zrobić? - spytał ponuro Klif.

- Chwilowo nic - Navett przeniósł pojemnik w pobliże wykopu. - Jeszcze niewiele wie.

- Pewno, że niewiele: tylko tyle, że chcemy się dokopać do linii przesyłowej zasilającej w energię generator pola. A co jeszcze powinna wiedzieć?

- Właśnie o to mi chodzi: wie, co robimy, i nie zawiadomiła policji. Dlaczego? - wsunął ostrze łopaty w szczelinę w podłodze i podważył.

- A skąd ja mam wiedzieć?! - Klif zrobił to samo z przeciwnej strony. - Może liczy na większą nagrodę, jeśli dostarczy nas jako kompletną paczkę?

-Kto wie. Teraz! — Równocześnie unieśli płytę i przesunęli ją na nienaruszony fragment podłogi. - Ale coś mi się widzi, że sama ma kłopoty z Bothanami i nie bardzo może się do nich zgłosić z oskarżeniami.

- To dlaczego nie doniesie anonimowo?! Bothanie mają teraz takiego pietra, że na pewno sprawdzają nawet anonimy.

- Pewnie sprawdzają, ale wydaje mi się, że to nie w jej stylu -ocenił z namysłem Navett. - I z jakichś powodów traktuje całą sprawę bardzo osobiście. Może to duma zawodowa... nie wiem i nie będę się zastanawiał, ważne jest, że uważa to za prywatny pojedynek: ona przeciw nam. - Głupie - stwierdził Klif. - Z jej strony głupie, dla nas korzystne.

- Może - Klif nie był przekonany. - I co dalej?

- Wracamy do roboty, bo przez to całe zamieszanie nie wykonaliśmy normy. A jak skończymy, pójde po karabin. Może jutro w nocy wyślemy jej zaproszenie do zabawy.

Gawisom uniósł głowę znad datakarty i poruszył nerwowo końcówkami skrzydeł. - Jesteś pewna, że on uczciwie podchodzi do całej sprawy? -spytał.

- Tak, jestem - odparła Leia, marszcząc brwi. Oczekiwała znacznie lepszej reakcji na propozycję Pellaeona. - Sprawdziłam też dokładnie jego pełnomocnictwa wystawione przez imperialnych moffów. Wszystkie dokumenty były w jak najlepszym porządku. - Albo tak wyglądały - Gavrisom potrząsnął grzywą i ponownie skupił uwagę na zawartości datakarty.

Leia obserwowała go zdziwiona, próbując zrozumieć osobliwy konflikt emocji, który u niego wyczuwała. Miał w ręku możliwość zakończenia długoletniej wojny, więc powinien być przynajmniej zadowolony. A nie był.

- Nigdzie nie znalazłem wzmianki o Thrawn - Gavrisom ponownie uniósł głowę. - Pytałaś go o to?

- Owszem. Do chwili spotkania nie miał żadnych informacji o przejściu przez Thrawna naczelnego dowództwa, ani też żadnych poszlak wskazujących na to, że Moffowie cofnęli mu pełnomocnictwo do prowadzenia rozmów pokojowych. - Co akurat o niczym nie świadczy - odparł wyjątkowo, jak na niego, ostro. - Skoro Thrawn wrócił, obojętne, czy oficjalnie czy nie, cała reszta przestaje się liczyć. - Rozumiem twoje obawy - Leia starannie dobierała słowa. - Ale jeśli to nie jest oszustwo, mamy wreszcie okazję zakończyć wojnę.

- To prawie na pewno oszustwo. Nie wiem tylko, co Thrawn chce przez nie osiągnąć.

Leia aż cofnęła się w fotelu - i nie to, co usłyszała, a to, co wyczuła...

- Ty nie chcesz, żeby ta propozycja była prawdziwa - powiedziała wolno. - Wolisz, żeby to było oszustwo!

Gavrisom odwrócił wzrok i westchnął po swoim, co przypominało parsknięcie. - Rozejrzyj się - powiedział, wskazując głową okno. - Masz tam prawie dwieście okrętów i kilkanaście ras gotowych rozpocząć wojnę domową z powodu indywidualnych interpretacji sprawiedliwości. Nowa Republika stoi na krawędzi samozniszczenia, a ja nie mogę zrobić nic, by temu przeszkodzić.

- Han wiezie listę - przypomniała mu ostro. - I będzie tu jutro, a to powinno zakończyć całą sprawę.

- Nie wątpię ale to ich raczej nie powstrzyma. Oboje wiemy, że dla wielu Caamas to jedynie wygodna wymówka do kontynuowania starych wojen ze starymi przeciwnikami.

- Masz rację. I właśnie dlatego, kiedy zabraknie pretekstu, będą musieli zrezygnować z konfrontacji.

- Albo znaleźć inny pretekst - skontrował ponuro. - Nie da się ukryć, że Nowej Republice grozi rozpad z powodu zbyt dużych różnic pomiędzy rasami wchodzącymi w jej skład. Musimy mieć czas na negocjacje, planowanie, wreszcie naukę, jak z tej różnorodności stworzyć jedność. A nie mamy tego czasu, co widać gołym okiem. Dlatego musimy znaleźć sposób, żeby czas pracował na naszą korzyść. - Zażegnanie kryzysu to właśnie taki sposób.

- Możliwe, ale jako prezydent nie mam prawa liczyć na jedno zdarzenie, tym bardziej że może ono nie nastąpić. Muszę znaleźć inny sposób na zjednoczenie. A najlepszym jest wspólny cel, wspólne wartości albo w razie konieczności wspólny wróg. - Ale Imperium nie jest już realnym wrogiem! - Leia za wszelką cenę starała się zachować spokój. - Jest zbyt słabe, aby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. - Może, ale dopóki istnieje, mamy się przeciw komu jednoczyć. Albo z kim walczyć, w ostateczności.

- Żartujesz?! Atak na Imperium to w tej chwili świadoma masakra!

- Wiem i jako pomysł nie podoba mi się tak samo jak tobie. Przyznaję, że wstyd mi wykorzystywać w ten sposób obywateli Imperium, ale to, czy moje imię historia będzie wspominać z obrzydzeniem, nie ma znaczenia. Moim zadaniem jest utrzymanie zjednoczonej Nowej Republiki w całości i zrobię wszystko, by to I osiągnąć.

-Być może bardziej niż ty wierzę w inteligencję różnych ras.

- Prawdopodobnie tak. Mam też szczerą nadzieję, że to ty masz i rację.

Przez długi czas siedzieli w milczeniu.

- Przypuszczam, że nie podasz tej propozycji do publicznej wiadomości - odezwała się w końcu Leia. - Chciałabym jedynie, za twoją zgodą, ułożyć listę delegatów na konferencję pokojową. Do wykorzystania, jeżeli i kiedy się na to zdecydujesz, ma się rozumieć.

- Podziwiam twoje przekonanie - odparł Gavisom po chwili wahania. - Szkoda, że nie mogę go podzielać. Przygotuj, proszę, tę listę.

- Dziękuję - wstała i zabrała mu datakartę. - Będzie gotowa na jutro.

I odwróciła się ku drzwiom.

- Jest naturalnie jeszcze jedno wyjście - odezwał się niespodziewanie. - Przebywasz na urlopie, lecz jeśli Senat potwierdzi tę decyzję, w każdej chwili możesz wrócić i objąć stanowisko prezydenta.

- Wiem, ale nie byłby to najważniejszy moment. Ty pełniłeś tę funkcję, kiedy rozpoczęła się sprawa Caamas, i ty powinienes ją zakończyć. Zmiana jedynie pogorszyłaby sytuację.

- Możliwe, choć wielu w galaktyce twierdzi, że Calibopy są dobrzy jedynie w słowach. A teraz chyba nadszedł czas czynów.

- Czas czynów może rzeczywiście nadszedł - zgodziła się, sięgnąwszy na chwilę po Moc. - Ale to nie znaczy, że czas rozmów definitywnie się zakończył: jedno i drugie są równie potrzebne.

- W takim razie ja będę mówił, a tobie powierzę działanie. Oby Moc była z nami obojgiem.

- Oby Moc była z nami wszystkimi - poprawiła go Leia cicho. - Dobranoc, prezydencie Gavisom.

# R O Z D Z I A Ł 3 3

Shada odczekała jeszcze godzinę po umilknięciu ostatnich odgłosów świadczących o aktywności mieszkańców i wstała. Bez specjalnych starań o zachowanie ciszy wyszła z pokoju i skierowała się do gabinetu-biblioteki gospodarza. Drzwi były zamknięte, zamiast jednak bezsensownie machać ręką, użyła normalnej metody, którą pokazał im Car'das. Wprawdzie wtedy chodziło o drzwi do ich pokoi, ale jeśli gospodarz nie był paranoikiem, ta sama zasada musiała obowiązywać we wszystkich drzwiach w domu. Odszukała chłodniejszy od pozostałych kamień we framudze i nacisnęła go.

Przez mniej więcej dwadzieścia sekund nie zauważyła żadnej reakcji, ale nie zwolniła nacisku. Zastanawiała się tylko, co nastąpi - z opowieści Jorja wynikało, że przybył tu jako średnio cierpliwy człowiek, toteż wątpiła, czy zainstalowałby sobie drzwi, których otwarcie wymagało aż pół minuty. Gdyby mu się takie trafiły, najprawdopodobniej wszedłby, używając blastera. Teraz, rzecz jasna, było to dla niego bez znaczenia, a zwłoka oznaczała zapewne istnienie systemu alarmowego. Na to jednak nie mogła nic poradzić.

Kamień pod palcami w końcu drgnął i po paru dalszych sekundach drzwi otworzyły się niechętnie. Spodziewała się za nimi ciemnego pomieszczenia, oświetlonego, jak reszta domu, jedynie paroma przygaszonymi lampami, a zastała jasno oświetlone, wprawdzie nie aż tak jak podczas swojej poprzedniej bytności, ale znacznie intensywniej niż winno być w przypadku, gdy nikt go nie używa. Wśliznęła się do wnętrza, skręcając natychmiast w lewo, i dostrzegła cień poruszający się w pobliżu biurka z komputerem.

Stłumiła przekleństwo - Talon uparł się odlecieć wcześniej rano, więc tylko teraz miała szansę odszukać informacje, których potrzebowała, a jeśli Car'das nadal tu siedział, to okazja właśnie przepadła. Usłyszała jednak stłumiony, lecz znajomy głos, którego nie sposób było pomylić z innym. Odetchnęła z ulgą, odkleiła się od ściany i ruszyła ku środkowej części amfiteatru.

- Witam, panno Shado - pochyłony nad terminalem Threepio wyprostował się na jej widok. - Sądziłem, że podobnie jak pozostali udała się pani na spoczynek.

- A ja myślałam, że ty to zrobiłeś - odparła, podchodząc i zerkając spod oka na mijane regały. - Albo zrobiłeś to, co droidy zwykle robią w nocy.

- Och, zazwyczaj po prostu przełączam się na czuwanie, ale pan Car'das w czasie naszej rozmowy zasugerował, iż jeśli chcę porozmawiać z jego komputerem, to noc jest doskonałą porą. Nie żeby komputer pokładowy „Szalonego Karrde'a" nie był stosownym towarzyszem - dodał pospiesznie Threepio. - Ale muszę przyznać, że czasami tęsknię za rozmową z Artoo albo kimś innym z mojej rodziny.

- Rozumiem - odchrząknęła, nieco zła na samą siebie. - Przebywając gdzieś, gdzie się nie przynależy, można się czuć bardzo samotnym...

- Doprawdy? - zainteresował się droid. - Zawsze sądziłem, że ludzie potrafią się dostosować do prawie każdego towarzystwa i okoliczności.

- To, że ktoś potrafi się przystosować, nie musi oznaczać, iż to lubi. Pod wieloma względami jestem równie nie na miejscu na pokładzie „Szalonego Karrde'a", jak ty. - Bardzo mi przykro, panno Shado - Threepio współczująco przechylił głowę. - Nie miałem pojęcia, że pani czuje się w ten sposób. Mogę jakoś pani pomóc? - Możesz pomóc mi wrócić tam, gdzie jest moje miejsce... Poznałeś ten komputer na tyle dobrze, żeby skorzystać z jego pomocy przy szukaniu konkretnej informacji w tej bibliotece?

- Naturalnie - odparł ostrożnie droid. - Ale to sprzęt pana Car'dasa i nie jestem pewien, czy powinienem...

- Przecież nie zamierzam niczego ukraść - przerwała mu Sha-da. - Chcę się tylko czegoś dowiedzieć, a po to właśnie są biblioteki.

- Chyba ma pani rację- przyznał niepewnie Threepio. - Jesteśmy jego gośćmi, a nic nie mówił, że gościom nie wolno korzystać z wyposażenia jego domu, skoro zaś biblioteka jest wyposażeniem...

- Możesz mi pomóc w poszukiwaniach? - przerwała rozmowę Shada.

- Mogę, panno Shado - przyznał nieco ciszej. - O czym szuka pani informacji? Shada wzięła głęboki oddech...

- O Emberlene - powiedział cichy głos za jej plecami. - O planecie Emberlene. - Och! -jęknął Threepio, a Shada opadła do bojowego przykłąku, sięgając po miotacz...

- Przepraszam - Car'das wyszedł zza najbliższego kręgu regałów. - Nie miałem zamiaru was nastraszyć.

- Nie nastraszyłeś - Shada wyprostowała się powoli, nie puszczając jednak kolby miotacza ukrytego pod tuniką, nadal gotowa do walki. - Choć przyznaję, że nie słyszałam twojego nadejścia.

- Bo nie chciałem, żebyś słyszała - uśmiechnął się. - Nadal zamierzasz użyć tego miotacza?

I to by było tyle, jeśli chodzi o subtelności Mistryl - Shada wyciągnęła pustą dłoń spod tuniki. - Naturalnie, że nie, tylko... - nagle dotarło do niej znaczenie pierwszych słów Car'dasa. - Co powiedziałaś?!

- Powiedziałem, że chcesz poszukać informacji o planecie Emberlene. - Car'das nie spuszczał z niej wzroku. - Bo po nie właśnie tu przyszłaś, moja mała Mistryl, prawda?

Odruchowo chciała zaprzeczyć, lecz zorientowała się, że to bezcelowe. - Od kiedy wiesz? - spytała.

- Od niedawna. Podejrzewałem, ma się rozumieć, ale wiem dopiero od chwili, gdy pokonałaś tych czterech przed lokalem Bombaasy.

- A więc Talon miał rację, że mówiąc mu, kim jest, przekazuje informację tobie. - Niezupełnie: Bombaasa nie pracuje dla mnie. Poza Entoo Nee i jeszcze paroma osobami przebywającymi w tym domu, nikt dla mnie nie pracuje.

- Wiem, przeszedłeś na emeryturę. Zapomniałam - warknęła. - A wszyscy wszystko ci mówią, bo cię lubią.

- Można to tak ująć. Powiedz mi: czego chcesz dla Emberlene?

- Tego, czego wszyscy chcą dla ważnych planet, takich jak Caamas. Chcę sprawiedliwości dla moich rodaków. Car'das zdecydowanie potrząsnął głową.

- Twoi rodacy nie chcą sprawiedliwości - powiedział z pewnym smutkiem. - Nigdy jej nie chcieli.

- Co ty bredzisz?! - parsknęła, czując, że się czerwieni. - Jak śmiesz nas osądzać? Jak śmiesz osądzać kogokolwiek? Siedzisz tu, nie brudząc sobie rąk, podczas gdy wszędzie w galaktyce walczą, krwawią i umierają... Nie masz pojęcia, jak jest na Emberlene. Nigdy nie widziałeś tyle cierpienia i nie masz prawa mówić, że zrezygnowaliśmy.

- Nigdy nie powiedziałem, że zrezygnowaliście - poprawił ją łagodnie. - Powiedziałem, że nie chcecie sprawiedliwości, a to nie to samo. - A czego chcemy? Łaski? Współczucia?

- Nie - Car'das ponownie smutno pokręcił głową. - Zemsty. - O czym ty gadasz?

- Wiesz, dlaczego zaatakowano Emberlene? - odpowiedział pytaniem. - Nie, jak została zniszczona, ale dlaczego?

Patrzyła na niego i przez jej gniew zaczęło się przebijać z wątpienie - w oczach Car'dasa wyczytała coś, co jej się zdecydowanie nie podobało.

- Ktoś się nas obawiał i postanowił zrobić na naszej planecie pokaz siły - powiedziała ostrożnie. - Niektórzy sądzą że to był Palpatine i dlatego Mistryl nigdy nie pracowały dla Imperium.

- Nigdy? - Jorj uniósł brwi w uprzejmym niedowierzaniu.

- Mamy miliony ludzi do wyżywienia i odziania - Shada odwróciła wzrok. - Tak, czasami pracowałyśmy nawet dla Imperium. Przez moment zapanowała niezręczna cisza.

- Zasady często właśnie tak wyglądają w praktyce, mam rację? - odezwał się w końcu Car'das. -

Prawda bywa subiektywna, a moralność śliska. Trudno w coś bezwarunkowo uwierzyć.

Shada spojrzała na niego nieprzyjaźnie, chcąc się złośliwie odciąć, lecz jakoś nic jej nie przychodziło do głowy. W jej przypadku, bardziej jeszcze niż w przypadku Emberlene, taki spokojny cynizm był bardziej niż nie na miejscu.

- Zostawmy jednak teorię i przejdźmy do praktyki - dodał gospodarz, kierując się w stronę biurka. - Akurat tej konkretnej zasady Mistryl nie musiały przestrzegać, bo Palpatine nie miał nic wspólnego ze zniszczeniem Emberlene. Mam tu prawdziwą historię twojej planety: zebrałem ją na jedną datakartę, kiedy dowiedziałem się, że towarzyszysz Talonowi. Chciałabyś ją poznać?

- Co rozumiesz przez „prawdziwą”? - spytała ostrożnie. - Co w ogóle oznacza pojęcie „prawdziwa”? Oboje wiemy, że historię piszą zwycięzcy.

- Czasami, a nawet równie często, robią to świadkowie albo obojętni widzowie. W tym przypadku Caamasi, mieszkańcy planety Alderaan i Jedi. Ci, którzy nic nie zyskiwali ani nie tracili na zniszczeniu Emberlene. Oskarżysz ich wszystkich o kłamstwo i wypaczenie historii?

Głośno przełknęła ślinę, czując zbliżanie się czegoś nieuniknionego i strasznego. - A co mówią te nie zainteresowane strony? - spytała.

- Ze na trzy lata przed zniszczeniem planety władcy Emberlene rozpoczęli podboje. Że przez dwa i pół roku zniszczyli lub zdobyli i złupili kilkanaście planet położonych najbliższej waszej.

- Nie... to nie może być prawda... - szepnęła. - Nie mogliśmy... nie zrobilibyśmy czegoś takiego!

- Oficjalna wersja dla obywateli wyglądała naturalnie inaczej - powiedział łagodnie Car'das. - Choć sądzę, że większość doskonale orientowała się, jak wygląda prawda, jeżeli tylko miała na to ochotę. Myślę też, że niewielu chciało: mieli tryumfy, łupy i sławę. Po co zawracać sobie głowę czymś tak trywialnym, jak prawda?

Chciała zaprotestować, że przecież jej tam nie było, że nie świętowała kolejnych podbojów ani nie brała w nich udziału, ale nie mogła - będąc Mistryl czynnie pomagała w utrzymywaniu kłamstwa. A wszystko dlatego, że chciała wziąć udział w czymś, w co wierzyła.

- Nie powinnaś brać tego do siebie - głos Car'dasa był dziwnie łagodny. - Nie znałaś prawdy, a chęć uczestniczenia w czymś ważnym tkwi w każdym z nas. - Wynoś się z mojego umysłu! - warknęła. - Moje myśli to nie twoja sprawa!

- Przepraszam - pochylił lekko głowę. - Trudno jednak nie słyszeć, jeśli ktoś krzyczy.

- Próbuj - poradziła mu zwięźle. - I co nastąpiło potem? Kto nas powstrzymał? - Wasze potencjalne ofiary, nie mówiąc już o rzeczywistych, były zbyt słabe, żeby z wami wygrać. Połączono więc środki i wynajęto najemników. Wynajęte oddziały okazały się... nazwijmy to, zbyt dokładne. Ponownie nic



złośliwego nie przyszło jej na myśl.

- I cały sektor miał powód do świętowania - mruknęła tylko cicho.

- Miał. Ale dlatego, że udało się powstrzymać zagrożenie, a nie z powodu śmierci i cierpień niewinnych.

- Niewinni nigdy nie są ważni - odparła ponuro. - Czy owa prawdziwa historia mówi, kim byli ci najemnicy albo kto ich wynajął? - A dlaczego chcesz wiedzieć?

- Nigdy nie wiedzieliśmy, kto to zrobił - wzruszyła ramionami.

- A jeśli się dowiesz, co zamierzasz zrobić? Po tylu latach Mistryl zaczną się mścić? Powodując kolejne cierpienia dalszych niewinnych ofiar?

- Nie wiem, co zrobię z tą wiedzą - nagle poczuła, że ma wilgotne oczy. - Wiem tylko, iż to jedyna rzecz, która umożliwi... Przerwała nagle i energicznie otarła oczy.

- W głębi ducha wcale nie chcesz do nich wracać - stwierdził Car'das. - Żyją kłamstwem, obojętne, czy to sobie uświadamiają, czy nie. To nie dla ciebie.

- Muszę wrócić - odparła niemal z rozpaczą. - Nie rozumiesz? Muszę pracować dla jakiejś większej całości, dla konkretnego dużego celu. Zawsze musiałam mieć coś, w co mogłabym wierzyć i z czym mogłabym się identyfikować. - A Nowa Republika? Albo Karrde?

- Nowa Republika mnie nie chce. A Talon... - potrząsnęła smętnie głową. - Talon to przemytnik, taki sam, jakim ty byłeś. W co można wierzyć, zajmując się przemytem? W pieniądze?!

- No, nie wiem - przyznał z namysłem Car'das. - Karrde znacznie zmienił organizację od czasów, kiedy ja byłem szefem.

- Ale nadal prowadzi działalność nielegalną albo w najlepszym razie półlegalną. Ja potrzebuję czegoś szlachetnego, czegoś, z czym mogę się utożsamiać. Czy to aż tak dużo?

- Naturalnie, że nie. Lecz, o ile wiem, obecnie Talon zajmuje się raczej pośrednictwem w przekazywaniu pewnych informacji niż fizycznym przemytem - zauważył Jorj. - Czy to nie jest odrobinę lepsze?

- Prawdę mówiąc, gorsze - odparła Shada ze smutkiem. - Teraz sprzedaje czyjąś prywatną własność komuś, kto często nie zasługuje na to, by ją posiadać.

- Interesujący punkt widzenia - ocenił Car'das, przenosząc spojrzenie w prawo. - Przyszedł ci kiedyś do głowy? - Aż do tej chwili nie - przyznał Karrde.

Shada określiła się na pięcie - Talon stał w szlafroku o parę kroków za nią i przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Ale może będę musiał zmienić sposób myślenia - dodał.

- Co tu robisz? - zdziwiła się średnio uprzejmie. - I skąd się wzięłeś?

- Stoję. A wezwał mnie Jorj - Talon spojrział na gospodarza. - Przynajmniej wydaje mi się, że mnie wezwał.

- Wezwałem - zapewnił go Car'das. - Pomyślałem, że powinieneś wziąć udział w tej części rozmowy. Przepraszam, Shado, jeśli cię zaskoczyłem.

- On faktycznie uwielbia niespodzianki - stwierdziła, zwracając się do Talona.

- Zawsze taki był - zapewnił ją i podszedł bliżej. - Dobrze, Jorj: twoje marionetki są gotowe i czekają na rozkazy. Czego od nas chcesz?

- Ja? - Car'das wyglądał niczym wcielenie niewinności. - Absolutnie niczego. Wręcz przeciwnie: pragnę ofiarować wam prezent.

Shada zerknęła na Talona i stwierdziła, że właśnie przygląda się Car'dasowi z równą jak ona nieufnością.

- Doprawdy? - spytał podejrzenie uprzejmie. - I to aż tak ważny, że zdecydowałeś się dać go nam w środku nocy?

- Nigdy nie lubiłeś niespodzianek - uśmiechnął się Car'das. - A mówiąc dokładniej: zawsze lubiłeś je robić, ale nigdy dostawać. Tym razem jednak sądzę, że ci się spodoba...

Podszedł do regału, zdjął z jednej z górnych półek dwie data-karty i odwrócił się, trzymając po jednej w każdej dłoni:

- To - uniósł prawą - jest historia Emberlene, o której właśnie rozmawialiśmy z Shadą, czyli coś, na czym jej bardzo zależy albo też zależało. Druga zaś zawiera zestaw informacji, który skompletowałem specjalnie dla was i który z całą pewnością znacznie bardziej się wam przyda. Ba, na dłuższą metę praktycznie wszyscy z tego skorzystają. - Co to za informacje? - spytał Talon.

- Różne, ale wszystkie wysoce użyteczne - Jorj położył obie datakarty na blacie biurka. - Możecie zabrać jedną z nich. Wybór należy do was.

Shada niemal poczuła, jak Talon bierze głęboki wdech.

- To twój wybór, Shada - powiedział cicho. - Decyduj, którą wolisz.

Shada spoglądała na datakarty, czekając na burzę sprzecznych uczuć - miała wybierać między jedyną szansą na powrót do Mistryl, a być może na przeżycie, i informacjami nieznannej treści, jakości i wagi zebranymi przez starca, który mógł być na wpół szalony, dla mężczyzny, którego cel w życiu stanowił antytezę wszystkiego, czego sama pragnęła. Najbardziej zaskoczył ją fakt, że nie doznała żadnych sprzecznych uczuć. Prawdopodobnie jakiś związek miały z tym rewelacje Car'dasa, ale uświadomiła sobie nagle, że: nie może wrócić do Mistryl, które ginęły i zabijały, żeby doprowadzić do odrodzenia Emberlene. Nie teraz, gdy wiedziała, dlaczego upadło. A wiedząc, jak postąpi Jedenastu, jeśli dostarczy im te informacje, nie miała najmniejszego zamiaru tego robić -sprawiedliwość, której poszukiwała, została już wymierzona. Informacje zawarte na datakarcie mogły doprowadzić jedynie do zemsty.

Tak więc w praktyce nie musiała dokonywać żadnego wyboru.

Zdając sobie nieco mgliście sprawę, że właśnie pali za sobą ostatni most, wzięła ze stołu tajemniczą datakartę przygotowaną przez Car'dasa.

- Jestem z ciebie dumny, Shado D'ukal, prawdziwa strażniczko Mistryl - w głosie Car'dasa było tyle ciepła, jak nigdy dotąd. I obiecuję ci, że nie będziesz rozczarowana.

Shada spojrzała na Talona, ciekawa, jak zareaguje na tę nowinę, ale on tylko się uśmiechnął.

- Od dość dawna wiem, kim jesteś - poinformował ją spokojnie.

- Kim byłam - poprawiła go bez emocji. - A kim jestem... nie wiem.

- Odnajdziesz właściwą drogę i godny cel - zapewnił ją Jorj, po czym niespodziewanie wyprostował się i zatarł dłonie. - A teraz, moi mili, czas w drogę.

- Już? - zdziwiła się. - Mieliśmy odlecieć rano.

- Właśnie zaczyna świtać - Car'das podszedł do nich i ujął każde pod ramię. - Chodźcie, zanim dotrzecie do portu, wystartujecie i znajdziecie się na pozycji, będzie akurat właściwa pora. Ty też, Threepio. - A to? - pomachała trzymaną w dłoni datakartą.

- Przeczytacie w drodze na miejsce spotkania. Ale tylko we dwoje; zrozumiecie, dlaczego. A potem będziecie wiedzieli, co zrobić.

Dotarli do drzwi, które Car'das otworzył skinieniem dłoni.

- A ty? - spytał Karrde, gdy wyszli na normalnie już oświetlony korytarz.

- Zostanę tu, a moje drzwi zawsze będą dla ciebie otwarte, a raczej dla was, obojętne, czy pojawicie się razem, czy osobno. Wróćcie, kiedy tylko będziecie mieli ochotę, ale teraz naprawdę musicie się pospieszyć.

Godzinę później „Szalony Karrde” znajdował się już w przestrzeni, a Talon i Shada, po upewnieniu się, że frachtowiec jest na właściwym kursie do miejsca spotkania z Aing-Tii zamknęli się w jego gabinecie i zapoznali z zawartością datakarty. - Miał rację, prawda? - Shada pierwsza przerwała milczenie. - To niewiarygodne. Jeśli jest prawdziwe, naturalnie.

- Jest - odparł Talon, czując niespotykany zamęt w głowie, wywołany natłokiem myśli: słowo niewiarygodne nie oddawało nawet w drobnej części istoty rewelacji, które właśnie poznali. - O Car'dasie można powiedzieć różne rzeczy, ale zawsze był godny zaufania, podobnie jak dostarczane przez niego informacje.

- W to mogę uwierzyć bez trudu. Jak sądzę, poprosimy teraz Aing-Tii, żeby nas dostarczyli na Coruscant?

Talon zawahał się. - Coruscant był oczywiście celem głównym, ale nie jedynym. A wśród wielu możliwości jedna wydawała mu się szczególnie interesująca... - Talon? - Shada przerwała mu rozmyślania dziwnie podejrzliwym tonem. - Wieziemy to na Coruscant, tak?

- Prawdę mówiąc, nie - uśmiechnął się. - Sądzę, że możemy zrobić coś lepszego. Spojrzał na ekran i poczuł, że jego uśmiech zmienia się w ponury grymas. - Coś znacznie lepszego - mruknął cicho.

Kapitan Nalgol stał na mostku imperialnego niszczyciela „Tyrana” i wpatrywał się w ciemność za oknami. Nadal mógł tam zobaczyć jedynie bardzo nieliczne starty i powroty jednostek zwiadowczych oraz kawałek komety, której topografię znał na pamięć, lecz do tradycji należało, że kapitan przebywał na mostku i spoglądał w przestrzeń. A Nalgol czuł się tego dnia zdecydowanym tradycjonalistą.

Jeszcze cztery dni i skończy się beczynność — zakładając naturalnie, że grupa specjalna na Bothawui wykona swoje zadanie w uzgodnionym terminie. Cztery dni.

Usłyszał nieco pospieszne kroki; zapewne nadchodził Oissan, mający prawie dziesięć minut spóźnienia.

- Panie kapitanie - zameldował lekko zdyszany - przynoszę najnowszy meldunek od jednostek zwiadowczych.

Nalgol odwrócił się i zauważył wyraźne rumieńce na twarzy oficera:

- Spóźnił się pan - skomentował chłodno.

- Ponieważ meldunek wymagał dokładniejszych analiz niż zazwyczaj, sir. Wynika z niego, że na orbicie prawie rozpoczęła się bitwa, sir. Nalgol zmarszczył brwi i wziął podany datapad. - Co pan ma na myśli?!

- Jeden z krążowników Ishori zmienił pozycję, na co natychmiast zareagowali Diamalanie; od rozpoczęcia strzelaniny dzieliły ich sekundy, sir.

Nalgol zaklął pod nosem, przeglądając meldunek - jeśli ci napaleńcy zaczną się bić między sobą, zanim wszystko będzie gotowe...

- Co ich powstrzymało? - spytał i zaraz się poprawił: - nieważne, mam ten fragment... Interesujące. Czy ktoś zdołał zidentyfikować ten frachtowiec?

- Żadna z naszych jednostek nie była na tyle blisko, by mieć pewność, sir. Natomiast ze wzmożonej wymiany informacji między okrętami nad Bothawui, do której doszło bezpośrednio potem, wynika, że przyleciała nim senator Leia Organa Solo. - Jak miło... - mruknął Nalgol. - Bez wątpienia, aby pomóc Gavrisomowi uspokoić tę zbieraninę.

- Bez wątpienia, sir. Zwiad przechwycił także wiadomość, że przywiozła ze sobą Powiernika Pozostałości Caamas.

- No proszę! - Nalgol uśmiechnął się. - To pewna informacja?

- Zostanie sprawdzona dziś lub najdalej jutro, sir. Jeśli Gavrisom będzie go miał do dyspozycji, zapewne postara się pokazać go wszystkim w najkrótszym możliwym czasie.

- Faktycznie. A jeżeli będzie go tu nadal miał za cztery dni, możemy spokojnie ogłosić, że zniszczenie Bothawui obserwował oficjalny przedstawiciel Caamasi, czyli że pośrednio pochwalał to, co nastąpiło. Zadziwiające... jak Thrawn to zorganizował?! - Rzeczywiście zadziwiające, sir - głos Oissana bynajmniej nie brzmiał entuzjastycznie. - Mam tylko nadzieję, że się nie przeliczył: tam jest sto dziewięćdziesiąt jeden okrętów. To trochę dużo jak na trzy niszczyciele klasy Imperial.

- Za bardzo się pan martwi. - Nalgol oddał mu datapad. -Widziałem już Thrawna w działaniu i nigdy nie zdarzyło mu się pomylić. Nasz zespół robi, co do niego należy, a te dwie setki okrętów rozstrzelają się wzajemnie. Pozostanie nam jedynie dobicie zwycięzców i dokończenie zniszczeń na powierzchni.

- Tak przynajmniej głosi teoria. Mogę panu zasugerować, kapitanie, żeby pan postawił okręty w stan pogotowia? W ten sposób będziemy mogli szybciej zareagować na niespodziewany rozwój wydarzeń.

- W ten sposób będziemy mieli załogi przemęczone czterodniowym alarmem. Wątpię, czy to jest opłacalne w obecnej sytuacji. - Jeżeli zaczną wcześniej...

- Nie zaczną - przerwał mu Nalgol. - Jeśli Thrawn powiedział: cztery dni, to zaczną za cztery dni!

- Tak jest, sir - wymamrotał Oissan z wyraźnym niedowierzaniem.

Nalgot przyjrzał mu się z żalem i odrobiną pogardy - Oissan nigdy nie spotkał Thrawna i nie doświadczył pełnego zaufania, jakie wielki admirał wzbudzał wśród podwładnych. Jeśli ktoś tego nie przeżył, nie dało mu się niczego wytłumaczyć. - Zgoda, proponuję kompromis: po południu zarządę rozpoczęcie przygotowań do walki, a na dzień przed wyznaczonym terminem stan pogotowia. Poprawi to panu samopoczucie? - Tak, sir. Dziękuję, sir.

- A pańskie przygotowania do bitwy zaczną się już teraz - dodał Nalgot. - Chcę mieć pełną listę kolejności celów i zagrożeń, jakie stanowią dla nas te wszystkie okręty. Proszę uwzględnić informacje o ich możliwościach, uzbrojeniu i słabych punktach oraz dowódcach i rasach, stanowiących załogi. Kiedy wreszcie przystąpimy do akcji, zamierzam wykończyć niedobitków szybko i sprawnie, nie tracąc ani jednego myśliwca. Czy to rozumiałe?

- Zrozumiałe, panie kapitanie. Lista będzie gotowa jutro, sir. - Doskonale. Może pan odejść.

Oissan wykonał regulaminowe w tył zwrot i odmaszerował.

Nalgot przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił się do okna. Cztery dni i będzie miał okazję dobrać się do skóry tym cholernym rebeliantom! Uśmiechnął się zimno -rzeczywiście czuł się tradycjonalistą.

# R O Z D Z I A Ł 3 4

Luke ocknął się sam.

Przez moment trwał w całkowitym bezruchu, czekając, aż minie dezorientacja, typowa dla wybudzenia z transu. Gdy to nastąpiło, ocenił sytuację - siedział w nieco niewygodnym fotelu, mając przed sobą obcą tablicę kontrolną i zakrzywioną owiewkę kabiny. Gdzieś z tyłu docierał do niego słaby blask nocnego oświetlenia, a na zewnątrz panowała ciemność...

Zamrugał gwałtownie, całkowicie rozbudzony, i czym prędzej spojrzął na chronometr. Nie uwierzył i spojrzął ponownie.

Od chwili wejścia w trans uzdrawiający minęło pięć godzin.

Pięć godzin?!

- Mara, powiedziałaś, że mnie obudzisz za dwie godziny! - zawołał, wstając. Co się stało? Zasnęłaś?

W odpowiedzi usłyszał jedynie nerwowe ćwierkanie Artoo.

- No, nie! - sprawdził, używając Mocy, wszystkie zakamarki maszyny, ale Mary nigdzie nie było. - Artoo, gdzie ona jest?

Przyklęknął i uniósł czytnik, nadal przymocowany do droida. - Co to znaczy: wyszła? Dokąd?! Kiedy?

Artoo pisnął smętnie i wyświetlił kolejną odpowiedź, po której Luke wiedział jeszcze mniej niż przedtem - Mara opuściła pokład pięć godzin temu, zaledwie zdążył wprowadzić się w trans. Artoo nie wiedział, dlaczego to zrobiła ani gdzie poszła. Po chwili namysłu Luke zaczął podejrzewać, że zna odpowiedź na oba pytania. - W porządku - westchnął i podniósł się z kolan. - Wiem, że nie mogłeś jej powstrzymać.

Podszedł do śluzy, czując równocześnie strach i świadomość, że jest zbyt późno, by zdołał zapobiec temu, co postanowiła zrobić Mara.

- Uważaj na wszystko - polecił droidowi, zanim otworzył śluzę. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

Zeskoczył, ignorując drabinę, i rozejrzał się. Widoczne między skałami fragmenty nieba pokrywały

dryfujące chmury, jedynie od czasu do czasu odsłaniając gwiazdy. Mary na razie nie dostrzegł, więc spróbował wezwać ją telepatycznie.

W odpowiedzi gdzieś niedaleko coś się poruszyło - odbierał to tak, jakby ktoś nieruchomy i szczelnie otulony w opończę z kapturem uniósł głowę. Wiedząc mniej więcej, gdzie jej szukać, spojrzał w górę z nagłą ulgą, że nic się jej nie stało, pomieszana z przecuciem, że za chwilę coś złego się wydarzy. To ostatnie wrażenie zbladło, gdy Mara uszczelniła barierę mentalną...

Dopiero na parokrotnie powtórzone pytanie, gdzie teraz jest, otrzymał od niej serię obrazów poprzedzonych wahaniem i czymś, co przypominało westchnienie. Kierując się tymi obrazami zaczął wspinaczkę, która okazała się znacznie prostsza niż się obawiał, a dzięki wzmocnieniu mięśni Mocą dotarł na miejsce w mniej niż dziesięć minut. Marę znalazł na wąskiej półce skalnej w pobliżu szczytu, wspartą o skałę i osłoniętą od góry przez niewielki nawis. - Witaj - powiedziała cicho. - Jak się czujesz?

- Wyleczony - odparł, siadając obok i wyczuwając mimo bariery jej głęboki żal. - Co się dzieje?

- Ręka Thrawna leży tam - pokazała prawą dłoń, ledwie widoczną w słabej poświacie gwiazd. - Kiedy jest mniej chmur, można zobaczyć wieże.

Spojrzał we wskazanym kierunku, przypominając sobie technikę wzmocnienia zmysłów i koncentrując się na wzroku. Wieże i mury, wraz z kawałkiem dachu hangaru, stały się dzięki temu bardziej widoczne. - Co robili do tej pory? - spytał.

- Niewiele. Jakies trzy godziny temu wylądował ten myśliwiec, o którym mówili. Luke skrzywił się boleśnie - w pełni sprawna jednostka parkująca przy wylocie hangaru znaczyła, że w każdej chwili mogła wystartować misja, której celem miał być Bastion. - Już odleciał?

- Raczej nie, przynajmniej nie widziałam. A Parek mówił, że przed podjęciem ostatecznej decyzji musi wysłuchać meldunku pilota. - Rozumiem.

W tych warunkach Parek i Fel postarają się jak najszybciej wyciągnąć z pilotów wszelkie możliwe informacje i natychmiast podjąć decyzję. Jaka ona będzie, łatwo mógł przewidzieć - Imperium dostanie Rękę Thrawna ze wszystkimi sekretami i możliwościami. A on i Mara siedzieli tu i czekali. Na co?!

- Wiesz, to zabawne - odezwała się Mara. - A raczej ironiczne: oto mamy kobietę, która spędziła ostatnie dziesięć lat, próbując stworzyć sobie nowe życie i mężczyznę, który te same dziesięć lat spędził na ganiu po całej galaktyce, usiłując wybawić rzezoną galaktykę od każdego zagrożenia, jakie tylko się pojawiło.

- To my - przyznał, przyglądając się jej niepewnie. - Tylko jakoś nie dostrzegam ironii.

- Ironia tkwi w tym, że kiedy Nowa Republika rozłazi się w szwach, ty przyleciałeś tutaj, ignorując odpowiedzialność, którą sam na siebie nałożyłeś, żeby uratować jedno życie - wzięła głębszy oddech



i dodała: - a ja teraz poświęcam to nowe życie, którego tak pragnęłam, by uratować Nową Republikę.

Nagły błysk zielonego światła, choć odległy, oświetlił jej twarz. Wyglądała jak maska uosabiająca ból i samotność wpatrzone w noc.

- Zdążyłeś akurat na finał - dodała, gdy rozległ się słaby grzmot.

W oddali ponownie błysnęło - Luke oderwał wzrok od jej twarzy i spojrzał w tamtym kierunku.

Wieże zaczęły ostrzalać - co prawda pojedynczo i z przerwami, ale po dwa turbolasery na każdej prowadziły ogień. W przeciwnym kierunku niż ten, gdzie się oboje znajdowali.

- Wstrzeliwują się - poinformowała go sztucznie spokojnym głosem, który lekko wibrował jak napięta sprężyna. - Zaraz się zacznie na dobre.

Ból wypełniał ją coraz bardziej, niczym woda zbiornik retencyjny zapory.

- Co tu się dzieje?

- To był w sumie twój pomysł, wiesz - ciągnęła, jakby się w ogóle nie odezwał. - To ty tak bardzo chciałeś, żebym została Rycerzem Jedi. Pamiętasz? Pociągnęła nosem jak ktoś tłumiący łzy.

Turbolasery z wież rozpoczęły stałą kanonadę, oblewając okolicę zielonkawą poświatą przetykaną błękitnymi błyskami, gdy strzelały ciężkie działa konstrukcji Chissów, i Luke poważnie się zastanawiał, co jest jej powodem. Pomoc wysłana przez Talona mimo uzgodnienia? Flota Nowej Republiki albo Imperium, która znalazła się tu przypadkiem? A może jedno z licznych zagrożeń, o których wspominał Parek? Spojrzał na Marę. I już wiedział. - Nie! - jęknął. - Coś ty zrobiła?!

- To co musiałam - odparła drżącym głosem, nie próbując dłużej hamować łez. - Tylko tak mogłam ich powstrzymać przed oddaniem tego wszystkiego Imperium. Luke przeniósł wzrok na fortecę. Odbierał żal Mary i czuł złość na samego siebie. Gdyby ocknął się wcześniej albo przełamał jej bariery w fortecy i dowiedział się, co planuje, albo nawet teraz skorzystał z pełnych możliwości Mocy, mógłby... - Nie - głos Mary, choć pełen bólu, był stanowczy. - Nie rób tego. To moja decyzja i moja ofiara. Ostateczna ofiara, którą musi złożyć każdy przyszły Rycerz Jedi. Nic na to nie poradzisz. Nic. Dotknęła jego ręki dłonią zimną jak lód z Hoth.

Luke odetchnął głęboko, nadal mając nieodpartą ochotę, żeby coś jednak zrobić, ale coraz bardziej nad nią panując. Robienie czegokolwiek nie zawsze okazywało się najlepszym wyjściem, jak się ostatnio przekonywał, a w tym konkretnym wypadku Mara miała rację: to była jej decyzja. Nie ponosił w końcu odpowiedzialności za cały wszechświat, a zatem również za decyzje podjęte przez innych i wynikające z nich działania i ofiary. Mara podjęła decyzję i zaakceptowała jej skutki, a on nie miał ani obowiązku, ani prawa w to ingerować.

Mógł zrobić wyłącznie jedno i zrobił to - przysunął się bliżej i objął ją.

Przez moment opierała się - stare obawy i przyzwyczajenie do samotności w połączeniu z żalem i bólem dały razem mur niemal nie po przebicia. Potem, jakby uświadamiając sobie, że ta część jej życia właśnie się kończy, przytuliła się i rozpłakała, opuszczając starannie dotąd zachowywane bariery mentalne. Luke'a zalała fala rozpaczy i smutku wywołanego stratą. Pozwolił jej się wypłakać, kontrolując, o ile mógł, falę uczuć i wysyłając zrozumienie i zapewnienie, że jest razem z nią. Ostrzał z wież nasilił się...

A potem znad skalnego uskoku wypadł statek z osłonami włączonymi na pełną moc, przez co w atmosferze wyglądał tak, jakby wykonano go ze starej miedzi, i zwijając się w unikach pomknął przez lawinę turbolaserowego ognia. Niczym mynock do linii przesyłowej, dążył prosto do wylotu hangaru, jedyne słabe punktu całej fortyfikacji, kierując się na sygnał przywoływacza, który Mara podpięła do systemu łączności jednej z obcych jednostek. Był to bowiem jej statek - „Ognista Jade” - jedyna rzecz we wszechświecie, która należała naprawdę tylko i wyłącznie do niej.

Mara przestała płakać i, wyprostowana, odwróciła się tak, by dokładnie widzieć ostatnie chwile swej jednostki. Mimo kanonady „Ognista Jade” znalazł się prawie nad fortecą, ponieważ jej obrońcy popełnili ten sam błąd, co Imperium przy Gwieździe Śmierci: turbolasy zostały skalibrowane do strzelania na dużą odległość do dużych celów, podobnie jak system kierowania ogniem - przygotowany do walki z armadą lub okrętem liniowym, a nie do śledzenia niewielkiego i zwrotnego celu, jakim był frachtowiec tej wielkości. Widać było jednak dziury w kadłubie i szalejące w kilkunastu miejscach pożary - to, że nie została trafiona maszynownia czy komputer pokładowy było dziełem przypadku, ale dzięki temu statek mógł kontynuować swój samobójczy lot. Zanurkował ostatni raz, ginąc im z oczu.

I osiągnął cel w ostatnim rozbłysku eksplozji, która rozświetliła okolicę niczym jasny dzień na Coruscant. W sekundę później dotarł do nich dziwnie stłumiony grzmot wybuchu, jakby czarny kamień pochłaniał także fale dźwiękowe. Parę sekund później nastąpiła druga, słabsza eksplozja, a potem wieże niechętnie przestały strzelać. Wokół zapadła cisza.

A oni siedzieli przytuleni do siebie, przez długi czas wpatrując się w migotliwą poświatę płomieni stosu pogrzebowego „Ognistej Jade”. Poświata powoli gasła, w miarę jak wypalała się zawartość hangaru. Podobnie ustępował ból Mary. Jednak, ku zaskoczeniu Luke'a, na jego miejscu nie pojawił się żal ani rezygnacja - najwyraźniej przestała się nad sobą rozczulać i skoncentrowała się na tym, co jeszcze pozostało do zrobienia.

Mniej więcej po minucie drgnęła i odezwała się głosem nieco ochryłym od płaczu, ale prawie spokojnym i rzeczowym:

- Lepiej chodźmy. Ugaszenie tego zajmie im trochę czasu i trzeba skorzystać z okazji, jaką daje nam zamieszanie. Inaczej możemy mieć problemy z dostaniem się do środka.

- Sądząc po wielkości wybuchu, w całym hangarze nie powinno być jednej zdolnej do lotu maszyny - odezwała się Mara, kiedy zeszli na dół do myśliwca. - Nie znaczy to wprawdzie, że wszystkie

zostały zniszczone, ale żadna nie powinna zostać bez uszkodzeń. A jeżeli nawet, to gdzieś w tylnym rzędzie i problemem będzie samo przetransportowanie jej tam, skąd mogłaby wystartować.

Mówiła niezbyt składnie, usiłując zagłuszyć skutki burzy emocjonalnej, którą właśnie przeszła, i wiedziała o tym. Sama nigdy nie lubiła głupio rozgadanych istot i świadomość, że właśnie się taką chwilowo stała, bardzo ją irytowała, ale, o dziwo, nie wstydziła się tego. I nawet potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego - skoro lawina uczuć, jaką zvaliła na Luke'a, nie zrujnowała jego o niej opinii, to trochę gadania nie miało prawa tego zrobić.. A nie zrujnowała.

I to uznała za najdziwniejsze. Przez całą drogę w dół czuła to samo ciepło i akceptację, którymi darzył ją poprzednio. Owszem -towarzyszyło im więcej troski i nadopiekuńczości, niżby sobie życzyła, ale taki był Luke, no i akurat z tym mogła sobie poradzić.

- Nadal nie wiem, jak mamy się tam dostać - przyznał w pewnym momencie Luke. - Przez jaskinię potrwa zbyt długo.

- Parek wspominał o dziurach w murze. Będziemy musieli znaleźć taką, wspiąć się do niej i znajdziemy się w środku.

- Może się to okazać trudniejsze niż myślisz; tym razem nie będą tacy mili jak poprzednio.

- I dobrze - warknęła. - Bo ja też nie będę taka miła jak poprzednio.

Przed sobą dostrzegła pożyczony myśliwiec, od którego dzieliła ją wąska szczelina, więc zebrała się sobie i skoczyła, lądując na płaskim kamieniu po drugiej stronie. Zanim jeszcze zdążyła odzyskać równowagę, zmroziła ją obca, niespodziewana myśl, czy też obcy, nieznaną głos rozbrzmiewający bezpośrednio jej w umyśle. „Jedi Sky Walker? Jesteś tam?”

Padła zdecydowanie nieelegancko, co ledwie zauważyła, zrywając się zresztą natychmiast. Na panelach baterii słonecznych siedziało kilkanaście nerwowo poruszających skrzydłami cieni. Gdy Luke wylądował obok niej - znacznie zresztą zgrabniej - jeden przeleciał na skałę, którą właśnie opuścili.

„To rzeczywiście ty”, oznajmił z ulgą. „Widziałem wielki ogień i bałem się, że zginąłeś razem z Marą”. Był to Dziecko Wiatrów. I mogła go słyszeć bez pomocy Luke'a.

Spojrzała na niego i dostrzegła odbicie swego zaskoczenia na jego twarzy. Wyczuła je również w jego umyśle.

- Masz bardzo efektowne zagrania - przyznała, wskazując na młodego Qom Qae. - To było ładnie zrobione. Luke uniósł ręce.

- Nie patrz tak na mnie - zaprotestował. - Nie mam z tym nic wspólnego!

„Posłuchajcie mnie oboje”, wtrącił zniecierpliwiony Dziecko Wiatrów. „Musicie pomóc Qom Jha. Zagrożający najechali ich dom”. - To znaczy jaskinię? - upewnił się Luke.

- Całą? Czy może tylko przednią część? - zainteresowała się Mara.

Wywołało to ostrą wymianę poglądów między obcymi, zakończoną przez Dziecko Wiatrów:

„Nie wiemy. Moi przyjaciele z gniazda najbliższego jaskini widzieli, jak wchodzą do środka z maszynami i dużymi gałęziami”.

- Dużymi gałęziami? - Mara spojrzała pytająco na Luke'a. - Ciężka broń ręczna. Jak długie były te gałęzie?

„Dłuższe niż ja”, Dziecko Wiatrów rozpostarł skrzydła. „Niektóre dwa razy dłuższe”.

- Za duże na oczyszczenie jaskini - oceniła Mara. - Raczej odgadli, którędy dostaliśmy się do środka.

- I przygotowali komitet powitalny na wypadek gdybyśmy wrócili - dodał. - Dobrze, że zrezygnowaliśmy z tej trasy i mam nadzieję, że Qom Jha zdążyli odlecieć w głąb.

- W tej chwili nic na to nie poradzimy, a siedząc tu dajemy im tylko więcej czasu na przygotowania.

- Masz rację. Wezmę Artoo i ruszamy - odparł Luke, podchodząc do myśliwca. „Nie pomożecie Qom Jha?”

- Nic nie możemy zrobić, a musimy jak najszybciej wrócić do Wysokiej Wieży - poinformowała go rzeczowo Mara. „Obiecaliście”.

- Obiecaliśmy zrobić, co w naszej mocy - przypomniała mu Mara. - Okazało się, że to raczej niewiele. Posłuchaj: możecie czuć się obrażeni, ale Zagrożający nie uważają was za istoty inteligentne, tylko za duże, latające szkodniki. Jeśli będziecie się trzymać z dala od ich maszyn latających i Wysokiej Wieży, najprawdopodobniej zignorują was.

„Rozumiem”, w tonie Dziecka Wiatrów nie wyczytała obrazy, tylko rozczarowanie. „Przekażemy tę wiadomość innym”.

- Przykro mi, że bardziej nie możemy wam pomóc - dodała. - Ale to niedoskonały wszechświat i nikt nigdy nie dostaje wszystkiego, czego chce albo myśli, że chce. Zdanie sobie z tego sprawy, zaakceptowanie sytuacji i postępowanie zgodne z tą świadomością to część dorastania.

„A czego ty chcesz?”, spytał niespodziewanie Dziecko Wiatrów.

Mara odruchowo spojrzała na myśliwiec, w którym zniknął Luke - sama sporo się zastanawiała nad tym pytaniem, wywołującym mieszane uczucia i myśli pełne ostrożnych nadziei i obaw, ale zdecydowanie wolała nie dyskutować o nich ze świeżo poznanym, nieletnim obcym.

- Teraz chcę tylko wrócić do Wysokiej Wieży - odparła, koncentrując się na najbliższych sprawach. - Potem możemy pogadać o dalszej przyszłości. „Z powrotem do Wysokiej Wieży? Dlaczego?”

Luke zeskoczył na ziemię i używając Mocy opuścił Artoo.

- Wyjaśnienia zabrałyby zbyt wiele czasu - odparła. - Ale to naprawdę ważne, możesz mi zaufać.

„Ufam”, zapewnił ją Qom Qae. „Ufam tobie i Jedi Sky Walkerowi. I mogę wam pokazać drogę”. - Jaką drogę? Gdzie?

„Tam”, Dziecko Wiatrów wskazał nieco w prawo od fortecy. „Moi przyjaciele mówią, że jest dziura w skale w pobliżu Jeziora Rybek, prowadząca do jaskini w pobliżu tej, z której weszliśmy do Wysokiej Wieży”.

Mara spojrzała na Luke'a i zaczął jej świtać nowy pomysł...

- A ta dziura jest wystarczająco duża, żebyśmy przez nią przeszli? - spytała.

„Nie wiem, ale właśnie tym przejściem wędrują pod ziemią ogniaki”.

Na wspomnienie robactwa poczuła ciarki na plecach - ale skoro była to jedyna droga... - Czekaj, porozmawiam z Lukiem - zdecydowała.

Podeszła i zdała mu zwięzłą relację z rozmowy, jako że słyszał jedynie fragmenty, koncentrując się na innych sprawach.

- Warto sprawdzić - zgodził się z jej opinią. - Daleko jest to jezioro?

„Blisko. A jak się polecą, to bardzo blisko”.

- Nie możemy polecieć myśliwcem, bo natychmiast nas zauważą - wyjaśnił mu Luke.

„Nie mówię o latającej maszynie”. Dziecko Wiatrów wyprostował się. „Razem z przyjaciółmi zaniemiemy was tam i nikt nas nie zauważy”. Luke i Mara wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Jesteś pewien? - Luke rozejrzył się. - Nie widzę was tu zbyt wielu, a my jesteśmy ciężsi niż wyglądamy. I musimy zabrać ze sobą Artoo.

„Zaniemiemy was. I nie dlatego, że spodziewamy się coś na tym zyskać, ale dlatego, że ryzykowaliście wiele dla Qom Qae, a my nie daliśmy wam nic w zamian. Teraz możemy, więc należy

to zrobić".

- Jaskinie oznaczają kolejną wspinaczkę po schodach do ukrytego przejścia. - Luke przyjrzał się pytająco Marze. - Myślisz, że dasz sobie radę?

- Nie wiem, czy będziemy się gdziekolwiek wspinać. Może się okazać, że w ogóle nie musimy wchodzić do naziemnej części fortecy. - Tak? - zdziwił się, marszcząc brwi.

- Właśnie sobie przypominałam o silnym źródle energii, które odkrył Artoo, gdy weszliśmy do podziemi twierdzy. Tam, gdzie Dotrzymujący Obietnic mówił, że z tego korytarza nie wrócił żaden Qom Jha. A potem zaczęłam zastanawiać się nad tym, co Thrawn powiedział Parckowi. A powiedział mu, iż jeśli dowiedzą się, że zginął, to powinni po dziesięciu latach oczekiwać jego powrotu.

Wyczuła jego zaskoczenie, a potem nagły rozbłysk emocji, gdy zrozumiał.

- Masz rację - powiedział cicho i ponuro. - To dokładnie w jego stylu.

- Sądzę, że warto sprawdzić, nawet gdyby się okazało, że oboje się pomyliliśmy.

- Oczywiście - zgodził się Luke. - Dobra, Dziecko Wiatrów: zorganizuj przyjaciół i spróbujemy zrealizować twój pomysł.

Holoprojektacja majora na mostku „Chimery” przedstawiała nieuprzejmego oficera; tłustego i nieuprzejmego. I jeśli sędzić po jego odpowiedziach, to mimo iż był w średnim wieku, także mało inteligentnego. Za to całkowicie lojalnego, czyli idealnego z punktu widzenia moffa Disry.

- Przepraszam, panie admirale - powtórzył - ale Jego Ekscelencja nie zostawił mi żadnych informacji, jak można się z nim skontaktować. Gdyby porozmawiał pan z jego szefem sztabu, zaraz zobaczę, czy jest wolny...

- Potrzebuję moffa Disrę osobiście - przerwał mu Pellaeon, zmęczony pustą gadaniną. - I radziłbym pamiętać, z kim pan rozmawia, majorze. Jako Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium powinienem mieć zagwarantowany stały kontakt ze wszystkimi przywódcami cywilnymi. Major wyprostował się w pozycji zasadniczej.

- Wiem o tym, sir - oznajmił średnio bezczelnie. - Tylko z tego, co mi wiadomo, Jego Ekscelencja właśnie przebywa z Głównodowodzącym.

- O czym pan bredzi?! - warknął Pellaeon, czując, że czerwienieje. - Ja jestem Głównodowodzącym!

- Może lepiej, żeby pan o to spytał Jego Ekscelencję - zaproponował niewzruszony jego tonem major.

- Albo Wiel... - urwał nagle zmieszany i dodał: - Ja osobiście nie mam żadnych informacji na ten

temat, a Jego Ekscelencja wróci za parę dni. Wtedy może pan się z nim skontaktować.

- Naturalnie - głos Pellaeona brzmiał dziwnie łagodnie. -Dziękuję za pański cenny czas, majorze. Przerwał transmisję i wyprostował się.

- Aż tak źle, sir? - spytał Vermel, stojący w wejściu na główną część mostka, widząc jego twarz.

- Wystarczająco źle - przyznał Pellaeon. - znam już nieposłuszeństwo i tupet Disry, ale bezczelność ze strony zwykłego majorzyny oznacza, że Disra jest bardziej pewny siebie niż powinien. I przychodzi mi na myśl tylko jeden powód takiej pewności siebie. - Wielki admirał Thrawn - dodał Vermel.

- Ten majorek prawie to powiedział. A jeśli Thrawn wrócił i dołączył do Disry... - w głosie Pellaeona słychać było przede wszystkim zmęczenie i żal, że po tylu latach służby dla Imperium został tak potraktowany, i to na rzecz kogoś takiego jak Disra -.. .to znaczy, że uważa, iż tak jest lepiej dla Imperium i należy się z tym pogodzić. Przez dobrą minutę obaj stali w milczeniu - Pellaeon, spoglądając niewidzącym wzrokiem na wachtę dyżurną i zastanawiając się, co zrobić, a Vermel, czekając na rozkazy. Jeśli Thrawn wrócił to on, Pellaeon, nie musiał robić nic. - Thrawn w wybranym przez siebie czasie skontaktuje się z nim i wszystko wyjaśni. Natomiast jeśli Thrawn nie wrócił...

Udał się na główną część mostka i podszedł do dyżurnego oficera wywiadu.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni przechwyciliśmy sporo pogłosek o powrocie wielkiego admirała Thrawna - zagaił. - Proszę sprawdzić, czy jego nazwisko występowało tylko w połączeniu z niszczycielem „Niezlomny”, czy także z innymi okrętami. - Tak jest, sir - porucznik zajął się klawiaturą i po parunastu sekundach zameldował: - wszystkie pogłoski mówiły albo o tym niszczycielu, albo o kapitanie Dorji, albo o obu, panie admirale.

- Doskonale. W takim razie proszę sprawdzić w kontroli lotów dowództwa Bastionu, dokąd udał się „Niezlomny”. -Tak jest, sir.

- Spodziewa się pan, że Dorja podał prawdziwy cel lotu, jeśli Thrawn nie chce zostać odnaleziony, sir? - spytał cicho Vermel.

- Jeśli sam Thrawn nie chce, to oczywiście nie, ale nie wydaje mi się, żeby ta cała tajemniczość była jego pomysłem. Jeśli zaś jest pomysłem Disry, jemu mogło nie wpaść do głowy, że powinien poinformować Dorję, iż się przede mną ukrywa. -Tak, ale...

- Jest, panie admirale - odezwał się ucieszony porucznik. - „Niezlomny” pod dowództwem kapitana Dorji opuścił Bastion dwadzieścia godzin temu, kierując się do bazy wywiadu Yaga Minor. Pasażerowie: moff Disra i... i wielki admirał Thrawn. - Dziękuję, poruczniku. Kapitanie Ardifff? - Sir?

- Proszę wziąć kurs na bazę Yaga Minor. Odlatujemy, jak tylko okręt będzie gotowy. - Tak jest, sir!  
Oficer nawigacyjny, proszę...

- Mam nadzieję, że wie pan, co pan robi, sir - powiedział jeszcze ciszej Vermel. - Jeśli Thrawn współpracuje z Disrą, konfrontacja z tym ostatnim może nie być korzystna dla pańskiej kariery.

- Kariery już dawno przestałem się przejmować. - Pellaeon uśmiechnął się niewesoło. - Bardziej mnie martwi, że, choć to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe, iż Thrawn nie do końca zdaje sobie sprawę ze skali przestępstw Disry przeciwko Imperium. Jako imperialny oficer mam obowiązek poinformować go o tym...

- Panie admirale! - rozległ się niespodziewanie donośny i zdenerwowany głos operatora sensorów. - W niamiarze pięćdziesiąt pięć na czterdzieści zbliża się do nas niezidentyfikowana jednostka o nieznanym kształcie.

- Proszę ogłosić pogotowie bojowe, ale pod żadnym pozorem nie otwierać ognia bez rozkazu - polecił Pellaeon, podchodząc do okna.

Jak nauczyło go wieloletnie doświadczenie, nieznaną konfigurację jednostek latających z reguły okazywały się efektem rozmaitych modyfikacji lub kąta podejścia, niekiedy zaś starej konstrukcji, z którą nie zetknął się do tej pory ten konkretny operator czy oficer. Dostrzegł w podanym niamiarze najpierw ruch, a po chwili już kształt nadlatującego statku i znieruchomiał w pół kroku, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem. - Panie admirale? - odezwał się nienaturalnie wysokim głosem oficer łączności. - Wywołują nas, sir. Albo raczej wywołują pana, sir. - Mnie osobiście?

- Tak, panie admirale; z nazwiska i stopnia...

- To na co pan czeka, poruczniku? - wtrącił kapitan Ardif. Proszę przełączyć na głośniki! - Tak jest, sir.

- Witam pana, admirale Pellaeon - rozległ się męski głos mówiący wspólnym bez specjalnego akcentu czy wymowy, zazwyczaj typowej dla niehumanoidalnych organów głosowych.

W dodatku głos był dziwnie znajomy, co Pellaeon uzmysłowił sobie z niejakim niepokojem. Niczym echo odległej przeszłości...

- Nie pamięta mnie pan, ale spotkaliśmy się raz lub dwa - dodał głos.

- Wierzę na słowo - odparł spokojnie Pellaeon. - Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Przyleciałem, żeby złożyć panu pewną propozycję. Albo raczej ofiarować coś, czego pan bardzo pragnie.

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie admirał. - Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że mam takie



niespełnione marzenia.

- Och, pan jeszcze nie wie, że pan tego chce - zapewnił go głos. - Ale będzie pan chciał, i to bardzo. Może mi pan wierzyć.

- Przyznaję, że udało się panu mnie zaintrygować. Co pan proponuje?

- Chciałbym złożyć wizytę na pokładzie pańskiego okrętu. Kiedy dowie się pan, o czym mówię, zrozumie pan potrzebę utrzymania tajemnicy.

- Nie podoba mi się to - wymamrotał ledwie dosłyszalnie Vermel. - To może być pułapka.

- Z obcym statkiem nieznannej konstrukcji jako przynętą? -zdziwił się Pellaeon. - I na moim pokładzie? Gdyby ktoś chciał mi zagrozić, zrobiłby to, wykorzystując okazję do zwabienia mnie na pokład tamtego statku, a nie przylatując na nasz. Kapitanie Ardifff, proszę się przygotować na przyjęcie tajemniczego gościa.

# R O Z D Z I A Ł 3 5

Ostatni etap podróży, już przez system Bothawui, upłynął spokojnie - wbrew obawom Hana nikt nie zaatakował „Ślicznotki”. Żaden z prawie dwustu okrętów orbitujących wokół Bothawui nie wydawał się specjalnie interesować jachtem, który ostrożnie manewrował między nimi, żeby dotrzeć do trzech koreliańskich korwet Nowej Republiki, trzymających się blisko siebie, jakby w obawie przed krążącą wokół armadą. Co zdaniem Hana było całkiem prawdopodobne - Gavrisom, jak każdy Calibop, był mocny w gębie i w niczym więcej.

Oficer wachtowy okrętu prezydenta z początku odmówił im zezwolenia na przycumowanie, wobec czego Han najpierw go sklął, potem zażądał żony do nadajnika, a po paru minutach miał już Leię w objęciach.

Nagle całe to wariactwo, w którym wziął udział, wydało się tego warte.

- Cieszę się, że wróciłeś - powitała go nieco niewyraźnie, bo z nosem wtulonym w jego koszulę. - Martwiłam się o ciebie.

- Niepotrzebnie, przecież mnie znasz - burknął, nie wypuszczając jej jednak z uścisku, ponieważ właśnie uświadomił sobie, co mógł stracić...

- Martwiłam się właśnie dlatego, że cię znam: nigdy nie umiałeś trzymać się z dala od kłopotów - spróbowała się uśmiechnąć już nie w koszulę. - Tak się cieszę, że tym razem też ci się udało.

- Ja również - przyznał z rzadką uczciwością, przyglądając się jej uważniej. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Bo wcześniej wstałam; Gawisom postanowił, że czas pokładowy ma odpowiadać czasowi lokalnemu Drev'starn, a tam właśnie zrobiło się rano.

- Aha - Hanowi nawet przez myśl nie przeszło, aby spytać dyżurnego oficera o godzinę pokładową. - Przepraszam.

- Za co? Warto było wcześniej wstać, żeby cię przywitać... masz to?

- W pewnym sensie - mruknął, spoglądając nad jej głową na Landa. - Jest tu jakieś bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy pogadać?

- Oczywiście - odparła spokojnie, mimo iż czuł pod palcami, jak sztywnieje. - Za zakrętem korytarza

jest sala konferencyjna. - To prowadź.

Kilkanaście sekund później siedzieli w wygodnych fotelach za starannie zamkniętymi drzwiami.

- Pomieszczenie jest czyste i regularnie sprawdzane - wyjaśniła Leia. - Teraz mów, co się stało.

- Jak już mówiłem, mamy tę listę - zaczął Han. - Ale rozmawiając z tobą nie wiedziałem jeszcze, że...

I przy akompaniamencie okazjonalnych komentarzy Lando opowiedział jej o wszystkim, kończąc na odkryciu Moegida.

- Mogłem coś podobnego przewidzieć - skończył, spoglądając niezyczliwie na datakartę, którą położył na stole. - Należało poczekać, aż Moegid skończy sprawdzanie, zanim się z tobą skontaktowałem. Sam nie wiem, jak dałem się nabrać na ten głupi kant.

- W porządku - mina Leii wcale nie potwierdzała jej słów. - To tak samo moja wina jak twoja: wiedząc, że Thrawn wrócił, powinnam ostrożniej podchodzić do wszystkiego, co wyglądało zbyt obiecująco...

- Tylko skąd miałaś wiedzieć, że to on osobiście dał nam tę cholerną datakartę! - Han nie zamierzał zmienić zdania. - Wiedziałaś tylko... Siedzący z drugiej strony stołu Lando odchrząknął.

- Jeśli już skończyliście samokrytykę, może zastanówmy się, co zrobić z tym fantem? - zaproponował nonszalancko.

- Racja - zgodziła się Leia, przybierając podobny ton. - Zresztą nie jest aż tak źle: może uda się nam dostać tę listę z innego źródła. - Karrde? - spytał Han.

- Z jeszcze innego... powiem wam tylko tyle, że prawdopodobnie potrwa to jeszcze parę dni.

- A zatem, tak czy inaczej, musimy zyskać na czasie - zauważył Lando. - Obaj z Hanem zastanawialiśmy się nad tym i chyba znaleźliśmy pewien sposób.

- Właśnie - przytaknął Han. - Po pierwsze powiem Gavrisomowi, że na razie nie dostanie listy.

- A jak to uzasadnisz? - spytała z prawdziwą ciekawością.

- Prosto: sytuacja wokół Bothawui jest zbyt napięta. Ten, komu nie spodoba się zawartość listy, zacznie strzelać i położy kres nadziejom na pokój. Chcę zażądać, żeby wszyscy wrócili do siebie, zanim ujawnię listę nazwisk.

- To się nie ma prawa udać! - jęknęła z miną stanowiącą ciekawe studium zdziwienia absolutnego.

- A niby dlaczego? - Han wzruszył ramionami. - Wszyscy nie od dziś znają moje wariackie pomysły, więc i tym razem się nie zawiodą.

- Tak, ale... - z widocznym wysiłkiem stłumiła wątpliwości. - No dobrze: załóżmy, że Gavrisom na to pozwoli, a reszta cię posłucha. Co dalej? Han spojrzał na Landa.

- Prawdę mówiąc, na tym skończyliśmy planowanie - przyznał. - Moegid twierdzi, że jest pewna szansa na odtworzenie oryginału, ale bardzo niewielka. Zależy, jak dobry fachowiec dokonywał zmian. No i skoro teoretycznie mamy listę, może uda się zmusić Bothan do powiedzenia, co rzeczywiście wiedzą.

- Zakładając, że coś wiedzą, w co osobiście wątpię - oceniła Leia. - Biorąc pod uwagę zagrożenie dla całej rasy, gdyby faktycznie mieli jakiekolwiek informacje, powinni je już ogłosić. Jeśli zaś nie wiedzą, do niczego ich nie zmusimy, a co gorsza, ktoś nas oskarży, że próbujemy się z nimi dogadać, żeby nie podać tych nazwisk do publicznej wiadomości.

- Zdaję sobie z tego sprawę - mruknął Han. - Ale jeśli powiemy, że nie mamy nic, również nas oskarżą, zgadza się?

- Prawdopodobnie - przyznała, spoglądając tępo w dal, co oznaczało, że głęboko się nad czymś zastanawia. - Najważniejszymi antagonistami są Ishori i Diamalanie. Jeśli przekonamy ich, żeby się wycofali, choćby czasowo, reszta zapewne pójdzie w ich ślady. Po to właśnie Gavrisom tu przyleciał: żeby z nimi negocjować.

Han skrzywił się, przypominając sobie własne próby negocjacji z przedstawicielami obu ras, i to w mało istotnej sprawie detali handlowo-transportowych. - Tylko nie wpuszczajcie ich do tego samego pokoju - ostrzegł.

- Wiem, o co ci chodzi. Lando, nadal jesteś w dobrych stosunkach z senatorem Miatamią?

- A byliśmy kiedyś w dobrych stosunkach? Bo ja nic o tym nie wiem - Lando przyjrzał się jej podejrzliwie. - Zwłaszcza po naszej pamiętnej przejażdżce, urozmaiconej przymusową wizytą na niszczycielu Thrawna. A o co konkretnie ci chodzi? - Miatamią zjawił się tu wczoraj wieczorem i przebywa na pokładzie diamalańskiego okrętu flagowego „Przedsięwzięcie”. Chciałabym, żebyś tam poleciał i porozmawiał z nim.

- Ja?... - wykrztusił Lando, z niedowierzaniem wytrzeszczając oczy.

- Musisz to zrobić: Diamalanie mają bardzo rozwinięte poczucie godności osobistej, a on pozostaje twoim dłużnikiem za tamten lot. Możesz to wykorzystać. - Słuchaj, nie wiem, ile jest teraz warta na wolnym rynku moja gościnność, ale z pewnością mniej niż moja głowa... - zaczął Lando, po czym spojrzał ponownie na minę Leii i dokończył. - Dobrze. Spróbuję.

- Dzięki. Gavrisom i ja jesteśmy umówieni na spotkanie z przywódcami Ishori na pokładzie ich

flagowej jednostki „Dominacja” dziś około południa. Może wspólnymi siłami uda się nam do czegoś dojść... Stojący na stole interkom rozćwierkał się nagle.

- Senator Organa Solo? - rozległ się głos oficera dyżurnego. - Tak? - odparła Leia, przestawiając przełącznik.

- Zjawił się właśnie pewien dyplomata, który pragnie się z panią zobaczyć. Może go pani przyjąć?

Han poczuł, że za chwilę wybuchnie: mieli naprawdę ważniejsze sprawy na głowie od jakichś nadętych polityków.

- Tu Solo - powiedział głośno. - Pani senator jest zajęta i...

Przerwał, czując uścisk Leii i widząc nagłą zmianę wyrazu jej twarzy.

- Proszę go tu przysłać - powiedziała zdecydowanie i wyłączyła interkom.

- Leia... - zaczął Han.

- Wszystko w porządku - przerwała mu, nadal z dziwną miną. - Mam tylko jakieś osobliwe przeczucie...

Drzwi sali rozsunęły się, a zaniepokojony Han wstał i odruchowo sięgnął po miotacz.

- Witam, pani senator Organa Solo - odezwał się poważnie Carib Devist, wchodząc do pomieszczenia. - Ciebie też witam Han. Cieszę się, że bezpiecznie wróciliście z Bastionu. I wyciągnął ku niemu dłoń, podchodząc bliżej.

- Nie wróciliśmy bezpiecznie - Han nie ujął jego dłoni. - Złapali nas.

Carib zamarł z wyciągniętą ręką, popatrzył na Calrissiana, jakby dopiero teraz go zauważył, a potem powoli ją opuścił. - Co się stało? - spytał niespokojnie.

- Złapali nas - powtórzył Han. - Najpierw gonili przez pół miasta, a potem poczekali przy statku. Nie zdawałem sobie sprawy, jacy jesteście ważni: Thrawn pofatygował się do nas osobiście. Twarz Cariba stężała jeszcze bardziej.

- Thrawn tam był? - spytał prawie szeptem. - To rzeczywiście był Thrawn?

- Na pewno nie jego hologram - warknął Han. - Pewnie, że to był on. Pogadaliśmy chwilę, a potem dał nam listę, której szukaliśmy. Jest tam.

Carib ostrożnie spojrział na leżącą na blacie datakartę i spytał: -I?

- Została sfalszowana - odparła prawie łagodnie Leia.

Han posłał jej niezbyt miłe spojrzenie i skupił uwagę na Caribie.

- Przypuszczam, że nie masz pojęcia, jak wpadli na nasz trop?

- Nie mam - tamten nawet nie drgnął. - Jednak skoro nie zostaliście aresztowani w chwili opuszczenia statku, musieliście czymś zwrócić na siebie uwagę. A jakbyś przypadkiem nie wiedział, uświadomię ci jeszcze coś: skoro was złapali, to ja jestem następny w kolejce, razem z rodziną i resztą mieszkańców Pakrik Minor. Zapewne mało cię to obejdzie, ale Imperium zemści się przede wszystkim na nas. - Fakt - mruknął Han. - Cóż... przykro mi...

- Daruj sobie - prychnął Carib. - Wiedzieliśmy, czym ryzykujemy. I dlatego tu jesteśmy. Zdecydowaliśmy...

- Moment - wtrącił się Lando. - Oficer dyżurny mówił, że jesteś dyplomatą. Jak go nabrałeś?

- Nie nabierałem. Dyrektoriat chciał wysłać kogoś do prezydenta Gawisoma, żeby zaoferować Nowej Republice nasze pełne poparcie w związku z kryzysem. Zgłosiliśmy się na ochotnika i jesteśmy oficjalnymi wysłannikami dyplomatycznymi.

- I tak za pierwszym razem dostaliście się do Gavrisoma?

- Mamy swoje sposoby - Carib wzruszył ramionami. - Choć w sumie nie bardzo musieliśmy ich używać. Wygląda na to, że mało kto wpadł na podobny pomysł. Prawdopodobnie stanowimy interesujący wyjątek. Przedyskutowaliśmy wszystko i zdecydowaliśmy, że nie możemy siedzieć bezczynnie i czekać, co z tego wyniknie, więc przybyliśmy, żeby wam pomóc.

Ostatnie zdanie skierował do Leii prostując się podświadomie do pozycji zasadniczej.

Han spojrział na Landa i ledwie się opanował - imperialne klony w charakterze pomocników! Tylko tego im brakowało. - A jak sobie wyobrażacie tę pomoc? - spytał.

- W każdy dostępny nam sposób - odparł Carib. - A założę się, że niektóre nawet nie przysłyby wam do głowy. Na przykład: wiecie, że wśród okrętów krążących na orbitach są co najmniej trzy jednostki imperialne? - O czym ty gadasz?! - Han zmrużył oczy.

- O trzech okrętach Imperium - powtórzył Carib. - Niewielkich, bo tylko nieco większych od myśliwców z załogami liczącymi trzy czy cztery osoby, ale są to z całą pewnością maszyny imperialne, pilotowane przez imperialnych pilotów myśliwskich. - Jesteś pewien? - spytała Leia z dziwną, pełną napięcia intonacją.

- Całkowicie. Zwróciliśmy na nie uwagę, bo porozumiewali się za pomocą imperialnych kodów, i to pochodzących sprzed paru tygodni. - Rozumiem - mruknęła, przygryzając wargę.

- Jak sądzę, zidentyfikowaliście te jednostki - dodał Lando.

- Te, które zauważyliśmy, tak - Carib podał Hanowi wyjętą z kieszeni datakartę. - Oczywiście może ich się tu kręcić znacznie więcej, tylko akurat wtedy nie nadawały. - Naturalnie - zgodził się Lando.

Carib popatrzył na niego dziwnie, przeniósł wzrok na Hana i przyjrzał się uważnie jego twarzy.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Wiem, że nie bardzo mi ufasz. Sądzę, że na twoim miejscu w tych warunkach też bym specjalnie nie ufał, ale obojętne, czy mi wierzysz, czy nie, jesteśmy po waszej stronie.

- Problem nie w zaufaniu lub jego braku konkretnie do was - odpowiedziała mu Leia. - Chodzi o znacznie szersze pojmowane pytanie, co jest prawdą: skoro Thrawn znów pociąga za sznurki, nie zawsze można wierzyć nawet własnym oczom, a więc tym bardziej osądowi.

- I to może być jego najgroźniejszą bronią - zauważył Carib. - To, że nikt nie chce zaufać sojusznikom, okolicznościom ani nawet własnemu osądowi sytuacji. W ten sposób nie da się żyć, a o walce nawet nie warto wspominać.

- Nie zrozumieliśmy się: nie sugeruję, żebyśmy pozostali bezczynni, tylko wyjaśniam powody naszego wahania. Wręcz przeciwnie, mamy plan, który spróbujemy zrealizować.

- To dobrze - stwierdził z wyraźną ulgą Carib. - Co mamy robić?

- Wróć na statek i pokręć się bez celu po okolicy - Leia odebrała od Hana datakartę i wsunęła do czytnika. - Spróbujcie odszukać i zidentyfikować pozostałe imperialne jednostki, o ile tu są.

- Jak to zrobią, jeśli tamci nie będą nadawać? - zainteresował się Lando.

- Po sposobie pilotażu - wyjaśnił Carib. - Niewielu potrafi wychwycić takie subtelności, ale ktoś, kto miał dużo do czynienia z imperialnymi pilotami myśliwskimi, zrobi to bez trudu. Nie zapomnij, że Soontir Fel uczył latać kilka pokoleń ich pilotów, a my otrzymaliśmy całą jego wiedzę dotyczącą latania.

- Doskonale - Leia podała mu datakartę. - Tu masz częstotliwości prywatnych komlinków Hana, Landa i mojego oraz częstotliwości alarmowe naszych statków. Bądźcie z nami w kontakcie i uważajcie na siebie.

- Będziemy - obiecał Carib, chowając datakartę. - Dziękujemy i nie zawiedziemy was.

- Wiem - odparła poważnie. - O innych sprawach porozmawiamy później. Carib skinął głową i wyszedł.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział ponuro Han, spoglądając na zamykające się za nim

drzwi. - Nadal nie jestem pewien, czy mu ufam.

- Jedynie historia będzie w stanie ocenić nasze dzisiejsze działania - odparła, wyraźnie zmęczona. - Jego działania zresztą też. Nie da się zrobić więcej niż można. - Wzięła głęboki oddech. - Muszę porozmawiać z Gavrisomem o spotkaniu z Ishori, a Lando powinien skontaktować się z Miatamią i wymusić na nim spotkanie. - Fakt - Lando wstał, nie ukrywając, że robi coś, na co nie ma specjalnej ochoty. - To na razie! - I wyszedł. - A co ja mam robić? - zaciekał się Han.

- Uściskać mnie - oświadczyła, podchodząc do niego. - A zupełnie serio, trzymaj się od tego z daleka. Ty masz listę, więc stoisz na moralnym piedestale i jesteś ponad to wszystko. Nie możesz wdawać się w negocjacje z żadną ze stron.

- Zawsze lubiłem stać na piedestale - burknął. - Stanowi się tam wymarzony cel. Nie wygłupiaj się: wiesz, że nie potrafię nic nie robić!

- No więc, prawdę mówiąc, to... to „Sokół” wymaga pewnej naprawy - powiedziała ostrożnie. - Stracił prawoburtowe konwertory i stabilizator jonowy po drodze na Bothawui.

- Żaden problem, mam zapasowe. Wiesz może, co im się stało?

- Spotkały się z mieczem świetlnym - odparła nieśmiało. -Z... aha.

- Musiałam to zrobić - zapewniła go pospiesznie. - Naprawdę musiałam!

- Wierzę - pogładził ją po włosach. - Dobra, zaraz się za to zabiorę. Przycumowałaś z drugiej strony?

- Tak - odsunęła się nieco. - I jeszcze jedno. Na pokładzie jest ktoś, kogo chwilowo lepiej trzymać z dala od polityki: Powiernik Pozostałości Caamas Elegos A'kla. - Nie można cię na chwilę spuścić z oka - Han z podziwem pokręcił głową. - Zostawiłem cię na kompletnym zadupiu, nie było mnie tylko parę dni, a ty zdołałaś umówić się z wysokiej rangi przedstawicielem obcych, których w galaktyce zostało naprawdę niewiele. Zdolna jesteś.

- To jeszcze nie wszystko - uśmiechnęła się z przymusem. - Nawet nie połowa. - Więc powiedz mi resztę.

- Teraz nie mamy czasu. Może kiedy wrócimy z Gawisomem z „Dominacją”, będę mogła wszystko ci opowiedzieć. - Jasne. To ja się zajmę „Sokołem”.

- W porządku - pocałowała go szybko. - Zobaczymy się później.

- Ano... - mruknął i nagle przypomniał sobie jej słowa. - Leia? - Tak? - zatrzymała się w pół drogi do drzwi.



- Powiedziałaś przed chwilą, że tylko historia będzie w stanie ocenić poczynania Cariba i nasze w dniu dzisiejszym... dlaczego akurat w tym dniu? - Tak powiedziałam? Prawdę mówiąc, nie wiem.

Han poczuł coś lodowatego wędrującego po kręgosłupie.

- To znowu jakieś przeczucie Jedi? - spytał poważnie.

- Możliwe - wzięła głęboki oddech. - A nawet prawdopodobne. Przez kilka sekund przyglądali się sobie w milczeniu.

- No, dobra - Han zmusił się do użycia normalnego tonu. - A zatem zobaczymy się później, tak?

- Tak... później - powiedziała nieco nieobecny tonem i wyszła.

Han przez chwilę analizował to, co właśnie usłyszał. Konsekwencji przychodziło mu do głowy nawet sporo - wszystkie mętne jak bagienna woda i niezbyt optymistyczne. Jasne było tylko jedno, i to w sposób nie ulegający żadnej wątpliwości - zapowiadał się naprawdę pracowity dzień i raczej należałoby dysponować sprawnym statkiem. Tak na wszelki wypadek.

Schował datakartę do kieszeni i wyszedł, kierując się ku śluzie, do której cumował „Sokół”. Nie wiedział wprawdzie dokładnie, jaki był rekordowy czas wymiany stabilizatora i reszty, ale miał zamiar go pobić.

Kiedy Wedge i Corran dotarli do sali odpraw na pokładzie „Błędnego Rycerza”, było w niej już prawie pełno. Za holoprojektorem stał Bel Iblis, a przed nim siedzieli dowódcy wszystkich okrętów i eskadr znajdujących się pod jego dowództwem. Wszystkim, którzy nie znali go tak długo jak Wedge, generał Bel Iblis wydawał się uosobieniem spokoju.

Jak się należało spodziewać, ostatnim spóźnialskim był Booster Terrik, który zignorował parę wolnych foteli, przemaszerował przez całą salę i stanął w pierwszym rzędzie, krzyżując ręce na piersiach i przyglądając się wyczekująco Garmowi. - Rozpoczynamy ostatnią odprawę przed celem - zagaił bez wstępów Bel Iblis. - Naszym celem, jeśli ktoś z was jeszcze się tego nie domyślił, jest baza imperialnego wywiadu Yaga Minor.

Sądząc po reakcji, wielu obecnych nie domyśliło się tego wcześniej.

- Zanim zaczniecie liczyć nasze siły i porównywać je z obroną bazy, pozwólcie, że was nieco podtrzymam na duchu - kontynuował Bel Iblis. - Naszym celem nie jest zdobycie bazy, a prawdę mówiąc, żadna jednostka, oprócz „Błędnego Rycerza”, nie otrzyma zadania przedostania się na jej teren. Pozostaniecie na zewnątrz umocnień i zajmiecie się dywersją, czyli pozorowanym atakiem.

Nad stołem, w blacie którego umieszczony był holoprojektor, pojawił się hologram bazy.

- „Błądny Rycerz” wyjdzie z nadprzestrzeni tu - poza zewnętrznym pierścieniem umocnień pojawiło się pulsujące błękitne światło. - Okręt pojawi się sam i będzie nadawał informację, że ucieka przed dużym zgrupowaniem jednostek Nowej Republiki i potrzebuje schronienia. Dzięki łutowi szczęścia i fałszywym transponderom zostaniemy wpuszczeni do bazy w tym miejscu.

Booster prychnął na tyle głośno, by słyszano go w całej sali.

- Wolne żarty - oznajmił. - Niszczyciel klasy Imperial uciekający przed taką zbieraniną?! Nigdy w to nie uwierzą! - A niby dlaczego? - spytał uprzejmie Bel Iblis.

- Dlaczego? Mamy pełne uzbrojenie, sprawne tarcze i prawie pełną załogę wyszkoloną, jak za dawnych czasów. Ten okręt aż błyszczy. Kto uwierzy, że znajduje się w poważnych kłopotach? Garm odchrząknął i spytał:

- Rozumiem, że nie oglądałeś ostatnio zewnętrznej powłoki kadłuba? Booster zamarł. - Że co? - warknął cicho i groźnie zarazem.

- Jak słusznie zauważyłeś, okręt w idealnym stanie byłby mało wiarygodny, toteż postaraliśmy się, żeby wyglądał przekonująco.

Przez długą chwilę obaj przyglądali się sobie w milczeniu, choć z twarzy Terrika można było bez trudu wyczytać nadciągającą burzę.

- Zapłacisz mi za to - powiedział w końcu cicho i dobitnie. - Osobiście mi za to zapłacisz!

- Dopisz do rachunku - poradził mu Bel Iblis. - I nie martw się, potem wszystko naprawimy.

- Ja myślę - warknął Booster. - I pomalujecie, tylko nie na ten cholerny biały kolorek.

- Zobaczymy, co się da zrobić - obiecał niepewnie Bel Iblis i ponownie uruchomił holoprojkcję.

Błękitny punkt minął zewnętrzne umocnienia, a za ich linią pojawił się rój żółtych punktów.

- Wyjdziecie z nadprzestrzeni i zaatakujecie ich perymetr obronny, ale nie to stanowi wasze główne zadanie. W rzeczywistości powinniście skupić na sobie uwagę obrońców i wystrzelić jak największą liczbę torped protonowych. Część z nich musi przedostać się na teren bazy - dodał Bel Iblis, czekając, aż błękitny punkt zatrzyma się przy długim elemencie wystającym z głównej części bazy. - „Błądny Rycerz” zatrzyma się tu i wyśle jednostkę szturmową, której zadaniem będzie przedostanie się do wnętrza tego korytarza, na końcu którego znajduje się terminal komputerowy, i wprowadzenie tam zespołu slicerów. Oraz zapewnienie im bezpieczeństwa w czasie poszukiwań i kopiowania całej dokumentacji dotyczącej Caamas, jaką znajdą w banku danych, a następnie przetransportowanie ich z powrotem na pokład niszczyciela.

- A jak się wydostaniecie z terenu bazy? - spytał jeden z kapitanów. - Bo chyba nie zakłada pan, sir,

że w ogóle nie zwróca na was uwagi? Bel Iblis wzruszył lekko ramionami.

- To niszczyciel klasy Imperial - przypomniał. - Zakładam, że zdołamy wydostać się po prostu, przebijając sobie drogę ogniem.

Wedge zerknął na Corrana - sądząc po wyrazie jego ust, obaj byli tego samego zdania: Garm się mylił i kiedy obrońcy zorientują się w podstępnie, nawet okręt tej klasy będzie miał poważne problemy. Albo...

Wedge przyjrzał się uważniej Bel Iblisowi. I to, co zobaczył, utwierdziło go w podejrzeniu - Garm Bel Iblis wiedział, że nie ma sposobu na wydostanie się z terenu bazy. Wiedział, że może jedynie odnaleźć listę i mimo zagłuszania przesłać ją reszcie floty niszczyciele posiadały bardzo silne nadajniki. I wiedział też, że Yaga Minor będzie jego grobem. A jeśli on to wiedział...

Przeniósł wzrok na Boostera. Terrik bez wątpienia nie zejdzie z pokładu swojego okrętu, a więc... Obok usłyszał westchnienie Corrana.

- Tylko nie wierz, że on to robi ze szlachetnych pobudek - odezwał się cicho Horn. - On to robi dla Mirax i Valina. Nie chce, żeby się chłopak chował w czasie wojny domowej, a za okręt dostaną solidne odszkodowanie, bo stary cwaniak wymusił taką klauzulę, wypożyczając go Nowej Republice.

Co w niczym nie zmieniało faktu, że troska o rodzinę będzie go kosztowała życie...

- Chyba musimy dopilnować, żeby im się udało z tego wyjść -dodał Corran. - Kolejna niemożliwa misja dla Eskadry Łotrów. - Ładnie to ująłeś - zgodził się Wedge.

- A co z myśliwcami pokładowymi? - spytała komandor C'taunmar, dowodząca eskadrą myśliwców typu A. - Mamy, jak zwykle, zapewnić osłonę niszczycielowi? - Zdecydowanie nie - Bel Iblis potrząsnął przecząco głową. - Gdybyśmy mieli imperialne myśliwce TIE czy Preybirdy, to i owszem, ale osłona złożona z myśliwców typu A i X musiałaby wzbudzić podejrzenia nawet najgłępszego imperialnego oficera. Wszystkie myśliwce pokładowe wchodzą w skład sił pozorujących. Także Eskadra Łotrów.

Temu ostatniemu zdaniu towarzyszyło wymowne spojrzenie w stronę Wedge'a, który zrozumiał je właściwie i nie odezwał się.

- Pozycje i zadania otrzymacie, wychodząc stąd - dokończył Bel Iblis. - Są pytania?

- Tak, panie generale - odezwał się czyjś głos. - Mówił pan o fałszywej identyfikacji „Błędnego Rycerza”. Podszycie się pod istniejący niszczyciel, czy będzie to całkowite fałszerstwo?

- Pod istniejący. Dwadzieścia lat temu Imperium miało tyle niszczycieli, że trudno było dokładnie śledzić poczynania i losy wszystkich i coś mogło nam umknąć. Ale ten radosny okres już się skończył

- wyjaśnił Bel Iblis. - Nasz wywiad ustalił, że trzy imperialne niszczyciele nie odzywają się od paru tygodni. Najprawdopodobniej wykonują jakieś zadania specjalne, więc jest mała szansa, by któryś z nich akurat pojawił się w bazie, lub by wiedziano tam, gdzie przebywa. Dlatego też dostaniemy się tam jako „Tyran” pod dowództwem kapitana Nalgola. I wskazał gestem Terrika.

Pięć minut później Wedge i Corran byli w drodze na pokład hangarowy, gdzie czekała reszta Eskadry Łotrów.

- Niezły numer z tym pilnowaniem ich od zewnątrz - skomentował ponuro Wedge. - Musimy wykazać się pomysłowością- burknął Corran. - Kłopoty? - Wedge przyjrzał mu się uważnie.

- „Tyran” - Corran potrząsnął głową. - Coś mi się nie podoba w tym, że mamy go udawać, tylko nie wiem, co.

- Lepiej, żebyś się szybko dowiedział, bo do startu została tylko godzina...

- Wiem. Spróbuję...

# R O Z D Z I A Ł 3 6

- Wstawaj!

Navett obudził się natychmiast i odruchowo zacisnął dłoń na kolbie ukrytego pod poduszką Mastera. Otworzył oczy, jednym spojrzeniem oceniając sytuację i koncentrując uwagę na stojącym w drzwiach Klifie. Klif miał w dłoni blaster, a na twarzy wyraz wściekłości, nieźle widoczny, gdyż za oknem świtało. - Co się stało? - Ktoś był w sklepie. Ubierz się i chodź.

Faktycznie ktoś był w sklepie, o czym Navett przekonał się niespełna minutę później, choć nie bardzo wierzył własnym oczom. Wnętrze wyglądało jak krajobraz po bitwie - porozbijany sprzęt, poprzewracane meble. Tylko samych zwierząt nikt nie ruszył.

- Nie wierzę! - powtórzył Klif po raz piąty. - Jak ona, do cholery, to zrobiła, nie uruchamiając żadnego alarmu?!

- Wygląda na to, że jest lepsza niż sądziliśmy. Ale mawkrenów nie zabrała.

- Wydaje mi się, że niczego nie zabrała - warknął Klif. - Tylko rozpieprzyła, co mogła i przeszukała resztę.

Jednak mimo energii i entuzjazmu ich przeciwniczka nie znalazła najważniejszego - skrytki w tylnej ścianie obok skrzynki z bezpiecznikami.

- Właściwie oprócz tego, że nabałaganiła, nie wyrządziła nam żadnych szkód - ocenił Navett, obchodząc ladę i przyglądając się włączonemu komputerowi: w nim akurat mogła sobie szukać do woli. -Navett!

Rozejrzał się. Klif stał przy klatce promporsa, wpatrzony w sąsiadującą z nią półkę. - Co znowu? - spytał, podchodząc.

Na półce leżały w równych rzędach cylinderki, dotąd ukryte w podwójnym dnie klatki mawkrenów. A obok nich stał sobie binarny komlink.

- Chcesz z nią gadać? - spytał Klif przez zaciśnięte zęby.

- Po co? Żeby posłuchać kolejnych przechwałek?

- Może skłonisz ją do wygadania, co planuje. Jednego cylindra brakuje.

Navett zmełł w ustach przekleństwo, złapał komlink i włączył. - Pracowita jesteś - powiedział.

- A, dzień dobry - odparł radosny głos. - Ranne z was ptaszki.
  - A z ciebie nocny marek. Powinnaś bardziej na siebie uważać. W twoim wieku zbyt wysiłek może być zabójczy. Zwłaszcza dla nieprzyzwyczajonych.
  - Opowiadasz - obruszyła się. - Po ćwiczeniach serce lepiej pracuje.
  - Dopóki nie nadzieje się na coś ostrego. A poza tym powinnaś wiedzieć, że tutejsze prawo surowo karze wandalów.
  - Ale tylko jeśli wiesz, komu należy dostarczyć pozew - odcięła się. - A wy nie wiecie.
- Navett zgrzytnął zębami - nie wiedzieli, bo nie udało im się dowiedzieć absolutnie niczego o personaliach właścicielki „Pacyfikatora”.
- W takim razie będziemy musieli sami to załatwić - przyznał.
  - Przecież ci to wczoraj proponowałam. Może byś się w końcu zdecydował, co? Aha, masz ze sobą tego nightstingera?
- Navett uśmiechnął się - miał, w skrytce, której nie odkryła, ale nie zamierzał jej tego mówić.
- A co właściwie spodziewałaś się tu znaleźć? - spytał zamiast odpowiedzi.
  - Zawsze lubiłam zwierzęta, a jak człowiek szuka, to prędzej czy później coś znajdzie. Po co wam te cylinderki?
  - Jesteś specjalistką od wszystkiego, więc sama się domyśl.
  - Oj, ale się zrobiłaś drażliwa. Rozumiem, lubisz się wyspać. No to jak: nic mi nie powiesz?
  - Możemy pohandlować - zaproponował. - Powiedz mi, co zamierzasz zrobić.
  - Ja?! - spytała niewinnie. - Nic. Teraz wszystko zależy od Bothan.
  - Aha, naturalnie. Przestań się wygłupiać: nie możesz nasłać na nas bezpieki i wszyscy o tym wiemy. To sprawa między tobą a nami.
  - Wierz sobie, w co chcesz. Teraz jestem zmęczona, a wy macie gości. Później sobie pogadamy - i tą dziwną obietnicą zakończyła połączenie.
  - Zatem życzę ci długiego, wiecznego snu - prychnął Navett, odłożył komlink na półkę i przybił go do niej wyjętym z kieszeni nożem.

- Co ona mówiła o gościach? - spytał podejrzliwie Klif, kiedy resztki urzędnika lądowały w koszu na śmieci. - Czyżby jednak zawiadomiła bezpieczeństwo?!

- Niemożliwe. Chodź, trzeba posprzątać ten bajzel przed otwarciem, bo... - Navett urwał, gdyż rozległo się pukanie do drzwi.

Schował blaster i nóż, podszedł do drzwi, spokojnie zwolnił zamek i otworzył. I znalazł się nos w nos z czterema Bothanami w zielono-żółtych mundurach policyjnych. - Navett, właściciel „Exoticalia Pet Emporium”? - zapytał stojący najbliżej wejścia. - Tak jest, ale...

- Dochodzeniowy Proy'skyn z Departamentu Zniechęcania Przestępczości w Drev'starn - przerwał mu mundurowy, pokazując mieniącą się odznakę. - Otrzymaliśmy wiadomość o włamaniu do pańskiego sklepu. I jak widzę, to prawda. Możemy wejść?

- Oczywiście - Navett cofnął się, próbując zachować spokój.

Ta stara nie zawiadomiła bezpieki, tylko policję – naprawdę miał coraz większą ochotę własnoręcznie ją udusić.

- Właśnie miałem was zawiadomić - dodał. - Sami dopiero przed chwilę odkryliśmy, co się stało.

- Macie panowie spis towaru i zwierząt? - spytał Proy'skyn przez ramię.

- Zaraz go wydrukuję - Klif ruszył w stronę komputera.

- Co to za cylinderki? - zainteresował się jeden z policjantów, stając przy półce. - Proszę tylko ostrożnie! - Navett pospieszył do niego, gorączkowo myśląc nad rozsądnie brzmiącym kłamstwem. - To dozowniki hormonalne dla młodych mawkrenów.

- Jakiego rodzaju hormony zawierają i jak sieje stosuje?

- Świeżo urodzone mawkreny potrzebują specjalnej kombinacji widma słonecznego, warunków atmosferycznych i pożywienia - Klif podjął pomysł ze swadą i pewnością siebie. - Poza ich własną planetą prawie nigdy nie udaje się osiągnąć odpowiednich proporcji i dlatego potrzebne są takie właśnie dozowniki. - To są mawkreny - dodał Navett, wskazując klatkę z małutkimi jaszczurkami. - Dozowniki przymocowuje się do ich grzbietów za pomocą specjalnych uprzęży. - Rozumiem... - policjant przyjrzał się jaszczurkom. - Kiedy to musi być zrobione? - Dziś rano, więc panowie wybaczą, ale nie bardzo możemy pomóc w oględzinach, czy jak się to nazywa - wyjaśnił Klif. - O ile naturalnie nie macie nic przeciwko temu. - Skądże znowu - zapewnił Proy'skyn. - Nie przeszkadzajcie sobie, panowie. Navett ustawił jeden z przewróconych stołów, starannie ukrywając pełen satysfakcji uśmiech - Klif był znacznie sprytniejszy; od ich przeciwniczki: nie dość, że odsunął od nich podejrzenia, dając policji wolną rękę w poszukiwaniach, to jeszcze doprowadził do tego, że zaczęła ostatnią część planu dokładnie pod nosem, a raczej nosami policjantów. Fakt, że cylindry zamierzali założyć \ dopiero pojutrze; ale nie można mieć wszystkiego.

Ustawił urządzenie do zakładania upręży i, ignorując kręcących się po sklepie Bothan, obaj z Klifem zabrali się do pracy.

Skończyli zakładać pięćdziesiąty siódmy cylinderek, mając w perspektywie jeszcze około dwudziestu, gdy Navett zdał sobie sprawę z obecności w pomieszczeniu nowego zapachu. Spojrzał na Klifa, skoncentrowanego na podłączaniu cylindra do upręży kolejnej, unieruchomionej w polu siłowym jaszczurki, i rozejrzał się. Czwórka policjantów dawno już wyszła, ustępując miejsca trzem technikom zajęтым zbieraniem odcisków palców i próbek [ chemicznych z klatek i pojemników. Żaden nie wydawał się ni-i czego zauważać. Klif skończył, popatrzył na Navetta i spytał go cicho: - Kłopoty? Navett zmarszczył nos.

Klif pociągnął swoim i nagle znieruchomiał. - Dym - szepnął.

Navett skinął głową, rozglądając się nieznacznie, żeby nie zwrócić uwagi techników. Nie dostrzegł nigdzie żadnego ognia ani dymu, ale zapach stawał się coraz intensywniejszy. - Nie odważyłaby się - syknął Klif. - Co?

- Lepiej założyć, że się odważyła. Weź gotowe mawkreny i zanieś je do lokalu. - Teraz? - Klif wskazał okno, za którym świeciło słońce. - Teraz jest tam pełna zmiana personelu dziennego.

- To wymyśl coś naprawdę oryginalnego, żeby ci nie włązili w drogę - warknął Navett. Jeśli stracą mawkreny, wszystko pójdzie na marne. - Obudź Pensina i Horrica: przechodzimy w stan alarmu.

- Jasne - Klif odłożył narzędzia i zaczął wkładać nie ubrane jeszcze w uprężę jaszczurki do klatki.

- Pożar! - zawył nagle jeden z techników. - Budynek się pali! Marv'vyał, zawiadom strażaków, szybko!

- Pożar? - Navett rozejrzał się zaskoczony. - Gdzie?! Nic się przecież nie pali... - Głupi człowiek! Dymu nie czujesz? Zostawcie wszystko i wychodźcie!

Navett spojrział na Klifa, rozumiejąc już, co zaplanowała ich przeciwniczka - skoro nie mogła odgadnąć, czego ze sklepu potrzebują do wykonania planu, chciała ich pozbawić wszystkiego.

- Nasze zwierzęta są bardzo cenne! - zaprotestował.

- Cenniejsze od życia? - technik, ignorując własną radę, obchodził pomieszczenie i dotykał dłońmi ścian. - Wyjdźcie! - A ty? - zainteresował się Klif.

- Ognia jeszcze nie widać, więc musi być gdzieś wewnątrz ścian. Próbuję znaleźć, gdzie.

- Strażacy są w drodze - oznajmił drugi, wymachując komlinkiem. - Ale zjawią się dopiero za kilka



minut.

- Rozumiem - pierwszy zatrzymał się przy skrzynce z bezpiecznikami i nagle jego futro zaczęło falować. - Może zdołamy ułatwić im zadanie.

I sięgnął do pochwy przy pasie po nóż, który wbił w ścianę na wysokości skrytki. - Zaraz! - Navett skoczył ku niemu. - Co ty wyprawiasz?

- Dym śmierdzi izolacją- wyjaśnił technik. - Przewody przy gniazdkach bezpiecznikowych to dość prawdopodobne miejsce. Jeśli zdołamy do nich dotrzeć i użyć gaśnic...

Urwał, gdy nóż, którym cały czas operował, zwolnił zamek skrytki i cały przedni panel niemal wypadł na niego, odsłaniając schowany tam blasterowy karabin snajperski. - Co to za broń...? - wykrztusił, łapiąc równowagę.

W następnej sekundzie zwałił się na podłogę, zastrzelony przez Navetta.

Drugi technik zdążył tylko pisnąć, trafiony między oczy kolejnym strzałem. Trzeciego załatwił w międzyczasie Klif, zanim tamten zdążył sięgnąć po broń czy komlink. - No to jesteśmy ugotowani - ocenił Klif. - Co to, do cholery...

- Spodziewała się, że zachowamy się jak zawodowcy, a zawodowcy zabijają tylko wtedy, kiedy muszą- przerwał mu Navett. - Wobec tego zachowałem się jak amator, co powinno ją zdrowo zaskoczyć.

- Pięknie: genialnie nieortodoksyjna strategia - warknął Klif. - Co teraz, geniuszu? - Załatwiamy generator. - Navett przekroczył zabitego i wyjął karabin ze schowka. - Obudź pozostałych, bierzcie statek i lećcie. Macie dwie godziny, może mniej, żeby znaleźć się na pokładzie „Dominacji” i na pozycji.

- Nie możemy teraz zniszczyć generatora - zaprotestował Klif. - Podaliśmy termin za trzy dni.

- Chcesz ryzykować trzy dni zabawy w chowanego z tą babą? - Navett położył broń na stole i zajął się umieszczaniem w pojemniku mawkrenów z zasobnikami. - Ponieważ sama nic nam nie może zrobić, napuściła na nas wszystkich poza bezpieczeństwo: policję, strażaków i cholera wie kogo jeszcze. Jeśli chcemy, żeby się udało, musimy zaatakować teraz, bo tego właśnie się po nas nie spodziewa. Pojutrze będzie za późno. - Ale grupa uderzeniowa...

- Przestań się martwić. Jeżeli nawet nie są gotowi, to będą piorunem, jak się tylko zacnie strzelanina. Ty wykonuj swoje zadania.

- Dobra - Klif schował blaster. - Zostawię ci terenowy śmigacz, w razie potrzeby zawsze mogę rąbnąć inny. Jeszcze czegoś potrzebujesz?

- Niczego, czego nie mógłbym sam zorganizować. Ruszaj, czas ucieka.

- Jasne. Powodzenia.

Klif wyszedł. Navett skończył pakowanie mawkrenów do klatki i nie wykorzystanych cylindrów do podwójnego dna. Fakt - ta stara baba zmusiła ich do zmiany planów, co będzie ich drogo kosztowało, ale jeśli sądziła, że wygra, to bardzo się myliła. Żałował tylko, że nie zobaczy jej miny, kiedy to do niej dotrze.

- Jestem pewna, że rozumie pan, admirale, jak bezprecedensowy byłby to krok dla naszych ludzi - Paloma D'asima starannie dobierała słowa. - Nigdy dotąd nie współpracowaliśmy z Imperium.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Disra zdusił cyniczny uśmiezek -jedna z Jedenastu kierujących Mistryl mogła się uważać za doświadczoną negocjatorkę i dobrą dyplomatkę, ale dla niego była czystej wody amatorem, ponieważ z łatwością przewidywał jej reakcje. I ta najlepsza negocjatorka Mistryl jeszcze przed zmrokiem będzie mu jadła z ręki, razem z resztą organizacji. Albo raczej nie z jego ręki, lecz Thrawna. - Znam różnice poglądów, które dzieliły nas w przeszłości -powiedział ten ostatni poważnie. - Ale jak już pani powiedziałem, a wcześniej rozmawiałem o tym z panią D'ulin, Imperium kierowane przeze mnie w bardzo niewielkim stopniu będzie przypominało to, którym rządził Palpatine.

- Rozumiem - twarz D'asimy nie zdradzała niczego, za to zdradzały ją dłonie, poruszające się niemal bez przerwy. - Wspomniałam o tym jedynie po to, by przypomnieć, że oczekujemy czegoś więcej niż jedynie pańskiego zapewnienia jako gwarancji.

- Kwestionuje pani słowo wielkiego admirała Thrawna? -wtrącił ostro Disra.

Zadziało tak, jak się spodziewał.

- Skądże znowu - zapewniła zbyt pośpiesznie. - Tylko że... Przerwał jej sygnał interkomu.

- Panie admirale, tu kapitan Dorja - rozległ się znajomy głos. Siedzący obok Thrawna Tierce włączył urządzenie i odparł:

- Tu major Tierce, kapitanie. Proszę mówić, pan admirał słucha.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale prosił pan o natychmiastowy meldunek, gdyby do bazy zbliżały się nie zapowiedziane wcześniej jednostki. Właśnie nadeszła wiadomość, że niszczyciel „Tyran” jest w drodze i prosi o pomoc. Został uszkodzony i ścigają go okręty Nowej Republiki.

Zaniepokojony Disra spojrział na Tierce'a- „Tyran” był jednym z trójki niszczycieli czekających w pobliżu Bothawui. Czyżby sprawa się wydała... - Podali szczegóły? - spytał spokojnie Thrawn.

- Nie, sir. Jedynie to, że zostali zaatakowani, mają spore uszkodzenia i są ścigani, więc proszą o zezwolenie na wejście do bazy. Generał Hestiv czeka na rozkazy, sir. Disra odprężył się - to nie mógł być autentyczny „Tyran”, ponieważ meldunek musiałby zawierać informację o pozostałych okrętach. Tierce miał rację - Nowa Republika zdecydowała się zaryzykować samobójczy atak, byle tylko zdobyć listę dotyczącą Caamas. A oni nie dość, że mieli przygotowaną pułapkę, to jeszcze gościli jedną z przywódczyń Mistryl, która osobiście oceni siłę i możliwości Imperium. Prawdziwy Thrawn nie zaaranżowałby tego lepiej.

- Proszę przekazać generałowi Hestivowi, żeby wpuścił nadlatujący okręt za linię zewnętrznych umocnień - polecił Thrawn. -I przygotował wszystkie stanowiska obronne do odparcia nieprzyjacielskiego ataku. - Tak jest, sir.

- A pan, kapitanie, przygotuje okręt do walki - dodał Thrawn. -Proszę śledzić nadlatującą jednostkę, wyznaczyć jej kurs i zająć pozycję między nią a bazą. Kiedy przybysz znajdzie się na terenie bazy, proszę przekazać generałowi Hestivowi rozkaz namierzenia go przez wszystkie wewnętrzne stanowiska ogniowe.

- Tak jest, sir - powtórzył ze zdumieniem w głosie Dorja. -Przyjdzie pan na mostek, sir?

- Naturalnie - Thrawn wstał i z lekkim uśmiechem wskazał D'asimie i D'ulin drzwi. - A raczej wszyscy tam przyjdziemy.

Drzemiącego przed komputerem Ghenta obudził nagły hałas. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że po pierwsze nadal jest sam, a po drugie to, co wyje, to jakiś rodzaj alarmu. Pobieżne sprawdzenie pomieszczenia nie ujawniło jego źródła, czyli coś musiało się drzeć gdzieś na stacji. Dokładniejsze poszukiwania ujawniły wyłącznik umieszczony koło pokręteł regulacyjnych klimatyzacji, toteż wyłączył wyjca i odetchnął z ulgą. Przez moment zastanawiał się, czy by się nie włamać do głównego komputera i nie sprawdzić, o co chodzi, ale stwierdził, że szkoda czasu - cokolwiek się działo, i tak nie miało najprawdopodobniej żadnego związku z jego osobą.

Zdążył właśnie dojść do tego budującego wniosku, kiedy zauważył dziwne migotanie ekranu, na który spoglądał, a po paru sekundach olśniło go, że są to refleksy czegoś, co widać przez okno sypialni, do której musiał zostawić otwarte drzwi. Rad nierad wstał i skrzywił się, gdy kolana poinformowały go boleśnie, że znów za długo siedział. Pokuśtykał do sypialni i wyjrzał na zewnątrz.

Nie musiał długo szukać - źródłem migotań była imponująca wymiana ognia, głównie z turbolaserów i eksplozji protonowych, dochodząca z rejonu zewnętrznych umocnień bazy. A oświetlony tą wielobarwną iluminacją imperialny niszczyciel znajdował się znacznie bliżej i leciał prosto na niego.

Ghent jęknął, przypominając sobie wszystkie, dotąd traktowane jako teoretyczne, informacje Pellaeona i Hestiva o niebezpieczeństwie i zagrożeniach. Instynkt i rozsądek nakazywały mu uciekać i gdzieś się ukryć, ale przypomniał sobie ostrzeżenie Hestiva o szpiegach w bazie, a poza tym

wiedział, że nie zdąży. Własnoręcznie pozakładał na zamek zewnętrznych drzwi prowadzących do służby takie zabezpieczenia, że sforsowanie ich każdemu zajęłoby parę godzin. A on sam potrzebował 30 najmniej kwadransów, by je zdjąć. Dzięki temu, że był tak dobrym programistą, zamknął się niejako na własną prośbę.

Z czysto teoretycznym zainteresowaniem przyjrzał się nadlatującemu okrętowi, zastanawiając się, to z nim zrobią, jak go dostaną. Następnie westchnął i wrócił do pracy - tkwił w pułapce i nic na to nie mógł poradzić, postanowił zatem po prostu kontynuować swoje zadanie.

Zamknął drzwi i siadł do klawiatury - Wickstrom K 220 zakończył już analizy, które mu zaprogramował, przesłał więc wyniki do Masterline'a-70, a potem przestał zwracać uwagę na to, co się dzieje na zewnątrz.

Navett stracił pół godziny na znalezienie i kupienie ciśnieniowego zbiornika łatwopalnego płynu, a dodatkowy kwadrans na podłączenie do niego urządzenia rozpylającego. Przez te czterdzieści pięć minut zapewne odkryto zwłoki techników i najprawdopodobniej ogłoszono alarm w całym mieście, co mu akurat nie przeszkadzało. Parszywe futerkowce nie były w stanie go powstrzymać, a im dłużej trwały przygotowania, tym więcej czasu mieli Klif i pozostali na dostanie się na pokład krążownika i na realizację drugiej części planu.

Planu, który zakończy się ich śmiercią, ale z tego zdawali sobie sprawę. On sam zresztą także zginie, tyle że tu, na powierzchni planety. Chodziło tylko o to, żeby przed śmiercią zrealizować plan do końca.

Ulice wokół lokalu Ho'Dina, nocą puste i wyludnione, wczesnym popołudniem wypełniały tłumy, toteż prowadził swój śmigacz powoli i ostrożnie. Na przednim siedzeniu ustawił zbiornik z płynem, wysunął przez okno dyszę rozpylacza i systematycznie polał tył i boczne ściany budynku oraz ziemię wokół nich solidną warstwą mieszkanki. Ściana frontowa wychodziła na ulicę, więc wołał nie ryzykować wzbudzenia natychmiastowych podejrzeń -i tak miał wobec tego rejonu inne zamiary. Wrócił na zaplecze, upewnił się, że nikt go nie widzi i strzelił z blastera w przesiąkniętą płynem ziemię.

Kiedy bez specjalnego pośpiechu objechał okolicę i wydostał się na główną ulicę, z której wchodziło się do lokalu, ogień płonął już wzdłuż trzech zewnętrznych ścian, wywołując niezbędną do realizacji dalszego planu panikę. Osłonięty przez miotających się w popłochu przechodniów, z których część uciekała z wrzaskiem, a część zbijała się w grupy z fascynacją obserwując płomienie, zaparkował po drugiej stronie ulicy, na wprost wejścia, i czekał. W nightstingerze zostało jeszcze energii na trzy strzały, wziął go więc z tylnego siedzenia i obserwował, jak z lokalu wydostaje się najpierw dym, potem goście, a na końcu obsługa.

Nie musiał długo czekać - ledwie skończył się exodus z lokalu, przy narożniku gwałtownie zahamował biały śmigacz strażaków. Przez boczne okienko Navett obserwował gorączkową wymianę poglądów między kierowcą a operatorem, po której ten ostatni wysiadł z kabiny i zaczął

wspinać się po drabince do wieżyczki z armatką ciśnieniową.

Nie miał prawa do niej dotrzeć i nie dotarł - Navett oparł karabin o zagłówek fotela, na co nikt w zamieszaniu nie zwracał uwagi, jako że wszyscy przyglądali się pożarowi, wycelował i nacisnął spust. Strażak zważył się na ziemię, a po sekundzie równie martwy kierowca osunął się na siedzenie. Trzeci i ostatni strzał rozbił zawór zbiornika z mieszanką do gaszenia, rozlewając ją bezużytecznie po ulicy. Ze zdziwieniem stwierdził, że nikt nie zwrócił na niego uwagi - bo wprawdzie strzały były niewidoczne, ale strzelec i broń jak najbardziej. Pożar okazał się jednak ciekawszy, podobnie jak dziwne zasłabnięcie obu strażaków.

Navett odłożył bezużyteczny już karabin snajperski na podłogę za przednimi fotelami, wyjął z podramiennej kabury blaster, położył go na fotelu obok zbiornika z płynem i powoli ruszył przez tłum, kierując się ku wejściu do lokalu. Zdołał się przebić przez prawie połowę ulicy, zanim ktoś go zauważył i krzykiem zaalarmował pozostałych. Przed maskę wyskoczył policjant w zielonożółtym mundurze, próbując go zatrzymać. Navett złapał blaster, zastrzelił go i dał pełen ciąg. Ktoś za nim wrzeszczał rozpaczliwie, gdy wparł się stopami w podłogę... i uderzył w drzwi lokalu, demolując i blokując pojazdem wejście.

Zanim szczątki skończyły bębnić o dach, wyskoczył z maszyny, złapał klatkę z mawkrenami i pobiegł ku drzwiom do piwnicy. Drogę znał na pamięć, toteż dym niezbyt mu przeszkadzał. Dotarł do połowy schodów, gdy na górze rozległa się eksplozja - gorąco spowodowało wybuch resztek płynu w zbiorniku znajdującym się na przednim fotelu śmigacza. Teraz płonęły już wszystkie ściany, odcinając jakąkolwiek możliwość dostania się do wnętrza. A jemu jakąkolwiek możliwość wydostania się, ale nie to było ważne. Teraz nikt już nie mógł go powstrzymać.

W piwnicy snuł się ledwie ślad dymu - zapowiedź tego, co nastąpi. Sprzęt stał tam, gdzie go zostawili, ale na wszelki wypadek sprawdził dezintegrator. I dobrze zrobił jego przeciwniczka zdążyła bowiem i tu się zjawić, i tak pomajstrowała przy urządzeniu, żeby już po parunastu sekundach pracy przegrzało się i przepaliło główne uzwojenie kontrolne. Klnąc pod nosem zlikwidował efekty jej radosnej twórczości i przekonfigurował całość tak, by promień dezintegrujący ogniskował się o parę centymetrów przed lejkiem, do którego zwykle wsypywano rzeczy przeznaczone do zniszczenia. W końcu był gotów. Przypiął sobie do pleców klatkę i wskoczył do wykopu. Promień dezintegratora ciął ziemię niczym laser topiący śnieg, powodując tylko jedną nieprzewidzianą niedogodność - wszechogarniającą chmurę pyłu. Ponieważ nie miał maski, pozostało mu jedynie zmrużyć oczy i jak najszybciej skończyć. Pewną rozrywkę stanowiło zgadywanie, co też porabiają Bothanie, słysząc wszelkie możliwe alarmy, jakie przed chwilą uruchomił. Doszedł do wniosku, że miotają się bez sensu i w żaden sposób nie mogą dotrzeć do źródła całego zamieszania. Część się pewnie zresztą nie miotała - siedzieli wygodnie i śmiali się z durnego człowieka, który myślał, że przerywając linię przesyłową ode-tnie generator od źródła zasilania, podczas gdy miał on zapasowe - własne. Zbyt długo nie będą się śmiali.

W ciągu paru minut dotarł do opancerzonego tunelu, w którym biegła linia przesyłowa i stracił dobre dziesięć minut na przedostanie się przez jego ścianę. Dalej poszło już błyskawicznie - w końcu były to normalne kable przesyłowe i miały wytrzymać jedynie wielkie dawki energii elektrycznej. Kiedy wyciął wystarczająco duży otwór, żeby się w nim zmieścić, wyłączył dezintegrator, a uruchomił

wbudowany w jego dno system chłodzący, rozpryskujący wokół chłodziwo. Po paru minutach systematycznego spryskiwania wszystko wokół wróciło do normalnej temperatury, czyli mógł dotknąć krawędzi świeżo wyciętych otworów bez ryzyka oparzenia się. Wyłączył spryskiwacz, siadł przy otworze... i w nagłej ciszy usłyszał popiskiwanie komlinku. Dochodzące od strony dezintegratora.

Obejrzał go dokładnie i we wlewie do pojemnika z chłodziwem odkrył znajome urządzenie. Wyjął je, uśmiechając się lekko, i włączył.

- Witaj - odezwał się pogodnie. - Zadowolona z rozwoju wydarzeń?

- Co ty wyprawiasz?!

Navett uśmiechnął się znacznie szerzej, przypiął urządzenie do kołnierza i otworzył podwójne dno klatki, wyciągając zarazem tubkę z pastą żywieniową.

- O co chodzi - spytał. - Zaskoczyłem cię czymś? Numer z dymem w sklepie był naprawdę dobry, moje uznanie. Bombka z opóźnionym zapłonem zostawiona w czasie nocnej wizyty, tak?

- Owszem. Doszłam do wniosku, że to, co naprawdę ważne, trzymacie albo w mieszkaniach na górze, albo w schowkach w ścianach czy w szafie.

- Więc pomyślałaś sobie, że otworzą ci je strażacy, bez wysiłku i ryzyka z twojej strony - wyjął z klatki pierwszą jaszczurkę, kapnął jej kroplę pasty na czubek nosa i ustawił w wyciętym otworze łbem w stronę generatora. - Sprytne.

- Słuchaj no, na pogawędki będzie czas później. Chyba nie zauważyłaś, że coś ci się pali nad głową, i to całkiem solidnie.

- Wiem - dotknięciem uruchomił zapalnik zbliżeniowy i zajął się następnym mawkrenem.

Pierwszy zniknął między kablami i przewodami, idąc śladem zapachu jedzenia, ponieważ był zbyt głupi, żeby się zorientować, że źródło tego zapachu ma na końcu nosa.

- Co to znaczy „wiem”? Jeśli nie zrobisz czegoś naprawdę cwanego, i to zaraz, niebawem zginiesz. To też wiesz, panie spryciarzu?

- Każdy kiedyś umrze - przypomniał jej, sięgając po następną jaszczurkę.

Od strony generatora rozległ się w tunelu przytłumiony odgłos niewielkiej eksplozji.

- Co to było?! - musiał przyznać, że baba ma dobry słuch.

- Śmierć Bothawui - odparł, puszczając kolejną jaszczurkę.

Rozległ się drugi słaby wybuch, a w piwnicy zaczęło śmierdzieć dymem.

- Wiesz, nigdy nie odkryliśmy, jak się nazywasz - powiedział, zajmując się następnym mawkrenem.

Jeśli nie zdążą przebić się przez ścianę, zanim dotrze do niego dym albo płomień, może jeszcze przegrać...

Zwiększył, na ile zdołał, tempo wysyłania żywych bomb. Ładunki nie były wielkie, ale silne, a zapalnik zbliżeniowy został nastawiony na konkretny materiał, z którego zrobiono pancerną ścianę budynku mieszczącego generator. Serie minieksplozji w tym samym miejscu powinny naruszyć jej strukturę szybciej niż jeden duży wybuch. - To jak ono brzmi? - spytał, puszczając kolejną jaszczurkę. - Zdradź mi swoje, to się zrewanżuję.

- Przykro mi, ale moje nazwisko może się jeszcze przydać, mimo że mnie już nie będzie.

Rozległa się kolejna eksplozja, po niej następna... i poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza - ściana, wraz z przewodami została wysadzona i droga do generatora stała przed nim otworem. - Posłuchaj agencie...

- Koniec rozmowy. Miłego robienia za ruchomy cel.

Wyłączył i odrzucił komlink, złapał klatkę i wytrząsnął z niej resztę mawkrenów. Przez moment kręciły się wokół jego stóp, chwytając równowagę i zawzięcie węsząc, po czym niby żywa fala ruszyły śladami poprzedników. Teraz wabiła je nie pasta na końcach nosów, ale plamy pożywienia, które obaj z Klifem starannie rozmieścili trzy dni temu w najważniejszych urządzeniach, zmieszane z pyłem zabijającym metalmity. Z podwójnego dna klatki wyjął nadajnik uaktywniający pozostałe zapalniki i oparł się o ścianę. Za kilkanaście sekund mawkreny dotrą do wnętrza budynku i na oczach zaskoczonych Bothan pobiegną ku różnym miejscom. Wysłał sygnał i czekał.

W odpowiedzi rozległa się seria nieregularnych eksplozji, których z każdą chwilą przybywało, gdy poszczególne mawkreny docierały w pobliże czegoś, co uruchamiało zapalniki, tym razem nie nastawione na żaden konkretny rodzaj materiału. Jeszcze parę sekund, w najgorszym wypadku minut, i pole osłaniające Drev'starn zniknie, a wraz z nim zniknie spójność planetarnego pola siłowego otaczającego Bothawui.

A zagłada planety zapoczątkuje upadek Nowej Republiki.

Navett żałował jedynie, że tego nie zobaczy.

Z góry dobiegł huk płomieni, z tunelu staccato eksplozji. Uśmiechnął się, usadowił jak najwygodniej i czekał na nieuchronny koniec.

Na „Dominacji” rozpoczęto właśnie czwartą rundę rozmów, gdy nagle pokład zadrżał pod nogami zebranych. Dźwięk i wrażenie były Leii aż za dobrze znane - właśnie wystrzelono salwę z baterii turbolaserów.

Kapitan dopadł interkomu, zanim jeszcze ustały drgania. - Kto strzela? - warknął wściekle.

Odpowiedzi udzielono po ithoriańsku, którego Leia nie знаła, podobnie zresztą jak Gavrisom.

- Co się dzieje?! - zaniepokoił się ten ostatni. - Zgodziliście się nie rozpoczynać żadnych działań, dopóki nie...

- To nie my! - warknął kapitan, rzucając się ku drzwiom. - Obcy przejęli kontrolę nad jedną z naszych baterii i ostrzeliwiają powierzchnię planety! - Co?! - Gavrisom zamrugał gwałtownie. - Jak...?

Ale kapitana i stojącego dotąd przy drzwiach wartownika już nie było.

- Leia... - Gavrisom przerwał, bo pokład znowu zadrżał. - Co tu się dzieje?!

- Nie wiem... - potrząsnęła głową i nagle drgnęła, wciągając głęboko powietrze. Poczła falę strachu, bólu i śmierci, nie tak silną, jak parę lat temu, ale znacznie bliższą, ponieważ pochodzącą z Bothawui. I wiedziała, co to oznacza.

- Planetarne pole przestało działać - oświadczyła, zrywając się i podbiegając do okna.

Dotarła tam, kiedy trzecia salwa przemknęła błyskiem przez atmosferę i zostawiła na powierzchni czerwony krąg o czarnych brzegach. Drev'starn, stolica Bothawui, stało w ogniu.

- Zgadza się - powiedziała ponuro i ruszyła ku drzwiom. -Przynajmniej nad Drev'starn nie ma już tarczy. - Gdzie idziesz? - zawołał Gavrisom.

- Spróbuję przerwać ostrzał - odparła już w drzwiach.

Korytarzem przebiegło kilkunastu Ishori w pancernych skafandrach. Każdy trzymał karabin blasterowy.

- Lady Vader...? - spytał Sakhisakh, przytulony wraz z towarzyszem do ściany, żeby nie stać na drodze.

- Chodźcie! - poleciała, odczepiając od pasa miecz świetlny i sięgając po Moc.

Han wpadł biegiem do kabiny i wyhamował na oparciu fotela.



- Gdzie? - warknął, wskakując na miejsce pierwszego pilota.

- Tam - Elegos wskazał na znajdujący się około dwóch kilometrów od nich krążownik. - Nie wiem, czyj to okręt, ale...

Przerwał mu kolejny rozbłysk - czerwone smugi wyładowań z turbolasera pomknęły ku planecie. - Widziałeś? - spytał niepotrzebnie.

- Widziałem - zgrzytnął zębami Han, uruchamiając awaryjne odpalenie silników. Elegos miał prawo nie wiedzieć, ale on doskonale orientował się, kto strzelał - flagowiec Ishori „Dominacja”, na pokładzie którego przebywała Lei a. Kolejna salwa rozjaśniła mrok przestrzeni.

- Wiesz, jak zwalniać kołnierz cumujący? - spytał Han przez ramię. - Tak sądzę...

- To zwolnij! Już! - Według rozkazu. - Elegos wstał i wyszedł.

Silniki zaczęły reagować na polecenia, więc Han przełączył moduł łączności, sprawdzając całe pasmo. Niezależnie od pobudek kierujących postępowaniem Ishori, konsekwencje na pewno będą poważne. Synchronizacja stabilizatora, który właśnie skończył naprawiać, wyglądała na zgodną, ale musiał poczekać na zakończenie autosprawdzenia całego systemu...

- Tu prezydent Nowej Republiki Gavrisom do wszystkich okrętów krążących wokół Bothawui - rozległo się z głośnika. - Pozostańcie na pozycjach i nie otwierajcie ognia! Powtarzam: proszę pozostać na pozycjach i nie strzelać. Ten wypadek nie jest winą...

Nie zdążył dokończyć, gdy w głośniku zawyło zagłuszanie, przez które przebił się nowy głos:

- Atak! Wszystkie jednostki koreliańskie, atakować cele według uznania!

Han oniemiały wpatrywał się w głośnik. Nim zdążył zareagować, rozległ się nowy, gardłowy głos na innej częstotliwości, którą wyłapał autoskaner.

- Atakować! Wszystkie okręty kalamariańskie, możecie atakować!

- Do ataku! - oznajmił spokojnie po diamalańsku kolejny głos na jeszcze innej częstotliwości. - Do ataku! - zawył w odpowiedzi jakiś Ishori.

Han spojrział za okno, czując serce w gardle i przez moment mając nadzieję, że to, czego się obawia, jednak nie nastąpi. Nastąpiło.

Wszędzie wokół widział ożywające okręty -jedne manewrowały, żeby zająć lepszą pozycję do strzału, inne tylko zmieniały ustawienie broni i od razu celowały. A po chwili przestrzeń przecięły pierwsze wiązki ognia laserowego i eksplodowały pierwsze torpedy.

- Odcumowaliśmy! - oznajmił zdyszany Elegos, siadając w fotelu drugiego pilota. - Możemy... Co się stało?... Han, co się dzieje?

- Dokładnie to, na co wygląda - odparł ponuro Han. - W Nowej Republice wybuchła wojna domowa.

# R O Z D Z I A Ł 3 7

Podróż zajęła im nieco ponad piętnaście minut, ale Qom Qae okrążyli w tym czasie Rękę Thrawna i część wspomnianego przez Dziecko Wiatrów jeziora. Z początku Luke dość sceptycznie odnosił się do całego pomysłu, uważając, że młodzi ochotnicy nie zdołają ich unieść, nie wspominając już o utrzymaniu się poza zasięgiem ostrzału czy też obserwacji załogi twierdzy, którą chwilowo bez dwóch zdań należało uznać za wroga...

Qom Qae zaskoczyli go podwójnie - nie dość, że unieśli ich bez trudu, to jeszcze przez cały czas pozostali niewidoczni dla załogi twierdzy, doskonale wykorzystując wszystkie możliwe osłony terenowe. Mógł się spokojnie odprężyć i skupić na ciągu dalszym zadania; czuł zresztą, że Mara tak właśnie zrobiła. Nie udało się to tylko Artoo. Mimo uplecionej z resztek liny uprzęży, w której odbywał swój lot, całą drogę popiskiwał i pojękiwał na zmianę.

Skalna półka, na której zostali postawieni, znajdowała się nie dalej niż dziesięć metrów od brzegu i wpadała pod stromym kątem pod porośniętą trawą nawis. - Nie ma ostrych krawędzi - oceniła Mara. - Pewnie wypolerowały ją przez lata całe pokolenia tych robali. Artoo zatrzęsł się i ćwierknął niepewnie.

- Wątpię, żebyśmy teraz na nie trafili - uspokoił go Luke, rozwiązując improwizowaną uprzęż. - Roje tej wielkości nie mogą się przemieszczać tą samą trasą w krótkich odstępach czasu, bo nie znalazłyby wystarczającej ilości pożywienia. - My to wiemy, ale problem w tym, czy ogniaki także - skomentowała Mara.

„Mieście szczęście, że przylecieliście o tej porze: ostatnio wiele padało i Jezioro Rybek rośnie”, oświadczył Dziecko Wiatrów. - A rybki też rosną? - zainteresowała się Mara.

„Nie wiem”, przyznał, ruszając nerwowo skrzydłami. „To ważne?”

- To był żart - potrząsnęła głową. - Nieważne.

„Och”, Dziecko Wiatrów spojrzał na Luke'a. „Chodziło mi tylko o to, że wkrótce wejście znajdzie się pod wodą”.

- Rozumiem. Ale jeszcze nie jest i dostarczyliście nas tu bezpiecznie.

„To dla nas wielki zaszczyt. Co chcesz, żebyśmy teraz zrobili?”

- Dokonaliście już wiele - zapewnił go Luke. - Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim.

„Mamy na was poczekać?”, Dziecko Wiatrów łątwo nie rezygnował. „Będziemy zaszczyceni, mogąc poczekać i dostarczyć was z powrotem do latającej maszyny”. Luke zawahał się - propozycja była kusząca, gdyby nie jeden drobiazg...

- Problem w tym, że nie wiemy, w którym miejscu wyjdziemy - przyznał.

„Będziemy was obserwowali”, zapewnił go Dziecko Wiatrów. „Inni też będą”. - W takim razie zgoda - ustąpił Luke, nie chcąc go zrażać. -Dzięki. - Jaki mamy porządek marszu? - spytała Mara.

- Ja idę pierwszy - Luke usiadł na skraju pochyłości. - Artoo następny, a ty na końcu. Postaram się usunąć przeszkody i poszerzyć przejście, ale gdybym coś pominął, zajmiesz się tym.

- Dobra. - Mara odpięła miecz od pasa. - Udanego lądowania i nie utnij sobie czegoś po drodze.

- Dzięki za troskliwość. - Luke uaktywnił swój miecz i zsunął się w dół.

Nie było aż tak źle, jak się spodziewał - skała rzeczywiście była dokładnie wygładzona, przypominała wręcz zjeżdżalnię. Większość przeszkód terenowych również została zeszlifowana przez pokolenia owadzych nóg i tylko dwukrotnie musiał używać miecza do poszerzenia przejścia, przy czym raz chyba niepotrzebnie, ale wolał nie ryzykować. Z tyłu słyszał metaliczne pobrząkiwanie, a czasami łomot, gdy Artoo miał bliskie spotkanie ze ścianą. Odgłosy te prawie, ale nie całkowicie, zagłuszały jego pojękujące ćwierkanie.

Pochylnia zakończyła się tunelem - takim samym jak te, którymi poprzednio szli do twierdzy, toteż mógł spokojnie wstać i złapać Artoo, żeby dać Marze wolne miejsce do lądowania.

- No i wróciliśmy pod ziemię, choć okolica nie wygląda znajomo - oceniła, oświetlając tunel. - Jak sądzisz, w którą stronę?

- Biorąc pod uwagę usytuowanie fortecy, wydaje mi się, że w lewo. - Zatem chodźmy.

Qom Qae albo przypadkowo, albo specjalnie dobrze wybrali sobie wlot - po mniej niż stu metrach, za łagodnym zakrętem, znajdował się znajomo wyglądający, naturalny portal z kamienia.

- Uważaj - szepnął Luke. - Jeśli wiedzą o schodach, to powinni tam na nas czekać. Nikt na nich nie czekał.

Kwadrans później, po przepchnięciu się przez zawierającą cortosis skałę, stanęli w podziemnej sali.

- Chyba nie odkryli schodów - skomentowała Mara.

- Albo sposobu przedostania się do nich. Cały mechanizm, łącznie z blokadami wyglądał na wykonany z tego czarnego kamienia.

- To znaczy, że powinniśmy mieć spokój - uznała. - Ciekawe, ile linii przesyłowych działa w tej chwili?

- Na pewno więcej niż wtedy, gdy je spostrzegliśmy - odparł Luke, oświetlając przeciwległy kraniec pomieszczenia, a raczej próbując to zrobić, ponieważ okazało się zbyt duże. - Zastanawiam się, jak długa jest ta sala?

Na pewno nie przesadnie. I gdzieś tu jest jezioro, pamiętasz.

- Fakt. Masz jakieś genialne rady, zanim zaczniemy?

- Tylko takie, że musimy uważać i jak najdłużej iść obok siebie. Artoo jedzie za nami; jeśli się zrobi zbyt ciasno, zastanowimy się.

- Chodząca praktyczność - uśmiechnął się Luke, badając drogę Mocą i nie wyczuwając żadnego zagrożenia. - Chodź, Artoo.

Okazało się, że Mara miała rację co do rozmiarów pomieszczenia - już po kilku krokach tylna ściana znalazła się w zasięgu światła rzucanego przez ich pręty oświetleniowe. W jego centrum widać było ciemny otwór prowadzący dalej w głąb skalnego labiryntu. Jednak ten tunel różnił się od poprzednich - gdy podeszli bliżej, okazało się, że dalej ściany i podłoga zostały starannie wygładzone i wykończone.

- Interesujące - oceniła Mara, nie wchodząc jednak do wnętrza. - Zwróciłeś uwagę na sufit? - Nie został obrobiony.

- Ciekawe, dlaczego... Artoo, zarejestrowałeś coś niezwykłego?

Nieszczęśliwy Artoo ćwierknął przecząco. Luke pochylił się i odczytał dłuższą wypowiedź wyświetloną na ekranie przymocowanego do droida czytnika.

- Twierdzi, że ten generator, który jest gdzieś w pobliżu, wszystko maskuje. To pewnie źródło szumu, który tu słychać. Myślisz, że coś się czai pod sufitem? - Dotrzymujący Obietnic twierdził, że to śmiertelna pułapka dla Qom Jha - przypomniała. - Żaden stąd nie wrócił i nie wiadomo, co się z nimi stało. A oboje wiemy, jak lubią zwisać z sufitu.

- Dodaj do tego jaskinię zamieszkaną przez drapieżniki żywiące się istotami latającymi i fakt, że mieszkańcy fortecy uważają Qom Jha za latające szkodniki i mamy właściwie pełen obraz. Tam coś powinno być.

- Nie wspominając o warstwie cortosisu, która, jak na mój gust, nie znalazła się tu w sposób naturalny - dodała. - To miejsce jest chronione nie gorzej niż pałac Imperatora.

- Czego należało się spodziewać, skoro wszystko organizował Thrawn. Pytanie tylko, czy próbujemy

zbadać ten sufit, czy zakładamy, że skoro nie jesteśmy Qom Jha, nic nam nie grozi.

- Zostawianie za plecami niebezpieczeństwa, zwłaszcza nieznanego, nie jest najlepszym pomysłem - oceniła, robiąc krok do przodu i uaktywniając miecz. - Zaraz zobaczymy... I pomagając sobie Mocą rzuciła broń w sufit.

Coś zaiskrzyło, błysnęło i dał się wyczuć specyficzny zapaszek towarzyszący silnemu wyładowaniu elektrycznemu... A w następnej chwili cały sufit zawalił się bez jednego dźwięku.

Mara odskoczyła za portal, Luke na wszelki wypadek ciął płasko nad jej głową i przez moment fragment sufitu oplątywał zielonkawe ostrze, zanim, rozcięty, opadł w ślad za resztą na podłogę.

- Cwaniaki - przyznała z podziwem Mara. - Rzeźbiona sieć Connera. Nie sądziłam, że można ją tak artystycznie zamaskować... Qom Jha zaczepia się o jakiś występ, żeby wyładować, zostaje porażony silnym ładunkiem, który go spala, a sieć spada, załatwiając po drodze jego towarzyszy, jeśli takich miał.

- Rzeczywiście sprytne - mruknął Luke i trącił sieć czubkiem ostrza. - Myślisz, że możemy teraz bezpiecznie po niej przejść?

- Najprawdopodobniej tak, to zwykle jednorazowe urządzenia, wymagające czasu, zanim się ponownie naładują. A poza tym coś, co leży na całej podłodze i może użytkownika kopnąć prądem, jest raczej mało praktyczne, zwłaszcza jeśli trzeba to ponownie jakoś podwiesić pod sufitem.

- Sensowne - zgodził się Luke i nadal sondując Mocą ostrożnie postawił nogę na sieci... nic się nie stało i nie wyczuł żadnego zagrożenia. - Możemy iść?

- Czekaj! - syknęła Mara, stając obok z miotaczem w lewej i nieaktywnym mieczem w prawej dłoni.  
- Coś się rusza.

Znieruchomiał i wyteżył słuch - rzeczywiście, coś drobnego dreptało po skale, a raczej większa liczba „cosiów”.

Oświetlił podłogę i dostrzegł, jak z licznych wąskich otworów w ścianach, których wcześniej nie zauważył, wyraja się spora liczba insektoidalnych stworzeń wielkości pięści, kierujących się ku nim.

- Uważaj! - Mara wycelowała w najbliższego.

- Poczekaj - Luke odsunął jej ramię, widząc błysk metalu. - Nie strzelaj, tylko chodź. Ty też, Artoo.

Czuł, że Mara się z nim nie zgadza, ale wykonała polecenie bez dyskusji. Stworek minął ich obojętnie, zupełnie jakby ich nie zauważył. Luke przyspieszył kroku, dotarł do końca sieci i przystanął na kamiennej posadzce. Mara i Artoo zrobili podobnie, po czym wszyscy spojrzeli do tyłu.

Stworki zgrupowały się wzdłuż brzegu sieci i zaczęły ją unosić, wdrapując się po ścianach.

- Oczywiście! - prychnęła Mara, zła na samą siebie. - Droidy techniczne. Przepraszam, chyba mnie trochę poniosło...

- Biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z pomysłami Thrawna, może nam to wejść w nałóg - ocenił Luke.

- Serdeczne dzięki za wsparcie moralne i lekcję - schowała miotacz do kabury. - Postaram się zapamiętać. Idziemy dalej?

- O czym, na Vadera, pan bredzi?! - zdenerwował się Nalgol, mrugając gwałtownie, żeby się obudzić i odruchowo łapiąc mundur. - Jak to, zaczęli do siebie strzelać?! Trzy dni przed czasem?!

- Nie wiem, sir - oficer dyżurny nocnej wachty wyprężył się jeszcze bardziej. - Ja tylko odbieram meldunki zwiadowców, a ostatni donosił o rozpoczęciu strzelaniny i o tym, że tarcza siłowa nad stolicą planety przestała istnieć. Wprawdzie z tej odległości trudno ocenić, ale chyba Drev'starn zostało kilka razy trafione i płonie...

Nalgol zaklął soczyście. Ktoś tu coś spieprzył, i to solidnie. Albo grupa dywersyjna wywiadu... Albo Thrawn.

Co było szokującą możliwością-jeśli zgranie czasowe Thrawna mogło zawierać tak duży błąd...

Potrząsnął głową- co się stało, to się nie odstanie, a świadomość, kto popełnił błąd, w niczym nie pomoże ani jemu, ani okrętowi. Musiał jedynie dopilnować, żeby nie powiększono tego błędu.

- „Eliminator” i „Żelazna Ręka” zostały poinformowane? - spytał, wciągając buty. - Tak jest, panie kapitanie. Zwiadowcy meldują, że ogłoszono na nich alarm bojowy.

- Proszę dopilnować, żebyśmy byli gotowi do walki szybciej niż reszta.

- Tak jest, sir. Powinniśmy osiągnąć pełną gotowość za pięć minut. Jednostki zwiadowcze dostarczają nam informacji na bieżąco, sir.

- To dobrze - mruknął Nalgol, oceniając na spokojnie informację: w sumie sytuacja wcale nie wyglądała tak źle, jak się wydawało w pierwszym momencie. Owszem, bitwa rozpoczęła się o dwa i pół dnia za wcześnie, ale jego trzy niszczyciele były gotowe, a pole siłowe Bothan zostało uszkodzone zgodnie z planem. Cała reszta planu nie straciła zatem aktualności - należało tylko trochę poczekać, a potem wykończyć niedobitki i samą planetę.

Ale żeby wiedzieć, kiedy to nastąpi, musiał mieć bieżące informacje o przebiegu walki, co wiązało

się z pewnym ryzykiem: częste pojawianie się i znikanie jego jednostek zwiadowczych w okolicach komety mogło zwrócić czyjąś uwagę i skłonić kogoś do zainteresowania się całą sprawą. Należało temu zapobiec zawczasu.

- Proszę obsadzić wszystkie stanowiska promieni ściągających - polecił. - Jeżeli jakakolwiek jednostka, oprócz naszych zwiadowców, znajdzie się wewnątrz pola, ma natychmiast zostać unieruchomiona i zagłuszona. Obojętne, jaka by to była jednostka. Proszę przekazać ten rozkaz pozostałym okrętom: nikt nie może nas odkryć i zawiadomić o tym pozostałych. Zrozumiał pan, poruczniku? - Zrozumiałem, panie kapitanie.

- Będę na mostku za dwie minuty - oznajmił Nalgol, dopinając pas. - I chcę, żeby okręt znalazł się do tej pory w stanie pełnej gotowości bojowej. - Tak jest, sir!

Nalgol wyłączył interkom i wyszedł z kabiny. Pięknie - banda obcych i ich miłośników nie potrafiła zapanować nad sobą tak długo, jak się spodziewał Thrawn. Ale za to jego załoga o parę dni wcześniej przestanie się nudzić, a co ważniejsze, szybciej rozładuje napięcie w walce. Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, równym krokiem zbliżając się do windy. To będzie czysta przyjemność.

Czerwona wiązka energii przemknęła niebezpiecznie blisko prawej burty „Sokoła Millenium” zmierzając ku fregacie eskortowej noszącej oznaczenia Proselee. Han położył statek w gwałtowny skręt, aby uniknąć drugiej salwy i ledwie zdołał zejść z kursu pary bagmimskich patrolowców lecących ku fregacie i obłądnie strzelających z dział laserowych.

Wszechświat oszalał, a on tkwił w samym środku tego wariactwa.

- Co tam się w ogóle stało? - spytał, przemykając między parą opquińskich kanonierek.

- Według Ishori pół godziny temu na pokład krążownika weszło trzech ludzi podających się za techników Nowej Republiki - odparła Leia, przekrzykując alarm wyjący w tle. - Mieli stosowne dokumenty oraz list od wysokiego confluxa Ishori zezwalający na skontrolowanie, czy przekładniki energetyczne turbolaserów nie uległy zbyt niemu utlenieniu.

- Wszystko naturalnie sfalszowane - dodał i odetchnął z ulgą, bo właśnie zdołał dotrzeć do nieostrzeliwanego fragmentu przestrzeni i rozejrzeć się w miarę spokojnie. Wyglądało to zupełnie jak Bitwa o Endor. Zjedną różnicą - w tej nie brało udziału Imperium, a rebelianci strzelali do innych rebeliantów z uporem godnym lepszej sprawy.

- Teraz wiemy, że tak było - przyznała Leia. - Przy pierwszej okazji zabili eskortę i opanowali baterię turbolaserów, a gdy zniknęło pole nad Derv'starn, zaczęli strzelać. Oddali osiem salw, nim odcięto zasilanie do dział, a dotąd nie udało się odbić stanowiska kierowania ogniem, mimo że moi Noghri pomagają w ataku. Elegos wymruczał coś po caamasjańsku.

- Jakie są zniszczenia... nieważne! - Han poprawił sam siebie. - Co z tobą i z krążownikiem?



- Jesteśmy pod ostrzałem prowadzonym przez trzy okręty diamalańskie, z których jeden na wszelki wypadek ustawił się między nami a planetą. Na razie nikt jeszcze nie ma poważniejszych uszkodzeń, ale to tylko kwestia czasu. - Nie powiedzieliście im, co się stało?!

- Owszem, najpierw ja osobiście, potem Gawisom, a na koniec kapitan „Dominacji”, ale nie chcą słuchać.

- Albo uwierzyć... albo po prostu już ich to nie obchodzi -zgrzytnął zębami Han. - Posłuchaj, spróbuję się do was dostać. Zabrałbym wtedy ciebie, Noghri i Gavrisoma. - Nie próbuj! Proszę, trzymaj się z daleka od „Dominacji”, bo z pewnością nie dolecisz tu żywy!

Han przyjrzał się fragmentowi kotłującej się wokół bitwy i musiał przyznać jej rację. Nie miał wątpliwości, że takiej lawiny ognia turbolaserowego, jaką wymieniały te cztery okręty, „Sokół” w żaden sposób nie wytrzyma. Tylko że w sumie niewiele to zmieniało - nie mógł tak po prostu siedzieć bezczynnie i czekać, aż mu zabiją żonę. - Nie przesadzaj: walczyłem już zwycięsko z niszczycielami - zaprotestował.

- Nie walczyłeś, tylko uciekałeś, a tu zwrotność „Sokoła” na nic się nie przyda - poprawiła go. - Proszę cię, nie pró... W głośniku zawyło i zapadła cisza.

- Leia! - wrzasnął Han i niemal przywarł do okna: krążownik wyglądał na nie uszkodzony, ale wystarczyło jedno pechowe trafienie...

- Nic jej nie jest - Elegos wskazał konsolę łączności. - Zagłuszono ich.

Han wypuścił powietrze z płuc. Przedtem nawet nie zauważył, że wstrzymał oddech.

- Musimy coś zrobić! - oznajmił, rozglądając się w poszukiwaniu inspiracji. - Nie wiem jak, ale musimy ją zabrać z tego krążownika. ..

W głośniku coś zaświstało, zachrypiało i zaczęło trzeszczeć.

- Leia!? - zawołał, pochylając się odruchowo w stronę urządzenia.

- Solo? - rozległ się męski głos. - Tu Carib Devist. - Czego chcesz? Jesteśmy jakby trochę zajęci.

- Opowiadasz! - prychnął Carib. - A jak uważasz, czyja to wina?

- Trzech drani, którzy dostali się na „Dominację” i zaczęli strzelać. Prawdopodobnie agenci Imperium - warknął Han.

- Nie prawdopodobnie, ale na pewno - poprawił go Carib. -A inni sprowokowali tę zbieraninę do dalszego ciągu, nadając nagrane komendy do ataku w kilkunastu językach. Nie słyszałeś?

Han zaklął, zły na siebie, że przeoczył to oczywiste wytłumaczenie usłyszanych transmisji. Teraz stało się jasne, w jakim celu orbitowały wokół Bothawui te niewielkie imperialne jednostki, które wykrył Carib. Prowokacja, oczywista dla każdego, kto choć przez chwilę zastanowiłby się nad rozwojem wydarzeń. Problem polegał na tym, że nikt tego nie zrobił.

- Ale to może poczekać - dodał Carib. - Chcę cię ostrzec, że coś dziwnego dzieje się koło jądra komety.

- To znaczy? - Han powrócił myślami do Leii i do rozważań, jak ją uratować.

- Nie wiem. Kręci się tam z tuzin jednostek górniczych, ale wszystkie pilotują imperialni piloci myśliwscy.

- Że jak?! - zdziwił się Han, przytomniejąc. - Co Imperium ma wspólnego ze starymi rudowęglowcami?

- Nie wiem, co ma wspólnego, ale wiem, że wszystkie, co do jednego, pilotują imperialni myśliwcy.

- No dobra, nie będę się z tobą kłócił: wiesz lepiej. I co mam zrobić z tą rewelacją? - Zamierzamy to sprawdzić - w głosie Cariba słychać było coś na kształt niesmaku. - Sądziłem, że w tych okolicznościach uznasz temat za interesujący. Pomyliłem się, przepraszam, że ci zwracałem głowę. W głośniku kliknęło i zapadła cisza.

- Proszę uprzejmie - burknął Han, spoglądając na Elegosa. Po sekundzie przyjrzał mu się ponownie i warknął: - Czego? - Przecież nic nie mówiłem - Elegos uniósł dłonie.

- Dobra, dobra. Chcesz, żebym z nimi poleciał, tak? Zostawił Leię i poleciał szukać nie wiadomo kogo, nie wiadomo po co, tak?

- Możesz jej teraz pomóc? - spytał spokojnie Elegos. - Uwolnić ją, pokonać napastników czy spowodować przerwanie walki?

- Nie w tym rzecz. Dziewięć do dziesięciu, że ci górnicy faktycznie byli kiedyś pilotami myśliwskimi Imperium. Tysiące takich latają po całej galaktyce, a wielu nawet w siłach zbrojnych Nowej Republiki. To naprawdę nic nie znaczy.

- Być może. Musisz jednak wziąć pod uwagę całą resztę.

- Resztę czego?!

- Okoliczności - wyjaśnił cierpliwie Elegos. - Swoją znajomość Cariba i jego zdolności obserwacyjnych. Świadomość, że nie zdradził cię imperialnym, chociaż mógł. Własną znajomość zasad szkolenia pilotów, imperialnych procedur i zwyczajów. Prawdopodobieństwo, że ktoś taki jak on może rozpoznać pilota myśliwskiego po stylu latania. Zaufanie, jakim twoja żona darzy Cariba i

jej zdolności potwierdzające trafność wyboru. A przede wszystkim własne, wewnętrzne przekonanie, co jest słuszne. I zastanów się, czy jeśli rzeczywiście czai się tam jakieś niebezpieczeństwo, Carib sam sobie z nim poradzi. A także, czy powinieneś mu na to pozwolić.

- Nie jest sam. Ma ze sobą całą bandę pozostałych klonów. Elegos nie odezwał się.

Han westchnął i rozejrzał się - stary frachtowiec serii Action II wylatywał właśnie poza teren walki, kierując się ku głowie komety. Samotnie.

- Potraficie być gorsi od wrzodu na dupie, jeśli trochę nad tym popracujecie - poinformował Elegosa, zmieniając kurs i lecąc za Caribem, a potem przełączając nadajnik na częstotliwość komlinku. - Lando. Lando! Hej, obudź się!... Lando, żyjesz?! - O co chodzi, Han? - rozległ się w głośniku znajomy głos. - Wróciłeś już na „Ślicznotkę”?

- Chciałbym. Siedzę z Miatamią na „Przedsięwzięcie”.

- To jeden z okrętów atakujących Leię? - upewnił się Han.

- Jeśli jest na „Dominacji”, zgadza się - odparł z niesmakiem i nieco nerwowo Lando. - Słuchaj, trzeba tych durni jakoś powstrzymać, i to szybko.

- Masz całkowitą rację - przyznał Han. Ominął dwa patrolowce Frofli wymieniające salwy z d'fariańskim monitorem. - Gavrisom jest z Leią. Jeżeli przekonasz Miatamię, żeby wyłączył zagłuszanie, będą się mogli jakoś dogadać.

- Już próbowałem. Jestem ostatnią osobą, z którą ktokolwiek na pokładzie chce rozmawiać. O wysłuchaniu nie ma co marzyć.

- Znam ten ból. Słuchaj, lecę z Devistem do tej komety. Złap jakąś makrolornetkę i obserwuj nas na wypadek, gdybyśmy wpadli w kłopoty, dobra?

- Żaden problem - zapewnił go po krótkiej przerwie Lando. - A jakich problemów się spodziewasz?

- Żadnych, ale Carib twierdzi, że kręcą się tam imperialni myśliwcy pilotujący jednostki górnicze. Miej nas na oku raczej dla zasady. - Będę miał - obiecał Lando. - Powodzenia.

Han zakończył połączenie, ominął ostatnią walczącą grupę i skierował się prosto ku komecie.

- Lepiej się trzymaj - poradził Elegosowi, dając pełną moc. - Lecimy!

- Teraz uważaj - ostrzegł Boostera Bel Iblis. - Leć spokojnie i bez ekscesów. Jesteśmy wśród swoich, chronieni przez zewnętrzne umocnienia przed tymi paskudami z Nowej Republiki, czyli bezpieczni i nie powinniśmy sprawiać wrażenia, że gdzieś nam się spieszy.

-Wcale nie chcemy sprawiać wrażenia-warknął Booster, spoglądając na rosnącą przed dziobem bazę, przy której jego ukochany niszczyciel jakoś przestał wyglądać równie bezpiecznie i imponująco, jak zwykle.

- Spokojnie - odparł Garm beznamiętnym i denerwująco niewzruszonym tonem. - Przedstawienie rozgrywa się za nami, a ostatnią rzeczą, której byśmy sobie życzyli, jest zwrócenie na siebie uwagi.

Terrick skinął głową i odruchowo zerknął na ekran rufowy, na którym ścigające ich jednostki Nowej Republiki bezskutecznie szturmowały zewnętrzne umocnienia bazy Yaga Minor, solidnie przy tym obrywając. Przynajmniej w teorii. W praktyce bowiem trzymały się tuż poza zasięgiem skutecznego ognia z turbolaserów, strzelając jak najęte i robiąc ogólne zamieszanie, w którym obrońcy nie powinni zauważyć minimalnych strat.

- Nie podoba mi się to - stwierdził. - Słyszysz, Garm? Za łatwo nam poszło.

- Z prawej burty zbliża się niszczyciel klasy Imperial, panie generale! - zameldował nagle oficer obsługujący stanowisko sensorów szerokopasmowych.

Booster podszedł do prawej burty i wyrzwał, czując lodowatą kulę w żołądku. Zza osłony, jaką stanowiła bryła bazy, wysuwał się biały klin, prostopadle przecinający im kurs. Gdy znalazł się dokładnie przed dziobem „Błędnego Rycerza”, znieruchomiał. - To „Niezlomny”, sir - zameldował ktoś. - Dowodzony przez kapitana Dorję.

Przecucie Boostera zmieniło się w pewność - to właśnie ten okręt łączono we wszystkich pogłoskach z wielkim admirałem Thrawnem.

- I co? - mruknął cicho do Bel Iblisa, który też podszedł do burty.

- Wiem - spokój Garma nie był już tak doskonały, jak przed chwilą. - Ucieczką tylko potwierdzimy podejrzenia. Nie mamy wyjścia, gramy dalej...

- Transmisja z „Niezlomnego”, panie generale - zameldował oficer łączności. - Chcą rozmawiać z kapitanem Nalgolem. - Gramy dalej? - burknął Booster. - Tak - potwierdził ciężko Bel Iblis.

- Jasne - Booster odetchnął głęboko i dał znak oficerowi łącznościowemu. Ten włączył nadawanie i skinął potakująco.

- Mówi komandor Raymeuz, chwilowo dowodzący niszczycielem „Tyran” - oznajmił Booster oficjalnym tonem. - Kapitan Nalgol został poważnie ranny podczas ostatniego ataku i chwilowo nie może dowodzić.

Z głośników na mostku rozległ się basowy śmiech, a potem spokojny, kulturalny głos, który przestraszył Boostera jak niewiele dotąd rzeczy w galaktyce:

- Doprawdy? Mówi wielki admirał Thrawn. Muszę przyznać, że mnie pan rozczarował, generale Bel Iblis.

Terrick zerknął na Garma, który z kamienną twarzą przyglądał się blokującemu im drogę okrętowi.

- Kontynuowanie tej szarady naprawdę nie ma sensu - dodał Thrawn. - Ale może potrzebuje pan małej demonstracji.

Ktoś nagle wyszarpnął Boosterowi dywan spod nóg, a on sam poleciał do przodu, wymachując gorączkowo rękami, żeby utrzymać równowagę. Wszyscy wokół zachowywali się podobnie, a towarzyszył temu głęboki skrzyp metalu.

- Oto zapowiedziana demonstracja - dodał lekko Thrawn. - Pański okręt znajduje się w tej chwili w wiązce około pięćdziesięciu ciężkich promieni ściąających i jest całkowicie bezradny.

Booster stłumił ciężkie przekleństwo i omal nie wrzasnął, gdy I Bel Iblis postukał go w ramię i wskazał na stanowisko łączności. Terrik zrewanżował mu się ponurym spojrzeniem, ale zawołał z nie-l dowierzaniem i strachem: - Co pan robi, sir?! Mamy na pokładzie rannych i...

- Wystarczy! - przerwał mu ostro Thrawn, najwyraźniej czerwonoooka kreatura miała już dość uprzejmości. - Doceniam pańską odwagę i determinację, ale gra się skończyła. Przyzna pan to, czy mam wydać rozkaz otwarcia ognia? Bel Iblis cicho westchnął.

- Nie ma takiej potrzeby, panie admirale - powiedział spokojnie. - Tu generał Garm Bel Iblis.

- Aha, miło słyszeć - rozmówca zmienił ton na prawie kordialny, jak to między dwoma zawodowcami, i Booster musiał przyznać, że Thrawn robi to wręcz rewelacyjnie. - Gratuluję pomysłu i próby, jakkolwiek nieudanej.

- Dziękuję, ale chciałbym zauważyć, że sukces bądź porażka nie są jeszcze całkiem przesądzone.

- Tak pan uważa? Zatem załatwmy sprawę oficjalnie: wzywam pana do poddania okrętu i zaprzestania jakichkolwiek działań. - A jeśli odmówię?

- Jak już powiedziałem, pański okręt nie może się ruszyć i jeśli wydam rozkaz, zostanie zniszczony.

Na mostku zapadła cisza - Booster wpatrywał się w Bel Iblisa, Bel Iblis zaś w niszczyciel blokujący im dalszą drogę.

- Muszę się poradzić z moimi oficerami - oznajmił Garm.

- Oczywiście - zgodził się Thrawn. - Tylko radziłbym, żeby nie trwało to zbyt długo. Pańskie siły dywersyjne walczą odważnie, choć nieskutecznie, ale moja cierpliwość nie potrwa wiecznie: w drodze na pozycje są już Interdictory, a kiedy tam dotrą pańskie okręty będą w pułapce. Dowódcy

eskadr Preybirdów i Interceptorów wręcz nie mogą się doczekać zezwoleń na start.

- Rozumiem - odparł zwięźle Bel Iblis. - Dam panu odpowiedź tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Na jego znak łączność została przerwana.

- I co teraz? - spytał ostro Booster, dla którego perspektywa oddania okrętu Imperium była bardziej niż bolesna.

- Tak jak powiedziałem, dam mu odpowiedź. Tanneris, Bodwae, gdzie są emiterzy tych promieni, które nas trzymają? W bazie, czy w zewnętrznych umocnieniach? - Trzydzieści osiem w zewnętrznym perymetrze, sir - zameldował oficer.

- Piętnaście w baasie - dodał Bodwae. - Maam iich poołooszeeniiee.

- Doskonale. Simons, mamy jakąś możliwość ruchu?

- Nie bardzo, sir - zameldował sternik. - Złapali nas solidnie...

- A obrót? Wzdłuż osi pionowej?

- Aha... sądzę, że do pewnego stopnia to się może udać, sir - Simons sprawdził coś na pulpicie. - Ale nie więcej niż o dziewięćdziesiąt stopni.

- Za mało, żeby stąd odlecieć - zmartwił się Booster.

- Nie odlot jest naszym celem - przypomniał mu Garm. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. Simons, zwrot w prawo na burt, o ile zdołasz. Lewoburtowe turbolasery, działa laserowe i wyrzutnie torped protonowych: przygotować się do ostrzelania emiterów promieni ściągających usytuowanych w zewnętrznych stanowiskach obronnych. Prawoburtowe stanowiska: przygotować się do ostrzelania emiterów znajdujących się w bazie.

Odpowiedział mu bezładny chór potwierdzeń. Booster w milczeniu obserwował blokujący im drogę niszczyciel, a potem jego powolne przesuwanie się ku prawej burcie „Błędnego Rycerza” - dopiero wtedy podszedł zupełnie blisko do Bel Iblisa i powiedział cicho, acz dobitnie:

- Wiesz, że tym nikogo nie oszukasz, a już na pewno nie Thrawna. Jeżeli ostrzelamy emiterzy, każe otworzyć ogień z turbolaserów i zrobi z nas wrak.

- Nie sądzę. To znaczy tak, ale nie od razu. Wszystko wskazuje na to, że on próbuje odbudować Imperium i zamiast wraka niszczyciela i uszkodzonej bazy woli mieć wysokich rangą jeńców, których mógłby pokazać nie całkiem przekonanym do zjednoczenia rządów poszczególnych planet.

- Nie wspominając o dodatkowym niszczycielu na te, które okażą się mniej podatne na perswazję.

- To również. Sądzę, że każde strzelać, dopiero gdy prawie się uwolnimy.

Booster skrzywił się boleśnie - mając do dyspozycji taką siłę ognia, Thrawn rzeczywiście nie musiał się spieszyć. - Jak więc chcesz się stąd wydostać? - spytał.

- Nie próbuję się stąd wydostać, już ci to zresztą powiedziałem. Mamy do wykonania zadanie, a żeby je wykonać, musimy się dostać do głównego kompleksu bazy. - Tak?! A co z tym niszczycielem klasy Imperial, że nie wspomnę o Thrawn? - prychnął Booster. - Nie bierz tego do siebie, bo wiem, że jesteś całkiem niezłym taktykiem, ale w konfrontacji z Thrawnem nie postawię na ciebie złamanego kredytu. - Dzięki za szczerość. Masz rację i dlatego wcale nie chcę z nim walczyć, ale spróbuję wykorzystać ostatnią możliwość.

Terrik przyjrzał mu się ostrożnie - coś w wyrazie twarzy i głosie tamtego powodowało, że poczuł ciarki na grzbiecie, co nie zdarzało mu się zbyt często.

- Mógłbyś to powiedzieć trochę bardziej zrozumiale? - zaproponował.

- Musimy przedostać się za pozycję zajmowaną przez „Niezlomnego” - odparł cicho Garm. - Musimy też uszkodzić go na tyle, żeby nie był w stanie rozstrzelać grupy abordażowej i korytarza, zanim slicerzy nie skończą pracy oraz ich samych w czasie powrotu na okręt. - A co z uzbrojeniem bazy?

- I powinniśmy zrobić to na tyle szybko, żeby nie zdążyli nas zniszczyć - dodał Garm. - Dodaj to wszystko i sam powinieneś sobie odpowiedzieć, ale żebyś się nie męczył, powiem ci od razu: jak tylko zdołamy się wyrwać promieniom ściągającym, wykręcimy, damy pełną moc i skierujemy się prosto na „Niezlomnego”. I staranujemy go! - Nie mówisz serio! - stęknął Booster. Bel Iblis odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Przepraszam cię, Booster - powiedział poważnie. - Przepraszam cię za twój okręt i za to, że pozwoliłem lecieć tobie i twojej załodze...

- Panie generale, zwrot o siedemdziesiąt dziewięć stopni - zameldował sternik. - Więcej nie da rady, sir.

Jeszcze przez sekundę Bel Iblis patrzył Terrikowi w oczy, a potem przeszedł obok i spojrzał na dyżurną obsadę mostka.

- Wystarczy - ocenił. - Wszystkie stanowiska ogniowe: rozpocząć ostrzał wybranych celów. Ster i maszynownia: proszę być w pogotowiu do manewrów alarmowych.

- Jest! - ucieszył się Elegos. - Tam, trochę w prawo.

- Widzę go - mruknął Han, który przez minutę nie był w stanie odszukać frachtowca Cariba w

migoczącym blasku ogona komety. - Widzisz jakieś jednostki górnicze? - Jeszcze nie. Może się pomylił...

- Wątpliwe... - Han poczuł, jak włosy na karku zaczynają mu stawać dęba: nie miał stuprocentowej pewności, czy Carib rzeczywiście potrafi odróżnić imperialnych myśliwców po sposobie latania, ale na pewno umiał rozróżnić pustą przestrzeń od statku. - Ciekawe, gdzie się podziały?

- Może je maskować ogon komety - zasugerował Elegos. - Albo pracują na tylnej półkuli.

- Górnicy nigdy tam nie pracują: pył i lód błyskawicznie niszczą filtry.

- To gdzie są?

- Nie wiem - przyznał Han ponuro. - Ale zaczynam mieć naprawdę złe przeczucia. Połącz mnie z Caribem, dobrze?

Elegos wybrał odpowiednią częstotliwość i uruchomił nadajnik. - Gotowe. - Carib? Tu Han, zauważyłeś coś? - Nie, ale oni tu byli!

- Wierzę ci - zapewnił Han, rzucając okiem na uzbrojenie pokładowe: obie wieżyczki strzeleckie zostały sprawdzone i przełączone na sterowanie z kabiny, podobnie jak wyrzutnia torped protonowych. - Sądzę, że czas przyjrzeć się powierzchni z bliska. Zobaczymy, co też można ukryć na takiej komecie. - Chcesz, żebym leciał pierwszy?

- A ten twój frachtowiec jest uzbrojony?

- Nie bardzo - przyznał Carib po sekundowym wahaniu.

- W takim razie lepiej będzie, jeżeli ja polecę przodem. - Han zwiększył moc napędu podświetlonego. - Odsuń się, będę cię mijał. - Jak chcesz.

- Mam iść do którejś z wieżyczek strzeleckich? - spytał Elegos.

- Myślałem, że Caamasi nie lubią zabijać - zdziwił się Han.

- Nie lubimy, ale akceptujemy konieczność zabijania, jeśli jest to niezbędne. Lepiej zabić paru, by ocalić wielu, a to może być jeden z takich przypadków. - Może - Han minął frachtowiec Cariba i zmniejszył szybkość. Znajdowali się naprawdę blisko głowy komety i nie zamierzał wpaść na jakiś odłamek, który nagle zdecyduje, że nie chce już być jej częścią.

- Nie musisz iść do wieżyczek; czego by tam na dole nie ukrywali, powinienem sobie z tym poradzić. W taką starą jednostkę górniczą nie da się wpakować zbyt silnego uzbrojenia, więc...

I urwał, ponieważ kometa i gwiazdy za nią nagle zniknęły, a ich miejsce zajął znajomy kształt



imperialnego niszczyciela. -Han! -jęknął Elegos. - Co...

- Pole niewidzialności! - warknął Han, zawracając „Sokołem” prawie w miejscu i rozumiejąc już wszystko: sprowokowanie bitwy, sabotaż tarczy nad stolicą Bothawui, wszystko to stanowiło przygrywkę do masakry, a czający się tu niewidzialny niszczyciel klasy Imperial miał wykończyć niedobitki ocalałe z walki i zniszczyć planetę. Przy braku żywych świadków wszyscy winiliby za to Nową Republikę.

I byłoby to coś, od czego zaczęłaby się naprawdę długa wojna domowa.

- Przetaw nadajnik na szeroki zakres! - polecił, kończąc zwrot. - Jak tylko wylecimy z pola...

Urwał, gdyż nagłe szarpnięcie rzuciło go do przodu i tylko dzięki pasom nie grzmotnął w tablicę przyrządów. „Sokół” szarpnął w bok niczym ranne zwierzę, a ryk silników zmieszał się z jękiem konstrukcji. - Co się dzieje? - sapnął Elegos.

- Złapali nas promieniem ściągającym - Han przełknął ślinę, zaciskając dłonie na sterach i przyglądając się odczytom sensorów: jeśli chwyt nie był pewny, miał szansę się uwolnić, co już nie raz mu się udawało...

Był pewny - znaleźli się w wiązce co najmniej trzech promieni, które trzymały ich bardzo solidnie.

Kątem oka zauważył jakiś ruch, więc odwrócił głowę - frachtowiec Cariba szarpnął się właśnie równie gwałtownie i bezsilnie w niewidzialnym chwycie.

- Mają nas, Elegos - przyznał ponuro. - Mają nas obu.

# R O Z D Z I A Ł 3 8

Napotkali jeszcze dwie sieci Connera - Mara uparła się uruchomić obie, choć Luke nie uważał, żeby to było konieczne. Ponieważ jednak nie mogło im również zaszkodzić, nie protestował. Jeśli uruchomienie pierwszej wywołało alarm, na co zresztą nic nie wskazywało, i tak było już za późno. Jeśli nie, zapewne i pozostałe nie należały do systemu alarmowego.

Szum stale narastał, osiągając w pewnym momencie poziom wskazujący jednoznacznie, że reaktor znajduje się ponad nimi, bez wątplenia zamknięty w skale, i to zawierającej cortosis. Po kolejnych stu metrach tunel biegnący pod górą kończył się dużym, jasno oświetlonym pomieszczeniem.

- Wiedziałam! - mruknęła Mara, gdy oboje stanęli w łukowato sklepionym wejściu. - Wiedziałam, że musi mieć takie miejsce, o którym nie wiedzą podwładni, nawet w swojej własnej bazie.

Luke przytaknął bez słowa, rozglądając się po okrągłej komnacie. Miała około sześćdziesięciu metrów średnicy i kopulaste sklepienie wznoszące się dobre dziesięć metrów nad podłogą. Wszystko zostało wykute w litej skale. Trzymetrowej szerokości pas podłogi, wyłożony płytkami zaczynał się na tym samym poziomie co tunel i biegnąc wzdłuż ścian opadał na kształt pochylni do znajdującej się o metr niżej centralnej części komnaty, a o pięć metrów od wejścia po jego obu stronach kończył się głęboki balkon, otoczony barierką, o ścianach zastawionych sprzętem elektronicznym wszelkiego typu. Balkon obiegał pomieszczenie na dwóch trzecich obwodu. W środkowej części pomieszczenia, nieco z prawej strony, znajdowała się trochę mniejsza wersja stanowiska dowodzenia, które znaleźli na górnych poziomach. Ta miała tylko jeden krąg konsol, a w jego centrum zamiast holomapy galaktyki umieszczono szeroki, masywny walec superpojemnego banku danych. Podobnie jak w większej wersji, kilkanaście świecących punktów wskazywało, że sprzęt jest sprawny i cierpliwie czeka na ponowne użycie. Reszta podłogi była pusta, jeśli nie liczyć grupy mebli ustawionych pod jedną ze ścian i przykrytych plastikowymi pokrowcami.

To wszystko Luke zauważył jakby machinalnie: zobaczył i zapamiętał, żeby później spokojnie przeanalizować. Teraz bowiem całą uwagę skupił na głębokiej alkwie z lewej strony głównego pomieszczenia. Zamknięta grubą taflą transparistali, zawierała kompletny pojedynczy cylinder Spaarti, opleciony rurami odżywczymi i kablami biegnącymi do sterownika nauczania błyskowego i wraz z otaczającą go dodatkową aparaturą podłączony do niewielkiego reaktora fuzyjnego.

A w cylindrze unosił się nie obudzony lub jeszcze nie całkiem ożywiony niebieskoskóry humanoid o dziwnie znajomych rysach twarzy. Wielki admirał Thrawn.

- Dziesięć lat - powiedział cicho Luke. - Tak jak się domyślałaś. Powiedział im, że powróci za dziesięć lat...

- Stary oszust - podsumowała, co stało w pewnej sprzeczności z niechętnym podziwem, jaki Luke w niej wyczuwał. - Ustawił timer na dziesięć lat i zerował za każdym razem, gdy wracał z wizytą.

- Prawdopodobnie - Luke oderwał wzrok od prawie hipnotycznego spojrzenia kłona i wskazał na konsolety stojące po drugiej stronie pomieszczenia. - Artoo, podjedź tam i spróbuj się podłączyć do komputera. Zbierz wszystkie możliwe dane o rejonie Nieznanych Terytoriów znajdującym się pod władzą Thrawna.

Droid ćwierknął potakująco i zjechał na dół, nie tracąc równowagi. Jego kółka rytmicznie stukały na niewielkich szczelinach między płytkami, dopóki nie zatrzymał się przy jednej z konsolet i nie podłączył do znajdującego się w niej gniazda. - Chodź - Luke ponownie spojrzał w głąb alkowy. - Chciałbym się temu bliżej przyjrzeć.

Oboje okrążyli pomieszczenie i stanęli przed przezroczystą ścianą.

- Nie dotykaj jej - ostrzegła Mara. - Nie wiemy, jakie systemy obronne możesz uruchomić.

- Nie mam zamiaru - Luke zajrzał do środka i dostrzegł coś, czego dotąd nie mógł zobaczyć, zwłaszcza że patrzył pod innym kątem. - To się chyba nazywa szeroko pojęta profilaktyka.

- Ysalamiri. Pewnie na wypadek wizyty przejezdnego Jedi. - Upiornie metodyczny typ: pomyślał o wszystkim. - Poza jednym drobiazgiem. - Co masz na myśli? - zdziwił się Luke.

- Popatrz tam. - Mara odwróciła się i wskazała na skalną ścianę za osłoniętymi folią meblami.

- Patrzę, tylko nie wiem dokładnie, na co - przyznał po paru sekundach.

- Zniszczenia wywołane przez wodę - wyjaśniła. - Dokładnie naprzeciw wejścia. - Widzę - potwierdził, przyglądając się dokładniej.

Ściana miała nieco inny odcień i poznaczona była wąziutkimi pionowymi rysami, przez które w paru miejscach przesączała się woda.

- Dziecko Wiatrów mówił, że jezioro mocno przybrało - przypomniał sobie. - Wygląda na to, że znalazło drogę przez jaskinie. Wydaje mi się, że nasz klon zdąży w ostatnim momencie.

- Jaki on będzie? - spytała Mara dziwnym tonem. - Chodzi mi o to, jak dalece będzie przypominał Thrawna?

- Tego nikt nie wie, a spory toczą się od dziesięcioleci. Teoretycznie ta sama struktura genetyczna i nauczanie błyskowe z matrycy zdjętej z umysłu oryginału powinny dać osobnika identycznego z klonowanym. Praktyka jednak wykazuje, że klony nigdy nie są dokładnie takie jak oryginały. Może to kwestia pewnych subtelności psychicznych zamazanych w czasie procesu, a może jest w nas coś unikalnego, czego czytnik sporządzający matrycę nie potrafi właściwie przekazać. Na pewno będzie

miał wszystkie wspomnienia, doświadczenia i wiedzę Thrawna, ale czy zostanie genialnym strategiem i dowódcą wielbionym przez podwładnych, tego nie wiem... Co, jak sędzę, doprowadziło nas do pytania, co z nim robimy?

- Zabawne, że o to pytasz... Dziesięć lat temu bez namysłu postarałabym się wykończyć go, zanim się obudzi, żeby nie sprawiał więcej kłopotów... może nawet pięć lat temu... Teraz nie jest to już takie proste...

Przyjrzał się jej dokładnie, próbując rozeznaczyć się w kalejdoskopie uczuć, jakie w niej wyczuwał.

- Naprawdę się przejęłaś tym, co usłyszałaś o tych wszystkich zagrożeniach, prawda? Ku jego zaskoczeniu nie poczuła się urażona.

- Fel i Parek przejęli się - przypomniała. - Uważasz, że łatwo ich nastraszyć albo że obaj się mylą?...

- Nie - przyznał, przenosząc wzrok na klona. - Próbuję tylko wyobrazić sobie, co nagłe pojawienie się Thrawna może oznaczać dla Nowej Republiki. Powszechna panika i desperackie zbieranie okrętów i wojsk, żeby natychmiast zaatakować pozostałości Imperium, nim będzie za późno, wydają mi się najbardziej prawdopodobną wersją wydarzeń.

- Myślisz, że nie zechcą wysłuchać, co ma do powiedzenia?

- Pamiętając, że poprzednio prawie udało mu się zniszczyć Nową Republikę? - Luke potrząsnął głową. - Nie uwierzą w ani jedno jego słowo.

- Masz chyba rację. Parek mówił o pogłoskach dotyczących jego powrotu, choć przyznaję, że nie mam pojęcia, co mogło je wywołać. Nic natomiast nie wspominał o reakcjach na nie.

- Ale pogłoski to jedno, a żywy klon to zupełnie co innego, zwłaszcza jeśli nikt nie będzie wiedział, że to klon, a nie sam Thrawn. - Przez prawie minutę oboje milczeli, nim Luke odetchnął głęboko i dodał: - prawdę mówiąc, to akademicka dyskusja: cokolwiek zrobił dotychczas Thrawn, ta konkretna istota nie wyrządziła nikomu nic złego. Wniosek: nie zasługuje na egzekucję od ręki.

- Fakt, choć sędzę, że miałbyś spore kłopoty z przekonaniem do tego wniosku bardzo wiele inteligentnych stworzeń. W takim razie pytanie następne: zostawiamy go tu, żeby się obudził zgodnie z planem Thrawna i dołączył do tych na górze, pamiętając, że przynajmniej chwilowo nie są mile nastawieni do Nowej Republiki? Czy przyspieszamy proces i zabieramy go na Coruscant? Luke gwizdnął cicho.

- Rzeczywiście potrafisz wynajdywać trudne pytania - przyznał.

- Przeważnie to one wynajdują mnie pierwsze - odcięła się.

- Znam ten ból.

- Wolałabym, żebyś znał odpowiedź. Zwłaszcza w kwestii podstawowej: czy tam potrafią sobie z nim poradzić?

Jakby w odpowiedzi z drugiej strony rozległo się podniecone ćwierkotanie - Artoo aż podskakiwał z wrażenia.

- Co jest? - zainteresował się Luke. - Znalazłeś te informacje? Odpowiedziało mu zniecierpliwione bipnięcie. - Dobra, już do ciebie idę!

Luke ruszył ku niemu, minął osłonięte pokrowcami meble... i stanął, przyglądając im się z namysłem. Kilka foteli i krzeseł rozmaitych wzorów, łóżko, stół, stoliki, jakieś szafki... - Po co to wszystko? - spytał Marę.

- Żeby miło urządzić ten pokój, kiedy wyjdzie z cylindra - Mara podeszła do niego. - Najwidoczniej uznał, że będzie potrzebował jakiegoś czasu na dojście do siebie i zorientowanie się, co się wydarzyło w ciągu jego nieobecności. Założę się, że ten zestaw, do którego podłączył się Artoo, jest sprzężony z bankami danych i resztą systemu informacyjno-decyzyjnego na górze.

- To rozumiem, ale dlaczego wszystkie meble stoją na kupie zamiast, ładnie ustawione, czekać na gospodarza? Pokrowców mu chyba nie brakowało?! Tylko mi nie mów, że nie wiedział, czy układ mebli spodoba się klonowi.

- Ciekawe pytanie - stwierdziła i nagle poczuła się niepewnie.

- Co się stało?

- Nie wiem... - rozejrzała się powoli. - Coś nagle zaczęło być nie tak...

Luke także się rozejrzył - nigdzie nie dostrzegł zagrożenia, ale i on poczuł się nieswojo...

- Może powinniśmy zabrać Artoo i wyjść - zaproponował cicho. - Nawet jeśli nie zdążył skopiować wszystkiego, zawsze to więcej niż wiedzieliśmy dotychczas. - Sprawdźmy najpierw, ile zdążył - zdecydowała Mara i ruszyła ku drzwiom.

Zrobiła dokładnie jeden krok, gdy z góry zabrzmiał basowy głos:

- Kto waży się przeszkadzać w odpoczynku Syndyka Mitth'raw'nuruodo?

Luke odruchowo przybrał pozycję bojową z uniesionym nad głową mieczem, zanim spojrzał w górę...

Widok był niecodzienny - ponad balkonem spora, owalna część sufitu migotała niczym tafla jeziora w

słoneczny dzień, przekształcając się w gigantyczną twarz spoglądającą prosto na nich.

- Kto waży się przeszkadzać w odpoczynku Syndyka Mitth'raw'nuruodo? - zabrzmiało powtórnie.

- Robi wrażenie - przyznała Mara. - Nie stój jak słup: odpowiedz mu!

- Przyjaciele - zawołał ostrożnie Luke. - Nie zamierzamy skrzywdzić Syndyka Mitth'raw'nuruodo.

Oczy płonącego oblicza wydawały się ogniskować na nim.

- Kto waży się przeszkadzać w odpoczynku Syndyka Mitth'ra-w'nuruodo? - rozległo się po raz trzeci.

- Nagranie?! - Luke spojrzał na Marę.

- Pułapka! - odparła zwięźle.

Równocześnie zmysł zagrożenia Luke'a nakazał mu błyskawiczny obrót i przyjęcie pozycji obronnej z mieczem na wysokości piersi.

Naprzeciwko niego, na podwyższonej części podłogi, stały dwa masywne, opancerzone droidy wartownicze na gąsienicach, z typu, jakiego Luke dotąd nie widział. Każdy w prawej dłoni miał ciężki blaster.

- Zostań za mną! - polecił, dając krok w przód i nieco w bok, żeby zasłonić sobą Marę.

W chwili, w której sięgnął po Moc, oba droidy wystrzeliły.

- Idiotka! - warknęła zła na siebie Mara. - Najgłupszy chwyt pod słońcem, a dałam się nabrać jak amatorka! Gapiłam się na tę gębę niczym wsiowa idiotka!

- Zamiast składać samokrytykę, spróbuj coś z nimi zrobić - poradził Luke, blokując oba strzały. Nie było to zbyt trudne, jako że używały standardowego wzoru ostrzału, który szybko wykończyłby normalnego przeciwnika, ale Jedi sprawiał tylko pewien kłopot.

W odpowiedzi przeleciało mu koło ucha parę wyładowań z miotacza strzelającego z tyłu. Mara celowała w złącza i fotoreceptory, ale okazały się zbyt silnie opancerzone. - Ta zabawka na nic się nam nie przyda! - sarknęła, chowając miotacz. - Mogę... - Uważaj, ruszył! - przerwał jej Luke.

Droid z lewej niespodziewanie zaczął się toczyć w lewo, cały czas strzelając. Luke zacisnął zęby - zabawa się skończyła: im bardziej oddalały się od siebie źródła ognia, tym trudniej było mu fizycznie zdążyć z ustawieniem miecza w odpowiedniej pozycji do przechwycenia kolejnego strzału. Za plecami usłyszał charakterystyczny basowy syk - Mara włączyła swój miecz... A zaraz potem jęk i stłumione łupnięcie.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony, nie ryzykując jednak spojrzenia.

- Nie próbuj nigdzie iść - ostrzegła Mara z poziomu podłogi. - Thrawn zostawił jeszcze jedną niespodziankę dla nieproszonych gości. - Co masz na myśli?

Kątem oka dostrzegł błysk jej błękitnego ostrza blokującego strzały odleglejszego droida.

- Dobra, poradzę sobie z nim - powiedziała po chwili. - Możesz spojrzeć na podłogę.

Luke pozwolił, by Moc kierowała jego ruchami i spojrział w dół. Wystarczył mu jeden rzut oka - ze szczelin między płytkami wyrosła spleciona masa czarnozielonych pnączy, najgęściej skupionych wokół ich stóp.

- Ledwie zrobiłam krok, zaplątałam się w to świństwo.

- Sprytne - mruknął Luke przez zaciśnięte zęby. - No to sobie nie pobiegamy.

- Teraz przynajmniej wiadomo, dlaczego zostawili meble pod ścianą: po co dawać ofierze osłonę i niszczyć sprzęt. Luke, ten drugi nadal się rusza.

Luke zaryzykował spojrzenie przez ramię - drugi droid wartowniczy objechał prawie całe pomieszczenie i za jakieś dziesięć sekund mógł znaleźć się dokładnie naprzeciwko Mary.

- Rzuć w niego mieczem - polecił, przesuwając się lekko w lewo, by móc blokować strzały z obu kierunków. - Szybko, zanim zbliży się jeszcze bardziej.

- Dobra - mruknęła i przez własną koncentrację wyczuł jej wahanie na wspomnienie mniej niż dobrego wycinania stalaktytów w jaskini.

Trwało to jednak tylko moment - w następnej chwili dostrzegł jej miecz, lecący niczym laserowy wirnik ku droidowi i trafiający idealnie w spojenie głowy i korpusu... I nagle ostrze zniknęło. - Co się stało?

- Żeby to najjaśniejsza cholera! - warknęła Mara. Ostrze pojawiło się, cięło i znów zniknęło. - Cwaniak położył pod pancerz warstwę cortosisu! - Więc załatw blaster! - Racja!

Ostrze pojawiło się ponownie, rozległ się trzask rozcinanego metalu i nagle zagrożenie, które Luke odczuwał z tej strony, zmalowało.

- Dobra robota - skoncentrował się na droidzie przed sobą. - Teraz spróbuj mnie obejść i zrób to samo z tym...

Nagle odwrócił się, aby w ostatnim momencie zablokować kolejny strzał - to rozbrojony przez Marę droid ponownie zaczął strzelać.

- Ma ścierwo drugi w lewej łapie - ostrzegła go nieco późno Mara. - O, szlag!

- Co... już wiem! - w odpowiedzi na atak Mary stojący przed nim droid wydobył drugi blaster i zaczął strzelać oburącz.

- Ta cholera też ma zapasowy blaster do prawej ręki! - zawiadomiła go Mara.

- Wiem! - mruknął, koncentrując się na parowaniu strzałów, których było teraz dwa razy więcej niż dotąd.

Jeden, którego nie zdążył do końca odbić, drasnął go boleśnie w lewe ramię.

- Co robimy? - spytała, opierając się plecami o jego plecy i dziko wymachując mieczem, by odbić strzały swego przeciwnika. - Bo w końcu nas załatwią... Miała rację - znajdowali się na środku odsłoniętej przestrzeni, w krzyżowym ogniu czterech strzelających z góry blasterów i bez możliwości poruszenia się. Koniec rzeczywiście stanowił tylko kwestię czasu, i to niedługo... - Słyszysz mnie?! Luke!

- Słyszę.

- To co robimy?

- Nie mam pojęcia...

„Dominacja” zatrzęsa się, trafiona kolejną salwą protonową, która zdehermetyzowała kilka zewnętrznych sekcji, wywalając dziurę w kadłubie. Osłony siłowe nadal w większości działały, ale tu i ówdzie przedostawał się przez nie strzał z turbolaserów czy torpeda, ponieważ zaczynała siadać synchronizacja systemu obronnego. W tym jednak momencie zarówno stan okrętu, jak i cała bitwa przestały Leię obchodzić, ponieważ gdzieś w oddali wyczuła nagłe drgnienie Mocy, które miało znacznie większe znaczenie niż cokolwiek innego - Hanowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. - Kapitanie Av'muru! - zawołała, przekrzykując panujący na mostku zgiełk i podchodząc do głównego stanowiska dowodzenia.

Stojący przy niej dwaj wartownicy unieśli ostrzegawczo karabiny blasterowe, więc odtrąciła je odruchowo Mocą, nawet tego nie zauważając.

- Muszę z panem natychmiast porozmawiać, kapitanie!

- Jestem zajęty - warknął i nawet nie odwrócił głowy.

- Jeśli mnie pan nie posłucha, będzie pan bardziej zajęty niż mógłby pan przypuszczać - ostrzegła, koncentrując się na emocjach Hana: była w stanie wyczuć jego strach i bezsilną wściekłość, ale nie potrafiła przebić się przez te uczucia do jego myśli. W związku z czym nie wiedziała, gdzie znajduje



się to nowe niebezpieczeństwo. - Pojawiło się nowe zagrożenie - poinformowała Av'muru. - Z którego zupełnie nie zdaje pan sobie sprawy.

- Inne niebezpieczeństwa nie są ważne! - prawie wrzasnął Av'muru. - Interesują mnie wyłącznie te trzy diamalańskie okręty, które nas otaczają!

- Posłuchaj pan... - zaczęła podnosić głos, gdy poczuła, że ktoś lekko dotknął jej ramiona.

- To na nic - powiedział cicho i ze smutkiem Gavrisom. - On nie chce ani nie potrafi myśleć z takim wyprzedzeniem, kiedy walczy o ocalenie swego okrętu. Możesz mi powiedzieć, co to za nowe zagrożenie?

- Han jest w niebezpieczeństwie, którego się nie spodziewał. - Gdzie? W jakim?

- Tego nie wiem - warknęła, zła na siebie za bezsilność. - Nie mogę odczytać jego myśli. - Kto może coś wiedzieć?

Odetchnęła głęboko, zmuszając się do spokoju i logiki, bo tylko tak mogła pomóc Hanowi.

- Elegos był z nim - ponownie użyła Mocy do poszukiwań, ale bez skutku. - Nawet nie potrafię go wyczuć!

- Kto jeszcze może coś wiedzieć? - Gavrisom nie poddawał się. - Ktoś znajdujący się bliżej. Zastanowiła się jeszcze raz i zaświtała jej nadzieja: - Lando! Han mógł z nim rozmawiać.

- W takim razie musimy go złapać. Postaram się przekonać kapitana, żeby spróbował przebić się przez zagłuszanie. Możesz jakoś w tym pomóc, używając Mocy? - Nie wiem... spróbuję.

- Już mówiłem, że to nie może czekać - upierał się Lando najbardziej pewnym siebie tonem, na jaki go było stać. - Muszę natychmiast porozumieć się z senator Organa Solo, bo od tego może zależeć los całej Nowej Republiki. Nie wspominając o naszym życiu.

- Naprawdę? - głos Miatamii był lodowato spokojny i choć Diamalanie zazwyczaj dobrze ukrywali swe osady, Lando wyraźnie widział, że senatora nie bardzo obeszły jego słowa. - A cóż to za wielkie zagrożenie czai się w pobliżu?

- Mój przyjaciel, Han Solo, poleciał przyjrzeć się tej komecie. Obserwowałem go na jego prośbę przez makrolornetkę i w pewnym momencie jego statek zniknął. - Rozbił się?

- Nic się nie rozbiło. Zniknął w otwartej przestrzeni.

- O ile otwartą przestrzenią nazwiemy bezpośrednie sąsiedztwo komety - zauważył Miatamia,

strzygąc lewym uchem. - Mógł skrócić w ogon i przesłoniły go gazy albo został przesłonięty przez odbicie słońca od powierzchni, zanim wylądował... Lando popatrzył na niego z politowaniem - Diamalanin nawet nie próbował uczciwie go wysłuchać, nie mówiąc już o uwierzeniu. Tyle że on, Lando, doskonale wiedział, co widział.

- Dobra - warknął przez zaciśnięte zęby. - Jak oficjalnie, to oficjalnie. Jest mi pan coś dłużny, senatorze Miatamia, i żądam zwrotu tego długu.

- Jaki to dług? - tym razem Miatamia zastrzygł obu uszami.

- Zawiozłem pana z Cilpar na Coruscant, prawda? Nigdy mi się pan za to nie zrewanżował.

- Powiedział pan wtedy, że ceną będzie nasza rozmowa.

- Kłamałem - oznajmił rzeczowo Lando. - A teraz domagam się zapłaty.

- Chyba nie w trakcie walki - burknął ponuro Miatamia.

- Nie żądam niczego niebezpiecznego - Lando wskazał na przezroczystą ścianę pokładu obserwacyjnego, na którym przebywali. - Chcę tylko, żeby przestano zagłuszać częstotliwość osobistego komlinku senator Organy Solo. Nic więcej.

- Nie mam pewności, czy takie postępowanie nie stworzy dodatkowego zagrożenia dla życia lub dóbr mojej rasy. Może mnie pan uważać za głupca i ogłosić osobnikiem bez honoru, ale nie zrobię tego. To zbyt ryzykowna gra.

I odwrócił się, spoglądając na krążownik Ishori. Lando zaklął. Miał ochotę udusić senatora gołymi rękoma, ale Han mu zaufał, a na wyrównanie rachunków z Miatamia przyjdzie czas później.

- Chcesz zagrać?! - warknął stając tak, że zasłonił mu widok. - No to dam ci propozycję nie do odrzucenia: założymy się. Pozwolisz mi rozmawiać z Leią i będziesz świadkiem tej rozmowy. Jeżeli zagrożenie, o którym mowa, nie okaże się tak duże, dostaniesz moją kopalnię i kasyno na planecie Varn.

- Mówisz poważnie? - uszy Miatamii omal nie oderwały się od jego głowy.

- Śmiertelnie. Mój najlepszy przyjaciel jest w niebezpieczeństwie, do twojego zakutego łba inny argument nie trafi, a nikt oprócz mnie nie może mu pomóc. Przez dłuższą chwilę Diamalanin przyglądał -mu się z namysłem.

- Zgoda - oświadczył w końcu. - Ale tylko ta jedna częstotliwość i na dwie minuty. - Jak szybko to nastąpi? - Jak tylko będę znał częstotliwość.

Lando podał mu ją, Miatamia podszedł do interkomu i polecił coś, mówiąc szybko po diamalańsku,

na co odpowiedziano mu podobnie, choć znacznie uprzejmiej. Po kolejnej wymianie znacznie krótszych wypowiedzi senator odwrócił się.

- Częstotliwość wolna - oświadczył. - Czas, start. Lando miał już w dłoni włączony komlink. - Leia?

- Lando! -jej odpowiedź była natychmiastowa. - Miałam nadzieję, że uda mi się przebić... Han jest w niebezpieczeństwie.

- Wiem. Poleciał razem z Caribem sprawdzić komętę i prosił, żebym go obserwował przez makrolornetkę. Kiedy zaczęli się zniżać ku powierzchni jądra komety, oba frachtowce zniknęły. - Jak to zniknęły?! Rozbiły się?

- Nie. Odniosłem wrażenie, jakby weszły w zasięg pola niewidzialności. Po drugiej stronie usłyszałem ciche westchnienie.

- Lando, musimy tam polecieć, i to natychmiast - zdecydowała. - Jeśli czai się tam imperialny okręt albo kilka...

- Mnie nie musisz przekonywać. Problem w tym, że wyczerpałem swoje możliwości przetargowe, żeby z tobą porozmawiać.

- Rozumiem - stwierdziła ponuro. - Reszta należy do mnie. - Co chcesz zrobić?

- Pomóc Hanowi - oznajmiła lodowato. - Nie mieszaj się do tego: nie będzie miłe dla nikogo. Cichy trzask oznaczał koniec połączenia.

- Za późno, Leia - powiedział cicho. - Całe lata za późno...

Kolejna salwa z turbolaserów bliższej stacji bojowej klasy Golan pomknęła w kierunku grupy myśliwców atakujących jej flankę. Wedge bez większego trudu wyminął strzały i sprawdził resztę eskadry - podobnie jak przy poprzednich salwach, nikt nie odniósł uszkodzeń. Dotyczyło to również prawie wszystkich pozostałych jednostek Nowej Republiki. Strategia Bel Iblisa, nakazująca okrętom trzymanie się granicy skutecznego ognia zewnętrznych umocnień, jak dotąd sprawdzała się bez pudła. Tylko że wszystko wskazywało na to, iż strategia ta właśnie ulegnie zmianie.

- Tu komandor Perris do wszystkich myśliwców - w głośniku hełmu rozległ się głos dowódcy myśliwców pokładowych „Tułacza”. - Kapitan Trena uzyskał potwierdzenie, że generał Bel Iblis znalazł się w trudnej sytuacji.

Wedge skrzywił się ironicznie - każdy, kto nie był idiotą, widział, że drogę „Błędnego Rycerza” zablokował inny niszczyciel, a okręt Garma został unieruchomiony przez wszystkie emiterzy promieni ściągniętych bazy, co tu więc wymagało potwierdzenia?

- Otworzyli ogień! - rozległ się podniecony głos Rouge Pięć. - Wygląda na to, że ze wszystkiego, co mają na pokładzie...

- Widzę - odparł ponuro Wedge, przyglądając się kanonadzie, jaką rozbłyskiwały burty „Błędnego Rycerza”: znaczyło to, że obrońcy nie dali się nabrać, a Garm nie miał możliwości wyłgania się.

Znaczyło też, że pozostałym kończył się czas - ani dowódca imperialnego niszczyciela, ani komendant bazy nie będą beczynnym obserwować, jak Garm kolejno rozstrzeliwuje ich emitery promieni ściągających, by móc uciec. Sztab zgromadzony na pokładzie pełniącego rolę okrętu flagowego „Tułacza” doszedł widocznie do tych samych wniosków, gdyż Perris odezwał się ponownie:

- Atakujemy, i tym razem na serio. Zadanie myśliwców to ściągnięcie na siebie ognia i pomoc w przebiciu się przez perymetr obronny w każdy możliwy sposób. No i naturalnie związanie imperialnych myśliwców, gdy tylko się pojawią. Dowódcy eskadr, proszę potwierdzić i przygotować się do wykonania rozkazów.

- Tu Rouge Leader, potwierdzam - zameldował Wedge i przełączył się na częstotliwość eskadry. - Wszyscy mieli okazję przyjrzeć się dokładnie umocnieniom. Są jakieś pomysły?

- Wydaje mi się, że prawoburtowe turbolasery drugiego Gola-na mają drobne problemy z synchronizacją ognia - odezwał się Rouge Dwanaście.

- Jesteś pewien? - spytał Trójka. - Nic takiego nie zauważyłem.

- Zwłoka jest niewielka, ale jest - upierał się Dwunastka. - Powoduje to niewielką lukę w...

- Generale Antilles? - rozległ się niespodziewanie nowy głos.

- Słucham? - potwierdził ostrożnie Wedge: głos był bowiem znajomy, ale na pewno nie należał do żadnego z pilotów Eskadry Łotrów. - Mówi Talon Karrde. Jak leci?

Wedge potrzebował paru sekund, by odzyskać głos:

- Talon, co ty tu, do cholery, robisz?!

- Prawdę mówiąc, próbuję się przedostać przez wasze linie - przyznał bezczelnie Karrde. - Jest z tobą Corran?

- Jestem - odezwał się Dziewiątka. - O co chodzi?

- Chcę, żebyś wyświadczył mi uprzejmość. Tę, o której rozmawialiśmy ostatnim razem na pokładzie „Błędnego Rycerza”, pamiętasz?

- Zidiociałeś?! - jęknął Horn. - Tkwimy w samym środku bitwy, jeśli dotychczas nie zauważyłeś.

- Właśnie dlatego chcę, żebyś mi się odwdzieczył natychmiast - odparł spokojnie Karrde. - Potrzebuję eskorty przez wasze linie. Ty będziesz tą eskortą.
- Niby dokąd? Na wypadek sklerozy przypominam ci, że przed nami znajduje się baza imperialnego wywiadu. - Która, tak się głupio składa, jest moim celem.
- „Szalony Karrde” musi być znacznie lepiej opancerzony niż podejrzewałem - wtrącił Wedge.
- Nie będą do mnie strzelać: otrzymałem kod najwyższego uprzywilejowania, pozwalający na przelot przez ich linie - oświadczył Karrde. - Problem stanowią wasze siły.

- Posłuchaj: nie wiem, co kombinujesz, i prawdę mówiąc, nic mnie to w tej chwili nie obchodzi - oznajmił Corran. - Mamy tu konkretne zadanie do wykonania. - Jeśli się nie mylę, może się okazać, że nie musicie go wykonywać - głos Talona spoważniał. - Pomóżcie mi dostać się do bazy, a postaram się zakończyć tę bitwę. - Naprawdę? - spytał podejrzliwie Dwójka. - A można wiedzieć, jak?

Nastąpiła krótka pauza i Wedge bez trudu zobaczył oczami wyobraźni, jak Karrde uśmiecha się lekko tym swoim słynnym tajemniczym uśmiechem.

- Powiedzmy, że mam najwyższą kartę z możliwych - odparł.

-Czyli...?

- Tu komandor Perris do wszystkich eskadr - rozległo się w słuchawkach na innej częstotliwości. - Uporządkować formacje, zaczynamy atak!

Wedge sapnął - teraz mieli konkretny rozkaz, nie pozostawiający miejsca na uniki, zwłokę czy inne wykorzystywanie luk, z których słynęła jego eskadra. A chodziło o życie Garma Bel Iblisa, o Boosterze i pozostałych nie wspominając. Jeśli Karrde miał rację... - Talon, tu Wedge: gdzie jesteś?

- Z tyłu i nieco powyżej „Tułacza”. Zaczynacie atak?

- Coś w tym rodzaju - Wedge sprawdził ekran rufowych sensorów: „Szalony Karrde” był tam, gdzie Talon powiedział, trzymając się w rozsądnej odległości od okrętów Nowej Republiki. - Przygotuj się, zaraz będziemy koło ciebie. Tu Rouge Leader do wszystkich: powtarzajcie moje manewry i bez głupich pytań, jeśli łaska.

Wedge położył myśliwiec w ciasny skręt i skierował go do tyłu. W jego słuchawkach coś trzasnęło i na osobistej częstotliwości rozległ się głos Corrana:

- Co ty wyprawiasz?! Dostaliśmy rozkaz, a jeśli chodzi o tę uprzejmość, to...

- Uprzejmości i zobowiązania najmniej mnie teraz obchodzą, zwłaszcza cudze. Ale słyszałeś, co Talon powiedział: ma imperialny kod pozwalający na przelot przez perymetr obronny. - I co z tego?

Nas nie przepuszczą.

- Normalnie nie, ale pamiętasz, co Dwunastka mówił o turbolaserach drugiego Golana? Jeśli będziemy eskortowali Talona właśnie w ten rejon i skupimy się zaraz za jego frachtowcem... - To może się udać.

- A obowiązkowo należy spróbować - Wedge nie musiał dodawać, że jeżeli uda im się przemknąć na teren bazy, ich szanse na realną pomoc w wydostaniu się „Błędnego Rycerza” z pułapki niewspółmiernie wzrosną.

- Wedge? - spytał nagle dziwnym tonem Horn. - Nie uważasz, że Talon naprawdę zdoła zakończyć bitwę, co?

Wedge w ostatniej chwili ugryzł się w język -- pytał go o to Rycerz Jedi, więc nie należało udzielać mu odruchowej odpowiedzi.

- Nie uważam - powiedział ostrożnie. - Imperium chce Bel Iblisa. I moim zdaniem pozwoliliby mu odejść tylko wtedy, gdyby w zamian dostali coś, czego chcą jeszcze bardziej.

- Też tak sobie pomyślałem - głos Horna nadal brzmiał nieco dziwnie. - Tylko dla

czego odnoszę osobliwe wrażenie, że on ma szansę dotrzymać słowa? Wedge poczuł mrowienie w karku.

- Nie wiem - przyznał. - Wiem tylko, że dzięki niemu my mamy realną szansę wyciągnięcia stamtąd Garma i Boostera żywych i obecnie to właśnie najbardziej mnie interesuje.

Dotarli do „Szalonego Karrde'a”, Wedge obleciał frachtowiec i zajął pozycję przed

jego dziobem, a reszta eskadry przyjęła klasyczną formację eskortową, biorąc frachtowiec w sferę. - No dobra, Talon - powiedział Wedge. - Trzymaj się blisko i leć za mną.

# ROZDZIAŁ 39

Droid wartowniczy nadal strzelał, a Mara blokowała jego strzały, przy czym nie mogła wyjść z podziwu, jak sprawnie jej to idzie. Jej dłonie, kierowane Mocą, poruszały się bez udziału świadomości, a o wysiłku, jaki ją to kosztowało, świadczyły jedynie coraz liczniejsze krople potu na czole. Nie czuła ani swoich raje, ani niczego, tak była skupiona na przetrwaniu. Reszta pomieszczenia czy jej własne ciało stały się czymś, z czego istnienia zdawała sobie sprawę raczej mętnie. Liczył się tylko jej miecz odbijający strzały z Masterów. I Luke.

Było to bardzo osobliwe odczucie i jakaś niewielka część jej umysłu nadal trwała w zadziwieniu. Robili dokładnie to samo, głęboko zjednoczeni z Mocą, i w efekcie ich umysły jakby zlały się jedność. Czuła jego wysiłek tak umysłowy, jak i fizyczny, jego wiarę w Moc i desperację, z jaką szukał sposobu wydostania się z pułapki. A także głęboką troskę o nią samą. Stanowiło to jakby rozwinięcie wcześniejszych krótkich kontaktów emocjonalnych, zwłaszcza gdy przeczekiwali przemarsz ogniaków, a jednocześnie powstało coś zupełnie nowego, czego nigdy dotąd nie doświadczyła. Nagle zdała sobie sprawę, iż głębokie zjednoczenie ich umysłów i osobowości spowodowało, że dokładnie poznała Luke'a - wiedziała o nim wszystko: znała jego nadzieje i obawy, sukcesy i porażki, słabości i siłę. Jak to się ładnie określało - miała okazję zajrzeć mu w duszę. I wiedziała, że on w ten sam sposób poznał ją.

W dodatku, wbrew oczekiwaniom, nie było to przeżycie upokarzające czy napawające lękiem - wręcz przeciwnie, porównać je mogła do łagodnej euforii. Nigdy dotąd nie znała nikogo aż tak dobrze i nikt tak dobrze nie znał jej. Ba, nawet nie zdawała sobie sprawy, że taki związek może istnieć. Ani też, jak bardzo chciała, by zaistniał.

Pozostało tylko ubolewać, że nie zrobiła tego wcześniej, nie chcąc zostać pełnym Rycerzem Jedi, i tym sposobem straciła ładny kawał życia. Teraz zaś było już za późno na cokolwiek poza żalem, ponieważ miała umrzeć. Bo właśnie tak musiało się to skończyć - zaczynała czuć mięśnie, a raczej ich zmęczenie i wiedziała, że jeszcze tylko przez parę minut zdoła poruszać się wystarczająco szybko, żeby nie oberwać. Przez moment żałowała, że nie posiada zdolności Corrana do przyjmowania i rozpraszania energii, ale to nigdy nie należało do jej uzdolnień, a na naukę raczej nie miała już szans. Musiała działać, i to dopóki zostało jej jeszcze trochę siły, bo inaczej zginą oboje. Luke miał jeszcze szansę, niewielką, ale miał.

Jeśli ona wyeliminuje jednego droida, z drugim Luke sobie poradzi. Wiedziała, że nie uda jej się zniszczyć obu jego Masterów, zanim zostanie trafiona. Gdyby tylko mogła mimo to zrealizować swój plan! Głupi, ale mówi się trudno, był to jedyny dający cię szansy pomysł, resztę niestety uznała za niewykonalną, a sam Luke nie zdoła zablokować czterech blasterów, gdy dwa z nich będą mu strzelać w plecy. Pozostało więc tylko jedno: nie zginąć na darmo... Wzięła głęboki oddech...

„NIE” - rozkaz Luke'a był tak silny, że przebił się przez jej ponure zdeterminowanie. „Czekaj! Patrz!”

Nie bardzo mogła sobie pozwolić na rozproszenie uwagi skupionej na droidzie i jego blasterach, ale nie musiała - dzięki Mocy w jej umyśle pojawił się nagle obraz. Z prawej strony do droida zbliżał się Artoo ze spawarką, wyciągniętą na podobieństwo kopii na pełną długość manipulatora. W pierwszym momencie zdziwiła się, dlaczego astromech aż tak długo zwlekał z włączeniem się do walki, i dopiero po paru sekundach uświadomiła sobie, jak niewiele czasu minęło od chwili pojawienia się droidów wartowniczych. Drugą średnio sensowną myślą było pytanie, dlaczego Artoo wybrał jej droida i podejrzenie, czy przypadkiem nadopiekuńczość Luke'a nie udzieliła się także i jemu. Dopiero trzecia okazała się naprawdę sensowna - Luke miał rację: to mogło być dokładnie to, czego potrzebowała, żeby zrealizować swój plan, nie dając się przy okazji zabić. Mogło.

Artoo prawie dotarł do celu, który naturalnie zdawał sobie sprawę z nowego zagrożenia; pytanie tylko, co zamierzał z nim zrobić... Między elektrodami spawarki zaiskrzyło...

A w umyśle Mary niespodziewanie pojawił się obraz ich dwojga leżących na podłodze w plątaninie zielonoczarnej zielska. Czyżby to była wizja przyszłości? Tak będą wyglądać po śmierci...

„Teraz rozumiesz?”, usłyszała pytanie Luke'a i obraz zniknął, zastąpiony innym, w którym do jej planu została dodana poprawka.

Zacisnęła zęby, blokując ostatnie strzały, Artoo dotarł do droida z gotową do użycia spawarką, a ten z pogardliwą łatwością przesunął lewą rękę tak, by oprzeć bok blastera o kopułę astromecha, i pchnął. Artoo z łomotem wylądował na podłodze. A przez sekundę strzelał do niej tylko jeden blaster. „Teraz!”

Podgięła prawą nogę, padając i przez cały czas czując plecy Luke'a tuż przy swoich - także padł, z idealnym wręcz zgraniem. Razem dotknęli podłogi i Luke natychmiast przetoczył się na plecy, tym jednym ruchem załatwiając część problemu - teraz, zamiast mieć przeciwników z przodu i z tyłu, miał ich po bokach. A z tym mógł sobie poradzić.

„Już!” Kolejna komenda złała się z błyskiem zielonkawego ostrza przed jej twarzą, gdy odbił kolejny strzał z blastera. Miecz Mary leciał już bowiem ku droidowi, w następnej sekundzie zmieniając broń w jego prawej dłoni w złom, a nim zdążył wycelować w jej stronę drugi blaster, spotkał go ten sam los.

Droid ryknął krótko i basowo - najwyraźniej miał tyle samoświadomości, by zrozumieć, że został wymanewrowany, ale wiedział też, iż jedynie chwilowo, ponieważ miecz świetlny nie mógł go zniszczyć, a przynajmniej nie mógł tego zrobić wystarczająco szybko. A jego projektant musiał być niesamowicie przewidujący, gdyż w dolnej części korpusu utworzyły się dwa kolejne schowki z bronią, po którą natychmiast sięgnął. Mara zignorowała to - przesunęła miecz, ustawiając go ostrzem w stronę droida, i pchnęła. Nie w zabezpieczony cortosisem pancerz, lecz w osłabioną przez wodę ścianę za jego plecami.



Wokół rękojeści natychmiast trysnęła woda, i to z taką siłą, że pojedyncze krople dotarły trzydzieści metrów dalej, gdzie leżeli oboje z Lukiem. Zaskoczyło jato, ale już było za późno - utrzymując broń w miejscu, by nie wypchnął jej prąd wody, wycięła w skale koło mniej więcej dziesięciocentymetrowej średnicy. Droid odwrócił głowę, zobaczył, co się dzieje, uniósł blastery, celując w rękojeść miecza i w tym momencie Mara dokończyła wycinanie.

Kamienny czop wyprysnął ze ściany z prędkością torpedy protonowej i z prawie równie niszczycielskim skutkiem rąbnął w obudowę droida na wysokości piersi, przebijając pancerz i posyłając ciężką jakby nie było maszynę na niższą część podłogi, gdzie znieruchomiła. A poziomy gejzer przeleciał nad głowami leżących i zanim droid znieruchomiał, do pomieszczenia runęła spieniona woda.

Mara była tak skoncentrowana na pozbyciu się droida, że dalszy rozwój wypadków, a zwłaszcza gwałtowny przybór wody, kompletnie ją zaskoczył. Poczowała, że zakrywa ją fala, a w chwilę później woda zaczęła ją unosić. Odruchowo usiłowała się czegoś przytrzymać i macając na oślep trafiła na pędy wyrastające z podłogi, ale następna fala oderwała ją i pchnęła w górę, i wtedy wreszcie zadziałał instynkt pływacki. Wynurzyła się, gorączkowo łapiąc powietrze, i gdy otworzyła oczy, dostrzegła kolejną zbliżającą się falę...

A potem para dłoni ujęła ją pod ramiona i jednym szarpnięciem wyrwała z wody, posyłając łukiem w powietrze. Wylądowała na czymś twardym, o czym natychmiast poinformowało ją protestujące siedzenie. Wtedy jedna z dłoni zwolniła uchwyt, podczas gdy druga go wzmocniła. - Tu... złap się! - krzyknął jej do ucha Luke.

Odwróciła się i dostrzegła tuż za plecami barierkę balkonu. Z wdzięcznością złapała ją oburącz. - Mam!

- Trzymaj się, wracam po Artoo! - krzyknął Luke i zniknął pod wodą, której przybywało szybciej niż miało prawo, z czego dopiero w tej chwili zdała sobie w pełni sprawę. I dopiero po parunastu sekundach zrozumiała także, dlaczego tak się działo - wycięta przez nią mała okrągła dziura przestała istnieć. Teraz ziała w tym miejscu wyrwa o prawie czterometrowej średnicy, przez którą wlewało się Jezioro Rybek, błyskawicznie podnosząc poziom wody w pomieszczeniu.

Luke wynurzył się aż pod przeciwległą ścianą i pomachał jej, a po chwili o parę centymetrów nad powierzchnią wody ukazał się szczyt kopuły Artoo. Mara skoncentrowała się i używając Mocy uniosła droida, przyciągając go równocześnie. Okazało się to trudniejsze niż sądziła i niż powinno, ale powoli dopięła swego, choć dwukrotnie omal go nie wypuściła. Bitwa z droidami wartowniczymi kosztowała ją sporo sił. W końcu Artoo spoczął obok, bulgocząc coś z ulgą. Stracił czytnik, który mu przymocowali dla łatwiejszego porozumiewania się, ale poza tym wyglądał nie najgorzej. Odwróciła się więc, żeby poszukać Luke'a... Jego dłoń wynurzyła się z wody i złapała barierkę.

- Masz Artoo? - spytał, łapiąc powietrze i powoli wciągając się na balkon.

- Mam - pochyliła się i pomogła mu. - Nic ci nie jest?

- Nie - osunął się obok niej. - Lekcja numer jeden: Jedi potrzebuje powietrza do właściwego funkcjonowania.

- Zapiszę przy najbliższej okazji. Co z drugim wartownikiem?

- Zająłem się nim - Luke odzyskał normalny oddech. - Tu masz swój miecz. Doskonała robota-z tą ścianą.

- Jasne, jak cholera! Nie ma nic lepszego od genialnego planu, który w realizacji chce cię utopić. Aha, skoro o utopieniu mowa: nie byłoby lepiej wynieść się stąd, póki jeszcze czas? - No, cóż... prawdę mówiąc... - O co chodzi?

- Przykro mi, ale tunel jest już zalany. Jeśli pamiętasz, biegł niżej niż ta sala i był znacznie niższy...

Zamrugła gwałtownie - nie zdawała sobie sprawy, że woda przybiera aż tak szybko.

- No dobrze - zmusiła się do spokoju. - Jeśli jednak dotrzemy do schodów, zdołamy wspiąć się do fortecy, tak?

- Nie rozumiesz - ujął jej dłoń. - Zalany został cały tunel, a to oznacza sto metrów bez powietrza, jeśli nie więcej, bo następna sala też może już być pełna.

- Trans hibernacyjny? - zasugerowała. - Czy jak się tam nazywa to, czego użyłeś, żeby się wydostać z bazy piratów i dotrzeć do „Gwiezdnego Lodu”.

- Za późno: prąd nie zdoła przepchnąć nas przez tunel, bo jest za słaby: właśnie zapełnia się następne pomieszczenie. To z nas, które nie byłoby w transie, utopi się, zanim zdąży wybudzić drugie, a w tym stanie pływać raczej się nie da. Artoo nagle pisnął nerwowo. - Widzę - uspokoił go Luke. - Co widzisz?!

- Że poziom wody zaczął się ponownie podnosić - przyznał niechętnie. - Co oznacza, że sala za tunelem jest pełna, a tunele prowadzące w głąb jaskiń mają mniejszą średnicę: są wprawdzie odpływami, ale zbyt wolnymi na tę ilość wody. Obawiam się... Mara spojrzała na drugą stronę pomieszczenia - otwór w ścianie zniknął pod wodą, której nadal przybywało. Wcale zresztą nie musiała tego widzieć - czuła ją coraz wyżej wokół siebie.

- Zaraz na początku, jak tylko się zjawiłeś - powiedziała wolno - poradziłam ci, żebyś wracał, bo z pomocą Qom Jha dam sobie radę w fortecy. Odpowiedziałeś mi, że musisz tu być i że bym nie pytała dlaczego. Luke westchnął i odparł:

- Na planecie Tierfon miałem wizję. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że zniknęłaś... widziałem cię leżącą w wodzie otoczonej poszarpanymi skałami. Wyglądałaś... - Jakbym utonęła? - Tak.

- No, cóż... - przyznała po chwili milczenia. - Przynajmniej będę miała satysfakcję, że sama to sobie zrobiłam.

- Nie poddawaj się tak łatwo - jego ton przeczył jednak słowom. - Musi istnieć jakiś sposób.

- Szkoda - zignorowała jego wypowiedź. - Nie możesz o tym wiedzieć, ale po naszym spotkaniu przy bazie Cavrilhu, Faughn stwierdziła, że tworzylibyśmy dobry zespół. Miała baba rację. Byliśmy naprawdę dobrzy.

- Jesteśmy - poprawił, spoglądając prawie nerwowo w jej oczy. - Wiesz, kiedy walczyliśmy z tymi droidami, coś mi się przytrafiło... a raczej coś się z nami stało... Byliśmy tak blisko w Mocy, jakbyśmy się stali jednością... To było coś wyjątkowego... coś specjalnego...

Mara przyjrzała mu się uważniej, unosząc brwi. Mimo powagi sytuacji, na widok miny Luke'a w jej oczach błysnęło rozbawienie.

- Doprawdy? - spytała niewinnie. - Jak specjalnego?

- Nie ułatwiasz mi, wiesz?

- Powinieneś się przyzwycząić. Jeśli dobrze pamiętam, nigdy ci niczego nie ułatwiłam, prawda?

- Powiedzmy, że nieczęsto - widać było, że zbiera się w sobie; w końcu ujął jej drugą dłoń i wypalił:

- Mara... wyjdiesz za mnie? - Jak wydestaniemy się stąd żywi? - uściśliła. - Niezależnie.

Przez moment zastanawiała się, czy nie podroczyć się z nim trochę, ale doszła do wniosku, że w tych warunkach byłaby to bezsensowna dziecinada. - Wyjdę - powiedziała po prostu.

# R O Z D Z I A Ł 4 0

Kolejny strzał z turbolaserów zrykoszetował po osłonie siłowej „Dominacji”, wyraźnie widoczny przez transparystalowy bąbel. Ktoś przesądny mógłby to uznać za omen, Leia, podchodząca właśnie do głównego stanowiska kontroli lotów, nie była przesądna. Była natomiast zdecydowana, a to, co zamierzała zrobić, niemal na pewno oznaczało koniec kariery politycznej, być może nawet śmierć, ale mogło uratować Hana. I tylko to się liczyło.

Stała za sternikiem i ponad jego ramieniem przyjrzała się pulpitowi - opisy były naturalnie po ishoiańsku, ale sam pulpit, standardowy model Kuat Drive Yards, znała doskonale. Sięgnęła po Moc i przesunęła dźwignię napędu podświetlnego. Naturalnie pierwszy, choć dopiero po chwili, zorientował się sternik. Zaklął cicho i przesunął dźwignię w pozycję neutralną. Leia pchnęła ją ponownie, tym razem zmieniając też kurs okrętu tak, by kierował się ku komicie. Sternik zaklął głośniejszym głosem i złapał za dźwignię...

Tyle że tym razem ani drgnęła, zablokowana przez Moc. Gdy zaskoczony sternik przestał ją ciągnąć, Leia skorzystała z okazji i dla odmiany zwiększyła prędkość. Sternik odroczył, spojrzawszy na kapitana i kątem oka dostrzegł Leię, stojącą cały czas za jego plecami.

- Co tu robisz? - wrzasnął, odwracając się ku niej i zapominając o uprzejmości. - Straż!

Leia odwróciła głowę i nie zmniejszając działania na dźwignie, użyła Mocy, by odebrać zbliżającym się Mori blastery i rąbnąć nimi o pokład z siłą, od której pękły kolby.

- Pani senator! - Av'muru zerwał się z fotela. - Co pani robi? Zamiast odpowiedzi pchnęła dźwignię dalej.

- Nie! - zawył sternik i skoczył ku Leii z niedwuznacznym zamiarem uduszenia jej gołymi rękoma.

Leia złapała go Mocą w pół skoku i cisnęła ponad pierścień ekranów. Wylądował z hukiem na pokładzie, po którym przejechał jeszcze parę metrów, by znieruchomieć pod tylną ścianą.

- Straż! - wrzasnął Av'muru. - Wszyscy do mnie!

Ponownie skoncentrowała się na dźwigni, zwiększając szybkość okrętu, a kiedy poczuła zbliżające się niebezpieczeństwo, odczepiła od pasa miecz. Znajdujący się po przeciwnej stronie mostka strażnicy unieśli broń i strzelili, ale zablokowała strzały włączonym ostrzem. Wyrwała im karabiny, przyciągając je tym razem do siebie i rozcinając w locie na połowy.

- Przestań natychmiast! - zażądał Av'muru, podchodząc miarowym, stanowczym krokiem. - Albo ogłoszę wypowiedzenie wojny Nowej Republice w imieniu Konfederacji Ishori.

- Cały system i my wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, czego nikt z was, idiotów pochłoniętych własnymi wojenkami, nie chce zrozumieć - odparła głośno, żeby słyszeli ją wszyscy na mostku. - Dlatego byłam zmuszona zadziałać za was. Ktoś tu musi myśleć i wypadło na mnie.

- Rzykujesz wojnę między Isht i Coruscant - wrzasnął głośnie, nadal idąc ku niej. - Masz czas do namysłu, zanim do ciebie dojdę. Jeżeli zwrócisz mi okręt, nie zamelduję o tym.

Kątem oka dostrzegła Gawisoma, który także ruszył w jej stronę ze swego miejsca - był na wysokości kapitana... Została jej do zagrania jeszcze jedna karta... - Nie mieszajmy do tego Nowej Republiki - oznajmiła. - Skoro nic nie rozumiesz, prościej będzie, jeśli zrezygnuję z członkostwa w Wysokiej Radzie w Senacie. Od tej chwili jestem prywatną osobą.

- W takim razie zrezygnowałaś z immunitetu dyplomatycznego! - warknął tryumfalnie Av'muru.

Gavrisom dotarł do niego i teraz obaj z równą prędkością posuwali się ku Leii, choć sądząc po kroku, Gawisom starał, się dotrzeć do niej jako pierwszy. Prawdopodobnie chciał ją sam powstrzymać, żeby zminimalizować szkody polityczne, które właśnie spowodowała. Jednak było już za późno i powinien zdawać sobie z tego sprawę.

- Przebywasz na pokładzie okrętu wojennego Ishori - dodał Av'muru. - A karą za bunt na pokładzie jest śmierć.

I to zamykało sprawę - słowo „bunt” automatycznie oznaczało, że kapitan zamierza zastosować wobec niej ishoriańskie prawo wojskowe. Jeśli Leia go nie posłucha, zrobi wszystko co w jego mocy, żeby ją powstrzymać, używając wszelkich sił i środków, a jako kapitan miał ich sporo. Wydawało się mało prawdopodobne, aby mu się to udało, nim dotrą do komety, ale za jeszcze mniej prawdopodobne należało uznać, że Leia obroni się bez rozlewu krwi. A jeśli jej działanie spowoduje czyjąś śmierć - nawet od rykoszetu z jego własnej broni - Ishori będą się domagać jej głowy. Z czym się zresztą liczyła. Av'muru i Gavrisom prawie do niej doszli...

Nagle Gavrisom wysunął się na prowadzenie i stanął w wąskim przejściu między dwiema konsolami. Zablokował całe przejście i zmusił Av'muru do zatrzymania się. - Myli się pan, kapitanie Av'muru - powiedział wyraźnie i głośno. - Ogłaszam, że ten okręt znajduje się pod bezpośrednim dowództwem Nowej Republiki.

- To prezydent Nowej Republiki też jest zdrajcą?! - ryknął Av'muru, próbując się przepchnąć, na co nie miał najmniejszych szans. - Odsuń się, albo umrzesz wraz z nią! - Nikt nie umrze, bo nie ma mowy o zdradzie, chyba że to pan zostanie o nią oskarżony, odmawiając oficjalnemu żądaniu reprezentanta władz Nowej Republiki w sytuacji zagrożenia. Mówi o tym punkt drugi paragraf czterdziesty drugi Traktatu o Sojuszu. I proszę uprzejmie, panie kapitanie: wśród cywilizowanych istot rozumnych obowiązują pewne zasady wzajemnego odnoszenia się do siebie.

Av'muru przestał się przepychać, ale za to zawył aż echo poszło:

- Opowiada pan nonsensy, panie prezydencie! Nikt nie składał oficjalnej prośby o przejęcie dowództwa!

- Traktat nie precyzuje formy, w jakiej się to odbywa - poinformował go spokojnie Gavrisom. - Jego autorzy postąpili tak celowo, bo nagłych sytuacji nie da się przewidzieć, i zazwyczaj wymagają one elastyczności i szybkiego działania. W tym przypadku procedurę rozpoczęła swym działaniem senator Leia Organa Solo, będąca członkiem Wysokiej... - Sama zrezygnowała!

- Będąca członkiem Wysokiej Rady, gdy przejmowała kontrolę nad okrętem, kierując go ku przewidywanemu zagrożeniu.

Av'muru zamilkł, przyjrzał mu się z namysłem, potem popatrzył na Leię i z powrotem przeniósł wzrok na Gavrisoma.

- Nie spodziewa się pan chyba, że Konfederacja zaakceptuje taką nedorzeczność! - ryknął.

- O tym, co Konfederacja zaakceptuje, będziemy dyskutowali później. Chciałbym także zwrócić panu uwagę, że groźba wypowiedzenia wojny była bez pokrycia, ponieważ diamałańskie zagłuszanie uniemożliwia panu połączenie się z dowództwem czy w ogóle z kimkolwiek. Dlatego też decyzja należy wyłącznie do pana, kapitanie. Musi ją pan podjąć, uwzględniając wymogi prawa, moją pozycję jako prezydenta Nowej Republiki oraz słowa Rycerza Jedi o grożącym pańskiemu okrętowi niebezpieczeństwie. Av'muru aż drżał ze zdenerwowania, jego spojrzenie gorączkowo przeskakiwało to na Gavrisoma, to na Leię, to w przestrzeń za oknem. Leia skorzystała z okazji i upewniła się, że „Dominacja” faktycznie leci prosto ku komecie. - Sternik! - krzyknął Av'muru.

- Tak, mój kapitanie? - spytał niepewnie wywołany.

- Wracać na stanowisko! - polecił Av'muru donośnie, lecz już znacznie spokojniej. - Utrzymać kurs wyznaczony przez Rycerza Jedi Leię Organę Solo i dać pełną naprzód! - Tak, mój kapitanie!

Sternik bardzo ostrożnie obszedł Gavrisoma, który odsunął się z przejścia, po czym grzecznie odczekał, aż Leia także da mu wolną drogę i niepewnie siadł w fotelu. - Kurs i prędkość zgodnie z rozkazami, mój kapitanie - zameldował po chwili.

- Proszę tedy, pani senator - Gawisom wskazał drogę końcówką skrzydła. - Lepiej usunąć się załozde z drogi, prawda? Razem odeszli poza pierścień ekranów. - Dziękuję powiedziała cicho Leia.

- Spełniłem tylko swój obowiązek - stwierdził i dodał: - słyszałem często, że Calibopy są dobrzy tylko w słowach. Czasami jednak właśnie słowa powinny poprzedzać akcję.

- Fakt - przyznała, przyglądając się komecie i mając nadzieję, że zdąży na czas.

- Mamy obydwie statki, panie kapitanie - zameldował oficer dowodzący prawoburtowymi emiterami promieni ściąających. - To dwa frachtowce produkcji koreliańskiej: serie YT-1300 i Action II.
- Doskonale - warknął Nalgol, nadal zirytowany niezapowiedzianą zmianą planów: grupa dywersyjna będzie miała sporo do wyjaśnienia po zakończeniu całej akcji. Na szczęście „Tyran” gotów był do wykonania zadania, którego realizację zaczną od zajęcia się szpiegami.
- Proszę ściągnąć ich bliżej, poruczniku - polecił. - I upewnić się, że nie są w stanie uciec. - Nie uciekną, sir. Nalgol wyczuł za sobą czyjąś obecność.
- Posłał pan po mnie, sir? - spytał Oissan.
- Co z tą listą celów, którą miał pan przygotować?
- Wstępna lista jest już gotowa, panie kapitanie. Spodziewaliśmy się, że będziemy mieli więcej czasu...
- Ale jak widać, czas nam się skończył - przerwał mu Nalgol, wyraźnie zde gustowany. - Proszę wracać i brać się do pracy. Mamy jeszcze około dwóch godzin, nim ci dumie skończą się wzajemnie wyrzynać i wejdziemy do akcji.
- Tak jest, sir. Będzie pan potrzebował moich ludzi do przesłuchania jeńców? - Jakich jeńców? - No... załóg tych frachtowców, sir.
- Nie będzie żadnych jeńców.
- Ale powiedział pan...
- Poleciałem jedynie ściągnąć ich trochę bliżej, bo nie chcę, żeby jakieś szczątki znalazły się poza zasięgiem pola, gdzie ktoś mógłby je zauważyć - warknął Nalgol. Popatrzył przez okno na YT-1300, który nadal desperacko manewrował, próbując wyrwać się promieniom ściąającym, i dodał: - Jeszcze minuta lub dwie i przestaną stanowić problem. Definitywnie.
- O, proszę! - Lando wskazał za okno. - A nie mówiłem? Ishori są mądrzejsi i postanowili sprawdzić to zagrożenie.
- Raczej uciekają, nie chcąc zginąć - odparł spokojnie Miatamia. - Albo uważają, że manewrując w otwartej przestrzeni łatwiej się obronią.
- Niech będzie, ale i tak nie możecie pozwolić im odlecieć.

- Nie szukamy zemsty. Przerwaliśmy ich niczym nie sprowokowany atak na Bothawui i to nam chwilowo wystarczy. - A co z naszym zakładem? - przypomniał Lando.

- Jeżeli to zagrożenie naprawdę istnieje, a Ishori rzeczywiście go szukają, na pewno sami potrafią je znaleźć, więc nie ma potrzeby, żeby i nasze okręty narażały się na niebezpieczeństwo.

Lando spojrział na oddalający się okręt - nie miał pojęcia, jak Leia tego dokonała, ale leciała ku komicie i kryjącemu się w jej pobliżu nieznanemu. Problem w tym, że jeśli wszystko zaplanował Thrawn, niespodzianka musiała być godna - na pewno przekraczająca możliwości pojedynczego krążownika...

- Rozumiem - stwierdził z całkowitą obojętnością, jak bezstronny obserwator. - I nie wątpię, że Ishori są wręcz uszczęśliwieni tym stanem rzeczy.

- A jakie znaczenie ma ich samopoczucie? - Miatamia połknął przynętę.

- Żadne - Lando wzruszył ramionami. - Tylko pomyślałem sobie, że jeśli zdecydowali się rozpocząć walkę na serio, to potrzebują posiłków, a poza zasięgiem waszego zagłuszania będą je mogli spokojnie wezwać.

- Nie zrobią czegoś podobnego! - senator położył uszy po sobie.

- A dlaczego? - zdziwił się uprzejmie Lando. - Przecież od dawna uważają, że wszyscy Bothanie powinni zapłacić za współudział w zniszczeniu Caamas. Na ich miejscu też uznałbym okolice Bothawui za wręcz idealne do załatwienia wszystkich porachunków z wami, zwłaszcza że część planetarnego pola nie działa. Wszystkie wraki i szczątki, które dzięki temu spadną na Bothawui, będą z ich punktu widzenia darmową premią.

Miatamia już dopadł interkomu i wyrzucał z siebie zdania z szybkością sprzężonych działek laserowych. Lando odwrócił się, spoglądając w przestrzeń i powstrzymując oddech i uśmiech...

A potem już tylko uśmiech - dwa diamalańskie okręty, które obserwował, zaczęły powoli zmieniać kurs i nabierać prędkości lecąc za krążownikiem. W chwilę później cały obraz zaczął się przesuwać - ich okręt poszedł w ślady oddalających się jednostek. - Z całą pewnością nie skontaktują się z nikim, dopóki generator pola w Drev'starn nie zostanie naprawiony - poinformował go Miatamia, odchodząc od interkomu. - Potem mogą sobie robić, co zechcą.

- Też pięknie. Uważasz, że wystarczy wam do tego tylko trzy okręty?

- Zasugerowałem kapitanowi, żeby wezwał wszystkie nasze okręty znajdujące się w okolicy. - Na wypadek, gdybym jednak miał rację?



- Jak już mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu, niespodziewane może się jednak zdarzyć. - Miałam zastrzygł uszami. - Wierzymy, że należy być przygotowanym na taką ewentualność.

- Trzymaj się! - poradził Han, próbując najpierw ostrego skrętu na prawą, a potem na lewą burzę, co na nic mu się nie przydało: nadal tkwili w wiązce promieni ściąających.

Wprawdzie górne działka „Sokoła” strzelały przez cały czas, ale ogień zdalnie sterowany z kabiny był znacznie mniej celny i nie udało mu się jeszcze trafić w żaden emiter.

- Lewoburtowy stabilizator ponownie traci synchronizację - poinformował go Elegos. - Możesz go poważnie uszkodzić takimi próbami.

Han zaklął - owszem, mógł stracić stabilizatory. Mógł też rozwalić napęd albo stopić działko czy uszkodzić kadłub, gdyby dzięki temu udało mu się uwolnić „Sokoła”. Choćby potem „Sokół” nadawał się tylko na złom. Niszczyciel klasy Imperial w polu nie-widzialności oznaczał zasadzkę, a jej organizatorzy z całą pewnością nie zaryzykują pozostawienia przy życiu świadków. Elegos najwyraźniej jeszcze na to nie wpadł.

- A może byśmy się poddali? - zaproponował właśnie. - Tak? A dlaczego?

- Żeby uniknąć zagłady, naturalnie. Carib najwyraźniej doszedł już do tego wniosku.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Han, rozglądając się wokół. Dotychczas tak był skoncentrowany na próbach uwolnienia się, że nie zwracał uwagi na poczynania drugiego frachtowca.

- Mówię o tym, że nie próbuje samozniszczenia w bezsensownych manewrach - wyjaśnił Elegos i pokazał Hanowi, gdzie ma szukać frachtowca, o którym mówił. Frachtowiec Cariba rzeczywiście wisiał nieruchomo od strony sterburty, znacznie bliżej niszczyciela niż „Sokół Millennium”. I nie próbował się wyrwać, co było bez sensu - Carib i pozostali musieli przecież doskonale zdawać sobie sprawę, że znaleźli się w sytuacji wykluczającej możliwość poddania się. Nic nie wskazywało na to, że już zginęli, więc rodziło się podejrzenie, że ich przyłączenie się do Nowej Republiki było oszustwem, na które nawet Leia dała się nabrać. Nim Han umocnił się w tym mniemaniu, w głośniku zachrobotło i rozległ się głos. - Han? Tu Carib. Przygotuj się. - Na co?

- A jak myślisz? I mam prośbę: gdyby się nie udało, dopilnuj, żeby nasze rodziny wiedziały, jak skończyliśmy i żeby dostały jakieś pieniądze. Zgoda? Bezgranicznie zdumiony Han spojrzał na Elegosa.

- Zgoda - odparł Elegos z równie ogłupiałą miną. - Osobiście tego dopilnuję. - W porządku. Miło było was poznać.

W głośniku trzasnęło, a Han spojrzał na frachtowiec, czując, jak coś zimnego pełnie mu po

plecach... A frachtowiec eksplodował. - Co...? -jęknął Elegos.

- Patrz! - polecił Han, chwytając stery. - I lepiej się czegoś trzymaj!

Płonące szczątki rozproszyły się wokół wraz z powietrzem uchodzącym z wnętrza Action II i zaczęły dryfować ku niszczycielowi, przyciągane wiązką promieni. A z chmury dymu wypadło dwanaście Interceptorów.

Załoga niszczyciela potrzebowała mniej niż pięciu sekund, aby zareagować na to nowe i całkowicie niespodziewane zagrożenie, ale w tym przypadku nawet tak krótki czas okazał się zbyt długi - Interceptory dotarły do kadłuba i pomknęły wzdłuż niego, zwijając się w unikach przed ogniem laserów obrony przeciwlotniczej i niszcząc kolejne emitory promieni ściągniętych. Han obserwował to zafascynowany, przypominając sobie opowieści o legendarnych wyczynach Soontira Fela. Jemu pospieszyła na pomoc pełna eskadra Felów.

Nic więc dziwnego, że po parunastu sekundach „Sokół” został uwolniony.

- Trzymaj się! - przypomniał Elegosowi, kończąc przerwany skręt i ruszając na pełnym ciągu silników.

I natychmiast zaczął serię wariackich uników, ponieważ dowódca niszczyciela, widząc, że ofiara ucieka, rozkazał otworzyć ogień z turbolaserów. Myśliwiec można było trafić tylko przez przypadek, „Sokół” stanowił znacznie łatwiejszy cel. - Przygotowałeś nadajnik, żeby ostrzec tę bandę kretynów? - spytał Han, jednym okiem obserwując wskaźnik osłon rufowych. Jeśli stracą je, nim dotrą do granicy pola... - Jestem gotów i nadajnik też - zapewnił Elegos. - Jak tylko... I jęknął.

Han odwrócił głowę i tuż obok burty zobaczył znajomy do obrzydliwości kształt Interceptora. Odruchowo sięgnął po sterownik działek. .. i odetchnął z ulgą - na płacie baterii słonecznej myśliwca dostrzegł godło Nowej Republiki. Nieco dalej zobaczył kolejne Interceptory, tak samo oznakowane i lecące w tym samym kierunku. A potem otaczająca ich ciemność zniknęła i zobaczyli gwiazdy.

- Nadawaj! - polecił. - Na wszystkich częstotliwościach! Elegos odchrząknął.

- Nie sądzę, aby to było konieczne - powiedział spokojnie. Zaskoczony Han odwrócił się.

I omal się nie udusił z wrażenia - od strony Bothawui nadlatywało kilkanaście jednostek liniowych.

W głośniku gwizdnęło i znajomy głos spytał: -Han?

- Słyszę cię, Lando. Uważajcie, w polu niewidzialności przy jądrze komety kryje się imperialny niszczyciel. - Rozumiem. Te Interceptory są z tobą?

- Jak najbardziej ~ Han uśmiechnął się: Carib i pozostali utworzyli klasyczną formację eskortową wokół „Sokoła”. - Możesz zorganizować jakieś wsparcie? - Generale Solo, tu senator Miatamia -

odezwał się nowy głos. - Przekazaliśmy pańskie ostrzeżenie na wszystkie sprzymierzone z nami okręty wraz z prośbą o pomoc. - Doskonale - ucieszył się Han. - Proponuję, żeby włączyć w to także Ishori i pozostałych. Chyba będziemy potrzebowali wszystkiego, co jest zdolne do walki. - Han? - w głosie Leii słychać było równocześnie napięcie i ulgę. - Jesteś cały? - Cały i zdrowy. Przyleciałaś z Ishori? - Tak. Kapitan ciągle nie jest pewien... - Leia?!

- Już jest pewien - dodała ponuro. - Teraz już nikt nie ma nawet cienia wątpliwości.

Han wykonał ciasny skręt i spojrzał przed dziób. Imperialny dowódca, zdając sobie sprawę, że jego plany zostały pokrzyżowane, wyłączył generator pola. I wszyscy mogli zobaczyć, co nadlatuje od strony jądra komety. Były to trzy niszczyciele klasy Imperial.

- No... - Han odetchnął głęboko. - To starczy dla każdego.

# R O Z D Z I A Ł 4 1

- Meldunek z dowództwa bazy, panie admirale - zameldował oficer łącznościowy. - Przeciwnik uszkodził kolejne dwa emiterzy promieni ściągających.

- Niech natychmiast przystąpią do naprawy uszkodzonych i uruchomią trzy następne emiterzy - polecił Thrawn.

Stojąca z boku Paloma powiedziała coś do Karoly, ale tak cicho, że Disra, oddalony od nich zaledwie o parę kroków, nie zrozumiał. - Jakies pytania? - spytał, podchodząc.

- Mówiłam Karoly, że nie podoba mi się to wszystko - odparła z niesmakiem D'asima. - Bawi się z nimi bez sensu. Dlaczego ich po prostu nie zniszczy?

- Wielki admirał Thrawn jest wybitnym strategiem, a strategia często wymaga subtelności. - Disra miał nadzieję, że użył tonu, który zniechęci ją do dalszych pytań. Prawdę mówiąc, sam nie bardzo rozumiał, co Tierce chciał osiągnąć, ale major stał spokojnie obok Thrawna, jak przystało na prawdziwego adiutanta, należało więc sądzić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Thrawn musiał usłyszeć tę wymianę poglądów, ponieważ powiedział coś Tiercemu, który skinął głową i podszedł do Disry i Mistryl.

- Pan admirał słyszał pani pytanie i polecił mi wyjaśnić, w czym rzecz - powiedział, stając tak, żeby mówiąc do D'asimy jednocześnie obserwować poczynania Bel Iblisa. - Nie chodzi mu o zabicie generała Bel Iblisa i zniszczenie jego okrętu. Wręcz przeciwnie: chce pojmać go żywego i zdobyć nie uszkodzony niszczyciel. Jednak, jak pani widzi, generał Bel Iblis jest człowiekiem dumnym i upartym, toteż trzeba go przekonać, że nie ma żadnych szans. Dlatego admirał Thrawn umożliwia mu podjęcie próby uwolnienia się dowolnie wybraną metodą.

- I udowadnia, że opór jest bezcelowy - dodała Paloma już bez niesmaku, choć nadal widać było, że nie pochwała tej taktyki. - Przy okazji za każdym razem zwiększając liczbę promieni, gdy Bel Iblisowi uda się wyłączyć z akcji któryś emiter. - Właśnie - Tierce uśmiechnął się szeroko. - Admirał Thrawn zawsze szanował swoich przeciwników.

- Choć naturalnie sojuszników traktuje nieporównywalnie lepiej - wtrącił Disra, uważając, że nie zaszkodzi przypomnieć, w jakiej roli tu przybyła.

- Panie admirale - odezwał się ponownie oficer łącznościowy. - Koordynator zewnętrznego pasa umocnień prosi o pilną pomoc w rozprawieniu się z grupą myślicców typu X, które przedarły się

przez zewnętrzną osłonę. Disra zaniepokojony spojrział na Tierce'a.

- Co takiego? - spytał ostro.

- Zaraz to sprawdzę - sądząc po głosie, Tierce też był zaskoczony, ale panował nad sobą na tyle, by nie podbiec do Thrawn: źle by wyglądało, gdyby zdradził, jak ważną rolę odgrywa w podejmowaniu decyzji.

Thrawn natomiast wyglądał tak, jakby wszystko przebiegało zgodnie z planem. - O jakie myśliwce chodzi, poruczniku? - spytał spokojnie. - Proszę to wyjaśnić. Po kilku sekundach oficer odezwał się ponownie, ale tym razem to on był zaskoczony:

- O te same, o których meldował dziesięć minut temu generał Hestiv, sir. Przedostały się, lecąc tuż za naszym transportowcem, sir.

- Za naszym transportowcem? - powtórzył Thrawn, kładąc nacisk na słowo „nasz”. - Imperialnym, sir - porucznik poprawił się pospiesznie. - Najprawdopodobniej z dostawą zaopatrzenia, bo jak twierdzi koordynator, podał aktualnie obowiązujące kody i hasła, sir.

- Jestem pewien, że podał - warknął Thrawn. - A generał Hestiv po prostu zapomniał nas o tym drobiazgu poinformować! Majorze Tierce, pozwól pan do mnie. - Tak jest, sir- Tierce przyspieszył kroku. - Mam zlokalizować ten transportowiec, sir?

- Ma się rozumieć - potwierdził Thrawn, jakby to właśnie zamierzał zlecić-i...

I nagle zamarł z wytrzeszczonymi oczami.

- Może się pan nie fatygować, majorze - rozległ się nieoczekiwanie znajomy głos zza pleców Disry. - Transportowiec, o który chodzi, zajmuje stanowisko siódme na pokładzie hangarowym tego niszczyciela.

Powoli, nie wierząc własnym uszom, Disra odwrócił się. To, co słyszał, było niemożliwe...

Ale było prawdą. Słuch go nie mylił - w wejściu na główną część mostka stał we własnej osobie cały i zdrowy admirał Pellaeon.

Okręty Imperium utraciły część przewagi, jaką daje element zaskoczenia, a ujawnienie ich obecności błyskawicznie zakończyło bitwę na orbicie Bothawui. Jednak, mimo że trwało tak krótko, starcie okazało się poważniejsze niż można było sądzić; na ekranie taktycznym „Dominacji” widzieli to wyraźnie. Z prawie dwustu okrętów krążących wokół planety przed oddaniem pierwszego strzału, zdolnych do walki zostało sto osiem, a i tak prawie każdy miał jakieś uszkodzenia.

- Jesteśmy słabsi, zgadza się? - spytał Gavisom, przyglądający się wraz z Leią danym na holoeckranie.

- Obawiam się, że tak - przyznała. - Zwłaszcza że niszczyciele są w pełni sprawne, mają wypoczęte załogi i zapewne pełen kontyngent myśliwców pokładowych.

- A nie wszystkie nasze okręty pozostaną, kiedy rozpocznie się walka i ocenią własne szanse - dodał Gavisom, poruszając lekko skrzydłami. - Pomimo oficjalnego użycia punktu dwa paragraf czterdzieści pięć prawda jest taka, że nadal chcemy, żeby walczyli w obronie Bothan i ich planety.

- Na co przynajmniej połowa nie ma najmniejszej ochoty - zgodziła się Leia.

- Leia? - dobiegło z głośniczka jej komlinku. - Jestem, Han. Co z tobą?

- Nic. Przestali do nas strzelać, jak tylko was zobaczyli. Posłuchaj: Elegos przeliczył siły obu stron i żaden z nas nie jest specjalnie zadowolony z wyniku.

- Podobnie jak my. Gavisom wezwał wszystkie znajdujące się w okolicy okręty Nowej Republiki, ale najbliższe zdołają tu dotrzeć za dwie, trzy godziny.

- Może będę miał więcej szczęścia - rzucił Han podejrzanie obojętnym tonem. - Fey'lya przebywa teraz na Bothawui?

- Sądzę, że tak - odparła z namysłem. - Dlaczego pytasz? - Wiesz, jak się z nim skontaktować?

- Częstotliwość jego prywatnego komlinku masz w komputerze pokładowym „Sokoła” pod jego nazwiskiem. Po co ci Fey'lya?

- Bo zamierzam pobawić się w dyplomatę. Spróbujcie trochę zająć te niszczyciele. Cichy trzask oznaczał koniec połączenia.

- Zająć! - mruknęła Leia. - Chyba tylko strzelaniem do nas.

- Jest jeszcze coś - Gavisom potrząsnął grzywą. - Coś bardzo ważnego i nie cierpiącego zwłoki. Ta flota składa się z istot nie ufających sobie nawzajem. Dlatego musimy znaleźć dowódcę, któremu wszyscy zaufają albo przynajmniej zechcą go tolerować.

- To akurat powinno się udać - Leia sięgnęła po komlink i wybrała inną częstotliwość - Lando? - Słucham, Leia?

- Lando, na życzenie prezydenta Gavisoma proszę cię o natychmiastowy powrót do służby w Siłach Zbrojnych Nowej Republiki z zachowaniem ostatniego stopnia oraz o objęcie dowództwa tego wydzielonego zespołu obronnego. Słysząc było, jak Lando traci mowę.

- To żart? - wykrztusił po chwili bez przekonania.

- Absolutnie nie, generale Calrissian - zapewnił go Gawisom. - Jako bohater Bitwy o Endor, że nie wspomnę o Bitwie o Taanab, jest pan dokładnie tą osobą, której potrzebujemy.

W odpowiedzi usłyszeli pełne rezygnacji westchnienie.

- Klóciłbym się, gdybym miał szansę was przekonać. Zgoda, przyjmuję i stopień, i dowództwo. Chociaż byłoby milej, gdybyście mi dali trochę więcej okrętów pod komendę.

- Jak pan generał sobie życzy - wtrącił się Han. - Czego się nie robi dla równych stopniem... obejrzyj się. Nie tylko Lando się obejrzał.

Leia zrobiła to jako jedna z pierwszych i zamarła z otwartymi ustami: z powierzchni Bothawui startowały dziesiątki okrętów. Dobra setka była już w przestrzeni i kierowała się ku nim - owszem, w przeważającej większości były to jednostki niewielkie i nie pierwszej młodości, na przykład Z-95 Headhunter, ale znajdowały się wśród nich także kanonierki typu Skipray i parę pomniejszych okrętów liniowych, jak monitory czy korwety. A granice atmosfery opuszczały wciąż nowe. - Han! - jęknęła. - Jak tego dokonałeś?!

- Dyplomatycznie. Przypomniało mi się coś, co Thrawn powiedział nam na Bastionie: że Fey'lya ma prywatną armię. Prywatna flota wydawała się logiczną konsekwencją, więc połączyłem się z tą kupą futra i uświadomiłem mu, że każdy przedstawiciel rasy bothańskiej, który pomoże bronić Bothawui, będzie miał w najbliższej przyszłości znacznie lepszą pozycję niż pozostali.

- I to wszystko jest jego?! - Leia nadal nie bardzo wierzyła własnym oczom.

- Nie całkiem - przyznał Han. - Jakoś tak wyszło, że nie mogłem utrzymać wiązki, pewnie przez te uszkodzenia w starciu z niszczycielem, i naszą rozmowę słyszeli również inni. Tak według mnie, to z połowa Bothawui.

- I naturalnie argument trafił do wszystkich. - Leia nareszcie zrozumiała. - Mówiłam ci ostatnio, że jesteś genialny?

- Nie. Ale się nie obrażam, byłaś zajęta. To co? Jesteśmy gotowi?

- Jesteśmy - potwierdziła. - Generale Calrissian: pański zespół uderzeniowy czeka na rozkazy!

Przez długą jak wieczność minutę mostek wydawał się zawieszony w czasie i przestrzeni. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Disra zamarł o dwa kroki od Mistryl, z twarzą wykrzywioną nienawiścią niedowierzaniem i strachem. Tierce znieruchomiał o parę kroków od Thrawna, przyglądając się przybyszowi z nieodgadnioną miną. Dorja i pozostali oficerowie oraz członkowie

załogi zastygli na stanowiskach, a ci, którzy znajdowali się poniżej poziomu podłogi i nie widzieli, co zaszło, dowiedzieli się tego błyskawicznie sposobem równie starym jak marynarka wojenna i zniżyli głosy do szeptów.

- Admirale Pellaeon - ciszę przerwał wreszcie modulowany głos Thrawna, tak jak się Pellaeon spodziewał. - Witam na pokładzie „Niezlomnego”. Obawiam się, że jakoś umknęła nam nowina o pańskim przylocie. - Podobnie jak mnie ta o pańskim powrocie.

- Kwestionuje pan decyzje wielkiego admirała?! - warknął Disra, odzyskując głos. - Wręcz przeciwnie - zapewnił go Pellaeon. - Zawsze darzyłem wielkiego admirała Thrawna najwyższym szacunkiem.

- Dlaczego więc wśliznął się pan na pokład w taki właśnie sposób? - Tierce również ożył i podszedł bliżej, stając obok Karoly D'ulin. - Ma pan coś do ukrycia? Czy też sprowadza pana zdrada lub inne matactwo?

Pellaeon przyjrzał mu się z pogardą i bez słowa przeniósł wzrok na Mistryl.

- Obawiam się, iż nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni - skłonił lekko głowę. - Jestem admirał Pellaeon, Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium.

- Już nie - oznajmił tryumfalnie Disra. - Głównodowodzącym jest wielki admirał Thrawn!

- Doprawdy? - Pellaeon przyjrzał mu się lodowato. - Nie zostałem poinformowany o jakichkolwiek zmianach w dowodzeniu. Kolejne przypadkowe przeoczenie? - Ostrożnie - poradził cicho Tierce. - Wchodzi pan na niepewny teren, admirale. - Myli się pan, majorze - Pellaeon potrząsnął głową. - Niebezpieczny teren ma pod nogami pan... eksceleńcja moff Disra... i pan, panie Flim. Disra podskoczył jak porażony prądem.

- O czym pan bredzi? - warknął, ale coś zadrżało w jego głosie, a w oczach pojawiła się panika, niczym u kogoś, kto widzi zbliżającą się nieuchronną zagładę. - Nie bredzę, tylko mówię - Pellaeon podniósł głos, żeby słyszano go w całym pomieszczeniu. - Mówię o wysokiej klasy oszuście, poddanym operacji plastycznej, którego pełną historię wraz ze szczegółowymi hologramami i kompletnym profilem genetycznym mam tutaj.

I wyjął z kieszeni datakartę, po czym dodał, spoglądając na Flima:

- Zechce mi pan towarzyszyć do najbliższej sekcji medycznej i poddać się testowi? - Ale myśmy sprawdzili jego profil genetyczny, sir - wtrącił się kapitan Dorja. - Kapitan Nalgol pobrał próbkę skóry i porównał z danymi w aktach wielkiego admirała Thrawna. Wyniki się zgadzały.

- Dane można zmienić, kapitanie - przypomniał mu Pellaeon. - Zwłaszcza kiedy się piastuje wystarczająco wysokie stanowisko, żeby mieć do nich dostęp. Kiedy wrócimy na Bastion, może pan porównać zawartość tej datakarty i oficjalne dane z akt Thrawna. - Dane na datakarcie jeszcze



łatwiej zmienić - głos Tierce'a był spokojny, ale pobrzmiewało w nim coś jadowitego. - Jest pan świadkiem, kapitanie Dorja, ostatniej żalosnej próby podważenia autorytetu wielkiego admirała Thrawna, wywołanej zazdrością i obawą utraty stanowiska i prestiżu. Widzi pan, wielki admirał Thrawn wybrał pana, Nalgola i innych. Tego właśnie Pellaeon nie może strawić.

Dorja spojrział na Pellaeona, nawet nie próbując ukryć, że jest kompletnie oszołomiony.

- Zawsze ufałem pańskim osądom i pańskiemu słowu, sir - powiedział. - Ale w tym wypadku...

- Na tej datakarcie są też inne ciekawe informacje - przerwał mu Pellaeon, przyglądając się Tiercemu. - Na przykład historia i pełne akta osobowe pewnego imperialnego oficera. Niejakiego majora Grodina Tierce'a.

Tierce odwrócił się powoli do Pellaeona i tym razem w jego oczach czał się mord. - A co konkretnie mówi ta historia? - spytał łagodnie.

- Mówi, że major Tierce był jednym z najlepszych szturmowców, a potem oficerów tej formacji w dziejach Imperium - odparł rzeczowo Pellaeon. - Mówi o jego błyskawicznej karierze i awansach oraz o tym, jak w wieku dwudziestu czterech lat został wybrany spośród wielu innych jako kandydat do Imperialnej Gwardii, ukończył trening i został Czerwonym Gwardzistą. I o tym, że jego lojalność w stosunku do Imperatora i Nowego Ładu były niepodważalne. A także o tym, jak dowodząc kompanią szturmowców zginął na Generis w czasie kontrofensywy wielkiego admirała Thrawna. Dziesięć lat temu!

Na mostku ponownie zapanowała cisza absolutna. Tym razem nie była ona jednak efektem zaskoczenia, lecz szoku.

- Jesteś klonem! - głos Disry był ledwie rozpoznawalny. - Jesteś zwykłym zasranym klonem!

Tierce powoli odwrócił ku niemu głowę i prychnął pogardliwie.

- Zwykłym klonem, tak? Zasranym klonem, tak, Disra? Ja nie jestem zwykły, a ty jesteś ignorant i kretyn - rozejrzał się i dodał. - Nikt z was nie wie, kim naprawdę jestem. Fakt, zostałem sklonowany, ale jestem kimś wyjątkowym. Zawsze byłem! - To może byś nas oświecił - zaproponował cicho Pellaeon. Tierce spojrział nań z nienawiścią.

- Powiem wam - warknął. - Jestem pierwszym z nowego pokolenia wojowników, jakich dotąd nie widziano w galaktyce. Wojowników-przywódców, łączących w sobie siłę i znajomość walki szturmowca z lojalnością i wiedzą Gwardzisty oraz taktycznym geniuszem Thrawna. Naszym zadaniem miało być dowodzenie podbojami. Nikt nie zdołałby się nam oprzeć!

Na mostku nadal panowała cisza, więc rozejrzał się wokół - tak oficerowie, jak i pozostali, którzy mogli go widzieć, przyglądali mu się albo z fascynacją, albo z obrzydzeniem.

- Nie rozumiecie?! - wrzasnął. - Thrawn sklonował najlepszego oficera sił specjalnych, ale w trakcie tego procesu dodał mu część siebie. W trakcie nauczania błyskawicznego Tierce częściowo poznał geniusz strategiczny Thrawna. Ty, Disra, wiesz o tym najlepiej, choć długo nie zdawałeś sobie z niczego sprawy: manipulowałem tobą od samego początku, ledwie zostałem twoim adiutantem. Piraci, Preybirdy i cała reszta to były moje pomysły, podsuwane ci stopniowo czy to jako sugestie, czy jako odpowiednie informacje, czy jeszcze inaczej, ale zawsze potrafiłem skłonić cię do działania pod moje dyktando, i to tak, że nawet o tym nie wiedziałeś. Cały czas byłeś przekonany, że realizujesz swoje własne pomysły. Wszyscy to widzieliście! To ja zajmowałem się taktyką, nie Flim, tylko ja! Samodzielnie opracowałem wszystkie plany i całą strategię tej kampanii. Ja, nie ten niebieski figurant! I jestem w tym dobry, tak jak chciał tego Thrawn. Udowodniłem to! Mówiłeś, Disra, o Ręce Thrawna jako o ostatecznej broni Wielkiego admirała. Ja mogę być tą bronią, choć nie jestem Ręką Thrawna. Mogę zastąpić Thrawna; wszystko, co zaplanowałem, zakończyło się sukcesem. Mogę pokonać Nową Republikę! Wiem, że mogę!

- Nie może pan - sprzeciwił się Pellaeon. - Wojna została zakończona. Tierce podskoczył, jakby go coś ukąsiło.

-Nie! -warknął, odwracając się ponownie do Pellaeona. -Nic się nie skończyło i nie skończy, dopóki nie zdobędziemy Coruscant i nie zemścimy się na rebeliantach! Pellaeon przyjrzał mu się z odrazą i żalem.

- Niczego pan nie rozumie i niczego pan nie zrozumiał - powiedział ze smutkiem. - Thrawn nigdy nie interesowała zemsta. Jego celem zawsze był ład, stabilizacja i siła pochodząca z jedności i wspólnego celu.

- A skąd ty wiesz, co interesowało Thrawna?! Masz część jego umysłu? Masz?! - Powiedziałeś, że jesteś pierwszym z nowego pokolenia -Pellaeon też przeszedł na ty. - Wiesz, dlaczego pozostałeś jedynym?

- Thrawnowi skończył się czas - oczy Tierce'a przygasały. -Zginął pod Bilbringi... Ty pozwoliłeś mu zginąć pod Bilbringi.

- Nieprawda - Pellaeon lekko uniósł datakartę. - Twoje klonowanie zostało zakończone dwa miesiące przed jego śmiercią. To aż za dużo czasu, żeby przy metodzie stosowanej przez Thrawna wyprodukować rzeszę innych. A innych nie było dlatego, że eksperyment, którego jesteś efektem, nie powiódł się.

- Bzdury! Nie jestem efektem jakiegoś nieudanego eksperymentu! Przypatrz mi się... jestem dokładnie tym, czego chciał Thrawn!

- Thrawn chciał mieć dowódcę, który byłby wybitnym taktykiem, a dostał dobrego taktycznie szturmowca. Bo ty nie jesteś żadnym dowódcą, a jedynie, jak sam przed chwilą powiedziałeś, zwykłym manipulatorem. Nie masz przed sobą żadnego celu poza zemstą.

Tierce rozejrzał się gorączkowo, jakby szukał poparcia.

- To bez znaczenia - burknął. - Istotne jest tylko to, co mogę zrobić. Mogę pokonać rebeliantów, tylko dajcie mi trochę czasu.

- Nie mamy czasu - oznajmił stanowczo Pellaeon. - A wojna się skończyła. Kapitanie Dorja, proszę wezwać straż na mostek. Po czym odwrócił się.

A raczej zaczął się odwracać, bo w tym momencie Tierce ruszył do akcji.

Pierwszą ofiarą została Karoly, jako najgroźniejszy przeciwnik - trafiona krótkim, ostrym i zupełnie niespodziewanym ciosem w splot słoneczny zgięła się wpół. Tierce wyjął z jej dłoni blaster, który się tam nagle pojawił, i odwracając się zastrzelił Palomę, zanim jeszcze Karoly dotknęła pokładu. Kontynuował błyskawiczny obrót i właśnie zamierzał zakończyć go serią wymierzoną w Pellaeona, gdy z boku i z tyłu admirała coś błysnęło i Tierce odskoczył, klnąc na czym świat stoi i wypuszczając broń. Blaster poleciał szerokim łukiem w bok, uderzył o pokład i przejechał po nim parę metrów, po czym zniknął w jednej z wnęk załogowych. Tierce natomiast, nie tracąc czasu na wyjmowanie z nadgarstka ozdobnej szpili zeriji, skoczył ku Pellaeonowi. Ten cofnął się odruchowo, ale mógł sobie oszczędzić wysiłku - obok przemknęła Shada i o kilka metrów przed nim przechwyciła napastnika w połowie drugiego skoku.

Nastąpiła błyskawiczna wymiana ciosów i było po wszystkim.

- Kapitanie Dorja, proszę wezwać na mostek medyków - polecił Pellaeon, podczas gdy Shada przeszła nad dziwacznie skręconym ciałem przeciwnika i pospieszyła do leżącej na pokładzie D'asimy. - I proszę przekazać wszystkim siłom imperialnym rozkaz natychmiastowego przerwania ognia.

- Tak jest, panie admirale. Jednakże... - Dorja nagle urwał.

- On próbuje panu powiedzieć, że wszyscy spodziewają się rozkazu wydanego przez wielkiego admirała Thrawna - wyjaśnił Flim, niewiele, ale jednak wystarczająco odmiennym niż dotąd tonem, żeby większość obecnych zaczęła pojmować, kim naprawdę jest. - Jeśli pan pozwoli?

- Proszę bardzo.

Flim odwrócił się do oficera łącznościowego i poczekał na znak, że łączność z załogą bazy została nawiązana:

- Tu wielki admirał Thrawn. - Przemówił, ostatni raz wcielając się w tę postać. - Wszystkie jednostki Imperium mają natychmiast przerwać ogień! Powtarzam: natychmiast przerwać ogień! Generale Bel Iblis, proszę polecić swoim siłom zachować się podobnie. Potem proszę czekać na wiadomość od admirała Pellaeona.

Odetchnął głęboko, a wraz z wydychanym powietrzem zdawała się go opuszczać aura przywództwa i wyjątkowości. Po chwili na mostku stał zwyczajny niebieskoskóry mężczyzna w białym uniformie. Wielki admirał Thrawn odszedł ponownie.

- I chciałbym jeszcze panu powiedzieć, admirale, jak bardzo się cieszę, że pan się tu zjawiał - dodał Flim, podchodząc do Pellaeona. - To był czysty żywy koszmar. - Wierzę - przytaknął poważnie Pellaeon. - Ale o tym porozmawiamy później. Przyznaję, że ciekawią mnie niektóre aspekty pańskich poczynań.

- W takim razie będę na pana czekał z niecierpliwością.

- Ja także - Pellaeon spojrzał wymownie na Disrę. - I może mi pan wierzyć, że się pospieszę.

# R O Z D Z I A Ł 4 2

Szum, który towarzyszył gwałtownemu przyborowi wody, ucichł; ojej ruchu świadczyło jedynie powolne, acz stałe podnoszenie się poziomu lustra w pomieszczeniu. Tym donośniejszy wydawał się plusk wywołany przez spadające z sufitu wielkie kawały skały odcięte mieczem świetlnym Luke'a, który w najwyższym punkcie sklepienia próbował wyciąć w skale przejście na górę.

- Chyba marnujesz czas i energię - oceniła Mara po wyjątkowo głośnym chlupnięciu, wywołanym przez większy od innych blok. - Tam jest lita skała i nic więcej. - Obawiam się, że możesz mieć rację - przyznał, zmieniając chwyt wokół jej ramion: oboje byli mokrzy i zaczęli trząść się z zimna. - Miałem nadzieję przebić się do reaktora, ale już byśmy tam byli, gdyby się znajdował nad nami.

- Pewnie jest ze dwadzieścia metrów z tyłu - spróbowała opanować szczykanie zębów. - Nie zdążymy... Nie zaczynają cię boleć uszy?

- Tak - niechętnie wyłączył miecz i sprowadził go do swej dłoni: przebicie się przez sufit było ostatnim pomysłem, na jaki wpadł. - Następuje kompresja powietrza, co powinno spowolnić podnoszenie się wody.

- I dać nam twarzowy wytrzeszcz. Myślisz, że jest szansa, żeby górna część tego pomieszczenia znajdowała się powyżej poziomu jeziora? Bo gdyby tak było, mielibyśmy szansę przebić się poziomo.

- A jeśli nie jest, utopimy się własnoręcznie. Prawdę mówiąc, nie sądzę, aby była wyżej.

- Też mi się tak wydawało - zgodziła się z zalem, spoglądając na Artoo. - Szkoda, że stracił czytnik, mógłby użyć sensorów i sprawdzić, czy się nie mylimy. Sprawdzić może nadal, tylko my nie zrozumiemy, co odkryje.

- Zaraz! - Luke wpadł na nowy pomysł. - Możemy posłać go do tego przejścia, którego użyliśmy pierwszy raz. Dam mu swój miecz i niech je powiększy. - Nic z tego - potrząsnęła głową, rozpryskując wokół krople wody z włosów. - Cały rejon zawiera cortosis. Sprawdziłam, korzystając z wolnej chwili. - Podejrzywałem, że znajdzie się jakaś przeszkoda.

- Zaskoczyło cię to? - złośliwość przy szczykających zębach nie wychodziła jak należy. - Szkoda, że nie mamy pod ręką jakiegoś Ciemnego Jedi do ubicia... Pamiętasz jak łupnęło, kiedy zginął Cbaoth?

- Pamiętam - mruknął Luke, który niezbyt miło wspominał klona Mistrza Jedi, pomagającego Thrawnowi dziesięć lat temu. Thrawn... klon... nagle coś mu zaczęło świtać.

- Mówiłaś, że cortosis jest słabym budulcem, prawda? Jak silną ma strukturę?
- Kruszy się pod nogami, sama to zauważyłam po drodze. Resztę znam z opowieści. A poza tym nie mam zielonego pojęcia. Dlaczego pytasz?
- Mamy tu aż za dużo wody, a woda nie spręża się tak jak powietrze. Gdybyśmy zdołali wywołać wystarczająco silny wybuch, fala uderzeniowa powinna spokojnie dotrzeć aż do przejścia, a jeśli będzie dostatecznie silna, może je poszerzyć i płynąć dalej.
- Pomysł dobry, tylko jak chcesz zmagistrować ten wybuch?
- Musimy rozciąć transparistal i zalać tamtą alkową.
- No, proszę! - mimo zmęczenia wyczuł jej podziw. - Faktycznie jesteś pomysłowy. Tam jest przecież generator fuzyjny Braxxon-Fipps 590 i jak się go utopi, to będzie większy wybuch niż możesz przypuszczać. Może się okazać nawet za silny dla nas. - Zdaję sobie sprawę z ryzyka, ale to nasza ostatnia szansa - odparł, puszczając ją i barierkę. - Zaraz wracam.
- Nie! - oświadczyła, wstając i chwytając go za ramię. - Ja to zrobię!
- Jak cholera! To mój wariacki pomysł i moje wykonanie.
- Tak? - skrzyżowała ręce na piersiach. - To oświeć mnie, jak się robi rozcięcie Paparaka. -Co?!
- Rozcięcie Paparaka - powtórzyła. - Taki sposób cięcia ściany znajdującej się pod naprężeniem, żeby puściła w mniej więcej minutę po zakończeniu pracy. Umożliwia przeżycie całej operacji. Mnie nauczył tego Palpatine w ramach szkolenia dywersyjnego, a ciebie kto?
- Nikt - przyznał niechętnie. - Ale powiesz mi, jak to się robi?
- Podobnie, jak się zostaje Jedi - prychnęła. - To trzeba pokazać, nie powiedzieć. - Mara...
- Zresztą to z nas, które będzie cięło, musi zostać naprawdę szybko przeniesione jak najdalej od miejsca eksplozji, a ja wątpię, czy dam radę przenieść cię wystarczająco szybko i wystarczająco daleko - dodała cicho. - A poza tym nie chcę tu siedzieć i patrzeć, jak mi się nie udaje.
- Luke spojrział na nią średnio życzliwie, ale miała rację. I oboje o tym wiedzieli. - To szantaż, wiesz?
- spytał z początkami uśmiechu.
- To zdrowy rozsądek - poprawiła go. - Właściwa osoba do właściwego zajęcia. Chyba że zapomniałeś poprzednią lekcję. Powtórzyć!?
- Litości! - jęknął, gładząc ją po policzku. - W porządku, ja się zajmę transportem, a ty pracami rozbiórkowymi. Tylko uważaj na siebie, dobrze?

- O to się nie martw - zapewniła, odpinając miecz od pasa. - Jestem gotowa.

Luke sięgnął po Moc i przeniósł ją ponad barierką prosto ku przezroczystej ścianie, a potem powoli opuścił do wody. Mara wzięła serię głębokich oddechów zwiększających pojemność płuc i zanurkowała, kopiąc gwałtownie. Artoo zagwizdał nerwowo.

- Nic jej nie będzie - zapewnił go Luke, wpatrzony w spienioną wodę.

Czuł jej myśli, kiedy manewrowała wzdłuż ściany, tnąc krótko i z namysłem. Skoncentrował się jeszcze bardziej i wyczuł zmiany w przepływie wody wokół Mary, gdy zaczęła się przesączać przez świeżo zrobione pęknięcia. Jeśli woda popłynie szybciej i dotrze do generatora, nim Mara skończy... Spróbował pogonić ją w myślach, ale sprzeciwiła się - ściana nie była jeszcze wystarczająco osłabiona, toteż pozostało mu jedynie opanować strach i niecierpliwość.

Przypomniało mu się, że zaledwie przed tygodniem przyrzekał sobie nikogo nie kochać, bo to zawsze sprowadzało na wybrankę nieszczęście. Przed oczami stanęły mu Gaeriel i Callista... Teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie znalazła się Mara. Poczował zmianę w jej emocjach... I nagle jej głowa przebiła powierzchnię wody - Gotowe! - sapnęła, łapiąc powietrze.

Nim skończyła mówić, uniósł ją i przyciągnął najszybciej jak potrafił, po czym przeniósł nad barierką i położył na zalanych paroma centymetrami wody kamieniach. Sam położył się na wszelki wypadek na niej, ochraniając ją własnym ciałem, i spytał: - Kiedy?

Spróbował równocześnie utworzyć wokół nich pole, które choć trochę osłoniłoby oboje przed wybuchem.

- W każdej chwili - odparła stłumionym głosem. - A tak na przyszłość: żebyś mi się nie ważył próbować obojętności w stosunku do kogokolwiek dlatego, że ten ktoś może przez to ucierpieć. Zwłaszcza do mnie. I jeszcze jedno: ja nie jestem panienka z morskiej piany czy inny wykwit komputera, jasne? - Miałaś tego nie słyszeć...

Przerwał mu stłumiony huk, po którym dał się słyszeć wcale nie stłumiony łoskot, gdy rozpadła się przezroczysta ściana. A parę sekund później błysnęło tak, że zobaczył to przez zaciśnięte powieki...

Odgłos samego wybuchu nie był aż tak głośny, jak się Luke spodziewał, za to ryk fali, która ich zalała, zrekompensował go w dwójnasób. Z trudem wytworzone pole prysnęło jak bańka mydlana i obojgiem miotnęło na ścianę, z powrotem na barierkę, potem znowu na ścianę i tak parę razy. Na szczęście za każdym razem coraz słabiej. Trzymając kurczowo Marę w objęciach pożałował, że nie pomyślał, by przywiązać Artoo do barierki...

I równie nagle, jak się wszystko zaczęło, tak też się uspokoiło - woda przestała nimi miotać i opadła, zostawiając ich na kamieniach, mokrych i nieco poobijanych, ale nie uszkodzonych. Luke otrząsnął się i uniósł na łokciu, rozglądając się wokół. Palił się tylko jeden panel oświetleniowy - reszta nie przetrwała - ale i w tym oświetleniu zauważył, że poziom wody gwałtownie opada. - Udało się! -

oznajmił radośnie.

- A niech mnie...! - sapnęła, wypluwając wodę. - I co teraz? Skaczemy i płyniemy z prądem?

Przechylił się, spoglądając ku wejściu - jeśli nie było zalane pod sufit... Było.

- To nie jest aż takie proste - odparł. - Prąd zanieś nas do jaskiń, ale pozostaje problem przepłynięcia tunelu i ewentualnie następnej sali.

- To może lepiej poczekać, aż poziom wody wystarczająco opadnie?

- Nie możemy! Nie wiem, dlaczego, ale nie możemy czekać.

- Przeczucie Jedi - powiedziała zrezygnowana. - No to pozostaje jedynie trans leczniczy. Jak szybko możesz mnie w niego wprowadzić?

- Prawie natychmiast, tylko najpierw weź parę głębokich oddechów i zdecyduj, co mam powiedzieć, żeby cię wybudzić. To muszą być przynajmniej dwa słowa. - Dwa słowa, powiadasz? - spytała dziwnie ostrożnie. - No dobrze, zobaczymy, czy zdołasz je wymówić. I powiedziała mu, co wymyśliła.

- Spróbuję - uśmiechnął się i sięgnął po Moc.

Minutę później Mara spoczywała bezwładnie w jego ramionach, jak martwa.

- Ty pierwszy, Artoo - polecił droidowi, unosząc Marę i delikatnie opuszczając w wodę. - Będziemy zaraz za tobą.

Artoo ćwierknął i pomknął w stronę tunelu, zanurzony po kopytę. Luke skoczył w ślad za nim z Marą w ramionach - prąd porwał ich natychmiast i pchnął w stronę wyjścia, a potem w głąb tunelu. Nim do niego wpłynęli, Luke wziął głęboki oddech i znurkował, zwalniając częściowo funkcje organizmu.

Reszta podróży była zamazanym wrażeniem szybkości, obijania się o gładkie ściany i wcale nie takie gładkie głązy oraz okazjonalnych wynurzeń dla złapania tchu, gdy przepływał przez wyższe rejony, gdzie zachowały się kieszenie powietrzne. Prąd pchał ich przez kręte korytarze i sale, przez które wędrowali razem przez tyle dni. Mętnie uświadomił sobie w którymś momencie, jak dobrze się stało, że wycięli tyle stalaktytów i stalagmitów, bo inaczej nie mieliby szans na przeżycie tej podróży - nawet gdyby nie rozbili głów, to zapewne zaklinowałiby się między skalnymi naciekami. Nagle ocknął się, w pół leżąc w wodzie, z głową i ramionami na śliskim gładzie, obudził go przeraźliwy świergot Artoo.

- Dobra, dobra - wymamrotał, potrząsając głową. - Już jestem, nerwusie... I nagle zeszywniał - Mara zniknęła.



Zdrętwiałymi palcami wygrzebał z kieszeni pręt oświetleniowy, włączył go i rozejrzał się. Tkwił w płytkim zbiorniku - woda sięgała mu trochę powyżej pasa - na brzegu ostatniej z podziemnych rzek, które przekroczyli w czasie wędrówki z Qom Jha. O pięć metrów w lewo silny prąd, który ich tu przyniósł, zamierał i przechodził w zwyczajną, wartko płynącą rzekę. A o dwa metry w prawo od niego, obok poszarpanej skały, unosiła się bezwładnie, twarzą do dna, Mara. Wyglądała jak świeży topielec. Dokładnie tak jak w jego wizji.

Śmiertelnie przerażony rzucił się w tamtą stronę i uniósł jej głowę nad powierzchnię wody. - Jeśli uderzyła o coś wystarczająco silnie, mogła zginąć mimo transu, a nie pamiętał, kiedy wymknęła mu się z objęć...

Z tyłu dobiegło zniecierpliwione gwizdnięcie Artoo.

- Dobrze - zgodził się, opanowując nagłą panikę: żeby zyskać pewność musiał jedynie wypowiedzieć wybudzającą sekwencję słów wybraną przez Marę.

Tak niedawno zastanawiała się, czy Luke zdoła wypowiedzieć na głos te słowa... Wziął głęboki oddech i powiedział: . - Kocham cię, Maro.

Jej powieki drgnęły i zamrugowała gwałtownie.

- Cześć - sapnęła. Odetchnęła głęboko, po czym złapała go za ramię i wstała. - Widzę, że się nam udało.

- Udało się - wziął ją w ramiona, czując, jak opuszczają go napięcie i strach, a ich miejsce zajmuje ulga: to, co widział w Mocy, minęło, a Mara przeżyła. I byli razem. Na zawsze. - Na zawsze - potwierdziła.

Rozluźnili nieco uścisk i nie wychodząc z zimnej wody pocałowali się.

Minął subiektywnie naprawdę długi czas, nim Mara łagodnie uwolniła się z objęć Luke'a.

- Trochę zdrowego rozsądku - zaproponowała. - Oboje trzęsiemy się z zimna, a do domu daleka droga... Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- W podziemnej rzece. Przekraczaliśmy ją za pierwszym razem - odparł, niechętnie wracając do rzeczywistości. - Aha. A nasza prywatna powódź? - Skończyła się. Albo opróżniliśmy jezioro...

- Co wydaje się naprawdę mało prawdopodobne.

- Właśnie - zgodził się. - Albo wypływ wody został w jakiś sposób całkowicie zablokowany.

- Mogła się zawalić ściana w pomieszczeniu Thrawna. - Odgarnęła z twarzy mokre włosy. - Albo aparatura klonująca zatkała wyjście.

- Cokolwiek to było, zdążyliśmy w ostatniej chwili.

- Przydatna rzecz te przeczucia Jedi. Musisz mnie nauczyć, jak to się robi.

- Popracujemy nad tym - obiecał, brodząc ku brzegowi. - Jeśli dobrze pamiętam, Qom Jha mówili, że ta rzeka wpada do małego wodospadu. - No to go poszukajmy.

Kolejna fala Skipray'ów przemknęła wzdłuż kadłuba, „Tyra”, zasypując go gradem ognia z dział laserowych. Za nimi dwa krążowniki Ishori znalazły się wreszcie w zasięgu skutecznego ognia i ich turbolasery odpalały z maksymalną szybkostrzelnością, waląc w śródkręcie.

- Dwa następne turbolasery z prawej burty zniszczone - zameldował oficer ogniowy. - Przebicia kadłuba w części dziobowej, uszczelniają je ekipy awaryjne, panie kapitanie.

- Dobrze - potwierdził Nalgol przez zaciśnięte zęby.

To, co się działo, było nie do pomyślenia: trzy niszczyciele klasy Imperial przegrywały walkę ze zbieraniną okrętów i obcych! Owszem, zadawały im ciężkie straty, ale przeciwników było po prostu za dużo - na miejsce każdego zniszczonego czy ciężko uszkodzonego zdawały się pojawiać dwa nowe. W dodatku liczba tych małych i bardzo zwrotnych przeciwników ogłupiała systemy śledzenia celów i kontrolowania ognia. Obojętnie, czego by nie robili artylerzyści, zawsze jakieś nieostrzelane i niezauważone jednostki znalazły lukę w systemie obronnym i zdołały coś zniszczyć ogniem z bliskiego dystansu. A jeśli udawało się zdziesiątkować którąś z fal, to okręty liniowe, nie ryzykujące aż tak bliskiego kontaktu z niszczycielami, korzystały z chwili spokoju i przeładowywały któryś z generatorów pola, otwierając kolejny fragment kadłuba do ostrzału mniejszymi jednostkami. Nalgol zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak był dumny ze swej załogi czy okrętu, tej bitwy nie mógł wygrać.

Mógł jedynie uratować te okręty i tych ludzi dla Imperium.

- Proszę przekazać na „Eliminatora” i „Żelazną Rękę” rozkaz przerwania walki i wycofania się - polecił, nadal przez zaciśnięte zęby. - Powtarzam: przerwać walkę i wycofać się!

- Tak jest, panie kapitanie - potwierdził oficer łącznościowy.

- Jaki kurs, sir? - spytał sternik.

. - Krótki skok nadprzestrzenny w dowolnym kierunku. Potem proszę wziąć kurs na Bastion, wielki admirał Thrawn musi jak najszybciej o tym usłyszeć.

I Nalgol dał sobie w duchu słowo, że usłyszy, i to zdrowo.

Ujście rzeki do wodospadu nie było wcale takie miłe, jak Luke się spodziewał - okazało się zwykłą dziurą w ścianie, powiększoną przez powódź, która ich tu przyniosła. W jej pobliżu nie znalazł niczego, na czym można by stanąć albo chociaż się oprzeć - dopiero ponad pięć metrów w lewo znajdowała się skalna półka, którą zresztą dostrzegła Mara. Luke przeniósł tam ją i Artoo ponad rwącą wodą, a potem Mara zrobiła to samo z nim, tyle że wolniej i mniej pewnie.

- Wiesz może, po której stronie fortecy jesteśmy? - spytała Mara, rozglądając się w ciemnościach. - Albo ile zostało do świtu?

- Nie w stosunku do obu pytań - odparł, sprawdzając okolicę przy użyciu Mocy. Nie wykrył żadnego niebezpieczeństwa. - Prawdopodobnie po przeciwnej i pewnie zostało nam najwyżej dwie, trzy godziny.

- Zatem wykorzystajmy je na znalezienie jakiegoś schronienia - zdecydowała, przyglądając się zbocz. - Wolałabym nie przebywać na otwartym terenie, gdy Parek zacznie poszukiwania.

- I miejmy nadzieję, że nie znajdzie myśliwca, który pożyczylimy. Nie dość, że mógłby szybko dotrzeć na Bastion, to my stracilibyśmy sposobność odlecenia stąd. - Gdyby tak się stało, polecisz z Artoo po pomoc swoim myśliwcem.

- Ty polecisz z Artoo - poprawił ją zdecydowanie. - I tym razem bez żadnej dyskusji, obojętne... „Jedi Sky Walker?”

Luke zamilkł i spojrzał w górę - na głazie ponad nimi lądowało właśnie kilkanaście ciemnych kształtów, a głos tego, który się odezwał, brzmiał dziwnie znajomo. - To ja - powiedział. - Co cię sprowadza, Łowco Wiatrów?

„Mój syn poinformował wszystkie okoliczne gniazda o twoich wyczynach. Obserwowaliśmy okolicę Wysokiej Wieży, wypatrując waszego powrotu”.

- Dziękuję i doceniam wasze starania. Możesz nam pokazać jakąś kryjówkę w pobliżu? Musimy się ukryć przed mieszkańcami Wysokiej Wieży, dopóki nie będziemy w stanie wrócić do statku. Łowca Wiatrów rozłożył skrzydła.

„Nie musicie się nigdzie ukrywać, przeniesiemy was do latającej maszyny, tak jak mój syn i jego towarzysze zrobili to wcześniej tej nocy”.

Luke zmarszczył brwi - taka ofiarność i chęć pomocy w porównaniu z potraktowaniem go zaraz po przylocie na planetę wydały mu się mocno podejrzane. - To bardzo miłe z waszej strony - powiedział ostrożnie. - Można wiedzieć, dlaczego chcecie tak dla nas ryzykować?

„Rozmawiałem z negocjatorem Qom Jha. Zjadacz Ogniaków zgodził się zwolnić was z obietnicy

pomocy przeciwko Zagrożającym, jeśli natychmiast odleciecie z naszego świata".

- Inaczej mówiąc, nasza obecność jest przez was niemile widziana? - Luke poczuł, że się czerwieni.

„Dziecko Wiatrów powiedział, że Zagrożający nic nam nie zrobią, jeśli będziemy się trzymali od nich z daleka. Wasza obecność ich drażni, więc lepiej, żeby was tu nie było”.

- Nie ma to jak czuć się docenionym - podsumowała Mara.

- W porządku - uspokoił ją Luke, przypominając równocześnie, że sama domagała się, żeby na jakiś czas zostawić Parcka i jego podwładnych samym sobie i pozwolić im spokojnie kontynuować to, co robili dotąd, przez nikogo nie niepokojeni. Skoro Qom Jha i Qom Qae dobrowolnie mieli ochotę przestać ich irytować, tym lepiej. - Zgoda - przyznała niechętnie. - Ale on już nie jest Dzieckiem Wiatrów. Po tym, co przeżył i czego dokonał, zasługuje na własne, dorosłe imię.

„Tak?”. Łowca Wiatrów przyjrzał się jej z namysłem. „A jakie imię proponujesz?” - Takie, na które zasłużył swoim postępowaniem: „Przyjaciół Jedi”. Łowca Wiatrów ponownie rozłożył skrzydła.

„Zastanowię się”, obiecał. „Teraz musimy lecieć, bo noc się starzeje, a lepiej będzie, jeśli odleciecie przed wschodem słońca”.

- Ja także - Pellaeon spojrzał wymownie na Disrę. - I może mi pan wierzyć, że się pospieszę. Z przejścia za plecami admirała wyłonił się Karrde. - Spóźnił się pan - upomniał go łagodnie Pellaeon.

- Czekałem przy windach na wypadek, gdyby Flim lub jego wspólnicy doszli do wniosku, że pluton szturmowców stanowi przekonujący argument w każdej dyskusji. - Słusznie - zgodził się Pellaeon. - Nie pomyślałem o tym. Dziękuję.

- Żaden problem - Talon rozejrzał się po mostku: klon Tierce'a leżał martwy, Shada klęczała przy dwóch Mistryl, Flim obserwował to wszystko z wystudiowaną obojętnością, a Disra stał z boku, nadal nie do końca wierząc własnym oczom. - Poza tym nie wygląda na to, by moja obecność okazała się niezbędną.

- W tej części konwersacji rzeczywiście nie była. - Pellaeon uśmiechnął się. - Pańska przyjaciółka Shada istotnie wywiera piorunujące wrażenie. Nie sądzę, by interesowała ją zmiana pracodawcy?

- Cóż, szuka godniejszej sprawy niż moje poczynania, ale prawdę mówiąc, raczej wątpię, czy uzna za takową służbę dla Imperium. - Być może zdołamy to zmienić...

- Panie admirałe! - rozległ się głos oficera łącznościowego. - Mam połączenie z generałem Bel Iblisem, sir.

- Dziękuję - Pellaeon ruszył ku niemu i dodał, spoglądając na Talona: - proszę nie uciekać, nie dokończyliśmy rozmowy.

- Poczekam - zapewnił go Karrde. Podeszedł do Shady, która wraz z drugą Mistryl pomagała usiąść starszej kobiecie. - Co z nią?

- Nie tak źle, jak wyglądało - Shada odchyliła nadpaloną tunikę. - Zdążyła prawie usunąć się z linii ognia.

- Niezły refleks - pochwalił Talon. - Cóż: raz Mistryl, na zawsze Mistryl.

Siedząca przyjrzała mu się nieżyczliwie.

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany - warknęła.

- O wielu rzeczach - przytaknął spokojnie. - Między innymi i o tym, że z jakichś powodów jest pani poważnie niezadowolona z Shady.

- I może uważa pan, że to wyrównuje rachunki? - prychnęła pogardliwie.

- A nie? Gdyby nie zajęła się Tiercem, wy zginęłybyście natychmiast po Pellaeonie jako osoby stanowiące największe zagrożenie.

- Jestem Mistryl, panie Karrde. Przyzwyczaiałam się do świadomości, że mogę stracić życie, służąc moim rodakom.

- Rzeczywiście? - Talon spojrzał na młodszą. - Pani także uważa, że jej życie jest mniej warte od wdzięczności?

- Proszę nie mieszać w to Karoly! - warknęła stara rozkazująco. - W tej kwestii ona nie ma nic do powiedzenia!

- Aha, żołnierze bez własnego zdania i prawa głosu. Zadziwiająco podobna filozofia przyświecała Palpatine'owi przy tworzeniu imperialnych szturmowców. - Karoly już raz pozwoliła jej uciec - przyznała stara, spoglądając z wściekłością na winowajczynię. - Ma szczęście, że nie została za to ukarana. - Tak... rzeczywiście ma niesamowite szczęście.

- Skoro już pan skończył...

- Nie skończyłem - przerwał jej Karrde. - Skoro ma pani za nic życie Mistryl, to pani sprawa. A co z reputacją Mistryl? - O co panu chodzi?

- Prawie sprzymierzyłyście się z tą trójką, dając się nabrać na ładne słówka, wrażenie i resztę przedstawienia odegranego przez zwykłego oszusta. I niech się pani nie trudzi zaprzeczaniem: jedna z

Jedenastu nie opuszcza Emberlene dla fanaberii. - Ta kwestia nadal była dyskutowana - przyznała niechętnie, opuszczając wzrok.

- Miło słyszeć. Bo jeśli nawet ma pani reputację Mistryl tam, gdzie ich życie, radziłbym dobrze się zastanowić nad konsekwencjami, jakie ten związek miałby dla was. Disra jest mściwy i do perfekcji opanował sztukę manipulowania innymi. Jak pani sądzi, ile tygodni by minęło, nim Mistryl zostałoby jego prywatnym plutonem egzekucyjnym?

- Nigdy! - odezwała się pierwszy raz Karoly. - Nigdy byśmy tak nisko nie upadły! - Tak?! - warknęła Shada. - A w czym ci przeszkodziłam tamtej nocy na dachu? - To było co innego!

- Ochranianie wynajętego mordercy, w praktyce niczym się nie różni od mordowania za pieniądze - stwierdziła rzeczowo Shada.

- Ona ma rację dodał spokojnie Karrde. - A gdybyście raz weszły na tę drogę, oznaczałoby to koniec Mistryl. Spaliłybyście za sobą wszystkie mosty. Nikt poza najgorszym ścierwem w rodzaju Huttów więcej by was nie wynajął. A kiedy ten imperialny kant by się wydał, bo wydałby się prędzej czy później, nie miałybyście żadnej przyszłości. A wraz z końcem Mistryl nastąpiłby ostateczny koniec Emberlene. Po czym skrzyżował ręce na piersiach i czekał. Po paru sekundach stara skrzywiła się i spytała: - Czego pan chce?

- Odwołania grup pościgowo-egzekucyjnych, poniechania zarzutów przeciwko Shadzie i zdjęcia z niej Naznaczenia Śmiercią. - To dużo.

- Zrobiliśmy więcej - przypomniał jej Karrde. - Umowa stoi? Zawahała się, lecz w końcu niechętnie przytaknęła.

- Stoi. Ale już nie powróci do szeregów Mistryl ani teraz, ani nigdy. I nigdy nie postawi stopy na powierzchni Emberlene - dodała, zwracając pałające oczy na Shadę. - Od tej chwili jest kimś, kto nie ma domu i na nikogo nie może liczyć.

Talon spojrział na Shadę - miała zaciśnięte usta i ponurą minę, ale spokojnie wytrzymała ten wzrok i skinęła głową.

- Dobra - stwierdził. - Poszukamy jej nowego domu i kogoś, na kim naprawdę będzie mogła polegać.

- Gdzie? - parsknęła stara. - W pańskiej organizacji? U przemytnika i handlarza informacjami?! I kto mówi, jak nisko Mistryl może upaść!

Talon nie odpowiedział, bo na szczęście nie musiał, ponieważ w tym momencie mało go nie staranował pędzący w pośpiechu zespół medyczny. Odsunął się, obserwując, jak żandarmeria, która dotarła na mostek równocześnie z łapiduchami, z wprawą skanuje Flima i Disrę w poszukiwaniu broni, po czym skuwa ich i eskortuje w kierunku rufowej windy. Za nimi kolejna grupa niosła trupa

Tierce'a. - Panie Karrde?

Odwrócił się, słysząc swoje nazwisko - zbliżał się admirał Pellaeon.

- Muszę polecieć na „Błędnego Rycerza”, żeby osobiście porozmawiać z generałem Bel Iblisem - wyjaśnił oficer, gdy do niego dotarł. - Zanim jednak odlecę, chciałbym przedyskutować cenę informacji o Flimie i Tierce'u, które mi pan przywiózł. Talon wzruszył ramionami.

- Pierwszy raz w życiu nie wiem, jak mógłbym wycenić moje usługi. Datakartę dostałem w prezencie i wyznaczenie ceny za to, co zawierała, wydaje mi się nieco nieuczciwe.

- Aha - Pellaeon przyjrzał mu się z zaciekawieniem. - W prezencie od tych obcych, których okręt napędził tyle strachu mojej wachcie dyżurnej na orbicie Bastionu? - Od ich współpracownika, ale nie mam prawa wdawać się w szczegóły.

- Rozumiem. W takim razie, pomijając kwestie etyczne, które są zresztą dla mnie całkowicie zrozumiałe, chciałbym znaleźć sposób, by podziękować panu czymś konkretniejszym niż tylko słowami.

- Zobaczę, co uda mi się wymyślić - obiecał Karrde i dodał: -można wiedzieć, co pan zamierza przedyskutować z generałem Bel Iblisem?

Zapytany zaczął marszczyć brwi, ale przestał i wzruszył ramionami.

- To nadal tajemnica, lecz o ile znam pańską reputację, i tak szybko by się pan dowiedział, w czym rzecz. Chcę mu zaproponować traktat pokojowy między Nową Republiką i Imperium. Najwyższy czas zakończyć wreszcie tę wojnę.

- Co to się nie powyrabia, jak człowieka na chwilę poniesie na skraj znanej galaktyki - ocenił filozoficznie Talon. - Wprawdzie moje zdanie nie ma znaczenia, ale całkowicie popieram cel, jaki chce pan osiągnąć. I życzę panu powodzenia.

- Dziękuję. Proszę odlecieć, kiedy tylko będzie pan miał ochotę lub zostać, jak długo pan zechce. Wszystkie udogodnienia znajdujące się na „Niezlomnym” są do dyspozycji pana i pańskiej załogi. I jeszcze raz dziękuję.

Po czym odwrócił się i pomaszerował ku windzie. Talon przez chwilę spoglądał w ślad za nim, a potem popatrzył na Shadę obserwującą medyków układających postrzeloną na noszach. Miała minę kogoś, kto żegna ostatnią bliską osobę wywożoną do szpitala. I nagle przyszło mu coś do głowy. Coś, z czym można by się utożsamić i czemu warto byłoby się poświęcić... Coś więcej niż przemysł. .. coś, co byłoby ważne... - Panie admirał? - zawołał, idąc pospiesznie ku windzie.

- Tak? - Pellaeon zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Jeśli można, chciałbym się z panem wybrać na „Błędnego Rycerza”. Mam pewną propozycję, którą chciałbym panu przedstawić.

Obawy Luke'a dotyczące ostrzału lub pościgu ze strony Parcka i jego podwładnych nie sprawdziły się. Wprawdzie Ręka Thrawna pozostała cicha i mroczna, gdy wystartowali i opuszczali Niravan, ale i tak nie zrezygnował z wariackiego tempa lotu i gwałtownych manewrów. Odetchnął dopiero, gdy znaleźli się w nadprzestrzeni. Wreszcie byli w drodze do domu.

- Następny przystanek Coruscant - odsapnął, opadając na fotel drugiego pilota. - Następny przystanek najbliższa baza Nowej Republiki albo placówka organizacji Talona - poprawiła go rzeczowo. - Nie wiem jak ty, aleja na gwałt potrzebuję prysznic, nie wspominając o czystych rzeczach i czymś bardziej jadalnym niż żelazne racje. - Dobrze mówisz. Ale ty zawsze byłaś praktyczna.

- A ty idealistyczny: pewnie dlatego tak dobrze nam się razem pracuje. A' propos praktyczności: pamiętasz jak Artoo narobił wrzasku tuż przed atakiem droidów wartowniczych? - Pamiętam.

- Nigdy nie mieliśmy okazji sprawdzić, co go tak zbulwersowało.

- Teraz możemy nadrobić zaległości - wstał i wyszedł do wnęki, w której przebywał Artoo podłączony do pokładowego komputera. -No, Artoo: słyszałeś panią. Pochwal się, co cię tak wzruszyło w informacjach, które znalazłeś o Nieznanych Terytoriach.

Artoo bipnął, ćwierknął i gwizdnął, a na ekranie komputera pojawiła się bardziej czytelna odpowiedź.

- On mówi, że to nie ma nic wspólnego z Nieznanymi Terytoriami - poinformował Marę Luke. - Zresztą i tak nie zdążył zgrać nic więcej poza mapą i ogólnikami. - Wydawało mi się, że na niewiele starczyło mu czasu - przyznała z żalem Mara. - Za krótko był podłączony do komputera.

- Na pewno nie zawrócimy, żeby miał okazję nadrobić braki. - Luke nadal wpatrywał się w ekran, na którym droid prezentował swoje osiągnięcia. - Natomiast chodziło o coś innego, na co natknął się w czasie poszukiwań w zupełnie innych zbiorach... Mara wyczuła jego nagły szok, toteż czym prędzej spytała ostro: - Co się stało?

- Nie wierzę... - mruknął Luke, nadal czytając pojawiający się na ekranie tekst. - On to znalazł... Mara, znalazł to! - Cudownie. A co znalazł?

- Jak to, co? - Luke uniósł głowę i spojrzał na nią zaskoczony. - Pełną dokumentację dotyczącą zniszczenia Caamas, wraz z oryginalną listą bothańskich dywersantów!



# R O Z D Z I A Ł 4 3

Piętnaście dni później w zapasowym stanowisku dowodzenia niszczyciela klasy Imperial, „Chimera”, podpisano traktat pokojowy między Imperium a Nową Republiką. - Nadal twierdzę, że to ty powinnaś go podpisać - powtórzył Han, obserwując wraz z Leią i kilkudziesięcioma innymi obecnymi, jak Pellaeon i Gavrisom dokonują uroczystego złożenia podpisów, otoczeni tłumem dygnitarzy. - Zrobiłaś znacznie więcej niż on, żeby ten pokój osiągnąć.

- W porządku, Han - Leia ukradkiem otarła łzy: po tylu latach, zniszczeniach i ofiarach wreszcie osiągnęli cel. - Tak? To dlaczego płaczesz?

- Wspomnienia - uśmiechnęła się smutno. - Po prostu wspomnienia. Ujął jej dłoń i spytał cicho:

- Alderaan?

- Alderaan, obie Gwiazdy Śmierci, ty.

- Miłe, że znalazłem się w pierwszej trójce - uśmiechnął się ironicznie, rozglądając się po pomieszczeniu. - A jeśli już mowa o wspomnieniach, to gdzie jest Lando? Wiem, że nie lubi ceremonii, ale sądziłem, że tej nie opuści.

- Zmienił zdanie w ostatniej chwili. Wydaje mi się, że Tendra nie była zachwycona jego udziałem w wyprawie na Bastion, i to bez uprzedzenia. Zabrał ją na zakupy na Celanon w charakterze przeprosin.

- Silne kobiety - Han ze smutkiem potrząsnął głową. - I uparte. Zawsze w końcu człowieka dopadną.

- Uwważaj! - Leia dała mu sówkę w bok. - Zawsze lubiłeś silne i zdecydowane kobiety. Przyznaj się.

- Cóż, nie zawsze. Auć... No dobrze, bo mi żebra połamiesz! Lubię silne kobiety. - O co chodzi z tymi kobietami? - spytał Talon, stojący o parę kroków dalej po drugiej stronie Hana.

- Rodzinna wymiana poglądów - wyjaśnił Han. - Miło cię widzieć, Talon, ale jakim cudem nie jesteś w tej bandzie wysoko postawionych osobników?

- Prawdopodobnie z tych samych powodów, dla których was tam nie ma. Ujmijmy to tak: nie całkiem do nich pasuję.

- To się szybko zmieni, nie bój się - pocieszyła go Leia. - Zwłaszcza teraz, kiedy stałeś się szanowaną osobistością. Jak ci się udało przekonać Gawisoma i Garma do tego pomysłu połączonych służb

wywiadowczych?!

- Tak samo jak wcześniej przekonałem do tego Pellaeona. Po prostu uzmysłowiłem im, że podstawą stabilnego i długiego pokoju jest świadomość obu stron, iż druga nie planuje żadnych wrogich posunięć. Od tego jest wywiad, ale Imperium nigdy nie zaufa danym uzyskanym z waszych oficjalnych źródeł, a Nowa Republika ich danym tym bardziej - wzruszył ramionami. - A jedynym rozwiązaniem byłoby istnienie neutralnej organizacji współpracującej i nadzorującej obie strony. Jako że moja już istnieje, jest stosownie wyposażona i od lat operuje niezależnie, nie dając się wciągnąć w politykę, wybór był prosty. Zmieni się tylko to, że teraz zamiast prywatnym klientom będziemy dostarczali informacje dwóm rządóm.

- To się może udać - przyznał ostrożnie Han. - Biuro Statków i Okrętów funkcjonuje niezależnie od jakiegokolwiek rządu od wielu lat i wszyscy z nim współpracują. Może tobie uda się osiągnąć podobny efekt.

- Podoba mi się też, że będziemy otrzymywali informacje o wszystkim co dzieje się w systemach członkowskich - dodała Leia. - Wprawdzie Imperium także będzie je otrzymywało, ale Nowej Republice pomoże to dostrzec problemy, zanim staną się zbyt poważne, by dało się je rozwiązać w drodze negocjacji. Obserwatorzy, co prawda, właśnie tym się zajmują, ale jest ich zdecydowanie zbyt mało.

- To, że Luke i Mara przywieźli oryginalną listę, zdecydowanie uspokoiło sytuację, co nie znaczy, iż lokalne wojenki nie rozpalą się ponownie przy pierwszej lepszej okazji - ocenił pesymistycznie Han.

- Choć może następnym razem przywódcy będą ostrożniejsi, pamiętając, jak łatwo manipulował nimi Disra pod pretekstem lokalnych sporów czy wymyślonych obelg - wyraziła nadzieję Leia. - Strony co najmniej ośmiu konfliktów poprosiły już Nową Republikę o mediacje.

- Przyszłość na pewno w dużej mierze będzie zależała od wyroku w procesie dywersantów - stwierdził Karrde. - Swoją drogą zadziwiające, ilu ich jeszcze żyje. - Bothanie w ogóle długo żyją - zauważyła Leia.

Po przeciwnej stronie dostrzegła pogrążonych w rozmowie Garma i Ghenta, przy czym ten ostatni był wyraźnie unieszczęśliwiony koniecznością znalezienia się w tak oficjalnym gronie. Nieco dalej Chewbacca z wprawą pacyfikował rozgadaną trójkę jej dzieci: Jacen, Jaina i Anakin opowiadali bowiem z zapalem Barkhimkhakowi i dwóm innym Noghri, co im się przytrafiło w czasie pobytu na planecie Kaskyyyk. - Tak na marginesie, Luke powiedział wam, gdzie znalazł listę? - spytał Talon. - Bo ja nie zdołałem niczego wyciągnąć z Mary.

- Oboje są na ten temat dziwnie małomówni - odparła Leia. - Luke powiedział tylko, że muszą na spokojnie coś sobie przemyśleć, zanim podadzą nam szczegóły. Na pewno ma to związek z tym dziwnym myślicielem, którym przylecieli. Kiedyś w końcu nam powiedzą. Han chrząknął znacząco.

- A skoro już mowa o Luke'u i upartych kobietach... - zaczął ze złośliwą satysfakcją. - To jak sobie

poradzisz bez Mary?

- Z pewnymi problemami - przyznał Talon. - Była moją zastępczynią przez długi czas. Ale poradzę sobie, bez obaw.

- Tym bardziej, że masz całkiem niezłą następczynię- Leia też nie mogła się opanować. - Shada oficjalnie dołączyła do organizacji Talona, słyszałeś Han? - Słyszałem... - Han przyjrzał mu się z zainteresowaniem i odrobiną przekory. - Pamiętasz, jak cię kiedyś zapytałem, co byłoby potrzebne, żebyś się przyłączył do Nowej Republiki? Odpowiedziałeś pytaniem, co mnie do tego skłoniło i...

- Pamiętam! - przerwał mu ostro i z nietypowym dla niego zażenowaniem Karrde. - Bądź uprzejmy zauważyć, że nie przyłączyłem się do Nowej Republiki. A moje stosunki z Shadą nie są tego typu.

- Moje też nie były - przyznał Han z szerokim uśmiechem. -Przynajmniej na początku... Poczekamy. - Nie doczekasz się - zapewnił go Karrde.

- No - mruknął Han. - Pewnie.

Na planie niszczyciela pomieszczenie to nazywało się „dziobowe stanowisko triangulacji wzrokowej” i miało służyć do ręcznego kierowania ogniem, na wypadek gdyby przeciwnikowi udało się zniszczyć wszystkie anteny sensorów. Tej nocy było jednak prywatnym stanowiskiem widokowym.

Mara oparła się o chłodną transparistal, przyglądając się nieruchomym gwiazdom i zastanawiając się, jakie dalsze zmiany w jej życiu spowoduje podjęta decyzja. - Zdajesz sobie naturalnie sprawę, że wszyscy się zastanawiają, gdzie zniknęliśmy - powiedział Luke, podchodząc do niej z kubkami.

- Niech się zastanawiają - z przyjemnością wciągnęła aromat unoszący się nad podanym naczyniem.

Dworacy Imperatora traktowali gorącą czekoladę pogardliwie, jako napój dobry dla prymitywów i uwłaczający godności elity, to jest ich. Podwładni Talona, jak na ucziwych przemysłowców przystało, kręcili nosami czy innymi organami powonienia na wszelkie napitki niealkoholowe, bez wchodzenia w detale. Ale Mara zawsze lubiła czekoladę - dawała jej dziwne wrażenie stabilizacji i bezpieczeństwa, których zawsze jej brakowało. A poza tym była po prostu smaczna.

Na szczęście Luke też lubił czekoladę - przypominała mu młodość na Tatooine. - Leia rozmawiała z tobą o ślubie? - spytał, opierając się o przezroczystą ścianę obok niej i oburącz trzymając kubek.

- Jeszcze nie. Podejrzewam, że chciałaby widzieć jakąś wielką nadętą ceremonię w alderańskim stylu. - Chcieć by chciała, oczekiwać nie oczekuje.

- To dobrze - odetchnęła. - Wolałabym coś skromnego, kameralnego i spokojnego. Chociaż jeśli mają

tam być przedstawiciele Nowej Republiki i chłopaki Talona, to zdaje się, że będzie trzeba konfiskować broń przy wejściu.

- Wymyślimy coś - Luke uśmiechnął się szerzej.

Przyjrzała mu się badawczo znad parującego naczynia.

- Jeżeli mówimy o wymyślaniu, zdecydowałeś może, co zamierzasz zrobić z akademią? Odwrócił głowę, spoglądając w gwiazdy.

- Nie mogę tak po prostu zostawić swoich uczniów - odparł po chwili. - To jedno nie ulega wątpliwości. Myślałem, żeby stopniowo przekształcić ją w coś w rodzaju szkoły przygotowującej przyszłych Jedi, gdzie początkujący mogą nauczyć się podstaw... być może od starszych uczniów i trochę poćwiczyć. Potem następowałby kolejny etap: każdy z nas brałby jednego lub dwóch uczniów i szkolił ich indywidualnie, tak jak mnie uczyli Ben i Yoda. Tak zresztą podobno wyglądało szkolenie Jedi w przeszłości. Naturalnie zakładając, że ty i Corran chcielibyście wziąć w tym udział. - Nie do końca podoba mi się ten pomysł, a Horn i pozostali sami muszą zdecydować, ale jestem Rycerzem Jedi, a przynajmniej tak się nam obojgu wydaje. Dopóki więc nie wyszkolisz wystarczającej liczby instruktorów, zapewne będę musiała uczyć innych. Naturalnie dopiero kiedy sama się nieco więcej od ciebie nauczę. A zanim się za to weźmiemy, muszę się stopniowo wycofać z organizacji Talona. Muszę przekazać swoje obowiązki innym, nie mogę tego tak po prostu rzucić z dnia na dzień. Odpowiedzialność i zobowiązania, znasz to, prawda?

Coś zmieniło się w emocjach Luke'a, zanim przyznał: - Znam.

- Aha, jeszcze jedno - dodała, przyglądając mu się uważnie. - Nawet kiedy już będę gotowa, na pewno nie zamierzam tego robić na czwartym księżycu planety Yavin. Może zaczniemy podróżować ze studentami po terytorium Nowej Republiki. W ten sposób byłibyśmy osiągalni w razie konieczności, na przykład w razie mediacji jakiegoś sporu czy zażegnania innego zagrożenia, czy do czego tam jeszcze używani są Jedi, a równocześnie moglibyśmy szkolić uczniów w realnych sytuacjach, co uważam za znacznie lepsze od czystej teorii.

- Faktycznie taki sposób nauki mógłby okazać się lepszy - przyznał. - Na pewno mnie przydałoby się więcej doświadczenia w różnych dziwnych sytuacjach. - No to pięknie - zamknęła temat, nie przestając mu się jednak uważnie przyglądać. - A teraz powiedz mi, co ci nie daje spokoju. - Co masz na myśli? - spytał ostrożnie.

- Nie wygłupiaj się: byłam w twojej głowie i sercu, nie potrafisz już niczego utrzymać przede mną w tajemnicy. Coś cię trafiło, gdy przed chwilą wspomniałam o odpowiedzialności i zobowiązaniach. Co to było? Poddał się z westchnieniem.

- Nadal mam wątpliwości, dlaczego chcesz być ze mną - powiedział niepewnie. - Wiem, dlaczego cię kocham i dlaczego ja chcę być z tobą, ale nie wiem, dlaczego w drugą stronę... Wydaje mi się, że nie zyskasz na tym tyle co ja.

Mara wpatrzyła się w ciemnobrązowy płyn, który popijała małymi łykami.

- Mogłabym ci powiedzieć, że małżeństwo nie jest zabawą w straty i zyski, ale to byłby tylko unik... Prawda wygląda tak, że dopóki nie połączyliśmy się w czasie tej walki z droidami, sama nie zdawałam sobie sprawy, że tego właśnie chcę. Miałam przyjaciół i współpracowników, ale tak skutecznie odciąłem się od jakichkolwiek związków uczuciowych, iż nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mi ich brak. Pamiętasz, jak płakałam, wysyłając na zagładę „Ognistą Jade”, a przecież to był statek, coś, nie ktoś... - To nie było tylko coś, to była twoja wolność.

- Owszem, ale to tylko potwierdza moją teorię: statek reprezentował dla mnie wolność, czyli możliwość ucieczki od innych, kiedy czułam taką potrzebę... Pod wieloma względami nadal jestem uczuciowo zamknięta, a ty z kolei jesteś tak otwarty, że można szau dostać. Tego muszę się nauczyć i chcę się uczyć właśnie od ciebie - ujęła go za rękę. - Ale to także odmiana gry w straty i zyski. Najprościej rzecz ujmując, tak właśnie powinniśmy zrobić. Pamiętasz Budującego z Pnaczy i jego przysłowie o tym, że splecione pnącza są wielokroć silniejsze niż użyte osobno? Doskonale się uzupełniamy, Luke... tak doskonale, że można by uznać, iż jesteśmy dwiema połowami tej samej całości.

- Wiem o tym, ale nie miałem pewności, czy ty wiesz.

- Nie zapominaj, że wiem wszystko, co ty wiesz. Faughn miała rację: tworzymy dobry zespół. A w miarę upływu czasu będziemy coraz lepsi. Za parę lat wrogowie Nowej Republiki zaczną zmiatać aż się będzie kurzyło na samą wieść o nas - dodała w tonie autoreklamy.

- Przeciwników na pewno nam nie zabraknie - westchnął Luke. - Naszą przyszłością są Nieznane Terytoria. Tam leżą nadzieje, sny, obietnice i możliwości, ale tam też czają się wrogowie i zagrożenia, a w tej chwili tylko my mamy klucz do tego wszystkiego.

- Musimy zdecydować, co zrobimy z danymi uzyskanymi przez Artoo - zgodziła się, podchodząc do niego.

- Na pewno należałoby wysłać zwiad na przynajmniej niektóre planety, żeby po prostu zobaczyć, jak to wygląda.

- Albo niezależny, albo pod auspicjami Nowej Republiki. No i musimy zdecydować, co z Ręką Thrawna.

- Ja bym ich na razie zostawiła w spokoju. Dopóki sami nie dojdą do wniosku, że chcą z nami rozmawiać, zmuszanie ich może dać jedynie odwrotne do zamierzonych skutki.

- A jeśli Parek zdecyduje się jednak na rozmowy z Imperium?

- Wątpię - Mara potrząsnęła głową. - Skoro dotychczas tego nie zrobił, to musiał się dowiedzieć, że informacje o Thrawnie dotyczyły oszustwa i zdecydował się poczekać na powrót właściwego.

- Ale może planować zemstę za to, co zrobiłaś z jego myśliwcami.
- To mnie akurat nie martwi: myśliwce można zastąpić nowymi, a powinien być wdzięczny, że powstrzymałam go przed oddaniem wszystkiego oszustom. Poza tym Fel powiedział, że mogę próbować, jak umiem.
- Wątpię, czy chodziło mu o taki właśnie efekt - uśmiechnął się Luke.
- Rozczarowania Soontira Fela naprawdę nie są moim problemem. A mówiąc serio, sądzę, że gdyby mieli wobec mnie jakieś plany, spróbowaliby raczej ponownej rekrutacji, tym razem z pełną informacją. - I będą czekać na powrót Thrawna.
- To może potrwać - odparła, przypominając sobie martwego klona w zalanej sali. - Fakt. Zresztą nawet jeśli się znudzą i skontaktują z Imperium, Talon powinien się o tym szybko dowiedzieć, a więc my też. Najlepiej zresztą byłoby zająć się tym wspólnie.
- To mogłoby być interesujące — przyznała. - Zwłaszcza te tajemnicze zagrożenia. Luke przytaknął bez słowa i przez kilkanaście minut stali objęci, spoglądając w milczeniu w gwiazdy. Mara zobaczyła wtedy coś dziwnego - prawie wizję przyszłości... ich przyszłości. Tego, czemu powinni stawić czoło, czyli kalejdoskop wyzwań, przyjaźni, sojuszy. Nigdy dotąd nie miała podobnej wizji - ale też dotąd nie była Rycerzem Jedi. Zapowiadało się, że przyszłość rzeczywiście będzie interesująca.
- Może wrócimy do teraźniejszości? - zaproponował cicho Luke.
- Zgoda. Jako najważniejszy w okolicy Jedi, głowa akademii Jedi i brat prezydenta na urlopie, senator i członkini Wysokiej Rady Leii Organy Solo, mógłbyś choć udać ochotę na oficjalną uroczystość.
- Właśnie miałem to zaproponować - przyznał niechętnie. - Chyba będę się musiał przyzwyczaić, że ktoś tu zna moje myśli. - Jeszcze możesz się wycofać.
- Mowy nie ma - pocałował ją. - Zobaczymy się później.

Po czym odstawił pusty kubek i skierował się ku drzwiom.

- Poczekaj! - odeszła od okna i zbyt krótkiej wizji przyszłości, wracając już w pełni do teraźniejszości: na przyszłość będzie jeszcze dość czasu. - Idę z tobą.

# Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)  
[ROZDZIAŁ 2](#)  
[ROZDZIAŁ 3](#)  
[ROZDZIAŁ 4](#)  
[ROZDZIAŁ 5](#)  
[ROZDZIAŁ 6](#)  
[ROZDZIAŁ 7](#)  
[ROZDZIAŁ 8](#)  
[ROZDZIAŁ 9](#)  
[ROZDZIAŁ 10](#)  
[ROZDZIAŁ 11](#)  
[ROZDZIAŁ 12](#)  
[ROZDZIAŁ 13](#)  
[ROZDZIAŁ 14](#)  
[ROZDZIAŁ 15](#)  
[ROZDZIAŁ 16](#)  
[ROZDZIAŁ 17](#)  
[ROZDZIAŁ 18](#)  
[ROZDZIAŁ 19](#)  
[ROZDZIAŁ 20](#)  
[ROZDZIAŁ 21](#)  
[ROZDZIAŁ 22](#)  
[ROZDZIAŁ 23](#)  
[ROZDZIAŁ 24](#)  
[ROZDZIAŁ 25](#)  
[ROZDZIAŁ 26](#)  
[ROZDZIAŁ 27](#)  
[ROZDZIAŁ 28](#)  
[ROZDZIAŁ 29](#)  
[ROZDZIAŁ 30](#)  
[ROZDZIAŁ 31](#)  
[ROZDZIAŁ 32](#)  
[ROZDZIAŁ 33](#)  
[ROZDZIAŁ 34](#)  
[ROZDZIAŁ 35](#)  
[ROZDZIAŁ 36](#)  
[ROZDZIAŁ 37](#)  
[ROZDZIAŁ 38](#)  
[ROZDZIAŁ 39](#)  
[ROZDZIAŁ 40](#)  
[ROZDZIAŁ 41](#)  
[ROZDZIAŁ 42](#)

